



MAGDALENA
KNEDLER

NIC OPRÓCZ MILCZENIA



NIC OPRÓCZ MILCZENIA

MAGDALENA
KNEDLER

NIC OPRÓCZ MILCZENIA

Copyright © Magdalena Knedler-Zajac, 2016
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2016

Redaktor prowadząca: Sylwia Smoluch
Redakcja: Kinga Gaska
Korekta: Kamila Markowska / panbook.pl
Projekt okładki: Magdalena Zawadzka
Projekt typograficzny i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Fotografia na okładce: lenaer/Shutterstock.com
muratart/Shutterstock.com

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2016

eISBN 978-83-7976-521-8

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-99-10
fax: 61 853-80-75
redakcja@czwartastrona.pl
www.czwartastrona.pl

Część I

Dopóki fasada domu robi spektakularne wrażenie, nikt nie przejmuje się tym, jak budynek wygląda od podwórka.

Peter Ackroyd

Chodzenie po Wenecji jest zawsze wzdychaniem, wznoszeniem się i opadaniem po niezliczonych mostkach. Ale kiedy się staje nad brzegiem obszaru morskiego, nie wzdycha się wtedy, lecz oddycha pełną piersią. I czy mam to wyznać? Chciałoby się czasami wyzwolić. Domy Wenecji biegną za nami jak goniące nas kościotrupy – i chcielibyśmy uciec od śmierci do życia, od miasta do morza. Naprawdę to miasto nie żyje.

Jarosław Iwaszkiewicz

11 czerwca 1940

Hawr

Frachtowiec *Niobe*

Czuł, że coś się wydarzy. Intuicja nigdy dotąd go nie zawiodła. Wszedł na górny pokład i spojrzał w niebo. Zauważył kilka smug, niby nic specjalnego. Była przecież wojna. Obrócił się wokół własnej osi. Zobaczył to, co widywał ostatnio przez cały czas. Dym. Czerwonawą łunę. Okaleczonych ludzi, którzy wciąż żyli, choć ich spojrzenia były martwe. Tu i ówdzie szczątki... czegoś. Lub kogoś. Dwaj marynarze rozmawiali na pokładzie. Oczywiście o ewakuacji. Federico Capelli miał dosyć tego tematu, choć wstydził się głośno o tym mówić. Usłyszał śmiech. Spojrzał w kierunku źródła dźwięku. To marynarz się śmiał. A później zapalił papierosa. Czy on był przy zdrowych zmysłach? Czy widział, co się działo? Czy też miał to przeczucie?

Nie, nie miał. Federico Capelli zbiegł pod pokład. W jego wypadku to już nie było przeczucie, tylko pewność. Coś się wydarzy. Wszystko wokół pulsowało, jak gdyby miało za chwilę eksplodować. Wybuch zresztą nikogo by nie zdziwił. Federico wpadł do swojej kajuty i wysunął spod łóżka obraz. Otworzył szafkę i wśród bielizny odnalazł mały aksamitny woreczek. Były tam. Trzy.

Wysypał je na dłoń, po czym obrócił obraz i wetknął kamyki w wydrążone w drewnie, głębokie otwory. Poczł drżenie pod stopami. To już. Działo się. Po plecach spłynęła mu struga zimnego potu. W pośpiechu posmarował kołki klejem i zatkał nimi otwory. Rzuciły się w oczy. Nie miał wcześniej czasu, by dobrze się do tego przygotować. Pomyślał, że później będzie musiał przetrzeć ramę papierem ściernym i pomalować ją.

Drżenie pod stopami nasiliło się.

„Później”. O ile w ogóle będzie jakieś później.

Federico zawiął swój niedokończony obraz w stare prześcieradło i wybiegł z kajuty. Teraz to już nie było drżenie. Usłyszał huk i wszystko zaczęło się trząść. Mężczyzna zachwiał się na schodach. Miał wrażenie, że ściany przewracają się na niego i... Nie, nie miał wrażenia. Ściany naprawdę się przewracały. *Niobe* sypała się jak domek z kart.

Niobe dostała.

Wiedział, że dostanie.

Nie pamiętał, co było później. Jak wydostał się ze statku. Kiedy jego mózg ponownie zaczął odbierać bodźce, kiedy Federico na powrót zaczął widzieć i słyszeć, nie było już *Niobe*. Pozostał tylko ogień. Dym i czerwona łuna, do widoku których już się przyzwyczaił. I krzyk. Płacz. Wzrok ludzi zbitych w ciasną gromadkę. Martwy wzrok. Federico również był wśród nich.

Nienawidził tej wojny. Wszystko mu zabrała. Naiwność, nadzieję i spokojne sny.

Został mu tylko ten obraz.

11 czerwca 1990

Laguna Wenecka

Zamierzali ją spalić. Kiedy przekroczyła próg, od razu zobaczyła stos. To taka zabawa, mówili. Rytuał. A zatem co, w gruncie rzeczy? Nie potrafili tego jednoznacznie określić. „Koniec karnawału”, rzucił wreszcie ktoś i głośno się roześmiał. Była tu jedyną kobietą, nie licząc wielkiej szmacianej kukły, również płci żeńskiej. Zamierzali ją spalić – tak powiedzieli. Zgodnie z pradawnym zwyczajem. Mówili prawdę. Rzeczywiście chodziło o pradawny zwyczaj. A jednak nie o ten lokalny, wenecki, związany ze spaleniem kukły na znak zakończenia karnawału. Chodziło im o czary. O urok. Ilu ich było? Rozejrzała się, żalosna w swej bezradności. Czterech. Tak niewielu. Tak wielu. Nie zostanie po niej nawet ślad. Prochy położą się srebrzystym pyłem na zielonych wodach laguny. Nie miała pojęcia, dlaczego do głowy przyszło jej to poetyckie sformułowanie. Przecież od metafory zawsze wołała konkret.

Kiedy po raz pierwszy przyplłynęła na wyspę, pomyślała, że była za stara do tej roboty. A przecież miała wtedy zaledwie trzydzieści pięć lat. Od tamtego czasu minęła cała dekada. Nadal nie mogła odpuścić sobie tej zabawy. Ale teraz pewnie... wreszcie będzie musiała.

Ponownie spojrzała na czterech mężczyzn, których dobrze знаła. Nie ukrywali już, w jakim celu ją tu sprowadzili, i nie udawali, że zamierzają spalić na stosie szmacianą kukłę. Jeden z nich sięgnął do skrzyni. Wyjął suknię, piękną. Powiedzieli, by ją włożyła, a kiedy zapytała, gdzie powinna się przebrać, tylko się śmiali. Zaczęła zatem rozpinąć swoją własną sukienkę, zbyt krótką i zbyt obcisłą. Patrzyli. On również. Chłopak z sąsiedztwa. Śledził każdy jej ruch. Kiedy była zupełnie naga, wstał.

„Najpierw się zabawimy”, zdecydował.

Przełknęła ślinę. Znowu się śmiali. Spodobał im się ten pomysł.

„Ja pierwszy”, powiedział. Zacisnął na jej ramieniu swoje kościste palce. Szli długim korytarzem, a później schodami w dół. Nie wiedziała dokąd. Wreszcie dotarli do jakiegoś pomieszczenia, małego i niskiego. Gdyby nie znajdowali się w Wenecji, pomyślałaby, że to piwnica. Drżała z zimna i ze strachu. Podszedł do niej. W dłoni trzymał wąski pasek.

„Powiem im, że się opierałaś. Że mnie zdenerwowałaś i nie wytrzymałem. Tak będzie dla ciebie lepiej”.

Nie włożył nawet rękawiczek. To było dziwne uczucie. Ulga pomieszana ze strachem, że to już. Ale przynajmniej nie trzeba będzie umierać w płomieniach, pomyślała. Nie potrafiła nawet wyobrazić sobie tego bólu. Wyprostowała się. Z początku była uległa, ale kiedy zabrakło jej tchu, zaczęła się szarpać. Na szczęście to nie trwało długo. Pomyślała jeszcze o obrazie, o którym nikomu nie powiedziała. Malowidło marynarza, powstałym bez wyraźnej inspiracji. Milczała. Może powinna wyjawić prawdę? Temu mężczyźnie, który właśnie pozbawiał ją życia?

Cholerny obraz. Że też dopiero teraz na to wpadła. W pieprzoną rocznicę. I dlaczego właściwie bawiła się w tajemnice, w jakieś chore suspensy? Tamta kobieta wciąż czekała po drugiej stronie laguny.

Trzeba było jej powiedzieć, że chodzi o obraz.

Trzeba mu powiedzieć, że zawsze chodziło...

Milczała nadal. Zapadła ciemność.

Chłopak widział swojego ojca wyraźnie. Patrzył, jak go wlekli, a później pchnęli na środek pomieszczenia z kolumnami. Nie, to nie było pomieszczenie. Raczej główne wejście, przestronny hall, w którym bogaci ludzie oczekiwali swoich gości i wypatrywali łodzi sunących po wodach laguny. Kazali mu uklęknąć. Krzyczeli. Że to zrobił, choć przecież się umówili. Miał się tylko zabawić, a później przekazać ją następnemu. A jeszcze później finał – zaplanowany w najdrobniejszych szczegółach, doskonały. On sam przecież uparł się na to miejsce, mimo że wyspa należała do kogoś innego. I dobrze wybrał, miał rację. Ale w gruncie rzeczy był nikim. Śmieciem, jakich wielu. Nie powinni mu pozwolić się panoszyć, nie powinni dopuścić, by poczuł się ważny. Nie był ważny, nawet jeśli to on ich do tego namówił i tak sprytnie wszystko obmyślił. Bo kiedy przyszło co do czego, zmiękł. Tacy jak on zawsze miękli. Nie potrafili zachować zimnej krwi. A przecież powinien mieć to w genach, zdać się na intuicję. W Wenecji uciszanie ludzi doprowadzono do perfekcji. Sekrety i tajemnice były częścią składową życia każdej rodziny. Śmieć powinien to wiedzieć.

Chłopak stał tuż obok i patrzył na ojca. Był blisko, wystarczyło tylko... Ale nie, oni mówili coś jeszcze. Że ją udusił, a miał się tylko zabawić. Tak powiedzieli. Udusił. Miał się zabawić. I teraz za to zapłaci. Chłopak patrzył, jak jeden z trzech mężczyzn podpala stos, a pozostali dwaj związują ojca i później ciągną go w stronę płomieni.

Dlaczego się nie bronił? Dlaczego nie krzyczał? I tak po prostu dał się tam zawlec?

Chłopak zacisnął dłonie w pięści. Nic nie mógł zrobić. Pragnienie, by zachować własne życie, wydało mu się zupełnie nie na miejscu. A jednak powiedzieli przecież, że... udusił ją! Chłopak spojrzał na mężczyznę, który wtaszczył do sali z kolumnami ciało nagiej kobiety.

Znał ją.

„Niech się zjarają razem!”, czyjś głos odbił się echem od kamiennych ścian.

Mężczyźni wrzucili w płomień ciało kobiety. Później wepchnęli w ogień także ojca. Chłopak zacisnął powieki, kiedy usłyszał jego wrzask. Wetknął sobie pięść w usta, by samemu nie zacząć krzyczeć. Nie mógł uciec. Kiedy postanowił śledzić mężczyzn aż do wyspy Foscarich, wiedział, że do domu będzie w stanie wypłynąć stąd dopiero nad ranem. Jak zawsze. Dobrze ukrył swoją łódź, znał tu każdy kąt. Ojciec nigdy się o tym nie dowiedział. Ale on sam również znakomicie poznał wyspę. A teraz wrzeszczał, wrzeszczał coraz głośniejsze, przeraźliwie, zwierzęco. I nagle przestał. Wrzask urwał się, jak ucięty nożem. Chłopak skulił się i przełknął łzy.

Nic nie mógł zrobić. Milczał.

2015, Wenecja

Chodziło mu o papiery. Przecież matka powiedziała, że ukryła je w willi Foscarich. Kłamała? Po co? Żeby komuś zaimponować? Tak, to było możliwe. Ale jeśli nie kłamała i papiery istniały, prawdopodobnie stanowiły dowód.

Oczywiście z początku myślał wyłącznie o tamtych mężczyznach, nie o papierach. O zemście. Eliminacji. Zastanawiał się, czy jeden z nich wtedy, przed laty, skłamał. Chciał dowiedzieć się prawdy. Obserwował go, śledził, po cichu utrudniał życie. Zemsta zaczęła się dokonywać bardzo wcześnie, jeszcze zanim ustalił, czy była konieczna. Nadal niczego nie wiedział na pewno, ale zyskał nad tamtym przewagę. Wygrał bitwę.

I przegrał sam ze sobą. Uświadomił sobie kilka rzeczy przez te wszystkie lata.

Stracił mnóstwo czasu. Szukał czegoś, co nie istniało.

Albo też ktoś znalazł to przed nim.

Rozdział 1

Komisarz Antonio Valli wyłączył komputer i złożył papiery w równy stos. Chwycił paczkę papierosów, wyciągnął jednego, po czym wsunął go sobie między zęby. Obrócił głowę i spojrzął w okno, na czarny prostokąt nieba. Zobaczył w szybie swoje odbicie. Nie lubił go. Valli wstał z krzesła i zdjął z wieszaka płaszcz, który zarzucił na ramię. Sięgnął po kopie dokumentów, włożył je do szuflady i przekręcił klucz w zamku. Po chwili był już na korytarzu. Komenda świeciła pustkami. Jedynie dyżurny policjant przysypiał przy swoim biurku, z głową opartą na łokciach. Valli wydobył z kieszeni zapalniczkę i kiedy znalazł się na dworze, odpalił papierosa. Drgnął na dźwięk dzwonka swojego telefonu. Zerknął na wyświetlacz.

– Si? – rzucił.

Wciąż nie miał pojęcia, dlaczego Stefano, młody policjant z wydziału śledczego, usiłował się z nim zaprzyjaźnić. Valli widział w chłopaku pewne podobieństwo do swojego syna. Dzisiaj Ture pewnie tak by wyglądał, a może nawet... Komisarz potrząsnął głową. To nie był dobry moment.

– Co mówiłeś? Przepraszam, zamyśliłem się.

– Pytałem, czy szef to zrobił.

No tak, oczywiście. Stefano pytał o akta, które Valli wygrzebał z archiwum i nad którymi ślęczał po godzinach, na pozór zupełnie bez sensu. Nikt nie wiedział o jego „pasji” do zagłębiania się w sprawy zwane *insabbiatura*. Pogrzebane. Nikt poza Stefanem. Ale nawet jemu Valli obiecał, że da spokój z tamtym topielcem sprzed roku. Może faktycznie miał obsesję i to był zwykły wypadek? Może ona była niewinna? I tak przecież Valli nieco uprzykrzył jej życie. Powinien sobie odpuścić. Pomyślał o papierach, które teraz spoczywały w szufladzie.

– Tak – skłamał.

Odniósł akta do archiwum, ale wcześniej je skopiował. Na wszelki wypadek. Stefano po drugiej stronie chrząknął.

– Czyli nie muszę już się koło niej kręcić?

– Za często to się znowu nie kręciłeś – zauważył zgryźliwie komisarz. – Raz na tydzień.

– Co cztery dni – uściślił Stefano.

– Nie zmuszałem cię. To był wolontariat.

– Wiem. W takim razie jeszcze szefowi powiem, że ma nową lokatorkę. Ale nic podejrzanego się nie dzieje.

– W porządku.

Valli pożegnał się i rozłączył. Stefano go zaintrygował, ale komisarz nie zamierzał drażnić tematu. Ruszył Riva degli Schiavoni w stronę San Marco, a później przez San Polo, aż do Santa Croce. W jego mieszkaniu na Corte Case Nuove było pusto, jak zawsze. Valli zjadł kanapkę i na chybił trafił wybrał jedną z powieści o przygodach Ture Sventona. Postanowił, że tego wieczoru żadna *insabbiatura* nie zakłóci mu lektury.

Nie wiedziała, co było pierwsze. Dźwięk syren czy hasło *acqua alta*, które wykrzyczał ktoś tuż pod jej oknem. Zegar wskazywał szóstą, a w pokoju panował półmrok. Być może wciąż śniła? Zdecydowanie wolałaby śnić. Poczula, że na powrót ogarnia ją senność. Przymknęła ciężkie powieki, lecz dźwięki nie ucichły. Syreny piszczały i Anna pomyślała, że w ich melodii było coś złowieszczonego, ale i przejmująco smutnego zarazem.

– *Acqua alta!* – usłyszała znowu.

Ktoś uderzył wiosłem w okienną szybę. I wtedy Anna wszystko zrozumiała. Oderwała głowę od poduszki i wyskoczyła spod kołdry. Jej stopy od razu zanurzyły się w lodowatej wodzie. *Acqua alta*. Oczywiście! Anna w popłochu wyłowiła kilka dryfujących książek i gazet, po czym rzuciła je na stolik. Ruszyła w stronę drzwi. Na korytarzu zderzyła się z Lucrezią, która z dwiema parami kaloszy pod pachą zeskoczyła ze schodów. Ona również miała na sobie tylko piżamę, teraz całkiem już przemoczoną.

Aqua alta. Wysoka woda.

– Metr sześćdziesiąt. Przelewa się przez blokadę w drzwiach – wysapała Lucrezia, podając Annie kalosze. – Szybko, trzeba przenieść jak najwięcej towaru na górę. No dalej, Anna! *Avanti!*

Avanti... Łatwo powiedzieć. Zimna woda i wiatr z kanału, który zdawał się przenikać przez cegły i drewniane okiennice, sprawiły, że Anna obudziła się na dobre, a mimo to poruszała się powoli, sparaliżowana panującym wokół chaosem. Jej ręce opadły bezradnie wzdłuż ciała. Spojrzała na nie i zamrugowała. Wciąż trzymała w dłoniach kalosze, które dała jej Lucrezia. Musiała wziąć się w garść i to szybko. Wszystko tutaj było przecież prawdziwe – chłód, dźwięk świszczących syren i krzyki za oknem, powielone przez echo. Prawdziwa była Lucrezia w mokrej piżamie i jej sine, drżące z zimna wargi. I wreszcie *acqua alta*. Wysoka woda również była do bólu prawdziwa.

– Anna, *avanti!* Pomóż mi!

Zachrypnięty głos Lucrezii również należał do tej samej rzeczywistości. Anna spojrzała na nią tak, jak gdyby zobaczyły się po raz pierwszy w życiu. W głosie weneckianki nie usłyszała paniki, ale zupełnie coś innego. Determinację i wolę walki splecioną z przekonaniem, że przecież to wszystko musiało się prędzej czy później wydarzyć. Wydarzyło się już bowiem dawniej, nie raz, a ludzie przetrwali i Wenecja nie umarła. Tylko obcy, podobni do Anny turyści, którzy oglądają miasto tak, jak się ogląda muzealny eksponat, nie wiedzieli, co zabiera *acqua alta*. Co niszczy i co należy odbudować, kiedy obeschną podłogi i chodniki. Lucrezia wiedziała. Do przepastnej torby wrzucała przedmioty twarde i odporne na zniszczenia, do kartonu zaś kruche, szklane bibeloty. Biegła z tym później na piętro i po chwili wracała, by zacząć cały proces od nowa.

Anna wreszcie się ruszyła. Włożyła kalosze, które sięgały jej powyżej kolan, i rzuciła się na ratunek książkom. Wyłowiła z wody Prousta i Manna, album z reprodukcjami Kokoschki, zabytkowy słownik angielsko-łaciński i sonety Szekspira. Później nie patrzyła już na tytuły, złapała rytm i sama biegła na piętro z przepastną torbą na ramieniu i kartonem w dłoniach. Część przedmiotów zostawiły na parterze, ustawivszy je wcześniej na najwyższych półkach. Kiedy antykwariat wreszcie opustoszał, wpatrzyła się w wodę przelewającą się przez blokadę przeciwpowodziową w drzwiach. Zapora mierzyła niewiele ponad pół metra. Lucrezia oparła się o ścianę i zapaliła papierosa, choć ręce miała tak zeszywniałe z zimna, że ledwie zdołała go utrzymać.

– Cholera – zaklęła po angielsku. – Nie mam worków.

– Worków?

– Z piaskiem.

Spojrzenie Lucrezii pobiegło za spojrzeniem Anny. Włoszka zaciągnęła się mocno papierosem i wychrypiała:

– Pół metra to normalka. Co roku tak podlewa, zazwyczaj nawet trochę więcej. Idzie się przyzwyczaić. Ale to... – Lucrezia wypuściła z płuc dym i przymknęła oczy. – Trzy lata temu zalało na metr czterdzieści, a w dwa tysiące ósmym na metr sześćdziesiąt. Wtedy wszyscy zrzędzili, że to najgorsza powódź od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego. No i proszę. Następna! Zdarza się coraz częściej.

Cyfry, daty, woda. Anna poczuła przyływ dziwnego smutku. Pomyślała, że im obu przydałaby się gorąca herbata, ale wtedy właśnie jej wzrok zarejestrował kolejny szczegół. W drżącej dłoni Lucrezia trzymała latarkę, a wokół wciąż panował półmrok. Nie było prądu. A jednak kuchenka gazowa w kuchni Lucrezii musiała działać, uznała Anna, i ruszyła w kierunku schodów. Była gotowa rozpaść ognisko na dachu, byle tylko zaparzyć jakoś tę nieszczęsną herbatę, rozgrzać się i pomyśleć, co dalej. Brnęła po kolana w wodzie, a zbyt duże kalosze zsuwały jej się ze stóp. W korytarzu zatrzymała się i przez chwilę obserwowała grę mdłego światła na zielonkawej tafli. Tutaj, w Wenecji, wszystko było niezwykle i piękne, nawet powódź. Annie zrobiło się przykro, że tak właśnie pomyślała, ale refleksja zdawała się wyjątkowo nachalna. Teraz Wenecja też była piękna, piękniejsza nawet niż zazwyczaj, bezbronna i świadoma swojego losu, krucha i silna jednocześnie, balansująca na granicy życia i śmierci. Panująca nad wodami laguny i uzależniona od ich kaprysów. Zbudowana na paradoksach. Anna zmarszczyła brwi i wyrzuciła z głowy bezsensowną myśl o gorącej herbacie. Herbata była przyziemna i nie pasowała do tej chwili. Przez warstwę znanych już i oswojonych dźwięków przebił się nowy, wysoki i ostry. Anna zastygła w bezruchu. Co to było? Nadstawiła uszu. Pisk? Nie, nie pisk. Płacz? Tak, ten dźwięk przypominał płacz. A jednak nie, nie do końca. Co zatem?

Ruszyła w kierunku wyjścia. Drzwi z korytarza otwierały się wprost na kanał. Nie było tutaj nawet chodnika, tylko trzy śliskie marmurowe stopnie i pał, do którego Lucrezia przywiązywała łódkę. Kiedy świeciło słońce, na schodkach często przysiadły koty, które przychodziły nie wiadomo skąd, wygrzewały się na ciepłych kamieniach i miauczały, dopraszając się o miseczkę mleka lub... Miauczały! Właśnie! Anna już wiedziała, co to za dźwięk. Dobrnęła do drzwi, pociągnęła za klamkę i wychyliła się ponad zaporą przeciwpowodziową. Od strony kanału, o dziwo, poziom wody nie był tak wysoki, jak od strony *calle*, jednak trzy marmurowe schodki zniknęły zupełnie w zielonych odmętach. Gdzie ten kot? Kręciła głową w prawo i w lewo, ale nigdzie go nie widziała. Miauczenie natomiast wyraźnie się nasiliło i z minuty na minutę stawało się coraz bardziej żalosne.

– Kici, kici! – zawołała i prawie się roześmiała. Czy weneckie koty rozumieją polskie „kici, kici”?

Wiedziona nagłym impulsem spojrzała w górę. Bingo! Tylko co z tego? Kot tkwił tuż nad jej głową, musiał wdrapać się po framudze i siedział teraz na niewielkiej rzeźbie lwa, która zdobiła fasadę domu Lucrezii. Anna wyraźnie widziała, jak zwierzę usiłuje wbić pazurki w marmur. Mały futrzak rozpaczliwie wczepiony w swojego kamiennego kuzyna... To nie był nawet jeszcze kot, ale drobna, drżąca kulka z wytrzeszczonymi ślepiami.

– Jak tam wlażęś, smarkaczu? – mruknęła pod nosem, nie zastanawiając się już nad tym, czy weneckie koty rozumieją język polski. Albo szwedzki.

Przeskoczyła przez zaporę i ostrożnie postawiła stopy na ostatnim schodku. Wyciągnęła ramiona w górę, ale szybko zdała sobie sprawę, że ta próba wypadła żałośnie. Nie miała szansy dosięgnąć kotka. Niewiele myśląc, zrzuciła kalosze, które krępowały jej ruchy, uczepiła się framugi i stanęła na zaporze. Drewno zaskrzypiało pod jej bosymi stopami. Jeśli blokada puści, Lucrezia z pewnością zemści się w sposób okrutny i wymyślny. Nad tym jednak można było zastanowić się później. Teraz liczył się

tylko... Anna zerknęła w górę i napotkała uważne spojrzenie zielonych oczu. Co ona właściwie wyprawiała? Ratowała jakiegoś bezpańskiego kota, odziana w mokrą piżamę, na bosy, przemarznięta, zmęczona i głodna. Tak, to był z pewnością znakomity pomysł na spędzenie poranka w Wenecji, nie ma co! A jednak, skoro powiedziało się „a”... Anna napięła mięśnie i podciągnęła się. Na całe szczęście, framuga była szeroka i mogła się jej porządnie uchwycić. Wspięła się na palce i wyciągnęła dłoń w stronę kotka. Dzieliła ich teraz odległość jakichś dwudziestu centymetrów. Gdyby futrzak skoczył, a ona utrzymała równowagę...

Gdyby. Właśnie. Anna drgnęła, a jej stopy ześliznęły się z zapory. Wisiała przez kilka sekund uczepiona jedną ręką wilgotnej framugi, wiedziała jednak, że długo tak nie wytrzyma. Słyszała szum wody, miauczenie kota, jazgot swoich własnych myśli, które tłoczyły się pod kopułą czaszki. I wreszcie spadła. Przez chwilę czuła się lekka jak piórko, zupełnie wolna, bez żadnych ograniczeń i żadnego oparcia. Tylko ona i pęd zimnego powietrza. Stanowczo za krótko to trwało. Kiedy zderzyła się z lodowatą wodą, miała wrażenie, że ktoś wbija w jej ciało miliony ostrych igieł, a wokół klatki piersiowej zawiązuje ciasny supeł. „Przecież umiem pływać”, pomyślała jeszcze, zanim obraz przed jej oczami pokrył się w całości ciemną zielenią.

Skąd padało światło? Anna osłoniła dłonią oczy i uniosła się na łokciu. Syknęła z bólu. Czuła zawroty głowy, mdłości i dziwnie mrowienie w okolicy lewego biodra. Ale... Skąd padało światło?

– Nie gap się w żarówkę, bo jeszcze dodatkowo oślepniesz. Do dupy z taką lokatorką!

Anna spróbowała usiąść, ale zawroty głowy okazały się zbyt silne. Spojrzała na swoje dłonie ginące w czerwonych rękawach i nogi przykryte kocem. Nie miała już na sobie przemoczonej piżamy, choć nadal była bardzo ziębnięta. Lucrezia podała jej kubek z parującą kawą. Oczywiście białą, jak przystało na godziny poranne. Espresso wenejanka była w stanie przełknąć dopiero po dwunastej. Anna objęła kubek dłońmi i poczuła błogie ciepło. Pociągnęła nosem. Nie wiedziała, dlaczego nagle w jej oczach stanęły łzy. I skąd padało to cholerne światło?

– Co ty? Ryczysz? – przestraszyła się Lucrezia. – Daj to, bo się oblejesz.

– Nie chcę – mruknęła Anna, mocniej zaciskając palce na kubku.

– Czego nie chcesz?

– Oddać ci kawy.

Włoszka zamarła, po czym bezradnie opadła na krzesło. Anna zaczęła siorbać kawę małymi łykami. Wciąż zastanawiało ją światło i raz po raz zerkała w kierunku zwisającego z sufitu żyrandola. Niby normalna sytuacja, żarówki te, co zwykle, ale przecież...

– Skąd wzięłaś prąd? – nie wytrzymała w końcu.

Lucrezia prychnęła z pogardą i zaczęła wyrzucać z siebie słowa. Pewnie był to jakiś konkretny komunikat, ale znacznie ciekawsza wydawała się sama intonacja i akcent. Lucrezia brzmiała jak Sophia Loren. Anna uwielbiała jej słuchać. Miała też swoje ulubione „Lucreziowe” zwroty, jak na przykład „seriously”, które przypominało „sirjesli” z mocnym „r”.

– Anna? Ty chyba oberwałaś mocniej, niż mi się zdawało.

– Hm? – Anna otrząsnęła się i dopiła resztę kawy.

– Mówiłam, że gdyby w Wenecji podczas każdej powodzi wysiadał prąd, to przez dwie trzecie roku wszyscy siedzielibyśmy przy świeczkach i rozpalali ogniska. Mamy swoje sposoby.

– Aha.

– Dobrze się czujesz? Rąbnęłaś biodrem o pal, do którego przywiązujemy łódkę. Ale może coś stało się też z twoją głową? Pokaż no... Nie mrugaj! – Lucrezia złapała Annę pod brodę i zajrzała jej w oczy.

– No nie wiem, nie znam się. Wezwałam lekarza, ale coś go długo nie ma. Może próbuje dotrzeć tu

wpływ?

Anna parsknęła krótkim śmiechem, ale natychmiast spoważniała. Lekarz? O nie, nie... Podjęła kolejną desperacką próbę i wreszcie udało jej się usiąść. Zawroty głowy nie ustały. Czy uderzyła się w głowę? Może faktycznie. I co stało się z kotem?

– Nie chcę lekarza.

– Niewiele mnie to obchodzi.

– Ale...

– Jak mi tu później wykitujesz z powodu obrażeń wewnętrznych, będę musiała zamknąć antykwariat i łączyć na durne przesłuchania! O nie, dziękuję bardzo. Co ty? Boisz się białego kitla?

– Trochę. Co z kotem?

Lucrezia pacnęła się w czoło.

– Czy wy w tej Szwecji wszyscy rzucacie się na ratunek bezpańskim kotom? Wiesz, ile ich jest w Wenecji? Gdybyś chciała uratować każdego, musiałabyś zorganizować większą grupę. Najlepiej pod wezwaniem jakiegoś świętego. Który tam był od zwierząt? Daniel siedział w jaskini z lwami, ale...

– Co z kotem? – powtórzyła Anna z naciskiem.

Włoszka na powrót uniosła się z krzesła i usiadła na brzegu sofy. Teraz i ona spoważniała. Poprawiła na Annie koc i wyjęła jej z rąk pusty kubek.

– Kim ty jesteś, co?

Kim jest? Kim była? Dobre pytanie. Lucrezia zadała je Annie trzy razy. Szóstego stycznia, w dniu, w którym się poznały, dwa tygodnie później i teraz. Odpowiedź zawsze brzmiała tak samo. „Jestem szwedzką renowatorką mebli”. Wenecjanka kiwała głową, ale musiała wiedzieć, że to nieprawda, a przynajmniej nie cała. Anna nie miała pojęcia, co jeszcze mogłaby dodać. Czy powinna była opowiedzieć jej o swojej rodzinie? O toksycznej matce z Helu, siostrze oskarżonej o morderstwo, przeciwko której wciąż toczyło się postępowanie, o mężu, którego otruto, o kochanku, którego zostawiła w Ystad, o Lempi, o Lajonie? Lajon. On powinien tutaj przyjechać. Zrobiłby piękne zdjęcia, uwieczniłby tę powódź, zatrzymał Wenecję w kadrze, tak jak robił to dawniej, kiedy świeciło słońce i przez miasto można było przejść suchą stopą. Kim była Anna? Dopiero tutaj właśnie uznała, że nie wie. Kiedy wyrwała się z kontekstu, odseparowała od przestrzeni, która ją definiowała, i od ludzi, z którymi łączyły ją bliskie relacje. Tutaj była nikiem. Była samotnym kotem uczeplonym starego marmuru, wpatrzonym w rwący potok. Uniosła dłonie do oczu.

– Znowu ryczysz? Przecież ten kot żyje! Tam jest.

Anna odetchnęła i przycisnęła piąstkami powieki. „Nie becz”. Sama powtarzała to sobie setki razy. Była żałosna, słaba i głupia. Tutaj przecież miała się odnaleźć, odpocząć, odkryć swoją własną Wenecję, a nie rozsypać się na dobre. Rzeczywiście, nie wszystko da się przewidzieć.

– O, lekarz. Trzymaj to, wytrzymaj sobie chociaż nos. Zachowajmy pozory. Niestety, jest bardzo przystojny. A! *Buongiorno!*

Lekarz rzeczywiście był bardzo przystojny, a przynajmniej wywołał oszałamiające pierwsze wrażenie, kiedy wtoczył się do domu Lucrezii w ortalionowej kurtce, kaloszach sięgających ud i... bokserkach. Antykwariuszka zamarła ze swoim „*buongiorno*” na ustach, a Anna zaczęłaby się pewnie szaleńczo śmiać, gdyby nie to, że kot, któremu bohatercko uratowała życie, wbił jej właśnie pazury w kolano. Zamiast więc się śmiać, zawyla z bólu, po czym spróbowała – mimo wszystko jak najdelikatniej – odkleić od siebie małego zwierza. Wycie Anny z kolei skutecznie odblokowało Lucrezię, która powtórzyła swoje bezsensowne „*buongiorno*” i zamachała rękoma, co miało chyba oznaczać zaproszenie. Doktor w bokserkach i gumiakach dzielnie pokonał korytarz. Na progu pokoju zrzucił buty,

wszedł do środka na boso i poczłapał w kierunku Anny, zostawiając na wilgotnej podłodze, z której tak niedawno Lucrezia usuwała wodę, ślady nieco przydużych stóp.

– Panie wybaczą mój niezbyt wyjściowy strój – rzekł z galanterią i otworzył swoją skórzaną torbę, z której zaczął wyłuskiwać dziwne przedmioty. Stetoskop, małą latarkę, młoteczek...

Anna wzruszyła ramionami. Widać cała ta skomplikowana aparatura była mu do czegoś potrzebna. Medyk opróżnił wreszcie zawartość torby, przysiadł na sofie i kazał jej się położyć. Zrobiła to niechętnie. Kiedy leżała, mocniej kręciło jej się w głowie i bardziej bolały ją plecy. A raczej biodro. Chyba. Musiała naprawdę mocno uderzyć o ten pal.

– Mój niezbyt, hm, reprezentacyjny strój wymusiły szczególne okoliczności. Otóż... Proszę patrzeć w bok, a teraz wodzić wzrokiem za moim palcem. Nie, nie wyrwała mnie pani z łóżka, miałem nocny dyżur w szpitalu, ale, widzi pani, tak się niefortunnie złożyło, że przyszedłem do pracy na piechotę.

Lekarz uczył się angielskiego, czytając chyba powieści Jane Austen, bo przemawiał jak reprezentant dziewiętnastowiecznego *gentry*. Lucrezia chrząknęła.

– Ale powódź... – wtrąciła nieśmiało.

– Tak, zaiste! Nie spodziewałem się rano powodzi, choć wiem, że zawsze...

– ...powinien się pan spodziewać powodzi – dokończyła gładko.

– Właśnie. Dziękuję, *signorina* Doldano. A jednak... Tutaj boli? Dobrze, a tutaj? W porządku. No więc wyszedłem z pracy, a tu ta powódź. Doprawdy! Koleżanka zaoferowała się wziąć mnie na pokład swojej łodzi, a później zadzwoniła *signorina* Doldano. Koleżanka od łodzi zaproponowała więc, że podrzuci mnie tutaj, ale po drodze zrobiło się zamieszanie w jednym z kanałów. Jakiemuś panu odpadł tynk z fasady, a także część parapetu i jedno skrzydło okiennicy. No! To przecież nic wielkiego, prawda? Ale ludzie krzyczeli, że jak się remontów nie robi, to tak później jest. Nie mogliśmy tamtędy płynąć, trzeba by naokoło, a ja uznałem, że szybciej będzie, jeśli przyjdę od strony *calle*. Wskoczyłem do wody. Sięgała mi prawie do bioder, więc od koleżanki pożyczyłem te oto kalosze. Niewiele myśląc, zrzuciłem mokre dżinsy, nałożyłem buty i już po chwili znalazłem się u pań.

– Aha – zauważyła niemrawo Lucrezia, chyba zadowolona, że wreszcie pojawiła się szansa na jakieś konkrety.

– Tak. – Lekarz zrobił bardzo mądrą minę. – Biodro wygląda fatalnie, siniak wielki jak patelnia. Musi pani pojechać do szpitala, zrobimy rentgen, a przy okazji tomograf głowy, na wszelki wypadek, skoro zawroty...

Z monologu medyka Anna wyciągnęła kilka wniosków. Pierwszy i najogólniejszy dotyczył tego, że mieszkańcy Wenecji są lekko nienormalni, skoro z własnej woli mieszkają pod wodą przez dwie trzecie roku. I jeszcze uważają odpadające parapety i okiennice za „nic takiego”. Drugi – że chyba kiepsko tu z karetkami, skoro lekarz musiał dostać się do nich na pokładzie prywatnej łodzi, w dodatku nie swojej, a później ganiać piechotą po *calle* w samych gatkach. Trzeci – że skoro ów lekarz dał radę włożyć kalosze koleżanki, to dziewczyna musi mieć naprawdę wielkie stopy.

– Czy pani słyszy?

Anna ocknęła się.

– Tak?

– To pytanie czy odpowiedź?

– Nie wiem.

– Ona zawsze tak? – zwrócił się do Lucrezii, zbierając swój majdan.

– Zdarza się.

– Rozumiem. Zróbmy te badania. Już wzywam karetkę.

– Myślałam, że pan przyplynie w karetce – odezwała się Anna słabo i podniosła się z pozycji leżącej.

– A! Nie! *Signorina* Doldano powiedziała, żeby przysłać do was jakiegoś wolnego lekarza, który akurat nie ma nic lepszego do roboty – odparł ze stoickim spokojem medyk i zatrajkotał po włosku do telefonu.

– Wielkie dzięki – rzuciła Anna do Lucrezii, ale ta tylko machnęła ręką i zniknęła w korytarzu. Po chwili wróciła z dzinsami, skarpetkami i puchową kurtką.

– Lepiej się ubierz, masz na sobie tylko bieliznę i moją czerwoną bluzę. No chyba że zaczniecie kreować wespół z panem doktorkiem jakąś nową, powodziową modę. *Acqua alta fashion*. A tak w ogóle, to on wcale mi się już nie podoba. Za dużo gada i większość z tego, co mówi, nie ma sensu.

Anna zamierzała powiedzieć, że patologiczny słowotok to chyba przypadłość większości Włochów, ale ugryzła się w język. Uśmiechnęła się, a nawet zachichotała cicho, bo zdała sobie sprawę, że Lucrezia miała rację. Medyk faktycznie już nie wydawał się taki przystojny. Wzrok Anny skupiał się teraz tylko na jego bokserkach – i bynajmniej nie dlatego, żeby człowiek był szczęśliwym posiadaczem ciała Adonisa. Znacznie ciekawsza wydawała się jego bielizna w krasnale. A patrząc na krasnale, Anna przypomniawszy sobie inne bokserki, bardzo podobne, tyle że w smerfy. Przed jej oczami pojawiła się na ułamek sekundy twarz Lajona, delikatne piegi, brązowe włosy, ostre rysy, jasne oczy... Potrząsnęła głową i sięgnęła po dzinsy. Nie powinna myśleć o Leonie. Był na Tahiti i maile pisał coraz rzadziej. A w Ystad został Ingvar i jeśli już, to właśnie o nim Anna powinna myśleć, choć pewnie zdążył się pozbiierać i zająć zwykłym życiem. Każdy zajął się zwykłym życiem i popadł w rutynę. Tak właśnie być powinno. Tylko ona tkwiła w zawieszaniu. Snuła się po weneckich placach i wzdłuż kanałów zupełnie bez celu. Udawała, że tego celu szuka, a przy okazji usiłowała zdefiniować siebie na nowo, po tym wszystkim, co utraciła. Tutaj była zupełnie sama. Zdana na łaskę wody, otoczona duchami Najjaśniejszej i starociami Lucrezii Doldano, u której zamieszkała z dnia na dzień.

Wszystko potoczyło się bardzo szybko. W święto Trzech Króli Anna i Lucrezia wpadły na siebie w niewielkiej uliczce nieopodal Canal Grande. Była szósta rano, Wenecję spowijała mgła, a chłód przenikał do kości. Uliczka wydawała się opustoszała i przeraźliwie cicha. Anna wzdrygnęła się, kiedy po raz pierwszy weszła między stare, przytulone do siebie kamienice. Oddech zamarzał w styczniowym powietrzu, a w oddali majaczyły mury budynku, który dobrze zapamiętała. Przyspieszyła kroku i wkrótce znalazła się u celu. Stała przed drzwiami prowadzącymi do pałacu Sofii Stiatesi. Nie potrafiła oszczędzić sobie widoku popielatych murów i okien zwieńczonych ostrymi łukami – a zresztą uznała, że i tak nie zdołałaby omijać tego miejsca z daleka. Należało zmierzyć się z własnym strachem i ze wspomnieniami. Złymi i dobrymi. To właśnie tutaj dowiedziała się o drugim życiu swojego męża i jego intymnej relacji ze znaną śpiewaczką, ale to także w tym miejscu spędziła czas z Lajonem i Lempi, którzy stali się wtedy dla niej bardzo ważni. Od dawnego przyjaciela z Helu i fińskiej gosposi otrzymała największą pomoc. I od Ingvara. A później? Zdecydowała się wyjechać, odciąć od świata, który znała, i zmierzyć z samą sobą. Była jednak słabsza niż sądziła. Widok pałacu Sofii odebrał jej oddech. Stała przed wejściem i nerwowymi haustami łapała powietrze. Osunęła się na kolana i spuściła głowę. Nie potrafiła się rozplakać, choć bardzo tego chciała. Marzyła, by poczuć ulgę.

– Wszystko w porządku? – Lucrezia wyrosła przed nią nagle, wyłoniła się z mgły jak zjawą. – Pomogę pani.

Anna zrozumiała tę prostą wypowiedź, choć przecież nie znała włoskiego. Pozwoliła podnieść się z kolan. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że kurczowo ścisnęła Lucrezię za łokieć, jak gdyby bała się wypuścić z rąk jedyny punkt zaczepienia. Włoszka uśmiechnęła się i odezwała znowu, tym razem po angielsku:

– Nie jesteś stąd. Turystka?

- Coś w tym stylu.
- Chodź, zrobię ci gorącą kawę. Mieszkam niedaleko. Jestem Lucrezia Doldano.
- Anna Lindholm.
- Szwedka?
- Tak... Szwedka.

Odeszły w kierunku Rialto. Anna rzuciła ostatnie spojrzenie na pałac, Lucrezia zaś niepewnie zerknęła na wodę. I... Tak, Anna mogłaby przysiąc, że Włoszka pobladła.

Lucrezia Doldano prowadziła niewielki antykwariat w dzielnicy San Polo. Annę już od progu zachwyciło nie tylko samo wnętrze, ale i zbiory – meble, obrazy, książki, bibeloty, maski, a nawet biżuteria. Przesunęła dłonią po zabytkowej komodzie.

– Biedermeier?

Lucrezia przyjrzała się jej uważnie.

– Skąd wiesz?

– Jestem renowatorką mebli. Chwilowo na urlopie – odrzekła z nikłym uśmiechem i pochyliła się nad biurkiem wykonanym w stylu kolonialnym, choć z pewnością dużo młodszym.

Lucrezia miała imponujące zbiory, ale panował wśród nich chaos. Dlaczego jej antykwariat mieścił się tutaj, w zaułkach San Polo, a nie gdzieś w pobliżu San Marco?

– Gdzie się zatrzymałaś? W hotelu? Po tej stronie laguny? – zapytała Włoszka, nie spuszczając Anny z oka.

– Na razie na trzy dni, później chyba przeniosę się do Mestre. Chciałabym pozwiedzać, pobycć tutaj, ale w hotelach...

– Wiem, zdzierstwo.

Anna kiwnęła głową i z wdzięcznością przyjęła od Lucrezii filiżankę z kawą. Właściwie mogła sobie pozwolić na hotel w historycznej części Wenecji – zakłady meblarskie w Sztokholmie i Ystad, których była właścicielką, przynosiły niezły zysk – ale czuła się trochę jak darmozjad, kiedy tak prostu spała w codziennie zmienianej pościeli, wracała wieczorami do lśniącego czystością pokoju, jadła idealnie skomponowane posiłki i piła równie doskonałe wino, choć nigdy za nim nie przepadała. W domu, w Ystad, większość obowiązków także wykonywała za nią gospodyni, ale tam przynajmniej Anna „pracowała”. O poranku zasiadała do biurka i wdziewała maskę przedsiębiorczej bizneswoman, dobrej szefowej, mózgu skomplikowanej organizacji i znawczyni branży meblarskiej. Maskę, bo przecież to nie była ona, prawdziwa Anna, która kiedyś, dawno temu, pracowała w policji i należała do zupełnie innego świata.

– Mogę ci wynająć pokój – odezwała się nagle antykwariuszka.

– Słucham? – Anna nie wiedziała, czy przypadkiem się nie przesłyszała.

– Mogę ci wynająć pokój. Wezmę mniej niż płacisz za hotel, a, szczerze mówiąc, przyda mi się niewielki, dodatkowy dochód. Z interesami jest różnie, dom stary, często coś się psuje, ciągle jakieś powódzie. Poza tym prowadzę antykwariat od niedawna. W marcu będzie rok. Nie wszystko jeszcze potrafię ogarnąć, podjęłam kilka złych decyzji...

– Mówiłaś, że to rodzinny biznes – zdziwiła się Anna.

– Tak, ale pierwotnie moja siostra miała go odziedziczyć. Przygotowywała się do tego. Niestety zachorowała i... Długa historia. A ty? Czego szukałaś pod tamtym pałacem? Stoi pusty, kupiła go jakaś śpiewaczka, ale miała chyba wypadek czy coś. I od tamtej pory nikt się jeszcze na niego nie zdecydował. Trzeba mieć forszę, żeby sobie pozwolić na nieruchomość w tej części Wenecji. No? Czego szukałaś?

– Długa historia.

Włoszka uśmiechnęła się i pokiwała głową. Więcej już o tym nie rozmawiały. Pasowały do siebie. Każda nosiła w sobie historię, o której ani nie potrafiła zapomnieć, ani nie chciała mówić. Jeszcze tego samego dnia Anna przeniosła swoje rzeczy z hotelu do domu Lucrezii w San Polo. Zajęła niewielki pokój na parterze, z wykrzywionym przez wilgoć parkietem i oknem wychodzącym na wąski kanał. To miejsce wydało jej się idealne.

Rozdział 2

Lucrezia Doldano myślała o powodzi, antykwariacie i Annie Lindholm. W powietrzu wciąż unosił się zapach kawy, którą jej zrobiła. Był też kot. Lucrezia z niechęcią spojrzała na wychudzoną kulkę, która nie bardzo wiedziała, co ze sobą zrobić. Dlaczego Lindholm uratowała kota? W jej zachowaniu było coś dziwnego. Nie dało się do końca zrozumieć tej pokręconej Szwedki. Potrafiła milczeć przez kilka dni z rzędu, snuć się samotnie po Wenecji, gapić w ścianę, czytać książki, w skupieniu pracować w antykwariacie, a później nagle stawała się gadatliwa, radosna, pełna energii, pływała po ryby na targ, polerowała jakieś stare szafki... Kim ona była? To pytanie wciąż dręczyło Lucrezię. Powinna wpisać jej nazwisko do wyszukiwarki. Zerknąć na Facebooka.

Tak postanowiła zrobić. Miała trochę czasu. Anna z pewnością zabłądzi w drodze powrotnej z Ospedale Civile, bo ciągle się gubiła. A przecież pójdzie piechotą. Nie pozwoli się odwieźć, nie wsiądzie też do *vaporetto* ani nie wezwie taksówki. Lubiła komplikować sobie życie. I coś... było z nią nie tak.

Lucrezia otworzyła laptop. Znalazła w internecie informacje o Annie Lindholm. Dlaczego nie poszukała ich wcześniej? Większość artykułów napisano w języku szwedzkim. Jednak dzięki translatorowi zrozumiała część z nich, choć tłumaczenie pozostawiało wiele do życzenia. Jeden akapit przeczytała trzy razy. I wreszcie zadała sobie samej pytanie.

Czy popełniła błąd?

Komisarz Antonio Valli spodziewał się powodzi. Lubił, kiedy pojawiała się *acqua alta*, i czuł się z tym fatalnie. Starał się nie uśmiechać, kiedy brnął po kolana w wodzie przez Santa Croce. A zresztą – uśmiech komisarza przypominał raczej krzywienie się i należało go traktować umownie. *Acqua alta* sprawiała, że Valli czuł się w Wenecji mocniej zakotwiczony. Wysoka woda była nieodłączną częścią jego życia tutaj, a zarazem dookreślała to miasto – inne niż wszystkie na świecie. Poza tym podczas powodzi zawsze robiło się ponuro i smutno, co idealnie harmonizowało ze stanem ducha komisarza.

Kiedy wkroczył na swoją ulubioną Riva degli Schiavoni i wbił wzrok w tafłę laguny, przez chwilę poczuł się prawie dobrze. Zatrzymał się, wziął głęboki wdech. Zapach Wenecji sprawiał mu przyjemność. I mgła. I ta zielona woda. Widok podtopionych, kawiarnianych stolików. Bezpański kot szukający kawałka kamienia, na którym mógłby przysiąść. Piekarz z Castello ze skrzynką chleba. Para turystów w foliowych ochraniaczach na butach. Zaspany gondolier. Giudecca po drugiej stronie laguny, wyłaniająca się z szarych obłoków, nierzeczywista, o zatartych konturach. Chłód poranka. Valli wiedział, że pod warstwą złotej skorupy Wenecja kryje dość paskudne wnętrza kapryśnej damy. Że panuje tu korupcja, liczą się układy i układziki, a przestępczość zorganizowana kwitnie. A jednak tego poranka

wiele zjawisk sprawiało mu przyjemność. Nie chciał jej. Nie zjawił się w Wenecji po to, by szukać przyjemności.

Valli zmarszczył brwi, jak gdyby dobre emocje sprawiały mu ból. Podjął przerwana wędrówkę w stronę komendy. Pod jesienny wełniany płaszcz włożył tylko koszulkę i przemarzył na kość. Woda wlała mu się do kaloszy. Nie pierwszy raz.

Komisarz ziewnął i nabrał ochoty na drugą kawę, mocniejszą od pierwszej. W nocy niewiele spał. Wrócił na komendę i zajrzał do szuflady. Wyjął teczkę i zabrał ją do domu. A później czytał książkę o przygodach Ture Sventona, na przemian z kopią starych akt. Okłamał Stefana, okłamał siebie. Nie potrafił odpuścić. Podczas lektury wracał wciąż do tych samych punktów.

Dlaczego ten gnojek nigdy nie nauczył się pływać i tak głupio utonął?

Czy w Padwie można było jeszcze coś odkryć na temat jego przeszłości?

Czy chłopak miał coś wspólnego z padewskim kioskarzem, który zaginął trzy lata temu?

Co naprawdę łączyło go z tymi dwiema kobietami? Z jedną, która zachorowała i umarła. I z drugą.

Antykwariuszką?

– Podsumowując, wszystko gra! Biodro jest całe. Proszę odpoczywać i uważać na siebie. I dobrze się odżywiać, anemia to nie jest coś, co można lekceważyć. Dobrze, że pobraliśmy krew. *Arrivederla!*

Anna przez chwilę wpatrywała się tępo w twarz lekarza, który zbadał ją w Ospedale Civile, po czym skinęła głową i wstała z krzesła.

– Czyli nie rąbnęłam się w czaszkę? – upewniła się jeszcze.

– Tylko, za przeproszeniem, w tyłek. – Lekarz uśmiechnął się. Miał szpakowate włosy, jak Vidar. Anna poczuła znajomy ucisk w gardle.

– A te zawroty?

– Zmęczenie, nerwy, no i ten... No... Kiedy próbowała pani zdjąć z futryny tego kota, ręce były długo uniesione nad głową, co mogło również spowodować zawroty. Wielu ludzi tak ma. Moja matka, na przykład, w ogóle nie może wieszać firanek.

Oczywiście. Gdyby Anna od czasu do czasu zajmowała się takimi czynnościami, jak wieszanie firanek, z pewnością również wiedziałaby, czy ma podobny problem. Ale przecież w Ystad firanki zawsze wieszała Lempi.

– A poza tym... – Lekarz również uniósł się z fotela, by odprowadzić pacjentkę do drzwi. – Nic pani nie jadła i od świtu walczyła z wysoką wodą. Chwila! Pani nadal jest na czczo. Może coś przynieść? Albo zjemy razem?

Odmówiła. Jeszcze tego brakowało, żeby jadła śniadanie w towarzystwie tak podobnego do Vidara lekarza, ubrana w czerwoną bluzę Lucrezii i gumiaci. To nie był dobry czas na randkowanie – wokół szalała powódź, a Anna czuła się jak wrak człowieka, w dodatku niezbyt zdrowy na umyśle. I chyba na ciele, skoro mężczyzna wspomniał o anemii. Kiedyś ktoś już mówił jej o anemii – w Helu, zdaje się, po tym, jak zachorowała na zapalenie płuc i leżała trzy dni w szpitalu. Vidar już wtedy nie żył... Anna gwałtownie zamrugnęła, nie zdążyła jednak zatrzymać łez. Ukryła twarz w dłoniach i pomyślała, że ten wrak człowieka to żadna cholerna metafora. A w policji uczono ich przecież o różnego rodzaju traumach,

o opóźnionej reakcji człowieka na szok, o procesach zachodzących w organizmie nawet kilka miesięcy po dramatycznych wydarzeniach. Czy to się właśnie teraz działo? Dlaczego akurat tutaj?

– Pani źle się czuje, proszę usiąść, przyniosę wodę...

– Nie, dziękuję, już dobrze.

– Nie powinna pani wychodzić!

– Już dobrze.

Wybiegła na korytarz, zanim lekarz zdążył zareagować. Wołał coś jeszcze, ale już go nie słuchała. Mimo że nadal kręciło jej się w głowie, a stłuczone biodro dopiero teraz zaczęło naprawdę boleć, w mgnieniu oka pokonała korytarze Ospedale Civile i znalazła się na parterze, gdzie w korytarzu wciąż jeszcze pracowały pompy. Tu i ówdzie uwijał się personel, pracownicy wybierający wodę wiadrami. Anna wyszła na zewnątrz i zatrzęsała się z zimna. Włożyła puchową kurtkę i z powątpiewaniem spojrzała na swoje kalosze. Jeśli zamierzała zostać w Wenecji choć jeden dzień dłużej, musiała zainwestować w lepszy sprzęt. Cały karnawał zapowiadał się w tym roku deszczowo, a przecież nie była jeszcze gotowa stąd wyjechać i wrócić do domu. Rozejrzała się w poszukiwaniu jakiegoś transportu, ale po chwili uznała, że nie ma zamiaru wzywać taksówki wodnej. Gdyby zaś zdecydowała się płynąć *vaporetto*, dotarłaby do domu okrężną drogą, przez Cannaregio do Riva di Biasio. A przecież z Ospedale Civile na San Polo nie było wcale daleko, kilka kroków w stronę Rialto i później już rzut beretem. Anna postanowiła iść pieszo, nawet w swoich kiepskich kaloszach. Ruszyła przed siebie i tylko raz obejrzała się przez ramię. Ospedale Civile – bardziej przypominający pałac niż szpital – wyrastał wprost z wody, jak we śnie. Anna zatrzymała się, wyciągnęła z torby telefon i zrobiła zdjęcie, które następnie przesłała Lajonowi. „Na pewno zrobiłbyś milion lepszych fotek. Powinieneś tu przyjechać :)”, dopisała, po czym skierowała się w stronę Rialto.

Gondoliera zobaczyła przy moście San Toma, który ledwie wystawał ponad powierzchnię wody. Mężczyzna właśnie próbował zawrócić swoją łódź, zorientowawszy się zapewne, że tędy nie przepłynie. Zaparł się dłońmi o ścianę domu Carla Goldoniego i przez chwilę wyprawiał w wąskim kanale takie czary, że Anna przyglądała mu się z zapartym tchem. W pobliżu niknącego pod wodą San Toma nie było niemal nikogo. Kilka głów pokazało się w oknach i natychmiast zniknęło, a w ich miejsce pojawiły się następne. Wreszcie ktoś krzyknął:

– *È lui!*

„To on”. Oczywiście, że to był on, ten dziwny gondolier w czerwonej kurtce z kapturem, gondolier-widmo o różnych przydomkach, który przemierzał weneckie kanały w swojej prywatnej gondoli – ponoć bardzo starej – i nigdy nie pokazywał twarzy ani nie brał pasażerów. Jak twierdzili prawdziwi gondolierzy, zrzeszeni w lokalnym kółku wzajemnej adoracji, nie miał licencji i działał nielegalnie. Anna nie bardzo rozumiała dlaczego. Skoro nikogo nie przewoził na pokładzie swojej łodzi za pieniądze, mógł sobie chyba pływać po kanałach? Przedstawiciele stowarzyszenia gondolierów rozumowali inaczej. Czatowali na chłopaka w kapturze, ale ten – choć nie tak biegły w sztuce wiosłowania jak tutejsi zawodowcy – zawsze potrafił przed nimi zbiec. Gondolier pokazywał się rzadko i najwyraźniej miał swoje stałe trasy, ale wszędzie po kątach już o nim szeptano. Mówiono, że po raz pierwszy pojawił się na Canal Grande w połowie grudnia, a później dawał o sobie znać nie częściej niż co tydzień. Nikt nie wiedział, kim był, jak trafił do Wenecji, gdzie nauczył się tak dobrze panować nad łodzią ani też... skąd wziął gondolę. To był chyba najbardziej interesujący element legendy czerwonego wioślarza. W Wenecji, o ile Anna zdążyła się zorientować, funkcjonowały tylko trzy warsztaty, w których wytwarzano gondole, a właściciele każdego zaprzeczali, jakoby łódź wykonano u nich. Gdzie ją zatem wyprodukowano? I po co? Annę intrygował ten mężczyzna. Miała wrażenie, że jego „przemarsz” przez weneckie kanały był pewnego rodzaju manifestacją, apelem skierowanym do konkretnych odbiorców. Nie wiedziała jednak,

jaki cel przyświecał gondolierowi, ani też co jeszcze zamierzał zrobić. Poza tym miała w związku z nim dziwne przeczucie. Złe. Podobne przeczucia osiągały ją już wcześniej, kiedy pracowała w policji.

– *È lui!* – wykrzyknął ktoś znowu, tym razem nie z okna.

Anna zauważyła u wylotu kanału dwóch mężczyzn, którzy brnęli przez chodnik po kolana w wodzie. Gondolier-widmo zdążył się już odpowiednio ustawić i zaczął energicznie pracować wiosłem. Obejrzał się za siebie na chwilę i Anna miała wrażenie, że zatrzymał na niej wzrok. Ale tego nie mogła być pewna, duży czerwony kaptur ukrywał twarz mężczyzny wyjątkowo skutecznie. Znajdowała się też zbyt daleko, by przyjrzeć mu się uważnie. Kiedy dwaj panowie w kaloszach zbliżyli się do Anny, gondolier zdążył już zniknąć z pola widzenia.

Tak, ten człowiek bardzo ją ciekawił.

Do domu Lucrezii Anna dotarła zziębnięta, przemoczona i głodna jak wilk. Włoszkę znalazła na parterze, w antykwariacie, pochyloną nad kartonem z książkami. Pomieszczenie wypełniał zapach kawy i słodkiego pieczywa. Jedno i drugie z pewnością nie spodobałoby się Ingvarowi. Anna mogła z łatwością wyobrazić sobie jego zde gustowaną minę i komentarz w stylu: „Rano powinnaś wypić zieloną herbatę i zjeść coś z błonnikiem, musli albo pełnoziarnisty chleb, i jeszcze jakiś owoc, żeby dostarczyć organizmowi witaminę C i enzymy trawienne. To właśnie stąd ta anemia, Ana, przez kawę i słodkie bułki!”. Ingvar miałby rację. Prawie zawsze miał rację i to było właśnie jego największą wadą. Ciekawe, co teraz porabiał? Może szykował śniadanie? Może nie tylko dla siebie? Anna zacisnęła dłoń w pięści. Dość już miała wszystkich tych wspomnień, domysłów, dywagacji. Musiała się czymś zająć i to szybko. Byle tylko przestać myśleć.

– Widziałam czerwonego gondoliera – zaszczębiotała z udawaną wesołością i zrzuciła kalosze.

Lucrezia powoli odwróciła głowę w jej stronę. Nawet nie starała się udawać wesołej.

– Gdzie ty łazisz?!

– Co?

– Myślałam, że znowu coś się stało, że może tym razem już utopiłaś się na amen albo nie wiem...

– Oszalałaś? O czym ty mówisz? – Anna zamachała mokrą skarpetką, jak gdyby to była szabla.

– Dzwonił lekarz ze szpitala, mówił, że mu uciekłaś z gabinetu i dokądś polazłaś. Dwie godziny temu!

– Ile?

– Dwie, idiotko.

Anna umilkła. Czyżby rzeczywiście szła aż tak długo? Przecież uznała, że na San Polo było blisko. I pewnie rzeczywiście było, ale jeśli umyślnie szła naokoło, włąziła w każdą uliczkę, przyglądała się podtopionym mostom, wyłaniającym się z wody pałacom i facetom w czerwonych kurtkach, którzy ewidentnie coś kombinowali, to faktycznie mogły jej zejść ze dwie godziny...

– Co ty się tak nagle o mnie martwisz? – zaryzykowała, ale z marnym skutkiem.

Lucrezia zmrużyła oczy i podparła się pod boki.

– Ty mi tu nie odwracaj kota ogonem! A skoro już o kocie mowa...

Wenecjanka spojrzała na Annę oskarżycielsko i wyciągnęła swój długi, smukły palec w kierunku kartonu z książkami. W antykwariacie zapadła cisza, którą przerwało pojedyncze „miau”. Anna przełknęła ślinę. U Alaina Mabanckou przeczytała, że kiedy mędrzec wskazuje księżyc, głupi patrzy na palec. Intuicja podpowiadała jej jednak, iż tym razem nie o księżyc chodziło, a coś o wiele bardziej kłopotliwego. Ruszyła się z miejsca i, wciąż z mokrymi skarpetkami w rękę, podeszła do kartonu. W środku dostrzegła zabytkowe wydanie *Sagi rodu Forsyte’ów* Galsworthy’ego, a poza tym jeszcze „swojego” kota i... niewielką plamę, z pewnością również przez „jej” kota zmajstrowaną.

– Miau – skomentował sytuację zwierz i wlepił w nią zielone ślepie.

– Masz na niego jakiś pomysł? – zapytała słabym głosem Lucrezia i westchnęła. – Jak rozumiem, nie puścimy go wolno, by mógł odnaleźć mamę i tatę?

Anna wyciągnęła futrzaka z kartonu i przytrzymała przez chwilę na rękach.

– Coś ty? Na pewno pochodził z patologicznej rodziny, skoro mu pozwalali po obcych gzymsach i futrynach ganiać samemu.

– No. – Lucrezia ziewnęła. – Wszystkie dachowce to sama patologia. Trzeba wywietrzyć Forsyte'ów i znaleźć im nowy karton. Dobrze, że się na nich nie wysikał.

Rozdział 3

W Palazzo Marconi nad kanałem San Zulian panowało tego dnia zamieszanie. Luigi Marconi krzyczał na wszystkich i przemieszczał się z miejsca na miejsce zły jak osa, jego żona zasłoniła twarz maską obojętności, a Roberto Capelli – nieświadomie chyba – darł na małe kawałeczki rachunek z supermarketu w Mestre. Stefania Massimo nie wiedziała, po co została tutaj wezwana. Miała mnóstwo pracy w salonie jubilerskim i nie zdążyła jeszcze przetłumaczyć dokumentów z francuskiego na włoski, co powinna zrobić już dawno temu. Zjawiała się jednak w Palazzo Marconi po pierwszym telefonie szefa. Wśliznęła się cicho do gabinetu i zamknęła za sobą drzwi. Marconi rzucił w nią jakimś papierem.

– Co to? – zdziwiła się, zerkając w dokument.

– Artysta kopnął w kalendarz.

Luigi Marconi opadł na krzesło, a Stefania wreszcie zrozumiała. Artysta nie żył. Ten, który miał przygotować kukłę na bal. Bezsensowną kukłę, zdaniem Stefanii. Nigdy jednak nie powiedziała tego na głos. Domyślała się, że teraz szef przydzieli jej nowe zadanie, bo przecież była specjalistką do spraw beznadziejnych. A poza tym nie potrafiła odmówić Marconiemu. Bała się mu sprzeciwić? Stefania uniosła głowę i zerknęła w stronę okna, na ciężkie kotary zwisające z sufitu, po czym utkwiła wzrok we fragmencie podłogi pod parapetem. Dawno nie była w tym gabinecie. Szef zarejestrował jej spojrzenie. Dłonie miała już lepkie od potu i czuła swędzenie za uszami. Zawsze tak było, kiedy się denerwowała. Powoli odłożyła dokument na stolik.

– I co teraz? – spytała.

Niech zleci to Capellemu, modliła się w duchu. Choć pracowała dla Marconiego już od czterech lat, wciąż nie rozumiała, jaką funkcję spełniał w ich domu Roberto Capelli. Niektórzy mówili o nim asystent, inni księgowy, a jeszcze inni asystent-księgowy i to było chyba najczęstsze określenie. Zawsze występowało obok jej nazwiska. Livii Foscari. Roberto Capelli, asystent-księgowy Livii Foscari, żony Marconiego. Stefania domyślała się, że był po prostu jakimś jej sługusem, biegał na pocztę, przekładał papiery, woził szefową z miejsca na miejsce i opiekował się wiolonczelą, na której z zapałem grała. Czy miał w ogóle ustalony zakres obowiązków? Czy nadawał się do załatwiania spraw beznadziejnych i ugłaskiwania „trudnych” ludzi? Stefania się nadawała. A poza tym Capelli z pewnością nie wiedział tego, co wiedziała ona.

Teraz jednak...

– Dzwonili Francuzi, mówili, że dawno już powinniśmy się odnieść do umowy na tę nową kolekcję – zaryzykowała. Francuzi wcale nie dzwonili.

– Kurwa – skwitował Marconi.

Spuścił z tonu. Stefania odrobinę odetchnęła, ale na ulgę było jeszcze za wcześnie. Wiedziała, że zależało mu na Francuzach i na nowym kontrakcie. Jubilerskie macki Marconiego sięgały póki co tylko do Padwy, Werony i Florencji, a teraz pojawiała się szansa na Paryż. Grzechem byłoby pokpić sprawę.

– No ale widzisz, trzeba by po niemiecku... – podjął szef.

Spojrzała mu w oczy. Oczywiście wiedziała, że tę głupią kukłę, z głupią kiecką i głupią peruką, przeznaczoną na głupi bal, sprowadzali z Austrii, od jakiegoś faceta, który stylizował swoje pseudodzieła na rzeźby Duane’a Hansona. Ale przecież wcześniej ktoś im pomógł to załatwić. Gdzie teraz był?

– Co się stało z osobą, która nagrała wam tego Austriaka i się z nim dogadywała? – zapytała. Wkurzali ją.

Livia Foscari chrząknęła. Przyłożyła dłoń do skroni i zrobiła zbolaną minę. Jak zwykle.

– Roberto znalazł Austriaka, a ja się z nim osobiście dogadałam – przemówiła. – Znam niemiecki – oświadczyła z godnością.

Znała, pewnie. Arystokratka. Prawdziwa, z depresją i nerwicą, jak za dawnych, dobrych, feudalnych lat. Dlaczego nie porozmawia z Austriakami teraz? Mają chyba w tym warsztacie jakiegoś dyżurnego artystę na zastępstwo? Niech dokończy dzieło poprzednika.

Livia Foscari czytała Stefaniu w myślach.

– Nie mogę teraz tam pojechać. Muszę się zająć sprawami balu. Nadchodzi karnawał, mam zobowiązania towarzyskie i pracę w fundacji. Jestem zajęta. To chyba oczywiste.

Stefania zacisnęła zęby. Jej zdaniem Livia Foscari rzadko zajmowała się czymś naprawdę. A teraz jeszcze wymyśliła sobie ten durny bal z rytualnym paleniem kukły symbolizującej karnawał. Marconi uznał, że to genialny plan, oczywiście! To było w jego stylu. Pompa, spektakl, przepych. Stefania nerwowo splótła palce, by nie zacząć drapać się za uszami. Miała ochotę rzucić tę pracę, ale Marconi dobrze płacił. Powinna przemęczyć się z nim jeszcze kilka lat, a później każde drzwi staną przed nią otworem. Poza tym Marconi dawał jej wysoką premię za każdy drobiazg, odkąd...

„Może warto zaryzykować?“, pomyślała. Zerknęła lekceważąco na Livię Foscari, a później spojrzała na swojego szefa. Jemu patrzyła w oczy dłużej, po czym przeniosła wzrok na fragment podłogi pod parapetem. Zrobiła to bardzo wyraźnie, powoli, teatralnie. Zrozumiał. Zbladł. Stało się. Zaryzykowała. Wolała skupić się na Francuzach i nowym kontrakcie. Może ktoś by ją w Paryżu zauważył? Nie chciała jeździć do Austrii, miała gdzieś kukły. Bogatym ludziom musi się okropnie nudzić.

Marconi wstał z krzesła i chwycił szklankę z wodą. Dłoń mu drżała.

– Kogoś znajdziemy – powiedział.

– Ale mówiłeś, że Stefania... – zaczęła zaskoczona Livia.

– Stefania ma na głowie Francuzów. Powiniennem o tym pamiętać. Niepotrzebnie przysłała. Nic się nie martw, wszystko załatwię. Będzie lalka. Przecież informacja do gazet i zaproszenia już poszły. Nie można się wycofać.

Livia Foscari była wściekła. Roberto Capelli siedział sztywno na sofie, prawie nie mrugał. Stefania czuła, że skóra za uszami swędzi ją coraz bardziej. Bluzka przylgnęła do spoconych pleców. Czy dobrze postąpiła? I ten Capelli... Czy...? Nie, on nic nie wiedział.

– Wracaj na Calle Fiubera – mruknął szef. Unikał jej wzroku.

Stefania ruszyła ku drzwiom. Nie postąpiła dobrze.

Gazetę przyniósł mu Stefano. Valli odsunął od siebie resztki suchego rogała, którego pogryzał podczas papierkowej roboty. Młody wskazał palcem ogłoszenie. Komisarz przeczytał je i uśmiechnął się półgębkiem. „Wenecka arystokracja to jednak banda popaprańców”, pomyślał. Chociaż ten Marconi nie był arystokratą, tylko zwykłym gościem, który się dorobił i wzenił w Foscariach. Malowanych. Nie tych od doży. Ale zawsze coś.

Antonio Valli rzucił gazetę na biurko i zaczął na powrót skubać rogala. Dość miał papierów. Tego dnia jednak żadna wymówka, by wymknąć się z komendy, nie wydawała się sensowna. Zastanawiał się nawet, czy by nie wlepić kilku mandatów turystom za karmienie gołębi na Piazza San Marco. Zawsze wtedy bardzo się dziwią i robią zabawne miny. „Really? We’re not allowed to feed them?”. „Really, really”, odpowiadali policjanci i wskazywali jedną ze stu tabliczek, na których wypisano zakaz. W kilku językach. Valli porzucił jednak pomysł wlepiania mandatów za gołębie. To było przecież bez sensu, pracował w wydziale śledczym. Po rogala do piekarni też nie miał co iść, bo jednego kupiła mu już asystentka zastępcy komendanta. Zawsze dokarmiła komisarza, ale dzisiaj mogłaby sobie odpuścić.

– Idziemy, szefie?

Głos Stefana przywrócił mu nadzieję. Czyżby jakieś zgłoszenie? Może ten dziwny gondolier w kapturze wreszcie wyskoczył z czymś konkretnym? Stowarzyszenie gondolierów skarżyło się na niego już od kilku tygodni, że psuje im wizerunek, krzywo trzyma wiosło, zdarza mu się zachwiać, nie śpiewa, rozkracza się. Nie zabiera turystów. I z pewnością nie ma licencji. Poza tym bez wątpienia ukradł tę gondolę, bo wszyscy szkutnicy weneccy się jej wypierają. I takie tam. Valli rozkładał bezradnie ręce. Mieli ścigać chłopaka, bo nie śpiewał i się rozkraczał? Niechby coś zrobił, spowodował jakiś korek w kanale, wywrócił się, wdał w bójkę na wiosła... Wtedy mieliby powód się ruszyć – a tak? Valli już widział stado mundurowych gotowych do ścigania cichociemnego wioślarza.

– Idziemy? Widzę, że szef byłby chętny – powtórzył Stefano.

– Dokąd?

– Na ten bal.

Valli oklapł. Z niechęcią spojrział na gazetę. No tak, ogłoszenie. Że bal u Marconiego, słynnego weneckiego jubilera, że karnawał, przebrania, atrakcje, muzyka, jedzenie. I co tam jeszcze? Ach tak. O północy rytualne palenie kukły symbolizującej karnawał. Jak za dawnych czasów na San Marco. „Gdzie oni zamierzają spalić tę całą kukłę?”, zastanawiał się Valli. Na balkonie? I jeszcze ten głupi pomysł z wejściówkami dla gości bez zaproszeń! Marconi powinien się stuknąć w swój durny łeb.

– Nudzi ci się? – mruknął do Stefana i wrócił do raportu.

– Jakoś nie. Ale potańczyć w masce i kubraku bym poszedł. W tamtym roku przez cały karnawał kazali mi siedzieć na komendzie i...

Stefano urwał i poczerwieniał. Valli udawał, że tego nie zauważył. Młody policjant rzeczywiście spędził ubiegłoroczny karnawał na komendzie. Razem z nim. Tyle tylko, że Valli zawsze zostawał w pracy na ochotnika podczas wszelkich miejskich imprez, a Stefana do tego zmuszono. W wydziale był najmłodszy stażem. A wszyscy przecież lubili zabawy z przebierankami i szkoda było którąś przepuścić.

– W tym roku pójdiesz na jakąś imprezę, nie martw się – wymamrotał komisarz, patrząc w komputer.

– Taa. Będzie, jak będzie. Co z topielcem? Serio szef odpuścił?

– Serio – skłamał Antonio Valli i nawet mu powieka nie drgnęła.

Acqua alta opadała wolno. Wciąż przykrywała chodniki, ulice i place, na których ustawiano drewniane pomosty, by ułatwić mieszkańcom i turystom przemieszczanie się. Poziom wody był już jednak na tyle niski, że spacer w dobrych kaloszach nie wydawał się uciążliwy. Karnawał zbliżał się wielkimi krokami

i wszyscy, zarówno miejscowi, jak i przyjezdni, zaczęli oswajać się z myślą, że do barokowych strojów na maskaradę będzie trzeba włożyć również to mało efektowne obuwie. Rodowici weneccjanie reagowali na sytuację ze stoickim spokojem, choć każdy pewnie po cichu tęsknił za ubiegłoroczną aurą, która towarzyszyła zabawom na San Marco i San Polo.

– W zeszłym roku nie dość, że było ciepło, to jeszcze w lutym w ogóle nie wylało. Każdy na imprezę wkładał eleganckie buciki, ludzi się zjechało, walentynki po drodze wypadły – gderała Lucrezia, ścierając kurz z półek w antykwariacie. – No ale to raczej ubiegły rok był wyjątkowy, a nie bieżący...

Anna tylko wzruszała ramionami lub kiwała głową i w milczeniu poszerzała swoją wiedzę na temat lokalnego folkloru. Wreszcie ze zdumieniem odkryła, że ona również wpadła w rutynę. Wstawała o świcie, piła z Lucrezią latte albo cappuccino, szła na krótki spacer przez Ruga Vecchia San Giovanni aż do wąziutkiej Calle della Madonna, w której czas się zatrzymał, i tam zawracała. Przecinała Campo San Polo, gdzie nieustraszeni właściciele restauracji i kawiarni z werwą ustawiali stoliki pod gołym niebem, choć także i tutaj woda wciąż sięgała do kostek. Anna lubiła ten plac, największy po San Marco, ale znacznie mniej nadęty, ze starą fontanną pośrodku, kilkoma drzewami, tak rzadkimi w Wenecji, i gotyckim pałacem rodziny Soranzo. O świcie miała tę przestrzeń prawie wyłącznie dla siebie. Dzieliła ją jedynie z restauratorami i sklepikarzami, przygotowującymi się do pracy, a także z posuniętymi w latach mieszkańcami Serenissimy, którzy wyprowadzali na spacer swoje psy albo też rozkoszowali się ciszą poranka, krótką i ulotną jak ostatnie minuty snu. Momentami Anna również czuła się częścią tego świata, zwłaszcza kiedy dźwigała torbę z zakupami, wypchaną słodkim śniadaniowym pieczywem, mlekiem i makaronem na obiad. I kiedy jakiś mieszkaniec machał jej ręką na powitanie lub wołał *buongiorno*. Gdy uśmiechał się na widok ciężkiego płaszcza i wysokich kaloszy tej bladej *straniery*, która najwyraźniej zdecydowała się zadomowić w Wenecji, choć przecież młodzi raczej stąd wyjeżdżają. Szukają szczęścia na lądzie, gdzieś, gdzie jest sucho i pewnie. Czy tak właśnie myśleli o Annie weneccjanie? A może rzucali swoje *buongiorno* z litości, bo widzieli, że choć się uśmiechała, jej oczy pozostawały smutne? Może też nie myśleli zupełnie nic, a ich *buongiorno* stanowiło zwykłe poranne pozdrowienie, niepodszyte żadną filozofią? Z pewnością tak właśnie było. A jednak tutaj, o świcie na Campo San Polo, z zakupami i w kaloszach, Anna wreszcie czuła się „jakaś”.

Niekiedy zamiast spaceru wybierała przejażdżkę łódką. Płynęła wówczas Rio de San Aponal i Rio Beccarie aż do Canal Grande, cumowała łódź przy Campo della Pescheria i szła na bazar Rialto, gdzie kupowała warzywa i ryby, zwłaszcza swoje ulubione sole. Wracała później z tymi zdobyczami do domu Lucrezii, z każdym dniem coraz bardziej zdziwiona faktem, że przykry zapach ryb i wody, która w wąskich kanałach była zwyczajnie brudna, przestał jej w ogóle przeszkadzać.

Do późnych godzin popołudniowych pomagała Lucrezii w antykwariacie. Szybko zorientowała się, że Włoszka nie tyle słabo zna się na zabytkowych meblach, co po prostu nie zna się na nich w ogóle. Całkiem nieźle szło jej za to z książkami i obrazami, porcelaną i weneckimi pamiątkami, zwłaszcza maskami. Któregoś dnia Anna parsknęła śmiechem, kiedy jakiś podejrzany nieznajomy chciał wcisnąć Lucrezii „francuskie komódki w stylu późnego *empire*”. Fakt, nie żądał za nie wygórowanej ceny, ale komódki były warte jeszcze mniej niż sobie zażyczył. Wreszcie podejrzany sprzedawca skapitulował i przyznał, że to „żadne *empire*, tylko podróbki z dwudziestego wieku, ale przecież całkiem udane, przyznają panie”. Może i tak, jednak Anna uprzejmie, choć stanowczo nakazała facetowi „zabierać dupę w troki razem ze swoimi całkiem udanymi francuskimi komódkami i nigdy więcej nie pokazywać się z podobnym szajsem”. Lucrezii zaś powiedziała, że powinna albo całkiem zrezygnować z mebli, albo co nieco się w tej materii doksztąpić, inaczej pójdzie z torbami. Lucrezia przyznała Annie rację, choć odtąd patrzyła na nią nieco podejrzliwie.

Pewnego dnia, kiedy Anna wróciła z targu Rialto, Włoszka oświadczyła z poważną miną:

– Wpisałam cię w Google’a.

Anna ostrożnie ustawiła torby z zakupami w korytarzu i zaczęła wyplątywać się z płaszczem. Oczywiście, że Lucrezia sprawdziła ją w internecie, to musiało kiedyś nastąpić. Tylko czego zdołała się dowiedzieć? Czy doczytała wszystko do końca, poszperała w artykułach, znalazła informacje o policyjnej przeszłości Anny i... Lidce? Przez pewien czas dziennikarzy szwedzkich obowiązywała blokada na informacje związane z komisariatem w Ystad, śmiercią Sofii Stiatesi, śmiercią Vidara i marką „Lindholm”. Później jednak worek się rozwiązał, w prasie i sieci pojawiło się kilka artykułów, a pewnego dnia Lempi musiała przegonić jakiegoś pismaka spod domu. Choć w Ystad nie było tak źle. Sytuacja wyglądała o wiele gorzej w Malmö, gdzie odbywał się proces Lidki. Dziennikarze byli podzieleni i wielu trzymało jej stronę. Inni chcieli chyba posłużyć się „Polką z Helu”, by ratować antysemitki wizerunek miasta, i domagali się „sprawiedliwej kary dla morderczyni, która nie tylko z zimną krwią zabiła jedną z najwspanialszych śpiewaczek naszych czasów, ale też genialnego szwedzkiego projektanta mebli”. „Żydowskiego pochodzenia”, dodawali. Anna przygryzała wargę. Lidka nie zamordowała przecież Vidara. Mówiła, że nic nie mogła zrobić. To nie była jej wina, tylko Brunona. Tak twierdziła. Czy kłamała? Anna wiedziała, że nigdy nie pozna prawdy, ale wierzyła Lidce. Choć nie mogła na nią patrzeć. Odwracała wzrok nawet wtedy, kiedy na zdjęcie siostry trafiała przypadkiem w gazecie lub sieci. Musiała przyznać, że na fotografiach Lidka sprawiała bardzo dobre wrażenie. Skromna, smutna, przeciętnej urody. Bezbarwna. Ofiara złego męża? Nie ona pierwsza.

Czy Lucrezia dotarła do informacji na temat Anny Lindholm z Ystad? A jeśli tak, to czy każe jej się natychmiast spakować i wynosić z domu przy Rio San Aponal? Annę zaskoczył własny strach. Nie sądziła, że aż tak bardzo przerazi ją konieczność wyprowadzenia się z ciasnego pokoiku z wykrzywionym przez wilgoć parkietem, a także konieczność opuszczenia antykwariatu i... Lucrezii. Do niej również zdążyła się już przywiązać. Być może nawet wbrew swojej woli.

– I co? – odezwała się wreszcie.

– I co?! – Lucrezia stanęła przed Anną i potrząsnęła ją za ramię. – Jeszcze pytasz? Czegoś mi ściemniała, że renowatorka, bla bla, że ze Szwecji, że meble, srotu tutu?

– No bo...

– Oj tam, lepiej mi wytłumacz, dlaczego siedzisz miesiąc w Wenecji, jak tam ci robota ucieka? Widziałam w internecie, że masz dwa warsztaty!

– I co jeszcze widziałaś? – zapytała z rezygnacją Anna. Ruszyła z zakupami na piętro, do kuchni. Lucrezia była raczej podekscytowana niż zła, a to dawało jakąś nadzieję.

– No już później to za wiele nie szukałam, bo mnie zamurowało, jak zobaczyłam waszą galerię. Co wy tam robicie, *mio Dio!* Kto ci teraz to prowadzi? Ty nadal jesteś właścicielką?

– Nadal jestem. Załatwiam trochę spraw przez telefon. Wszystkim zajmuje się dwóch menedżerów. Dają sobie radę. A w Ystad mam jeszcze zaufaną Lempi, która pilnuje tego, co trzeba. Wcześniej prowadziła nam dom. Mnie i... mojemu mężowi. Nadal to robi, ale odkryła w sobie jeszcze talent przywódczy. Dzwoni czasem, żeby się na mnie wydrzeć, a później wszystko i tak udaje jej się załatwić samej. Te warsztaty należały do mojego męża. Ja tylko tam pracowałam. Przez jakiś czas.

– Widziałam na waszej stronie – wtrąciła się Lucrezia. – Umarł, tak?

Anna w milczeniu skinęła głową. Walczyła, by się nie rozplakać i jednocześnie gorączkowo zastanawiała się nad tym, czy Lucrezia zdołała gdzieś uzupełnić swoją wiedzę na temat śmierci Vidara. Na stronie firmy nie podano wiadomości o morderstwie, ale internet był pojemny. Swego czasu nawet Lempi udało się znaleźć podstawowe wiadomości na temat komisarzy Lindholm i sprawy Narcyza. Teraz rewelacji było w sieci znacznie więcej, choć i tak doniesienia prasowe skupiały się głównie na

powiązanej z Lindholmami osobie Sofii Stiatesi. I dobrze. Dobrze dla Anny.

Lucrezia milczała przez chwilę, jak gdyby wahała się, co powinna teraz powiedzieć. Wreszcie wzięła głęboki wdech i przymknęła powieki. Annie wydawało się, że tamtej również chciało się płakać.

– Przykro mi – odezwała się Włoszka cicho. – Musiało ci być ciężko.

Czyżby jednak nie doczytała reszty? A może po prostu postanowiła pominąć ten temat?

– Było. Dlatego musiałam stamtąd wyjechać choć na trochę. A zresztą – tak szczerze to ja za bardzo nie znam się na prowadzeniu tych warsztatów. Udaję mądrą przed pracownikami, ale w gruncie rzeczy głupia jestem jak but. Żaden ze mnie przedsiębiorca. Znam się tylko na meblach.

Lucrezia wypuściła powietrze z płuc i lekko zapadła się w sobie. Zaczęła przyglądać się rybom z targu Rialto, choć wyglądały tak samo, jak zwykle. Anna zadrżała i potarła ramiona. To była nowa reakcja organiczna, którą u siebie zaobserwowała – uczucie chłodu w chwilach zdenerwowania. Lucrezia... Ona coś ukrywała.

– *Va bene!* – zawołała nagle antykwariuszka, jak gdyby ogłaszała kapitulację swojego królestwa.

– Co za *va bene*? Nie mów po włosku, bo nic nie rozumiem. Chcesz mi wyznać jakieś swoje grzeszki, to odzywaj się po ludzku, w mowie pruderyjnej królowej Wiktorii!

– Grzeszki nie, ale...

Włoszka zamachała rękoma. Anna odsunęła od siebie nieszczęsną martwą solę, której zapachem przesiąkła, i przyjrzała się Lucrezii z zainteresowaniem. Być może koleżanka uznała, że należy się zrewanżować własną ckliwą historią.

– Bo widzisz – odezwała się i zatoczyła wokół rękoma. – To nie był kiedyś antykwariat.

– A co?

– Taki sklepik ze starociami. I jeszcze jakieś tandetne pamiątki, tanie szmatki... Nic specjalnego. Ale interes zapoczątkował dziadek i mój ojciec postanowił go kontynuować, a po nim miała przejąć pałeczkę moja siostra. Mnie to w ogóle nie kręciło. Chciałam śpiewać...

– Śpiewać? – Anna znowu zadrżała. Naprawdę wszyscy musieli śpiewać? – Tylko mi nie mów, że w operze.

– Nie. Jazz... Wyjechałam z Wenecji, podróżowałam, uczyłam się, trochę chałturzyłam, sukces jakoś nie nadchodził, a pewnego dnia zadzwoniła Maria, moja siostra, i powiedziała, że jest ciężko chora. Wróciłam. Zająłam się nią. Kiedy już... było po wszystkim, uznałam, że nie będę sprzedawała domu i sklepu, tylko urządzę tutaj antykwariat. To było moje drugie marzenie po śpiewaniu. Porządny antykwariat, na poziomie, a nie jakiś tandetny sklepik. Ale prowadzenie antykwariatu wcale nie jest takie proste. Zwłaszcza w Wenecji. Jak już zdążyłaś zauważyć – zakończyła z goryczą i zaczęła wyłuskiwać solę z papieru.

Anna nie mogła się oprzeć wrażeniu, że historia Lucrezii i tajemniczego rodzinnego sklepiku zawiera jakieś luki, ale nie zamierzała na razie o nic pytać. Jej własna historia również zawierała luki, z czego Włoszka musiała także zdawać sobie sprawę.

– Mogę ci pomóc z meblami – zaproponowała nieśmiało. – Póki tu jestem. Czegoś się nauczysz, a później sama sobie poradzisz.

– Nie mogę ci zapłacić – mruknęła Lucrezia, nie odrywając wzroku od ryby.

– Usmaż mi tę solę i będziemy kwita. Ja zawsze przepalam.

– To już wiem.

Anna rzuciła w Lucrezię ścierką, po czym zbiegła na dół, do antykwariatu. Zegar wskazywał ósmą, a zatem do otwarcia została jeszcze cała godzina, którą postanowiła wykorzystać na kolejną przejażdżkę łodzią. Tego dnia wyjątkowo dobrze jej się wiosłowało. Kiedy kluczyła wzdłuż wąskich kanałów i raz po raz odbijała się od wilgotnych ścian kamienic, w oddali zauważyła znajomą sylwetkę. Gondolier

w czerwonej kurtce jak zwykle poruszał się szybko, sprawnie manipulował wiosłem, a jego głowę otulał kaptur. Anna podплыnęła do brzegu, chwyciła się balustrady i przez chwilę przyglądała mu się uważnie. W sylwetce wiosłarza nie dostrzegła niczego charakterystycznego. Dość szerokie ramiona, wąskie biodra, szczupłe nogi. Był drobny, figurę miał niemal chłopięcą, ale pospolitą. Z pewnością nie rozpoznałaby go bez tej kurtki i wiosła. Z zamyślenia wyrwał ją czyjś głos.

– *È lui* – powiedział starszy pan do starszej pani, która wspierała się na jego ramieniu. Wskazał brodą wiosłarza i cmoknął. Z dezaprobatą? Nie, chyba nie.

„To on”. Określenie, które zdawało się na stałe przylgnąć do czerwonego gondoliera. Anna rozejrzała się. W oknach ukazało się kilka zaspanych twarzy. Ktoś ziewał. Wenecja budziła się ze snu.

Rozdział 4

Cztery dni przed karnawałem Lucrezia Doldano miała wrażenie, że wszystko się ułożyło. Była bardzo miła dla Anny Lindholm, opowiedziała jej o śmierci swojej siostry, o śpiewaniu i przejęciu sklepu. Wspomniała o Google'u. O tym, że dowiedziała się o warsztatach meblarskich Anny i śmierci jej męża. Na temat reszty wolała się nie wypowiadać. Jeszcze. Większość artykułów, które znalazła w sieci, była napisana po szwedzku, Lucrezia mogła więc zgrywać głupią. Nie знаła szwedzkiego. A kilka informacji po włosku i niemiecku na temat Sofii Stiatesi dotyczyło Anny tylko pośrednio, równie dobrze mogła więc uznać je za mało istotne. Lucrezia wolała udawać niewiedzę i być miła. Chciała, by Szwedka czuła się tu dobrze i bezpiecznie. Zwlekała z przekazaniem jej informacji o swoim małym internetowym śledztwie, bo tak do końca nie wiedziała, na ile to wszystko może się okazać ważne. Nie miała też pojęcia, jak z nią o tych wydarzeniach rozmawiać. Anna z pewnością nie uporała się jeszcze ze swoją przeszłością i dlatego znalazła się właśnie tutaj. To było coś, co można by wykorzystać. W razie konieczności.

Szwedka? Czy Polka? Za kogo uważała samą siebie Lindholm?

Lucrezia, niestety, polubiła Annę. I miała nadzieję, że nie wydarzy się nic, co zmusiłoby ją do zdławienia tej niespodziewanej sympatii.

O świcie, kiedy szwedzka Polka jak zwykle wybrała się na targ, Lucrezia wykonała telefon. Uśmiechnęła się, kiedy usłyszała, że wszystko jest już gotowe. A później pomyślała, że poprosi Annę o to, by poukładała maski.

Cztery dni przed karnawałem Antonio Valli po raz setny uznał, że da sobie spokój ze sprawą topielca. Nie prosił już Stefana, by obserwował antykwariuszkę. Sam przeszedł się kilkakrotnie na Calle Lughaneger w San Polo, ale nie zauważył niczego podejrzanego. Nie wiedział też, czy chuda dziewczyna w wełnianym płaszczu i przydużych kaloszach, którą widział w pobliżu antykwariatu, to była ta nowa lokatorka. A jeśli tak? Po co miałyby zamieszkać u Lucrezii Doldano? Czy to jakaś jej krewna? Czy coś wie o tamtym chłopaku?

Dario Costa. Z Padwy.

Antonio Valli zacisnął powieki. Nie chciał już o nim myśleć. Z każdym dniem coraz lepiej uświadamiał sobie, że się pomylił. Myślał i szukał niepotrzebnie. Wypadki się zdarzają. A ludzie czasem naprawdę są niewinni. Komisarz opuścił komendę o zmroku i udał się do małej knajpki w dzielnicy Castello, nieopodal Rio de San Lorenzo. Wypił grappę i w zadumie przyglądał się grupce starszych weneccjan pochylonych nad kartami. Rozmawiali w tutejszym dialekcie. Nawet nie weneckim, ale w języku Castello. Z pewnością mieszkali tu od lat. Przestrzeń wżarła się w nich, a oni wżarli się w nią.

Ciekawe, jaka pogoda była teraz we Florencji. Valli przypomniał sobie swój dom rodzinny,

pomalowany na żółto. Kwiaty w donicach. Zielone płytki w korytarzu. Na ścianie szkic przedstawiający Henry'ego Jamesa, którego uwielbiała jego matka. Nadal zresztą uwielbia. Valli dopił grappę i wyszedł z lokalu. Postanowił – znowu – że tego wieczoru nie będzie pracował. Porzuci sprawę topielca, zignoruje wszystkie sprawy bieżące. Poczyta. Ale nie opowieści o przygodach Ture Sventona. Raczej *Skrzydła gołębic*y Jamesa. Bo Valli zatęsknił nagle za domem, choć telefony od rodziców odbierał rzadko. Powinien oddzwonić. Dzisiaj, teraz. Oni na pewno zadadzą mu jedno z tych pytań, na które nigdy nie znał odpowiedzi, ale nie pozwoli, by opanował go gniew. Po prostu po raz kolejny wytłumaczy, że nie miał żadnych wieści o swoim synu.

Czy jego Ture wciąż pamiętał przygody Ture Sventona, o których czytali razem przed laty?

A ta dziewczyna? Chuda, w wełnianym płaszczu i przydużych kaloszach. Błada. Jakaś taka inna.

Czy była bezpieczna?

Cztery dni przed karnawałem cukiernia na Campo do Pozzi lśniła czystością. Isabella Lomi sprzątała sama. Lubiła mieć nad wszystkim kontrolę. Najlepiej wychodziło jej to, co robiła własnoręcznie. A najważniejsza była dla niej właśnie cukiernia. *Dolce Isabella*, słodka Isabella. Dobra nazwa. Pasowała do właścicielki i do kolorów, które wybrała. Pastele. Słodkie, cukierkowe. Neony. Tak intensywne, że aż biły po oczach. Kolorowa cukiernia, tęczowa. Kiczowata? Też. Mało wenecka, jak mówiła matka Isabelli. I pewnie miała rację. Ale to Isabella rządziła w cukierni, ona dbała o jakość wypieków, kawy i herbaty, o czystość. O finanse. Z nim prościej było dbać o finanse. Nie dawał oczywiście Isabelli gotówki, bo to by wyglądało na jawną prostytutkę. Zawsze tylko biżuterię. Ubrania. W Wenecji można było takie rzeczy spieniężyć w mgnieniu oka. Biżuterię gdzieś w nielegalnych warsztatach rozkładano na czynniki pierwsze i przyoblekano w nowe kształty. Ciuchy szły do second-handów w Mestre, Padwie i Weronie. Może jeszcze dalej. Były dobre, miały metki. A on nigdy nie pytał później, dlaczego ich nie nosi.

Isabella jego właśnie lubiła najbardziej. Jubilera. Miał klasę. Nie to, co tamten drugi, neurotyczny, emocjonalny. Jubiler bywał złośliwy, ale nie zły, zazdrosny, ale nie zaborczy, szarmancki i romantyczny, ale nie ckliwie słodki. Isabella coraz częściej myślała, że nie tylko lubiła jubilera, ale wręcz była nim zauroczona. Może nawet się zakochała? Dlatego nie przyjmowała do wiadomości jego decyzji. „To już naprawdę koniec”. Nie pierwszy raz usłyszała od niego takie słowa. Ile razy zamierzał to powtórzyć? Robił się nudny. Przecież i tak zawsze zmieniał zdanie. Miał słabość do Isabelli.

Jak teraz. „To już naprawdę koniec”. I kilka dni milczenia, może tydzień. A później przesyłka bez nadawcy. W środku sztuce. Srebrne, prawdziwe, stare. Z wytłoczonym od spodu złotym trapezem. Isabella wiedziała, do kogo należały. Nie miała natomiast pojęcia, dlaczego je wysłał, uznała jednak, że to przeprosiny. Bardzo wymowne, symboliczne. Czyżby wreszcie zdecydował się zostawić żonę?

Isabella uśmiechnęła się do swojego odbicia w lustrze. Skoro wysłał sztuce, to ona zjawi się na balu. Mogła. Musiała tylko włożyć maskę, a wtedy nikt jej nie rozpozna. Wenecki karnawał to jednak wspaniałe zjawisko, które od wieków ułatwia wiele spraw. A Isabella Lomi, *dolce Isabella*, lubiła, kiedy w życiu było jej łatwo.

Pociągnęła rzęsy tuszem i jeszcze raz przeczesła włosy. Cztery dni do karnawału. Ponownie się

uśmiechnęła, a jej wzrok padł na pojedynczy gwóźdź wbity w ścianę. Nic na nim nie wisiało. Teraz. A przecież jeszcze niedawno coś wisiało. Isabella przestała się uśmiechać. Nie podobała jej się historia tego przedmiotu. Wcześniej nie wiedziała, kto zawiesił go na gwoździu, a teraz – kto go zdjął. Mogła się tylko domyślać. I porozmawiać ze swoim sąsiadem, Yvesem Ronsardem, malarzem, naiwnym artystą i zakochanym głupkiem.

On na pewno coś na ten temat wiedział.

Cztery dni przed karnawalem podłoga w antykwariacie wyschła zupełnie. Anna i Lucrezia zdołały też pozbyć się zapachu stęchlizny i zamówiły kilka nowych komódek w stylu *empire*, tym razem autentycznych, a także prawdziwych karnawałowych masek, wykonanych metodą tradycyjną – ze skóry, masy papierowej i porcelany. Lucrezia dostawała dreszczy na widok plastikowych chińskich podróbek i postanowiła nie sprowadzać ich pod żadnym pozorem, nawet gdyby miały ściągnąć do domu nad Rio de San Aponal rzeszę „ciemnych” turystów. Mamrotała coś o renomie i ciężkiej pracy, którą włożyła w to, by zmienić kiczowaty sklepik w antykwariat. Anna świetnie ją rozumiała i nie nalegała. W głębi serca wstydziła się trochę tego, jak wielką ekscytację odczuwała na widok weneckich masek i z jak wielką lubością przyglądała się *bautom*, *columbinom*, *morettom* i maskom dawnych lekarzy, zwanym *medico della peste*. Były też inne maski, których nazw nie znała. Musiała przyznać, że pociągała ją ich demokratyczna siła, zrównująca ze sobą przedstawicieli różnych warstw społecznych, co zwłaszcza dawniej musiało się wydawać wyjątkowo ekscytujące. Chyba tylko w Wenecji panna służąca miała możliwość zatańczyć na balu z markizem, rzeźnik z hrabiną i księżę z kucharką. Maski pozwalały ukryć własną tożsamość i stać kimś nieznanym. Stać się nikim.

Anna miała ochotę wziąć udział w tej maskaradzie, ale jednocześnie czuła, że nie powinna się bawić. To by było nieodpowiednie w jej sytuacji, nie nadszedł właściwy czas i prawdopodobnie nie nadejdzie nigdy. Miała wrażenie, że nie nauczy się na nowo cieszyć życiem i bawić tak, jak gdyby nie istniał świat wokół niej. Każdego dnia zadrezczała się podobnymi myślami, rozwijała je w niekończące się monologi, sztucznie skonstruowane wedle surowych prawideł retoryki. Zagłuszała nimi swój wewnętrzny głos, który nie poddawał się nienaturalnym modulacjom. I mówił, że czas już sobie wybaczyć. Że tak naprawdę nie ona ponosiła winę za to, co stało się z Vidarem i Lidką, a nawet z Narcyzem i Sofią Stiatesi. Dlatego właśnie uciekła od Ingvara, Lajona, Lempi, od swojego ojca, warsztatów meblarskich i przyjaciół z komisariatu w Ystad. Bo uważała, że jeszcze nie może pozwolić sobie na poczucie bezpieczeństwa i wewnętrzny spokój.

Święta Bożego Narodzenia, na które zaprosiła rodzinę i znajomych, jeszcze bardziej ją w tym przekonaniu utwierdziły. A przecież kupiła żywą choinkę i kolorowe ozdoby, przygotowała wspólnie z Lempi kolację, postarała się o prezenty i płytę z kolędami, spadł śnieg, morze i las szumiały błogo, było jak w bajce. Mimo to świąteczny nastrój prysł szybko. Ojciec Anny popadł w odrętwienie z powodu Lidki, jego żona Dagmar starała się nadrabiać miną, przyjaciele z branży meblarskiej zaczęli wspominać Vidara, a koledzy z komisariatu przyglądali się ciekawie Ingvarowi, który snuł się za panią domu gotów w każdej chwili zabrać ją gdzieś daleko i odizolować od złego świata. Ona jednak trzymała się na dystans, dziwnie milcząca, ze łzami w oczach i sztucznym uśmiechem. Zjawił się również Leon Wit-

Woliński, przyleciał na kilka dni z Tahiti, opalony i z początku rozluźniony. Widziała, jak z każdą minutą spędzoną w jej domu stawał się coraz bardziej spięty. Nawet on nie czuł się już w towarzystwie Anny swobodnie. O północy impreza dobiegła końca i wszyscy rozjechali się do domów. Zostali tylko ojciec i Dagmar. Na pytające spojrzenie Anny, Lajon z ociąganiem oznajmił, że zarezerwował sobie hotel w Ystad. Ingvar chciał zostać, ale ona – zła i smutna – zażądała, by również sobie poszedł. A kiedy jego samochód zniknął za ścianą drzew, niewiele myśląc, kupiła bilet na samolot, spakowała podręczny bagaż, o świcie wsiadła w samochód i pojechała do Malmö, skąd wyleciała do Włoch.

Dopiero kiedy znalazła się na miejscu, zadzwoniła do Lempi, Ingvara i Leona. Nakrzyczeli na nią. Obrazili się. I tylko Lempi dała się szybko udobruchać – prawdopodobnie przyzwyczaiła się już do tego, że Anna była nieprzewidywalna i nie można oczekiwać od niej logicznego myślenia. Ingvar wreszcie też chyba to zrozumiał i dzwonił tylko kontrolnie, by się upewnić, czy jeszcze żyje i nie zrobiła niczego głupiego. A Leon? On wrócił na Tahiti i nadal pstrykał zdjęcia. Już w Ystad podczas świąt mieli kłopoty z porozumieniem się. A przecież przyjechał do niej wtedy, na początku grudnia. Zupełnie bez zapowiedzi i tylko po to, by się pożegnać przed tą swoją fotograficzną misją na Tahiti. Przyjął zaproszenie na święta. Annie wydawało się, że nawet... Sama nie wiedziała, co jej się wydawało. Przerazające było tylko to, że właśnie za Leonem tęskniła teraz najbardziej, a on nawet nie odpisał na wiadomość o powodzi. Tę ze zdjęciem Ospedale Civile. Niepotrzebnie ją wysłała. Po co? Anna nikogo już nie obchodziła. Została sama, dokładnie tak, jak chciała.

A jednak Wenecja obudziła w niej nowe emocje. Lucrezia i antykwariat, ryby z targu, stare komódki i weneckie maski – to wszystko miało znaczenie, było coś warte.

Żołądek bolał ją z nerwów, ale musiała się uśmiechać. Nie tylko uśmiechać. Musiała szczebiotać i gadać głupoty. W ogóle udawać trochę głupią. To miało stać się już jutro. Lucrezia Doldano wzięła głęboki wdech i małymi łykami wypiła pół szklanki wody. Jutro. A do tego czasu musiała pracować w antykwariacie, sprzedawać przedmioty, których rzeczywistej wartości tak naprawdę nie знаła, smażyć solę, rozmawiać, udawać wesołą i ekscytować się karnawałem.

Naprawdę lubiła karnawał, ale dziś...

Anna Lindholm pięknie ułożyła maski i kupiła w jej imieniu kilka dobrych mebli. Znała się na rzeczy. I nie była wścibska. Nie zadawała głupich pytań. Tak, Lucrezia naprawdę ją lubiła. I to było niebezpieczne. Bo... To miało stać się już jutro – a potem co? Lucrezia nie za często myślała o abstrakcyjnym „potem”. Pomyśli o tym jutro, jak... Jakaś bohaterka z filmu kostiumowego o wojnie secesyjnej. Zupełnie wyleciał jej z głowy tytuł.

Bała się. On nie dzwonił. Tak się umówili. Miał zadzwonić jutro, po wszystkim. A wtedy skończą się kłopoty Lucrezii. To miło, że wziął na siebie całą brudną robotę. Ona nie potrafiłaby tego zrobić, nie po wydarzeniach z zeszłego roku. Na samą myśl dostawała mdłości. Ale skoro on uznał, że sobie poradzi, należało to wykorzystać.

I czekać.

– To już jutro!

Lucrezia wydarła się tak głośno, że Anna poderwała się z krzesła i wylała latte.

– Oszalałaś? Ścierkę mi teraz przynieś.

– A tam, chrzanić ścierki! – zawołała radośnie Włoszka i wytarła plamę z kawy własnym rękawem. –

Jutro karnawał!

– Ty się dobrze czujesz? – zapytała Anna z powątpiewaniem.

– O Boże, dlaczego ty jesteś znowu taka naburmuszona...

– Nie jestem Bogiem...

– Dlaczego ty ciągle siedzisz taka powykrzywiana, a kiedy się próbujesz uśmiechnąć, to wyglądasz, jakbyś wymiotowała?

– Z natury jestem dość ponura – wykrztusiła i dopiła resztkę latte.

– Tak, to widzę – mruknęła tamta i pokiwała głową. – Aha, bym zapomniała. Twój kot uciekł. Tak się kończy ratowanie życia niewdzięcznym przybłędem.

Anna z impetem odstawiła kubek. Uśmiech satysfakcji zamarł Lucrezii na ustach. Podbiegła do Anny i położyła dłonie na jej ramionach.

– Będiesz ryczeć z powodu kota? Co z tobą? Może masz jakieś zaburzenia hormonalne? Na menopauzę jesteś za młoda, a... Aha! Wiem, byłaś w ciąży. I masz depresję poporodową. Gdzie dziecko? Kto jest ojcem? Twój mąż, świeć Panie nad jego duszą, czy... Przyprawiałaś mu rogi! Dziecko było kochasia, potem mąż umarł, ty miałaś wyrzuty sumienia, urodziłaś i podrzuciłaś temu kochasiowi, a sama uciekłaś i teraz tutaj się ukrywasz.

Anna w osłupieniu wysłuchiwała tej dedukcji i ucieszyła się w duchu, że Lucrezia przy swoich zdolnościach śledczych nie starała się nigdy o pracę w policji. Popukała się palcem w czoło i wetknęła koleżance do rąk jakieś papiery.

– Na mózg ci chyba padło. Lepiej zajmij się robotą. Tu masz faktury, pan przyniósł, jak się kąpałaś. Pięćdziesiąt minut, tak na marginesie. Wczoraj marudziłaś, że koszty duże i ledwo na rachunki ci starcza. Wybacz, nic dziwnego.

– Szwedzka sknera!

Włoszka udawała obrażoną, ale po chwili uśmiechnęła się pojednawczo do swojej lokatorki. Ta położyła faktury na stoliku i zajęła się układaniem nowych masek. Zwłaszcza jedna przypadła jej do gustu – biała *larva* z delikatnie rzeźbionymi ustami i nosem. Lucrezia zabrała się za przeglądanie faktur, a w sklepie zapadła błoga cisza. Przerwał ją jedynie dźwięk SMS-a. Anna niechętnie oderwała wzrok od *larvy* i sięgnęła po telefon. Serce zabiło jej szybciej, co stwierdziła z pewnym zaskoczeniem. Równie zaskakująca była treść wiadomości: „A Ty? Chciałabyś, żebym tam był?”. Leon-Lajon. Odezwał się wreszcie, jaśnie pan, a przecież wysłała tę wiadomość... Kiedy to było? Tydzień temu? Nie, jeszcze wcześniej. Chciała odpisać mu, że teraz to się może pocałować, ale kierowana nagłym impulsem wystukała: „Pewnie, czemu nie?”. Wysłała wiadomość i zakłęta pod nosem. Lucrezia poderwała głowę znad papierów.

– To po rosyjsku?

Anna poczuła przypływ irytacji, ale uśmiechnęła się słodko. Rosyjski i polski – może rzeczywiście podobnie brzmią? W weneckich muzeach panie z informacji ciągle pytały ją, w jakim języku chciałaby

przewodnik. „English or Russian?”. Szwedzki jakoś pomijały, nie mówiąc o polskim.

– Taaaak, po rosyjsku.

– To ważne, żeby znać języki. Jutro idziemy na imprezę na San Marco. Tutejszy jubiler urządza w swoim pałacu bal konkurencyjny do tego w teatrze La Felice. Ma być z jeszcze większą pompą, z paleniem kukły i tak dalej... No i nie w trzeci dzień karnawału, tylko w pierwszy. Żeby ludzie mogli później pójść do La Fenice i pomyśleć sobie: „Łeee, ale kicha”.

– Paleniem kukły? – zainteresowała się Anna.

– Tu masz gazetę, poczytaj.

– Piszą, że trzeba mieć zaproszenie – zauważyła, wygładzając dłońmi pomiętą stronę.

– A dalej...?

– Faktycznie – Anna zmarszczyła brwi i prychnęła z oburzeniem. – No nie! To poniżające!

W gazetce wyczytała, że jubiler Luigi Marconi przewiduje na swoim balu kilkanaście miejsc dla osób bez zaproszeń. Wejściówką ma być ich strój, który musi... przypaść do gustu odźwiernemu. Anna zwinęła gazetę w rulon i postukała nim o blat stołu. W życiu nie słyszała o równie snobistycznym pomysle. Nie miała zamiaru wdzięczyć się przed jakimś odźwiernym.

– Nigdzie nie idę – poinformowała, prawie obrażona.

– Idziesz – stanowczo oświadczyła Włoszka.

Miał zadzwonić po wszystkim. Tak się umówili. Obiecał, że zajmie się brudną robotą, a ona nie będzie musiała niczym się martwić. W końcu obmyśliła ten plan. Skupiła się na detalach, zrobiła rozeznanie i powiedziała mu, jak powinien działać. Guido Russo nie potrafił pracować w pojedynkę. Zbyt łatwo dawał się ponieść emocjom i nie umiał niczego przeanalizować na chłodno. A jednak myślał, że będzie w stanie wykonywać polecenia, działać według czyichś wskazówek, krok po kroku, bez zbędnego filozofowania. Pomylił się. Zawiódł ją. A ona czekała.

Guido Russo wiedział, że nigdy już do niej nie zadzwoni. I zastanawiał się, czy ona robi teraz coś głupiego, zacznie dociekać, drążyć, pytać. Stawiać żądania. Czy przyjdzie tutaj? Była do tego zdolna. Była niecierpliwa. Guido już wcześniej czuł w kieszeni delikatne wibrowanie swojego nowego telefonu na kartę. Nie wytrzymała, musiała zadzwonić. Bez sensu podał jej numer. Wrzucił aparat do wody, gdy tylko u wylotu uliczki pojawiła się sylwetka tamtego człowieka. Guido jeszcze wtedy nie wiedział, co się wydarzy, ale miał złe przeczucia. Powinien uciec, zamiast tak bezmyślnie stawić się tutaj na jego polecenie. Pamiętał bardzo dobrze to uczucie, kiedy twarz tamtego wyłoniła się z mroku. Miał ze sobą maskę. *Morettę*. Zupełnie nie pasowała do stroju Poliszynela, który włożył Guido. Ale Guido już wiedział, dlaczego *moretta*. Dlaczego to miejsce. Dlaczego błysk w oku, złowrogi, jak w filmach. Dlaczego cios, ostrze, ból i krew. Nie wiedział tylko, dlaczego uwierzył, że tamten naprawdę chce mu zapłacić. Nie było za co. Guido nie wykonał zadania.

Nie zabił jej przecież.

Lucrezia nie myliła się co do balu u jubilera. Anna nie miała wyboru, musiała pójść do Palazzo Marconi. Przekonała się o tym na własnej skórze, kiedy następnego wieczoru antykwariat opustoszał. Ostatni klient kupił maleńką, srebrną i piekielnie drogą papierośnicę, zapłacił bez mrugnięcia okiem i rozplątał się w weneckim mroku. Właścicielka sklepu zamknęła za nim drzwi i przekręciła klucz. Uśmiechnęła się tajemniczo, pomknęła na zaplecze, a po chwili wróciła, taszcząc pod pachą coś, co wyglądało na... stertę szmat. Anna zaniepokoiła się i odłożyła na miejsce zabytkowe wydanie sonetów Petrarcki, które właśnie kartkowała. Lucrezia rzuciła jedną ze „szmat” na biurko i wydała z siebie triumfalny okrzyk. Anna podskoczyła.

– Znowu będziesz zabijała mnie swoim entuzjazmem? Można wiedzieć, co to ma być? – zapytała i ostrożnie dźgnęła palcem materiał. Okazał się zaskakująco delikatny i miły w dotyku.

– Suknia! – wykrzyknęła Lucrezia z błyskiem w oku i zaczęła w pośpiechu zamykać okiennice. – No już, Anna, przebieraj się! *Avanti!*

– Co mam zrobić? Jakie znowu *avanti*? – zapytała Anna, tym razem już nie zaskoczona, a raczej przerażona. Słyszała wcześniej to głupie *avanti*. Podczas powodzi.

– Przebrać się!

– W tę szmatę?

– W co?! – Lucrezia zsiniała. Spojrzała złowrogo na Annę, podeszła bliżej i rozwinęła coś, co zostało tak pogardliwie nazwane. – Ha! Proszę bardzo. Idealna dla ciebie. A ta maska...

– Maską też?

Lucrezii opadły ręce. Wetknęła Annie w ręce „szmatę”, która nagle przeistoczyła się w całkiem niezłą suknię z epoki Giambattisty Marina. Maską lśniła złocistym brokatem.

– Przecież jest karnawał. Trochę już tu siedzisz, wykaż się chociaż umiejętnością obserwacji. Mówiłam ci wczoraj o imprezie u jubilera! Sklerozę masz?

– Ty serio z tą imprezą? Myślałam, że sobie tak tylko gadasz...

Anna umilkła pod wpływem morderczego spojrzenia Lucrezii, skapitulowała i udała się do swojego pokoju, gdzie wciągnęła na siebie barokową suknię. Włosy upięła wysoko, a twarz przysłoniła maską. No, skoro tak... Skoro faktycznie zaczął się ten karnawał... Pół godziny później Anna i Lucrezia kroczyły już majestatycznie wzdłuż Canal Grande i skinieniem głowy witały się z innymi uczestnikami tej weneckiej maskarady. Wieczór był mglisty, ale dość ciepły i narzucone na plecy peleryny wystarczająco chroniły przed lutowym chłodem. *Acqua alta* opadła niemal zupełnie, a karnawał rozkwitł w pełni. Ekspłodował feerią barw i kakofonią dźwięków. Turyści, którzy odmówili sobie przyjemności wystąpienia w kostiumach, z przejęciem fotografowali aktorów weneckiego korowodu masek. Anna była zadowolona, że uległa namowom Lucrezii i przynajmniej na chwilę mogła stać się kimś zupełnie innym. Kimś, kto skrywał swoją tożsamość i korzystał z wszelkich dobrodziejstw anonimowości.

– Chodź, przejdziemy tędy – szepnęła nagle Lucrezia, ciągnąc Annę w jakąś boczną uliczkę. – Tutaj jest skrót. Za chwilę będziemy na San Marco. A po drodze zahaczmy o małą obleganą winiarnię. Mówię ci mają tam takie świetne...

Lucrezia umilkła nagle i przystanęła. Anna zsunęła z twarzy maskę, zadarła głowę do góry i podziwiała zdobienia na ścianach kamienic.

– Piękne! Pooglądałabym sobie, tylko trochę tu ciemno. Dlaczego nie ma żadnej lata... – zaczęła i uświadomiła sobie wreszcie, że Lucrezia milczy i kurczowo ściska ją za rękę. Spuściła głowę. – Co jest? Dlaczego stoimy?

Włoszka jeszcze mocniej ścisnęła Annę za nadgarstek. Skinęła głową w kierunku kanału.

– Co tam widzisz? Cholera. Czekaj.

Z aksamitnej torebeczki Anna wyjęła telefon komórkowy i włączyła latarkę. Skierowała snop światła na bardzo wąski kanał. Jej oczom ukazał się lakierowany dziób gondoli, lśniące boki, bordowe siedzenia i... Mężczyzna w stroju Poliszynela. Wokół niego kałuża krwi. Rozbita głowa, nieruchome spojrzenie martwych oczu. Anna wyłączyła latarkę i zacisnęła powieki, jak gdyby nie przyjmowała do wiadomości, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Rozdział 5

Jako człowiek samotny, zamknięty w sobie i dość wredny, Antonio Valli zgłosił się na ochotnika, by pełnić dyżur na komendzie w pierwszy wieczór karnawału. Wiedział, że właśnie tak o nim wszyscy myśleli i nie zamierzał nikogo wyprowadzać z błędu. Poza tym donikąd się nie wybierał. Lubił patrzeć na karnawałowe stroje i maski, ale nigdy czegoś podobnego na siebie nie włożył. Babcia Vallego była rodowitą wenecką i aż do śmierci trzymała w szafie zakurzone *colombiny* i inne *moretty*, on jednak zawsze ograniczał się tylko do obserwacji. Przebieranki wydawały mu się niepoważne. Maski kłamliwe. Teraz tak właśnie myślał. A kiedyś? Czy to naprawdę było echo dawnych wniosków? Nie. Kiedyś Valli patrzył na kolorowe stroje i maski z uśmiechem. Chciał włączyć się do zabawy, ale zawsze brakowało mu swobody i odwagi. Albo po prostu był „sztywny”, jak twierdzili niektórzy jego znajomi. A przecież potrafił się śmiać. Potrafił się zapomnieć. A kiedy zapomniał się pewnego razu, przed dwudziestoma laty, zapłacił za to wysoką cenę. Nigdy jednak tego nie żałował, bo żałowanie pewnych rzeczy wydawało mu się zwykłym okrucieństwem. Pragnieniem, by ktoś, kogo pokochał, nie istniał.

Teraz Antonio Valli siedział w swoim gabinecie i usiłował skupić się na bieżących raportach. Tak naprawdę niewiele go obchodziły. Nic się nie działo. To znaczy owszem, w Wenecji zawsze działo się sporo, ale żadna sprawa nie wydawała się obecnie komisarzowi godna uwagi. Ani możliwa do wyjaśnienia na drodze prawa. *Vice-questore* nawet nie zamierzał się nimi ekscytować, a Valli wiedział, że większość konfliktów zostanie rozwiązana gdzieś na boku, po cichu. By zachować *status quo*.

Nienawidził Wenecji. Kochał Wenecję.

Pomyślał o zeszłorocznym topielcu. Ilu w tym roku wyłowią? Przypadkowych ofiar nieszczęśliwych wypadków, ale też poprzebieranych turystów-idiotów, którzy wpakują się do kanałów po pijaku? Wenecka woda najniebezpieczniejsza wydawała się właśnie w porze karnawału.

Valli westchnął. Odsunął od siebie bieżące raporty. Zerknął na pudełko ciastek, które na jego biurku miłosiernie postawiła *signorina* Schacci. Bez kawy mu nie smakowały. Komisarz pomyślał, że przecież jest karnawał, a on tkwi na komendzie prawie zupełnie sam. Kawa to tylko drobna przyjemność.

I kiedy Antonio Valli podnosił się z krzesła, by sprawić sobie tę drobną przyjemność, zadzwonił telefon.

Tylko on zwracał uwagę na kukłę. Inni zdawali się jej nie dostrzegać, tańczyli wokół, pili wino, palili papierosy, rozmawiali, śmiali się, cieszyli, kłócili o głupoty. Alkohol rozkołysał ich ciała, otulił oparami bezsensu. Zaczął się karnawał. Luigiego Marconiego otaczały maski, migąło złoto i brokat, błyszcząły perły i cekiny. Kakofonia roztrzaskujących się o siebie dźwięków kęsała w uszy. A ona leżała pośrodku hallu, na stosie, w sukni i masce – kukła. Symbol beztroski, która musiała zostać unicestwiona.

Marconi dopił drinka i rozejrzał się w poszukiwaniu swojej żony. W tłumie mignęła mu szczupła postać w zielonej sukni. Rude włosy. Brak maski na twarzy, jedynie przepaska na oczach. Stefania Massimo. Postawiła mu się. Od czasu pamiętnej rozmowy na temat zmarłego austriackiego artysty wyczuwał bijący od niej chłód. Marconi musiał przyznać, że bał się Stefanii Massimo. Tego, co wiedziała. A ona zapewne bała się jego. Jak długo mogli to jeszcze ciągnąć? Marconi czuł, że nerwy wreszcie jej puszcza, choć przecież minęły trzy lata, a ona nigdy o tej sprawie nie wspominała. Widziała wtedy bandażę na przedramionach jego żony. I znała Livię. Wszyscy znali Livię. Jej gorsze momenty. Nie, nie! Livia nie była nienormalna. Po prostu czasem świat wydawał jej się wyjątkowo paskudny, a ludzie niemożliwie wredni. I zazwyczaj działo się to bez wyraźnego powodu, bez bodźca, który przywiódłby Livię do tego stanu. Ale kiedy już to się działo, wtedy nerwy jej puszczały i zupełnie nad sobą nie panowała. Bandaże do niej pasowały i Stefania Massimo również to wiedziała. Dlatego Marconi miał wrażenie, że we wszystko uwierzyła. Poza tym dał dziewczynie podwyżkę. Na jej konto często spływały wysokie premie. Przecież była mądra, wykształcona. Musiała wiedzieć, że nie na wszystkie zasłużyła. Ale dzięki temu za kilka lat mogłaby sobie coś odłożyć, wyprowadzić się z tej klitki na Ramo Venier, w której zawsze było potwornie ciemno. Na to czekała? A może zbuntowała się i posłużyła tym mimicznym szantażem, bo naprawdę nie miała ochoty użerać się z austriackimi artystami od jakiejś głupiej lalki z poliestru? I wołała się skupić na Francuzach?

Słusznie. Powinna się na nich skupić, bo Francuzi byli ważniejsi. Oni i kontrakt na biżuterię z tym nowym, oryginalnym motywem. Kolekcję już przygotowano. Zamknięta i zabezpieczona w gablotach, od kilku dni cieszyła oczy klientów z grubymi portfelami. Stefania Massimo naprawdę była mądra. Luigi zgadzał się z nią. Ta kukła wydawała się bezsensowna i niepotrzebna, jak i cały ten bal. A jednak Livia chciała karnawału z pompą. Cieszyła się. Sama wpadła na pomysł ze stosem. Marconiego przeszły ciarki. Czy rzeczywiście sama wpadła na ten pomysł? Czy to było w ogóle możliwe, by przyszedł jej do głowy akurat stos?

Ogień? Dziewczyna? A może on, tamten człowiek, miał swój udział w planie? Luigi zgarnął z tacy szklanek z kolejnym drinkiem. Wróciło do niego dawne wspomnienie, ale nie to sprzed trzech lat. Jeszcze dawniejsze. To uczucie, kiedy usłyszał, co się stało. Ta myśl, by wszystko wyjaśnić za wszelką cenę. Postanowienie, by się zemścić. Bezsensowne jak poliestrowa kukła na rytualnym stosie. Teraz Luigi już to wiedział.

Zobaczył wreszcie Livię. Miała na sobie suknię na krynolinie i perukę w stylu madame de Pompadour. Gorset ścisnął i tak już wzięła talię. Była zupełnie inna od tamtej, od cukierniczki. Cukierniczka, choć drobna i niska, miała krągłości, była idealnie ukształtowana, jak laleczka. Prawie jak ta austriacka kukła tutaj... Isabella Lomi miała nawet taki sam kolor włosów. Marconi rzucił niespokojne spojrzenie na stos. Może mu się tylko wydawało? Ponownie zerknął na swoją żonę. Skinęła głową gdzieś w bok. Pewnie wskazywała kogoś, z kim powinien teraz inteligentnie porozmawiać, jak na dobrego gospodarza przystało. Dokończył drugiego drinka. Zaczął przeciskać się przez tłum przebierańców, których sam zaprosił do swojego domu. Chciał, żeby wybiła północ. Pragnął sfajczyć wreszcie tę durną szmaciankę, wysłuchać nudnego brzdękania Livii na wiolonczeli, położyć się spać, a jutro pójść do pracy. I zająć się czymś pożytecznym.

Między maskami zauważył twarz Roberta Capellego. On jako jedyny nie miał na sobie przebrania. Ale tak naprawdę wcale nie przyszedł tutaj w charakterze gościa.

To już nie był zwykły ból żołądka. Chciało jej się wymiotować. Zgięła się w pół i chwyciła za brzuch. Nie żył. Krew była wszędzie. Gondola w kanale. Porzucone wiosło. To głupie przebranie. *Moretta. Moretta!* Ta maska w ogóle tu nie pasowała. Ale Lucrezia zrozumiała przesłanie.

Oczy miał otwarte. Patrzył na nią? Winił ją? Przecież ona to wszystko wymyśliła. Ale nie zmuszała go. Sam chciał. A teraz... Lucrezia poczuła, jak treść żołądka cofa się jej do przełyku. Nie mogła przecież tak... Policja. Anna Lindholm będzie chciała wezwać cholerną policję, oczywiście! I pewnie zjawi się on. Bo zawsze pracował w czasie karnawału. I kiedy zobaczy Lucrezię, zacznie myśleć. Nie powinno jej tu być. Głupio zrobiła. Co teraz? Płakać. Panikować. Bać się. Trochę się jąkać. Zrobić szum. Ale współpracować. To najlepsze wyjście. Jedyne. Na razie.

Lucrezia szlochała i wyrzucała z siebie włoskie słowa, których znaczenia Anna nie rozumiała. W zaułku panowała dziwna cisza i tylko dalekie echo rozmów, śmiechu i dźwięków muzyki przypominało, że rozpoczął się karnawał, a na ulicach i placach roiło się od rozradowanych imprezowiczów. Dlaczego więc tutaj nie było nikogo? I gdzie podzieli się mieszkańcy kamienic, ustawionych w równoległych rzędach wzdłuż wąskiego kanału? Czyżby nikt niczego nie słyszał? Anna rozejrzała się i spróbowała ustalić, gdzie dokładnie się znajdowały. Nie zdołała jednak tego zrobić. Pamiętała, że szły z Lucrezią wzdłuż Canal Grande, a później skręciły, by tym całym skrótem znaleźć się szybciej na San Marco. W którą jednak stronę skręciły? Anna spojrzała za siebie, starając się zignorować szlochającą koleżankę. Wenecja po raz kolejny wydała jej się prawdziwym labiryntem, gotowym pochłonąć każdego nieuważnego przechodnia. Jedna uliczka była tutaj podobna do drugiej, plac podobny do placu, most do mostu... Most! Anna złapała się za głowę. Oczywiście, szły wzdłuż Riva del Vin, a później przez most Rialto. A zatem w ten zaułek nie skręciły znad Canal Grande, tylko... Tylko skąd? Anna w dwóch krokach pokonała odległość dzielącą ją od Lucrezii.

– Przystań wyć i skup się – warknęła. – Gdzie jesteśmy?

– Po... Po...

– Policja, właśnie – usłużnie podsunęła Anna i wyjęła z barokowej torebki paczkę chusteczek. – Tak więc skup się i powiedz mi, do cholery, gdzie jesteśmy, bo ja nie mam zielonego pojęcia. No już!

Lucrezia kwiliła jeszcze cicho, ale posłusznie wytarła oczy i wzięła głęboki wdech. Sięgnęła do kieszeni ukrytej w fałdach sukni, wyciągnęła telefon i po chwili drżącym głosem wyartykułowała kilka zdań po włosku. Następnie wciąż z komórką w dłoni podeszła bliżej mężczyzny z rozbitą głową i tym razem ona skierowała na niego snop światła. Przyglądały mu się w milczeniu, obie blade i przestraszone, choć Anna zaczynała powoli odzyskiwać zimną krew. Nie pierwszy raz w życiu miała okazję widzieć ofiarę morderstwa. Bo w to, że dokonano tutaj morderstwa, nie wątpiła ani przez chwilę.

– To trochę potrwa – szepnęła nagle Lucrezia.

– Co potrwa?

– Przyjazd policji. Zanim się przebiją przez kanały, a później przez tłumy na ulicach... Zazwyczaj

trudno im dotrzeć na miejsce w kilka minut, ale założę się, że dzisiaj nie dotrą nawet za pół godziny. Jak myślisz, co...?

– Dlaczego nikogo tutaj nie ma? – weszła jej w słowo Anna, obchodząc ciało mężczyzny szerokim łukiem.

– To uliczka nieopodal Calle Bombasei, niewielka i mało uczęszczana. Te kamienice, które tworzą szpaler, od dawna są niezamieszkałe. Kanał też kończy się ślepo, nie uchodzi do żadnego większego. Mieli go zasypać, ale... – Lucrezia wzruszyła ramionami. – Tu u nas dużo jest takich miejsc. Z jazgotliwego placu i rozkrzyczanej ulicy możesz nagle wejść w totalną dziurę, w której nie ma żywego ducha. Trzeba tylko wiedzieć, jak chodzić. Albo nie wiedzieć.

– Albo nie wiedzieć... – powtórzyła w zamyśleniu Anna.

Przysunęła się wreszcie bliżej do miejsca zbrodni i zamierzała pochylić nad ofiarą, ale tylko zakłęła pod nosem i spojrzała na swoje karnawałowe przebranie. Brzeg rozkloszowanej sukni od ciemnej plamy krwi dzieliły centymetry. Anna zgarnęła fałbany i zastygła nad szkarłatną kałużą. Powoli wodziła wzrokiem po twarzy mężczyzny, jego regularnych rysach, wysokim czole, kształtnym nosie i ostro zarysowanej zuchwie. Miał najwyżej dwadzieścia pięć lat, a pewnie i mniej. Komiczny strój Poliszynela z wypchanym brzuchem i garbem nie do końca zdeformował atletyczną sylwetkę. Anna zmarszczyła brwi i po chwili wahania postawiła stopy w kałuży gęstniejącej krwi. Fałbana wysunęła jej się z dłoni i lekko zabrudziła.

– Co ty u diabła wyprawiasz? – syknęła Lucrezia za jej plecami. – Policja cię za to zamknie. Czytałam trochę kryminałów, nie wolno niczego ruszać na miejscu zbrodni, bo można zatrzeć ślady i później...

– Zamknij się.

Głos Anny zabrzmiał tak stanowczo, że Lucrezia natychmiast umilkła. U wylotu uliczki zapanowało jakieś poruszenie, dało się słyszeć pokrzykiwania i odgłos przyspieszonych kroków. Anna poczuła narastającą wściekłość. Przykucnęła nad ciałem i ponownie wbiła wzrok w twarz Poliszynela i jego szyję. Zauważyła leżący obok mężczyzny kapelusz z kogucim pióropuszem, a tuż przy nim maskę. Niewątpliwie była to *moretta*, podobna do tych, które Anna oglądała niedawno w antykwariacie Lucrezii. Tylko dlaczego Poliszynel miałby nosić taką maskę? Ze specjalnym guzikiem, który przytrzymywało się ustami, co uniemożliwiałoby mówienie? Anna wyprostowała się i zerknęła na kołyszącą się w kanale gondolę. Zupełnie nie znała się na tych łodziach, ale opanowało ją nagle dziwne przeczucie. Młodzieńcza atletyczna sylwetka zmarłego, gondola, strój Poliszynela i guzik uniemożliwiający mówienie... Anna z trudem oparła się pokusie, by przeszukać kieszenie mężczyzny. Podkasała wyżej suknię, przeszła nad ciałem, stanęła nad brzegiem kanału i wychyliła się stroną gondoli. Nie mogła jednak niczego dojrzeć w jej wnętrzu. Zachwiała się, kiedy usłyszała za sobą głos, który tym razem z pewnością nie był głosem Lucrezii, ale raczej jakiegoś podstarzałego i uzależnionego od papierosów typu. Antykwariuszka odezwała się również. Wyrzuciła z siebie kilka włoskich słów i po chwili Anna usłyszała ponownie chrapliwy bas, tym razem przemawiający po angielsku.

– Proszę się odsunąć od krawędzi i unieść ręce do góry!

Anna nie zdążyła zareagować, kiedy usłyszała nerwowy śmiech Lucrezii.

– A, nie, nie! *Commissario*! Ona nic nie zrobiła, to moja koleżanka i lokatorka. My... My znalazłyśmy ciało i ona...

Lucrezia jękała się coraz bardziej, a mężczyzna od chrapliwego basu, nazwany przez nią *commissario*, stał teraz z zaciętym wyrazem twarzy i ramionami splecionymi na klatce piersiowej. Anna przyjrzała mu się uważnie, kiedy już oddaliła się od brzegu i ponownie stanęła przy nieszczęsnym denacie. Scena wydała jej się nagle tak surrealistyczna, że aż śmieszna.

– I ona co, do cholery ciężkiej?! – nie wytrzymał wreszcie policjant. – Włazła w kiece w kałużę krwi,

tak? A tamci co mają teraz zrobić?! – ryknął, machając ręką gdzieś za siebie.

Anna ujrzała dwóch panów z obszernymi torbami i jednego z aparatem fotograficznym. Techniczni. Za nimi plątał się jeszcze mundurowy, który rozwijał taśmę, by ogrodzić teren. A ten cały *commissario*... Anna przeniosła na niego wzrok. Pomyliła się, teraz wcale nie wydawał się podstarzały. Przemawiał tym swoim hipnotyzującym basem, ale miał najwyżej czterdzieści kilka lat. Ubrany był w bluzę z kapturem i czarne dżinsy, których nogawki wsunął w wysokie kalosze. Zbyt wysokie, jak na obecne warunki. Z pewnością miał w domu coś bardziej stosownego.

– Czy pani może iść sobie stamtąd w diabły? – odezwał się nagle ten sam *commissario*, o którego kaloszach właśnie rozmyślała. – Proszę przygotować dowody tożsamości – rzucił jeszcze i pochylił się nad ofiarą.

Skrzywił się i przejechał po chłopaku wzrokiem, po czym spojrzał na kapelusz i maskę. Ciekawe, czy on też miał już jakieś skojarzenia. Anna poczuła przyływ energii i nie mogła ustać w miejscu. Miała wrażenie, że coś podczas tych pobieżnych oględzin przeoczyła. Walczyła ze sobą przez kilka sekund, po czym podeszła do weneckiego komisarza. Ten aż podskoczył na jej widok i już miał zamiar ponownie ryknąć, kiedy Anna zaczęła mówić. Sama nie wiedziała właściwie dlaczego.

– Rana szyi kłuta, zadana prawdopodobnie czymś ostrym i długim, co od razu przebiło tętnicę. W skroń uderzono go kastetem, to widać od razu, ale takim kastetem... Hm... Oldschoolowym, powiedziałabym, z zaokrąglonymi krawędziami, a nie kanciastymi... No i...

– Pani oszalała? – zapytał policjant, ale odrobinę spuścił z tonu. Przykucnął nad Poliszynem i jeszcze raz porządnie mu się przyjrzał. Mamrotał coś niewyraźnie pod nosem, wkładając lateksowe rękawiczki. Anna żałowała, że nie może sobie jednej pary pożyczyć. – Kastet, mówi pani? I ostry cienki nóż? Czyli zbir jakiś pewnie? Nie każdy nosi przy sobie taki sprzęt.

– Ale każdy może go sobie kupić. W przeciwieństwie do broni palnej. Przecież pan doskonale to wie, prawda?

– A pani? Też doskonale to wie?

Anna zamierzała właśnie odpowiedzieć, kiedy w uliczce nad kanałem pojawiła się jeszcze jedna osoba. Siwy mały człowieczek przeszedł pod taśmami i zaczął trajkotać po włosku równie szybko jak zwykła to robić Lucrezia. Z rozmowy, która zawiązała się między nim i policjantem, Anna wyłowiła słowa *medico legale* i domyśliła się, że przybył lekarz sądowy. Siwy człowieczek podszedł do zmarłego i również zaczął nad nim dziwnie mamrotać. Może to jakiś wenecki zwyczaj, mantra, która miała pomóc wyprowadzić człowieka na tamten świat? Anna spróbowała coś dojrzeć ponad pochylonymi głowami medyka i komisarza. Ten ostatni zauważył jej wysiłki i uśmiechnął się kpiąco. Szturchnął lekarza w bok.

– Ta dama w błękitnej sukni twierdzi, że gościa załatwiono sztyletem i kastetem.

– I pewnie słusznie – mruknął w odpowiedzi *medico legale*, nie przerywając oględzin.

– Ja też tak sądzę. – Komisarz wyprostował się i podszedł do niej. – Niech zgadnę, lubi pani kryminały? Conan Doyle? Agatha Christie? A może Donna Leon? *Komisarz Brunetti i tajemnice Wenecji*? Która to pani ulubiona? *Śmierć w La Fenice*? *Acqua alta*?

– *Acqua alta*? Jest taki kryminał?

– Owszem. *Morderstwo w wysokiej wodzie* po angielsku, zdaje się.

– To ciekawe. W życiu nie czytałam żadnej Donny Leon.

– I dobrze, strasznie krytykuje Włochów. I w dodatku nie pozwala swoich książek tłumaczyć na włoski. Uwierzy pani? A mieszka sobie u nas jak gdyby nigdy nic! Skoro jej tu tak źle, to niech wraca do swojej Ameryki – komisarz pokręcił głową i wyciągnął w stronę Anny paczkę papierosów.

– Będziemy sobie dyskutować o literaturze przy fajeczce? Naprawdę? – spytała z niedowierzaniem, ale jednocześnie walczyła ze sobą, by się nie uśmiechnąć. Tyle tylko że uśmiech oznaczałby kapitulację

wobec tego aroganckiego, chrapliwego typu w wymiętej bluzie.

– Nie musimy o literaturze. Możemy o czymś innym – odparł i uśmiechnął się półgębkiem.

Anna wiele w tym momencie czuła. Czuła się na przykład źle, bo przez chęć zaspokojenia ciekawości, zdeptała miejsce zbrodni. Czuła także zupełnie niestosowny w zaistniałych warunkach dreszcz ekscytacji. Współczuła martwemu chłopakowi, choć wiedziała, że równie dobrze mógł w pełni zasłużyć sobie na taki koniec w ciemnym weneckim zaułku. Czuła się idiotycznie w swojej błękitnej, barokowej sukni z dekoltem, w pelerynie i gumiakach. I wreszcie poczuła też cień sympatii do tego chudego, zblazowanego włoskiego *commissario*. Spojrzała mu odważnie w oczy.

– Bardzo chętnie – odpowiedziała.

Rozdział 6

Valli wyruszył z komendy natychmiast, gdy tylko usłyszał, od kogo wpłynęło zgłoszenie. W ciemnej uliczce między opuszczonymi kamienicami zobaczył Lucrezię Doldano i od razu poczuł dziwne napięcie. Była przerażona, to nie ulegało wątpliwości. Łkała, jąkała się, trzęsła. Była w tym dobra. A jednak komisarz nie potrafił tak po prostu kupić jej strachu. Mogła przecież bać się z różnych powodów. Valli rzucił Lucrezii Doldano przeciągłe spojrzenie. Wyprostowała się i uniosła dumnie głowę, choć nadal pochlipywała. Nie odwróciła wzroku, przyjęła wyzwanie. Komisarz po raz kolejny przypomniał sobie ten dzień, kiedy doniósł na nią w Corpo della Guardia di Finanza. Wtedy odczuł nikłą satysfakcję, że spotkała ją kara. Jakaś. Czy wystarczająca? Wciąż tego nie wiedział, choć minął rok. I coś mu się nie zgadzało. Ona mu się nie zgadzała. Antykwariuszka. I trup nad kanałem. I...?

Antonio Valli zamierzał coś powiedzieć, kiedy usłyszał kroki. A później szuranie, a jeszcze później... Sam już nie wiedział co. Spojrzał w kierunku źródła dźwięku. I zsiniał. Denat leżał na ziemi w kałuży krwi. Miał na sobie strój Poliszynela. Owszem, Valli zauważył go już wcześniej. Głównie po to tu przybył – żeby zobaczyć ciało. Lucrezia Doldano stanowiła bonus. Ale było coś jeszcze. Ktoś był. Nieopodal, w kanale, kołysała się gondola, a nad nią – chwiejnie – pochylała się druga kobieta. W błękitnej sukni, pelerynie i kaloszach. Miała czarne włosy równo przycięte na wysokości ramion i bladą cerę. Powiedziała coś. Po angielsku. *Straniera*, pomyślał jeszcze, zanim wreszcie przemówił. Chciał na nią nakrzyczeć, ale wyszło mu średnio, a później ta cała Doldano wyskoczyła ze swoim jękaniem, chlapaniem i *commissariem*. Sytuacja stała się kuriozalna. Valli miał bowiem ciemną uliczkę, martwego Poliszynela, podejrzaną gondolę, dwie kobiety w karnawałowych kieckach i gumiakach, z czego jedną patologicznie ciekawską. Za plecami zaś technicznych, którzy przez całą drogę na miejsce zbrodni zrzędzili, że „kurwa, kto to widział mordować się w karnawał, już kupiliśmy sobie pantaloney”.

Jeszcze później Valli bardzo się zdziwił, bo ta druga, patologicznie ciekawska, mówiła z sensem. Anna Lindholm. To musiała być tamta chuda dziewczyna w wełnianym płaszczu i kaloszach, którą widywał w pobliżu antykwariatu Lucrezii Doldano. Od razu wydała mu się dziwna. I... interesująca. A Antonio Valli od dawna już nie odniósł wrażenia, że ktoś jest naprawdę interesujący. Poza tym dokonała oględzin miejsca zbrodni i w krótkim czasie wysnuła niegłupie wnioski. Kim była? Szwedką? Bardzo dobrze mówiła po angielsku. I przyjemnie mu się obok niej stało. A kiedy to pomyślał, uznał, że musiał całkiem upaść na głowę. Skoro zaś upadł – nic nie stało na przeszkodzie, by zaprosić Annę Lindholm do łodzi i zabrać ją na komendę. Znalazła przecież ciało, więc miał pretekst. Lucrezię Doldano przekazał mundurowym i antykwariuszka chwilowo przestała go obchodzić. To również była nowość. Antonio Valli usiadł w łodzi naprzeciwko Anny Lindholm, wyjął telefon i dyskretnie włączył Google'a. Przez chwilę przeskakiwał między zakładkami. Zerknął na pogrążoną w zadumie Annę. I zrobiło mu się przykro.

Lucrezia Doldano trzęsa się nad kubkiem kiepskiej herbaty. Młody mundurowy zbyt mocno przyciskał długopis do papieru. Irytowało ją to. Pytania również były irytujące, choć dokładnie wiedziała, co powinna mówić. Nie, nie znała chłopaka znad kanału, nigdy go nie widziała, nie wie, jak się nazywał, skąd ma to wiedzieć, skoro nie planowała, że znajdzie jego zwłoki. Znała ten skrót od dawna, szła z koleżanką nad Rio de San Zulian, chciały się dostać na bal u Marconiego, chyba pan słyszał. Tak, koleżanka jest ze Szwecji, ale Lucrezia niewiele o niej wie, bo to bardziej lokatorka niż znajoma. Wynajmuje pokój w antykwariacie na Calle Luganegher. Owszem, rozmawiają czasem – ale jakie to ma teraz znaczenie? Tak, antykwariat Lucrezia prowadzi od roku i rzeczywiście miała kłopoty z Guardia di Finanza. Wszystko już sobie z nimi wyjaśniła i teraz wyszła na prostą, ale nie rozumie, jaki to ma związek z obecną sprawą. I śmiercią tego biednego chłopaka, którego przecież nigdy wcześniej nie widziała na oczy. Czy to wszystko? Tak, ona również dziękuje. Gdyby mogła jeszcze w czymś pomóc, proszę dzwonić.

Lucrezia opuściła komendę rozdygotana i przerażona. Gdzie była teraz Anna Lindholm? Poszła z tym komisarzem? Z TYM komisarzem? I jest policjantką. Albo kiedyś była, ale to żadna różnica. Lucrezia ruszyła biegiem wzdłuż kanału San Lorenzo i zatrzymała się dopiero na Riva degli Schiavoni. Tu wreszcie się rozplakała. Chwyciła telefon i ścisnęła go bezradnie.

Nie miała do kogo zadzwonić.

Wspomnienia nie ograniczają się jedynie do obrazów. Obejmują również wrażenia słuchowe, zapachy i pojedyncze refleksje, które składają się na konkretną chwilę. Stan emocjonalny niemożliwy do pełnego odtworzenia. Zapach łączy się niekiedy z dźwiękiem i widokiem. Nawet z temperaturą, z uczuciem chłodu lub gorąca. Ze smakiem. I wystarczy pojedynczy bodziec, by wszystko wróciło, ale w innym już kształcie. W formie cienia, który mimo rozmytych konturów jest do bólu rzeczywisty.

Wenecki komisariat wydał się Annie przestrzenią wypełnioną przez duchy. Wszystko było tutaj obce, a jednocześnie dziwnie znajome, funkcjonujące na podobnych, uniwersalnych, zdawałoby się, zasadach. Powietrze przesycił zapach kawy, starego drewna i mieszaniny damsko-męskich perfum. Było głośno jak w ulu, głos odbijał się od głosu, fraza od frazy, okrzyk od okrzyku. Język włoski do tej przestrzeni nie pasował, wydawał się Annie zbyt okrągły, śpiewny, radosny, zbyt ładny. Język szwedzki, twardy, trzeszczący, chłodny jak północny wiatr, nadawałby się tutaj znacznie bardziej. Albo polski, szeleszczący i najeżony pułapkami ze zbitek spółgłoskowych. Kiedy włoscy policjanci rozmawiali o śmierci Poliszynela, Anna uśmiechała się lekko, choć nie rozumiała ani słowa. A jednak ich wymiana zdań brzmiała jak pieśń i dzięki temu można było odnieść wrażenie, że wydarzenia sprzed godziny tak naprawdę nie miały miejsca. Zostały wymyślone i przerobione na soczystą operową fabułę.

Komisariat jednak, jego dźwięki i zapachy, były prawdziwe. Do Anny wróciło wspomnienie ubiegłej jesieni, szumu morskich fal uderzających o helską plażę, smaku kawy parzonej po turecku i twininga, którym poczęstował ją tamtejszy komisarz. Wróciły do niej obrazy. Widziała teraz wyraźnie bladą twarz Lidki, zmęczone oczy Ingvara, brązowe włosy Lajona, zeszytywniałe od przesyconego solą powietrza. Słyszała głos Vidara, którego brzmienie na co dzień ledwie mogła sobie przypomnieć. A później obrazy

się zmieniły. Zobaczyła białe ściany komisariatu w Ystad, swoich przyjaciół z policji, tablice, na których wieszano zdjęcia ofiar i podejrzanych, biurka przykryte stosami papierów, mały stolik w rogu, dzbanek wypełniony czarną kawą i wreszcie zlew, a w nim zawsze co najmniej dwie brudne filiżanki. I jeszcze plastikowe pudełka Ingvara w lodówce, wypełnione zdrową żywnością. Teraz słyszała też i jego głos. „Zerknij na taśmy z monitoringu, Ana”. „Masz jakieś pomysły?”. „Dlaczego nie wierzysz temu facetowi?”. „Dlaczego uważasz, że to nasz morderca?”. „Zrobiłem ci herbatę”. „Jesteś głodna?”. Anna oddałaby wszystko za choć jeden dzień bez wspomnień.

– Dobrze się czujesz? – zachrypiął po angielsku ktoś tuż nad jej uchem.

Wzdrygnęła się i zobaczyła pochylonego nad sobą weneckiego komisarza. Nazywał się Antonio Valli, z tego, co zdążyła się zorientować, a na biurku miał jeszcze większy bałagan niż ona, kiedy pracowała w policji. W jej dłoniach ni stąd, ni zowąd pojawiła się maleńka filiżanka. Espresso, jakżeby inaczej. Anna wołała nawet nie wspominać, że w tej chwili chętnie napiłaby się kawy z jakiejś komercyjnej sieciówki, w wielkim papierowym kubku, z mlekiem i cukrem, cudownie gorącej. Valli z pewnością zabiłby ją śmiechem. Chyba że miał już dość zabójstw na dziś. Anna nie wiedziała, jakie są weneckie normy.

– Wasz karnawał zawsze zaczyna się od zaciukania delikwenta w ciemnej uliczce? – zapytała z przekąsem.

Ku jej zaskoczeniu Valli ryknął śmiechem. A przecież nie powiedziała niczego śmiesznego. Powinien raczej płakać. Ale on chichrał się tak przez dobre pięć minut, a w tym czasie do jego gabinetu ciągle ktoś zaglądał, przynosił kolejne papiery i łypał z zainteresowaniem na Annę, która wciąż miała na sobie kalosze i karnawałową suknię z falbanami zabrudzonymi krwią. Skrzywiła się i, ku zgorszeniu komisarza, wypięła duszkiem swoje espresso.

– No! – mruknął i przestał się śmiać.

Jego akcent był tak dobry, że aż nierealny. Valli brzmiał jak aktor brytyjskiego teatru. Musiał mieć albo znakomite ucho, albo świetnego nauczyciela. A poza tym z wyglądu również przypominał brytyjskiego aktora, bardzo konkretnego, tyle tylko że w wersji chudszej i z popielatymi włosami – Damiana Lewisa.

– To nie wódka, *signorina* Lindholm – dodał z przekąsem.

– *Signora* – poprawiła go odruchowo i natychmiast tego pożałowała.

– Oczywiście. Przecież jesteś wdową. Przepraszam.

Valli spoważniał nagle, a Annie zrobiło się zimno. Wiedział. Sprawdził ją. Z pewnością nie miał z tym żadnych problemów. Nikt by nie miał. Zwłaszcza w policji.

– Ta rana kłuta dała mi do myślenia. Wiesz? – dodał i usiadł za biurkiem. Nadal przyglądał jej się z powagą, ale również dobrotliwie. – I to, że krążyłaś wokół nieboszczyka chciwie jak jakiś sęp, podczas gdy twoja koleżanka była bliska zwymiotowania. A tak w ogóle skąd się znacie? Z tą Doldano?

– „Tą” Doldano? – Anna wbiła w komisarza zaskoczone spojrzenie.

– Aaaa! – Valli machnął ręką. – Nie miałem niczego konkretnego na myśli.

– Aha. A zatem „tę” Doldano znam z Wenecji, jakbyś się zastanawiał – odparła, również płynnie przechodząc z Vallim na ty. – Wpadłyśmy na siebie, kiedy... No, spacerowałam sobie. I tak jakoś.

– I zamieszkałaś u niej?

– Czy ona jest jakąś kryminalistką albo co? – zirytowała się Anna. Wstała z krzesła i zaczęła przechadzać się po gabinecie komisarza.

– Nie wiem. Nie. – Valli zmieszał się odrobinę i również wstał. – Tak tylko pytam. A dlaczego właściwie jesteś tak długo w Wenecji? Od półtora miesiąca?

– Nie masz czasem na głowie umrzyka w pantalonach jak z komedii dell'arte? – odcięła się i bez pytania sięgnęła po paczkę papierosów komisarza. Nie paliła od zeszłej jesieni.

– Jemu już się nie spieszy.

– Ale mordercy pewnie tak. Co z autopsją?

– Jutro w południe. Będzie w sam raz – komisarz podał Annie zapalniczkę i uśmiechnął się krzywo. –

To co? Dlaczego tu jesteś? Opowiedz mi tak na szybko, a później zajmiemy się Poliszynem.

Valli był bezczelny. Nie prosił. Po prostu rzucił „opowiedz mi na szybko” i Anna poczuła pokusę, by faktycznie wyrzucić to z siebie. Może chodziło o prostotę przekazu. Valli nie próbował jej podejść. Patrzył na nią bez uciekania wzrokiem, miał ten swój kpiący uśmiech, popielate włosy, gębę chudego Damiana Lewisa, chrapliwy głos, brytyjski akcent, dwie bruzdy biegnące w poprzek czoła i drobne zmarszczki wokół oczu. Był cyniczny i wydawał się zgorzkniały. A przy tym wszystkim prawdziwy. Choć Anna oczywiście nie wiedziała o nim nic.

Wsunęła do ust papierosa i podeszła do okna. Zaciągnęła się, zakasłała, po czym zaczęła opowiadać. Najgorsze było pierwsze zdanie. Kiedy już je wypowiedziała, każde następne układało się samo. Mówienie, o dziwo, nie sprawiało jej żadnego wysiłku. Być może potrzebowała obarczyć jeszcze kogoś tą historią – kogoś, kto nie uczestniczył w wypadkach bezpośrednio i nie znał Anny. Kto potrafiłby spojrzeć na sytuację z dystansu. Opowiedziała mu zatem wszystko, pomijając jedynie wątki melodramatyczne, które z pewnością nie zainteresowałyby komisarza. Niejasne uczucia wobec Ingvara i Lajona, dziwna miłość do Vidara, zdrady – cała ta fabuła żywcem wyjęta z brazylijskiej telenoweli pozostała niestreszczona. Opowiedziała mu za to o Lidce. Kiedy skończyła, poczuła się lepiej. Sama nie mogła w to uwierzyć. Zmiażdżyła papierosa na spodku, który najwyraźniej do tego właśnie służył, i odwróciła się od okna. Valli wciąż się jej przyglądał. Po chwili wstał i obrócił w stronę Anny laptop. Zerknęła na ekran i przeczytała swoje nazwisko. Poczuła, że robi jej się niedobrze.

– Co jest? – zapytał komisarz z niepokojem.

– Nic. Nigdy wcześniej nie...

– Nie szukałaś w internecie informacji na swój własny temat?

– Nie aż tak dokładnie. Przeczytałam coś tam i resztę wolałam sobie odpuścić.

– Aha. Wszystko tu jest. Wystarczyło przepisać z dowodu imię i nazwisko, a później artykuły przepuścić przez translator. Tłumaczenie ze szwedzkiego trochę kiepskie, ale można je zrozumieć. Nie musiałem nawet szukać w policyjnych bazach. Dobrze się czujesz?

Anna oparła się dłońmi o blat biurka. Rzeczywiście, w internecie było wszystko. Informacje o niej i Vidarze, o sprawie Narcyza, o Sofii Stiatesi, Brunonie i Lidce. Wiedziała to już wcześniej. Widziała nagłówki, ale nigdy nie miała odwagi dokładnie wczytać się w treść. Bała się internetu. Sieci używała tylko w pracy, do składania ofert i zamówień, kontaktów z klientami, a także do rezerwacji biletów na samolot. Jeśli mogła, pozostawała off-line. Strach przed tym, co mogłaby znaleźć, przewyższał ciekawość. A jednak... Skoro Valli tak łatwo ją przeświecił, musiało się to również powieść Lucrezii. Dlaczego zatem Włoszka milczała na ten temat?

Komisarz Valli zbliżył się do Anny i poklepał ją niezdarnie po ramieniu. Zamknął laptop i przesunął go na drugi koniec biurka. Był zakłopotany i chyba zły na siebie za to, że zmusił Annę do zwierzeń. Uspokoiła go.

– W porządku, nic mi nie będzie. Nie jestem jakąś królowną, pozbieram się. Kiedyś musi mi się udać.

– Kiedyś musi – powtórzył Valli. Bez przekonania. – Przepraszam, wolałem usłyszeć tę historię od ciebie. W internecie mogli kłamać.

– Ja też mogłam kłamać.

– Ale nie kłamałaś.

Nie, nie kłamała. Nie miała na to siły. Na obmyślanie kłamstwa potrzebne są dużo większe nakłady energii niż na mówienie prawdy. Przez chwilę siedzieli w ciszy. Anna zastanawiała się, po co komisarz

Valli ściągnął ją tutaj. Gdzie podziewała się teraz Lucrezia? Czy wróciła już do domu i co robiła? Anna myślała też o Poliszynelu, o swoich podejrzeniach co do jego osoby. Chciała właśnie podzielić się nimi z Vallim, kiedy do gabinetu wsunął się młody policjant. Położył na biurku komisarza kolejny papier i plastikową torebkę z jakimś świstkiem w środku. O dziwo – odezwał się po angielsku. Akcent miał gorszy niż komisarz.

– Odciski palców ofiary były w bazie w Lyonie. Tutaj są dane tego chłopaka. A tutaj... To znaleźliśmy w wewnętrznej kieszeni kaftana czy jak tam się zwie ta bluzka. Tego całego Pulcinelli.

Mundurowy spojrział niepewnie na Annę, ale Valli tylko machnął ręką. Cała trójka pochyliła się nad plastikową torebką. Na małej karteczce wypisane było: „Ponte della Moneta. 1444, 1524, 2015”. Valli jęknął, a mundurowy chrząknął i wyprostował się jak struna. Anna przyglądała im się na zmianę, próbując jednocześnie odgadnąć, o co chodzi w tym dziwnym haselku. Okazało się, że szyfr wcale nie jest aż tak skomplikowany.

– Ponte della Moneta to dawna nazwa mostu Rialto – odezwał się młody policjant.

– Zgadza się – potwierdził Valli. – A 1444 i 1524 to daty zawalenia się mostu w przeszłości.

Anna miała wrażenie, że cała krew odpłynęła jej z twarzy. Komisarz Valli również dziwnie zszedł i zaczął nerwowo klepać się po kieszeniach. Wreszcie wyjął telefon, wystukał jakiś numer i zaklął, kiedy trzy razy z rzędu nikt nie odebrał połączenia.

– Pieprzony karnawał! A pracować nie ma komu. Stefano, mykaj na górę i zobacz, kto tam dzisiaj siedzi. Pewnie będzie trzeba szefostwo z imprez pozgarniać.

Młody kiwnął głową i wypadł z gabinetu. Anna po raz kolejny przyjrzała się małej karteczce zapakowanej w folię.

– 2015? – zapytała głucho. – Chyba mi nie powiesz, że ten most... Znowu się zawali?

Komisarz wzruszył ramionami i potarł zmęczone oczy. Zapalił papierosa i przesunął w stronę Anny paczkę. Odmówiła. Wciąż kręciło jej się w głowie po tym, którego wypaliła przed chwilą. A teraz musiała się skupić. Bo te cyfry i teorie związane z ewentualnym atakiem terrorystycznym w ogóle do niej nie przemawiały.

Livia Foscari patrzyła, jak jej mąż podpalał stos. Płomień pełzył w górę bardzo powoli. Livia zerknęła na sufit. Wciąż miała obawy, że włączą się czujniki przeciwpożarowe, choć przecież wszystko sprawdzili, przygotowali, dopięli na ostatni guzik. Szkoda byłoby, gdyby coś poszło niezgodnie z planem. Kukła leżała na stosie, piękna jak żywa, choć taka nieruchoma. To Livia wybrała dla niej maskę i suknię. Wcześniej miała jednak wrażenie, że lalka, którą wykonało dwóch austriackich artystów, była nieco większa. Nie, nie większa. To nie było odpowiednie słowo. Livia przekrzywiła głowę. Wyższa. Miała wrażenie, że wcześniej lalka była wyższa, ale może sylwetkę optycznie skróciła rozkloszowana suknia. Poza tym pozycja leżąca również z pewnością wprowadzała w błąd. Luigi odsunął się od stosu i z beznamietnym wyrazem twarzy wpatrywał się w coraz liczniejsze języki ognia. Mordował karnawałową kukłę.

Tym razem... mordował osobiście.

Livia na sekundę zacisnęła powieki. Zaraz jednak opanowała się i sięgnęła po kieliszek szampana. Nie

mogła pokazać po sobie, że cokolwiek wiedziała. Nawet jeśli się bała i od jakiegoś czasu każdej nocy zamykała drzwi sypialni na klucz. Spytał ją o to raz czy dwa. Wykręciła się od odpowiedzi. Czekał. Pewnie uznał, że znowu ma chwilową huśtawkę nastrojów, a później wszystko wróci do normy.

Normy?

Livia Foscari wypijała szampana. Wpatrzyła się w ręce karnawałowej kukły, którą mordował jej mąż. Były ułożone wzdłuż tułowia. Jedna z nich osunęła się i zwisała teraz bezwładnie nad podłogą. Livia poczuła swąd. Zemdlilo ją. Coś tu się nie zgadzało. Tak, kukła była jednak krótsza, teraz Livia widziała to wyraźnie. I ręka. Zwisająca bezwładnie nad podłogą. Dłoń. Paznokcie.

Czerwony lakier.

Kukła, którą wykonali austriaccy artyści nie miała pomalowanych na czerwono paznokci. Kto to zrobił? Roberto Capelli? Livia go o to nie prosiła. A poza tym... Wreszcie zrozumiała, co ją wcześniej zaniepokoiło. Kukła nie była wcale jak żywa.

Była jak martwa.

Livia krzyknęła.

Pokrzykiwania policjantów splotły się w całość ze słowami piosenki płynącej z radia. *Monday left me broken...* Avicii. Szwedzki DJ. Ze Sztokholmu. Anna uśmiechnęła się pod nosem i zaczęła nucić. Ktoś wymachiwał rękami, ktoś inny rozlał kawę – na szczęście z filiżanki do espresso można było wyłączyć niewiele – ktoś jeszcze inny wypluł z siebie wiązaną słów i prawie zarobił w pysk od... Nie wiedziała od kogo. Nietrudno było się jednak domyślić, że wyplutą wiązaną słów były jakieś wulgaryzmy, choć po włosku brzmiały bardzo elegancko. Ale gość, który je wyartykułował, obraził wszystkich swoich kumpli, bo nagle w gabinecie Vallego zapadła cisza. I – nie wiedzieć czemu – każdy utkwiał wzrok w Annie. *How did I get so blind and so cynical?*, zdążyła jeszcze zanucić i Avicii zamarł jej na ustach.

Podniosła głowę znad angielskojęzycznej wersji papierów, które właśnie przeglądała, i usiłowała zrobić wyniosłą minę. Co w obecnej sytuacji przyszło jej z trudem. Czyżby o nią się kłócili? Nie, niemożliwe. Kłócili się o ten pieprzony most. „Ponte, ponte”, mamrotali. Dumali, na swoją włoską, krzykliwą modłę, nad możliwością wysadzenia Rialto. Wysłano tam nawet specjalną ekipę, która miała ewakuować przechodniów, przeświecić most i odpowiednio go zabezpieczyć. Poinformowali karabinierów. Musieli to zrobić, choć Arma dei Carabinieri i Polizia di Stato jawnie nie cierpieli się od dziesiątek lat. Sytuacja jednak była szczególna i należało połączyć siły. Anna zdawała sobie z tego doskonale sprawę. Karteczka z niejasnym szyfrem, znaleziona w kieszeni faceta zamordowanego nieopodal Calle Bombasari, blisko Rialto, w dodatku w pierwszy wieczór karnawału, musiała nieźle napędzić wszystkim stracha.

A jednak... Anna nie mogła oprzeć się wrażeniu, że tracili czas. I nic nie mogła na to poradzić. Kto by się przejmował przecuciami jakiejś babki w niebieskiej sukience, która zdeptała miejsce zbrodni? Jakiejś... Obcej byłej policjantki z Ystad? Pewnie nawet nie wiedzieli, gdzie to jest.

Ponieważ zbita w ciasną gromadkę policyjna hałstra nadal konsekwentnie milczała, Anna z udawanym spokojem wróciła do studiowania papierów, z których całkiem sporo dowiedziała się o denacie. Chłopak nazywał się Guido Russo, miał dwadzieścia pięć lat, mieszkał w Padwie i był mechanikiem

samochodowym. We wczesnej młodości złapano go na kilku drobnych kradzieżach i jednej całkiem poważnej, za którą trafił do poprawczaka. Jego historia była banalna i zalatywała mydlaną operą. Dom dziecka, trzy rodziny zastępcze i skargi na trudny charakter, agresję i „niezdrowe” zainteresowania. Annę zaintrygowało zwłaszcza to ostatnie. Co też kryło się pod hasłem „niezdrowe” zainteresowania? Może facet po prostu interesował się seksem jak wszyscy młodzi ludzie? W każdym razie los się wreszcie do Guida uśmiechnął, znalazło się poczciwe małżeństwo z poczuciem misji, które nie tylko chłopaka przygarbiło, ale też zabezpieczyło finansowo. Pan Russo przyuczał swojego przybranego syna do zawodu mechanika i obiecał przepisać mu w przyszłości całkiem niezłe prosperujący rodzinny warsztat. Niestety, jak łatwo się było domyślić, trudny charakter Guida wkrótce dał o sobie znać. Państwo Russo robili, co mogli, ale nie potrafili utrzymać młodego w ryzach. Kiedy ich syn wraz z kilkoma kumplami napadł na kilka sklepów jubilerskich, załamali się i całkiem zerwali z nim kontakt. A jednak złość musiała im wreszcie przejść. Guido zaczął ponownie pracować w warsztacie ojca, aż do... Właśnie. Do kiedy? Anna ponownie uniosła głowę znad papierów.

– Wiadomo od kiedy Guido Russo przebywał w Wenecji? – zwróciła się po angielsku do komisarza.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, że wszyscy wciąż przyglądali jej się w milczeniu. Przełknęła ślinę. A tak niewiele brakowało, by zaczęła wyłuszczać im tutaj swoją teorię na temat pobytu Guida w Wenecji... Położyła dokumenty na biurku i tym razem ona przyjrzała się uważnie każdemu z policjantów. Dwóm mundurowym, dwóm mężczyznom w marynarkach i rozchełstanych koszulach, i komisarzowi. Do Vallego i marynarkowych mundurowi zwracali się per szefie, ale kto kim był w tutejszej zawodowej hierarchii, tego Anna już nie potrafiła się domyślić. Na wszelki wypadek rzuciła im wyzywające spojrzenie.

– Przepraszam bardzo – przemówił nagle jeden z rozchełstanych słodkim głosem i kancią angielszczyzną. – Ja naprawdę nie rozumiem... kim, do jasnej cholery, ta *signora* jest?! Dlaczego tu siedzi? Dlaczego przegląda ściśle tajne dokumenty?!

– Bez przesady z tym ściśle tajne, większość znalazłabym w Google’u – weszła mu w słowo, a gdzieś w tle Valli zachichotał. Często prowokowała go do śmiechu. To było dziwne.

Rozchełstany spurpurowiał. Anna zatrzepotała rzęsami i wstała z krzesła. Ostatecznie – co miała do stracenia? To nie była jej piaskownica. Tutaj mogła spokojnie nabrudzić, napyskować i obrazić majestat. Najwyżej zamkną ją za brak poszanowania dla funkcjonariusza na służbie, a to przecież nic strasznego. Nigdy w życiu nie była po drugiej stronie krat. Niestety jednak Anna nie zdążyła nabrudzić w nie swojej piaskownicy. Za plecami rozchełstanego wyrósł nagle Valli.

– To jest komisarz Anna Lindholm z Ystad – wyjaśnił szybko, zanim się odezwała. – Ystad jest w Szwecji, jakby pan się zastanawiał. To ona znalazła ciało. Szły z koleżanką na San Marco. Skrótem.

– Mało turystów zna ten skrót – bąknął jeden z mundurowych.

Ktoś w tle nieśmiało szepnął „Wallander był z Ystad?”, ale został natychmiast uciszony.

– Koleżanka pani komisarz jest wenecką – rzucił komisarz, nawet na policjanta nie patrząc. – To antykwariuszka. Doldano. Z San Polo.

– Doldano? Czy to nie...

– Mamy chyba robotę? – uciał szybko Valli.

Mundurowy umilkł i przygarbił się. Widocznie pełnił tutaj funkcję etatowego popychadła. Ktoś musiał. Ktoś też musiał być wredny, by równowaga w przyrodzie została zachowana. A tutaj wredny był najwidoczniej Valli. Dwaj rozchełstani w marynarkach grali natomiast stereotypowe role wysoko postawionych głupków. Mimo to nie dali się tak łatwo zbić z tropu. Ten, który wcześniej spurpurowiał, teraz świdrował Annę wzrokiem, a za przemawianie zabrał się jego kumpel. Jak się szybko okazało, pod względem przyswajania języków obcych nie wykazywał powalających zdolności.

– I ty iść kanał, dziwnym trafem policjantka, Szwecja i trup? – odezwał się po angielsku, choć czy to był rzeczywiście angielski, głowy by nie dała.

Po twarzy Vallego przebiegł nerwowy skurcz. Spojrzała na niego ponad ramieniem rozchełstanego numer dwa i jej oczy zaszyły łzami. Nie roześmiała się tylko dlatego, że pseudoangielska fraza przywołała wspomnienie Leona-Lajona, który w Ystad usiłował posługiwać się językiem szwedzkim. Z bardzo podobnym skutkiem. Obmyślała właśnie, co odpowiedzieć, kiedy znowu wtrącił się Valli, bardzo rozbawiony i dziwnie pokaszający. Zagadał do rozchełstanego numer dwa po włosku i poklepał go po ramieniu, zupełnie tak samo, jak niedawno poklepał Annę. Przełożony nadal nie wydawał się przekonany, ale z angielską konwersacją dał sobie spokój. Valli natomiast zwrócił się do pozostałych kolegów i w gabinecie na powrót zapanował jazgot. Po chwili mężczyźni zaczęli gęsiego opuszczać pomieszczenie. Widać komisarz wydał im jakieś dyspozycje. W pokoju został tylko rozchełstany numer jeden. Jego również Valli poklepał po ramieniu i znowu zagadał po włosku. Anna miała już po dziurki w nosie całej tej durnej wieży Babel. Kiedy została sam na sam z komisarzem, opadła ciężko na krzesło i wpatrzyła się w niego z wyrzutem.

– Po co mnie tu trzymasz? – zapytała.

Valli roześmiał się – znowu! – i usiadł naprzeciwko niej, po czym roześmiał się jeszcze raz i parsknął tak przez kilka minut. Mogła to być opóźniona reakcja na angielszczyznę kolegi policjanta, efekt nadmiernego stresu albo jeszcze coś innego. Anna czekała. Komisarz uspokoił się, sięgnął po butelkę z wodą i pociągnął łyk. Anna czekała nadal. Valli postukał palcami w papiery, które dopiero co przestudiowała.

– Pytałaś o coś – przypomniał.

– Pytałam?

Anna zmarszczyła brwi. Pytała o coś. Faktycznie. Zastanawiała się nad Guidem Russem, nad jego przeszłością, domem dziecka, poprawczakiem, biografią jak z mydlanej opery i warsztatem... Właśnie. Warsztatem! A dokładnie – do kiedy Guido w nim pracował?

– Pytałam, czy wiadomo, od kiedy ten Russo przebywał w Wenecji? Dzwoniliście do rodziny?

Komisarz pokiwał wolno głową i Anna domyśliła się, że ta rozmowa nie była łatwa. Takie rozmowy nigdy nie są łatwe. Zasepiła się.

– Stary Russo twierdzi, że jego syn wyjechał z Padwy miesiąc temu. Wyniósł się z dnia na dzień, bez słowa.

– Miesiąc? – zdziwiła się. – Długo. Wiadomo, gdzie w tym czasie był, co robił? Od razu przyjechał tutaj?

– Ślad się po nim urywa. Nigdy nie płacił kartą, nie wiadomo, jak podróżował, w ogóle nic nie wiadomo. Trzeba przejrzeć monitoringi na dworcach kolejowych, autobusowych, lotniskach, w sklepach... Na początek w rejonie Veneto.

– Mógł jeździć stopem.

– Mógł.

– A komórka?

– Tę zarejestrowaną na siebie zostawił w domu. Jeśli używał telefonu, to na kartę. Ale w jego rzeczach nie znaleźliśmy komórki, portfela, dokumentów ani żadnych przedmiotów osobistych. Tylko ten paperek z nazwą mostu i datami. Młodzi sprawdzają teraz hotele w Wenecji i w Mestre, ale...

– Jeśli nocował w hotelu, to wybrał jakiś mały i nierzucający się w oczy, i na pewno nie zameldował się pod swoim nazwiskiem – dokończyła Anna.

Zarówno dla niej, jak i dla komisarza, jasne było, że młody Russo coś kombinował i zjawiał się w Wenecji z konkretnego powodu, a później komuś naraził i został sprzątnięty. Bo przecież to nie był

nieszczęśliwy wypadek. Russo nie powiedział, dokąd się udał, nie zostawił nigdzie żadnej informacji, nie używał własnej komórki. Zamierzał coś tu ukraść? Czy może już coś ukradł? Miał podobne grzeszki na sumieniu, więc może powrócił do dawnego fachu? Anna odchyliła się na krześle. Wiedziała, że Valli ciągle ją obserwuje. Wahała się przez chwilę, po czym wstała, obeszła biurko i stanęła przed komisarzem. Uśmiechnął się. Na innych wrzeszczał, ale do niej się uśmiechał.

– Dlatego właśnie cię tu trzymam, jak sama się wyraziłaś – powiedział. – Chyba myślimy podobnie. Oglądałaś tę gondolę. Interesowała cię tak bardzo, że prawie sama wpakowałaś się do kanału.

– Nie znam się na gondolach.

– To nie ma nic do rzeczy.

– Czyli tobie też wydaje się...?

– Że Guido Russo był naszym cichociemnym zakapturzonym gondolierem – uzupełnił Valli i spoważniał.

Patrzyli na siebie przez chwilę i każde z osobna zastanawiało się, jak teraz wykorzystać to dziwne porozumienie. Ciszę przerwało pukanie do drzwi. W progu pojawił się znany już Annie Stefano. Jąkał się, był blady i drżały mu ręce. Od razu wiedziała, że coś musiało się stać, choć oczywiście z potoku wystękanym włoskich słów nie zrozumiała nic. Komisarz skrzywił się i zacisnął pięści.

– Widać tej nocy padło nie tylko na Guida Russa – wycedził. Chwycił w dłoń telefon i zaczął krzyczeć w słuchawkę.

Anna wstrzymała oddech. Z monologu Vallego wyłowiła tylko nazwisko. Marconi. Znała je.

Rozdział 7

Antonio zabrał Annę Lindholm do pałacu Marconich. Koledzy z komendy patrzyli na niego niemal z niesmakiem, ale, prawdę powiedziawszy, komisarz miał ich wszystkich gdzieś. Zawsze miał – poza jednym Stefanem – choć w inny sposób. Teraz chodziło o Annę, o to, że zupełnie nie interesowało go, co sobie ktoś tam gdzieś tam pomyśli. Poprosił *vice-questore*, by pozwolił mu z nią pracować. Zrobił to pod wpływem impulsu, niczego nie przemyślał. Nie znał jej. Szef powiedział, że się zastanowi, ale to właściwie oznaczało zgodę. Zastępca komendanta wiedział, czego może się spodziewać po komisarzu Vallim. Wiedział też to, że jeśli mu odmówi – on i tak zrobi swoje, ale po cichu, na boku, a więc poza wszelką kontrolą. Skoro chciał się wygłupiać z tą szwedzką dziewczyną w gumiakach, lepiej mieć go na oku, przynajmniej trochę. *Vice-questore* był dla Vallego bardzo czytelny. I z pewnością zmartwił się tą sprawą z Marconim. Bo Marconi był w Wenecji ważny, miał wpływy i pieniądze, znał ludzi, a jeśli ktoś tu „zna ludzi”, należy traktować go poważnie. Komisarz Valli spodziewał się w związku z tym zgłoszeniem samych kłopotów. Niemniej jednak czuł się dziwnie pokrzepiony towarzystwem Anny Lindholm. A to było prawie przerażające.

Martwiła go jeszcze jedna rzecz. W Palazzo Marconi wydarzyła się tragedia. A przecież tam właśnie szły – Anna i Lucrezia Doldano. Czy to mógł być przypadek? Lucrezia Doldano i trup nad kanałem. Lucrezia Doldano zmierzająca do pałacu Marconich. Lucrezia Doldano i topielec sprzed roku. Lucrezia Doldano i dwóch chłopaków z Padwy. A Anna? Jeśli ona też coś kombinuje? Jeśli bierze udział w całej tej maskaradzie i współpracuje z Doldano?

A jeśli nie ma żadnej maskarady i współpracy? Jeśli nikt nie kłamie? Nikt nic nie kombinuje? Jeśli to przypadek? Nie, nie, komisarz Valli nie zaczął nagle wierzyć w przypadki tylko dlatego, że po raz pierwszy od wielu lat poczuł się kimś autentycznie zaintrygowany. Ale chciał wierzyć w szczerść i uczciwość Anny. Co nawet w jego myślach brzmiało idiotycznie.

Szybko jej zaufał. I był na siebie za to zły.

W pałacu śmierdziało. Paloną gumą, tworzywem sztucznym i czymś jeszcze – czymś, co przypominało swąd poparzonej skóry. Ten ostatni zapach był ledwie wyczuwalny, ale przykry, najgorszy ze wszystkich. Kiedy Luigi Marconi usłyszał krzyk, automatycznie chwycił gaśnicę. A przecież nie wiedział, o co chodziło, bezmyślnie wpatrywał się w płomienie i czekał, aż to wszystko się skończy. No, może nie całkiem bezmyślnie. Zastanawiał się, czy wtedy, przed dwudziestoma pięcioma laty, scenka wyglądała podobnie. Ale nie, z pewnością nic nie było tak znakomicie przygotowane, jak tutaj. Nie znał jednak szczegółów. Od tamtej pory fascynował go ogień. Od tamtej pory bał się ognia.

Ktoś krzyknął, a on od razu chwycił gaśnicę, jak gdyby czekał na znak. Nie podobał mu się pomysł

palenia kukły i od początku widział w tym drugie dno. Tylko udawał entuzjazm. Udawał wiele różnych stanów emocjonalnych. Teraz miał już niemal pewność, że Livia niczego nie wymyśliła sama. Ktoś udzielił jej rady. A jeśli ona czegoś się dowiedziała? Tylko jak? Z niczym się przecież nie zdradził. I pomógł jej trzy lata temu. Mieli wspólną historię i wspólne tajemnice. Pan i pani Smith...

Dopiero kiedy pod warstwą białej piany zgasły ostatnie płomyki, Luigi naprawdę przyjrzał się kukle. Suknia, maska, fryzura. Bezwładnie zwisająca ręka, wcześniej ułożona wzdłuż tułowia. Dłoń. Paznokcie. Czerwony lakier.

Lakier. Taki sam. Ten sam. To były jej paznokcie, charakterystycznie ukształtowane, o szerokiej płytce, krótkie. To była ona. Ona tutaj! Luigi zbliżył się do stosu, pochylił nad kukłą i uniósł maskę. Kilka uderzeń serca więcej. Płytszy oddech. Pot na czole. A teraz spokój, udawany spokój, podszyty wystudiowanym przerażeniem. Krok do tyłu, prośba o wezwanie policji.

Przerażenie. Bo coś strasznego stało się pod jego dachem.

Spokój. Bo przecież nie znał tej dziewczyny.

Pałac Marconich nie był właściwie pałacem, wbrew temu, co mówił Antonio Valli i co twierdził sam właściciel, który uparcie używał słowa *palazzo*. Palazzo Marconi. Dużo lepszym określeniem byłoby tutaj przasne *casa*, dom. Przepiękne pałace – pałace prawdziwe – które zdążyła już zwiedzić podczas swojego pobytu w Wenecji, nazywane były właśnie tak. Ca' Rezzonico, Ca' Dario, Ca' Grande... O Marconim jednak nikt nie mówił *casa*, choć budynek nie wyróżniał się niczym szczególnym. Pomalowany na cegląstą czerwień, z ciemnozielonymi okiennicami, trzema wąskimi balkonami i tarasem na dachu, spełniającym funkcję ogrodu, usytuowany był przy Rio de San Zulian. Wejście główne znajdowało się od strony Campo della Guerra, a pajęczyna uliczek prowadziła stąd wprost na Piazza San Marco. Owszem, dom był odrestaurowany, zadbany i zwyczajnie piękny, ale w porównaniu do pokazowych pałaców Serenissimy sprawiał raczej przeciętne wrażenie. Kiedy Anna weszła do środka, pomyślała, że właściciel musiał po pierwsze bardzo lubić swój zawód, a po drugie – sporo się w życiu napatrzyć na hall w hotelu Ca' Sagredo. Hall w pałacu Marconich był bowiem niemal wierną kopią tamtego, tyle że w pomniejszeniu, z większą za to ilością złotych zdobień. Nic dziwnego. W końcu mieszkał tu bogaty jubiler.

Annę przeszedł dreszcz. Że też właśnie tutaj wybierały się dzisiaj z Lucrezią. Ten zbieg okoliczności był aż nie do pomyślenia. Luigi Marconi w pierwszą noc karnawału urządził w swoich murach wielki bal i przewidywał miejsca dla tych, którzy urzekliby go wyszukany przebraniem. Nie, nie jego... Odźwiernego! Anna mechanicznie potrząsnęła głową, kiedy przypomniała sobie ogłoszenie w gazecie. Co za pechowa noc. Najpierw chłopak nad kanałem, a teraz to! I jeszcze ona musiała znaleźć się akurat w centrum wydarzeń. Dziwne. Najwyraźniej jej i Lucrezii pisana była dzisiaj zbrodnia. Ale tutaj, do Palazzo Marconi, w życiu by nie weszły. Odźwierny gospodarzy z pewnością nie uraczyłby ich nawet przelotnym spojrzeniem. Teraz, kiedy Anna ukradkiem przyglądała się wszystkim tym Casanovom, Kolombinom, Pierrotom, Pantalonom, doktorom odzianym w maski z długimi nosami, a nawet syrenom, Kopciuszkom, Królowej Śniegu i samej Śmierci, zrozumiała to doskonale. Nie miały najmniejszych szans dostać się na ten bal. Anna uznałaby nawet, że dobrze się złożyło, gdyby nie pamięć o tym, co je

zatrzymało. Los był dziś przewrotny. Nie ten denat, to inny...

Komisarz Antonio Valli – Toni, jak kazał się do siebie zwracać – stał na środku złotego hallu i przytykał nos palcem wskazującym, udając że się drapie. Uczestnicy balu, teraz stłoczeni pod jedną ze ścian, trzymali przy twarzach eleganckie chusteczki. Słysząc było pochlipywania, szepty i westchnienia. Zdezorientowany DJ, tak, właśnie DJ, a nie żaden kwartet smyczkowy, co Anna odkryła ze zdziwieniem, miętosił w dłoniach swoje słuchawki. Pani domu, trupio blada, trzymała się parapetu. Tylko gospodarz, Luigi Marconi, prezentował się godnie, choć pewnie bardzo nadrabiał miną. I – tak jak Anna – oddychał ustami. Faktycznie, zapach był niemal nie do zniesienia. Dało się go wyczuć już na Campo della Guerra, tuż przed wejściem do pałacu, a w hallu stawał się tak intensywny, że wgrzyzał się w ubranie, włosy i skórę. Gospodarze z pewnością nie przeprowadzili próby generalnej z kukłą na stosie i nikt ich nie uprzedził, że podpalenie zlepku tworzyw sztucznych może dać właśnie taki efekt. W sumie powinni się tego domyślić, skoro idealnie przygotowali wszystko inne. Nie mogli natomiast przewidzieć, że do mieszaniny nieprzyjemnych zapachów dołączy jeszcze jeden. Swąd poparzonego ciała.

Jeden z towarzyszących Vallemu i Annie policjantów nie wytrzymał i zaraz po przekroczeniu progu obrócił się na pięcie, po czym wybiegł na zewnątrz. Reszta wytrwała dzielnie przy komisarzu – zwłaszcza że szef uparcie ciągnął za sobą tę dziewczynę w sukni z zakrwawioną falbanką. Tak z pewnością musieli o niej myśleć. Nie ufali Annie, a ona w ogóle się temu nie dziwiła. Sama nie do końca wiedziała, dlaczego Valli przyprowadził ją do Marconich. Prawdopodobnie domyślał się, że morderstwo w zaułku przy Calle Bombaseri i to... to, co wydarzyło się tutaj, miało ze sobą jakiś związek. Ona również nie mogła się oprzeć podobnemu przekonaniu. Poza tym nie dokończyli rozmowy o tajemniczym gondolierze.

Kiedy zespół technicznych dołączył do komisarza, Anna oddaliła się nieco i obserwowała całą scenę z dystansu. Zerknęła na wyświetlacz telefonu i przekonała się, że rzeczywiście było już po północy. Kiedy zmierzali z Vallim w stronę Campo della Guerra, nie mogła zrozumieć, dlaczego na balu u Marconiego moment palenia kukły nastąpił tak szybko. Dopiero komisarz poinformował ją, że wcale nie szybko, ale ściśle według planu – o dwunastej w nocy. Wtedy zaczęła się prawdziwa zabawa. Kukła zapłonęła.

Techniczni jak gdyby nigdy nic zaczęli uwijać się wokół ustawionego na środku hallu stosu, a Valli półgłosem pytał o coś gospodarza. Luigi Marconi zatrzęsł się lekko, nie wiadomo – ze strachu, ze smutku czy ze złości – po czym skinął głową. Mówił coś jeszcze przez chwilę, wykonując bliżej nieokreślone gesty, jak gdyby chciał komisarzowi pewne zjawiska unaocznić i rozrysować. Miał na sobie strój Arlekina. Ciekawe, że właśnie na tę postać się zdecydował – uosobienie ubóstwa, bożka złodziei i żebraków. Anna powiodła wzrokiem po złotych ścianach Palazzo Marconi i uśmiechnęła się gorzko. Złodziejem może i Luigi był, ale z pewnością nie żebrakiem. Z tego, co zdążyła się dowiedzieć od policjantów, miał dwa sklepy jubilerskie w Wenecji, jeden we Florencji, jeden w Weronie i jeden w... Padwie. A przecież z Padwy właśnie pochodził nieszczęsny Guido Russo! Tylko czy to miało jakieś znaczenie?

Pokręciła się jeszcze przez chwilę pod ścianą, ale goście Marconich szepotali między sobą po włosku i nie była w stanie wyłapać z ich rozmów żadnej istotnej informacji. Poza tym przepytywaniem towarzystwa zajęło się już kilku kolegów Vallego z komisariatu. Pani domu, wciąż przeraźliwie blada *signora* Foscari, nadal chwiała się przy parapecie. To właśnie w jej stronę Anna skierowała swoje kroki. Zbliżyła się dyskretnie i zapytała kobietę, czy zna angielski. *Signora* Foscari wzdrygnęła się i otworzyła szeroko oczy, ale jednocześnie kąciki jej ust wykrzywiły się drwiąco. Anna zakłęła w duchu. „Czy mówi pani po angielsku?” – bardziej idiotycznego pytania zadać nie mogła. Tutaj każdy znał angielski.

Gospodyni skinęła głową i zerknęła w stronę policjantów, a później omiotła wzrokiem technicznych, uwijających się wokół stosu, na którym miała zostać uroczyście unicestwiona karnawałowa kukła. Anna również podążyła za jej spojrzeniem i zadrżała na widok nadpalonych lakierowanych pantofelków, dymiącej złotej sukni z haftami, maski i burzy ufryzowanych loków.

– Pani jest od nich? – przemówiła wreszcie Foscari i odkleiła się od parapetu. Zasłoniła dłonią usta. Po jej mocno upudrowanym policzku popłynęła łza.

– W pewnym sensie... – Anna zawahała się, ale w tym momencie podszedł do nich komisarz Valli w towarzystwie Marconiego.

– *Signora* Foscari, to jest komisarz Anna Lindholm z Ystad. Będzie nam pomagała przy tej sprawie jako konsultant – wyjaśnił gładko.

– Z Ystad? – Marconi skrzywił się z niesmakiem. – Potrzebujemy konsultantów ze Szwecji?

Anna otworzyła usta, ale Valli znowu był szybszy. Najwyraźniej faktycznie zależało mu na tym, by z nim pracowała, skoro przez pół wieczoru bawił się w jej adwokata.

– Komisarz Lindholm spędza w Wenecji karnawał, ale pracowała już kiedyś przy podobnej sprawie, więc skorzystamy z jej doświadczenia.

Miała ochotę go zamordować. Pracowała przy podobnej sprawie? Skorzystają z jej doświadczenia? Przecież ona nie była już nawet policjantką! Przełknęła cisnące się jej na usta przekleństwa i uśmiechnęła się. Sztucznie. Może nawet złośliwie.

– Powiedziałybyśmy: miło mi, ale to chyba nie są teraz odpowiednie słowa.

Luigi Marconi sztywno kiwnął głową. Nie ulegało wątpliwości, że udział Anny w śledztwie uważał za zbędny. Pani Foscari zaś spojrzała na nią najpierw z przestrawieniem, a później... Anna sama właściwie nie wiedziała jak. W tej kobiecie było coś dziwnego. Coś fałszywego. Tak się przynajmniej Annie zdawało, ale po tym, co niedawno przeszła, wolała traktować z dystansem wszystkie swoje przecucia.

– No dobra, nieważne, ze Szwecji czy Grenlandii, ważne, żeby pani się tu na coś przydała! To mój dom. To... Wydarzyło się w moim domu – głos Marconiemu zadrżał.

– Właśnie – zwrócił się Valli do gospodarza. – Proszę porozmawiać z komisarz Lindholm i opowiedzieć jej to samo, co mnie. *Signora* Foscari również, jeśli byłaby tak miła, proszę dołożyć coś od siebie. Później pojedziemy na komisariat i spisujemy zeznania.

– To konieczne? – przerwała mu kobieta piskliwie.

– Oczywiście. Musimy przesłuchać wszystkich. Gości, pracowników, kucharzy, DJ-a, każdego, kto miał jakikolwiek związek z tą imprezą. A już zwłaszcza państwa. Jak słusznie pan zauważył, to wasz dom.

– Wiadomo, kim ona...? – odezwała się znowu kobieta, spoglądając w stronę stosu.

– Myślałem, że ktoś z państwa mi powie. – Valli uśmiechnął się łagodnie. Wyglądał teraz niemal sympatycznie. – No nic, z pewnością wkrótce to ustalimy. Ja tymczasem jeszcze się rozejrzę, a państwo porozmawiają z komisarz Lindholm.

Valli oddalił się w kierunku technicznych, a Luigi Marconi z powątpiewaniem zlustrował suknię Anny, poplamioną krwią falbanę i brudne kalosze. Nie miał ochoty z nią rozmawiać, a jednak, z pewnymi oporami, zaczął. Jego żona na powrót przysiadła na parapecie i ukryła twarz w dłoniach.

– Jak już powiedziałem komisarzowi, wszystko było przygotowywane od dawna. Stos, specjalne drewno, podłoże, zabezpieczenia przeciwpożarowe... Myśleliśmy, żeby tę kukłę spalić na dworze, ale nie znaleźliśmy odpowiedniego miejsca, poza tym musielibyśmy wystąpić o zgodę i tak dalej, nie będę się nad tym rozwodził. W swoim domu mogę robić, co mi się podoba, a hall jest dość duży i wysoki, więc uznaliśmy, że cały zabieg przeprowadzimy tutaj. Bawiliśmy się głównie w salonie. Do hallu goście wychodzili tylko porozmawiać albo zapalić. Hm... Papierosa, nie kukłę.

Anna utkwiała w nim badawcze spojrzenie. Ta uwaga była nie na miejscu.

– Na żarty ci się zebrało? – syknęła nagle *signora* Foscari i zerwała się z parapetu.

– Uspokój się... – wycedził na to jej mąż, ale nie pozwoliła mu dokończyć.

– Mam się uspokoić? Lepiej ja pani opowiem, proszę posłuchać. – Foscari zbliżyła się do Anny. – To, co mąż mówi, jest prawdą. Przygotowaliśmy wszystko doskonale. Chcieliśmy wyprawić wielki bal maskowy i o północy spalić symboliczną kukłę. Stos można było oglądać w hallu przez cały wieczór, a na nim ułożona była... ta... ta...

Marconi chrząknął i objął żonę sztywno. Anna pomyślała, że ich relacje nie były zbyt ciepłe. A może zachowywali się tak, bo przeżyli szok i jeszcze nie wszystko do nich dotarło? Trudno było rozszyfrować Marconich. Z jakiegoś powodu przecież musieli się siebie trzymać. A jednocześnie coś tutaj bardzo nie pasowało.

– Ta kukła – dokończył wreszcie gospodarz.

– Ta kukła – powtórzyła wolno kobieta. – Była tam przez cały wieczór, rozumie pani? Sprowadziliśmy ją z Austrii, od artysty, który wykonywał lalki na podobieństwo rzeźb Duane’a Hansona. Kojarzy pani?

Anna potwierdziła. Widziała kilka prac Hansona i zrobiły na niej wielkie wrażenie. Zwłaszcza *Kobieta z torebką*, którą oglądała w wiedeńskim Mumoku – manekin naturalnych rozmiarów, z akrylu, wosku, szkła i innych tworzyw. Wyglądał jak żywy.

– Właśnie. Ta nasza kukła miała tak wyglądać, jak u Hansona. Jak gdyby... żyła. Były pewne kłopoty po drodze. Otóż artysta, który przyjął nasze zlecenie, niestety zmarł na zawał. Ale zadanie przejął po nim kolega po fachu i sprawił się doskonale. Byliśmy zachwyceni. Każdy, kto widział tę kukłę, nie mógł się nadziwić. Aż szkoda było ją spalić. Boże, niedobrze mi...

– Usiądź. – Marconi zakrzętnął się koło żony i uchylił okno, by wpuścić do hallu nieco świeżego powietrza. Dlaczego nikt wcześniej na to nie wpadł?

– O północy zebraliśmy się wszyscy tutaj – gospodarz podjął przerwana opowieść. – Powiedziałem parę słów, podłożyłem ogień, wszyscy zaczęli klaskać, śpiewać, cieszyć się, ale po upływie dłuższej chwili poczuliśmy ten smród. Swąd... palonego mięsa.

Foscari jęknęła pod oknem, a Anna poczuła, że robi jej się gorąco.

– I ugasił pan ogień? – zapytała. Nie mogła znieść tej przykrej pauzy.

– Tak. Ludzie zaczęli panikować, wybiegać z pałacu, kasłać i zatykać nosy... Myślałem, że pewnie wszystkie tworzywa sztuczne tak śmierdzą, łącznie z suknią, butami i peruką, ale przecież to nie mogło być tylko to. Ugasiłem ogień. Z początku nie miałem jak zajrzeć pod maskę tej... kukły, bo wszystko było gorące i wciąż się tliło, ale po upływie kilkunastu minut zaryzykowałem. Zdjąłem jej maskę, spojrzałem w twarz i... To...

– Nie była kukła? – dokończyła Anna, niemal na wdechu.

– Nie. To nie była kukła.

Stefania Massimo siedziała na podłodze w hallu Marconich i opierała się o zimną ścianę. Znalazła jakąś ulotkę i zaczęła się nią wachlować. Było jej słabo. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że gdzieś już widziała twarz tej dziewczyny. Na pewno się nie poznały, ale Stefania miała dobrą pamięć i zawsze zwracała uwagę na szczegóły. Widziała ją. Z pewnej odległości, nie z bliska. Gdzieś nieopodal salonu

jubilerskiego? Chyba tak. I jeszcze gdzie indziej. W łodzi, za szybą. Dziewczyna pochwyciła wtedy spojrzenie Stefanii i odsunęła się tak, by stać się niewidoczną.

To była Łódź Marconiego. Wówczas Stefania nie ekscytowała się zbytnio widokiem dziewczyny w łodzi swojego szefa. Wszyscy wiedzieli, że miał kochanki. Tajemnica poliszynela. Zmieniał je, ale nigdy nie spotykał się z kilkoma równocześnie. Stefania uznała wtedy, że widocznie nadszedł czas ładnej szatynki o młodej, lekko zaokrąglonej twarzy.

A teraz szatynka o zaokrąglonej twarzy była martwą karnawałową kukłą. Leżała tutaj, w domu Marconiego. Ktoś ją zamordował i ułożył na stosie. Stefania wstała z podłogi i rozejrzała się. Policjanci rozmawiali z gośćmi. Ją też dopadną. Co powinna powiedzieć? Że widziała tę dziewczynę w łodzi Marconiego? Że trzy lata temu widziała też... Nie, w to nikt jej nie uwierzy. Nikt nie potraktuje tej opowieści poważnie.

Stefania poczuła skurcz w żołądku. W oddali, pod oknem, zauważyła bladą, czarnowłosą *stranię* w karnawałowej sukni kiepskiej jakości. Najwyraźniej pracowała przy tej sprawie. Może była policjantką, ale na pewno nie pochodziła stąd. Jeśli więc Stefania miała z kimś porozmawiać, to najlepiej właśnie z nią.

Największe zamieszanie spowodowało przybycie patologa. Ludzie przestali szeptać po kątach i zaczęli rozmawiać głośniej, pokrzykiwać, płakać, a nawet wygłaszać pretensje – zarówno do organizatorów balu, jak i pod adresem funkcjonariuszy policji. Nie stali też już posłusznie pod ścianą, ale zaczęli przechadzać się tu i ówdzie oraz popijać wino z kieliszków ustawionych na stolikach pomiędzy oknami. Ci odważniejsi wspinali się na palce i usiłowali dojrzeć coś ponad głowami techników i lekarza. Śwąd poparzonej skóry i nadpalonych tworzyw sztucznych zmieszał się z zapachem słodkich perfum, potu i alkoholu.

Annie zrobiło się niedobrze. Czuła się też wyjątkowo paskudnie po tym, co usłyszała od Luigiego Marconiego. Zbrodnia, której tutaj dokonano, musiała być nad wyraz ryzykowna, zaplanowana w najdrobniejszych szczegółach i czasochłonna. Morderca pozbawił ofiarę życia – Anna wciąż jeszcze nie wiedziała, w jaki sposób – przeniósł ją do pałacu, ułożył na stosie, z którego zabrał kukłę i... Właśnie! Gdzie znajdowała się cholerna kukła? Poza tym kiedy on to wszystko zrobił? Albo ona? A najpewniej jacyś bliżej niezidentyfikowani oni? Bo wydawało się mało prawdopodobne, że ktoś działał tutaj w pojedynkę. Poza tym najbezpieczniej było dokonać owej podmiany w nocy. Anna nie potrafiła wyobrazić sobie sytuacji, w której morderca w biały dzień składa na stosie ciało ofiary, a wokół niego trwają przygotowania do balu. Przecież przez ten hall przechodziło mnóstwo osób! Ustawiano popielniczki i stoliki, na których umieszczano dzbanki z kawą i herbatą, soki, wina, patery z ciastami, przygotowywano dekoracje, sprzątano i dokonywano ostatnich poprawek. Hall prawdopodobnie nie opustoszał nawet na minutę. Anna uniosła głowę, obróciła się powoli wokół własnej osi i ku swojemu zdziwieniu nie dostrzegła nigdzie kamer. W nich pokładała jeszcze jakąś nadzieję, ale teraz mogła liczyć tylko na to, że ktoś coś jednak zauważył. Lub usłyszał. A może te kamery były gdzieś ukryte? Czy bogaci weneccjanie w ogóle nie obawiają się, że ktoś ich okradnie?

Do Anny i milczących już teraz Marconich zbliżył się Antonio Valli. Wymienił z nią porozumiewawcze

spojrzenie, po czym zwrócił się do *signory* Foscari. Mówił po włosku, ale po sposobie, w jaki kobieta zerknęła w kierunku stosu, można się było domyślić, że komisarz poprosił ją o próbę identyfikacji zwłok. Z początku sprzeciwiła się i zbladła jeszcze bardziej, po chwili jednak wstała i chwiejnym krokiem ruszyła za mundurowym. Komisarz odprowadził ją wzrokiem, a kiedy dotarła na miejsce, spojrzała na ofiarę i pokręciła przecząco głową, rozłożył ręce. Na jego twarzy odmalował się wyraz bezradności.

– I pan obstaje przy tym, że również jej nie znał? – odezwał się następnie do Marconiego, przez wzgląd na obecność Anny przechodząc na angielski.

Luigi Marconi spojrzał na komisarza. Był zły.

– Czy pan coś sugeruje, *commissario*?

– Nic nie sugeruję. Ale ona jednak znalazła się w jakiś sposób na tym balu.

– Ktoś mógł ją tutaj... podrzucić – zripostował szybko mężczyzna, po czym umilkł.

Prawdopodobnie on również zdał sobie właśnie sprawę z faktu, że ułożenie zwłok na stosie nie było wcale łatwą sprawą. Anna zamyśliła się. A jeśli faktycznie nikt jej tu nie podrzucił? Jeśli dziewczyna przysłała do pałacu o własnych siłach, zdrowa i jak najbardziej żywa? I dopiero na miejscu ktoś ją tego życia pozbawił? Taki scenariusz byłby łatwiejszy do zrealizowania, a zatem należałoby rozejrzeć się po pałacu, wetknąć nos w każdą dziurę. Może gdzieś został jeszcze jakiś ślad? Może morderca również zdaje sobie sprawę z takiego prawdopodobieństwa i wróci...

Wróci, by posprzątać? Anna potarła palcami skronie. Szła w swoich domysłach zbyt daleko, ale ostrożność nigdy jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Nawet jeśli morderstwo popełniono poza pałacem, to i tak warto się tutaj rozejrzeć. Kiedy Luigi Marconi oddalił się, by podtrzymać na duchu załamaną żonę, Anna podzieliła się swoimi spostrzeżeniami z komisarzem. Valli zgodził się z nią, po czym wskazał kobietę na stosie.

– Nikt jej, póki co, nie rozpoznaje. Nie miała przy sobie żadnych dokumentów, tylko telefon komórkowy, ale trzeba wpisać hasło. Musimy je zdjąć.

– Płomień albo wysoka temperatura nie zdążyły go uszkodzić?

– Był w torebce przytroczonej do paska, a najpierw zajęły się stopy i dół sukni. Jest rozgrzany, ale jeszcze się nawet nie wyłączył. Więc jak mówiłem, musimy go odblokować.

Anna spojrzała na niego z politowaniem i parsknęła urywanym śmiechem.

– I tylko to wam do głowy przyszło? Zdjęcie hasła? Odblokowanie... Jak? Młotkiem?

– Informatyk...

– Ha! – Anna pokręciła głową. Czy oni w ogóle spróbowali najprostszej metody odblokowania telefonu, jaką wymyślono w dwudziestym pierwszym wieku?

– Masz lepszy pomysł? – Valli po raz pierwszy naprawdę się zirytował.

– Mam.

Ominęła komisarza i ruszyła na środek hallu, po krótkim namyśle cofnęła się jednak, chwyciła Vallego za rękaw i pociągnęła go za sobą. Wzięła też telefon komórkowy znaleziony w rzeczach ofiary i utorowała sobie drogę pomiędzy dwoma technikami. Kiedy zbliżyła się do stosu, patolog, którego widziała wcześniej przy ciele Guida Russa, otworzył szeroko oczy, ale powitał ją lekkim skinieniem głowy. Widać było mu już wszystko jedno, kto snuł się po miejscu zbrodni. A może przemawiało przez niego doświadczenie? I świadomość, że nic już go nigdy w życiu nie zdziwi? Ze spokojem odpiął ofierze kryzę i zerknął na jej szyję. Anna pochyliła się nad lekarzem i poprosiła o rękawiczki. Podał jej parę bez mrugnienia okiem. Ujęła kobietę za rękę. Przez chwilę przyglądała się jej twarzy, dość ładnej, okrągłej, ale nie nalanej, okolonej burzą spiralnie skręconych kosmyków zaplecionych w koronę. Poczowała dławienie w gardle. To doświadczenie było inne, niż tamto wcześniejsze, w ciemnej uliczce nad wąskim kanałem. Kobieta na stosie budziła w niej litość, sprawiała wrażenie przypadkowej ofiary, pionka,

którym ktoś posłużył się w większej rozgrywce. Ale oczywiście Anna mogła się mylić – pomyliła się przecież już wcześniej. Najboleśniej w ocenie swojej własnej siostry. Pozory niewinności mają niekiedy tyle wspólnego z rzeczywistym charakterem człowieka, co weneckie maski z jego prawdziwą twarzą. A jednak ta kobieta...

– *Signorina?*

Anna poderwała się i spojrzała za siebie. Za jej plecami stał siwy *medico legale*. Technicy, kilku umundurowanych policjantów i komisarz Valli przyglądali się z zainteresowaniem całemu spektaklowi. Skrzywiła się. Po raz drugi już dziś robiła z siebie widowisko. Wzięła się w garść i ponownie ujęła dłoń ofiary.

Zbliżyła jej kciuk do guzika uruchamiającego telefon. Wstrzymała oddech.

Na wyświetlaczu pojawiły się cyferki. Zakłęła po polsku, ku zdumieniu wszystkich zebranych. System wciąż domagał się hasła. Anna ujęła drugą dłoń ofiary i powtórzyła czynność. Miała wrażenie, że zaczęła na powrót oddychać dopiero wtedy, kiedy telefon został odblokowany. Podała go jednemu z techników. Na twarzy mężczyzny malował się wyraz zakłopotania. Anna zebrała fałdy swojej sukni, odsunęła się od stosu i pozwoliła wszystkim wrócić do pracy. Komisarz Valli patrzył na nią bez słowa.

– No... Okej, mogło nie zadziałać, ale chyba najpierw powinniście to sprawdzić, zamiast od razu ścigać łamaczy kodów? – zauważyła z ironią.

Valli zamrugał nerwowo i Anna miała wrażenie, że chciał ją udusić. I wtedy coś sobie przypomniała.

– Właśnie! Widziałam ślady na szyi, kiedy patolog odpiął kryzę. Ta dziewczyna została uduszona?

– Najprawdopodobniej. To się jeszcze okaże w autopsji, ale obstawiam, że tak. A z tym telefonem...

Nie mogłaś odpuścić sobie złośliwego komentarza, co?

– Taką już mam naturę – odpowiedziała błyskawicznie.

– Widzę – wycedził komisarz. Nie uśmiechał się, ale w jego oczach błysnęły iskierki rozbawienia. – Słuchaj... Będzie tu trochę roboty jeszcze dzisiaj i nie wiem, w co ręce włożyć, ale może umówilibyśmy się na jutro i dokończyli naszą rozmowę? O, no wiesz, gondolierze? I przyjrzymy się bliżej tej sprawie, może znajdziemy jakieś powiązania.

– Uważasz, że te morderstwa mogą się łączyć?

– A ty nie?

Anna tylko skinęła głową. Była odrobinę zawiedziona tym, że Valli poprosił ją o przyjscie dopiero jutro. Chętnie zabrałaby się do pracy już dziś. W głowie układała sobie dziesiątki możliwych scenariuszy i opracowywała plan działania. Nie chciała jednak pokazać po sobie nadmiernego entuzjazmu.

– Tylko mi nie mów, że nie chcesz wziąć udziału w całym tym cyrku – zmartwił się nagle *commissario*.

– Mogę chcieć – odpowiedziała powoli.

– Bądź o ósmej w komendzie.

– O ósmej? Nie będziesz kładł się spać?

– Nie.

Uśmiechnęła się. Mimo że Antonio Valli był starszy, kościsty, miał popielate włosy i twarz raczej charakterystyczną, aniżeli klasycznie piękną, w pewnych aspektach przypominał jej Ingvara. W niewielu właściwie. Zaledwie kilku. A jednak przypominał.

– Słuchaj... – Anna postanowiła zadać mu w końcu pytanie, które nurtowało ją, od kiedy pojawiła się w komendzie. – Czy nikt nie będzie miał nic przeciwko twojej współpracy ze mną? Nie jestem już policjantką. I trafiłeś na mnie właściwie przypadkiem.

– Nikt nie będzie miał – oświadczył Valli i zaczął rozglądać się niespokojnie na boki. – Tym się nie przejmuj. A teraz muszę chyba trochę tu pozamiatać, bo się zaczyna robić niezły bajzel. I prokurator łaskawie przyjechał.

Anna również zauważyła, że wśród gości Marconich zapanowało pewne rozprężenie. Valli pomachał jej na pożegnanie i ruszył przez hall. Nagle odwrócił się, zatoczył ramieniem wokół siebie i mrugnął porozumiewawczo. A przynajmniej tak się Annie wydawało. I odczytała ten gest jako zachętę, by rozejrzeć się jeszcze po Palazzo Marconi. Uśmiechnęła się pod nosem i wśliznęła do jednego z bocznych korytarzyków.

A tam od razu zauważyła pokrowiec na wiolonczelę.

Wewnętrzny głos, który mówił, że powinna zawołać Vallego, został bezwzględnie uciszony. Anna wciąż miała na dłoniach lateksowe rękawiczki i postanowiła sprawdzić pokrowiec samodzielnie. Tego dnia dręczyło ją stanowczo za dużo przeczuć, by o każdym natychmiast informować odpowiednie osoby. W policyjnej robocie liczyły się przecież twarde dowody, a nie domysły i gdybania. Tutaj jednak, w pseudopałacu Marconich, panowała dziwna atmosfera, której nikt zdawał się nie zauważać. Coś wisiało w powietrzu, jakaś... tajemnica? Anna stanęła przed nieszczęsnym pokrowcem i przykucnęła. Zaśmiała się cicho i uznała, że chyba traci głowę. Z pewnością niczego tutaj nie było, zupełnie niczego... Ot, zwykły pokrowiec. Wzięła głęboki wdech i pociągnęła za suwak.

Kiedy z pokrowca wysunęło się ramię, uznała, że pora wezwać Vallego.

W ciasnym korytarzyku, słabo oświetlonym przez pojedynczą lampę, zrobiło się duszno. Komisarz Valli, jeden z techników i młody policjant ostrożnie wydobywali z pokrowca na wiolonczelę karnawałową kukłę. Wreszcie lalka znalazła się na posadzce, a po plecach Anny przebiegł dreszcz. Wyglądała jak żywa. Sam Hanson nie powstydziliby się takiej roboty. Naga sylwetka miała idealnie ukształtowane piersi i brzuch, kolana i stopy, łokcie i dłonie. Pod „skórą” wyraźnie rysowały się zebra. Gęste, brązowe włosy zaplecione były w koronę, a twarz... Twarz wydawała się przerażająco rzeczywista. I piękna. Nie można było jednak uznać, że kukłę wykonano na obraz dziewczyny ze stosu. Raczej już ktoś postarał się o to, by właśnie ofiarę upodobnić do lalki. Ubrać ją w tę samą suknię i pantofle, umalować, utrefić włosy... Czy dokonano tego już po jej śmierci? Czy też może z jakiegoś powodu dziewczyna pozwoliła się tak ucharakteryzować i nie przeczuwała wcale, co miało się później wydarzyć? Anna w dalszym ciągu nie potrafiła sobie wyobrazić całej tej zamiany. Czyżby morderca przeniósł ciało... w pokrowcu na wiolonczelę? Tylko jak? Zamknęła oczy i spróbowała przypomnieć sobie wygląd ofiary. Dziewczyna miała krągłości, ale wydawała się drobna i niska. Właściwie zdołałaby się tutaj zmieścić, gdyby ktoś się dobrze postarał.

Przy ramieniu Anny zmaterializował się nagle Valli. Spojrzał znacząco na kukłę i felerny pokrowiec.

– Myślisz? – spytał tylko.

– Bo ja wiem?

Komisarz zamierzał coś odpowiedzieć, kiedy technik wydał się z siebie triumfalny okrzyk. Valli i Anna pochylili się nad nim. Mężczyzna wymamrotał coś po włosku.

– Andrea mówi, że znalazł włosy. Wkręciły się w zamek – pospieszył z wyjaśnieniem *commissario*.

– Tak, ale to mogą być włosy kukły – ostudziła jego entuzjazm Anna.

Posłał jej lodowate spojrzenie.

– Owszem, to samo mu powiedziałem, ale odrobina optymizmu jeszcze nikogo nie zabiła, co nie?

– Zdziwiłbyś się – mruknęła w odpowiedzi i zasępiła się.

– W laboratorium zbadają materiał pokrowca – odparł niezrażony Valli. – Może coś znajdą. Ślad...

– ...śliny, na przykład. Albo skóry. Krew – weszła mu w słowo.

– Tak. Na przykład – przytaknął.

W korytarzyku zapadła cisza. Anna wykonała krok w tył, a później jeszcze jeden i w końcu znalazła się ponownie w złocistym hallu. Musiała coś jeszcze sprawdzić.

Stefania Massimo wytarła w suknię spocone dłonie. Czuła swędzenie za uszami, które narastało z każdą sekundą. Widziała Marconiego. Odsunął się od stosu, kiedy jeden z techników zaczął bawić się telefonem zmarłej dziewczyny. Teraz dopiero zbladł. Bał się. Nerwowo skubał guzik swojej koszuli, a u niego była to zawsze oznaka zdenerwowania. Dlaczego teraz? Kiedy zajrzał pod maskę „kukły”, wydawał się wstrząśnięty, ale nie przestraszony. Teraz dopiero się bał. Kiedy oni dobrali się do telefonu. Stefania słyszała, jak wcześniej zapewniał *commissaria*, że nie znał tej dziewczyny. A przecież kłamał, na co policja z pewnością znajdzie dowód w jej telefonie. Dlaczego to zrobił? Po co ryzykował?

Wzrok Stefani uparcie powracał do drzwi, za którymi zniknęła *straniera*. Do korytarzyka weszli również policjanci. Mundurowy i *commissario*. Czyli coś musieli tam znaleźć. Stefania ruszyła powoli przez hall, ale drogę zastąpił jej jeden z funkcjonariuszy.

– Mogę zadać kilka pytań? Czy już ktoś z panią rozmawiał?

Stefania zaprzeczyła. Poszła posłusznie za policjantem i usiadła na krześle. Nie, nie znała ofiary. Nigdy... Nigdy jej nie widziała. Nie, nic podejrzanego się nie działo. Niczego nie zauważyła.

Nigdy.

Stefania spuściła głowę i zaczęła bawić się materiałem zielonej sukienki. Za każdym razem kiedy kłamała, miała wrażenie, że wszyscy to widzą. Zwłaszcza jeśli sama nie była przekonana co do słuszności posłużenia się kłamstwem. A to jedno uwierało ją od dawna, niemiłosiernie. Od czasu do czasu odpuszczało, po czym wracało, uderzało ze zdwojoną siłą. Próba zapewnienia samej siebie, że NIGDY nic nie widziała. Stefania podniosła wzrok na funkcjonariusza policji. Pisał coś. I pytał. „Jakie są pani relacje z szefem?”. „Z jego żoną?”. „Z innymi współpracownikami?”. Czy on, ten młody policjant, był taki sam jak wszyscy? Czy najbardziej martwił się o to, by nie narazić się Marconiemu i Foscari? Czy jemu mogła...?

Nie, nie jemu. Tej kobiecie. Jej powie. Jeśli tylko zdobędzie się na odwagę. Bo ona nie jest stąd.

Stefania wychyliła się na krześle i zauważyła *stranierę* w drzwiach prowadzących do małego korytarzyka. Teraz? To nie był dobry moment. Policjant wciąż o coś pytał. *Straniera* krążyła po hallu, wyglądała przez okno, dzwoniła do kogoś, ale ktoś nie odebrał, a ona najprawdopodobniej zakłęta. Rozmawiała z jeszcze innym policjantem. A później zrobiło się zamieszanie. Marconi krzyczał. Kolejny policjant – wielu ich tu było – wyciągał w jego stronę dłoń w rękawiczce. Trzymał coś. Telefon.

A jednak. Stefania wyprostowała się, spięła. Znaleźli coś. Marconi nadal krzyczał. Dwóch policjantów ujęło go pod łokcie. Zaczęło się.

Okna hallu wychodziły na kanał, dokładnie tak, jak się tego spodziewała. Wody Rio de San Zulian szemrały cicho, liżąc leniwie ściany pałacu. Kiedy Anna patrzyła na odbity w ich lustrze księżyc, miała

wrażenie, że przeniosła się na chwilę do innego świata. Świata bez morderstw i bez ludzi, którzy pragnęliby je popełniać. Świata wypełnionego spokojnym szumem wody i mrokiem lutowej nocy, przepuszczonego przez filtr srebrzystej poświaty i nasączonego specyficznym zapachem wilgotnych kamieni. Podobne wrażenie zawsze towarzyszyło Annie w Ystad, kiedy z okna swojego domu oglądała rozpięty aż po horyzont dywan łąk. Tego właśnie najbardziej brakowało jej w Wenecji. Otwartej przestrzeni, zapachu trawy i żywicy, a nawet szumu wzburzonego morza, choć przecież tutaj wszędzie była woda.

Wychyliła się bardziej przez okno i rozejrzała na boki. Tej nocy po Rio de San Zulian nie pływała żadna gondola, a w domach po przeciwległej stronie kanału oświetlonych było zaledwie kilka wnętrz. Sąsiedzi pewnie bawili się na San Marco lub San Polo i świętowali rozpoczęcie karnawału. Ciekawe, czy ci, którzy zostali, wiedzieli już o tragedii w Palazzo Marconi? I czy ktokolwiek z nich mógł coś zobaczyć...? Annę to właśnie interesowało najbardziej. Miała nadzieję, że może jeden z sąsiadów urządził sobie powtórkę z rozrywki, wziął w dłoń lornetkę i zabawiał się niczym bohater *Okna na podwórze*. Ten właśnie film, spośród wszystkich obrazów Hitchcocka, lubiła najbardziej. Co wcale nie musiało oznaczać, że lubili go również sąsiedzi Marconich... Anna pokręciła głową i przytknęła okno. Jej wyobraźnia za dużo sobie pozwalała, mnożyła szalone teorie w zastraszającym tempie, za nic miała logikę i chłodny racjonalizm. Należało temu zaradzić.

Spojrzała w głąb hallu i uznała, że niczego mądrego dziś nie wymyśli. Wokół stosu uwijali się jeszcze technicy, ale dziewczynę już wyniesiono. Większość gości zdążyła opuścić pałac. Czy ktoś z nich okazał się pomocny? Czy choć jedna osoba z tej kolorowej zgrai przekazała policji ważną informację? Anna szczerze w to wątpiła. Zerknęła na wyświetlacz swojego telefonu i głośno zaklęła. Zupełnie zapomniała o Lucrezii! Tymczasem antykwariuszka dzwoniła do niej czternaście razy i z pewnością była już nieźle wystraszona. Albo wkurzona. Dochodziła przecież trzecia.

Poza tym telefonował również Lajon, co akurat wydało się Annie bardzo zabawne. Potrafił nie odzywać się do niej przez tydzień, a nawet dłużej, po czym nagle wydzwaniał po nocach. A może coś się stało? Oczywiście! Coś musiało się stać! Annie zrobiło się zimno. Szybko wybrała numer Lajona i zacisnęła palce na telefonie. Odezwała się automatyczna sekretarka.

– Szlag by to! – zawołała.

Dopiero po chwili zdała sobie sprawę z tego, że jeden z młodych policjantów stał tuż obok i przyglądał jej się z ciekawością. To był on. Ten cały Stefano od Vallego.

– Po jakimu to było? – zagadał nieśmiało. – Po czesku? Lubię czeskie kino. Takie... psychologiczne. I jak oni tam gadają, to nawet brzmi podobnie.

Anna zatrzepotała rzęsami, jak gdyby chciała czym prędzej odpędzić od siebie resztki absurdalnego snu.

– Po polsku – przyznała wreszcie.

– Mhm.

Chłopak pokiwał głową i umilkł. Po upływie kilku sekund chrząknął.

– To pani... Hm... Prowadziła śledztwo w sprawie śmierci tej śpiewaczki, co to mieszkała w Wiedniu, ale miała domy w Szwecji i tu u nas, w Wenecji? Tam, niedaleko Ca' Dario?

Żołądek podszedł jej do gardła. Po raz setny chyba tego dnia.

– Nie prowadziłam. Ale brałam w nim udział.

– Czy to prawda, że... Proszę się nie obrazić... Że pani siostra... No, ona ją otru...

Stefano zarumienił się i spuścił głowę. Annie niebezpiecznie zadrżał podbródek.

– Tak. To prawda – powiedziała wreszcie.

– Bardzo mi przykro – odrzekł, wciąż wpatrzony w posadzkę. – Ale cieszę się, że pani pracuje

z naszym szefem.

– Naprawdę? – zdziwiła się.

– Tak. Kumple mi kazali nie mówić, ale jednak może powiem. My wszyscy tak naprawdę nie jesteśmy źli, tylko zaskoczeni, bo *commissario* od dawna...

Chłopak umilkł i poderwał głowę. W hallu zapanowało zamieszanie. Ktoś krzyczał. Kto? Znała ten głos. Słyszała go całkiem niedawno. Niski i melodyjny. Piękny. Nawet teraz, kiedy jego właściciel nie panował nad intonacją. Po chwili oczom Anny ukazała się blada i wykrzywiona gniewem twarz Luigiego Marconiego.

– To jakiś absurd! To chore! – krzyczał, wyrzucając w górę rękę.

Na nadgarstkach Marconi miał kajdanki. Dwóch policjantów wyprowadzało go właśnie z domu i dotychczasowy rozmówca Anny po krótkim wahaniu pospieszył ich śladem. W miejsce chłopaka zjawił się Valli.

– Telefon, który tak zmyślnie odblokowałeś odciskiem palca denatki, zarejestrowany jest na niejaką Isabellę Lomi. To prawdopodobnie nasza ofiara. Technik przejrzał szybko jej komórkę i znalazł bardzo ciekawe SMS-y.

– Od Marconiego? – domyśliła się.

– Owszem.

– Mówił, że nigdy jej nie widział.

– Zawsze tak mówią.

Anna wzruszyła ramionami. Czy zawsze? Wielu z nich na pewno próbuje.

– Wiesz co, musimy trochę zmodyfikować plan na jutro. Spotkajmy się na Piazza San Marco. W komendzie od samego rana będzie młyn. Pójdziemy lepiej na kawę albo coś zjemy. Zadzwoń do ciebie. Dobrze?

– I będziemy przy jedzeniu konwersować o nieboszczykach?

– No bo pewnie nigdy wcześniej ci się to nie zdarzało? – zirytował się znowu Valli. Wyglądał na zmęczonego.

– Zdarzało – przyznała po krótkiej pauzie.

Komisarz uśmiechnął się półgębkiem. Zdjął się z siebie bluzę i – zanim Anna zdążyła zaprotestować – narzucił jej na ramiona. Osłupiała. On również wyglądał na zakłopotanego, ale natychmiast zaczął się tłumaczyć.

– Zimno się zrobiło. Teraz tę swoją pelerynkę możesz sobie... Idź do domu i odpocznij, Stefano cię odprowadzi. Do jutra. I dobra robota z tym pokrowcem na wiolonczelę!

Stefano rzeczywiście na powrót zjawił się obok Anny. Wciąż osłupiałej z powodu bluzy.

– Hej, poczekaj! To... Toni – wyartykułowała to imię z trudem, choć przecież tak właśnie kazał siebie nazywać.

Commissario obrócił się do niej bardzo powoli. Stefano zamarł. Czyżby jednak coś z tym imieniem pokręciła? Przełknęła ślinę.

– Jesteś w samym t-shircie!

– To też już mi się wcześniej zdarzało – oznajmił i wyszedł z Palazzo Marconi.

Anna ponownie zakłęta, tym razem w duchu. Pomyślała właśnie, że Valli coraz bardziej przypomina jej Ingvara, szybko jednak musiała ten pogląd zrewidować.

– Zmarznie – oświadczył lakonicznie Stefano, kiedy szli już w stronę San Polo.

– Kto? – spytała głupio.

– *Commissario*. Zawsze marznie, ale nigdy nie ma czasu porządnie się ubrać.

– I rozdaje swoje bluzy niewiastom w pelerynach?

Stefano pokręcił głową.

– W życiu nie widziałem, żeby kiedyś komuś coś rozdawał.

Dalej szli w milczeniu. Anna przypomniała sobie dziwne słowa, które Stefano skierował do niej wcześniej. Że wszyscy są zaskoczeni, bo *commissario*... Bo co? Stefano nie dokończył. A teraz było za późno. Nastrój szczerzej rozmowy zdążył prysnąć.

Rozdział 8

Lucrezia Doldano krążyła po zamkniętym jeszcze na głucho antykwariacie. Przetawiała kilka książek i zajrzała do paru szuflad. Każda czynność pozbawiona była głębszego sensu. Pobieгла na górę, do swojego pokoju. Otworzyła laptop. Jeszcze raz przestudiowała dokładnie najważniejsze informacje na temat Anny Lindholm. Nie znalazła niczego, co można by wykorzystać. Na wszelki wypadek. Wszystko jawne. Wszystko jasne. Żadnej wstydlivej tajemnicy, żadnej luki. Chyba że Lucrezia jeszcze jej nie odkryła. Anna musiała mieć coś na sumieniu. Że też była tutaj sama! Że też nie zabrała ze sobą nikogo bliskiego! Sama była silniejsza, nie miała słabych punktów, w które można by uderzyć.

I dlaczego Lucrezia wciąż lubiła tę dziewczynę? Mogło być tak pięknie. Gdyby tylko nie pojawił się ten policjant. Gdyby tylko Lucrezia nie zabrała jej w tę uliczkę.

Gdyby nie popełniła kilku błędów.

Zegar wskazywał piątą rano. Czy Anna jeszcze spała? Czy już spała?

Lucrezia wyjęła z szafy ubranie i zaczęła powoli ściągać piżamę.

Postanowiła, że najlepiej będzie zagrać dobrą przyjaciółkę. Ale najpierw obrazić się i samej popłynąć po ryby na Rialto. Obrazić się z pompą, teatralnie.

Lucrezia sama popłynęła po ryby. Krzątała się po domu już od świtu i bynajmniej nie usiłowała zachowywać się cicho. Z pewnością ona również nie zmrużyła tej nocy oka. A jednak nie szukały swojego towarzystwa podczas tych bezsennych godzin. Kiedy po piątej nad ranem Anna zebrała się na odwagę i przekroczyła próg sypialni Lucrezii, Włoszka naskoczyła na nią, wydarła się, zrobiła karczemną awanturę, po czym rozbeczała się jak dziecko i zaczęła lamentować, że się martwiła. Oczywiście wyobraźni widziała już swoją nową koleżankę w areszcie, omyłkowo oskarżoną o zamordowanie w ciemnej uliczce tamtego chłopaka, co było niemożliwe, bo cały dzień spędzili razem w antykwariacie i sprzedawały te cholerne maski. Jeśli więc go rzeczywiście zachlastała, to musiałyby dużo wcześniej – na przykład w nocy albo o świcie. A skoro tak, to już ktoś by biedaka zdążył znaleźć i nie leżałby przez tyle godzin... Anna usiłowała się wytłumaczyć, ale kiedy przeszła do opowieści o morderstwie u Marconich, Lucrezia powachlowała się gazetą i opadła bez sił na fotel, z którego uniosła się szybko i zaczęła na nowo wykrzykiwać pełne pretensji hasła. Tak, słyszała o tym, włączyła radio, weszła nawet do sieci, ale znalazła tylko szczątkowe informacje na Twitterze, jeszcze niepotwierdzone i z pewnością zamieszczone przez jakiegoś gapia z San Marco, a nie prawdziwego dziennikarza. Zresztą Lucrezia najbardziej obawiała się usłyszeć komunikat w stylu: „Policja aresztowała już podejrzaną o popełnienie zbrodni, obywatelkę Szwecji – Annę L.”. Skoro żadnej podobnie brzmiącej informacji nie było, uspokoiła się na chwilę i zdenerwowała na nowo w okolicach drugiej w nocy, kiedy Anna wciąż się nie zjawiała. Wtedy

zaczęła już podejrzewać, że wydarzyło się coś złego, i zadzwoniła na komendę. Tam jednak nikt nie zamierzał poświęcić jej ani sekundy uwagi. „Mamy pełne ręce roboty, pani rozumie. Koleżanka się znajdzie – gdyby nie, proszę zadzwonić jutro”, usłyszała, a później mogła już sobie tylko pogadać z sygnałem ciągłym. Lucrezia więc odchodziła powoli od zmysłów, bo przecież „w głowie jej nie powstało”, że Anna mogła gdzieś tam w najlepsze bawić się w detektywa.

Detektyw...

To słowo zawisło między nimi na dłuższą chwilę. Włoszka przerwała swój wywód i spojrzała na Annę przenikliwie.

– A tam... – powiedziała powoli. – Nad tym umrzykiem... Znaczy d e n a t e m... Co tam robiłaś? Skąd te teorie o ranie kłutej prosto w tętnicę i... no... jak to...

– Kastet? – podpowiedziała Anna tonem rezygnacji. Wiedziała, do czego zmierzała ta rozmowa.

– Kastet. Właśnie. Cokolwiek to jest. Mnie się kojarzy z tańcem.

– To kastaniety.

– Co? – Lucrezia zamachała rękami jak topielec.

– Kastaniety. Taki instrument, którego używa się podczas tańca. Hiszpańskiego.

Twarz Włoszki wyrażała niemal odrazę. Lucrezia zacisnęła dłonie w pięści, uderzyła się w pierś i dramatycznym tonem zakrzyknęła:

– W głowie się nie mieści!

– Ale...

– Nie próbuj mi tu z żadnym „ale”, cholero jedna! Będiesz się ze mnie nabijać? O kastanietach jakichś i w ogóle? Dlaczego się nie przyznałaś, że jesteś policjantką?! I wiesz co? Skoro chciałaś być tu incognito, to ci ten kamuflaż słabo wyszedł. Trzeba było podać inne nazwisko! Może o tym nie wiesz, ale jesteś w Google’u i...

– Już wiem.

– Nie wtrącaj mi się! Zaczęłam czytać, ale kiedy dotarłam do twojej siostry, to zamknęłam stronę, stwierdziłam, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła i takie tam pierdoły, że sama mi powiesz, jak będziesz gotowa, ale nie! Nic nie powiedziałaś. Ale wkręcić w kolejne mordowanie to się dałaś!

– Nie w mordowanie, tylko...

– Cicho! Jak masz zamiar teraz prowadzić jakieś śledztwa i ściągnąć mi tu na głowę oprychów, to ja pięknie dziękuję! Już wczoraj prawie na zawał zeszałam, bo się jeden kręcił koło domu. Wyszłam z pogrzebaczem, ale to był tylko jakiś facet w trójgraniastym kapeluszu, może zabłądził z karnawału, a ja już bym go przez łeb chciała... Oszaleję! Nie, nie! Tak nie będzie. Żadnych morderstw pod moim dachem!

Lucrezia umilkła i spojrzała na Annę gniewnie. Trudno było podjąć z nią jakąkolwiek dyskusję. A jednak przynajmniej z pracy w policji Anna chciała się wytłumaczyć.

– Nie pracuję już w policji, widzisz, ja... – zaczęła, ale Lucrezia znowu jej przerwała.

– Takich wymuszonych zwierzeń to ja nie chcę! – huknęła i wyszła z pokoju.

Anna poczłapała do łazienki i wzięła prysznic. Dopiero kiedy na jej plecy spłynął strumień gorącej wody, zrozumiała, jak bardzo była zziębnięta. Przebrała się w ciepłą piżamę i owinęła kocem, ale w ogóle nie czuła zmęczenia. Przewracała się przez chwilę z boku na bok, po czym wstała, zrobiła sobie mocną kawę i postanowiła wykorzystać nadmiar energii na zrobienie czegoś pożytecznego. Wyjęła notes i wypisała w punktach wszystko, czego zdołała się dowiedzieć o ofiarach, miejscach zbrodni, ewentualnych narzędziach zbrodni i ludziach, którzy mogliby coś wiedzieć. Lub widzieć. Studiowała swoje notatki tak długo, aż usłyszała krzątanicę Lucrezii, która wsiadła do łodzi i popłynęła w stronę Rialto. Teraz też wpatrywała się w niemal nieczytelne zapiski. Informacji było wprawdzie niewiele, ale

Anna dawno temu nauczyła się już, że wszystko może okazać się ważne. Ziewnęła, spojrzała w stronę łóżka, pokręciła głową i ponownie przeczytała notatki punkt po punkcie.

Guido Russo:

- dwadzieścia pięć lat;
- zamieszkały w Padwie;
- mechanik samochodowy;
- kradzieże, poprawczak; złe towarzystwo? wciąż utrzymuje z nim kontakt?
- dom dziecka; trzy rodziny zastępcze; kontakty z domu dziecka?
- skłonność do agresji; „niezdrowe” zainteresowania (?);
- dlaczego przyjechał do Wenecji? na jak długo? z kim się tu kontaktował? czy miało to związek z jego kradzieżami? z dawnymi kontaktami? komu mógł zaszkodzić?
- czy strój Poliszynela był przypadkowy? czy przypadkowa była maska z guzikami, który trzeba trzymać w ustach i przez to nie można mówić? Poliszynel z zakneblowanymi ustami? czy to ma znaczenie?
- karteczka znaleziona w kieszeni – Ponte della Moneta 1444, 1524, 2015 – czy to wskazówka, czy zmyłka?
- czy Guido Russo był tajemniczym gondolierem? jeśli tak – co było jego celem?
- narzędzie zbrodni? kastet i cienki sztylet? szpikulec?

Isabella Lomi (?):

- młoda; dość ładna; drobnej budowy, niska;
- ucharakteryzowana na podobieństwo karnawałowej kukły Marconich – po śmierci czy przed?
- miejsce zbrodni? w pałacu Marconich czy poza nim?
- sposób zamiany – czy rzeczywiście przeniesiono ją w pokrowcu na wiolonczelę? jeśli tak – to jak?
- czy rzeczywiście była kochanką Marconiego? o czym świadczą jego SMS-y? czy to on się jej pozbył? jeśli tak – dlaczego nie zrobił tego dyskretniej? jeśli nie – co chciał zamanifestować morderca?
- kim była Isabella Lomi?
- kim są... państwo Marconi?

Anna odsunęła od siebie notatnik i dopiła zimną kawę. Przy Isabelli Lomi – jeśli rzeczywiście tak nazywała się ofiara – pytania mnożyły się na potęgę. Właściwie nie wiedziała o niej nic i nie bardzo też widziała możliwość, aby to zmienić. Nie miała dostępu do tutejszej policyjnej bazy, do raportów z sekcji zwłok i do samego patologa. Nie mogła też tak po prostu kogoś przesłuchać. Musiałaby to zrobić dyskretnie, wmieszać się w tłum, być zwykłą, przeciętną, niewidzialną... I pozornie niezainteresowaną żadnym morderstwem... Tak. To było do zrobienia.

Rozmyślenia Anny przerwało brzęczenie telefonu. Zerwała się z krzesła i spojrzała na wyświetlacz z nadzieją, że to może Leon, do którego nadal nie mogła się dodzwonić. A jednak nie był to Leon. Krew uderzyła jej do głowy. Odebrała i wsłuchiwała się w głęboki głos... Ingvara. Szwedzka fonetyka, pełna szelestów, zbitek i ostrych tonów, stanowiła miłą odmianę po śpiewnych włoskich dźwiękach.

– Ana? Jesteś tam?

– Jestem – odpowiedziała i poczuła swędzenie pod powiekami.

– Przed chwilą odebrałem telefon od weneckiego komendanta czy zastępcy komendanta...

Ingvar zawiesił głos, a Annie zakręciło się w głowie.

– I?

– Ana, w co ty się znowu wpakowałaś? Wszystko tam w porządku?

– Nie... Nie wiem – przyznała.

Nie miała przecież pojęcia, po cholere do Ingvara dzwonił jakiś wenecki komendant. Czy zastępca. Widziała w ogóle wczoraj jakiegoś komendanta? Czy zastępcę? Może był nim jeden z tych rozchełstanych w marynarkach? Jeśli tak, to sprawa wyglądała bardzo kiepsko.

– Nie wiesz? Ana! Zwariuję przez ciebie.

– Zwariujesz? Jakoś nie przypominam sobie, żebyś się specjalnie martwił o mnie przez ostatni miesiąc. Zadzwoiłeś może ze dwa razy, a teraz nagle grasz mojego anioła stróża!

– A chciałaś, żebym się o ciebie martwił? Ty tak serio? Wyjechałaś bez pożegnania i generalnie miałaś mnie, za przeproszeniem, w dupie! Nie tylko mnie, w ogóle wszystko i wszystkich. Lempi ledwo ogarnęła cały ten bałagan w pracy i w domu. Twój bałagan. W twojej pracy. I w twoim domu! Wydałaś jej kilka dyspozycji przez telefon i tyle, pojechałaś popływać po kanałach. A ja musiałem się nawet zająć twoim samochodem, który tak po prostu zostawiłaś w Malmö, na parkingu pod lotniskiem! No wybac, ale niektórzy muszą zajmować się zwyczajnym życiem!

Annie zabrakło tchu. Ingvar oczywiście miał rację. Po raz kolejny miał pieprzoną rację, a ona musiała przyznać, że nie całkiem jeszcze, ale odrobinę... przestała go kochać. Jeśli w ogóle można było tak powiedzieć. Teraz właśnie w pełni to rozumiała. I on chyba też już jej nie kochał. Choć słowa, które później usłyszała, świadczyły o czymś przeciwnym.

– Przepraszam – skapitulowała.

Tym razem to Ingvar umilkł. Chrząknął nerwowo, a kiedy ponownie się odezwał, brzmiał już zupełnie inaczej.

– Ana, ja nie po to dzwonię... Ten komendant wypytywał mnie o ciebie, twoje doświadczenie, umiejętności, zdolności, rangę... Czy ty starasz się tam o pracę? – Głos Ingvara zadrżał.

– Nie, nie staram się o pracę. Kto by tu przyjął do policji jakąś byłą funkcjonariuszkę ze Szwecji? Oszalałaś? Widzisz, wczoraj... Zostało popełnione morderstwo i tak się złożyło, że to ja znalazłam ciało. A później, no... Później było drugie morderstwo. I tutejszy komisarz jakoś tak siłą rozpędu zabrał mnie na miejsce zbrodni.

– Siłą rozpędu?

– Wiem, to bez sensu. W każdym razie ten tutejszy komisarz chciałby, żebym z nim współpracowała przy tej sprawie. Twierdzi, że nikt się nie będzie sprzeciwiał. I ten komendant czy zastępca pewnie chciał wiedzieć, czy nie jestem jakąś hochsztaplerką albo co. Tak się domyślam. Co mu powiedziałaś?

– Prawdę.

Prawdę... Jeśli Ingvar twierdził, że powiedział prawdę, to z pewnością tak właśnie było. A zatem komendant czy zastępca usłyszał o niej kilka dobrych rzeczy. Ingvar nigdy nie umniejszyłby jej zasług.

– A ty? – zapytał. – Ty też chcesz współpracować z tamtejszym komisarzem?

– Chyba tak.

– Chyba?

– Chyba tego potrzebuję.

– Rozumiem. Obiecuj mi, że będziesz na siebie uważała.

– Obiecuję.

– Szlag mnie trafia, kiedy pomyślę, że jesteś tak daleko i nie mogę ci pomóc. Ani cię chronić – dodał cicho.

Anna przyłożyła dłoń do oczu. Gardło miała ściśnięte, a serce biło jej wściekle.

– Ingvar, brakuje mi ciebie. Wiem, że...

– Mnie też ciebie brakuje. Nawet nie wiesz, jak bardzo. Ale...

Nie dokończył. Choć Anna dobrze wiedziała, co chciał powiedzieć.

Część II

Głowa i serce były upojone i kroki jego szły za wskazówkami demona, dla którego rozkoszą jest rozum i godność ludzką deptać nogami.

Tomasz Mann

*Płynę w gondoli po Canale Grande. Włoch w czerwonej chustce, Jakby dokoła szyi Zawiązał w węzeł
Zachód słońca*

Roman Brandstaetter

11 czerwca 1950

Cannaregio, Wenecja

Tego dnia przypadała dziesiąta rocznica wydarzeń w Hawrze. Federico wyjrzał przez okno. Tutaj też była woda, ale inna. Zielonkawa maź liżąca boki starej łodzi. Przy brzegu kanału dwie kobiety w słomkowych kapeluszach rozmawiały o rybach. Pozdrowił je jakiś samotny wioślarz. Zapytał o coś, a jedna z kobiet machnęła ręką i powiedziała: „W prawo, w lewo i za pięć minut pan dopłynie”. Federico uśmiechnął się. Typowa odpowiedź wenecjanina. W prawo, w lewo i za pięć minut...

Potrafił się nawet uśmiechnąć i poczuć prostą radość, kiedy oglądał te przejawy lokalnego folkloru. Dawniej kochał Wenecję. Teraz była mu obojętna, jak wszystko inne. Federico odsunął się od okna i spojrzał na swoją żonę. Na syna. I wreszcie na swoje odbicie w lustrze. Wszyscy wyglądali na starszych. Żona, Constanza, miała dopiero trzydzieści dwa lata, ale wokół jej oczu rysowała się już wyraźnie siateczka zmarszczek. Federico niedawno świętował trzydzieste piąte urodziny, a czuł się jak starzec. Świętował! To nie było odpowiednie słowo. Po prostu zjadł kawałek tortu, który postawiła przed nim cicha Constanza. Chłopiec zaś, Federico junior, zaledwie pięcioletni, był zawsze milczący i poważny. Bawił się sam. Coś rysował po kątach. Nigdy nie wchodził ojcu w drogę. Bo ojciec nie miał czasu. Kiedy nie był w pracy, malował. Wciąż ten sam obraz. Przemalowywał go, zamalowywał, zmieniał, dorabiał. Wpatrywał się w płótno.

Niczego nie rozumieli, nie mogli. Nie byli w Hawrze.

Nie widzieli oczu tej dziewczynki, małej Belgijki.

To jej rodzicom ukradł kamyki. Wziąłby nawet więcej, ale nie zdążył. Mała go nakryła. Uśmiechnął się wtedy, udawał, że nic się nie stało i dał dziewczynce cukierka. Miała cztery lata, może pięć. Nie dotarło do niej, co się naprawdę wydarzyło. A Federico nie czuł wyrzutów sumienia. Przecież wiedział, że ten statek nigdy nie dotrze do żadnego z brytyjskich portów.

Nie pomógł jej w dniu katastrofy. Siedziała pod schodami, trzęsła się. Wszystko się trzęsło. Płakała i mamrotała coś po flamandzku. Wzywała mamę i tatę. Zobaczył ją, zanim wbiegł na stopnie, ale nie zawrócił. Uświadomił to sobie miesiąc po tragedii w Hawrze. Wtedy dopiero zaczęły do niego wracać wspomnienia. Wiedział już, jak wydostał się ze statku, jak wyniósł swój obraz. I że nie pomógł małej.

A teraz ta dziewczynka od sąsiadów, pięcioletnia Malena Bartoli, miała identyczne oczy. Przypominała mu tamtą Belgijkę.

Federico po raz kolejny spojrzał na zamyśloną żonę i cichego, zbyt spokojnego synka. Nieszczęśliwy dom, w którym niczego nie było pod dostatkiem, oprócz milczenia. Constanza zmywała naczynia, jak robot. Chłopiec rysował w kącie. Federico obrócił się na pięcie i poszedł malować swój obraz.

Farba z ramy zaczęła się kruszyć. Musiał położyć nową warstwę.

Wyspa Foscarich kryła w sobie wiele tajemnic. I nie chodziło tylko o wydarzenia sprzed dwudziestu pięciu lat. Wszystkiego domyślił się, zanim jeszcze do Wenecji przybył Guido Russo. Zastanawiał się tylko... Po co? W jakim celu wydarzyło się to wszystko? Dlaczego on to zrobił, ten głupek, i dlaczego tak bezsensownie? Każdy przecież wiedział, że wystarczyłoby oddalić się od brzegu na odpowiednią odległość i wrzucić „balast” do wody. Prądy zniosłyby go na pełne morze i „balast” nie pojawiłby się ni stąd, ni zowąd w jednym z weneckich kanałów. Choć i to się zdarzało. Nawet najlepszym. Laguna lubiła płatać figle. A jednak tamten postąpił nierozważnie. Już raz ktoś kiedyś zrobił coś złego na wyspie Foscarich i został zauważony. Nie należało ryzykować.

Ponownie wróciło do niego pytanie – po co? Wystarczyło zawiadomić policję. Sprawa wydawała się czysta. Nikt nigdy nie poznałby prawdy. A tak? Posprząтали niedokładnie i mogli ściągnąć na siebie zupełnie niesłuszne podejrzania. I poza tym ktoś ich przecież przyłapał. Idioci! Ta dziewczyna była niebezpieczna. Wciąż dusiła w sobie sekret. Tamten uciszył ją na trzy lata. Jakoś tego dokonał. Można się było domyślić, jakich argumentów użył. A jednak ona nadal o wszystkim wiedziała. I teraz kręciła się w pobliżu tej szwedzkiej policjantki. Zapewne chciała z nią porozmawiać.

Zaczęła się martwić.

Zaczęła myśleć.

Wszystko było w porządku, dopóki nie zobaczyła martwej dziewczyny na stosie. Teraz wróciły do niej wspomnienia.

Tamten poranek. Nożyczki. Livia bez ran na rękach. Livia z ranami na rękach.

Nie spodziewał się, że akurat ona potrafiłaby zadać taki cios.

Domyślał się, kto zabił Isabellę. Stos. Suknia. Uduszenie. I ona, tak podobna... Mimo to nigdy nie traktował Isabelli poważnie. Zawsze chodziło tylko o klejnot Foscarich i teraz nie mógł go stracić. Zbyt daleko zaszedł. Zbyt wiele ryzykował.

Dlaczego on to zrobił? Bo to przecież był on. W czym zawiniła Isabella? Nie. Nie chodziło mu o Isabellę. To w niego chciał uderzyć, a ta dziewczyna, naiwna cukierniczka, była jedynie narzędziem. Głupio zginęła. Jak jego matka.

Czy tamten wiedział wszystko o wyspie Foscarich? Czy był tam później? Czy był tam trzy lata temu? Czy wiedział o nożyczkach? Czy... Poznał tajemnicę Stefanii Massimo? Czy Stefania była w niebezpieczeństwie? Mógł pomyśleć o tym wcześniej, pozbyć się jej z Wenecji.

Teraz było za późno.

Dlaczego on to zrobił? Bo to przecież był on.

Rozdział 9

Obudził go ból gardła. Odrzucił kołdrę i postępując, zwlekł się z łóżka. Zajrzał do szafki nad zlewem, w której zazwyczaj trzymał leki. Znalazł tylko pastylki przeciwbólowe. Zażył dwie naraz i popił wodą z kranu. Przyłożył do czoła termometr. Skrzywił się. Powinien to przewidzieć. Dał jej przecież swoją bluzę, jak jakiś rycerzyk i obrońca niewiast, a sam wyszedł od Marconich w t-shircie. Co mu odbiło? Dlaczego nie mógł znieść myśli o tym, że ona zmarznie? I że wróci do antykwariatu Lucrezii Doldano?

Antonio Valli wypowiedział jedno słowo. Na próbę. Nie miał pojęcia, dlaczego wyszło mu akurat „Anna”, ale zabrzmiało strasznie, choć to przecież piękne imię. Charczał. Piżama lepiła się do jego spoconego ciała. Zerknął w lustro. Wokół oczu Antonia widniały ciemne obwódki. Kręciło mu się w głowie. Pomyślał, że jeśli teraz wyjdzie do pracy i przez cały dzień będzie ganiał za dowodami, jutro zupełnie do niczego się już nie nada. Zrobił więc coś, czego robić nie znosił. Sięgnął po telefon i wybrał numer.

– *Signorina* Schacchi? Dzień dobry, tu komisarz Antonio Valli...

Nie dokończył. Schacchi wydała z siebie okrzyk zgrozy i zapowiedziała, że natychmiast pędzi do *vice-questore*, aby go poinformować, że *commissario* dzisiaj w pracy się nie pojawi. Valli odetchnął, choć wiedział, że to jeszcze nie koniec zabawy. Rozłączył się, a po chwili ponownie sięgnął po telefon. Dzwonił zastępca komendanta.

– *Si?* – rzucił.

– Co ty odpieprzasz? – usłyszał w odpowiedzi.

Valli zwięźle oświadczył, że gdyby nie musiał, to nic by nie odpieprzał, bo zdarzyło mu się pracować z gorszym samopoczuciem. Chodziło o dzień, góra dwa wolnego. Żeby później móc działać na pełnych obrotach. *Vice-questore* chyba to rozumie.

– Co z Marconimi i tym typem z kanału? – zapytał zrezygnowany przełożony, po tym, jak kilka razy zaklął siarczyście i rzucił coś o maksymalnie dwóch dniach i ani jednej „pierdolonej” sekundy dłużej.

– Trzymam rękę na pulsie. Stefano będzie mnie informował. Popracuję z domu, podzwonię...

– I będziesz charczał ludziom do telefonu? Kurwa, żyć nie umierać z takim posranym zespołem śledczym! A tych Marconich się bez potrzeby nie czepiajcie.

Commissario powstrzymał się od komentarza. Oczywiście, nie czepiać się bez potrzeby. W końcu Marconi miał szmal, a jego żona pochodziła z Foscarich. Wprawdzie nie tych Foscarich, którzy mieli w drzewie genealogicznym dozę, tylko jakichś pobocznych, wziętych nie wiadomo skąd, ale zawsze... Nazwisko to nazwisko. Zastępca komendanta nie lubił psuć sobie relacji z dobrze ustawionymi obywatelami Wenecji. Jak wszyscy w tym mieście, raję układów, układzików i szemranych interesów. Turyści zawsze widzą tylko to, co na zewnątrz – karnawałową maskę miasta na wodzie.

– Tak jest – wychrypiał niechętnie i zakończył rozmowę.

Ustawił na gazie kawiarkę i wyciągnął z lodówki mleko. Tej nocy spał dwie godziny, choć przecież nie zamierzał spać w ogóle. O trzeciej jednak chwyciły Antonia dreszcze, a o szóstej Stefano zmusił go do opuszczenia komendy. Mówił coś o bluzie i że to wszystko przez *stranierę* w błękitnej sukni, która powinna beknąć za zdeptanie miejsca zbrodni, ale zamiast tego została jakimś cudem zaproszona do współpracy przy śledztwie.

Anna Lindholm.

Intrygowala go. Miała „przeszłość”, zupełnie jak on. I była inteligentna. Umiejętnie korzystała ze swojej intuicji. Zbyt szybko formułowała hipotezy i obmyślała rozmaite teorie jeszcze przed zebraniem materiału dowodowego, ale... to, co mówiła, nie było głupie. Trzymała się nieźle, mimo swoich niedawnych doświadczeń, a przynajmniej takie sprawiała wrażenie. Widziała, że pokpiwał z niej tam, na miejscu zbrodni nieopodal Calle Bombasari, i ona również pokpiwała z niego. Antonio nie odstraszył Anny. Nie zademonstrował jej swojego pokazowego oblicza wrednego i cynicznego typu. Chociaż? Może trochę? Ale nawet w połowie nie tak, jak innym.

A to było coś nowego.

Ona była nowa, nie znał jej. Ale wyobrażał sobie, że zna. Oddał jej bluzę. Kretyn.

Komisarz Valli przelał kawę z kawiarki do kubka. Marconi. Luigi Marconi. Pracował nad nim przez pół nocy. Facet udawał głupka. Zastaniał się adwokatem. A wreszcie wyraził skruchę i zaczął gadać. Owszem, znał denatkę. Byli kochankami, ale niedawno zakończył tę historię. Pokłócili się. Ona krzyczała. Nie potrafiła pogodzić się z rozstaniem. Kiedy zobaczył ją tam, na stosie, wpadł w panikę. Dlatego skłamał. Bał się. A jednak mógł przewidzieć, że ich relacja szybko wyjdzie na jaw. W pałacu wciąż była przy nim żona i Marconi nie bardzo wiedział, jak to wszystko ugryźć. Tak powiedział. „Ugryźć”. Jego kochanka została zamordowana, a on bawił się we frazeologizmy.

Isabella Lomi. Młoda, ładna cukierniczka z Castello. Dlaczego zadawała się z Marconim?

Luigi Marconi. Jubiler. Bogaty, obrotny. Zaczynał od zera. Ubogi chłopak z Cannaregio. Ojciec Marconiego prowadził swego czasu własny biznes, był ślusarzem, ale zaczął pić, kiedy opuściła go żona. Kobieta wyjechała z Wenecji z dnia na dzień i od ponad dwudziestu lat nie dawała znaku życia. Tyle Antonio ustalił w nocy. Pozwolił Marconiemu mówić. „Wszystko jest ważne”, zapewniał i nie przerywał. A jubiler mówił, co mu ślina na język przyniosła. O dzieciństwie, dorabianiu się, małżeństwie i „głupim” romansie z Isabellą. Zapewniał, że to nie było nic ważnego. Zwykła, przelotna relacja z młodszą kobietą, która lubiła świecidełka.

Valli zasiadł z kawą do stołu. Zerknął w porozkładane na blacie papiery. Sprawdził tę kobietę. Matkę Marconiego. Wyglądało na to, że rozplynęła się w powietrzu. Dziwne. Valli jeszcze raz przeczytał jej imię i nazwisko. Coś zaczęło mu świtać. Ale czy to coś było teraz ważne?

Ponownie chwycił telefon i wystukał numer, pod który nie dzwonił od dobrych kilkunastu miesięcy. Za późno przypomniał sobie, jak brzmiał dziś jego głos.

– *Colonello Ricci?* – wychrypiął.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Wreszcie ktoś westchnął i zawołał:

– Valli! Kopę lat. Co masz z gardłem?

– Nic nie mam. Dzwonię w konkretnej sprawie.

– Oczywiście. Po cóż by innego? – skwitował zgrzyźliwie pułkownik karabinierów.

– Potrzebne mi informacje. O pewnej kobiecie – powiedział, a później wymienił nazwisko.

– Zerknę.

– Dzięki.

Commissario rozłączył się i owinął ciaśniej szlafrokiem. Wstał od stołu, poczłapał do łazienki i przejrzał się w lustrze. Wyglądał gorzej niż zwykle. Dwie poziome zmarszczki na czole jeszcze się pogłębiły, a włosy wydawały się bardziej siwe niż popielate. Valli zerknął na zegarek. Dochodziła dziewiąta. Powinien do niej zadzwonić. Chciał. A jednak z dziwną przykrością myślał o tym, że musiałaby go oglądać w takim stanie. Dlaczego w ogóle się przejmował?

Wrócił do pokoju i na powrót zasiadł nad papierami. Nie zadzwonił do Anny Lindholm, chociaż zbierał się do tego przez cały dzień.

Przez cały poranek Anna nie ruszyła się ze swojego pokoju. Słyszała krzątającą się po antykwariacie Lucrezię i rozmowy, które prowadziła z – licznymi dziś – klientami. Karnawał nabierał rozpędu i maski weneckie rozchodziły się jak świeże bułeczki, dzwoneczek przy drzwiach brzęczał w nieskończoność, a wenecka gwara i język włoski zlewały się z angielszczyzną w niepodzielną całość. Anna sama nie wiedziała, kiedy zaczęła odróżniać tutejszy dialekt. Zawsze miała dość dobre ucho i talent do języków obcych, angielskim posługiwała się biegle już w pierwszej klasie liceum, a podstaw szwedzkiego nauczyła się zupełnie sama. Szlifowanie go pod okiem macochy ze Sztokholmu stanowiło czystą przyjemność.

To właśnie świadomość istnienia tutejszego dialektu uzmysłowiła jej, że były tak naprawdę trzy Wenecje. Wenecja turystów ograniczała się często do Piazza San Marco, niewielkiego fragmentu San Polo i równie niewielkiego fragmentu Dorsoduro. Zamykała się w symbolach i obrazach znanych z przewodników. Wenecja Włochów z innych regionów Italii była swojska i egzotyczna zarazem, niby znana i ubrana w podobne miejskie schematy, a jednocześnie dzika i nieoswojona, najeżona pułapkami, dumna i niedająca się okiełznać nawet tym, którzy mówili znanym jej językiem. I wreszcie Wenecja... weneccjan. Weneccjan, którzy kochali ją od wieków i akceptowali z całym dobrodziejstwem inwentarza. Mężnie znosili wilgoć, mgłę i wysokie ceny w lokalnych sklepach, z zaciśniętymi zębami łatali dziury w łodziach i holowali swoje motorówki do naprawy. Narzekali na tłok w *vaporetti* i wciągali wysokie kalosze, kiedy przychodziła *acqua alta*.

I Anna wiedziała już, że do tej ostatniej grupy nie dało się przystąpić tak po prostu. Życie jej przedstawicieli toczyło się sobie tylko znanym rytmem. Rozciągało pomiędzy poranną latte i późniejszymi espresso, między śniadaniową brioszką, solą z karczochami w porze obiadu i kieliszeczką grappy. Zahaczało o metalowe pierścienie do cumowania łodzi, zbiegało po pokrytych glonami schodkach i zaglądało do niewielkich barów, w których starsi mężczyźni palili papierosy i grali w karty. W ten tłum Anna nigdy nie była w stanie się wmieszać. Ona, *la pallida straniera*. Błada cudzoziemka. Czy rzeczywiście myślała na serio o tym, by nie rzucić się w oczy i dyskretnie dowiedzieć czegoś o popełnionych morderstwach? Niby jak? Wszędzie zostałaaby rozpoznana i zapamiętana. Musiała zatem polegać na weneckim *commissario*, wysokim chudzielcu z bruzdami na czole i krzywym uśmiechem, który przypominał jej brytyjskiego aktora Damiana Lewisa. Tyle że z popielatymi, a nie rudymi włosami.

Antonio Valli nie zadzwonił jednak przez cały poranek ani też po dwunastej, kiedy niemal nie wypuszczała już telefonu z ręki. Zaśmiała się w duchu nad własną naiwnością i głupotą, w efekcie której zaangażowała się w sprawy zupełnie jej nie dotyczące. A także i nad własną słabością. Bo przecież odeszła z policji – z policji w ogóle, nie tylko tej w Ystad. Miała zacząć nowe życie, z dala od morderców, narkomanów, złodziei i wszelkiej patologii społecznej. Postanowiła, że skupi się na meblach i będzie kontynuowała dzieło Vidara, męża, który ją zdradzał i oszukiwał, i którego ona zdradzała i oszukiwała. A jednak mieli przecież kilka wspólnych momentów, kiedy byli sobie bezgranicznie oddani, kiedy kochali się naprawdę. I dla tych momentów Anna chciała ocalić pamięć o przeszłości. Tak bardzo, że „tu i teraz” zdawało się jej mniej ważne, rozmyte i nierealne. Obraz Vidara wypierał wszystko inne,

towarzyszył Annie na każdym kroku. Vidar sprzed lat, uśmiechnięty, giętki, elegancki jak przedwojenny amant, Vidar pochylony nad projektami, Vidar z wiosłem nad jeziorem Vättern, Vidar w szpitalnym łóżku i na wózku inwalidzkim, z zapadniętą klatką piersiową, zgarbiony...

– Kurwa! – wyrwało się Annie i zacisnęła mocno powieki.

To Vidar. On właśnie nie pozwalał jej zacząć na nowo, nawet tutaj, w cholernej Wenecji, która była taka piękna i niezwykła, taka obca i przerażająca. Rzucił cień na relację Anny z Ingvarem, na przyjaźń z Leonem, na każdą drobną przyjemność. Vidar, którego kochała, Vidar, z którym nie zawsze żyło jej się łatwo.

Otworzyła szeroko oczy i gwałtownie nabrała powietrza. Była jak topielec, któremu czasem, z rzadka, udawało się wysunąć głowę ponad powierzchnię wody. Zerwała się z krzesła i zaczęła spacerować po pokoju, ale pokonywanie trzymetrowej odległości między ścianą a oknem szybko ją zirytowało. Przez chwilę miała zamiar zadzwonić do Ingvara i kontynuować tamtą rozmowę o tęsknocie, uznała jednak, że to byłaby hipokryzja. W ich kontaktach nastąpił przełom i teraz należało dać sobie czas. Nie działać gwałtownie i pod wpływem zbyt silnych emocji. Bo ten przełom prowadził raczej do końca, a nie do nowego początku. Właśnie stąd wzięło się to „ale”, którym Ingvar zakończył ich rozmowę. Mnie też ciębie brakuje. Ale. I czasem „ale” w zupełności wystarcza. Anna wzięła telefon i wybrała numer Leona, on jednak nadal się nie zgłaszał. Rzuciła komórkę na łóżko i z wściekłości zacisnęła pięści.

Co z tym cholernym komisarzem? Dlaczego wciąż nie dzwonił?

Zastanawiała się przez moment, czy w zaistniałej sytuacji nie powinna pójść do antykwariatu i pomóc Lucrezii, która najwyraźniej nie miała dziś ani sekundy wytchnienia, ale szybko zdławiła w sobie ten nagły odruch empatii. Zerknęła w stronę laptopa i powolutku, jak gdyby zabierała się za rozbicie bomby, usiadła przy biurku. Uruchomiła komputer i wpisała w wyszukiwarkę „Guido Russo”, jednak nie znalazła niczego poza kilkoma nieistotnymi linkami. Kiedy zaś w miejsce nazwiska Poliszynela wpisała „Isabella Lomi”, aż klasnęła w dłonie. Że też od razu nie wpadła na to, by sprawdzić Google’a, tylko sporządzała sobie jakieś głupawe notatki w punktach! Anna zmarszczyła brwi, otworzyła kilka podstron, przeczytała parę zdawkowych informacji, przejrzała zdjęcia i dokładnie sprawdziła adres na mapie.

Zerwała się z miejsca, wciągnęła gruby czarny golf i wełniany płaszcz, a na stopy wsunęła kalosze. Po chwili szła już w stronę mostu Rialto, wokół którego kręcili się *carabinieri*, zaalarmowani pewnie przez tę krótką notkę o Ponte della Moneta. Spojrzała w ich stronę. Nie, niemożliwe. Tu nie o atak terrorystyczny chodziło, o żadne burzenie mostów. O co zatem? Tego Anna jeszcze nie wiedziała. Póki co, musiała się dostać do dzielnicy Castello i rzucić okiem na pewną uroczą cukiernię.

Castello, największą z weneckich *sestieri*, jak dotąd poznała najslabiej. Teraz, kiedy szła wolno wzdłuż Fondamenta San Lorenzo i na przemian spoglądała to na jasne kamienice z zielonymi okiennicami, to na spokojne tego dnia wody kanału, uznała, że w Castello i San Polo podobało jej się najbardziej. San Polo, jako jedna z najstarszych dzielnic, miała swój niezaprzeczalny urok żywego muzeum i leżała w samym sercu Wenecji, ale w Castello, oddalonym od najpopularniejszych szlaków turystycznych, życie toczyło się wolniej, a sama przestrzeń mniej przypominała skansen. Nie spotykało się tu również tak wielu ludzi w karnawałowych przebraniach. Zacieki na ścianach, tynk odpadający z fasad, suszące się na sznurkach pranie i donice w oknach – to wszystko dało się zobaczyć także w centrum Serenissimy. Tutaj jednak nie było zbyt wielu turystów z aparatami fotograficznymi, którzy pragnęliby uwiecznić na zdjęciu przejawy lokalnego folkloru. Kiedy Anna szła Fondamenta San Lorenzo, tak bardzo dała się uwieść panującej wokół atmosferze rozluźnienia, że zapomniała niemal, jaki był cel jej wyprawy. A zwłaszcza zapomniała o tym, co znajdowało się po drodze... Na widok łopoczących na wietrze flag – włoskiej i unijnej – stanęła jak wryta.

– O cholera – mruknęła pod nosem.

Znajdowała się zaledwie kilka kroków od komendy policji. Dlaczego wybrała akurat tę drogę? Annę zapiekły policzki. Rozejrzała się gorączkowo, podbiegła do mostu i przeszła na drugą stronę kanału. Teraz znajdowała się wprawdzie dalej od feralnego budynku, ale za to łatwiej można ją było dostrzec z okna. Z tego, co pamiętała, okna gabinetu komisarza Vallego wychodziły właśnie na Rio San Lorenzo.

– Szlag, szlag, szlag – mamrotała, naciągając pospiesznie na głowę kaptur płaszcz.

Puściła się biegiem wzdłuż kanału i kiedy uznała, że znalazła się w miejscu, w którym nie mógłby dostrzec jej Valli, zwolniła kroku. Dyszała ciężko i czuła nieprzyjemne pulsowanie w skroniach. Wołała na dłużej nie zatrzymywać się myślami nad swoją fatalną kondycją. Obejrzała się i zerknęła na budynek komendy. Była na siebie zła za to, że nie zwróciła uwagi, dokąd poniosły ją nogi. Wczorajszego wieczoru przyplłynęła tu wprawdzie policyjną łodzią w towarzystwie Vallego i mundurowego Stefana, ale mimo wszystko – powinna zachować większą ostrożność. *Commissario* gotów jeszcze wziąć ją za nienormalną stalkerkę, która zbyt poważnie potraktowała propozycję współpracy i niczym naiwne dziewczę przed pierwszą randką czekała na obiecany telefon. Nawet jeśli była w tym niewielka cząstka prawdy...

Zrzuciła z głowy kaptur, sięgnęła do torby po komórkę i połączyła się z internetem. Jeszcze raz dokładnie przyjrzała się mapie Castello, ale po chwili uznała, że równie dobrze mogłaby zamknąć oczy i zdać się na intuicję. Postanowiła zaryzykować. Przecięła pierwszy napotkany most i dała się wciągnąć w labirynt uliczek, zaułków i placyków, wszystkich zadziwiająco podobnych do siebie. Kroczyła wzdłuż odrapanych ścian i ze smutkiem obserwowała zatrzaśnięte na głucho okiennice. Nie wiedziała, jak nazywał się most, którym przedostała się na Corte Nuova, tutaj jednak, kiedy pod baldachimem suszącego się prania dotarła na koniec ślepej *calle*, musiała przyznać, że się zgubiła.

Castello jednak różniło się od San Marco, San Polo i Dorsoduro. Nikt tutaj nie rozpieszczał turystów i nie można było zorientować się w terenie poprzez proste zlokalizowanie jednego z weneckich pałaców. Anna przystanąła i oparła się o starą studnię. Powiodła wzrokiem po maleńkich okienkach i drewnianych drzwiach jak z Krainy Czarów. Nie mogła uwierzyć, że ktoś naprawdę tu mieszkał, że tutaj też mogła tak po prostu istnieć... proza życia. Spojrzała w ujęty w ramę dachówek prostokąt nieba, szarego i ciężkiego, zwiastującego nadejście zmierzchu. Sprawdziła godzinę i z zaskoczeniem stwierdziła, że minęła czwarta. Była zmęczona, zmarznięta i głodna, a poza tym zupełnie nie wiedziała, gdzie się znalazła. A przecież miała trafić na Calle del Forno i stamtąd na Campo do Pozzi. Tam bowiem znajdowała się cukiernia Isabelli Lomi – właśnie tej Isabelli, która zakończyła swój żywot na stosie w Palazzo Marconi. A raczej nie na stosie, tylko zapewne w jakiejś ciemnej norze, gdzie ktoś ją udusił, przebrał jak lalkę, po czym zamierzał spektakularnie spalić. Zresztą szlag wie, co ten ktoś zamierzał. Psychopatyczni mordercy potrafili być niezwykle kreatywni.

Anna przysiadła na brzegu studni i oddychała powoli. Ogarniała ją błogość, zupełnie niestosowna, zważywszy na okoliczności, ale też coraz dotkliwiej odczuwała zimno. A jednak nie mogła tak po prostu się poddać, nie teraz, kiedy kluczyła godzinami po uliczkach Castello i była bliska osiągnięcia celu swojej wędrówki. Czy rzeczywiście była? Ziewnęła i po raz kolejny spojrzała na mapę. Parsknęła śmiechem. Na mapie wszystko znajdowało się tak blisko siebie!

Poderwała się z miejsca, kiedy usłyszała trzask otwieranej okiennicy. Spojrzała w lewo i zobaczyła staruszkę z fajką w zębach, który na jej widok skinął głową i uśmiechnął się. No proszę, a podobno rodowici weneccjanie są zdystansowani i niezbyt skorzy do obdarzania zaufaniem obcych! Może ten sympatyczny dziadzio z fajką pochodził z południa? Annie Włosi z południa zawsze wydawali się bardziej otwarci i towarzyscy niż ci z północy.

– *Signora? Che cosa è successo?*

Wyprostowała się z dumą. Zrozumiała pytanie.

– *Niente* – odrzekła i umilkła.

To było jedno z niewielu włoskich słów i zwrotów, które знаła, poza *grazie*, *buongiorno*, *buonasera* i *una bottiglia di vino*. Zrobiło jej się nagle potwornie wstyd za to „nic”, które zdawkowo rzuciła w oczy nieznanemu i chyba przyjaźnie nastawionemu miejscowemu. Dziadzio jednak wetknął fajkę do ust i uśmiechnął się z politowaniem. Zatrzasnął okiennicę i Anna myślała, że to by było na tyle z konwersacji, ale po chwili staruszek ukazał się w drzwiach, odziany w ortalionowy płaszcz i wysokie kalosze. Wyciągnął palec wskazujący w górę.

– *Rain. Tommorow acqua alta!*

Zrozumiała, że wenecki dziadzio wieszczył na jutro kolejną powódź i pewnie miał rację. Kojarzył się Annie z tatrzańskim bacą. W tej chwili patrzył na nią wyczekująco i wreszcie pojęła, że czeka, aż mu powie, dokąd zmierza.

– Calle del Forno? Campo do Pozzi?

Mężczyzna skinął głową i ponownie wetknął fajkę do ust. Zaoferował zdumionej Annie ramię, które, niewiele myśląc, przyjęła. Kiedy szli przez wąskie na metr uliczki, tunele i mostki, zakreśliło jej się w głowie. Na Campo do Pozzi dotarli w piętnaście minut. Oczom Anny ukazał się niewielki, piękny plac z obowiązkową studnią na środku, kawiarnią i małym sklepikiem oraz kilkoma lokalami zamkniętymi na głucho. Była tam również dwupiętrowa kamienica, z obnażonymi czerwonymi cegłami u dołu i kruszącym się tynkiem, co najwyraźniej stanowiło widok dość powszechny w Wenecji. W oknach jednak zawieszono kolorowe firanki, a na parapetach ustawiono donice z kwiatami. Nawet to nie pomogło wypłoszyć ponurej atmosfery spowijającej dom tego popołudnia. Do okiennic mieszczącej się na parterze cukierni przyklejono sporych rozmiarów zdjęcie przepasane kirem. Pod drzwiami piętrzyły się bukiety kwiatów i żałobne wieńce. Anna spojrzała na szyld. Cukiernię nazwano *Dolce Isabella*.

Livia Foscari popiła wodą dwie tabletki na uspokojenie. Jej mąż wrócił do domu. Nie wiedziała, jaką przyjąć wobec niego postawę. Zdradzał ją z tą małą suką z Castello, to fakt. Wiedziała o tym od dawna, ale przecież nie mogła tego nikomu wyjawić, a już zwłaszcza Luigiemu. Ani policji. Teraz, kiedy w uliczce nad kanałem zginął tamten chłopak. Nikt nie mógł się dowiedzieć, że ona w ogóle widziała go na oczy. Że znała jego nazwisko. I że nie tylko ona znała.

Nikt nie mógł ich z nim połączyć. Bo ta dziewczyna nie żyła. Bo nie żył chłopak.

A Livia mieszkała pod jednym dachem z mordercą.

Ten policjant. Rozmawiał z nią. Miał takie ciekawe oczy, czarne. Nie widziała granicy między tęczęwką a żrenicą. Uśmiechał się i był miły. Nosił takie samo imię, jak ona, tyle że wariant męski. Stefano. Stefania i Stefano. Zainteresowałby ją, gdyby trafili na siebie w odpowiedniejszym momencie. Obok

bezczelności i zadziorności młodego policjanta miał w sobie tę uroczą nieśmiałość, która zawsze tak bardzo urzekała ją u mężczyzn. Kiedy się uśmiechał, brwi szły mu do góry, przez co sprawiał wrażenie zdziwionego.

Miała chwilę słabości przez te brwi. I oczy, czarne. Zapragnęła mu powiedzieć o nożyczkach i bandażach Livii Foscari, o tym, że widziała strach w jej oczach i krew na ostrzu, że ona sama – Stefania – bardzo się wtedy bała. A Marconi przyjechał natychmiast, tłumaczył się i tłumaczył, wszystko zbagatelizował, bo przecież „to Livia, wiesz jaka ona jest”. Czy Stefania wiedziała? Wtedy myślała, że tak. Ale teraz ktoś zamordował tę dziewczynę i zabawił się jej ciałem w okrutny, teatralny sposób. Co chciał powiedzieć, co osiągnąć? Dziewczyna była w łodzi Marconiego. Marconi pisał do niej wiadomości. Spotykali się. Dziewczyna pozwalała, by Marconi ją dotykał i całował. Czy pokładała w tej znajomości jakieś nadzieje? A może wiedziała, że była tylko jego zabawką. Bo przecież on nie opuści żony. Wszyscy to wiedzą.

Tajemnica poliszynela.

Poliszynela? Czy chłopak, którego znaleziono nad kanałem, nie był przebrany właśnie za Poliszynela? Policja trzymała w tajemnicy wszystkie szczegóły tamtej zbrodni. A jednak Stefaniu wydawało się dziwne, że dwa morderstwa wydarzyły się w Wenecji niemal jednocześnie. Serenissima jest mała. Ludzie tutaj kradną i oszukują na potęgę, na dworcu co trzecia kobieta to dziwka, a co trzeci facet – alfons, ale morderstwa nie zdarzają się znowu aż tak często. I ten Poliszynel...

Stefania odsunęła od siebie talerz z risotto i wytarła usta serwetką. Chciała zapomnieć o rozmowie z policjantem. Nie mogła już dłużej myśleć o tym, jak bardzo się zawahała i jak silną potrzebę powiedzenia prawdy poczuła. Ile jeszcze wytrzyma? Czy ten chłopak, Stefano, zauważył jej wahanie? Wiedziała, że tak. Pytanie tylko, co z tym zrobi.

Drugi kopiec usypany z kwiatów narastał u wylotu Calle del Forno, pod czymś, co przypominało niewielki ołtarzyk. Płaski wykusz zwieńczony złotym krzyżem mieścił w sobie obraz – zapewne jakiegoś świętego – do którego dostępu chroniła żelazna krata. Ludzie żegnali się, odmawiali krótkie modlitwy, a niekiedy śpiewali coś cicho, po czym odchodzili ze spuszczoneymi głowami, każde w swoją stronę. Kilkoro z nich przysiadło na metalowych krzeselkach ustawionych, mimo chłodu, przed kawiarnią. Właśnie tam Anna również skierowała swoje kroki. Wenecki dziadzio z fajką człapał powoli za nią i wyraźnie miał ochotę na małą pogawędkę, ale niestety dzieliła ich przekłeta bariera językowa. Anna rozłożyła bezradnie ręce, a staruszek roześmiał się i powtórzył ten sam gest, po czym skłonił się i odszedł. Bez niego Campo do Pozzi wydało się puste i obce.

Kawiarnia była zatłoczona, a wewnątrz wypełniał gwar rozmów prowadzonych głównie w dialekcie weneckim. Anna przystanąła w progu i zawahała się, jednak na ucieczkę było już za późno. Została zauważona. Rozmowy nie ucichły, choć każdy z gości skierował na nią wzrok i nikt nie próbował prowadzić obserwacji dyskretnie. Anna zrozumiała, że tego dnia w kawiarni musieli zgromadzić się głównie miejscowi, którzy teraz omawiali sprawę śmierci ich sąsiadki-cukierniczki, słodkiej Isabelli. Turyści zresztą oddawali się zabawom i rozpoczynali drugą noc karnawału, a zatem niewielu z nich, o ile w ogóle ktokolwiek, zapuszczało się o tej porze w tak odległe rejony Castello. Anna uniosła dumnie

głowę i postanowiła kontynuować swoją grę. Podeszła do lady. Kobieta za kontuarem właśnie wycierała zażawione oczy.

– *Signora?* – zapytała. Wciąż pociągała nosem.

Anna poprosiła o kawę, używając zwrotu *un caffè*, zdążyła się już bowiem przekonać, że wielu Włochów rozróżniało *un caffè* od zwykłego *coffee* i tę pierwszą wersję uważali za prawdziwą kawę. A przynajmniej miała nadzieję, że dobrze to wszystko zrozumiała. Kobieta za ladą w milczeniu skinęła głową i po chwili syknął ekspres. Anna rozejrzała się na boki. Goście lokalu, przekonani, że nie rozumie zbyt wiele po włosku, zaczęli rozmawiać ze wcześniejszą swobodą. Nikt nie próbował jej zagadywać. Zaczęła już wyrzucać sobie w duchu, że nigdy nie zainteresowała się językami romańskimi, kiedy poczuła czyjaś dłoń na ramieniu. Drgnęła i obróciła się. Zobaczyła mężczyznę w średnim wieku, z przerzedzonymi włosami i skórą tak suchą, że łuszczyła mu się na nosie. Uniosła brwi, a nieznajomy uśmiechnął się smutno.

– *Straniera?*

Włożyła wielki wysiłek w to, by nie przewrócić oczami. *Straniera!* Jasne, a któż by inny? Potwierdziła, ale nie odezwała się słowem. Przez otwarte drzwi kawiarni zaczęła obserwować żałobników, którzy znosili pod ołtarzyk kolejne bukiety, a później omijali studnię i zmierzali ku cukierni *Dolce Isabella*, by tam również złożyć hołd zmarłej tragicznie kobiecie. „Kim byłaś, słodka Isabello?”, zastanawiała się. „Czy byłaś bliska tej dziewczynie, która właśnie przyrządza mi kawę?”. Anna przeniosła wzrok na pracownicę, a może nawet właścicielkę kawiarni, nadal pochlipującą przy ekspresie.

– Co pani robi o tej porze w Castello? Nie bawi się pani? – odezwał się nagle mężczyzna, który zaczął ją wcześniej. Mówił dość dobrze po angielsku, ale z silnym akcentem, wyraźniejszym nawet niż u Lucrezii.

Anna podziękowała za kawę, zapłaciła i uniosła filiżankę do ust. Upiła łyk i wzruszyła ramionami.

– Chciałam zobaczyć, co jest jeszcze w Wenecji poza Piazza San Marco – odrzekła i na kilka sekund zawiesiła głos. Przysunęła się bliżej nieznajomego. – Co tu się stało? – zapytała i zatoczyła ręką, wskazując ołtarzyk i położoną w głębi placu cukiernię.

Mężczyzna przesunął po kontuarze pustą filiżankę i poprosił o kolejną kawę.

– Może skusi się pani na ciastko?

Właśnie w tej chwili Anna uświadomiła sobie, że od rana nie zjadła absolutnie nic. Zaburczało jej w brzuchu, ale pokręciła głową. Nie mogła myśleć o jedzeniu, kiedy tuż obok defilowały te smutne postaci z kwiatami. Miała wrażenie, że uczyniłaby im afront, nie oddała szacunku zmarłej.

– Pani strata – skwitował nieznajomy. – Są tu dobre ciasta. Od Isabelli się kupowało. Tej z cukierni. Ale teraz nie wiadomo, jak będzie.

Mięśnie Anny napięły się, kiedy usłyszała to imię, ale usiłowała zachować obojętny wyraz twarzy.

– Isabella? Widziałam zdjęcie na okiennicy tamtej cukierni. To ona? Co się stało?

– Nie słyszała pani? O tym, co się wydarzyło wczoraj w nocy? W radiu mówili...

– Nie mam tutaj gdzie słuchać radia – skłamała.

Mężczyzna ponownie uśmiechnął się smutno i tym razem on podziękował za kawę. Wsypał do niej cukier, zamieszał i siorbnął.

– Na balu u Marconiego znaleźli martwą kobietę. Marconi to taki tutejszy jubiler, bardzo bogaty. Ma głowę do interesów, zaczynał od podrzędnego sklepiku w Cannaregio, który szybko przerobił na dość ładny salon. Ale sama pani rozumie, może z jedna trzecia turystów zapuszcza się do Cannaregio, większość łązi bez sensu po San Marco i boją się pójść dalej niż do Mostu Rialto. Żeby się nie zgubić.

– W Wenecji łatwo się zgubić – wtrąciła.

– Pfff – skwitował mężczyzna i machnął ręką. – Wracając do tematu – na pewno pani wie, że turyści zostawiają w Wenecji najwięcej pieniędzy. Marconi uznał więc, że musi się rozwijać. Potrzebny był mu lokal na San Marco albo przynajmniej w Dorsoduro, w pobliżu Mostu Akademii lub kościoła La Salute. Problem polegał, a właściwie dla wielu ludzi nadal polega na tym, że nieruchomości w Wenecji są okropnie drogie. Marconi, choć zgromadził już sporo oszczędności, nie miał wystarczających środków, by wynająć bądź kupić lokal w centrum. Nie chciał też brać kosmicznego kredytu, więc...

– Więc – weszła mu ni stąd, ni zowąd w słowo dziewczyna zza kontuaru – wzenił się w wenecką rodzinę z tradycjami. Ta jego żona, Livia, nosi nazwisko Foscari. Ponoć nie jest w prostej linii z „tych” Foscari, ale istnieje pewne pokrewieństwo. Jej dziadek miał posiadłość na jednej z wysp laguny, a rodzice starali się utrzymać dom, nie dali jednak rady i porzucili majątek. Nie oni pierwsi, na lagunie pełno takich osieroconych wyseppek. Ci Foscari, rodzice Livii, przeprowadzili się do swojej ostatniej rodowej kamienicy na San Marco.

– Ostatniej rodowej kamienicy? – zdziwiła się Anna. – Czy tam...?

– Właśnie tam Marconi otworzył swój salon. Dwupiętrowy. Zatrudnił kolejnych pracowników i zaczął się specjalizować w platynie i diamentach, ma ponoć niezłe wtyki w Antwerpii i pozyskuje najlepsze kamienie. Guardia di Finanza od dawna się nim interesuje. Nikt nie wierzy w to, że wszystko skupuje legalnie. No ale nie ma na niego haka. – Kobieta rozłożyła ręce i ponownie otarła oczy rogiem kawiarnianej serwetki.

– Poza tym – podjął mężczyzna – Marconi chwali się, że u niego nie produkuje się biżuterii fabrycznie. Ręczna robota. Projekty indywidualne, serie limitowane i takie tam... Cóż, powodzi mu się. A z tą kamienicą miał szczęście. Zawrócił w głowie Livii Foscari, ona była już sierotą i w dodatku jedynaczką, mieszkała sama. Rodową kamienicę Foscari przeznaczono na sklep jubilerski, najpierw tylko parter. Później biznes się rozwinął, a Marconi z żoną kupili sobie dom nad Rio de San Zulian. Ostatecznie więc facet zdołał nabyć nieruchomość w centrum Wenecji. Mówią na to Palazzo Marconi, ale co to tam za *palazzo*!

Nieznajomy prychnął, po czym wychylił duszkiem swoją kawę. Anna zamyśliła się. Foscari? Znała to nazwisko. Jeden Foscari pełnił chyba funkcję weneckiego doży, ale to było... w czternastym wieku. Albo piętnastym. Czyżby rodzice Livii Foscari byli pociotkami samego doży? Nie zdążyła się nad tym zastanowić, bo kobieta zza kontuaru znowu pociągnęła nosem, po czym ustawiła na blacie trzy małe kieliszki i butelkę grappy.

– Jak pani widzi, Marconi oszczędził sobie wydatku na nowy lokal – wycedziła, po czym rozlała trunek.

– Nie lubi go pani – zaryzykowała Anna i uniosła kieliszek.

– Nie lubię go? Ja...

– Lucia, dość już, łyknij sobie – mężczyzna poklepał kobietę po dłoni. – Przepraszam, nie przedstawiłem się. Luca Pozzi. Nie, ten plac nie został nazwany na cześć mojej rodziny. – Uśmiechnął się, kiedy Anna powędrowała wzrokiem do tabliczki z nazwą *campo*. – To przypadek. Uznałem, że dobrze będzie otworzyć tu kawiarnię. I tak wszyscy mówią, że idą na kawę do Pozziego. Pasuje mi. A Lucia jest moją bratanicą, pracuje tutaj.

– To pana lokal? Nie wiedziałam.

Mężczyzna roześmiał się w głos.

– Nie! A skąd miała pani wiedzieć?

Chciał jeszcze zażartować, ale Lucia zgromiła go wzrokiem. Mężczyzna spoważniał.

– Lucia nie lubi tego Marconiego, bo zawrócił w głowie Belli. Znaczy Isabelli. Która teraz nie żyje. Ale nie dokończyłem tej historii. Proszę się jeszcze napić grappy.

– Ale ja...

– Zdrowie! Wczoraj w nocy u Marconiego odbywał się bal. Jubiler wymyślił sobie, że o północy spala na stosie kukłę symbolizującą karnawał. Bez sensu, moim zdaniem, robić to już pierwszego dnia, skoro jeszcze dziewięć dni imprez przed nami. Ale nie wnikiem. W każdym razie kazał zamówić tę kukłę gdzieś u znanego artysty i ponoć wyglądała jak żywa.

– Jak rzeźby...

– Czyjeś tam. Tak, słyszałem. Były też dla niej kiecki bogate i inne świecidełka. Kiedy przyszło co do czego, Marconi podpalił stos i lalka zajęła się ogniem, ale po upływie dłuższej chwili smrodu nie dało się już znieść i podniesiono alarm. Nie wiem, może komuś się ten zapach niedobrze skojarzył, może ktoś miał jakieś doświadczenie z poparzeniem... Marconi chwycił gaśnicę i ugasił płonący stos, zajrzał pod maskę niby-kukły i...

– Zobaczył twarz Isabelli – dodała grobowym głosem Lucia. – A przynajmniej tak piszą. W internecie i gazetach. Ale czy to cała prawda?

Anna otworzyła szeroko oczy. O tym wszystkim można się było dowiedzieć z lokalnych mediów? Szlag! Jednak... Media z pewnością coś już po swojemu zniekształciły. Zawsze to robią. Wątpliwości Lucii były słuszne. Westchnęła i dopiła swoją grappę. Kieliszek w dwie sekundy napełnił się ponownie.

– To na pewno on ją załatwił! – zawołała nagle z mocą *signorina* Pozzi.

– Lucia... – Luca Pozzi wychylił się w stronę siostrzenicy.

– Co: Lucia? No co? Znudziła mu się i tyle!

– Czyli oni mieli ze sobą coś wspólnego? – podchwyciła Anna. W głowie kręciło jej się od grappy wypitej na pusty od wielu godzin żołądek.

– Wspólnego? – Lucia zamachała wściekle rękami. – Była jego kochanką. Taką, wie pani, metresą. Jak to u, pożałuj Boże, arystokratów. Zabierał ją na drogie kolacje, przynosił prezenty, biżuterię, woził na wycieczki. Ta biedna żona z pewnością ślepa nie była. Kto wie, może mieli intercyzę czy jak to się tam nazywa i ona zażądała rozwodu? Marconi chciał się rozstać z Isabellą, ale Bella nie mogła się z tym pogodzić i wtedy... Trach!

– Lucia, jaki znowu trach, uspokój się już. – Luca Pozzi rozejrzał się niespokojnie po kawiarni, ale nikt nie przejmował się zachowaniem jego siostrzenicy.

Anna pokiwała głową, sącząc kolejny kieliszek grappy. Teoria Lucii byłaby nawet niegłupia, jeśli okoliczności rzeczywiście tak się przedstawiały. Niestety, sprawa z pewnością nie wyglądała równie prosto. Anna czuła, że w zabójstwie Isabelli Lomi chodziło o coś zupełnie innego. Dlaczego ta dziewczyna komuś przeszkadzała? Bo przecież gdyby jubiler Marconi zechciał pozbyć się uciążliwej kochanki, zrobiłby to po cichu, nie zdecydowałby się na taki karnawałowy performance. Z pewnością miał mnóstwo innych możliwości, by usunąć Isabellę z Wenecji na dobre. A zatem... Co tam się stało?

– Panie się przyjaźniły? – odezwała się, kierując pytanie do Lucii, która opierała się łokciami o kontuar, a w jej oczach znowu błyszczały łzy.

– Chodziłyśmy razem do szkoły – wyjaśniła dziewczyna. – Brałam od niej ciasta. Piekła takie... Takie dobre – Lucia przymknęła powieki.

– Isabella miała dopiero dwadzieścia pięć lat – wtrącił *signor* Pozzi. – Nie wiem, co musiałyby zrobić, by zasłużyć sobie na taki koniec.

Anna nie odpowiedziała. Jak miała mu wytłumaczyć, że większość ofiar morderstw nie zasłużyła sobie na tak tragiczny koniec? Że często giną osoby młode i niewinne, które w swoim krótkim życiu nie zdążyły jeszcze porządnie nagrzeszyć? I że po świecie chodzi mnóstwo psychopatów i zwyrodnialców, rozmiłowanych w zadawaniu bólu i odbieraniu ostatniego oddechu? A do tego jeszcze tysiące na pozór całkiem normalnych jednostek, które – pod wpływem niezrozumiałego impulsu – nagle odkrywają

w sobie niezmiernie pokłady agresji i dopuszczają się zbrodni? Jak miała mu to wszystko wyjaśnić? Jak powiedzieć, że Isabella Lomi, dolce Isabella, cukierniczka z Castello, nie była ani pierwsza, ani ostatnia?

– *Signora*? Dobrze się pani czuje? A właśnie! Nie poznaliśmy jeszcze pani imienia.

– Przepraszam. Jestem Anna L... – zająknęła się. – Bylińska.

– Bylińska? Polka?

– Tak, Polka – przyznała z ulgą, że jej chwilowe wahanie nie zostało zauważone przez rodzinę Pozzich.

– Chyba już pójdę. Chciałabym zapłacić za grappę...

Lucia zrobiła obrażoną minę, a *signor* Pozzi uśmiechnął się dobrotliwie.

– Była pani naszym gościem. Proszę jeszcze wpaść. Jak długo zostanie pani w Wenecji?

– Nie wiem – przyznała.

– I bardzo dobrze – usłyszała w odpowiedzi.

Pożegnała się, wyszła z kawiarni Pozzich i przystanęła na *campo*. Pod ołtarzykiem i cukiernią Isabelli paliły się świece, a ich mdłe światło wywabiało z zakamarków fantastyczne cienie. Campo do Pozzi wyglądało teraz jak średniowieczny plac, na którym ludzie oddawali się tajemniczemu obrzędowi. Anna ruszyła wąskimi *calli* – del Forno i Scudi. W głowie kręciło jej się coraz bardziej i czuła mdłości po wypitym dopiero co alkoholu. Wśród małych placyków, krętych uliczek i chylących się ku sobie kamienic szybko zgubiła drogę.

Stefano zjawił się przed północą. Stanął w progu i wykonał gest, jak gdyby miał zamiar się przeżegnać.

– Chwila, przejdę się jeszcze do apteki. Na rogu jest całodobowa... – bąknął.

Komisarz Valli szarpnął go za ramię i wciągnął do mieszkania. Powlókł się do salonu i opadł na sofę. W pośpiechu schował pod poduszkę książkę o przygodach Ture Sventona. Przeczytał kilka stron, kiedy już nie był w stanie myśleć o tej idiotycznej sprawie. A raczej sprawach. *Colonello* od karabinierów przez cały dzień nie dał znaku życia, a Antonio nie zadzwonił do Anny Lindholm. Choć kilka razy złapał się na tym, że zastanawiał się, co ona powiedziała by na taką czy inną hipotezę. No, może nie kilka. Złapał się na tym kilkanaście razy. Trzymał już w dłoni telefon, ale w ostatniej chwili zrezygnował. I został sam z całym tym rozgrzebanym cyrkiem, ze strzępami informacji i milionem domysłów. Z gorączką i bólem gardła. Dawno już Valli nie odczuwał swojej samotności tak dotkliwie, jak dziś.

– Szefie – odezwał się nieśmiało Stefano. – Przecież szef zaraz tu wykituje.

– Bywało już... khy khy... gorzej.

Komisarz strącił z kanapy jakieś papiery i wygładził jedną z poduszek. Stefano spojrział na niego z powątpiewaniem, ale więcej nie wspomniął o aptece. Przysiadł obok Antonia i pociągnął nosem.

– Cy... Cytryna? Syrop z blusz... czu? – zająknęła się. – Dobrze i to.

– Coś wiadomo? – przerwał zniecierpliwiony Valli i zaniósł się kaszlem.

Stefano odczekał chwilę, po czym wzruszył ramionami. Komisarz kiwał mechanicznie głową, kiedy młody policjant relacjonował, co robił przez cały dzień. A było tego sporo. Przesłuchania pałacowych gości, zwiedzanie Palazzo Marconi i bieganie za ważnymi ludźmi, u których wypraszał szybszy termin sekcji zwłok. Grafik patologów wyglądał fatalnie, a przecież wpadł im jeszcze niespodziewanie ten Poliszynel. Teraz na dokładkę dziewczyna ze stosu... Komisarz Valli skrzywił się z niesmakiem.

W weneckiej policji zawsze wszystko trzeba sobie było wyprosić i wychodzić.

– Coś wiadomo? – powtórzył swoje pytanie Antonio, kiedy Stefano umilkł.

Bo przecież z monologu młodego policjanta nie wynikało absolutnie nic. Marconi, skruszony i cichy, potulnie opowiedział jeszcze raz o relacji z Isabellą Lomi, po czym zapytał, czy będzie mógł wkrótce wrócić do pracy. Livia Foscari utrzymywała, że Isabelli nie znała. O dziwo – nie wyglądało na to, by gniewała się na męża. Pracownicy zatrudnieni w Palazzo Marconi twierdzili, że wprawdzie unikała go, ale kiedy rozmawiała ze Stefano, nie wykazywała oznak złości. Odpowiadała na pytania spokojnie, z namysłem. Kucharka uważała, że „pani była na prochach” i to dlatego. Sprzątaczkę – że kłótnie nie leżą w jej naturze i z pewnością rozprawi się z mężem inaczej. Zrobi przedstawienie, wybiegnie z domu w bieliźnie, odegra załamanie nerwowe i pojedzie do sanatorium. Takie sceny pod dachem Palazzo Marconi już się w przeszłości rozgrywały, a powody bywały bardzo różne. Jakiś flirt męża, jakieś nieudane zakupy żony...

Stefano porozmawiał sobie również z asystentem Livii Foscari. Asystent natomiast... A może księgowy? Stefano nie był pewien, jaką funkcję w pałacu pełnił Roberto Capuletti czy Capelli, ale gość od razu wydał mu się interesujący. Facet uznał bowiem, że tak naprawdę – i „między nimi mówiąc” – Marconi nigdy swojej żony nie kochał. Traktował ją jak ozdobę i parawan dla wszelkich działań. Ona pokazywała się na przyjęciach i zajmowała sprawami fundacji na rzecz osieroconych dzieci, a on skupiał się na interesach. Prawdopodobnie nie zawsze legalnych. Nie, księgowy-asystent nie miał dowodów, to tylko domysły. Ale też nigdy tych dowodów nie szukał. To taka tajemnica poliszynela... Livię Foscari księgowy-asystent znał natomiast od lat. Znali się już ich rodzice. I Capelli wiedział, że Livia Foscari miała kłopoty... z nerwami. Kucharka i sprzątaczkę się nie myliły. Foscari zażywała leki uspokajające i widywała się regularnie z lekarzem. Chorowała na depresję czy inną nerwicę. Zdarzało jej się od czasu do czasu tracić kontrolę nad emocjami. Ale radziła sobie coraz lepiej. Capelli uważał, że całkiem dobrze. A Marconi zaniedbywał ją, ignorował, nie doceniał...

– Jednym słowem – wtrącił się Valli, pokaszując. – Asystent-księgowy, ten cały Capuletti...

– Capelli...

– Capelli. Kocha się w Livii Foscari? I nie znosi jej męża?

– Chyba – przytaknął Stefano i umościł się wygodnie na kanapie.

Komisarz Valli uśmiechnął się krzywo. W wielu sprawach pojawiał się podobny schemat. Zdradzana żona, mąż-bogaty-macho, i jakiś szary facet w tle, zakochany w żonie. Pewnie od lat. A jednak do tej sprawy taki schemat nie do końca pasował. Coś zgrzytało. Tylko nie miał pojęcia co. Potarł nieogolony policzek. Pomyślał o Annie Lindholm. Pociągnął łyk herbaty z miodem i cytryną, której nie znosił. Nie dowiedział się niczego ciekawego. Niczego, czego mógłby się ucześć.

Oczywiście, że Marconi będzie mógł wrócić do pracy. Nic na niego jeszcze nie mieli, tylko te głupie SMS-y. Oczywiście, że policja pokręci się po pałacu i wreszcie będzie musiała się stamtąd wynieść. Oczywiście, że trzeba przejrzeć życiorys Isabelli Lomi. Już powinien to zrobić. Dziś rano. Wtedy, kiedy z trudem zwlekał się z łóżka.

Valli pomyślał o cukierni. O cukiernicze. O stosie. O chłopaku zaszytym między *case morti*. O gondoli. O matce Marconiego, która zapadła się pod ziemię dwadzieścia pięć lat temu. O... topielcu, który przed rokiem stracił życie w kanale nieopodal Ca’Dario. I który również pochodził z Padwy. Czy to było ważne? Każdy mógł przecież pochodzić z Padwy. Ale tamtego topielca i Russa coś łączyło. I ktoś. Antonio Valli po raz kolejny przypomniał sobie twarz Anny Lindholm. Czy była bezpieczna? Zrobiło mu się zimno.

– Trzymaj rękę na pulsie – powiedział i spojrzał Stefanowi w oczy. – Pilnuj tych idiotów, żeby się nie opieprzali. I ze wszystkim do mnie dzwoń. Rozumiesz? Jutro... Pewnie zostanę jeszcze w domu. Ale chcę

mieć informacje na bieżąco. Jasne?

– Jasne. Szefie, ten Capelli... On jest ciekawy.

– Mnie wydaje się na razie całkiem nudny.

– Ale jego życiorys jest dziwnie zbieżny z życiorysem Marconiego. Chłopak z Cannaregio, z niezbyt zamożnej rodziny, również od osiemnastego roku życia chował się bez jednego rodzica. Bez ojca. Matka pracowała w urzędzie, średnio im się wiodło.

– I Marconi się wybił, a Capelli nie – skomentował komisarz.

– Właśnie. Capelli pracował jako księgowy, ale w dwóch firmach doniesiono, że wystawiał lewe faktury, więc nie posiedział nawet na ciepłych posadkach. Foscari go przygarnęła. Pewnie przez wzgląd na starą znajomość.

– Musi mu być ciężko.

– Pewnie tak. On jest dziwny...

– Mhm. Coś jeszcze? Skup się.

Stefano zsunął się na sofie i odchylił głowę.

– Nie wiem. Może asystentka Marconiego. Stefania Massimo. Piękna jak z obrazka. Trochę się jąkała. Przerzywała co chwilę, namyślała się, ale w efekcie nie powiedziała niczego istotnego. Choć pewnie miała zamiar. To było widać. Mogę ją jeszcze raz przycisnąć. I tego Capellego...

– Okej.

Valli zaniósł się kaszlem. Stefano opowiedział mu jeszcze ze dwie anegdotki o zastępcy komendanta i zebrał się do wyjścia. Komisarz zwlekł się z kanapy i odprowadził młodego policjanta do drzwi. W progu Stefano zatrzymał się i chrząknął.

– To co? Przynieść jakiś ibuprofen?

– Dobranoc – uciął Valli.

– Jasne. A... Szefie?

– No?

– Co z nią?

Antonio Valli, ku swojemu zdumieniu i przerażeniu, poczuł, że się czerwieni. Spuścił głowę i tym razem udawał, że znowu zebrało mu się na kaszel.

– Fajna jest – zauważył nieśmiało Stefano. – Szkoda by...

Valli zamachał rękami. Policjant urwał.

– Zadzwoń do niej i powiedz, że się rozchorowałem. I dam znać, jak tylko wrócę na komendę. Propozycja współpracy jest aktualna. Widzisz, tym razem nie będziesz musiał nikomu nakłamać.

– Rzadki luksus – mruknął Stefano i po chwili już go nie było.

Valli wrócił na kanapę. Zastanawiał się, dlaczego *colonello* Ricci od karabinierów jeszcze nie zadzwonił. I co robiła teraz Anna Lindholm? Czy myślała o nim... znaczy... o sprawie? Czy była teraz... z tamtą? Czy była bezpieczna? Komisarza po raz kolejny ogarnął niepokój. Przypomniał sobie jej drobną sylwetkę, czarny wełniany płaszcz, kalosze, idiotyczną suknię, pelerynę. Błądą twarz i piegi na powiekach. Dlaczego zauważył piegi na powiekach? Miał nadzieję, że niczego nie zaniedbał. Od wielu lat o nikogo się nie martwił.

Rozdział 10

O dwunastej do pokoju wparowała Lucrezia. Pomieszczenie wypełnił mocny zapach jej perfum zmieszany z aromatem kawy. Do uszu Anny dotarł trzask otwieranych okiennic, a na policzkach poczuła powiew zimnego wiatru. Podciągnęła kołdrę pod brodę i zacisnęła mocniej powieki, ale Lucrezia nie dała za wygraną. Szarpnęła Annę za ramiona i poklepała ją po twarzy.

– Południe! – ryknęła. – Żyjesz, czy ciebie też ktoś podtruł? Rzygałaś jak kot.

Rzygała jak kot? Anna zamrużyła powiekami. Żołądek miała tak skurczony z głodu, że ponownie zrobiło jej się niedobrze. Ale co właściwie wydarzyło się poprzedniego dnia? Siedziała na kawie u Pozzich i rozmawiała o Isabelli Lomi, później Lucia rozlała do kieliszków grappę i... No dobrze, owszem, Anna piła grappę. Ile dokładnie? Nie pamiętała, była jednak pewna, że jakoś specjalnie z tym piciem nie przesadzała. Ale nic przez cały dzień nie zjadła i godzinami szwendała się po mieście, zmęczona i zmarznięta. Z pewnością stąd ten efekt.

Anna przypomniała sobie swoją przechadzkę po ciemnych uliczkach Castello, którymi doszła aż do Arsenалу, a później Riva degli Schiavoni doczłapała się do Piazza San Marco, gdzie wszystko wydawało się już bardziej swojskie. Po drodze myślała o tym, jak bezsensownie marnotrawiła czas podczas pierwszych dni swojego pobytu w Wenecji. Włóczyła się po kościołach, muzeach i galeriach, ale nie odnalazła tak naprawdę ducha miasta. Dopiero spacer na Piazza San Polo i wyprawy po ryby na targ, praca z Lucrezią w antykwariacie i wycieczka do Castello, gdzie piła grappę z ludźmi, którzy mieszkali tu od lat, stanowiły przełom. Poza tym Anna boleśnie zdała sobie sprawę z faktu, że nie przyczyni się do rozwiązania zagadki śmierci Isabelli Lomi, jeśli komisarz Valli nie zechce włączyć jej w śledztwo. Wczorajszego wieczoru ujrzała wyraźnie, gdzie znajdowała się w całej tej operacji. Stała na marginesie wszelkich działań, obserwowała sytuację z boku, szukała po omacku, łowiła strzępy informacji i usiłowała się nimi sensownie posłużyć. Tylko jak miała tego dokonać? Niczego nie wiedziała o Foscarich i Marconich, niczego nie wiedziała o Poliszynelu i gondolach, nie miała pojęcia...

– Zatrzymałaś się? – głos Lucrezii przywrócił ją do rzeczywistości. – Czy po prostu poszłaś się porządnie schlać? – Włoszka pociągnęła nosem. – Śmierdzisz niestrawioną grappą. Ile żeś tego wypijała?

– Nie wiem. Trzy kieliszki? Cztery? – Anna zawahała się i usiadła na łóżku. Zadrżała. – Zamknij to okno. Chcesz mnie wpędzić w zapalenie płuc? Już jedno miałam, jesienią.

– I co? – zapytała z przekąsem Lucrezia i oparła się o parapet. – Nie mogłaś wytrzymać przez kilka dni w łóżku na antybiotykach i teraz masz traumę?

– Leżałam trzy dni. Chyba. A potem goniłam mordercę. – Anna poczuła ucisk w gardle, kiedy wspomnienia z Helu usiłowały przebić się do jej świadomości. Nie mogła teraz o tym myśleć.

– Świetnie. Jesteś psychopatką. No to co ci się wczoraj stało, skoro mało wypijałaś? Może coś nieświeżego zjadłaś?

– Nic nie zjadłam. W sensie w ogóle. Od rana.

Lucrezia złożyła dłonie jak do modlitwy, wzniosła oczy ku niebu i nie raczyła tego skomentować. Anna sięgnęła po wielką filiżankę latte.

– Zgubiłam się w Castello. Trochę czasu mi zajęło znalezienie drogi do domu. Nic nie jadłam, byłam zmęczona, wypijałam alkohol na pusty żołądek, nie spałam poprzedniej nocy w ogóle... Jedno z drugim...

– I z trzecim, i z czwartym – odpowiedziała usłużnie Włoszka. – Co ty w ogóle robiłaś w Castello? Poszłaś dowiedzieć się czegoś o tej cukiernicze?

Anna zamarła z filiżanką przy ustach. Lucrezia zaśmiała się jadownicie.

– Piszą już o tym w internecie. I w gazetach. Ludzie składają kwiaty pod cukiernią. Mówią, że Marconi i ta Isabella byli kochankami, że on chciał się rozstać, ona nie, więc on ją udusił i podpalił. No? Czy to nie jest chore?

– Co jest chore? – zapytała Anna, uważnie przyglądając się koleżance.

– Tak ogólnie powiedziałam...

– Nie, nie! Skup się – Anna wyskoczyła spod kołdry i postawiła filiżankę z kawą na biurku. – Co według ciebie jest chore?

Lucrezia zmarszczyła brwi. Wyraźnie nie podobała jej się ta rozmowa, podjęła jednak wysiłek i po chwili odpowiedziała:

– To by było chore, gdyby jubiler pozbył się kochanki w taki sposób. Gdybym ja, na przykład, chciała pozbyć się uciążliwego delikwenta, którego miałabym po dziurki w nosie, załatwiłabym sprawę dyskretnie. I pewnie rzuciłabym podejrzenie na kogoś innego. Chyba że on specjalnie tak...

– Specjalnie? – podchwyciła Anna i uśmiechnęła się pod nosem. Lucrezia zaczynała myśleć jak detektyw.

– No wiesz... Specjalnie zrobił tak na pozór bez sensu. Policja znalazła telefon z SMS-ami do kochanki... Owszem, o tym też pisali w internecie. No znaleźli, a on przygotował całe show. Niby wszystko wskazuje na niego, bo porzucona kobieta, niewygodna, a z drugiej strony żona z arystokracji i lepiej się nie narażać. Do żony należy kamienica, a żona przecież głupia nie jest. No i ta żona wszystkiego się domyśla, straszy rozwodem. Kochanka nie chce odpuścić. Facet morduje kochankę, robi szopkę z kukłą, balem, stosem i jakimś symbolicznym popieprzonym rytuałem. Każdy myśli sobie – oho, zaciukał kochanicę. Ale zaraz później – nie, nie, to bez sensu, gdyby chciał zaciukać kochanicę, zrobiłby to jakoś inaczej, po cichu. O Boże! Co ja w ogóle gadam!

Antykwariuszka umilkła. Anna roześmiała się mimowolnie.

– Gadasz całkiem niegłupio. To, co powiedziałaś, było bardzo błyskotliwe.

Lucrezia popukała się w czoło, po czym kazała Annie wziąć gorący prysznic i koniecznie coś zjeść. Dochodziło wpół do pierwszej, a burczenie w jej brzuchu było słychać na kilometr. Włoszka musiała wracać do antykwariatu, bo południowa przerwa właśnie dobiegała końca. Anna zatrzymała Lucrezię w progu i spojrzała jej w oczy.

– Chciałabym... opowiedzieć ci o wszystkim. O sobie – powiedziała nagle, kierowana dziwnym impulsem.

– Wczoraj – odrzekła tamta, teraz już spokojna i niemal pogodna. – Muszę wracać do pracy. Ale... – Lucrezia wzięła głęboki wdech. – Ja coś ci szybko powiem. Wkurzyłam się na ciebie, bo zaczęłaś współpracować z tym policjantem, a on...

Anna zastygła w bezruchu. Przypomniała sobie swoją rozmowę z komisarzem i jego słowa wypowiedziane na komendzie. „Skąd się znasz z tą Doldano?”. „Czy ona jest kryminalistką?”. „Nie. Nie wiem”. „I zamieszkałaś u niej?”. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że słowa Vallego mogły rzeczywiście coś znaczyć. Spojrzała na Lucrezię wyczekująco.

– Bo widzisz... Kiedy umarła moja siostra, nie mogłam się tutaj we wszystkim połapać...

– Mówiłaś mi. Chciałaś przekształcić tandetny sklepik w antykwariat.

– Tak. I trochę jakby... Nie wszystkie moje działania były legalne.

– W sensie – kradłaś? – Annie zrobiło się słabo.

– Można to i tak ująć. Ale raczej: w sensie – nie zawsze mi było po drodze do urzędu skarbowego.

– Rozumiem.

– Jest coś jeszcze.

Lucrezia zbladła i nerwowo spojrzała na zegarek. Powinna była wrócić już do antykwariatu, a jednak puściła klamkę, na której przez cały czas spoczywała jej dłoń, i usiadła na krześle.

– Ten twój *commisario* nasłał na mnie policję skarbową. Guardia di Finanza. Miałam z nimi małe kłopoty, ale teraz wszystko już spłaciłam.

Anna zamyśliła się. Włoszka rzeczywiście mogła mieć pretensje do Vallego, ale z drugiej strony on postąpił zgodnie z prawem. Tylko... Dlaczego okazał się aż tak gorliwy wobec jednej, niepozornej antykwariuszki? W Wenecji z pewnością istniały większe instytucje, w których na potęgę dopuszczano się oszustw podatkowych. A poza tym co Valli miał wspólnego z policją skarbową? Pracował w Polizia di Stato, w wydziale śledczym. To przecież zupełnie inne organy.

– Dlaczego... Dlaczego akurat Valli? Co on miał do twoich podatków? – zdecydowała się wyrazić na głos swoje wątpliwości.

Włoszka zbladła jeszcze bardziej. Wygładziła dłonią materiał ołówkowej spódnicy i milczała przez chwilę. Kiedy ponownie się odezwała, głos jej drżał.

– Nie powiedziała ci wszystkiego. Pamiętasz nasze pierwsze spotkanie?

Anna skinęła głową.

– Nie wiem, czy zauważyłaś, ale patrzyłam wtedy na wody kanału... Widzisz, moja siostra miała chłopaka. Nazywał się Dario Costa. Zakręcił się koło niej, kiedy była już w ostatnim stadium choroby. Starał się, nie powiem. Otoczył ją opieką, okazywał czułość, był aniołem. Tak go właśnie nazywała. „Mój Anioł Śmierci”. Nie sądzisz, że to wyjątkowo upiorne miano? W każdym razie „Anioł Śmierci” zaczął nagle nalegać na ślub...

– Chciał przejąć interes? – szepnęła Anna, domyślając się reszty.

– On twierdził, że nie, ale jakoś nigdy nie rozmawiali o intercyzie. Moja siostra przeprosiła mnie nawet... Powiedziała, że mogę wrócić do Padwy, do mojego dawnego życia, a ten jej cały „Anioł” wszystkim się zajmie. Poprowadzi rodzinny biznes, bo przecież ja... wcale go nie chciałam. I faktycznie – z początku nie chciałam. Miałam w Padwie pracę, uczyłam muzyki, a w weekendy występowałam z moim zespołem w jednej knajpce. Ale nie ufałam mu. Oszukiwał ją. Nawet ona gdzieś tam podświadomie musiała to czuć.

– I co się stało? – serce Anny zaczęło bić szybciej.

– Co się stało? – powtórzyła wolno Lucrezia i zapatrzyła się w ścianę. – Utonął. W nocy. W tamtym kanale, obok byłego pałacu śpiewaczki, na który ty z kolei patrzyłaś. Nie wiem, po co brał łódź i dokąd wybierał się po nocy, ale ogólnie nie zdążyłam zebrać o nim zbyt wielu informacji. Prawdopodobnie nie umiał pływać, łódź się przechyliła i... Do tego wniosku doszli śledczy, z twoim *commissario* na czele. Niczego innego nie ustalono. Moja siostra dowiedziała się o jego śmierci i w kilka dni później sama odeszła. Niewiele szybciej, niż rokowali lekarze... A ten cały Antonio Valli dotarł przy okazji do mnie, pojął, że przejęłam sklep, i w międzyczasie, kiedy badał sprawę topielca, dowiedział się o moich niesnaskach ze skarbowką.

Lucrezia sięgnęła po paczkę chusteczek, leżącą na biurku, i wytarła załzawione oczy, rozmazując sobie makijaż. Anna nigdy wcześniej nie widziała jej w takim stanie. Nie podeszła jednak do koleżanki, nie wysiliła się na tandetne pocieszenie, klepanie po plecach, przytulanie i zapewnienia, że wszystko będzie w porządku. Sama wiedziała aż za dobrze, jak niewiele znaczą takie gesty. Poza tym historia Lucrezii, jej siostry i tajemniczego Daria Costy za bardzo przypominała inną historię. Przed oczyma Anny zamajaczyły twarze Lidki i Brunona. Ciekawa wydała jej się nagle powtarzalność ludzkich losów.

– No już, nie będę się dłużej mazać – wymamrotała antykwariuszka i powoli uniosła się z krzesła.

Anna ścisnęła jej dłoń. Na tyle tylko potrafiła się zdobyć, ale w spojrzeniu Lucrezii wyczytała wdzięczność i zrozumienie. Stały tak przez chwilę, po czym Włoszka wygładziła spódnicę, poprawiła bluzkę i powiedziała, że musi jeszcze przypudrować nos.

– Jak zjem, pomogę ci w pracy – zaoferowała Anna.

– Dzisiaj już bez sensu. Musisz zapewne jeszcze skoczyć w jedno miejsce.

– Jakie miejsce? – zdziwiła się.

– Dziś z samego rana przyszedł tu taki młody policjant w mundurze. Stefano Jakiś. Kazał ci to przekazać. Nie zrobiłam tego od razu, bo wiedziałam, że zaraz będziesz chciała biec. Zajrzałam do środka. Przepraszam.

– Nie szkodzi – odparła Anna odruchowo i wyciągnęła rękę po kopertę.

– To w Santa Croce. Całkiem blisko. A co do tego gościa w stroju Poliszynela...

Lucrezia zawiesiła głos. Anna oderwała wzrok od kartki, którą wysunęła z koperty.

– Tak?

– Jeśli wiesz, jak się nazywał, a pewnie wiesz, to zerknij na Facebooka. Może ludzie zaczęli już składać kondolencje. Różne rzeczy można tam wyczytać.

– To prawda.

I rzeczywiście – Anna świetnie o tym wiedziała. Przy pomocy Facebooka, jakkolwiek głupio to brzmiało, można było w wielu wypadkach przeprowadzić niezły kawałek śledztwa. Dojść do materiałów zdjęciowych, celnych komentarzy, przeniknąć przez sieć towarzyskich relacji i sformułować nierzadko trafne wnioski. Ludzie bywali bardzo wylewni, zwłaszcza w obliczu tragedii. Poza tym Facebook był rajem dla frustratów.

Kiedy Anna została sama, przysiadła na łóżku i jeszcze raz wczytała się w informację skreśloną na kartce, którą przyniósł Stefano. Mundurowy miał całkiem ładny charakter pisma. Na kartce zaś widniał adres, który nic Annie nie mówił. Weneckie kanały, *campi*, *calli* i *campielli* nie tylko wyglądały podobnie, ale i miały zbliżone nazwy. Wszędzie jakieś *corte*, *san*, *della*, *riva*, *do*, *rio*... Miejscowi pewnie orientowali się w tej dżungli bez problemu. Ale ona? I nagle przypomniała sobie słowa Lucrezii, na które wcześniej nie zwróciła uwagi. „To w Santa Croce. Całkiem blisko”. Odłożyła kopertę na biurko i zamyśliła się. Zatem *commissario* Antonio Valli mieszkał w Santa Croce... Tylko dlaczego Stefano przyniósł jej ten adres? Dlaczego nie zadzwonił, nie wysłał maila, dlaczego nie zostawił po prostu numeru telefonu?

Lucrezia weszła do łazienki. Wciąż trzymała przy oczach chusteczkę, choć Anna Lindholm nie mogła jej już widzieć. Wreszcie zerknęła na swoje odbicie w lustrze. Czy dobrze to wszystko rozegrała? Czy nie przesadziła? Czy wypadła wiarygodnie? Starła się. Była pomocna i wyrozumiała. Podsunęła jej pomysł z Facebookiem, bo prędzej czy później Anna sama zajrzyłaby na profil Russa. A tak – sugestia wyszła od niej. Bo przecież Lucrezia nie była związana ze sprawą, dlatego dzieliła się mądrymi spostrzeżeniami. I miała szczerą nadzieję, że Anna niczego na tym Facebooku nie znajdzie. Ale różnie mogło być.

Lucrezia wciąż niczego na nią nie miała. A zatem musiała stawiać na przyjaźń. Grać miłą i infantylną Włoszkę, która nie zna się na zabytkowych meblach. Ostatecznie naprawdę się na nich nie znała.

I oczywiście musiała uważać na tego cholernego policjanta. Wszystko zepsuł. A przecież powinna się spodziewać, że na niego trafi. Lucrezia powtarzała to sobie do znudzenia. Zdążyła go już poznać. Komisarza Vallego, samotnika.

A jeśli... Coś się wydarzy? Między nimi? Czy to możliwe? On, ten Valli, był trochę jak mnich. Asceta. Twardy, skrzywiony, chłodny. Lucrezia o tym również zdążyła się już przekonać, inaczej dawno roztoczyłaby przed nim swoje wdzięki. Czy Anna byłaby w stanie zainteresować komisarza Vallego? A on ją?

Czy to by było dla Lucrezii korzystne? Czy to by było dla Lucrezii niekorzystne?

Wyprostowała się i sięgnęła po puderniczkę.

Livia Foscari poprosiła, by Roberto Capelli wrócił do pracy. Nie było sensu dłużej trwać w zawieszeniu. Należało zachowywać się normalnie i nie budzić podejrzeń. W gruncie rzeczy może to i dobrze, że zginął ten chłopak. Policja miała więcej pracy i nie mogła skupić się tylko na morderstwie małej cukierniczki z Castello. Poza tym trwał karnawał, więc pewnie i tak pracy było więcej niż zazwyczaj. Gdzie podział się *commissario* z popielatymi włosami, który zjawił się w noc śmierci cukierniczki? On był dobry, skuteczny. Livia dowiedziała się już o nim tego i owego. Antonio Valli, były *vice-questore* z Rzymu. Policjantom, widać, też przytrafiały się w życiu nieszczęścia. Ale gdzie on teraz był? Czym się zajmował, zamiast prześwietlać na wylot jej męża? Zamiast połączyć fakty i wyciągnąć wnioski? Zaraz, komisarz nie do końca miał z czego wyciągać wnioski. Nie wiedział wszystkiego. Livia chciała mu powiedzieć, pozbyć się wreszcie tego ciężaru, uwolnić od męża, przez którego czuła się zagrożona.

Męża, który czyhał na jej życie. Nie od dziś.

Sprawa była jednak bardziej skomplikowana. Dotyczyła również jej.

Dlaczego nie pozbyli się problemu inaczej? Dlaczego nie odpłynęli dalej od brzegu? Z drugiej strony nic by wówczas nie zostało. Żaden dowód. Tylko słowa, bezwartościowe w tak wielu sytuacjach.

Po późnym śniadaniu, które zjadła w towarzystwie Roberta Capellego, Livia włożyła swój najlepszy z czarnych kostiumów, zrobiła staranny makijaż i włożyła buty na obcasach. Zeszła do gabinetu. Przejrzała korespondencję. Wykonała kilka telefonów. Starła się, by głos jej nie zdradził. Bo mimo iż panicznie bała się Luigiego, postanowiła cierpliwie poczekać na to, co miało się wydarzyć. A coś musiało się wydarzyć. Wkrótce.

Wbrew temu, co powiedziała Lucrezia, Anna nie zamierzała „zaraz biec” do Vallego. Obiecał zatelefonować do niej ubiegłego dnia, czekała, nie zadzwonił, nie miała pojęcia dlaczego, czuła się zignorowana i w pewnym sensie również porzucona. Bo przecież nie powinno się stwarzać pozorów

zaufania i sympatii, zmuszać kogoś do zwierzeń na temat przeszłości i wtajemniczać w szczegóły śledztwa, jeśli nie miało się zamiaru kontynuować „znajomości”. Oczywiście Valli nie musiał czuć się wobec niej zobowiązany, z pewnością miał mnóstwo obowiązków i w ogóle, ale... Anna czuła dziwną złość, kiedy myślała o weneckim komisarzu. Przecież to jemu bardziej zależało na tej współpracy! To on we wszystko Annę wciągnął. A zatem dlaczego milczał? Przecież ona również mu zaufała! I nie mogła przestać myśleć o tych dwóch ofiarach.

Po prysznicu i wyczyszczeniu lodówki ze wszystkich nadających się do spożycia produktów, łącznie ze smażoną solą, warzywną zapiekanką sprzed dwóch dni, jogurtem, do którego dosypała musli, i marmoladą, którą posmarowała maślanego rogała, zasiadła przed laptopem. Zignorowała wszelkie przejawy buntu ze strony swojego żołądka. Nie przejęła się też za bardzo wiadomością od Leona. Jaśnie pan wreszcie znalazł czas, by napisać zdawkowe: „U mnie wszystko w porządku, przepraszam, że się nie odzywałem, długa historia, zadzwonię dziś wieczorem”. Anna rzuciła telefon na łóżko. „Teraz to się pocałuj”, pomyślała. Pochyliła się nad laptopem. Google o ich Poliszynelu wiedział niewiele, ale kiedy zalogowała się na Facebooku i wpisała w wyszukiwarkę „Guido Russo”, od razu znalazła właściwy profil, na szczęście niezabezpieczony ustawieniami prywatności. Mogła przeczytać posty zamieszczone przez innych użytkowników. Tak jak przewidziała Lucrezia, znajomi Guida o wszystkim już wiedzieli, choć chłopak miał ich naprawdę niewielu. Anna zaczęła przeglądać komentarze i wyświetlała tłumaczenia tylko tych dłuższych, z których mogła wyczytać coś więcej niż kondolencje. Nie znalazła jednak niczego ważnego, przeszła więc do zdjęć. I tutaj również spotkało ją rozczarowanie. Przyjrzała się trzem zaledwie fotografiom, na których zobaczyła uśmiechnięte oblicze młodego mężczyzny, niebrzydkie, ale dość pospolite. Odchyliła się na krześle i westchnęła z rezygnacją. Po chwili wróciła do komentarzy, wyświetliła tłumaczenia kilku krótszych i kiedy ponownie nie trafiła na nic, co mogłoby stanowić wskazówkę, postanowiła się wylogować.

Wtedy właśnie na profilu Guida ktoś umieścił nową fotografię.

Anna podskoczyła. Nie знаła włoskiego, ale podpis pod zdjęciem przedstawiającym dość niepozorną budowlę można było łatwo odszyfrować. „Casa Famiglia. Padova”. Od razu wiedziała, że nie chodziło o żaden „dom rodzinny” we właściwym znaczeniu tych słów, lecz raczej o rodzinny dom dziecka w Padwie.

Wyświetliła zdjęcie i tłumaczenie włoskiego komentarza.

„Guido Russo, R.I.P. To już drugi wychowanek tej placówki, który zginął w tajemniczych okolicznościach. Przed trzema laty zaginął również Fabio Esposito. W przeciwieństwie do Russa, Esposito nigdy nie odnaleziono – żywego ani martwego. Nadal jest oficjalnie poszukiwany we Włoszech i za granicą. Trzy lata temu jego ślad urwał się w Wenecji. Od tej pory słuch po nim zaginął. Czyżby na placówce ciążyła jakaś klątwa?”

Anna miała wrażenie, że przestała oddychać. „Trzy lata temu jego ślad urwał się w Wenecji”... To zdanie przeczytała kilka razy. Szybko wykonała print screen, po czym chwyciła komórkę i zrobiła jeszcze zdjęcie – całego ekranu, zamieszczonej fotografii i komentarza. Wiedziała, że z Facebooka wszystko mogło zniknąć tak szybko, jak się tam pojawiło. Wklepała również w wyszukiwarkę nazwisko osoby, która zamieściła post, i okazało się, że była to jedna z pracownic padewskiej Casa Famiglia. Może warto byłoby do niej napisać? Tylko jako kto? Kobieta mogłaby się niepotrzebnie wystraszyć... Anna zamknęła laptop, zerwała się z krzesła i wrzuciła telefon do torby. Słowa „ślad urwał się w Wenecji” nie dawały jej spokoju.

Po chwili przedzierała się już uliczkami San Polo w kierunku Santa Croce i tym razem postanowiła nie zgubić drogi.

Rozdział 11

Antonio nie czuł się lepiej niż poprzedniego dnia. Przez chwilę żałował nawet, że pogardził ibuprofenem od Stefana. W nocy usiłował pracować, ale literki skakały mu przed oczami, a ból głowy nie pozwalał się skupić. Martwiła go Padwa. I ludzie, którzy z tej Padwy przyjechali do Wenecji. Dwóch chłopaków. Dario Costa i Guido Russo. Dwa skomplikowane życiorysy, dwaj wychowankowie Casa Famiglia. Jeden z nich na pewno znał antykwariuszkę. Drugiego antykwariuszka znalazła martwego.

Poza tym matka Marconiego, która zapadła się pod ziemię.

Poza tym cukierniczka. Trzeba iść do Castello, na Campo do Pozzi. Tam z pewnością kryją się jakieś odpowiedzi. Czy te sprawy coś łączy? Ile razy zadawał już sobie podobne pytanie?

Poza tym Anna Lindholm. Antonio uderzył pięścią w stół i syknął z bólu. Opadł na krzesło i schował twarz w dłonie. Był żaloszny, głupi i słaby. Tak głupi i słaby, że wczoraj już miał zamiar zadzwonić do Neapolu. Dowiedzieć się czegokolwiek o Ture. Ale to było bez sensu. W Neapolu nikt nie czekał na jego telefon, tak samo jak nie czekała na jego telefon Anna Lindholm. Dlaczego miałyby czekać? Z pewnością zajęta była swoim życiem i swoimi sprawami. Może i wydawała się dziwna, ale nie tak nienormalna jak on.

Dlaczego zastanawiał się, czy nic jej nie groziło, zamiast wciąż zadawać sobie pytanie, czy nie kombinowała czegoś razem z tą Doldano? Dlaczego tak szybko przestał podejrzewać Annę o cokolwiek? Przez tę historię z Narcyzem, z jej siostrą i mężem? Antonio Valli ze zdziwieniem odkrył, że ta historia go zainteresowała. A raczej zainteresowało go to, jak radziła sobie z nią Anna.

Russo, Costa, Padwa.

Cukierniczka, Marconi, matka Marconiego.

Sklep jubilerski, kamienica Foscarich.

Livia Foscari, Roberto Capelli, Stefania Massimo.

Dlaczego jego skojarzenia układały się właśnie w takie łańcuchy? A gdyby spróbować innej konfiguracji? Czy czegoś nie pominął? Antonio zwinął dłonie w pięści i przycisnął do podrażnionych oczu. Wstał z krzesła i otworzył szafkę. Witamina C, syrop na kaszel. Przełknął jedno i drugie, popił wodą. Przeczesał dłonią rozczochrane włosy. Postanowił do niej zadzwonić. Trudno, niech się dzieje. Może ona coś wymyśli. Jest inteligentna. Niech się odwdzięczy za bluzę. Niech po prostu... przyjdzie tu? Sięgnął po telefon, ale rozmyślił się znowu, kiedy zobaczył w okiennej szybie swoją twarz. Naprawdę, nie było sensu pokazywać jej ludziom, a już zwłaszcza Annie.

Valli poczłapał do salonu i zasiadł na sofie, wśród sterty papierów. Zamierzał rozwiązać te dwie pieprzone sprawy za wszelką cenę, nawet jeśli zupełnie jeszcze nie wiedział jak. Wziął do ręki pierwszy z brzegu dokument. Usłyszał dzwonek domofonu, który postanowił zignorować. Kiedy domofon zabrzączał po raz drugi, Antonio zaklął i dźwignął się z kanapy. Stefano zapomniał kodu? Nie, to pewnie jakiś głupi listonosz...

„Si?” – wychrypiął, a w odpowiedzi natychmiast usłyszał: „Open the fucking door!”

Po obu stronach mostu rozciągała się szafirowa laguna. Anna pomyślała, że niewiele trzeba, by wyczarować na powierzchni wody ten niezwykły kolor. Wystarczą pojedyncze smugi światła uwolnione z zasłony ciężkich chmur. Zerknęła w lusterko wsteczne i w oddali ujrzała malejące z każdą sekundą czerwone dachy Wenecji. Jechała szybko. Na Ponte della Libertà panował dziś mały ruch. Zaciśnęła dłonie na kierownicy, włączyła radio i usłyszała płynące z głośników dźwięki hitu *The Time Of My Life* z filmu *Dirty Dancing*. Uśmiechnęła się, zaczęła nucić i jeszcze mocniej wcisnęła gaz. Pod żebrami czuła miłe łaskotanie, wywołane pięknym widokiem, dawno niesłyszaną melodią i przyjemnością płynącą z wykonywania perfekcyjnie skoordynowanych ruchów. Uwielbiała jeździć samochodem, a nie robiła tego od wielu tygodni. Pomyślała, że gdyby zdecydowała się zamieszkać w Wenecji, właśnie prowadzenia auta na co dzień brakowałoby jej najbardziej.

– *So we take each other's hand/ 'Cause we seem to understand* – zaśpiewała głośniej.

Po jej prawej stronie wybrzmiał gwałtowny kaszel, który ucichł dopiero wtedy, gdy para wokalistów zgodnie zaśpiewała: *This could be love!* Anna skrzywiła się i zerknęła w bok. Antonio Valli wydawał się chudszy niż przedwczoraj i z pewnością był bledszy. Nie mówiąc już o głosie, który – naturalnie zachrypnięty – teraz przypominał rżenie pijaka cierpiącego na delirium tremens. Poza tym na czole komisarza lśniły krople potu, a jego wargi były spierzchnięte. Annę ogarnęła irytacja i pomyślała, że Valli jest w sumie skończonym idiotą, jeśli zdecydował się na przejażdżkę do Padwy w takim stanie. A jednak, skoro pozwolił jej poprowadzić swoje własne auto, postanowiła powstrzymać się od komentarza.

– Mogłabyś tak nie wyc? – wycharczał komisarz i wetknął brodę w wełniany szalik.

– Wyc? Ja nie wyję! Mam słuch absolutny. Grałam kiedyś na gitarze.

– Być może grałaś, ale śpiewanie... – wypowiedź Vallego przerwał atak kaszlu. – To nie jest... khy khy... twoja... khy khy... mocna strona.

– Co ty nie powiesz? I mówi to wielki pan policjant z Wenecji, który jedzie przycisnąć kobiecinę z opieki społecznej, by wysepić od niej ważne informacje, a wygląda jak w ostatniej fazie gruźlicy. Często przychodzą ci do głowy takie pomysły? Kumple z komendy pewnie mają z tobą wesoło.

No i szlag trafił dyplomację. Anna zjechała z Ponte della Libertà i skierowała się na autostradę. Nie wiedziała, dlaczego tak łatwo gubiła się wśród weneckich zaułków, ale kiedy tylko wyjeżdżała w trasę, bez problemu odnajdowała właściwą drogę. Ponownie zerknęła z ukosa na Vallego. Z profilu komisarz jeszcze bardziej przypominał aktora Damiana Lewisa, oczywiście w wersji chudej i z popielatymi włosami. Prawie żałowała, że zgodziła się na tę wycieczkę do Padwy. Mogła wprawdzie usiąść za kółkiem, ale wątpiła w sens całego przedsięwzięcia. Valli był tak przeziębiony, że ledwo trzymał się w pionie, a pod swetrem, zamiast koszuli, miał wymiętą górę od pizamy, której nie próbował nawet zdjąć. Kołnierzyk owej góry od pizamy, w spraną kratę, żałośnie okalał szyję komisarza. Anna postanowiła dopilnować, by jej nowy znajomy pozostał w szaliku przez cały czas, gdziekolwiek się znajdą i niezależnie od okoliczności przyrody.

Kiedy przed trzema godzinami przedarła się przez labirynt Santa Croce i odnalazła kamienicę, w której mieszkał Antonio Valli, nie spodziewała się, że czeka ją jeszcze podróż do Padwy. Prawdopodobnie nie spodziewał się tego również sam *commissario*. Ale ostatecznie kto go tam wiedział? Anna raz po raz patrzyła prosto w popielate, niestety ładne, oczy i zastanawiała się, co on sobie myśli. Jaki jest. Mieszkał

sam, żył chyba też sam. Jeden kubek na suszarce i jeden talerz. Widelec, nóż, łyżka, łyżeczka. Wszystko solo, reszta pochowana gdzieś po szafkach. Męskie buty w przedpokoju, trzy pary, ustawione równo pod ścianą. Sweter przewieszony przez oparcie krzesła, papiery na sofie. Książka wystająca spod poduszki. Jeden płaszcz na wieszaku i jeden szalik. Dwie kawiarki? Skąd ten wyjątek? I on sam, Antonio Valli, dziwny. Szorstki, zdystansowany, ale jednocześnie... No właśnie – jaki? Anna ze zdziwieniem odkryła, że była tego bardzo ciekawa.

Na Corte Case Nuove trafiła po niemal godzinnej wędrówce i gdy stanęła w wąskiej na półtora metra uliczce, przed wymalowaną na ceglastă czerwien budowlą, pokręciła z niedowierzaniem głową. Zadzwoiła domofonem i na wyrżęzone z głośnika: „Si?”, mogła tylko odpowiedzieć: „Open the fucking door”, co też Valli uczynił bez sekundy zwłoki. Powitał ją w progu odziany w piżamę, z kocem zarzuconym na ramiona i wyrazem niebotycznego zdumienia na bladej twarzy. Wpuścił Annę do mieszkania i przez chwilę stał w milczeniu, poruszając bezgłośnie ustami.

– Co tu robisz? – wycharczał wreszcie.

Anna wzdrygnęła się, ale w tym momencie nagle ją olśniło. Oczywiście! *Commissario* po prostu się rozchorował. I z tego powodu nie dzwonił. Nie dlatego, że miał gdzieś ją i szwedzko-polsko-detektywistyczne konsultacje. Złote myśli przypadkowej dziewczyny w bezsensownej kiece. Oddał jej przecież swoją bluzę, kiedy zegnali się w Palazzo Marconi, po czym odszedł w siną dal ubrany w sam t-shirt! W lutową noc! A teraz dogorywał, to oczywiste... Anna rozejrzała się po małym, ale przyjemnie urządzonej mieszkaniu. Ominęła osłupiałego Vallego i skierowała się tam, gdzie prawdopodobnie znajdowała się kuchnia. Komisarz poczłapał za nią.

– Co tu robisz? – powtórzył jak zdarta płyta. I to dosłownie.

Śledził każdy jej ruch, ale – o dziwo – miała to gdzieś. Pokręciła się po kuchni, zajrzała do lodówki i kilku szafek, a po upływie kwadransa postawiła na stole kubek z parującym płynem. Mężczyzna spojrzał na nią z wahaniem.

– Wypij to – rozkazała, po czym zrobiła sobie herbatę.

– Co tam nawrzucałaś? – Valli schylił się, pociągnął nosem nad kubkiem i zaniósł się kaszlem.

– Aaaa, takie tam... Herbata, miód, cytryna, goździki i rum. Wszystko było u ciebie w szafkach, więc bez obaw. Nie otruję cię. Wzięłaś coś na tę swoją gruźlicę? Wezwę lekarza, chwila...

– Jaką gruźlicę? – Valli chciał krzyknąć, ale jego głos od niskich charkotów przeszedł w wysokie piski godne kastrata. – Nie potrzebuję... khy khy... żadnego... khy khy... lekarza!

Anna wsypała do swojej herbaty dwie czubate łyżeczki cukru i zaczęła powoli mieszać napój. Spojrzała na Vallego niemal z rozbawieniem.

– Nie, fakt, to nie gruźlica.

Przerwała mieszanie i podeszła do komisarza. Spojrzała mu w oczy, ale nie wytrzymał jej wzroku i spuścił głowę.

– Raczej zapalenie krtani.

– Hm?

– Zapalenie krtani. Tylko ten kaszel taki jakiś... Powinien cię ktoś osłuchać. I dać antybiotyk, bo bez tego będziesz rzeził przez miesiąc albo wylądujesz w szpitalu. A chyba mamy robotę?

Valli upił łyk mikstury przyrządzonej przez Annę i uśmiechnął się krzywo. Jak... kto? Tak, Valli zdecydowanie był dziwną kombinacją cech Lajona i Ingvara, ale przykrytych warstwą zgorzknienia i cynizmu, zabarwionych życiowym doświadczeniem bogatszym niż u tamtych dwóch. Interesował ją. I dziwiła się sama sobie. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że *commissario* miał na swoim koncie przynajmniej jedną porządną traumę, że jakieś wydarzenie z przeszłości wyrysowało dwie głębokie bruzdy na jego czole, wykrzywiło w dół kąciaki ust i przysypało włosy drobinkami popiołu. Kiedyś musiał

być bardzo przystojnym mężczyzną. Nadal zresztą był przystojny, ale miał w sobie coś takiego, co kazało trzymać się na dystans, ostrzegało, że to nie jest jeden z tych facetów, z którymi można po prostu wypić wino, potańczyć i poflirtować. Pod względem urody z pewnością nie dorównywał klasycznie pięknemu Ingvarowi czy Lajonowi z jego czekoladową czupryną. A jednak Anna ujrzała w Vallim to, co przed kilkoma tygodniami zobaczyła także w Lucrezii. Tajemnicę. Tyle że inną. Po raz kolejny przypomniawszy sobie słowa Stefana, z którym rozmawiała w domu Marconich. „Wszyscy są zaskoczeni, bo *commissario*...”. Bo co?

– Dzisiaj spróbuję jeszcze przeżyć bez lekarza – wychrypiał po chwili i usiadł przy kuchennym stole. Kiedy mówił spokojnie, nie zanosił się tak bardzo kaszlem. – Nie odpowiedziałś mi.

– Słucham? – Anna chwyciła swój kubek i dosiadła się do niego.

– Nie odpowiedziałś. Skąd się tu wzięłaś?

Zrobiła obrażoną minę.

– Wystawiłeś mnie.

Valli zamrugał, jak gdyby właśnie ktoś poczęstował go ciosem z półobrotu. A później zaczął się śmiać, co doprowadziło do kolejnego ataku kaszlu. Anna westchnęła przeciągle.

– Stefano przyniósł mi twój adres.

– Miał ci tylko przekazać, że jestem chory i zadzwonię, jak wyzdrowieję.

– Niespodzianka.

– Super.

– Musisz popracować nad budowaniem autorytetu. Może warunkowanie instrumentalne? Albo behawioralne? No wiesz, pies Pawłowa...

Urwała, kiedy komisarz spojrział na nią szeroko otwartymi oczyma. Widziała, że chciał się znowu uśmiechnąć albo nawet roześmiać, jak przed chwilą, ale z uporem ściągał kąciaki ust w dół. Może wyczerpał już limit radości na dziś?

– Dlaczego krzyknęłaś, że mam otwierać te „pieprzone” drzwi? Myślałem, że ktoś cię gonił – powiedział wreszcie.

– A, nie... To tylko... Widzisz, Wenecja mnie dobija. Mieszkasz na Corte Case Nuove i to jest w Santa Croce, wczoraj szłam przez Castello i zabłądziłam na Corte Nuova. Tutaj wszystko się podobnie nazywa. Jak myślisz, dlaczego Stefano przyniósł mi twój adres?

Komisarz zamyślił się na chwilę i w milczeniu wypił do końca swój napój.

– Bo pewnie bardzo chce, żebym zajmował się tą sprawą. Znaczący – sprawami.

To proste wyznanie bardzo Annę zaskoczyło.

– A ty nie chcesz się nimi zajmować? To dlatego, no... Nie zadzwoniłeś do mnie wczoraj?

Valli wbił w nią uważne spojrzenie. Jego oczy były teraz niemal smutne, ale dostrzegła w nich również iskrę rozbawienia. I... zadowolenia?

– Wkręciłaś się w temat, co? Nie, nie dlatego. Nie zadzwoniłem, bo wczoraj miałem taką gorączkę, że nie mogłem podnieść się z łóżka. Wziąłem wolne i tylko Stefano mnie widział. Pytał o ciebie. Czy do ciebie zadzwonić i takie tam, ale ja... Sam nic nie wiedziałem. Nie miałem pojęcia, co robić. Widzisz, mój przełożony, zastępca komendanta, wyraźnie dał mi do zrozumienia, że skoro w grę wchodzi nazwiska Marconi i Foscari, to powinienem być bardzo ostrożny i jeśli odkryję coś, co mogłoby...

– Rzucić na nich cień? – podpowiedziała Anna.

– Mniej więcej. W każdym razie powinienem najpierw zgłosić to jemu. A ja, tak szczerze, mam gdzieś, czy ktoś nazywa się Marconi czy Fasoletti. I coś mi się wydaje, że te dwie sprawy są jeszcze bardziej skomplikowane niż to wygląda na pierwszy rzut oka. Jeśli zacznę grzebać i wyjdzie z tego coś, co godzi w interesy Marconiego, to *vice-questore* szczęśliwy nie będzie.

– Ale jeszcze ci tych spraw nie odebrano? – przestraszyła się Anna.

Pokręcił głową.

– Jeszcze nie.

Siedzieli chwilę w milczeniu. Wreszcie Anna wyjęła z torby telefon i wyświetliła zdjęcie, na którym uwieczniła komentarz z Facebooka. Valli przyjrzał się fotografii i przygryzł wargę. Nie mogła już dłużej wytrzymać i zaczęła opowiadać mu o załączkach prywatnego śledztwa, które podjęła. O wizycie w Castello, rozmowie z panem Pozzim i jego siostrzenicą, o kwiatkach pod cukiernią Isabelli Lomi, o podejrzeniach Lucii Pozzi wobec jubilera Marconiego, i wreszcie o swojej internetowej pracy detektywistycznej. Valli oddał jej telefon i zaczął bębnić palcami w blat stołu. Wstał z krzesła, stęknął, przyłożył dłoń do klatki piersiowej i na powrót usiadł.

– Fabio Esposito? Pamiętam tę sprawę. Znajomi Esposito z Padwy zgłosili jego zaginięcie. Nie miał krewnych. Jego przybrani rodzice już wtedy nie żyli. Kiedy zaginął, postawiono w stan gotowości jednostki z całego Veneto, a później sprawę przejęła centrala i jednostki międzynarodowe. Chłopak prowadził kiosk w Padwie.

– A więc dlaczego? – spytała tylko.

Valli popatrzył na nią z uznaniem, którego wcale nie zamierzał kryć.

– Dlaczego wszyscy tak bardzo przejęli się zniknięciem kioskarza? A gdzie twoja wiara w prawo i sprawiedliwość, pani komisarz? Przecież każdemu należy się taka sama atencja.

– Ale nie każdy ją otrzymuje – zripostowała i spojrzała mu w oczy. Tym razem wytrzymała.

– Nie każdy – przyznał.

– A zatem?

– Istniały względem niego pewne podejrzenia. Był obserwowany, ale brakowało dowodów jego winy, świadków, no... sama wiesz.

– Czyli ten cały kiosk był przykrywką dla nielegalnych interesów? Narkotyki? Przemysł? Ślady tego typu działalności musiały gdzieś przecież zostać...

Komisarz pokręcił głową.

– Jak to się mówi – nie ma ciała, nie ma zbrodni.

Anna wstrzymała oddech. Tym razem ona wstała z krzesła i zaczęła przechadzać się po mikroskopijnej kuchni. Nie ma ciała, nie ma zbrodni... Ale tutaj nie chodziło o zniknięcie samego Esposito, tylko o to, że... Anna oparła dłonie na stole i pochyliła się nad Vallim.

– Chcesz mi powiedzieć, że on się trudnił mokrą robotą?

– A jeśli tak, to był bardzo skuteczny w zacieraniu śladów – uściślił komisarz. – I w swojej działalności nie ograniczał się, no wiesz, lokalnie...

– Po czym sam zniknął bez śladu. – Anna usiadła i oparła brodę na dłoniach.

– Właśnie. Trzy lata temu. Pewnie zaczął komuś przeszkadzać. Nie wiem, czy kiedykolwiek dowiemy się, co się z nim stało, ale idę o zakład, że macha już kilofem w dziewiątym kręgu piekła.

– Nazwij mnie kretyką, ale...

– Gdzież bym śmiał...

– ...Ale nie mogę się pozbyć przeczucia, że ich coś łączyło.

– Marconich z Russem? Pewnie tak. Dwie przypadkowe zbrodnie jednego wieczoru? I to w Wenecji? W życiu. W Świętego Mikołaja przestałem wierzyć w przedszkolu...

– Musiałeś mieć trudne dzieciństwo.

– ...Więc w to również nie wierzę – wycedził i zmrużył oczy jak wyjątkowo wredny kot. – Jesteś pyską jędrą, wiesz?

– Skup się teraz. Tak, Russa z tą dziewczyną u Marconich coś mogło łączyć, ale mnie chodziło o Russa

i Esposita. Pomyśl. Obaj pochodzili z Padwy, mieszkali w tym samym rodzinnym domu dziecka, ślad po Esposicie urywa się w Wenecji, a trzy lata później także w Wenecji ginie Russo.

Valli powoli pokiwał głową i, ponownie z cichym stęknieniem, uniósł się z krzesła. Poczłapał do pokoju, a Anna czym prędzej podążyła za nim. Z zaskoczeniem odkryła, że na swoją piżamę komisarz wkłada sweter i dzinsy. A później, już nie z zaskoczeniem, ale ze strachem, zobaczyła, jak ściąga z wieszaka płaszcz i szalik.

– Ubieraj się. Pojedziemy do Padwy – powiedział tylko.

– Teraz?!

Potwierdził i narzucił jej na ramiona płaszcz. Kiedy się zbliżył, wyczuła od niego delikatny zapach rumu, miodu i cytryny.

– Czym chcesz tam jechać?

– Autem. Wyobraź sobie, że posiadam jedno. Ja piłem herbatkę z rumem, ale ty chyba masz prawo jazdy?

Wtedy już więcej się nie odezwała. Dała się zaprowadzić na Piazzale Roma, gdzie stał zaparkowany fiat komisarza. Złość przeszła jej dopiero wtedy, kiedy wjechała na Ponte della Libertà i spojrzała na szafirowe wody weneckiej laguny. Ale nie całkiem... Uświadomiła to sobie, gdy tylko Valli zaczął kaszleć.

Teraz pokasływał nadal i Anna miała wrażenie, że ten koncert nigdy się nie skończy. Wokaliści z radia wyśpiewali ostatnie nuty *The Time Of My Life* i głośnik radiowy objęła w posiadanie Whitney Houston. Valli zaczął kiwać głową w rytm *I Will Always Love You*. Anna zaśmiała się cicho, a on spojrzał na nią szybko. Wzruszył ramionami. Walczył ze sobą kilka sekund, ale wreszcie również krótko się roześmiał. I zakasłał. Oczywiście. Anna uznała, że uśmiech przyklejony do jego trupio bladej twarzy sprawiał upiorne wrażenie. Trupio. Właśnie...

– Słuchaj no, a co właściwie z autopsjami? Russa i Lomi? Już je przeprowadzono?

– Russa tak. Za Lomi mieli się zabrać dzisiaj.

– A z tym Russem co? – zapytała. Przed sobą widziała już tabliczkę z napisem „Padova”.

– To, co już zdążyłaś zauważyć przy oględzinach. Rana kłuta szyi, prosto w tętnicę. Cios w głowę prawdopodobnie kastetem. Brak śladów walki, ale... Znaleźli ślady na jego dłoniach...

– Od wiosła? – domyśliła się. Czyli jednak Guido mógł być ich tajemniczym gondolierem.

– Tak. Musiał wiosłować sporo, ale od niedawna. Skóra na dłoniach nie zdążyła się przyzwyczać, zgrubieć.

– Czy to potwierdza naszą teorię?

– Zobaczymy. *Medico legale* miał tylko problem z dokładnym określeniem narzędzia zbrodni. Ten kastet musiał być bardzo nietypowy i ostrze, którym zadano cios w szyję, również.

Anna uśmiechnęła się przebiegle. Kiedy Valli skończył kaszleć, odezwała się z udawaną nieśmiałością:

– Ja chyba wiem, co to mogło być. Tylko się ze mnie nie śmiej.

Komisarz popatrzył na nią wyczekująco, ona jednak pozwoliła sobie na krótką pauzę i postanowiła podsycić jego ciekawość. Kiedy wjechali do Padwy, słońce schowało się za chmurami, a niebo zrobiło się niemal granatowe.

Nie spodobało mu się to, co powiedziała. O Padwie. O kolejnym chłopaku z Padwy. I był na siebie zły za to, że sam nie wszedł na durnego Facebooka. Musiałby najpierw założyć konto, a wcale nie miał na to ochoty. Później znów z konieczności babrałby się w zawłóściach technicznych, analizował, jak wszystko działa, na czym polegają te całe „lajki” i inne głupoty. Zaglądał niekiedy przez ramię Stefanowi, który w coś tam klikał i nawet mu pokazywał, zachęcał... Ale Antonio nie był zainteresowany. Nigdy nie ciągnęło go do sieci. Lubił mówić, że jest człowiekiem starej daty, choć skończył przecież dopiero czterdzieści lat. Jego syn również miał konto na Facebooku i nigdy...

Antonio skrzywił się. Anna śpiewała fragment *The Time Of My Life*, a on, choć na głos zasugerował, by przestała wyć, w głębi serca czuł, że chętnie słuchałby takiego wycia codziennie. I ta myśl przyprawiła go o ból głowy. Ta myśl pojawiła się po raz pierwszy w życiu. I wydawała mu się okropnie głupia. Natarczywa, ale w zupełnie inny sposób niż nawracające wspomnienia o synu. Był wdzięczny Annie za to, że siedziała obok niego i śpiewała tę głupią piosenkę z głupiego filmu, który widział chyba ze trzydzieści głupich razy. Że nie jechał do Padwy sam. Po raz pierwszy od dawna komisarz Antonio Valli nie chciał zostać sam. Usiłował stłumić jakoś wszystkie te nedorzeczne refleksje o śpiewaniu i Annie. Teraz nie powinien zajmować się bzdurami.

Padło nazwisko tego chłopaka. Fabio Esposito. Kolejne nazwisko, kolejny chłopak z Padwy, kolejny wychowanek Casa Famiglia. Czy powinien już teraz powiedzieć o wszystkim Annie? A może wzmianka o antykwariuszce tylko ją do niego zniechęci? Tego by nie chciał. Czy Fabio Esposito również znał Lucrezię Doldano? Czy w tym wszystkim nie było zbyt wielu zbiegów okoliczności? A może ktoś popełnił błąd? Wyciągnął jedną felerną kartę, a cały domek, który wcześniej jako tako się trzymał, runął w ułamku sekundy? Tylko kto popełnił ten błąd? Guido Russo, Isabella Lomi, Luigi Marconi, Livia Foscari?

Fabio Esposito?

Lucrezia Doldano?

Komisarz Valli w zamyśleniu pokiwał głową w rytm *I Will Always Love You*, co Anna od razu zauważyła. Kiedy się roześmiała, przyszło mu do głowy, że czerpałby z tej zaimprovizowanej wycieczki czystą przyjemność, gdyby nie świadomość, po co tam jechali. Antonio pamiętał sprawę Fabia Esposito, ale teraz, kiedy w Wenecji wydarzyły się te dwie zbrodnie, jego nazwisko z niczym mu się nie skojarzyło. A przecież powinno, chociażby przez wzgląd na dom dziecka. Wtedy, przed rokiem, Valli również nie pomyślał o Esposicie, nie połączył go z Dariem Costą. Skojarzenie pojawiło się dopiero później, a i tak nie było zbyt natarczywe. Może to on popełnił błąd. Wyciągnął felerną kartę.

Kiedy jechali uliczkami Padwy, Anna zaczęła gwizdać wraz z wokalistą *The Scorpions* melodię *Wind Of Change*.

Livia była jakaś inna. Dostrzegł różnicę w jej zachowaniu, choć już wcześniej żonie zdarzało się od niego odsuwać, okazywać chłód i obojętność. Drzwi sypialni zastał tego ranka zamknięte na klucz. Wiedział, że wczoraj przez cały dzień pracowała, siedziała przy biurku, dzwoniła, zgodziła się nawet na mały wywiad telefoniczny z jakimś pismakiem, z którym rozmawiała o śmierci Isabelli Lomi. „Trzeba się

do tego wreszcie odnieść”, skomentowała tylko, kiedy zapytał. Miała rację. Nie przyszło mu to do głowy. Zbyt wiele innych myśli przyprawiało go o dreszcze. Adwokat kazał mu przygotować i dopracować „wersję” swojego romansu z Isabellą, przypomnieć sobie wszystkie szczegóły, które mogły okazać się istotne w sprawie. Przygotował. Przypomniwał. A przynajmniej tak mu się wydawało. Zadawał sobie pytanie, czy nie powinien przejść się jeszcze do Ronsardów. Starego. I młodego. Mieszkali z Bellą ściana w ścianę. Luigi nie miał pojęcia, co teraz myśleli. Stary. A nawet młody. Czy stary ośmieli się ruszyć z miejsca, czy też dla swojego bezpieczeństwa zachowa śluby milczenia? Czy młody skojarzy fakty? Nazwisko Marconiego mówiło samo za siebie, Isabella zginęła. A przecież młody miał konkretne zadanie, za które otrzymywał wynagrodzenie. Z pewnością powie o tym policji, kiedy wreszcie do niego dotrą. Luigi musiał dopracować swoją „wersję”. Mogliby nawet pogadać, jak facet z facetem, ale gdyby stary okazał się kłopotliwy, gdyby się przełamał, spojrzał w oczy wnukowi...

Źle, że odeszła Isabella. Tej samej nocy zginął ktoś jeszcze, jakiś chłopak, podobno gondolier. Luigi już o tym słyszał. Zupełnie nie zwróciłby uwagi na sprawę martwego chłopaka, gdyby nie jedna myśl. A jeśli on był TYM gondolierem? Luigi Marconi zmarszczył brwi. Wstał z krzesła, wyszedł z gabinetu i po chwili znalazł się na parterze swojego salonu jubilerskiego. Zerknął na gabloty. Nowa kolekcja lśniła za szybą. Wszystko tak dobrze szło... A jemu chodziło tylko o dwie sprawy. O klejnot Foscarich. I o papiery, których wciąż nie znalazł.

Źle, że zginęła Isabella. Bo teraz ci dwaj mogą stać się jego największym problemem. Sam ich tu sprowadził. Ronsardów. Starego. I młodego.

Rozdział 12

Padwa była innym światem. Anna nie mogła się przyzwycząić do braku kanałów szemrzących między kamienicami, do samochodów i rowerów, które mknęły swobodnie po ulicach, a także do otwartych przestrzeni, drzew i licznych zielonych skwerków. Nie czuła tutaj również zapachu mokrych kamieni. Miała wrażenie, że opuściła krainę swojej własnej wyobraźni i wróciła do rzeczywistości. A może właśnie w Wenecji został jej prawdziwy świat? Zadała sobie to pytanie w duchu i nie potrafiła udzielić na nie odpowiedzi. Zrozumiała też, że coraz mniej myślała o Ystad i swoim domu nad Bałtykiem. Kiedy zamykała oczy, pod powiekami nie rysował się już obraz lasów, rozległej łąki, wydm i dzikiej plaży. Nie widziała okien swojej sypialni, przez które co rano patrzyła w horyzont, i nie słyszała skrzeku mew. A przecież jeszcze niedawno tęskniła za domem. Teraz o Ystad przypominali jej tylko Lempi i Ingvar. Annę uderzyła myśl, że coraz mniej dotkliwie odczuwa ich nieobecność.

Wstała z niskiej sofy i podeszła do okna. Vanozza Vianello, pracownica domu dziecka, która zamieściła intrygujący post na Facebooku, wyszła właśnie do kuchni przyrządzić kawę i Anna skorzystała z okazji, by nacieszyć oczy widokiem. Za szybą rozpościerał się imponujący Prato della Valle, czwarty pod względem wielkości plac Europy. Wzdłuż kanału o kształcie elipsy ustawiono osiemdziesiąt osiem posągów ludzi zasłużonych dla miasta, a wśród nich znajdowały się figury Stefana Batorego i Jana III Sobieskiego, królów Polski. Anna odwiedziła Padwę w liceum, kiedy przyjechała tu z wycieczką szkolną, ale wtedy nie zwróciła uwagi na to, jak autentycznie piękne jest to miasto. Po wąskich uliczkach i maleńkich placach Wenecji Prato della Valle oszałamiał swoim ogromem. Anna uchyliła okno i wzięła głęboki wdech. Tutaj w powietrzu czuło się już wiosnę, choć był dopiero środek lutego.

Za plecami usłyszała najpierw stłumiony kaszel, a później kroki. Poczwała słaby aromat rumu, cytryny, wody toaletowej i słodką woń syropu na kaszel. Valli, choć był przeziębiony i z domu wyszedł – dosłownie – w piżamie, pachniał bardzo przyjemnie. Nie odwróciła się, ale odchyliła do tyłu głowę i dopiero wtedy zdała sobie sprawę z tego, jak blisko niej stał. Oparła się o jego klatkę piersiową i zamarła. Nie wiedziała, co zrobić – wycofać się, czy może lepiej zostać w takiej pozycji? Udawać, że właśnie o to chodziło? Nie zdążyła podjąć decyzji. Poczwała, jak Valli wstrzymuje oddech i również zastyga w bezruchu, po czym ostrożnie kładzie dłonie na jej ramionach. Teraz już nie mogła się wycofać. Było jej ciepło, bezpiecznie i błogo. Pozwoliła sobie na to.

– Wszystko w porządku? – wychrypiał tuż przy jej uchu.

– Nie wiem – odpowiedziała zgodnie z prawdą.

Nie wiedziała. Co czuła, czego chciała i na czym powinna skupić myśli. Zanim zdała sobie sprawę z tego, co robi, cofnęła się o pół kroku. Przyłgnęła do niego plecami i przykryła jego dłonie swoimi, a on pochylił się odrobinę. Stali wpatrzeni w zmierzch zapadający nad Prato della Valle. Anna poderwała się, kiedy usłyszała brzęk szkła. Rzeczywistość miała zapach kawy.

Vanozza Vianello była kobietą w średnim wieku, zadbaną, ale skromną i chyba samotną. Mieszkała w niewielkiej kamienicy w sercu Padwy, jak mówiła – od zawsze. Odziedziczyła swoje gniazdko po rodzicach i nigdy się stąd nie wyprowadziła. W saloniku Vanozzy, z oknami wychodzącymi na Prato della Valle, mieściła się tylko sofa, dwa miękkie fotele, ława i regał z książkami. W głębi mieszkania słychać było miauczenie kota.

– To Felix – uśmiechnęła się gospodyni. – Kot sąsiadów. Pewnie znowu wszedł na mój parapet i nie może zleźć. Ten kot jest całkiem głupi, jeśli mam być szczerą. Przepraszam na chwilę.

Kobieta zniknęła w korytarzu. Anna sięgnęła po filiżankę i upiła łyk gorącej kawy. Przypomniała sobie o kociaku, którego uratowała z powodzi, i zastanawiała się, dlaczego odszedł, a także o kocie Eriksonów z Ystad i bezpiecznych kotach weneckich, wylegających się na schodkach prowadzących do kanałów. Dłoń jej zadrżała, kiedy odstawiała filiżankę na spodek. Valli siedział tuż obok i również pił kawę. Jego dłoń także drżała. Cisza gryzła w uszy. Serce Anny nadal biło szybko, ale atmosfera powoli się rozrzedzała. Valli zakasłał. Oddychał ciężko i widać było, że czuje się coraz gorzej.

– Przepraszam. Już jestem.

Vanozza Vianello wróciła do salonu, usiadła w fotelu i przesunęła w ich kierunku talerzyk z ciasteczkami. Miała bardzo piękne oczy, radosne, śmiejące się, takie, które zazwyczaj spotyka się u ludzi o pogodnym usposobieniu. Kiedy zapukali do jej drzwi, z początku okazała nieufność, ale gdy Antonio Valli pokazał odznakę i wyjaśnił, że zajmuje się sprawą śmierci Guida Russa, a Anna wyświetliła zdjęcie z facebookowym komentarzem, kobieta zaproponowała, że zrobi kawę. Rozmowa przebiegała w miłej atmosferze i choć Vanozza nie mówiła po angielsku biegle, potrafiła zbudować kilka prostych, sensowych zdań, a resztę tłumaczył z włoskiego Valli. Do zwierzeń na temat pracy z wychowankami rodzinnego domu dziecka nie trzeba jej było długo namawiać, kiedy zaś padły nazwiska Esposita i Russa, zasępiła się i machnęła ręką.

– Pamiętam ich obu – rzekła. – Byli rówieśnikami. Ale... różnili się od siebie pod każdym względem. Fabio zawsze wydawał się spokojny. Był grzeczny, usłużny, sprzątał po sobie, pomagał rozkładać talerze w jadalni, zgłaszał się na ochotnika do zmywania. Tyle tylko, że w tym wszystkim wyczuwało się fałsz. Rozumiecie? Fabio był wyrachowany i od małego potrafił świetnie manipulować innymi. Jeśli coś kombinował, to zawsze tak, by nikt – albo prawie nikt – się o tym nie dowiedział. Był mistrzem, jak by się to dzisiaj powiedziało, kreowania wizerunku. Swoje sprawy, czy może nawet „porachunki”, załatwiał po cichu. Albo czyimiś rękami. Rozumiecie?

Anna i Valli skinęli głowami. Załatwiał swoje porachunki po cichu, był mistrzem kreowania wizerunku... Anna pomyślała, że może te właśnie cechy pomogły mu w jego prawdziwym zawodzie i dlatego nikt nigdy nie znalazł przeciwko niemu żadnego dowodu. Ot, zwykły chłopak z kiosku, miły, grzeczny... Cicha woda.

– ...Cicha woda – wybrzmiał nagle głos Vanozzy i Anna miała wrażenie, że *signorina* Vianello czyta w jej myślach. – Tacy są zawsze najgorsi. Nigdy nie wiadomo, czego się można spodziewać.

– A nie wie pani, do jakiej trafił rodziny? Bo ktoś go chyba adoptował?

– Tak. Dość późno, kiedy miał dwanaście lat. Ale ci ludzie już nie żyją – odparła szybko. – Matka zastępcza zmarła dawno temu, chyba na raka, a ojciec krótko po niej. Coś z sercem. Chyba nie byli też już młodzi. Ale nie skarżyli się na Fabia, nie mieli z nim kłopotów. To była pierwsza rodzina zastępcza, do której trafił. Jeśli odwiedzi pan dyrektorkę placówki, z pewnością pokaże niezbędne dokumenty. Przecież ta sprawa wciąż jest niezamknięta. W sensie – tajemnica jego zniknięcia.

Vanozza pokręciła głową ze smutkiem. Przez chwilę wpatrywała się w rękaw swojego swetra.

Przetarła oczy i ponownie zachęciła, by Anna i komisarz poczęstowali się ciasteczkami.

– Czy słyszała pani... – zaczął Valli, ale każde kolejne słowo wymawiał z większym trudem.

– Pan jest chory, *commissario*. Mam tu jakieś witaminy...

– Za chwilę. *Signorina* Vianello, czy słyszała pani na jego temat coś podejrzanego?

– Na temat Fabia? Oczywiście. Wszyscy to słyszeli.

– To?

– No przecież pan wie! Wszyscy teoretycznie wiedzieli, ale nikt o tym głośno nie mówił. Tajemnica poliszynela.

Tajemnica poliszynela. Poliszynel! Anna podskoczyła na dźwięk tego imienia i chciała coś powiedzieć, ale Valli złapał ją delikatnie za nadgarstek.

– Co pani ma na myśli, *signorina*? Kto wiedział? Wszyscy w ogóle, czy chodzi pani o ludzi związanych z domem dziecka?

Vanozza Vianello pacnęła się czoło.

– No tak, źle się wyraziłam. Oczywiście, mam na myśli ludzi, którzy w jakiś sposób związani byli z tym... No, środowiskiem. Z domem dziecka i w ogóle. Chodzi mi o wychowanków, opiekunów, sympatyków... Być może osoby spoza tego towarzystwa też słyszały coś na temat Fabia, ale tutaj już państwu nie pomogę. Pewnie rodzice...

– Rodzice?

– Również mogli coś podejrzewać. Nie jestem pewna, czy matka tego doczekała, ale ojciec raczej tak. Choć oboje nie żyli już, kiedy Fabio zniknął.

– Skoro Fabio Esposito został adoptowany – wtrąciła się Anna – to skąd ta wiedza? Ta cała tajemnica poliszynela? Pani kontakt z Espositem się urwał?

Vanozza uśmiechnęła się.

– Padwa to nieduże miasto. Jeśli wychowanek domu dziecka po adopcji zostaje na miejscu, a rodzice nie starają się za wszelką cenę zatrzeć śladów przeszłości, to jego losy są nam znane. A przynajmniej tak jest w wypadku niektórych osób. Takich... charakterystycznych.

– A Esposito był charakterystyczny? – zapytała Anna, unosząc znacząco brwi.

Vianello zawahała się i przez chwilę wyraźnie biła się z myślami. Podniosła do ust filiżankę z kawą, ale nie napiła się, tylko rytmicznie uderzała zębami o porcelanę. Wreszcie wzięła głęboki wdech.

– *Signora* Lindholm, czy widziała pani film *Synalek*?

To pytanie zupełnie Annę zaskoczyło. *Synalek*? Tak, coś sobie przypominała. Thriller. Jasnowłosego chłopczyk, który... Krzywdził innych. Ale sprawiał wrażenie anioła. Po plecach Anny przebiegł nieprzyjemny dreszcz. Skinęła głową.

– Chyba widziałam.

– Właśnie. Tyle tylko, że w tamtym filmie, w którym grał ten miły chłopczyk z *Kevina samego w domu*, tytułowy synalek przede wszystkim krzywdził swoich bliskich, rodzeństwo, a tymczasem rodzice pozostawali na to ślepi. Zwłaszcza ostatnia scena jest bardzo przejmująca. Dwaj chłopcy wiszą nad przepaścią, jednym z nich jest synalek, a jego matka, która już zna prawdę, trzyma ich obu za ręce. Ale nie ma siły. Musi jednego z nich puścić, by uratować drugiego. I waha się, choć wie, kim jest jej syn. Czym jest... Wreszcie puszcza go i podaje rękę temu drugiemu chłopcu. Ale jej wahanie jest tutaj bardzo znaczące. Śmiem twierdzić, że gdyby taka sytuacja zdarzyła się naprawdę, każda matka uratowałaby swoje własne dziecko, nawet gdyby było małym psychopatycznym mordercą. Nie uważa pani?

Anna chciwie przysłuchiwała się jej słowom. Kiedy Vanozza się skupiła, mówiła po angielsku całkiem dobrze.

– Do czego pani zmierza? – zapytała wreszcie, kiedy tamta przez chwilę się nie odzywała.

– Do tego, że nawet jeśli rodzice adopcyjni wiedzieli, czym trudnił się ich syn, milczeli. A dopóki milczeli, i dopóki nie było żadnych dowodów, to wszystko mogło równie dobrze okazać się nieprawdą.

– A milczeli bo...

– Kochali go – dokończyła Vanozza.

Anna spojrzała na Vallego, który od dłuższego już czasu nie brał udziału w rozmowie. Przeraziła się, kiedy zobaczyła, że zbladł jeszcze bardziej i wyglądał, jak gdyby zobaczył ducha. Czyżby poczuł się aż tak źle? Anna miała wrażenie, że nie tylko o to chodziło. Raczej o coś, co... przed chwilą powiedziały. Któryś fragment jej rozmowy z Vanozzą musiał być dla komisarza trudny do wysłuchania. Tylko który? I dlaczego? Valli gwałtownie puścił jej nadgarstek i dopiero wtedy zorientowała się, że przez cały ten czas trzymał go w swojej dłoni.

– Źle pan wygląda – odezwała się nagle *signorina* Vianello. – Zrobię herbatę i przyniosę lekarstwo.

– Nie, nie... Chwileczkę – zaprotestował szybko. Zakasłał, a jego kaszel brzmiał naprawdę niepokojąco. – Proszę nam opowiedzieć jeszcze o Guidzie Rusście. Musimy niebawem jechać, zrobiło się już zupełnie ciemno.

Vanozza spojrzała na komisarza z przestraszeniem.

– Ale pan nie powinien donikąd jechać, musi pan wziąć leki i się położyć, bo inaczej będzie źle. Radzę zostać w Padwie na noc.

– Guido Russo... – przerwał jej łagodnie, ale stanowczo.

Panna Vianello usiadła z rezygnacją i zacisnęła palce na poręczy fotela.

– Guido Russo to zupełnie inna bajka. On nie był jak Fabio. Wszystko z niego wychodziło, rozumiecie? Każda emocja. Nie potrafił się z niczym kryć. Denerwował się z byle powodu, często krzyczał, kilka razy wdał się w bójkę, uciekał... Był w kilku rodzinach zastępczych, ale nigdzie dłużej nie zagrzał miejsca. Przez swój porywczy charakter. Dopiero ci Russo dali sobie z nim radę. Do czasu. Ale to już na pewno wiecie.

– W aktach jest napisane, że miał „niezdrowe zainteresowania” – dodała Anna.

Vanozza machnęła lekceważąco ręką.

– No bo ukradł, wie pani, świerszczyki ze sklepu. Nie on pierwszy. Tym bym się nie martwiła, ale...

– Ale?

– Widzicie, zawsze mi się wydawało, że i Fabio, i Guido, są niebezpieczni, ale każdy z nich na swój sposób. Fabio działał w wyniku chłodnej kalkulacji. U Guida zawsze chodziło o emocje.

Anna i Valli wymienili spojrzenia.

– A jednak – dodała jeszcze Vanozza. – Dawno już nie miałam z nimi bezpośredniego kontaktu. Więc nie wiem, może się zmienili. Zamieściłam tamten post, bo wydało mi się dziwne, że w tak krótkim czasie tragedia dotknęła dwóch chłopców z naszej placówki. Przecież oni się znali i... Dziwne, naprawdę dziwne.

– Tak, nam również wydaje się to dziwne. Dziękujemy pani. Pozwolę sobie poprosić o numer telefonu i gdyby...

– Tak, oczywiście, proszę nie tłumaczyć. I chwileczkę. Przyniosę te lekarstwa. Jeszcze raz radzę zostać na noc w Padwie. I tak już jest późno.

Vanozza Vianello ponownie zniknęła w korytarzu, zupełnie jak na początku ich wizyty, kiedy z salonu wywabiło ją miauczenie Felixa, kota sąsiadów. Anna i Antonio siedzieli obok siebie na sofie, w milczeniu, każde zajęte własnymi myślami.

Stefania Massimo od dwóch godzin stała pod antykwariatem. Los jej nie sprzyjał. Właśnie teraz, kiedy zdecydowała się na rozmowę. Weszła nawet do środka i zaczęła oglądać bibeloty, których wartości nie potrafiła ocenić. Kręciła się w tę i w tę, szukała nie wiadomo czego i zachowywała się bardzo podejrzanie. Właścicielka zerkała na nią najpierw z zaciekawieniem, później już z irytacją. A przecież Stefania nie chciała zwracać niczyjej uwagi. Zamierzała zachowywać się dyskretnie, co w ogóle się jej nie udało. Gdzie ona była? Ta *straniera*, policjantka czy konsultantka? Mieszkała tutaj, Stefania zdążyła już to sprawdzić. Na dworze zrobiło się zupełnie ciemno i między uliczkami gęstniała wenecka mgła. Może zaraz się zjawi? I warto poczekać?

– Pomóc w czymś? – mruknęła właścicielka antykwariatu, a Stefania drgnęła.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, a przecież zawsze była wygadana. W każdej sytuacji potrafiła się odnaleźć i dlatego robiła karierę u Marconiego. Dlatego też pewnie szef nie pozbył się jej po tym, co zaszło przed trzema laty. A teraz?

– Nie, dziękuję – powiedziała cicho i czym prędzej wyszła.

Ruszyła przez *calle* i zwolniła kroku dopiero na placu San Polo. Zawahała się. Wróciła pod antykwariat. Szwedzka policjantka musiała się wreszcie zjawić, a skoro Stefania raz zdecydowała się na rozmowę z nią, nie mogła tak łatwo odpuścić. A jednak *straniera* się nie spieszyła. Stefania zdrętwiała z zimna. O dwudziestej uznała, że czas się poddać. Ale wtedy przy drzwiach prowadzących do antykwariatu coś zaczęło się dziać. Pojawił się młody mężczyzna z torbą przewieszoną przez ramię. Gruba puchowa kurtka kontrastująca z opaloną twarzą, na szyi aparat, ciężki, drogi. Stefania stała się czujna. Mężczyzna nacisnął klamkę, ale drzwi były już zamknięte. *Signorina* Doldano zakończyła pracę na dziś. Mężczyzna zapukał. Rozejrzał się dookoła. Schował aparat do pokrowca. Zapukał raz jeszcze. Drzwi się uchylily i w progu stanęła właścicielka antykwariatu. Stefania zrobiła kilka kroków w ich stronę, ale bała się, że znowu zwróci na siebie uwagę. Przycisnęła plecy do ściany. Nie patrzyli na nią. Mówili coś. Antykwariuszka kilka razy podniosła głos. Dyskutowali po włosku. Mężczyzna z aparatem usiłował do czegoś przekonać Doldano, ale ona kręciła głową. Podniosła głos jeszcze bardziej i Stefania nareszcie usłyszała coś konkretnego.

„Nie ma jej!”.

Czyli ten mężczyzna również przyszedł do szwedzkiej policjantki. Stefanii zaschło w gardle. Mężczyzna z aparatem postawił torbę na ziemi i zaczął czegoś szukać. Po chwili wyjął portfel i wyszperał z niego prostokącik. Antykwariuszka spojrzała na prostokącik, potem na mężczyznę, zawahała się i wreszcie otworzyła drzwi szerzej. Człowiek z aparatem wszedł do środka. „Wylegitymował się”, pomyślała Stefania. Odetchnęła głęboko i ruszyła w stronę Ramo Venier, gdzie mieszkała. Nic nie poszło po jej myśli. Czy jutro też odważy się, by czekać na szwedzką policjantkę pod antykwariatem? Kim był ten mężczyzna?

Stefania weszła między wąskie uliczki San Polo. Za plecami usłyszała kroki. Nie przestraszyła się. Karnawał trwał w najlepsze, wszędzie było mnóstwo ludzi. Wszędzie, tylko nie tutaj, zdała sobie nagle sprawę. W tym korytarzu wąskim na metr. Stefanii zrobiło się gorąco, ale nie obejrzała się za siebie. Z pewnością nikt jej nie śledził. To by było bez sensu. Zaczęła iść szybciej. Kroki za nią stały się głośniejsze. Stefania nie wytrzymała i obróciła głowę. Zobaczyła maskę.

Morettę.

Puściła się biegiem. Pędziła przed siebie tak długo, aż wreszcie znalazła się na Ramo Venier. Ta uliczka również była przeraźliwie wąska. Stefania szybkim marszem dotarła pod swoją kamienicę. Nie

obejrzała się już więcej za siebie i nie miała pojęcia, dlaczego ten człowiek jednak jej nie gonił. Bo przecież szedł za nią. Maska nie była przypadkowa.

Moretta.

Z guzikiem, który należało przytrzymać zębami. W której nie można było mówić.

Ostrzeżenie.

Stefania powinna siedzieć cicho. Stefania nie mogła siedzieć cicho.

Otworzyła laptop i wklepała nazwisko w wyszukiwarkę. Sięgnęła po notes, w którym zapisała dwa numery telefonu. Ten drugi na wszelki wypadek.

Miał brązowe włosy, prawie jak czekolada. Trząśł się z zimna i był opalony, więc pewnie wrócił z jakiegoś ciepłego miejsca, w którym nie dokuczała mu mgła i chłodny wiatr. Zazdrościła temu chłopakowi. Nie znali się, a jednak wpuściła go do domu. Miała w tym swój cel. Powiedział, że szuka Anny Lindholm i jest jej przyjacielem... Pokazał dowód. Jakiś Leon. Nazwiska Lucrezia nie potrafiłaby powtórzyć. Polskie. Pewnie znali się z właśnie Polski, może od dawna.

Lucrezia przyglądała się, jak opalony i zziębnięty Leon zachłannie obejmuje kubek z herbatą. Podobał jej się, był taki niewłoski. Nie miała pojęcia, czy powinna ufać temu chłopakowi, ale w natarczywych pytaniach o Annę Lindholm dostrzegła determinację i zaangażowanie. Zależało mu na niej. Lucrezia nie wiedziała jeszcze, w jaki dokładnie sposób. Ale zamierzała się dowiedzieć. Pojawienie się tego całego Leona w Wenecji mogło się dla niej okazać bardzo korzystne.

Wychyliła się w jego stronę i zaproponowała, że przygotuje kolację.

Antonio czuł się źle. Kiedy Vanozza Vianello przestała mówić o Fabiu i Guidzie, pozwolił sobie na chwilę nieuwagi. Bolało go to, co powiedziała o *Synalku*. Uderzyła w czuły punkt. Ale przecież tego nie wiedziała, nie znała Antonia, nie miała pojęcia, jaki był i co przeżył. Nie wiedziała tego również Anna, która jednak musiała coś dostrzec w jego twarzy, pojedynczy grymas, skrzywienie, może nawet smutek. Valli pomyślał o Rzymie, o Claudii i Ture. Nie miał pojęcia, jak dokładnie wtedy wyglądał. Na pewno wyłączył się z rozmowy, na pewno przestał zadawać pytania. Przez chwilę myślał tylko o dwójce dzieci nad przepaścią i matce, która może uratować jedno. I o słowach Vanozzy Vianello. „Każda matka uratowałaby swoje własne dziecko, nawet gdyby było małym psychopatycznym mordercą”. Czy na pewno? Nie wiedział. Ale był pewien, że jeśli dziecko robi coś złego, to rodzic zawsze wini siebie. Był tego pewien aż za bardzo.

A teraz siedział w fotelu, w saloniku Vanozzy Vianello, i czuł, jak koszula przykleja mu się do pleców. Nie, nie koszula. Góra od piżamy. Przyjechał w piżamie do Padwy, z Anną Lindholm. Poczł skurcz w żołądku, kiedy przypomniał sobie ten moment przy oknie. Dlaczego ona to zrobiła? Dlaczego się do

niego przysunęła? Chwila słabości? A jeśli nawet – to co wtedy? Antonia po raz kolejny zaskoczyły jego własne reakcje. Nie chciał, by to była tylko chwila słabości.

Nie zapytał Vanozzy Vianello o Daria Costę, który utonął w Wenecji przed rokiem. Miał nadzieję, że sama o nim wspomni, ale nie zrobiła tego. A przecież to też pasowało do tematu. Klątwa ciążyąca nad wychowankami Casa Famiglia, tajemnicze wyprawy do Wenecji, gdzie spotyka ich tragiczny los. Dario Costa pochodził z Padwy, był sierotą z domu dziecka, zginął w weneckim kanale. Idealnie wkomponowywał się w całość. Po jaką cholere oni wszyscy tam pojechali? Nieważne, że nie jednocześnie. To nie był przypadek. Antonio nabierał co do tego pewności z każdą chwilą.

Przymknął oczy i miał nadzieję, że Anna i Vanozza Vianello nie zauważą, jak bardzo źle się czuje. Najlepiej byłoby wyjść. Już teraz. Wrócić do domu, do Wenecji. Ale wtedy znowu zostałby sam. Od sześciu lat był sam i w ogóle mu to nie przeszkadzało. Teraz jednak chciał jak najdłużej odwlec ten moment. Anna wstała z sofy. Vanozza Vianello również podniosła się z krzesła. Usłyszał: „Dziękujemy jeszcze raz, będziemy w kontakcie”. Anna wzięła go pod ramię. Nie pamiętał, kiedy sam również dźwignął się z sofy. Wyszli z mieszkania Vanozzy i po chwili znaleźli się na Prato della Valle. Anna puściła jego ramię i sięgnęła do torebki po paczkę chusteczek. Zachwiał się. Patrzył, jak szła pewnie przez plac i przyglądała się figurom na Prato. Nie miał siły jej dogonić. Przysiadł na ławce i oparł czoło na dłoniach.

Dochodziła dwudziesta pierwsza, kiedy *signorina* Vianello wreszcie pozwoliła im opuścić swój dom. Po Prato della Valle spacerowali mieszkańcy Padwy i turyści, którzy chciwie chłonęli każdy fragment miejskiego pejzażu. Anna usiłowała podsumować to, co właśnie usłyszała od Vanozzy, ale informacje nie chciały ułożyć się w spójną całość. Myślała o niedawnych słowach kobiety, wypowiedzianych w ciasnym saloniku, nad filiżanką kawy. „Fabio działał w wyniku chłodnej kalkulacji. U Guida zawsze chodziło o emocje”. A zatem, jeśli by wziąć pod uwagę predyspozycje, na ewentualnego zbrodniarza nadawał się bardziej ten pierwszy i pewnie dlatego był w swoim fachu skuteczny. Skoro zaś u Guida wchodziły w grę emocje, to mógł działać impulsywnie i w sposób nieprzemyślany, co prawdopodobnie wpędziło go w kłopoty. Prawdopodobnie, ale niekoniecznie... Czy oprócz tego, że się znali, mieli ze sobą coś wspólnego? Coś ważnego? Anna zaczynała powoli gubić się w domysłach, ale jednego była pewna. Wiedziała, że ani Guido, ani Fabio nie trafili do Wenecji przypadkiem, ani też nie przypadkiem w niej zginęli. O ile Fabio w ogóle zginął... A jeśli w grę wchodziła zemsta? Zemsta zawsze jest dobrym motywem morderstwa, jakieś dawne porachunki, coś, co wydarzyło się w przeszłości i nigdy nie zostało pogrzebane. A martwa dziewczyna w domu Marconich? Gdzie było jej miejsce w całej tej układance? Jeśli oba morderstwa dało się w ogóle ze sobą jakoś połączyć...

Anna przystanęła przy jednej z figur na Prato i zorientowała się, że obok niej nie było Antonia. Obejrzała się i zobaczyła komisarza siedzącego na ławce, z czołem opartym na dłoniach. Podbiegła do niego szybko. Zanosił się kaszlem i ledwo mówił. Był spocony i słaby. Anna pomogła mu podnieść się z ławki i niemal zaciągnęła go do auta. Sprawdziła w internecie adres najbliższego, a jednocześnie nie najdroższego hotelu, i zadzwoniła, by zapytać, czy mają wolne pokoje. Zarezerwowała jeden dwuosobowy, po czym odnalazła numer telefonu do internisty i zamówiła prywatną wizytę. Valli

próbował protestować, ale w ogóle go nie słuchała.

Lekarz zjawił się punktualnie. Ośluchał Antonia z ponurą miną, zdiagnozował zapalenie oskrzeli, przepisał antybiotyki i kazał podać lek na zabicie gorączki. Nie zadawał zbędnych pytań i szybko się ulotnił. Anna zbiegła do recepcji i zapytała o najbliższą czynną o tej porze aptekę, która na szczęście znajdowała się tuż za rogiem. Pędziła jak szalona, a kiedy wróciła, poczuła ulgę. Valli leżał w łóżku, z kołdrą naciągniętą pod brodę, i przeglądał świsstek, na którym lekarz wypisał diagnozę. Zaczął mamrotać, że nie potrzebuje żadnych medykamentów, ale ona szarpnęła go za ramiona i zmusiła, by usiadł. Nie protestował więcej. Połknął leki, popił dużą ilością wody i osunął się na poduszkę. Siedziała przy nim, aż gorączka spadła i Valli zaczął oddychać spokojniej. Wzięła szybki prysznic i niewiele myśląc, bo na myślenie było już stanowczo za późno, obeszła łóżko i położyła się z drugiej strony. Kiedy rezerwowała dwuosobowy pokój, nie zaznaczyła, że chodziło jej również o dwa osobne posłania. Chwyciła telefon i odrzuciła czwarte już tego wieczoru połączenie od Leona. Wystukała wiadomość, że nie może rozmawiać, i zadzwoniła do Lucrezii.

– Hej, Lucy – wyszeptała w słuchawkę. – Nie wrócę na noc. Nie krzycz na mnie. Jestem w Padwie, przyjadę jutro i wszystko ci wytłumaczę. Nie mogę teraz rozmawiać. – Ściszyła głos jeszcze bardziej, kiedy Valli poruszył się niespokojnie. – Tak, wszystko okej. Nie martw się.

Rozłączyła się i ostrożnie naciągnęła na ramiona kołdrę. Zgasiła lampkę.

– Dlaczego to robisz? – usłyszała jego zachrypnięty głos.

Obróciła się w stronę Antonia. Leżał na boku. W ciemności mogła dostrzec tylko zarys jego głowy i ramienia, a także dwie plamy oczu, wyraźnie odcinające się na tle bladej twarzy.

– Przecież to moja wina. Oddałeś mi swoją bluzę.

– Skąd wiesz, czy codziennie nie oddaję komuś swojej bluzy?

– Wiem, że nie – odpowiedziała i ziewnęła.

Nie miała pojęcia, kiedy przyszedł sen. O dziwo – dawno już nie spała tak dobrze. Przebudziła się w nocy tylko na chwilę i usłyszała regularny oddech Antonia. Jego palce oplatały jej nadgarstek, tak samo jak wtedy, w salonie Vanozzy Vianello. Nie wyswobodziła dłoni i wkrótce zasnęła ponownie.

Milczeli przez całą drogę powrotną. Dopiero w południe Anna zaparkowała auto Vallego na Piazzale Roma. Kiedy wyłączyła silnik i podała mu kluczyki, zamknął jej dłoń w swojej.

– Dziękuję.

Pokręciła głową. Nie wiedziała dlaczego, ale ogarnęło ją dziwne wzruszenie. Nie mogła się odezwać.

– Odprowadzę cię – zaproponował nagle, wysiadając z samochodu.

Spojrzała na jego potargane popielate włosy, bruzdy na czole, które tego dnia wydawały się głębsze, i kołnierzyk nieszczęsnej wymiętej piżamy, sterczący spod swetra..

– To raczej ja odprowadzę cię – odrzekła wreszcie. – Chodź.

– Dam radę...

– Chodź!

Anna pociągnęła go za rękaw. Pochwycił jej dłoń. Szli, trzymając się za ręce, ale, podobnie jak po drodze z Padwy, nie zamienili ze sobą ani jednego słowa. Kiedy stanęli przed ceglastoczerwoną kamienicą na Corte Case Nuove, Antonio zaproponował, by wpadła na kawę. Odmówiła. Musiała przecież pokazać się Lucrezii.

– Doprowadź się do porządku i daj mi znać, co z autopsją Isabelli Lomi. Chyba trzeba się wziąć porządnie za te sprawy, bo ci je odbiorą i dadzą jakiemuś ciemnemu typowi, który je pogrzebie. Jak to się u was nazywa? – spytała i zdobyła się na uśmiech.

– *Insabbiatura*. Skąd wiesz, że w weneckiej policji są jakieś ciemne typy?

– W każdej są.

Tym razem on uśmiechnął się słabo. Zdjął z szyi swój gruby wełniany szalik i zarzucił go Annie na ramiona.

– Ta twoja jedwabna chusteczka to jest dobra na firankę.

Rzeczywiście, Valli miał rację. Anna bez sprzeciwu przyjęła szalik.

– Znowu oddajesz mi swoje ubrania – zauważyła.

Antonio zaskrzeczał, co chyba miało być śmiechem. Pokiwał głową. Spojrzała mu w oczy i postanowiła zaryzykować.

– Tam, u Vanozzy... Kiedy rozmawialiśmy o *Synalku* i miłości przybranych rodziców Fabia... Miałeś taki dziwny wyraz twarzy. Coś się stało?

Pożałowała tych słów, kiedy tylko wybrzmiała ostatnia głoska. Valli wyprostował się gwałtownie i odsunął od niej. Anna wpadła w panikę. Ujrzała grymas potwornego bólu, który wykrzywił jego twarz. Postąpiła do przodu. Nie mogła zepsuć tej chwili, nie chciała, by teraz się od niej odsunął. Położyła dłonie na jego policzkach. Zamknął oczy.

– Przepraszam, nie powinnam pytać. To nieważne.

Komisarz wypuścił ze świstem powietrze. Jego oczy były nadal zamknięte.

– Na twoim miejscu też bym zapytał – przyznał, choć widziała, że zrobił to niechętnie.

– Ale mi nie odpowiesz.

– Nie w tej chwili.

Otworzył oczy. Były popielate prawie tak, jak jego włosy. Patrzyli na siebie przez chwilę. Anna nie chciała się cofnąć i zabierać dłoni z jego policzków. Wreszcie jednak musiała to zrobić, a wtedy usłyszała, że Valli cicho westchnął. Nie rozumiała go. Nie знаła. A jednak trudno było jej odejść i zostawić go pod tą ceglastą kamienicą, ubranego w kraciastą piżamę i wyciągnięty sweter, stojącego z opuszczoną głową, jak mały chłopiec, któremu właśnie posypały się marzenia.

Antonio Valli przekroczył próg swojego mieszkania, zamknął drzwi i oparł się o nie całym ciałem. Wciąż czuł się źle, ale lepiej niż wczoraj. W jego głowie huczało od sprzecznych myśli. Po pierwsze Padwa. Guido Russo, Fabio Esposito i Dario Costa, nad którym zastanawiał się od roku. Łączyło ich miasto, dom dziecka i szemrane interesy. Dwóch znało Lucrezię Doldano. Valli wciąż nie miał pojęcia, czy antykwariuszka kiedykolwiek widziała Guida Russa żywego, ale fakt, że to właśnie ona znalazła chłopaka z przekłutą tętnicą, nie dawał komisarzowi spokoju. Kiedy dzwoniła na policję, musiała się spodziewać, na kogo może trafić. Czy ryzykowałaby aż tak bardzo, gdyby rzeczywiście była zamieszana w tę sprawę? A może nie miała wyjścia? Może się bała?

Komisarz Valli nie ufał Lucrezii Doldano i fakt, że mieszkała u niej Anna Lindholm, nie dawał mu spokoju. Poza tym nie miał pojęcia, jakie miejsce przypisać w całej tej układance Isabelli Lomi. I Esposicie, który zaginął przed trzema laty. Tylko o nim nie wiedział właściwie nic. Tylko on nie łączył się z tą sprawą bezpośrednio. Czy Esposito znał Lucrezię Doldano? Valli miał pewne przeczucie... Wiedział oczywiście, że na przeczuciu nie można zbudować śledztwa. Ale nie miał żadnych dowodów. Na razie.

Oderwał plecy od ściany i rozpiął płaszcz. Poczł skurcz w żołądku. Dziwny. Przyjemny.

Po pierwsze: Padwa. Czy rzeczywiście? Jakiś Esposito, Russo, Costa, jakaś Lucrezia Doldano?

Nie, nie... Antonio Valli musiał przyznać, że wcale nie Padwa była teraz dla niego najważniejsza.

Przede wszystkim myślał o Annie. Ukrywał coś przed nią. I zastanawiał się, którą tajemnicę wyjawić jako pierwszą.

A poza tym już niewiele brakowało, żeby się beznadziejnie w niej zakochał.

Rozdział 13

Nie tylko Livia się zmieniła. Stefania Massimo również była jakaś inna. Tego dnia nie mogła się skupić. Często wyciągała z kieszeni telefon, bezmyślnie przekładała papiery, patrzyła w okno, rozglądała się niespokojnie na boki. Luigi Marconi zauważył, że miała niewyprasowaną koszulę, którą ukrywała pod zapiętym na ostatni guzik żakietem i apaszką. Nigdy wcześniej nie założyła do pracy niewyprasowanej koszuli. Nigdy jeszcze nie pozwoliła sobie na takie rozkojarzenie. A przecież Luigi miał na głowie Francuzów. Cholerną nową kolekcję. Nie mógł pozwolić sobie na głupie błędy.

Nie żyła Isabella. Zależało mu na niej jeszcze mniej, niż myślał. Teraz rozumiał to doskonale, bo nie czuł nawet najdelikatniejszego ukłucia tęsknoty. Przez chwilę wyrzucał sobie, że do stworzenia nowej kolekcji zainspirował go przedmiot, który właśnie u niej zobaczył, ale szybko się pozbierał. Trudno, zdarza się. Szkoda jej. Była miłą dziewczyną, trochę zdzirowatą materialistką, ale całkiem sympatyczną i niegłupią. Spędzili razem kilka przyjemnych chwil.

A przecież Luigiemu chodziło o coś innego.

Był jeszcze problem z Livią. Ona również zachowywała się dziwnie. Ona również prawdopodobnie coś wiedziała. Luigi miał już serdecznie dość wszystkich tych pieprzonych sekretów i sekrecików.

Livia, Stefania... Isabella.

Teraz miał inne problemy na głowie. Nie wszystkie mógł rozwiązać w prosty sposób.

Kiedy Anna dotarła do domu Lucrezii, uświadomiła sobie, że nie powiedziała Vallemu, czym, jej zdaniem, zadano ciosy Poliszynelowi. A przecież przemyślała wszystko dokładnie, sprawdziła nawet zdjęcia w internecie. Szlag by to. Wyciągnęła z torby komórkę, ale rozmyśliła się i uznała, że takich informacji nie przekazuje się przez telefon. A zresztą... Z pewnością niebawem znowu się zobaczą. Anna chciała rzucić się w wir pracy, pójść znowu na Castello, porozmawiać z Pozzimi i poznać pracowników cukierni *Dolce Isabella*, jeśli oczywiście słodka Bella kogokolwiek zatrudniała. Poza tym nie dawała jej spokoju myśl o gondoli... Co stało się z łodzią Poliszynela? Czy trafiła do materiałów dowodowych? Nurtowały ją również inne pytania. Jak przebiegły przesłuchania Marconich? Kto wziął udział w przygotowaniach do balu? Kto dla nich pracował? Kto zwyczajnie... kręcił się wokoło? Postanowiła poznać całe to towarzystwo, za wszelką cenę. Czuła, że znajdzie się wśród nich przynajmniej kilku podejrzanych.

– Lucy! – zawołała w progu.

Natychmiast przyłożyła dłoń do ust. Przecież Lucrezia z pewnością była już po przerwie i obsługiwała klientów w antykwariacie. Anna przeszła przez korytarz i pchnęła drzwi do sklepu. W progu stanęła jak wryta. Zobaczyła rozpromienioną Lucrezię, która w najlepsze gawędziła sobie z... Leonem! Chciała do

nich podejść, ale jej stopy wrosły w podłogę. Leon musiał zobaczyć Annę kątem oka, bo odwrócił się nagle i rozłożył ramiona.

– Anka!

Nie ruszyła się z miejsca. Leon podszedł do niej i przycisnął mocno do siebie. Nie mogła złapać tchu.

– Napisałaś, że chciałybyś, abym tu przyjechał – powiedział. – Więc jestem. Skończyłem robotę na Tahiti. Mam trochę wolnego.

Anna uśmiechnęła się i wreszcie odwzajemniła uścisk. Naprawdę? Przyjechał, bo wysłała mu SMS-a? Wierzyć się nie chce. Nie powiedziała jednak tego głośno, tylko rzuciła: „Super!”, i odsunęła się. Popatrzył na nią uważnie. Czy widział, że ten entuzjazm i to „super” były udawane? Że nie miała teraz głowy do tego, by umilać mu czas w Wenecji? Ingvar by widział. Zawsze wiedział, kiedy kłamała. Anna poczuła w kieszeni wibrowanie swojego telefonu.

– Przepraszam, coś mi dzwoni – mruknęła.

Nie uwierzyła, kiedy na wyświetlaczu zobaczyła imię Ingvara, tak samo, jak nie uwierzyła w jego słowa, które po chwili usłyszała. „Jestem w hotelu w Mestre. Chciałbym się z tobą spotkać i porozmawiać. Mogłabyś przyjechać? Mam tylko kilka godzin”. Osłupiała. Rozłączyła się i wbiła wzrok w Leona. Miała kupić naiwną historyjkę o tym, że dwóch mężczyzn, którzy niegdyś byli jej bliscy, znalazło się jednocześnie w Wenecji zupełnym przypadkiem?

– Zgadaliście się? – syknęła.

– Słucham?

– Ty i Ingvar?

– Ja i Ingvar?!

Leon przyglądał się Annie z przestraczeniem, a ona już wiedziała, że odgadła prawdę. Obróciła się na pięcie i wypadła z domu. Leon w antykwariacie, Ingvar po drugiej stronie laguny, Antonio Valli w domu na Corte Case Nuove... Brakowało tylko tego, żeby Vidar zmartwychwstał!

Szła szybko w stronę Piazza San Polo. W głowie miała mętlik. Mestre, Mestre... Musiała dotrzeć tam jak najszybciej i zamierzała skorzystać z taksówki wodnej, ale nigdy wcześniej tego nie robiła. Ostatecznie mogła też kogoś zapytać, w końcu była tutaj obca, była tylko *straniera* i nie...

– Anka!

Poczuła przypływ irytacji, kiedy usłyszała za plecami głos Lajona. Chciała biec, ale wiedziała, że i tak od niego nie ucieknie. Nie zatrzymała się jednak ani nie zwolniła kroku. Wmaszerowała na Piazza San Polo. Obijały się o nią postaci odziane w kolorowe stroje i maski, słyszała śmiech, muzykę i rozmowy prowadzone we wszystkich językach świata, i wreszcie przypomniała sobie, że... no tak. W Wenecji wciąż trwał karnawał. Colombiny i eskulapi z długimi nosami nie przejmowali się rzeczywistością, bo przecież zabawa trwała w najlepsze, a *show must go on*. Ktoś mógł zginąć, owszem, czyjeś życie mogło zakończyć się nagle, odebrane w sposób okrutny i brutalny, ale orkiestra gra nadal, leje się wino, suknie szeleszczą i *carne vale*. Żegnaj, mięso.

Anna wciągnęła powietrze głęboko do płuc. Pachniało bazylią. Który to już wieczór karnawału? Drugi? Trzeci? Nie, czwarty. Pierwszego zginęli Guido i Isabella, drugiego Anna piła grappę z Pozzimi, a trzeciego... Trzeciego wieczoru leżała obok Antonia w hotelowym pokoju w Padwie. A teraz...

– Anka!

Lajon chwycił ją za ramiona i obrócił ku sobie. Dyszał ciężko i również wydawał się oszołomiony trwającą wokół maskaradą. A przecież nie był nawet wieczór, ale zaledwie południe, ci ludzie tutaj to nie byli wenecjanie, jedynie turyści, zbieranina przyjezdnych, którzy cieszyli się chwilową wyrwą w codzienności. Teraz mieli na twarzach maski i uciekali od prawdziwego życia. Tak samo jak Anna.

Tyle tylko, że ona już nie nosiła maski. Od dawna nie czuła się tak prawdziwa. Uczucie zagubienia, które ogarnęło ją w Padwie, w domu Vanozzy Vianello, minęło. Teraz Anna wiedziała, czego chce. I była wściekła. Strząsnęła z ramion dłonie Leona. Spojrzał na nią zaskoczony i przerażony.

– Tak, zadzwoniłem do niego. Do tego twojego Ingvara – powiedział wreszcie, odciągając ją na bok.

Annie zrobiło się gorąco. Miała ochotę zerwać z szyi ciepły wełniany szalik, ale nie zrobiła tego, bo pachniał... Vallim.

– Po tym, jak do mnie napisałaś i wysłałaś to zdjęcie z powodzi, postanowiłem zaryzykować i... Ale najpierw...

– Nic nie rozumiem – wycedziła.

– Najpierw musiałem z nim porozmawiać. I on też czuł się już tym wszystkim zmęczony. Czuje się. Uznaliśmy więc, że spróbujemy to jakoś rozwiązać... I...

– O czym ty mówisz? – spytała głucho. Choć nie musiała, bo wiedziała doskonale.

– Uznaliśmy, że... Ingvar uznał, że będzie się czuł lepiej, jeśli ktoś się tobą zaopiekuje. Jeśli ja się tobą zaopiekuję.

– Uznał... Uznaliście?! – wykrzyknęła.

Czy to się działo naprawdę? Czy stała się właśnie pionkiem w durnej, gówniarskiej rozgrywce? I to byli dorośli ludzie? Czy oni mieli jakiegokolwiek prawo, by coś uznać za jej plecami? To wszystko przypominało tani melodramat.

– Ingvar wszystko ci powie. Ucieszył się, kiedy do niego zadzwoniłem, szukał sposobu, nie wiem... może pretekstu... W każdym razie powiedział, że łatwiej mu będzie, kiedy ja się tobą zaopiekuję... Ja... On... Wszystko ci powie. Osobiście. Ingvar wszystko ci powie.

O ile ona sama nie mogła wypowiedzieć ani jednego słowa, o tyle Lajon musiał czuć przemożną potrzebę mówienia, bo z jego ust wysypywały się coraz bezsensowniejsze frazy. Z pewnością nie myślał przy tym za wiele. Nie miał pojęcia, jak bardzo bolą jego słowa. Gdyby wiedział, nie byłby tak okrutny, zamilkłby miłosiernie przez wzgląd na ich dawną przyjaźń – a może wcale nie dawną? Tęskniła za nim przecież, jeszcze kilka dni temu. Chciała, by tu był. Sama mu o tym napisała. I nie miała pojęcia, kiedy stała się tą niestabilną emocjonalnie, egocentryczną, pozbawioną empatii jędzą. A może zawsze taka była albo przynajmniej – od jakiegoś czasu? Nic tego nie usprawiedliwiało. Ani to, co stało się w ubiegłym roku z Vidarem, ani też to, co wydarzyło się zeszłej jesieni. Nawet ich obecne „uznaliśmy”. Ingvar sam podjął decyzję. Tym razem to nie ona dokonała wyboru. Cała przeszłość Anny sypała się jak domek z kart, tu dama kier, tam karo, tu król pik, tam as, a jeszcze gdzie indziej joker, wyszczerzony, kpiący... Bo przecież człowiek składa się ze wspomnień. A wspomnienia Anny właśnie traciły na znaczeniu.

– Zostaw mnie, Leon – powiedziała z dziwnym spokojem.

– Anka...

– I nie ustalaj już nigdy więcej niczego poza moimi plecami.

– Anka! Ja wiele rozumiem. Sporo przeszłaś. Chcesz sobie wszystko ułożyć. Rozumiem. Ale bawisz się ludźmi. Wiesz? Bawisz się ludźmi!

Tym razem Annie zrobiło się zimno. Wcisnęła brodę w szalik Antonia i narzuciła kaptur na głowę.

– Bawiłam się, Leon. Nie chcę już dłużej.

Odwróciła się i zaczęła iść przed siebie, torując sobie drogę w kolorowym tłumie. Skrzywdziła go? Pewnie tak. Wszystkich krzywdziła.

– Anka, nie odchodź tak, ja jeszcze... Anka!

Nie szła już, ale biegła. Nie miała pojęcia dokąd. Tłum w maskach, który wylewał się na San Polo, zniekształcał krajobraz i wszystko wyglądało teraz inaczej, wydawało się przepuszczone przez krzywe zwierciadło, to wybrzuszone, to znów wklęsłe albo kanciaste jak przedmioty na płótnach Picassa. A on

wciąż pędził za nią. Leon, który tak dobrze znał Wenecję. Raz po raz czuła, jak jego palce ślizgają się na jej rękawie, usiłują pochwycić dłoń, złapać w garść połę rozpiętego płaszczka. Dlaczego właściwie aż tak bardzo chciała mu umknąć? I na jak długo starczy jej sił?

– *Signora!* Tędy! – zawołał nagle jakiś głos.

Ktoś pociągnął Annę za łokieć. San Polo zostało z tyłu, przed nią zaś pojawiły się taśmy weneckich uliczek, które ciągnęły się i ciągnęły bez końca. Głos wciąż wybrzmiewał przy jej uchu. „Tędy, *signora*, jeszcze kawałek, *signora*, teraz tu, a teraz, proszę uważać, *signora*, o tutaj, proszę *signora*”. Dopiero kiedy usiadła w łodzi, spojrzała na młodą dziewczynę, która wyprowadziła ją z San Polo. Znały się? Anna miała wrażenie, że tej twarzy nie oglądała po raz pierwszy w życiu. Niemniej jednak nie powinna tak po prostu dać się wciągnąć w boczne uliczki i poprowadzić do łodzi. Co się z nią dzieło? I Mestre! W cholernym Mestre czekał Ingvar, a Anna czuła się jak bohaterka głupiego dowcipu.

– W porządku, *signora*?

Uspokoiła oddech. Przyjrzała się dziewczynie, która teraz opierała się o ster niewielkiej łodzi motorowej. Miała rude włosy, wielkie zielone oczy i była smukła jak rusałka, co znakomicie podkreślał jej dopasowany długi płaszcz. I... Nie ufała Annie. Nie miała pojęcia, czy dobrze zrobiła, sadzając ją w swojej łodzi. To było widać już na pierwszy rzut oka. A zatem po co?

– W porządku – odparła po chwili. – Ale dlaczego właściwie...

– Śledziłam panią – przerwała szybko ruda i rozejrzała się lękliwie na boki. – Tamtego wieczoru, po morderstwie u Marconich.

Annę nagle olśniło. Przypomniała sobie tę dziewczynę. W Palazzo Marconi ruda rusałka trzymała się z boku i bez słowa obserwowała poczynania policji. Miała na sobie zieloną suknię leśnej nimfy. Tak, teraz Anna pamiętała ją bardzo dobrze. Rozluźniła się nieco, choć może nie powinna, bo dziewczyna właśnie przyznała, że za nią szła.

– Przepraszam. Tamtej nocy, kiedy u Marconich wydarzyła się tragedia, poszłam za panią do domu. Ale nie odważyłam się podejść i porozmawiać, odstraszył mnie policjant, który panią odprowadził. Wcześniej właśnie on mnie przesłuchiwał i uznałam, że to by wyglądało podejrzanie. W każdym razie przychodziłam także później, ale albo znowu bałam się zacząć rozmowę, albo pani nie widziałam. Nie powinnam była tego robić. Tylko że pani tam wtedy przyszła, razem z policjantami, i współpracowała przy wstępnych oględzinach. Później oni nas przesłuchiwali, wie pani, na komendzie. W pałacu wciąż kręci się policja, w sklepach Marconiego również, zaglądają dosłownie w każdą dziurę. Raz zapytałam, czego szukają, a jeden z nich powiedział, że wszystko może się okazać ważne. I jeśli ktoś coś sobie przypomni z tamtej nocy albo jakieś wcześniejsze wydarzenie, to powinien szybko zgłosić się na komendę. A ja... Pomyślałam, że najpierw porozmawiam z panią i...

– Dlaczego ze mną? – wtrąciła się Anna, zupełnie zdezorientowana.

Dziewczyna przestała opierać się o ster i usiadła. Spojrzała na Annę wzrokiem spłoszonej sarny. Albo świetnie udawała, albo była naprawdę przerażona.

– Bo pani nie jest stąd.

– No tak. *Straniera* – mruknęła Anna z niesmakiem.

– Nie chodzi o to, że *straniera* – podjęła szybko tamta. – Raczej o to, że pani nie patrzy na nich... Na nas przez żadne klisze. Rozumie pani? Nazwiska, układy, sklepy, rodowe kamienice, skandale, majątki, wpływy. Boję się, że jeśli coś powiem niewłaściwej osobie, to stracę pracę, a chciałam jeszcze... Zdobyć doświadczenie. Za kilka lat mogłabym wyjechać stąd, znaleźć inną posadę w normalnym miejscu. Tutaj trudno się żyje. Jest drogo, a poza tym wszyscy ważni ludzie się znają. Przez Wenecję przewijają się miliony turystów, ale liczba mieszkańców z roku na rok maleje. To zamknięty świat. Wenecja umrze.

Dziewczyna umilkła i pokręciła głową. Ponownie rozejrzała się na boki i jeszcze bliżej przysunęła do

Anny. Siedziały chwilę w ciszy, w którą raz po raz wklewano się szemranie wody w kanale i dźwięki z odległego San Polo. Anna nie spodziewała się takiej przemowy na temat przyszłości Wenecji. Niemniej jednak ruda rusałka powiedziała kilka ciekawych rzeczy. A z pewnością nie przeszła jeszcze do meritum.

– Rozumiem – zaczęła ostrożnie – że coś się pani przypomniało? Albo coś pani zobaczyła?

Rusałka pokiwała głową.

– Ach! Przepraszam! Nazywam się Stefania Massimo, jestem asystentką Marconiego. Głównie tłumaczę dla niego różne rzeczy, teksty, dokumenty albo uczestniczę w rozmowach. On nie ma głowy do języków obcych, a ja wręcz przeciwnie. Ale... Boże! Nie o tym przecież chciałam mówić. Tylko nie wiem jak... I gdzie. Boję się tutaj.

Anna uśmiechnęła się.

– Wypłynęmy na lagunę. Ma pani czas? I tak muszę się dostać do Mestre.

– Na lagunę? – zdziwiła się dziewczyna. – Widziała pani, jaka jest dzisiaj mgła? Ale to jeszcze nic. – Rusałka zerknęła na zegarek. – Niedługo powinnam wrócić do biura. A jednak... Laguna to dobry pomysł. Tam nikt nas nie usłyszy. Mogłabym panią zawieźć do Mestre, porozmawiałybyśmy po drodze, ale obawiam się, że nie zaczekam, aż pani skończy. To, co pani tam musi załatwić.

– Sama wrócę. Jakoś – odrzekła Anna i usiłowała sprawiać wrażenie pewnej siebie.

Rusałka poweselała. Uruchomiła silnik i wyprowadziła łódź z kanału. Po kilku minutach znalazły się na wodach weneckiej laguny.

Stefania Massimo sterowała pewnie. Anna nie miała pojęcia, czy dziewczyna cokolwiek widziała, ale jakimś cudem udawało jej się omijać *vaporetti* i niewielkie łodzie, które ni stąd, ni zowąd wyłaniały się z mgły. Stefanii owo „ni stąd, ni zowąd” musiałyby wydać się mocno przesadzone, dlatego też lepiej było pozostawić sprawę bez komentarza. Dla rodowitych weneccjan pływanie w takich warunkach z pewnością nie stanowiło odświeżającej atrakcji. Kiedy pozostawiły w oddali historyczne fundamenty, Stefania opłynęła jedną z opuszczonych wysepek, wyłączyła silnik i pozwoliła łodzi swobodnie dryfować. Anna rozejrzała się.

– Nikt na nas nie wpłynie? – spytała niepewnie.

– Tędy rzadko coś pływa, tylko pojedyncze maleńkie łodzie, jak moja. Dno jest niepewne, mnóstwo mielizn. Poza tym okolica... – Stefania uśmiechnęła się i ze schowka przy sterze wyjęła termos. – Kawy?

Anna zawahała się. A jeśli ta mała ruda rusałka chciała ją otruć? I porzucić tutaj, na tej opuszczonej wysepce? Zaśmiała się do siebie. To zdecydowanie nie był jej najlepszy dzień.

– Poproszę – odpowiedziała.

Stefania rozlała kawę do dwóch kubków i na powrót usiadła obok Anny. Łódź kołysała się leniwie na boki, a przed nimi rozciągała się płaska wyspa, na której kikuty dawnej posiadłości wrzynały się w mgłę. Tuż przy rozpadających się murach widniało kilka suchych drzew. Powyginane od wiatru, z konarami powykęcanymi niczym dłonie stuletniego starca, przypominały sylwetki ludzkie, słabe i schorowane, ale wciąż ostatkiem sił broniące dostępu do pałacu. Czy takie miejsca rzeczywiście były opuszczone? Anna miała wrażenie, że w tych starych kamieniach nadal tliło się życie, a nocą po pustych korytarzach snuły się cienie dawnych lokatorów. Ściany wciąż pamiętały ich kształty i głosy, jak gdyby nikt nigdy stąd nie odszedł. W każdym zakątku Wenecji mieszkała przeszłość. Stefania nie miała racji. Wenecja nie umrze nigdy. Nawet jeśli kiedyś zniknie pod wodą.

– Podoba się pani?

Anna poderwała się i prawie wylała na siebie kawę. Przytaknęła.

– Chyba spóźnię się dzisiaj do pracy. Marconi się wścieknie. Ma spotkanie z Francuzami – powiedziała w zamyśleniu dziewczyna, przyglądając się ruinom. – Ale skoro już wypłynęłyśmy na

lagunę, pomyślałam, że pani to pokażę. Tę wyspę.

Stefania wykonała ręką szeroki gest. Anna przez chwilę wpatrywała się w nią, niczego nie rozumiejąc. Zaraz jednak przypomniała sobie słowa, które usłyszała w Castello, u Pozzich. Rodzina Livii Foscari miała rodową kamienicę na San Marco, ale posiadali też na własność... jedną z wysp na lagunie. Mieściła się na niej rezydencja, o którą przestano dbać przed laty. Czyżby to... Anna spojrzała Stefanii w oczy. Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Czyli słyszała pani o wyspie Foscarich? To właśnie ona. Nazywa się Trapezio d’Oro, ale nie wiem, czy wiele osób o tym pamięta. – Stefania upiła łyk kawy. – To przez kształt, wie pani? Wyspa wygląda prawie jak idealny trapez. Trapezio d’Oro. Złoty trapez. Foscari mieli taki swój osobisty symbol. Nie herb, ale właśnie symbol. Jeśli coś należało do nich, lubili to stygmatyzować takim znaczkiem. Złotym trapezem niewielkich rozmiarów.

– Stefanio... – zaczęła Anna.

Czuła, że jej mięśnie się napinają. To wszystko – ta wyspa, dryfująca łódź, opowieść o tajemniczych symbolach – było jak sen. A jednocześnie Anna miała wrażenie, że właśnie usłyszała coś bardzo ważnego.

– Tak, wiem. Zanudzam panią jakimiś legendami, a miałyśmy porozmawiać poważnie. Już przechodzę do sedna. – Stefania odłożyła swój kubek i usiadła naprzeciwko. – Tylko błagam... Proszę tę informację wykorzystać tak, aby...

– Będę dyskretna.

– Dziękuję. Otóż trzy lata temu znalazłam coś w gabinecie pani Foscari w Palazzo Marconi. Ona raczej nie pracuje, w sensie... Nie naprawdę. Głównie załatwia korespondencję i dba o kontakty towarzyskie. Odpowiada na maile, listy i tak dalej. Organizuje imprezy dobroczynne, kwesty i proszone kolacje.

– *Trophy wife* – mruknęła Anna.

– Coś w tym stylu. W każdym razie właściwie nie przychodzi do sklepów. Ma swój gabinet w domu i tam pracuje. Jeśli pracuje. I pewnego dnia... Przygotowywaliśmy się z Marconim do ważnego spotkania w salonie jubilerskim na San Marco. On od rana był zdenerwowany, roztrzęsiony, wszystko gubił, zapominał. Nie wziął też z domu teczek z ważnymi dokumentami. Mówił, że została na biurku w gabinecie jego żony. Zaproponowałam, że po nią pójde – wiedziałam, o jakie papiery chodziło. Marconi się zgodził. Poszłam.

– I coś pani wtedy zobaczyła?

– Tak... Livii Foscari nie było w gabinecie, leżała w sypialni z migreną. Rzeczywiście – widziałam ją przelotnie z samego rana i wyglądała bardzo źle. W każdym razie weszłam do pokoju, zobaczyłam teczkę na biurku, ale chciałam się upewnić, czy w środku były te właściwe papiery. W gabinecie panowały egipskie ciemności, bo nikt nie odsłonił jeszcze tego dnia kotar. Pani Foscari zawiesiła sobie zamiast firanek coś, co przypominało teatralną kurtynę. Podeszłam do okna i odsunęłam zasłony. Dzień był słoneczny. Chciałam wrócić do biurka, by zerknąć do teczek i wtedy... Zobaczyłam coś na podłodze.

Stefania urwała i zadrżała. Anna zacisnęła zęby tak, że rozboleła ją żuchwa.

– Co to było? – nie wytrzymała.

– Nożyczki. Takie duże, do papieru, staroświeckie. Pani Foscari ich nie używała. To była kolejna rodzinna pamiątka, pewnie cenna. Leżały na biurku w charakterze ozdoby. Tyle tylko, że ja znalazłam je na podłodze pod oknem.

– I?

– I były we krwi.

Anna przechyliła się w stronę Stefanii i chwyciła dziewczynę za ramiona. Musiała zadać to pytanie, choć bała się odpowiedzi.

– Co pani zrobiła?

– Zadzwoiłam do Marconiego – powiedziała cicho i spuściła głowę.

Anna wypuściła z sykiem powietrze. Dokładnie tego się spodziewała.

– I co było dalej? – spytała ponuro.

– Dalej? Marconi zjawił się w dziesięć minut. Przełożył spotkanie na później. Zamknął drzwi na klucz i zrobił dramatyczną minę. Zaczął opowiadać o tym, że jego żonie się pogorszyło i poprzedniej nocy miała jakiś kryzys. Usiłowała się pociąć. Właśnie tak powiedział. Poharatała się tymi nożyczkami, ale na szczęście nic się nie stało. To był bardziej taki pokaz, by zwrócić na siebie uwagę...

– Pani Foscari ma jakieś kłopoty ze zdrowiem? Depresję?

– Tak, od dawna cierpi na silną nerwicę, pewnie połączoną z depresją, ja się nie znam. Bierze jakieś leki, różnie się zachowuje. To do niej pasowało. Wcześniej nie próbowała się zabić, ale, na przykład, kiedyś w styczniu wyszła na dwór w koszuli nocnej i na boso. Może sobie pani wyobrazić resztę. Wtedy mu uwierzyłam. Ja... Miałam słabość do Marconiego.

– Wiele kobiet ma słabość do swoich szefów – mruknęła Anna.

– Pewnie tak.

– Było coś jeszcze?

– Jeszcze? Tylko tyle, że Marconi prosił o dyskrecję, ale twierdził, że to i tak tajemnica poliszynela, bo wszyscy wiedzą, tylko nikt niczego nie mówi na głos. A zresztą pani Foscari nosiła bandażę na rękach, więc...

Tajemnica poliszynela, tajemnica poliszynela! Anna zacisnęła powieki. Co oni wszyscy ukrywali?

– Więc może Marconi mówił prawdę? – podsunęła, choć wcale w to nie wierzyła.

– Tak wtedy myślałam.

– Ale coś zmieniło pani myślenie?

– Tak. Otóż widzi pani, mówiłam już, że tamtego ranka widziałam przelotnie panią Foscari i wyglądała bardzo źle. To było jeszcze przed tym, jak wróciłam do Palazzo po teczkę i znalazłam te nożyczki.

– Mówiła pani – potwierdziła Anna.

– Właśnie. Widziałam panią Foscari, jak wchodziła po schodach na górę. Niosła szklanę z wodą i miała na sobie tylko piżamę z krótkim rękawem. Rzuciła mi „dzień dobry”, przeprosiła, powiedziała, że źle się czuje i weszła na piętro. Marconi mówił później, że pogorszyło jej się w nocy i wtedy zrobiła cały ten cyrk z udawaną próbą samobójczą. A przecież nad ranem...

– Nad ranem?

– Nad ranem nie miała jeszcze na rękach żadnych bandaży. Nosiła je dopiero później. A zatem to raczej nie jej krew była na tych nożyczkach.

Rozdział 14

Kiedy Anna wysiadła z łodzi Stefani i poprosiła dziewczynę, by na siebie uważała w drodze powrotnej, była tak zajęta rozmyślaniami o zakrwawionych nożyczkach, kłamstwie Marconiego i depresji pani Foscari, że prawie nie rozejrzała się po okolicy. W Mestre była już wcześniej kilkakrotnie i za każdym razem wydawało jej się ono brzydkie, szare i głośnie. Zwykłe przemysłowe miasteczko i sypialnia dla tych, którzy całe dni spędzali na pracy w historycznej Wenecji. Nie odznaczało się niczym interesującym, było jak bezbarwna siostra rasowej piękności. Anna zatrzymała się na chwilę w porcie i spojrzała na zacumowane łodzie. Podeszła do jednego z mężczyzn, którzy się przy nich kręcili. Zanim uznała, że to idiotyczny pomysł, zawołała po angielsku:

– Dzień dobry, chciałabym wypożyczyć łódź. Czy jest taka możliwość?

Mężczyzna wskazał jakiegoś łysego typu, który zaczął iść w jej stronę i szczyrzyć zęby w uśmiechu.

– *Signora? Boat?*

Przytaknęła. Zapytała o cenę, powiedziała, że chciałaby wziąć łódź za dwie godziny i odprowadzić ją dopiero jutro. Wyciągnęła portfel, a łysol skinął brodą w stronę swojego sprzętu i kazał wybierać. Wybierać? Anna przygryzła wargę. Nie знаła się na łodziach. Vidar uczył ją trochę sterować i dlatego w ogóle zdecydowała się tutaj zajść. Ale odróżnić jedną motorówkę od drugiej? To już było zbyt skomplikowane. Miała nadzieję, że z łódkami jest jak z samochodami – prowadzi się podobnie, tylko trzeba wyczuć sprzęgło, gaz i hamulec. A w łódce, w łódce... Co właściwie trzeba wyczuć w łódce? Anna wpadła w panikę, ale teraz już nie mogła się wycofać. Zapłaciła przecież, a poza tym łysy facet spoglądał na nią z politowaniem, jak gdyby ani przez moment nie wierzył, że da radę odpłynąć stąd samodzielnie. Uśmiechnęła się z wyższością i wskazała pierwszą lepszą motorówkę. Łysol kiwnął swoją wielką, świecącą niczym żarówką głową. Rzucił:

– Do zobaczenia za dwie godziny, *signora*.

„*Signora, signora*”, mruzczała pod nosem Anna, opuszczając port, „wsadź sobie gdzieś tę swoją *signore*”! Jak, do cholery, prowadziło się te durne łodzie? Annę rozboleła głowa. Wyobrażenia podsuwała jej co rusz nowe widoczki – zakrwawione nożyczki pod ciężką kotarą, ogromne oczy rusałki Stefani, otuloną mgłą wyspę Foscarich, cyniczną gębę Marconiego, kaszlącego Vallego, przerażonego Leona, cukiernię *Dolce Isabella*, dziewczynę na stosie, martwego gondoliera-Poliszynela, jego łódź i... narzędzie zbrodni. Łódź. Gondola. Narzędzie zbrodni. Nożyczki, kotara, stos i... pokrowiec na wiolonczelę... Anna przyłożyła dłonie do skroni. Czegoś tu nie rozumiała. Kilku faktów nie mogła skojarzyć. Tylko których? Dlaczego nie dawała jej spokoju gondola Guida i ten dumny pokrowiec na wiolonczelę? I co kombinowali ci Marconi? Bo przecież kombinowali i to razem. I wreszcie – do kogo należała krew na nożyczkach?

Przeszła przez ulicę i ruszyła w stronę kawiarni, w której miała się spotkać z Ingvarem. Poczuła, jak ogarnia ją wstyd. Powinna chyba przeżyć to wszystko bardziej, cierpieć i płakać, bo przecież chodziło o niego. O Ingvara, którego znała od lat, którego kochała i z którym zdradzała męża. Któremu była coś winna.

Przekroczyła próg kawiarni i od razu go zobaczyła. Siedział tyłem do niej, pochylony nad filiżanką. Ciekawe, co pił. Bo przecież nie kawę. Raczej zieloną herbatę albo jakieś ekologiczne zielsko. Ingvar

był taki... czytelny. Wiedziała o nim wszystko. Od dawna już kochała te drobne dziwactwa, fascynację słow food, stopy pudełek z jedzeniem, które zabierał do pracy, i konsekwentne dbanie o kondycję. Fizyczną i psychiczną. Ingvar zdrowo się odżywiał, pozbywał się negatywnych emocji na siłowni i strzelnicy, nawet w zimie wkładał pod kurtkę sam podkoszulek, nie chorował od dwudziestu lat i zawsze dokładnie wiedział, czego chciał. Pierwszy raz widziała jego wahanie wtedy, kiedy spotkali się po śmierci Vidara. Miała wówczas wrażenie, że czuł to samo, co ona, i przeżywał identyczny dylemat. A jednak pozbierał się szybko, na powrót stał się skoncentrowany, spokojny, pewny siebie, stabilny jak skała. I cierpliwy. Czekał na nią długo. A ona odwdzieczyła mu się ucieczką do Wenecji.

Zbliżyła się do stolika i położyła dłoń na oparciu krzesła. Ingvar poderwał się. Spojrzała w tę twarz, tak kochaną i tak klasycznie piękną, w czarne oczy, na smagłe policzki i ciemne włosy, przy skroniach lekko przyprószone siwizną. To była nowość, oznaka, że Ingvar również podlegał procesom starzenia. Anna nie mogła się powstrzymać i uniosła dłoń, by dotknąć jego skroni.

– Są prawdziwe? – spytała.

Uśmiechnął się. A raczej próbował się uśmiechnąć, bo uniosły się tylko kąciki jego warg. Oczy pozostały poważne.

– Usiądź – powiedział. Głos mu zadrżał.

Anna usiadła posłusznie i zamówiła herbatę, bo od nadmiaru wypitej dzisiaj kawy trzęsły jej się ręce. Nie wiedziała, co powinna powiedzieć i o co zapytać, ale jednego była pewna. Nie miała ochoty urządzać Ingvarowi awantury. Nie chciała wściekać się na niego tak, jak jeszcze przed dwiema godzinami wściekała się na Leona. Złość jej przeszła. Teraz czuła tylko smutek z powodu tego, co miało się za chwilę wydarzyć. A jednocześnie chciała, by było już po wszystkim. Pragnęła poczuć na sobie ciężar jego decyzji i uporać się z konsekwencjami. I miała tylko nadzieję, że kiedy to usłyszy i zaakceptuje, wreszcie będzie wolna.

Kelnerka postawiła przed nią herbatę, a Ingvar zaczął mówić. Anna chciwie łowiła szwedzkie dźwięki i miała wrażenie, że ubrany w nie monolog człowieka, którego kiedyś kochała, stał się bardziej przyjazny. Łagodniejszy, niż gdyby wypowiedziano go w innym języku. Nie przerywała mu. Słuchała o tym, że ją kochał i kocha nadal, że zawsze będzie. Nigdy nie zapomni tego, co razem przeżyli. Do nikogo już czegoś takiego nie poczuje. Rozumie jej wyrzuty sumienia, pamięć o przeszłości, o krzywdzie wyrządzonej Vidarowi. Jej próbę uporania się ze wszystkim na własną rękę i pragnienie, by zacząć od nowa. I wątpił, by w tej nowej rzeczywistości znalazło się również miejsce dla niego. Liczył na to, czekał długo, miał nadzieję, ale wreszcie zapragnął jakiejś stabilizacji. Zamarzył mu się pewny grunt, a przecież z Anną nigdy nie stąpał po pewnym gruncie.

Nie, tego nie powiedział. Sama ułożyła w myślach takie zdanie i wiedziała, że Ingvar dokładnie to chciał przekazać. On ubierał wszystko w proste słowa, działał zadaniowo i stawiał sobie jasno określone cele. Nie potrafiła winić go za to, że zatęsknił za stabilizacją. I za partnerką, która dzieliłaby z nim życie. „Czy to Ester?” Zawahał się. Posmutniał. Przejechał dłonią po karku. „Tak, to Ester”, odpowiedział wreszcie. Nie miał czasu na filozofowanie. Nie mógł wyjechać do Wenecji, jak Anna. Musiał pracować, płacić rachunki, jeść. A ona? Ingvar miał rację. Ona nic nie musiała. Firmę prowadził za nią ktoś inny, domem opiekowała się Lempi. Anna udawała, że ma jakieś zajęcie. Tak naprawdę – kiedyś – pracowała tylko dla policji. I tak naprawdę – kiedyś – opiekowała się tylko Vidarem. Po wypadku.

Czy on to wszystko powiedział? Nie, tylko pojedyncze fragmenty. A Anna je uzupełniła, przetkała treścią nieobleczoną w słowa. Rozumiała go. Mówił coraz ciszej i coraz rzadziej patrzył jej w oczy. Powtarzał się. Jąkał. Cierpiał, na pewno. Pochyliła się nad blatem i chwyciła jego dłoń. Czuła przyspieszone bicie serca i ból głowy rozsadzający czaszkę. A jednak dała z siebie wszystko, by się uśmiechnąć.

– W porządku – powiedziała.

Ingvar podniósł na nią oczy. „W porządku”, powtórzył. W ciszy dopili herbatę i wyszli przed kawiarnię.

– Kiedy wracasz? – zapytała.

Przejechał dłonią po gładko wygolonym policzku.

– Za trzy godziny mam samolot. Udało mi się tak zarezerwować.

– Mogłeś zostać chwilę dłużej, zobaczyć kawałek Wenecji.

– Nie mogłem. Nie mam czasu. A nie chciałem rozmawiać z tobą o tym przez telefon. I zwlekać... też nie chciałem.

Owinęła się szczelniej płaszczem. Nadchodził wieczór i zrobiło się chłodno, a od morza wiał zimny wiatr. Anna spojrzała w kierunku laguny otulonej mgłą.

– Ale z Leonem to przesadziliście – powiedziała wreszcie.

Ingvar drgnął.

– Słucham?

– Przesadziliście. Możesz go sobie stąd zabrać, nie potrzebuję niańki.

Policzki Ingvara oblał rumieniec.

– Nie chodziło mi o niańkę dla ciebie, tylko wydawało mi się, że on... I ty...

– On może tak. Ale ja nie.

– Nie? Ana, w takim razie...

Spojrzała na niego zaskoczona. „W takim razie”? Zamierzał wycofać się z tego, co powiedział? Zmienić zdanie tak po prostu, bo się pomylił? Nie! Miał cholerną rację, jak zwykle! To musiało się skończyć właśnie tu i teraz, w kawiarni w Mestre, w cieniu weneckiej laguny. Ich koniec zasługiwał na takie melodramatyczne tło.

Machnęła ręką i ponownie postarała się o uśmiech.

– Powodzenia, Ingvar. Jestem być może wrednym egocentrykiem, ale zawsze możesz na mnie liczyć. Zawsze, słyszysz? – wyszeptała mu do ucha.

Nie czekała na jego reakcję. Odeszła szybko w stronę portu. W oddali widziała już sylwetkę wyszczerzonego łysola, który wołał: „*Signora, your boat!*”.

Rozdział 15

Stefano nie był zadowolony. Spoglądał na Antonia z powątpiewaniem i raz po raz machał lnianą torbą. Na jego lakoniczne: „cytryny przyniosłem”, komisarz Valli ryknął śmiechem. A na znacznie mniej lakoniczne: „szef nie powinien nigdzie jeździć w takim stanie; jeszcze coś by się stało; a jak ta kobieta od Wallandera jest stuknięta?; trzeba było najpierw zadzwonić; mógł szef wysłać mnie; pojechałbym nawet z tą szaloną Szwedką, gdyby było trzeba”, tylko się skrzywił. Pojechałby ze Szwedką. Pewnie, że tak! Jeszcze czego!

– To Polka.

– Hę? – Stefano znowu zamachał torbą.

– Polka, nie Szwedka. Przecież wiesz. Tylko przypominam.

– To chyba jeszcze gorzej...

– A Wallander jest postacią fikcyjną. Zdajesz sobie z tego sprawę?

Stefano rzucił Vallemu nienawistne spojrzenie. Komisarz wzruszył ramionami, podziękował za cytryny i uspokoił kolegę, że dostał jakieś leki i czuje się lepiej.

– Raport mam. Z sekcji. Znaczą kopię – mruknął młody policjant i ostrożnie zrzucił z sofy zmiętą kraciastą piżamę swojego szefa.

Antonio schylił się i podniósł odzież.

– Przepraszam, zapomniałem wrzucić do pralki. Dwudniowa. Byłem w tym w Padwie i...

Umilkł. Zachowywał się jak idiota. Stefano przyjechał do niego z raportem z sekcji zwłok dwóch ofiar morderstw, a on tymczasem uzewnętrzniał się na temat leków i piżamy. Coś było nie w porządku. Coś się działo. Miał poważne kłopoty z koncentracją. Pomaszerował do łazienki i pozbył się kraciastego tobołka. Kiedy wrócił, Stefano siedział sztywno wyprostowany, w bezruchu.

– Był szef w Padwie. W piżamie. Ze Szwedką od Wallandera? – upewnił się ostrożnie.

– Polką. Nie ma czegoś takiego, jak Wallander...

– ...kogoś – poprawił odruchowo Stefano i na wszelki wypadek zamknął oczy. Po kilku sekundach otworzył jedno. Szef na szczęście nie mierzył do niego ze służbowej broni.

– Dasz te pieprzone raporty? – zirytował się w końcu Valli i również opadł na sofę.

Młody policjant sięgnął do torby po teczkę. Rzucił ją na stolik. Antonio zerknął do środka i zaczął przeglądać papiery. Po chwili, nie zważając na obecność Stefana, wziął do ręki komórkę i wybrał numer do Anny. Mogła uznać, że się naprzykrzał, owszem. Ale Valli wszystko sobie na szybko przemyślał i uznał telefon w tym akurat momencie za najlepsze wyjście. Bo teraz był tutaj Stefano, więc sytuacja miała szansę wypaść naturalnie. Stefano, raport, przyczyna zgonu, narzędzie zbrodni i... inne rzeczy, o których można było porozmawiać. To przecież naturalne, że Valli pomyślał o Annie. Sama interesowała się tą sprawą. Chciała znać szczegóły autopsji. Pytała o nie. Kazała mu się odezwać, jak coś będzie wiedział. No to właśnie się odzywał.

Tyle tylko, że Anna nie odbierała. Antonio zdusił w sobie uczucie niepokoju. Przerzucił jeszcze raz papiery. Wczytał się w jakieś detale. Zadzwonił znowu. I znowu. Zdenerwował się dopiero po dwudziestu minutach. Stefano przyglądał mu się z niesmakiem.

– Szefie, może ona jest pod prysznicem. Albo je obiad. Albo potrzebuje chwili...

Spokoju. Młody nie dokończył, ale Antonio doskonale wiedział, co mu chodziło po głowie. Może faktycznie naprzykrzał się Annie. W końcu była w Wenecji na urlopie. Odpoczywała. A jednak Stefano musiał też znać źródło jego obaw. Bo przecież należało liczyć się z Lucrezią Doldano. Z tym, co mogła wymyślić. Antonio zaczął krążyć po pokoju. Postanowił, że zadzwoni jeszcze raz. Ostatni. I jeśli Anna nie odbierze, on odpuści. Poczekaj na jej ruch. Nawet jeśli miałyby w międzyczasie zejść na zawał.

Nie odebrała. Antonio Valli opadł na sofę. Nie chciało mu się już oglądać tych raportów.

– Hm... Szeffie? – odezwał się cichutko Stefano. – Przepraszam, ale muszę zapytać...

– No?

Słyszał, jak Stefano nabiera powietrza.

– Dlaczego pojechał pan do Padwy w pizamie?

Antonio zadzwonił dokładnie w momencie, w którym usiadła za sterem. Na plecach czuła wzrok łysola i jego dwóch kumpli. Spojrzała przed siebie. Policzyła do dziesięciu. Kierownica jak kierownica, pomyślała. Wskazówki, strzałeczki... Zupełnie jak w samochodzie. To nie może być takie trudne. Z pewnością jest o wiele prostsze niż jazda autem, na wodzie nie ma pasów i czerwonych świateł, i w ogóle bułka z masłem. Policzyła jeszcze raz do dziesięciu, tym razem wolniej. Łysol za jej plecami zarechotał. Czy on nie powinien zapytać o jakiś patent albo co? Dlaczego w ogóle nie zainteresował się jej uprawnieniami do prowadzenia łodzi motorowej? Pewnie dlatego, że tutaj wystarczyło prawo jazdy, jak prawie wszędzie w Europie poza Polską. A prawo jazdy mu przecież pokazała. Niemniej jednak powinien ją chyba poinstruować, no... powiedzieć cokolwiek, uprzedzić, dać błogosławieństwo. Anna chętnie odmówiłaby krótką modlitwę do Anioła Stróża, ale nie wierzyła w Boga, tym bardziej więc nie sądziła, by na ratunek przybył jej jakiś anioł. Lepiej było przypomnieć sobie nauki Vidara. Kiedy pływali razem i on siedział obok, wszystko wydawało się takie proste. A teraz, gdziekolwiek się znajdował, z pewnością miał niezły ubaw.

Anna zerknęła na wyświetlacz swojego telefonu. Antonio dzwonił już trzeci raz. Marzyła o tym, by odebrać, ale bała się, co pomyśli sobie o niej łysol z kompanią. A jeśli coś się stało? Jeśli Antonio rozchorował się jeszcze bardziej, wyładował w szpitalu albo... Albo dowiedział się czegoś nowego na temat Guida i Isabelli? Anna postanowiła wypłynąć na lagunę, wyłączyć silnik i oddzwonić. Dryfowanie było przecież proste i kiedy siedziała w łodzi Stefanii, wydawało się całkiem bezpieczne. Teraz należało tylko uruchomić tę pieprzoną łajbę...

Włączyła silnik i ruszyła. Szarpnęło ją nieco, ale udawała, że właśnie o taki efekt chodziło. Obróciła się i pomachała łysolowi, a kiedy na powrót spojrzała przed siebie, prawie wpakowała się na inną motorówkę. Wykręciła w ostatniej chwili.

– Tylko spokojnie – wymamrotała, zaciskając palce na sterze.

Po chwili znalazła się na szerokich wodach. Po kilku nerwowych szarpnięciach łódź zaczęła sunąć spokojnie przed siebie. Tyle tylko, że przed szybą znajdowała się nieprzenikniona alabastrowa ściana. Mgła zgęstniała tak bardzo, że widoczność ograniczyła się do minimum. Czy ten cały łysol nie powinien uprzedzić Anny o warunkach atmosferycznych? Czy nie powinien w ogóle zabronić jej płynąć?

– Szlag, szlag, szlag...

Teraz było już za późno na dumanie. Anna zwolniła. Na policzkach czuła drobne, lodowate krople. „Zginę tu”, przeszło jej przez myśl. Roześmiała się. A później zachciało jej się płakać. Dlaczego w swojej bezdennej głupocie zdecydowała się na wypożyczenie pieprzonej łodzi? Dlaczego zwyczajnie nie wsiadła do pociągu, z którego korzystali wszyscy normalni ludzie? Bo chciała popłynąć na wyspę Foscarich? A dlaczego, w swojej bezdennej głupocie, nie przyszło jej do głowy, że zwyczajnie na tę wyspę nie trafi? No? Dlaczego? Bo mieszkała w Wenecji od ponad miesiąca? I dlatego poczuła się pewnie? Pomyślała, że wie wszystko o tym kawałku świata i nic nie może jej zaskoczyć? No cóż, najwyraźniej wenecka laguna była innego zdania i właśnie pokazywała Annie jej miejsce w szeregu. Tylko gdzie znajdowało się to miejsce? Bo z pewnością nie w motorówce od wyszczerzonego łysola!

Wyłączyła silnik. Światła motorówki były zbyt słabe, by przebić się przez napierającą zewsząd mgłę. Zapadał zmierzch. W oddali usłyszała warkot silnika innej łodzi. A może to był *vaporetto*? Głosy i śmiechy niesły się po wodzie i wydawały się krzepiąco bliskie. Anna wiedziała, że to złudzenie. W którą stronę powinna płynąć?

– Kretynka – mruknęła i sięgnęła po telefon.

Jego głos wciąż był zachrypnięty, ale Anna odetchnęła głęboko, kiedy Antonio odebrał po pierwszym sygnale.

– Dzwoniłem do ciebie, zacząłem się martwić – powiedział. – Nie chciałem się narzucać, wiem, że niedawno się widzieliśmy, ale... Pomyślałem... Stefano przyniósł raport i...

Nie chciał się narzucać?! A ona właśnie wbijała paznokcie w jego szalik, jak gdyby to była ostatnia deska ratunku! Antonio zakasłał.

– Hej? Nie odzywasz się. Wszystko gra? Coś strasznie szumi. Gdzie ty w ogóle jesteś?

Anna rozejrzała się niepewnie.

– W sumie nie mam pojęcia – odparła.

Dryfowała przez godzinę. Świadomie przeżyła każdą minutę. Wpatrywała się w rachityczne światełka łodzi, usiłowała przeniknąć wzrokiem zasłone mgły i co jakiś czas zerknęła na wyświetlacz telefonu, by sprawdzić, czy bateria już się wyczerpała. Zostało dziesięć procent. Nie zdążyła podłączyć telefonu do ładowarki, kiedy wróciła z Padwy. Cud, że wytrzymał tak długo. Zasięg gubił się coraz częściej, a łódź kołysała się coraz mocniej. Jedna z fal rozbiła się o burtę i woda chlusnęła na siedzenia. Była przeraźliwie zimna. Anna zachwiała się i przytrzymała steru. Czy powinna ruszyć? Bała się. Nie wiedziała, w którą stronę płynąć, nie miała pojęcia, czy za kilka metrów o coś się nie rozbije. A jednak bezczynność zaczynała ją wykańczać. Przejechała dłonią po mokrych spodniach i zadrzała.

Może powinna jeszcze raz zadzwonić? Bateria...? Dziewięć procent, osiem... Zadzwonić? Tylko po co? Przecież powiedział, że ją znajdzie. Obiecał. Podała mu numery łodzi. I telefon. Mógł przecież... Kolejna fala rozbiła się o burtę. Być może zносиło ją na morze? Anna zacisnęła powieki i spróbowała odtworzyć w pamięci mapę wybrzeża. Mestre, Wenecja, laguna... Jeśli zniosło ją na lewo i ominęła Wenecję, a także i Giudeccę, to płynęła albo prosto na Lido, albo wzdłuż Lido, w kierunku wyspy Chioggia. A co znajdowało się po drodze? Z pewnością dziesiątki niczym nieoświetlonych wysepek. Czy to nie właśnie w pobliżu Lido znajdowała się ta nawiedzona Poveglia, na którą wstęp był nielegalny? Anna podniosła się i obróciła powoli dookoła. Niemożliwe... Niemożliwe, by było tu tak ciemno i gęsto od mgły! Przecież musieli porobić jakieś zabezpieczenia, przygotować się na każdą ewentualność, przewidzieć wszystko... Podobne warunki z pewnością panowały na lagunie weneckiej często. A może to ona panikowała? Może gdyby zaczęła myśleć, zamiast drzeć ze strachu jak jakaś nieopierzona panienka, znalazłaby rozwiązanie?

Zadzwonić?

Sześć procent, pięć, trzy, zero. Wyświetlacz zrobił się czarny. Anna rzuciła komórkę na fotel. Uniosła głowę. Wyteżyła wzrok i słuch. Wydawało jej się, że w oddali zobaczyła jakieś kontury. I światło odległej latarni. A jeśli latarni, to nie dryfowała w kierunku jednej z opuszczonych wysp, tylko w stronę cywilizacji. Jakiejś. Zasiadła przed sterem i miała właśnie uruchomić silnik, kiedy mgłą przeciął podłużny snop światła. Wkrótce ujrzała też dziób biało-niebieskiej łodzi policyjnej. Rozpoznała sylwetki dwóch mężczyzn. Na fotelu pasażera siedział Antonio Valli, a za sterem – Stefano. Ulżyło jej. Stefano wyłączył silnik i przyciągnął motorówkę do łodzi policyjnej, a Valli przeskoczył z pokładu na pokład. Był blady. I zły.

– Oszalałaś? – naskoczył na Annę, zanim zdążyła się odezwać. – Jak się nie zna laguny, to się nie wypływa w taką pogodę! Cholerni turyści!

Zamurowało ją. Zerknęła na Stefana, który spuścił wzrok. Valli złapał się za głowę i – chyba – zaklął po włosku. Anna poczuła przypływ złości.

– Nie jestem jakąś tam cholerną turystką! Mogłam zadzwonić pod numer alarmowy, trzeba było mówić, że to taki wielki problem tu przypłynąć. Nie chciałam cię fatygować. Bez sensu straciłam na ciebie baterię w telefonie. Cholerni weneccjanie, pieprzone pępki świata! Zainwestowalibyście w latarnie!

Na łodzi policyjnej Stefano zachichotał. Valli zamrugał.

– Przecież są latarnie... – zaczął.

– Gdzie niby?! – wykrzyknęła.

Chciała ominąć komisarza. Przesiąść się na pokład drugiej łodzi i poprosić Stefana, ewentualnie przekupić go, by odwiózł ją do domu. Czuła się głęboko dotknięta zachowaniem Antonia. Zrobiła krok. Zachwiała się. Szybko odzyskała równowagę i, kiwając się jak pijana, przesunęła w stronę burty. Valli chwycił ją za łokieć. Zaczęli się szamotać, ale kiedy zmoczyła ich kolejna fala, Anna uznała, że to chyba bez sensu.

– Co ty robisz?! – zawołał wreszcie Antonio, puszczając ją.

– Idę do Stefana – oświadczyła z godnością.

– Nie idziesz do żadnego Stefana!

– Jakby co, to ja chętnie... – wtrącił się sam Stefano, ale umilkł, kiedy komisarz uniósł do góry palec wskazujący.

Może to był jakiś ich umówiony gest? Anna zerknęła na młodego policjanta, a ten tylko rozłożył ręce. Valli złapał ją za ramiona i przyciągnął do siebie. Łódź znowu się zakołysała i przez chwilę wyglądali tak, jak gdyby zebrało im się na romantyczny taniec we mgle. Annie zakręciło się w głowie. Oparła się o Antonia.

– Bałem się o ciebie – powiedział, a jego twarz wykrzywił dziwny grymas. – Bałem się, rozumiesz?

Objął ją mocno. Anna poczuła znajomy już, gorzki zapach wody kolońskiej i – równie znajomą – słodką woń syropu na kaszel. Słyszała jego świszczący oddech i przyspieszone bicie serca. W tle Stefano najpierw osłupiał, a później zaczął intensywnie wpatrywać się w ster policyjnej łodzi. Wreszcie odsunęli się od siebie.

– Skąd wzięłaś ten złom? Od takiego łysego, wielkiego typu?

Skinęła głową.

– Kurwa... *Zucca!* Wiedziałem! Stefano?

Stefano oderwał wzrok od steru i zasalutował. Uruchomił silnik i po chwili zniknął we mgle. Anna nie miała pojęcia, co się właśnie wydarzyło. Valli pochwycił jej spojrzenie.

– A bo ten łysy już mnie wkurw... rza. Wynajmuje te swoje zardzewiałe łajby naiwniakom.

– Odwal się!

– Przepraszam, chciałem powiedzieć ludziom niedoświadczonym i turystom, którzy nie mają pojęcia

o lagunie ani też, z całym szacunkiem, o łodziach. I żeruje na nich. Przepłynął się kawałek z tobą, dał ci instrukcje, sprawdził, czy sobie radzisz? Nie! Chce tylko zarobić. A później najwięcej wypadków na lagunie powodują ludzie, którzy wzięli od niego łódki. Poza tym ciągnie się za nim jeszcze inny smród, więc... No, *Zucca* sobie grabi już od dawna. Stefano chętnie pogawędzi o nim z naszymi kumplami w Mestre. Wszyscy już dość długo byliśmy cierpliwi...

– *Zucca*? – przerwała mu Anna.

– Dynia.

– Dlaczego dynia?

Valli uruchomił silnik i uśmiechnął się pod nosem.

– A nie zauważyłaś, że ta jego głowa jest wielka i pomarańczowa?

Anna przypomniała sobie wyszczerzonego łysola z portu w Mestre.

– Fakt.

Mówili coś. Po francusku. Co? Stefania poprawiła się na krześle. Wciąż oddychała zbyt szybko i zaczynało jej się kręcić w głowie. Marconi zerkał raz po raz na nią. Był zły. Za to, że się spóźniła, za to, że dyszała jak po biegu, i za to, że go nie słuchała. I jeszcze bluzka. Pognieciona bluzka, którą skrywała pod apaszką i zakietem. Zauważył. Stefania zdążyła już dobrze poznać swojego szefa. Coś ich przecież łączyło.

Tamten poranek, o którym opowiedziała Annie Lindholm. Czy dobrze zrobiła? Teraz na takie pytania było już za późno. Stefania liczyła tylko na to, że szwedzka policjantka czy konsultantka naprawdę różniła się od nich. Od wszystkich tutaj. I że nie będzie patrzyła na to, kto kogo zna, i kto od kogo zależy. Bo inaczej...

Stefania zaczęła bezwiednie zwijać w rulon jakiś dokument. Oni wciąż mówili, po francusku. Marconi zerkał. Podejrzewał ją. A czy ona słusznie podejrzewała jego? I Livię Foscari? Tak, z pewnością słusznie. Nie mogła się mylić. Oni musieli coś ukrywać, musieli kłamać. Inaczej po co cały ten teatrzyk z bandażami? I skąd zakrwawione nożyczki? Przecież coś tam się stało! Ktoś ucierpiał. Dobrze zrobiła, że poszła do tej szwedzkiej kobiety. Wreszcie to z siebie wyrzuciła. Po trzech latach. Dlaczego nie czuła ulgi? I czy ta *straniera* będzie w stanie rzeczywiście cokolwiek zrobić? Przebić się przez mur weneckich układów i weneckiej bierności wobec możliwych tego świata? Czy będzie chciała? Miała przecież swoje własne problemy. Zaczepiał ją jakiś facet. Rozmawiali w języku, którego Stefania nie rozumiała.

A jednak musiała zaufać Annie Lindholm. Teraz nie miała już wyjścia. Pozostała tylko nadzieja, że sprawa sprzed trzech lat wreszcie zostanie wyjaśniona. I wszyscy dowiedzą się prawdy o tym, kim są ci Marconi.

Kim są?

Mordercami?

Stefania rozwinęła rulon. Marconi zakasłał. Czyżby zadano jej pytanie? Uniosła głowę. Nie, nikt o nic nie pytał. Dalej mówili. Po francusku.

Kto tam był? Na Trapezie?

Nagle zrobiło jej się niedobrze. Wspomnienie sprzed godziny powróciło z całą mocą. Wracała

z Mestre po tym, jak odwiozła do portu tę Szwedkę. Pomyślała, że jeszcze raz przepłynie obok wyspy Foscarich. Tylko przepłynie. Nie zatrzyma się. Ale tyle wystarczyło, by coś zobaczyć. Światło padające z otworu, który kiedyś był oknem. Światło migające, poruszające się, znikające i pojawiające się na powrót. Latarka. Stefania nigdzie nie dojrzała zacumowanej łodzi.

Kto tam był?

Kiedy znaleźli się na Rio Tera San Aponal i dotarli do Calle del Ponte Storto, Anna poczuła ukłucie niepokoju. Valli popłynął kawałek dalej, do Calle Luganegher, przy której znajdował się dom Lucrezii. W oknach od strony kanału nie paliły się światła.

– Możesz wejść tymi drzwiami? – zapytał. On również wyglądał tak, jak gdyby poczuł się nieswojo.

Anna zamachała kluczem, ale nie ruszyła się z miejsca. Valli nie próbował jej ponaglać. Przypomniała sobie zadowoloną minę Lucrezii, szczebioczącej po włosku z Leonem, i samego Leona, wesołego, a później przestraszonego i wściekłego. Z pewnością nadal tam był. Nie poddawał się tak łatwo. Anna przypomniała sobie słowa jednego z przewodników, który oprowadzał angielską wycieczkę po galerii Peggy Guggenheim. „Wenecja to miasto duchów. Każdy człowiek ciekawy świata, poszukujący, melancholijny, godny zapamiętania zmierzał w kierunku Wenecji i dlatego miasto pełne jest duchów poetów, pisarzy, filozofów, artystów i muzyków”. Uśmiechnęła się wtedy gorzko. Wiedziała, że przewodnik sam tego nie wymyślił, a jedynie parafrazował Henry’ego Jamesa, który uchodził za jednego z owych „godnych zapamiętania, poszukujących melancholijnych i dziwnych”. *Skrzydła gołębic* to była pierwsza powieść Jamesa, jaką Anna przeczytała. Pojawiła się w niej piękna i bogata dziewczyna, która umierała na tle weneckiego krajobrazu, ale jednocześnie kochała. A raczej schwytała ostatnią szansę na miłość. W mieście duchów. Rzeczywiście – Wenecja przyciągała do siebie „poszukujących, melancholijnych i dziwnych”. Jak Anna. Jak... Antonio Valli?

Valli, który teraz przyglądał jej się w milczeniu.

– Mówiłeś, że jest raport z sekcji zwłok – odezwała się. – Obu?

– Obu.

– To dlaczego siedzisz cicho? – zapytała, bawiąc się rogiem szalika. Jego szalika.

– Bo chyba już późno. Zobaczymy się jutro. Przyjdę po ciebie o ósmej. Po drodze na komendę wszystko ci opowiem, a później obejrzymy zdjęcia. Musiałem się trochę dzisiaj napocić, żeby mi tej sprawy nie zabrali.

– A jednak? Chodziło o ten wyjazd do Padwy?

– W pewnym sensie. *Vice-questore*... Znaczący zastępca komendanta, mój przełożony, zaczął nagle uważać, że nie jestem niezastąpiony i spokojnie mogę wziąć dłuższe zwolnienie, skoro tak się bardzo rozchorowałem. A oni się wszystkim zajmą i w mig powsadzają za kratki kogo trzeba.

– A komendant? – Anna przypomniała sobie drugiego rozchełstanego w marynarce.

– Komendant? Odwrotnie. Uważa, że na zwolnienie to sobie mogę iść po śmierci. Śledczy i *medico legale* i tak dzwonią z każdą pierdołą, nie wspominając o Stefanie, który co chwilę przybiega do mnie do domu, więc widzisz... Wbrew pozorom w Wenecji nieczęsto zdarzają się takie sprawy. To nie Nowy Jork ani nawet Rzym czy Neapol. Kiedy pracowałem... w Rzymie... widziałem tego wszystkiego

znacznie więcej.

Anna uniosła głowę. Czyli jednak słusznie się domyśliła. Valli nie pochodził stąd. Wenecja go przyciągnęła. Jaki był? Poszukujący, melancholijny czy dziwny?

– Pracowałeś w Rzymie?

– Ponad dziesięć lat.

– A... w Wenecji...?

– Jestem od sześciu.

Nie odrywała od niego wzroku. Musiał mieć jakieś czterdzieści, najwyżej czterdzieści kilka lat. Nie wyglądałby na tyle, gdyby nie te poziome bruzdy na czole. Bruzdy, które... zaczęły jej się podobać. Z pewnością miały swoją historię.

– Ja też mam ci coś do opowiedzenia.

– Czy to się wiąże z twoją wycieczką do Mestre?

– A... pośrednio.

– Miałaś tam coś ważnego do załatwienia? Mogłaś powiedzieć, zatrzymalibyśmy się po drodze z Padwy.

– Wtedy jeszcze nie wiedziałam. To było dość niespodziewane. Nie, nic... – Anna zawahała się. – Nic ważnego. Ale do Mestre podrzuciła mnie Stefania Massimo, asystentka Marconiego. Powiedziała coś bardzo ciekawego. Właściwie moglibyśmy teraz o tym porozmawiać. I o raporcie. I w ogóle... Nadal nie wiesz, co moim zdaniem było narzędziem zbrodni.

Tym razem Valli spojrzał na Annę zaskoczony.

– Teraz porozmawiać?

– Chyba że masz coś ciekawszego do roboty.

– Nie. A ty?

Antonio skinął głową w stronę drzwi, za którymi znajdowało się mieszkanie Lucrezii, antykwariat i wąski pokój z widokiem na kanał. I Leon pewnie również tam był. Czekali na nią. Anna nie mogła ruszyć się z miejsca, ale przecież musiała. Nie nocowała tutaj już poprzedniej nocy i drugą dobę miała na sobie te same ciuchy. Poczła się nagle bardzo zmęczona. Odniosła wrażenie, że tego dnia wydarzyło się więcej, niż niekiedy działo się w jej życiu przez całe miesiące.

– Ja też nie mam.

– Moglibyśmy... – Antonio chrząknął z zakłopotaniem. – Pójść do mnie. Znaczący pogadać. Mam sofę i... Gdybyś poczuła się zmęczona... Oczywiście ja bym na niej spał w razie czego, więc...

– Muszę tam wejść – przerwała mu i wstała ostrożnie.

Valli spuścił głowę. Był rozczarowany, co ją – o dziwo – bardzo ucieszyło. Położyła mu dłoń na ramieniu.

– Wezmę tylko ubranie na zmianę. I piżamę – dodała.

Rozdział 16

Lucrezia Doldano stanęła na środku swojego sklepu. Popęłniła błąd. Po pierwsze dlatego, że zaprosiła tutaj tę dziewczynę. Okazała się policjantką. Czy można mieć większego pecha? Nieważne, że już nie pracowała w zawodzie i bardziej znała się na meblach niż na prowadzeniu śledztwa. Nieważne, że nie miała pojęcia o włoskiej, a już zwłaszcza weneckiej mentalności. Czy w Szwecji przestępczość zorganizowana jest równie rozwinięta jak tutaj? Lucrezia szczerze w to wątpiła. Anna Lindholm z pewnością nie miała nawet pojęcia, co to jest *pizzo* i że większość przedsiębiorców Serenissimy oddaje owo *pizzo* mafii.

A jednak Lucrezia polubiła Annę. To był drugi błąd. Trzeci? Zaprowadzenie jej w tę ciemną uliczkę. Należało trzymać się z daleka. Skoro Guido długo się nie odzywał, mogła domyślić się najgorszego. Ale ona się bała, nie potrafiła znieść napięcia związanego z czekaniem. Czwartym błędem było namówienie Anny na bal u Marconich. Chciała tam pójść dla zabawy. Trochę też z ciekawości. A ciekawość w jej sytuacji była niedobra. Piątym wreszcie... Rozmowa o siostrze i jej utopionym ukochanym. I o tym policjancie, który nie przestał wokół Lucrezii węszyć.

Teraz pozostał jej jeszcze Leon Wit. Uśmiechnęła się pod nosem i ruszyła w stronę korytarza. Przystanęła pod drzwiami prowadzącymi do łazienki. Brał prysznic. Lucrezia zrzuciła szlafrok. Weszła bez pukania. Drzwi były otwarte, zamek nie działał od dawna.

O poranku nad kanałem unosiła się mgła. Wyglądała jak wata cukrowa. Albo jak miękki puch, chroniący przed zimną i twardą taflą wody. Twardą? Tak, oczywiście. Livia Foscari wiedziała, że zderzenie z wodą boli. Skoczyła kiedyś. Była zima, jak teraz. Ona miała na sobie piżamę, jak teraz. Tyle tylko, że teraz myślała, a wtedy nie myślała w ogóle. Działała pod wpływem impulsu. To było wtedy, kiedy zobaczyła jedną z nich po raz pierwszy. Blondynka. Krągła. Pospolita. Ładna. Dobre słowo. Nijakie. Bo jeszcze nie piękna, ale już nie brzydka. Czyli jaka właściwie? Co w niej widział? Livia nie rozumiała swojego męża. Nie wiedziała, co powinna zrobić, jak przekazać mu informację. Wybrała więc taki sposób zwrócenia na siebie uwagi, który zawsze przynosił dobry efekt. Praktykowała go od dziecka. Zdjęła szlafrok. Cienka jedwabna piżama w ogóle nie chroniła przed zimnem. Stanęła na parapecie. Był świt, również jak teraz. Pod stopami czuła lodowaty kamień.

Chyba jednak o czymś wtedy myślała, bo przecież stanęła na tym parapecie w konkretnym celu. Ale nie dopracowała swojego planu. Powinna przecież poczekać, upewnić się, że on na pewno to zobaczy. A jeśli byłby daleko? Gdzieś w głębi domu, ze słuchawkami na uszach, tak jak lubił? Co wtedy? Ale on jej nie zawiódł. Był blisko. Musiał coś usłyszeć, prawdopodobnie nawet widział ostatnią fazę skoku, kiedy stopy oderwały się od parapetu. Uderzenie o taflę wody bolało potwornie. Czuła przenikliwy

chłód. Nie mogła oddychać. Nie była w stanie się poruszyć. Nie chciała się poruszyć? Instynkt samozachowawczy w niej zamarł. A jednak kiedy objęły ją silne ramiona, poczuła ulgę. Dała się wywlec z wody. Nie chciała lekarza. Nie namawiał jej. Sam się wszystkim zajął. Też nie zależało mu na tym, by robić szum i niepotrzebnie rzucać się w oczy. Koc, ciepła herbata, jakieś lekarstwo. Mnóstwo pretensji. Po co? Dlaczego? Co ci strzeliło do głowy? Nie odpowiadała. Nie chciała okazać zazdrości, bo wtedy on byłby górą. Milczała. Patrzyła na niego wyniośle.

Co zyskała?

A teraz? Piżama inna, cieplejsza. I szlafrok. Mgła nad kanałem. Otwarte okno, chłodne lutowe powietrze. Zapach Wenecji. Niebo bladoróżowe jak mury Pałacu Dożów. I on obok. Wciąż, niezmiennie od lat.

Jej jedyny przyjaciel.

Antonio Valli miał dwie kawiarki. Używał obu, co można było zauważyć na pierwszy rzut oka. Anna obserwowała, jak z namaszczeniem odmierzał odpowiednią ilość zmielonych ziaren, wsypywał je do kawiarek, a następnie kawiarki stawiał na gazie. I nie miała wątpliwości, że było w tym coś z rytuału. Czynność powtarzana każdego dnia od lat, bez której poranek nie mógłby nabrać właściwego kształtu i smaku, zacierała granicę między sacrum i profanum. Anna wciągnęła w nozdrza zapach kawy. Tak właśnie musiał tutaj pachnieć każdy świt. W trzypokojowym mieszkaniu na Corte Case Nuove, w wąskiej kuchni i niewielkim salonie z widokiem na Rio Novo.

Dlaczego Valli miał aż dwie kawiarki? Mówił, że jedna to pamiątka z Florencji, z domu rodzinnego. Matka kupiła ją, kiedy skończył dziesięć lat. Później starą kawiarkę wyparła inna, nowa, a Antonio doświadczył bardzo dziwnego przyływu empatii. Uświadomił sobie, że dokładnie to samo dzieje się z ludźmi – starych zastępują nowi, od zawsze, od zarania dziejów. A później pamięta się tylko tych nielicznych, których ktoś w swojej wspaniałomyślności albo też głupocie zechciał opisać lub namalować. Reszta odchodzi w zapomnienie. Zupełnie tak, jak stare kawiarki trafiają na śmietnik. Po latach śmiał się ze swoich szczenięcych egzaltowanych refleksji, ale zapamiętał je jako pierwsze w życiu prawdziwe filozofowanie, pierwszą próbę przeniknięcia tajemnicy egzystencji. Kawiarkę zachował, czyścił, dbał o nią. Tak jak i dbał o wspomnienie rodzinnego domu we Florencji, gdzie życie wydawało się idealne.

Kiedy Antonio mówił o Florencji, oczy mu błyszcząły, a rysy twarzy wygładzały się – nawet dwie poziome bruzdy na czole. Rzeczywiście musiał mieć dobre dzieciństwo. Anna słuchała go z zazdrością. Z jej rodzinnym Helem wiązały się zupełnie inne wspomnienia, wśród których upokorzenie i osaczenie przez toksyczną matkę tkwiły uparcie na czele. Anna od lat usiłowała przesłonić odległą przeszłość późniejszymi obrazkami ze Sztokholmu, z domu ojca i Dagmar, co niekiedy nawet się udawało. Teraz jednak, po tym, jak w Helu wydarzyło się...

Wolała nie myśleć. Wolała słuchać Vallego, który teraz mówił bardzo dużo i wydawał się inny, niemal ciepły. Było dwóch Vallich. Ten tutaj – ten, który spał przy niej w Padwie i objął ją na łodzi. I ten, którego poznała pierwszego dnia karnawału, chłodny, cyniczny, zgorzkniały. Ten drugi Valli doświadczył w życiu czegoś złego, ale Anna już wiedziała, że to coś nie wiązało się z jego dzieciństwem, a raczej miało miejsce później. Nie chciała wymuszać na nim zwierzeń i psuć tej doskonałej chwili. Zwłaszcza że

Valli poczęstował ją kawą ze swojej filozoficznej kawiarki. Wzięła od niego kubek i usiadła na sofie, na której wczoraj w nocy przysnęli oboje, jak tylko skończyli omawiać raporty z sekcji zwłok i przeanalizowali zwierzenia Stefani Massimo. Zmęczenie wzięło górę.

Teraz, kiedy Valli poszedł wziąć prysznic, Anna na powrót pomyślała o Isabelli Lomi. Raport z sekcji zwłok wykazał, że dziewczyna zmarła w wyniku zadzierzgnięcia, a narzędziem zbrodni był prawdopodobnie skórzany pasek o szerokości jednego centymetra. Najpierw zadano ofierze cios w tył głowy, który chwilowo pozbawił ją przytomności, i dopiero później zaciśnięto pętlę. Ślady wskazywały na to, że miała w chwili śmierci włosy upięte wysoko, o czym świadczyła zaschnięta krew. Szyja była odsłonięta w całości. Brak śladów walki wskazywał na to, że cios w tył głowy zadano jej z zaskoczenia. Najprawdopodobniej dziewczyna przewróciła się wtedy i uderzyła ramieniem o coś ostrego. Skóra w tym miejscu była rozcięta, a rana i siniak powstały jeszcze za życia. W przeciwieństwie do pozostałych otarć, zadrapań, siniaków i plam, które wytworzyły się już po śmierci i świadczyły o tym, że ofiarę... Ułożono ciasno w pozycji embrionalnej i w coś wetknięto. Na przykład do walizki... Miała otarcia na nadgarstkach i kostkach, które powstały najprawdopodobniej wtedy, kiedyś ktoś próbował ją do tej domniemanej walizki upchnąć, co wymagało sporej siły. Morderca musiał dziewczynę powyginać, przycisnąć jej kolana do klatki piersiowej, a następnie czoło do kolan. Ślady na skórze były wyraźnie widoczne głównie dzięki temu, że ciało nie zdążyło na dobre zająć się ogniem. Barokowa suknia uszyta z kilku warstw solidnego materiału paliła się powoli, a stos zapłonął od tej strony, gdzie znajdowały się stopy ofiary. Anna pomyślała, że gdyby kostium wykonano z tworzywa sztucznego, poliestru i nylonu na przykład, wówczas zająłby się ogniem szybciej, zwyczajnie stopił i oblepił skórę jak strup. Wtedy prawdopodobnie nie dałoby się zauważyć wszystkich tych otarć i zadrapań.

A także... Dziwnego śladu na plecach. W raporcie określono to jako odciśnięty na skórze dziewczyny kanciasty kształt, który mógł powstać poprzez kontakt pleców ze sprzączką lub płaskim pudełkiem. Ślad nie odcisnął się dokładnie i prawdopodobnie nie w całości, ale świadczył o tym, że w domniemanej walizce ofiarę ułożono bez ubrania, a suknię włożono jej dopiero później. W pozycji embrionalnej dziewczyna przeleżała około dwóch-trzech godzin, na stosie zaś kolejne pięć, aż do północy, kiedy to miał odbyć się spektakularny finał imprezy. A zatem szalony korowód masek, taniec, muzyka, szampan i śmiech dzieliły przestrzeń z upersonifikowaną śmiercią. Z martwą dziewczyną, na którą nikt nie zwrócił uwagi. Którą traktowano jak kukłę o ludzkich kształtach, odzianą w złotą suknię. Nikt nie chciał jej widzieć. Stanowiła przecież symbol odchodzącego karnawału i frywolnych przyjemności. A goście pragnęli tańczyć. Chcieli sączyć wino i sunąć po parkiecie w przepysznych strojach, z zakrytymi twarzami, niby to anonimowi i dalecy od swojego prawdziwego „ja”. To był ich moment prostej radości, nieobciążonej pamięcią o równości każdego człowieka wobec śmierci.

Dlaczego nie znalazł się nikt? Absolutnie nikt, kto spojrzałby na tę karnawałową kukłę uważniej? A może właśnie ktoś spojrzał? Ktoś wiedział? I dlatego jako pierwszy zaczął krzyczeć? Nic nie zdążyło się jeszcze wydarzyć – stos zapłonął, goście poczuli swąd, ale przecież tego mogli się spodziewać. Kukła, którą do tego celu przeznaczono, także nie pachniałaby różami. Zaczęłaby się topić, a wtedy swąd również byłby przykry. Jednak... ktoś się przestraszył, ktoś zdecydował się przerwać „ceremonię”. Dlaczego?

Poza tym została jeszcze kwestia pokrowca na wiolonczelę. Kiedy Anna przeczytała w raporcie, że dziewczynę ktoś po śmierci dosłownie poskładał do pozycji embrionalnej i umieścił prawdopodobnie w walizce, od razu pomyślała właśnie o pokrowcu. Jej zapał został jednak szybko ostudzony. Poza włosami, które znalazł jeden z techników, w pokrowcu nie odkryto niczego. Wnętrze było czyste, bez śladu krwi, skóry i śliny. Znalezione włosy dzieliły się natomiast na dwa rodzaje. Sztuczne, nylonowe należały do lalki, a prawdziwe ciemnoblonde – do pani Foscari, która zgodziła się na pobranie próbki

i porównanie materiału. Uważała, że owszem włosy mogły być jej, ponieważ wiolonczela, a zatem również i pokrowiec, także należały do niej. Grała na tym instrumencie od dziecka, a na zakończenie balu miała dać krótki koncert. Sama kazała swojemu asystentowi ustawić wiolonczelę w korytarzyku sąsiadującym z głównym hallem, żeby nie trzeba było po nią chodzić na górę. Jeśli zaś chodziło o włosy – często wkręcały jej się w różne zamki. Nigdy nie wiązała swoich długich loków i wiecznie miała tego typu problemy. Raz nawet przycięła sobie włosy szufladą.

Niemniej jednak Foscari nie miała pojęcia, dlaczego w jej pokrowcu ktoś umieścił lalkę i kiedy to zrobił. Nie widziała, by wokół instrumentu kręciła się jakaś inna osoba poza Robertem Capellim, czyli wspomnianym asystentem, który zeznał, że ustawił wiolonczelę dokładnie tam, gdzie mu kazano. A tymczasem Foscari znalazła ją w swojej sypialni, ułożoną na łóżku. Zdjęto z niej oczywiście odciski palców, ale niewiele to pomogło. Pasowały do samej właścicielki, do jej męża, do asystenta i do jeszcze jednej osoby, którą był niejaki maestro Alvare, hiszpański wirtuoz i mentor Foscari, nieobecny w Wenecji od ponad tydzień. A zatem należało raczej przyjąć tezę, że pokrowiec wykorzystano tylko po to, by ukryć lalkę.

Gdzie więc przebywała przez dwie lub trzy godziny martwa Isabella Lomi, zwinięta do pozycji embrionalnej? I co to za tajemniczy znak odbił się na skórze jej pleców? Anna nie mogła się doczekać, kiedy zobaczy fotografie. Tymczasem jeszcze raz zerknęła w drugi raport, z sekcji zwłok Guida Russa. W jego wypadku autopsja nie wykazała niczego nowego. Zginął od rany kłutej, zadanej ostrym narzędziem prosto w tętnicę. Ktoś uderzył go również w skroń, najprawdopodobniej kastetem. Być może po to, by wykorzystać moment zaskoczenia i mieć lepszy dostęp do szyi. Uderzony mocno w skroń Guido musiał przecież odchylić głowę i zanim zareagował, było już po wszystkim. Ciekawe, dlaczego morderca dla pewniejszego efektu nie wpełchnął go jeszcze do kanału? I ten cios? Anna domyślała się, czym go zadano, ale nie wiedziała, czy to ma jakieś znaczenie.

Odłożyła papiery na stół i zamyśliła się. Po chwili chwyciła je znowu i znalazła plik kartek z wydrukowanymi wiadomościami, które Marconi wysyłał do Isabelli. Zwłaszcza jedna wydawała się interesująca. „Musimy to skończyć, bo Livia coś podejrzewa, a nie czuje się ostatnio dobrze. Jest nieobliczalna, a ja nie mogę teraz wszystkiego stracić. Czas skończyć z karnawałem i zacząć pościć”. Czas skończyć z karnawałem. I zacząć pościć. Rzeczywiście – Marconi skończył z karnawałem, podpalił „kukłę”. Czy o to właśnie mu chodziło? Wiedziała, że po wydarzeniach w pałacu zatrzymano go w areszcie tylko na kilka godzin. Na komendzie szybko zjawili się dwaj wyszczekani prawnicy, w asyście których Marconi wrócił nad ranem do domu. Poza SMS-ami nic na niego nie mieli. Przyznał się do romansu. Owszem, miał kochankę, ale już same wiadomości wskazywały na to, że chciał wszystko zakończyć. I choć pani Foscari w korespondencji kochanków przedstawiona została raczej jako ta, która może doprowadzić Marconiego do ewentualnej ruiny, a nie jako biedna, zdradzana żona, która nie zasłużyła sobie na podobne traktowanie, ona sama zareagowała na te rewelacje z dziwnym spokojem. Nie zrobiła nawet porządnej awantury, jak zeznały kucharka i sprzątaczką. Nie słyszało się ani słowa o rozwodzie. Foscari skomentowała sytuację słowami: „Mój mąż przecież nie mógł zabić tej dziewczyny. A że utrzymywał z nią relację... No cóż, każdemu zdarza się zbłądzić. Mnie też się zdarzyło. A wtedy on mi wybaczył”.

Zdarzyło się? Wybaczył jej? Anna przypomniała sobie wiotką postać pani Foscari wspartą o parapet w Palazzo Marconi. Być może i mówiła prawdę. Albo z jakichś sobie tylko znanych powodów go kryła. Czy miało to związek z zakrwawionymi nożyczkami, które przed trzema laty znalazła Stefania Massimo?

Dwie sprawy nie dawały Annie spokoju. Właśnie owe nożyczki, a także karteczka, którą znaleziono w kieszeni Guida Russa. „Ponte della Moneta 1444, 1524, 2015”. Prawie o tym zapomniiała. Na szczęście nie zapomnieli karabinierzy, którzy snuli się wokół mostu Rialto o każdej porze dnia i nocy.

Czy ta notatka miała jakiś związek z całą sprawą? Anna nie mogła się oprzeć wrażeniu, że nie. Jakiś związek mieli ze sobą na pewno Guido Russo i Fabio Esposito. Padwa, dom dziecka, Wenecja, w której jeden zginął, a drugi zaginął... Co jeszcze ich łączyło? Co ich dzieliło? Z pewnością temperament. Jeden kalkulował na chłodno, drugi kierował się emocjami. Czy to była ważna informacja? I czy ta dwójka miała jeszcze jakiś związek z zabójstwem Isabelli Lomi? A jeśli te dwie sprawy należało traktować oddzielnie? Nożyczki...

Zakrwawione nożyczki. Marconi, który kłamie o żonie w depresji i o tym, że się okaleczyła, by zwrócić na siebie uwagę. Bandaże Livii Foscari. Isabella Lomi w pozycji embrionalnej wciśnięta w walizkę. Lalka w pokrowcu na wiolonczelę. Guido Russo w ciemnym zaułku. Poliszynel. Gondola. Padwa.

Gondola. Padwa.

Co jeszcze wiązało się z Padwą? Anna miała wrażenie, że wymyka jej się jakieś skojarzenie, które na próżno usiłuje pochwycić. A gondola? Co z gondolą? Czy Russo był tajemniczym gondolierem?

– Co z gondolą? – zapytała, kiedy Antonio wyszedł z łazienki.

Miał na sobie ładną błękitną koszulę i dzinsy. Już nie wydawał jej się taki chudy. Raczej smukły, ale silny, o mocnych ramionach. Choroba również wyraźnie odpuszczała. Padewski internista musiał przepisać mu bardzo skuteczne leki.

Antonio przetarł dłonią mokre włosy i usiadł na sofie obok Anny.

– Gondola? Tego Russa?

– Mhm.

– Jest w materiałach dowodowych.

– Obejrzeli ją?

– Tak. Mówią, że zwykła, tylko trochę stara. Wykonana ze dwadzieścia lat temu i dawno nieużywana.

W sumie strach było takim czymś pływać, ale pewnie naszemu chłopakowi zabrakło doświadczenia, by to rozpoznać. Pamiętasz, że miał świeże zgrubienia na dłoniach od wiosł. Jako wioślarz był raczej żółtodziobem.

– A jeśli był tajemniczym gondolierem...?

– A jeśli był tajemniczym gondolierem, to miał kilka ustalonych tras. San Polo, San Marco i kawałek Castello, ten od...

– Rio de San Zulian – dokończyła Anna.

Dokładnie o to jej chodziło. Granica między dzielnicą San Marco i Castello na pewnym obszarze przebiegała równiutko wzdłuż kanału de San Zulian. Kanału, nad którym mieścił się pałac Marconich. Gondolier musiał przepływać pod tym budynkiem.

Spojrzała na Antonia, a on pokręcił się nerwowo na sofie.

– To jeszcze o niczym nie świadczy...

– Być może nie, ale w San Polo i San Marco tamten gondolier też pływał tylko po konkretnym obszarze. W San Polo – w pobliżu domu Goldoniego. W San Marco – przez Rio delle Procuratie. Jeśliby się okazało, że można te miejsca połączyć z Marconim i jego żoną albo z kimś z ich otoczenia...

– Salon jubilerski Marconiego znajduje się na Fondamenta Orseolo – powiedział ponuro Valli.

– A to blisko...?

– Rio delle Procuratie.

– No widzisz! – wykrzyknęła triumfalnie.

– Ale to jeszcze o niczym nie świadczy, Anno. Te dwie sprawy mogą się ze sobą nie łączyć.

– A jednak sprawdziłabym trasę gondoliera. I w ogóle dawno się nigdzie nie pokazywał. Czy to nie podejrzane?

– Jesteś uparta jak osioł.

– To jedna z moich głównych zalet.

Valli roześmiał się i odebrał z jej rąk pusty kubek. Anna zaczęła układać w równy stos rozrzucone na stoliku papiery. Dochodziła ósma i zapowiadał się pracowity dzień.

– Teraz ja wezmę szybki prysznic – rzuciła i zamarła w pół kroku.

Ktoś zapukał do drzwi. Zerknęła na Antonia, ale on ze stoickim spokojem powiedział:

– To tylko Stefano. On jako jedyny poza mną zna tu kod do domofonu.

Rzeczywiście, przyszedł Stefano. Zatrzymał się w progu na jej widok. Poczowała się idiotycznie, kiedy stała tak, w bawełnianej piżamie i z rozczochranymi włosami. Chciała coś powiedzieć, rzucić konwencjonalne: „to nie tak, jak pan myśli”, ale nie potrafiła wykrztusić słowa. Valli natomiast zdawał się zupełnie nie wyczuwać napięcia.

– Mieliśmy się spotkać w Castello – zauważył.

– Po... pomyślałem, że może po szefa wstąpię. Mam ciągle służbową łódź i... Jeszcze z wczoraj i...

– I pomyślałeś, że jak będziesz mnie miał na pokładzie, to nikt cię nie ochrzani za nieoddanie łajby na komendę. Kiepski pomysł, zważywszy na powszechną sympatię, jaką budzę wśród kolegów i przełożonych. Ale dobra. Zaraz popłyniemy. Kawy?

Stefano kiwnął niepewnie głową. Valli zniknął w kuchni. Anna miała zamiar iść wreszcie pod ten prysznic, ale mundurowy zerwał się z miejsca i w sekundę znalazł się przy niej.

– Nigdy! – szepnął.

– C...co?

– Nigdy się tak nie zachowuje. Jak teraz. *Commissario*. No, dla mnie jest odrobinę miłszy niż dla całej reszty świata, ale ogólnie to wredny i złośliwy gad. I cyniczny. I gburowaty. Ja nie wiem, kim pani jest ani co pani tu robi, ale zapewniam, że w imieniu całej weneckiej policji będę się codziennie modlił do Boga w kościele La Salute, aby pani została tu na zawsze. La Salute to, wie pani, taki kościół, który wzniesiono, kiedy się zaraza w Wenecji skończyła...

Anna parsknęła cichym śmiechem. Odesłała Stefana na sofę, a sama po chwili zamknęła się w łazience. Na zawsze? Nagle wydało jej się, że to bardzo krótko. A później przypomniała sobie, o czym znowu nie porozmawiała z Vallim. Przecież nadal nie wspomniała o swoich przypuszczeniach związanych z narzędziem zbrodni, którym pozbawiono życia Guida Russa.

Ustawił kawiarkę na gazie. Dla Stefana wybrał zwykłą, nie tę, którą przywiózł z domu we Florencji. Filozoficzna kawiarka wciąż stała na stole, obok kubka Anny. Antonio utkwiał wzrok w dwóch przedmiotach, które tak dobrze znał. Nagle wydały mu się inne. Przez nią. Wszystko było inne właśnie z jej powodu. Kubek i kawiarka. Talerz z resztkami ciabatty. Krzesło, na którym siedziała. Sofa, na której zasnęli. Poduszka. Kołdra. Umywalka, na której rano zobaczył jej szczoteczkę do zębów. Zieloną. I zapach. Zapach Anny. Był zachwycony tym, jak zagarnęła dla siebie przestrzeń, którą dotąd władał w pojedynkę. Nie powinien być zachwycony. Chciał zganić się za te myśli, wymierzyć sobie za nie stosowną karę. Nie zasłużył na to. Na zieloną szczoteczkę na umywalce, długi włos na poduszce i dwa kubki z resztką kawy na dnie. Zaplanował sobie samotność, tak jak się planuje wiosenne porządki

i zakupy w supermarkecie.

Powinien pozbyć się Anny. Nie potrafił pozbyć się Anny. A jednak ona czegoś o nim nie wiedziała.

Zdjął kawiarke z gazu. Usłyszał ciche brzęczenie i zerknął na wyświetlacz swojego telefonu. Wstrzymał oddech, kiedy zobaczył numer pułkownika Ricciego. Odebrał połączenie i dyskretnie zamknął drzwi do kuchni.

– Gadaj – rzucił tylko.

I *colonello* Ricci zaczął mówić. Antonio w milczeniu bawił się lnianą serwetką. Z każdym kolejnym słowem karabinier potwierdzał jego domysły. Kiedy skończył, komisarz Valli cicho zaklął. Tego się właśnie spodziewał. Takiej puenty. Słyszał ją aż za często. I wiedział, że od pułkownika Ricciego nie dowie się już niczego więcej. Podziękował i rozłączył się. Usłyszał pukanie do drzwi, a po chwili stanęła w nich Anna. Antonio ścisnął telefon w dłoni.

– Wszystko w porządku? – zapytała z poważną miną. Złapał się na tym, że nie chciał, by była poważna. Marzył o tym, by się śmiała.

Głupi! Antonio Valli zaklął w duchu i wetknął telefon do kieszeni.

– Tak, w porządku. Moja matka dzwoniła – komisarz przewrócił oczami i pociągnął Annę do przedpokoju. – Dzwoni czasem, żeby na mnie pokrzyczeć. Na pewno nic nie jesz, pijesz za dużo kawy, kupiłbyś sobie jakieś warzywa, za dużo pracujesz, przyjechałbyś na kilka dni do domu i takie tam – mamrotał, narzucając płaszcz na jej ramiona.

Nienawidził siebie za to, że skłamał, nawet jeśli tylko połowicznie. Jego matka faktycznie zawsze rozmawiała z nim w taki sposób. Teraz jednak... Antonio nie był pewien, czy informacje pozyskane od *colonella* mają jakieś znaczenie dla obecnie prowadzonych spraw. I czy powinien od razu podzielić się nimi z Anną. I ze Stefanem.

Stefano! Kawa!

Antonio Valli spojrział na młodego policjanta, który właśnie wciskał czapkę na głowę.

– Taaa, wiem, szefie. Nie zdążę już wypić tej kawy. Jakby to była jakaś nowość...

Rozdział 17

Leon uległ Lucrezii pod prysznicem. Wykorzystała jego zaskoczenie. Wiele ryzykowała, to fakt. Mógł uciec, wyzwać ją od zбочonych idiotek, a później odszukać Annę i przedstawić całą sytuację w odpowiednim świetle. W prawdziwym świetle. To by zupełnie wystarczyło. Lucrezia postarała się jednak o właściwy wyraz twarzy. Współczujący, trochę smutny. Chciała pokazać, że rozumie jego rozgoryczenie zachowaniem Anny. Przyjechał przecież. Pokazał, że mu zależy, a ona co? Pobiegła do tego cholernego policjanta. Sprawę rozwiązywać! Akurat! I tak przecież nie rozwiążą tej sprawy. Chyba że znajdą Fabia. Ale... Nawet jeśli – to jeszcze niczego nie przesądzi. Fabio Esposito za wiele im nie powie.

Lucrezia koncertowo odegrała zatem współczucie i smutek. Biedny Leon, samotny, zignorowany, prawie porzucony, choć przecież tak się starał. Nie rozumiała, co się właściwie między nim i Anną wydarzyło. Dlaczego tamta najpierw się przywitała, a później odebrała dziwny telefon i uciekła. Chodziło chyba o jeszcze jakiegoś mężczyznę. Ilu ich miała, ta mała, chuda szwedzka Polka? Lucrezia była bardzo bliska konkluzji, że Anna Lindholm nie zasługiwała na Leona. Ale on wciąż o niej myślał. Pewnie nawet wtedy, pod prysznicem.

Chwyliła talerz z pomidorami i poszła z nim do małej, przylegającej do kuchni jadalni. Leon skubał suchą bułkę. Kawa wystygła. Lucrezia opadła na krzesło i zaczęła w zamyśleniu obracać w dłoniach łyżeczkę.

– Przepraszam – odezwała się w końcu. Postanowiła grać skruszoną. Często dawało to dobre efekty.

– Przestań – mruknął Leon w odpowiedzi.

Czyli szli w standardowy schemat rozmowy dwojga ludzi, których trochę poniosło. Prawie się uśmiechnęła.

– Nie powinnam była tego robić.

– Ale zrobiłaś. I dobrze – odrzekł, czym zupełnie ją zaskoczył. Być może jednak Leon nie był uduchowionym rycerskim Tristanem czy innym Romeem.

– Ty i Anna... – Lucrezia postanowiła iść na całość i konsekwentnie odhaczyć kolejną konwersacyjną kliszę. – Nie chciałam stawać między wami.

Tak, to było perfekcyjne stwierdzenie, bardzo serialowe. Leon uniósł głowę i odłożył bułkę, którą skubał.

– Ja i Anna jesteśmy tylko przyjaciółmi. Albo byliśmy, jak widać.

Lucrezia postarała się o odtworzenie współczującej miny spod prysznica. Chwyliła dłoń Leona. Nie cofnął jej.

– Na pewno wszystko się ułoży. Ona... dała się wciągnąć znowu w jakieś morderstwa i inne takie. Pracowała przecież w policji. Widać to uzależnia. Ale na pewno wszystko ci wyjaśni. Jeśli chcesz, możemy później przejść się na komendę. Na pewno tam będzie. Pogadacie. Ja już... tak to załatwię, żeby nas wpuścili. Chciałbyś?

Leon w milczeniu skinął głową. „Oblicze mu pojaśniało”, jak piszą w romansach. Kiedy sięgał po filiżankę z kawą, prawie się uśmiechał. Był żaloszny. Wciąż nie tracił nadziei. Tak samo zresztą jak i ona. Lucrezia również nie traciła nadziei na to, że Anna się opamięta i że komisarz Valli da sobie spokój.

Albo chociaż poniesie porażkę. Musiała spojrzeć policjantowi w oczy. A poza tym zamówiła kilka kiczowatych, brzydkich krzesłek do antykwariatu, o których zamierzała porozmawiać z Anną. Wiedziała, że za nie przepłaciła. W końcu cel uświęca środki.

Campo do Pozzi o poranku wyglądało inaczej niż o zmierzchu. Blade promienie słońca wydobywały z kamienic intensywniejsze kolory, tańczyły na zielonych okiennicach, ozłacały zadrapania i szczeliny, a przebarwienia i zacieki zmieniały w fantastyczne wzory. Studnia na środku placu była niemal biała, a kwiaty w oknach mieszkania Isabelli Lomi – biało-czerwone. Anna dopiero teraz zauważyła, że między cukiernię i wyblakły bordowy budynek z dużym kominem wciśnięto jeszcze jedną kamienicę. Z oknem szerokim na całą fasadę i solidnymi dębowymi drzwiami. To właśnie one wskazywały, że ktoś tu mieszkał. Drzwi i żółta firanka, którą bawił się wiatr. Lokator otworzył okno na oścież, mimo iż ranek był chłodny. Barwę żółtej firanki również wzmocniły promienie słońca, przez co wydawała się niemal surrealistyczna, jak gdyby ktoś ją domalował kilkoma pociągnięciami szerokiego pędzla. Na *campo* panowała cisza, przerywana jedynie stłumionymi odgłosami dochodzącymi z kawiarni Pozzich, gdzie zjawili się już pierwsi klienci. Kwiaty i wieńce spod cukierni *Dolce Isabella*, a także spod ołtarzyka, usunięto. Gdyby nie tańczące na bruku pojedyncze płatki i zdjęcie Isabelli Lomi przepasane kirem, które wciąż tkwiło na drzwiach, Anna pomyślałaby, że nigdy nikt nie słyszał tutaj o żadnej tragedii. I życie mieszkańców toczyło się nadal dawnym rytmem, niezmiennym od lat.

Schyliła się i ujęła w dwa palce płatek róży. Tak wielu ludzi przyszło na Campo do Pozzi po śmierci Isabelli, by pokazać, że nie była im obojętna. A tam, w Palazzo Marconi, leżała zupełnie sama, w złotej sukni, na prowizorycznym stosie, ignorowana przez wszystkich. Nie pasowała do tamtego świata. Jej miejsce było tutaj. Tutaj komuś na niej zależało. Dlaczego zatem zadawała się z Marconim? Kim była? Anna rozchyliła palce i wypuściła płatek, który zawirował na wietrze.

Spokojny poranek, czyste niebo. Rześkie powietrze, ciepłe promienie słońca, zwiastuny wiosny. A gdzieś w umysłach weneccjan niewypowiedziana na głos nadzieja, że *acqua alta* w tym roku już nie wróci. I jeszcze ona. Słodka Isabella z cukierni na Campo do Pozzi, po której zostały już tylko wspomnienia. Anna nie miała pojęcia, dlaczego tak wiele o tej dziewczynie myślała. O tym, że ktoś pozbawił ją oddechu, poskładał jak zabawkę i umieścił w ciasnej walizce. A później jak zabawkę ubrał i upozował, po czym wpisał w konkretny scenariusz, w którym miała być tylko rekwizytem. Co powiedział kilka dni temu Luca Pozzi? Wtedy, kiedy piła z nim grappę? „Nie wiem, co musiałaby zrobić Isabella, by zasłużyć sobie na taki koniec”. Czy jakoś tak... Właśnie. Co zrobiła Isabella? A co Guido Russo? Dlaczego myśli Anny nie krążyły tak często wokół niego? Dlatego, że był sierotą i złodziejem? Że siedział w poprawczaku i znał się z Fabiem Espositem, płatnym zabójcą? A Isabella Lomi była piękną i cieszącą się sympatią cukierniczką? Jak łatwo przypisać ludziom pewne cechy charakteru, nawet ich nie znając.

Anna spojrzała w kierunku kawiarni Pozzich, po czym przeniosła wzrok na Antonia i Stefana, którzy rozmawiali z kimś na progu cukierni. Jak zwykle nie rozumiała ani słowa. Pomyślała, że zajdzie do Pozzich i spróbuje dowiedzieć się czegoś nowego, ale Valli nagle obrócił się i przywołał ją do siebie. Do kawiarni zaś ruszył Stefano. Może to i lepiej? Musiałaby przecież wytłumaczyć się z tego, że

towarzyszy jej policja. Przedstawiła się Pozzim jako Anna Bylińska, turystka z Polski.

– To jest komisarz Lindholm, pracuje z nami nad tą sprawą – powiedział Valli do kobiety stojącej na progu cukierni. – A to pani Giulietta Lomi.

Anna przełknęła ślinę. Giulietta Lomi? Matka Isabelli? Czy to była jej matka? Kobieta skinęła Annie głową na powitanie. Miała zaczerwienione od płaczu oczy i wydawała się śmiertelnie zmęczona. Musiała przekroczyć pięćdziesiąty rok życia, ale nadal była po dziewczęcemu smukła, wyprostowana, zręczna. Ciemne włosy zwinęła na karku w gruby węzeł. Nie była umalowana. Ubrała się na czarno. Schludnie, ale bez przesadnej elegancji. Tak jak ubiera się ktoś, kto wie, że powinien wyglądać przyzwoicie, choć w ogóle na niczym mu już nie zależy. W ruchach Giulietty Lomi, która nawet podczas rozmowy z Vallim mechanicznie zamiatała kamienne płytki przed wejściem do cukierni, również dało się dostrzec pewną obojętność i rezygnację. Ona z pewnością nie miała pojęcia o tym, że właśnie zaczął się piąty dzień karnawału.

Valli zadał kobiecie jakieś pytanie po włosku. Wzdrygnęła się. Położył jej dłoń na ramieniu i stali tak przez chwilę. Giulietta Lomi zacisnęła zęby. Jej broda zadrżała. Anna przyglądała im się z rosnącą ciekawością. Stefano mówił, że Antonio jest paskudnym, wrednym, gburowatym gadem, ale ten opis musiał odnosić się do jego zachowania względem innych policjantów. Być może nawet niektórych podejrzanych. Być może ludzi w ogóle. Tych, z którymi nie miał ochoty i nie musiał wchodzić w bliższe relacje. A jednak potrafił sprawić, by rozmówca poczuł się przy nim bezpiecznie. By mu zaufał, tak jak ta kobieta tutaj. Valli wciąż trzymał jej dłoń na ramieniu, a Giulietta Lomi zaczęła oddychać spokojniej, zapanowała nad sobą, choć z pewnością nie przyszło to łatwo. Dziwny był brak dystansu między nimi. W Szwecji Anna nigdy nie pozwoliłaby sobie objąć w ten sposób przesłuchiwanego. Nawet jeśli bardzo mu współczuła.

Giulietta Lomi westchnęła, oparła trzonek miotły o ścianę i weszła do kamienicy. Valli odsunął się, by przepuścić Annę. Kiedy przechodziła obok, posłała mu pełne aprobaty spojrzenie. Spuścił wzrok, niemal zażenowany. Dziwne, jak wiele miał w sobie sprzeczności.

Weszli do szerokiego na dwa metry korytarza wyłożonego marmurowymi płytkami. Po lewej stronie znajdowały się drzwi do cukierni, z fioletowym szyldem, na którym widniała wyrysowana czekoladowa babeczka. Same drzwi pomalowano na żółto i Annie przypomniała się wzdęta jak balon firanka w sąsiednim domu. Ściany korytarza wwierały się w oczy jaskrawą zielenią, a schody w głębi prowadziły pewnie do pomieszczeń mieszkalnych na piętrze. Nad ich głowami zwieszał się niski sufit poprzecinany drewnianymi belkami. I... Tak. Belki również pomalowano na jaskrawy kolor, tym razem fuksję. Dziwne było to wnętrze. Piękna architektura, klasyczne weneckie przestrzenie w połączeniu z kolorystyczną pseudoawangardą. Giulietta Lomi musiała zauważyć konsternację Anny, bo nagle przestała wyglądać na złamaną i pogrążoną w żałobie kobietę. W jej oczach pojawił się złośliwy błysk. Niemal przez zęby wycedziła kilka słów po włosku. Zaraz jednak zreflektowała się i na nowo przywdziała maskę nieutulonego smutku. Annie przeszły ciarki po plecach. Zerknęła na Vallego.

– Pani Lomi powiedziała, że te kolory to pomysł Isabelli. Choć wszyscy jej odradzali. Bo takie nieweneckie. I kiczowate. „Ale co ja mam do gadania”, dodała na koniec – powiedział swobodnie.

Anna zrozumiała, że kobieta nie zna słowa po angielsku. Zaskoczyła ją też ta osobliwa puenta. Wymienili z Vallim spojrzenia i komisarz zwrócił się do Giulietty Lomi. Wypowiedział kilka fraz swoim niskim, bardzo zachrypniętym głosem, a ona skinęła głową i wyszła na zewnątrz. Anna i Antonio zostali sami w jaskrawym korytarzu.

– To jej matka? – spytała.

– Matka – potwierdził Valli i otworzył dłoń, w której ścisnął pęk kluczy. Jednym z nich otworzył drzwi prowadzące do cukierni.

Przekroczyli próg i ich oczom ukazały się puste półki i witryny. Krzesła ktoś przysunął równiutko do stołów, a w wazonikach ułożył pojedyncze róże, których główki zwisały teraz smętnie nad wypolerowanymi blatami. Pięć dni temu cukiernię z pewnością skrupulatnie wysprzątało, tak jak czyniono to każdego dnia. Tyle że później, o poranku, porządek nie miał już żadnego znaczenia. Pomieszczenie wypełniał zapach stęchlizny. Jak gdyby od dawna nikt tu nie zaglądał. A przecież...

– Matka Isabelli weszła tutaj tylko raz, dzień po śmierci córki. Chciała zobaczyć, czy czegoś nie znajdzie, jakiejś informacji... Rozumiesz. A w weneckich wnętrzach, zwłaszcza w takich małych i starych, jeśli nie otworzysz okien przez pięć dni, to właśnie taki jest efekt.

– Lepiej by było, gdyby w ogóle tu nie wchodziła – mruknęła Anna, wchodząc za ladę.

– Dlaczego?

– Mogła coś ruszyć. Zabrać.

Antonio położył łokcie na kontuarze i zajrzał Annie w oczy.

– Ty chyba nie podejrzewasz, że jej matka miała coś z tym wszystkim wspólnego?

Anna przejechała dłonią po pustej półce.

– Pewnie nie miała. Ale relacje między nimi również nie były wzorcowe. Nie muszę znać włoskiego, żeby to zrozumieć. Wystarczyła mi ta zmiana, która w niej zaszła.

– Jaka zmiana?

Anna przeszła na drugą stronę pomieszczenia i otworzyła jaskrawą szafkę. Dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, że ściany cukierni pomalowano na pudrowy róż. Isabella Lomi musiała mieć bardzo specyficzny gust. Niby pasujący do nazwy lokalu i do serwowanych tu słodczy, ale mimo wszystko... Anna nie wytrzymałaby w takim miejscu piętnastu minut. A jednak *Dolce Isabella* musiała mieć swoich amatorów.

– Jaka zmiana? – powtórzył Valli, wodząc za nią wzrokiem.

– No wtedy... – Anna zająknęła się, kiedy zauważyła srebrne sztucce w szufladach. Wzięła do ręki jeden z deserowych widelczyków. Serce zabiło jej szybciej.

– Kiedy?

– Kiedy zauważyła, że gapię się na te wszystkie kolory. Na kilka sekund przestała wyglądać jak Mater Dolorosa. Wyszła z niej złośliwa jędra. Nie podobało jej się to, co Isabella zrobiła z tą cukiernią. Najchętniej wszystko by zmieniała i w ogóle przejęła. Jak wyglądała ta cukiernia od strony prawnej?

Valli nie odpowiedział od razu. Przez chwilę uważnie przyglądał się Annie i wreszcie wyciągnął z jej dłoni srebrny widelczyk.

– Od prawnej tak, że należała do ojca Isabelli od czterdziestu lat. Kupił ją za bezcen od jakiegoś faceta, który chciał się wynieść z Wenecji, i rozkręcił biznes. A później spisał testament, w którym...

– Wszystko przekazał córce? Z pominięciem żony? – Anna prawie się roześmiała.

Nieważny kraj, kontynent, miasto, język, kultura, lokalny folklor i tradycyjna kuchnia. W każdym zakątku świata ludzie zachowują się dokładnie tak samo. Jeśli chcą się na kimś zemścić za lata upokorzeń, to schemat działania jest identyczny. Ta Giulietta Lomi musiała być niezłe zaskoczona, kiedy odczytano ostatnią wolę jej męża.

– Właśnie. Nikt nie wiedział dlaczego. Ale żona, jak widać, została na starych śmieciach.

– Została, bo uznała, że skoro już pozbawiono ją interesu, to mogłaby przynajmniej uprzykrzyć nieco życie córce. A córka nie miała serca jej stąd wywalić. Nawet jeśli ojciec cierpiał przez matkę całe życie.

– To wszystko domysły – odrzekł Valli powoli.

– Oczywiście, że tak – Anna spojrzała mu w oczy. – Ale radziłabym ci oddelegować jednego ze swoich dworzaków, by przyjrzał się tej kobiecie. I popytał o nią tu i ówdzie. Czy to ma związek z zabójstwem Isabelli? Nie wiem. Może nie ma. Ale przynajmniej rzuci nam nieco światła na Isabellę i jej życie.

A może akurat w praniu wyjdzie coś ciekawego? Ta Giulietta Lomi nie jest szczerą. Ja... Znam się na takich jak ona.

Antonio obrócił Annę ku sobie. Uciekła wzrokiem.

– Skąd znasz?

Nie, tego mu nie powiedziała. Wtedy, na komendzie, zrelacjonowała tylko suche fakty. Opowiedziała o wydarzeniach z Ystad, Malmö, Helu i Wenecji, ale nie zająknęła się słowem na temat spraw osobistych, swoich relacji z pozostałymi aktorami tamtego dramatu. Nie wspomniała o matce, która jej nienawidziła, choć przecież to druga córka... Anna nie chciała myśleć i rozmawiać o tym teraz. Zwłaszcza że przypomniawszy sobie o swoim odkryciu sprzed kilku minut. Wyciągnęła z dłoni Vallego srebrny widelczyk i pomachała nim triumfalnie.

– Anno, nie zmieniaj... – zaczął.

– Zamknij się już. Są prawdziwe. To autentyczne srebro, bardzo stare. Zabytek. Obstawiam, że z jakiejś rodowej zastawy. Dziwne, że używała ich w cukierni, co?

Antonio zdębiał. Tym razem on odebrał Annie widelczyk, który wędrował z ręki do ręki jak teatralny rekwizyt. Podszedł z nim do okna i obejrzał dokładnie.

– Skąd wiesz? – zapytał wreszcie.

– Znam się trochę na starociach. Głównie na starych meblach, tak profesjonalnie. Ale mam rozległe zainteresowania. Poza tym od miesiąca właściwie prowadzę za Lucrezię ten jej antykwariat, więc...

– No tak! Lucrezia Doldano! – prychnął Valli ze złością, ale Anna postanowiła wypomnieć mu to później.

Wetknęła głowę do szafki i wyciągnęła łyżkę i widelec z zastawy obiadowej. Przyjrzała się im, przejechała palcem po wytłoczonym od spodu, maleńkim znaczku i uśmiechnęła się triumfalnie. Wszystko zaczynało nabierać kształtów.

– Nie wiem, dlaczego Isabella miała w cukierni zastawę obiadową, ale to też jest prawdziwe. Od kompletu. Zobacz sobie.

Przez kilka minut z rozbawieniem obserwowała, jak Valli usiłuje wyciągnąć z tego wszystkiego sensowny wniosek. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że nie znał się na starych srebrnych widelcach, łyżkach i czym tam jeszcze. Anna wreszcie postanowiła się nad nim zlitować.

– Spójrz na to – powiedziała i wskazała niewielki znaczek, wytłoczony na sztuccach od spodu.

– Widzę – oświadczył ponuro Valli. Nadal nic nie rozumiał.

Anna poczuła przypływ irytacji. Zaraz jednak ochłonęła. Co właściwie zdążyła mu powiedzieć o swojej rozmowie ze Stefanią Massimo? Z pewnością przekazała Vallemu informację o zakrwawionych nożyczkach w gabinecie Livii Foscari i o tym, że ci Marconi coś w związku z nimi kręcili. Powiedziała też o wyspie Foscarich. O tym, że zatrzymały się nieopodal niej ze Stefanią. Później jednak zaczęli się wczytywać w raporty, rozmawiać o Guidzie i Fabiu, i jeszcze o dziesiątkach różnych rzeczy, w rezultacie czego... Nie powiedziała Vallemu, że wypożyczyła łódź, bo chciała popłynąć jeszcze raz na tę wyspę. Nie powiedziała, jak nazywała się ta wyspa. Nie powiedziała też o znaczku. Stygmacie Foscarich.

– Halo?! Coś konkretnego mam zobaczyć? – zdenerwował się Antonio.

– No przecież widzisz wszystko, co trzeba.

– Czyli co?

– Właśnie. Czyli co?

– Jak ty mnie wkurzasz... Widzę trapez! Zwykły cholerny trapez. Mały. Wytłoczony na złoto...

– Wyspa Foscarich nazywa się Trapezio d'Oro – przerwała mu.

– Cholera, czyli...

Nie dała mu skończyć. Pociągnęła Antonia za rękaw i wyprowadziła z cukierni.

- Muszę zobaczyć zdjęcia z autopsji Isabelli!
- Teraz?
- Teraz!
- Ale...
- Muszę zobaczyć jej plecy.

Stefania Massimo z trudem przełknęła śniadanie. Denerwowała się. Tak bardzo, że włożyła do teczki nie te dokumenty, które powinna. Dobrze, że w porę to dostrzegła.. Kawa smakowała paskudnie. Makijaż nie chciał się udać. Kreska na górnej powiece wciąż wychodziła krzywa i za gruba. Stefania poprawiała ją trzy razy. Za czwartym przetarła oko wacikiem i rzuciła kredką o ścianę. Ponownie zerknęła na teczkę z dokumentami. Francuzi, kurwa! Powinna wyglądać dobrze. Powinna się skupić. Tylko jak?

Odepchnęła od siebie kosmetyczkę i podeszła do okna. Spojrzała w dół, na wąską *calle* prowadzącą wprost do kanału. Stał tam wczoraj. Mężczyzna w pelerynie i trójganiastym kapeluszu. I jeszcze w masce. Poznała ją od razu.

Moretta.

Moretta, w której człowiek nie może wypowiedzieć ani słowa.

Morettę miał na sobie tamten chłopak, Poliszynel.

Stefania otworzyła okno i zaczerpnęła tchu. Zimne powietrze ukłuło ją w gardło. Co zrobiła ta policjantka? Czy zdążyła zrobić cokolwiek? Nie, na pewno nie. Wszystko trwa. Policjantka potrzebowała czasu, musiała sprawdzać, szukać, pytać. Trwa, trwa, wszystko trwa. Potrzeba czasu. Ale Stefania go nie miała. Dlaczego to wszystko działo się teraz? Dlaczego nie przed trzema laty? Czyżby to przez nią? Cukierniczkę z Castello?

Czyja krew była na tych cholernych nożyczkach?

Kto był na wyspie Foscarich?

Kto stał pod jej oknami, w *moretcie* na twarzy?

Usiadła na krześle i chwyciła tusz do rzęs. Chociaż tyle. Byle ręka nie drżała. Trzeba się opanować. Francuzi, dokumenty, nowa kolekcja. Interesująca i dziwna. Z francuskim motywem. Stefania zadrżała. Skąd Marconiemu przyszło do głowy akurat to? Przesunęła w palcach łańcuszek z wisiorkiem. Dał jej. By mogła nosić jak wizytówkę. Stefania zacisnęła palce na ozdobie i ruszyła do sypialni. Cholerna sukienka. Chciał, by włożyła właśnie tę, swoją najlepszą. Zapłacił za nią. Miała być na szczególnie ważne spotkania. I akurat teraz ta jedna, najlepsza, sponsorowana sukienka musiała wisieć na krześle wygnieciona jak śmieć. Stefania z wściekłością rzuciła łańcuszek z wisiorkiem na biurko. Żelazko... Jeszcze miała chwilę, by wyprasować tę głupią kieckę.

Usłyszała pukanie. Zerknęła na zegarek. Kilka minut po dziewiątej. Nikogo się o tej porze nie spodziewała. Nigdy nikogo się nie spodziewała. Jej życie ograniczało się do pracy, jedzenia i paru godzin niespokojnego snu.

Może to sąsiad?

Stefania przemknęła na palcach do przedpokoju, zastanawiając się po drodze, kiedy ostatnio odwiedził ją jakiś sąsiad. I czy w ogóle. Policzyła do dziesięciu. Ostrożnie przekręciła klucz w zamku i nacisnęła

klamkę. Stała na progu.

I zobaczyła maskę. *Morette*.

Valli złapał Annę za rękę i zmusił, by się zatrzymała. Giulietta Lomi patrzyła na nich z zaskoczeniem i dezaprobatą. Rozmawiała z kimś. Z kobietą, która wspierała się na długim wiośle, jak gdyby to była laska. Giulietta Lomi trzymała w dłoni wymiętą chusteczkę, którą co chwilę przykładła do oka. Antonio podszedł do nich i zaczął coś mówić po włosku. Anna przestąpiła z nogi na nogę. Trapez, trapez, trapez... Wyłoczony na... na czym? Pokrowiec na wiolonczelę pasowałby tutaj doskonale, instrument należał przecież od lat do Livii Foscari, a jeśli ona również przejęła w genach upodobanie do stygmatyzowania każdego przedmiotu rodowym symbolem, to wszystko ułożyłoby się idealnie. Tyle tylko, że w cholernym pokrowcu niczego nie znaleziono. Jedynie włosy. Livii Foscari i karnawałowej kukły. A jednak, mimo to...

Gdzieś w górze huknęła muzyka. Nie wybrzmiała, a właśnie huknęła. Dźwięki wgryzły się w ciszę Campo do Pozzi i wypełniły przestrzeń po brzegi. Anna miała wrażenie, że czas stanął w miejscu i wszyscy spojrzeli w jedno, konkretne okno. Okno z surrealistyczną firanką, którą nadal bawił się wiatr. I sam nucił – wył smutno razem z Edith Piaf, choć jej drżący głęboki głos nie potrzebował wsparcia.

Non, rien de rien/ Non, je ne regrette rien/ Ni le bien qu'on m'a fait/ Ni le mal tout ça m'est bien égal.

Anna zamarła. Znała tę piosenkę. Jej ojciec uwielbiał Edith Piaf.

Nie... nic, a nic/ Nie! Nie żal mi za-dnej z chwil.../ Do-bra co, da-no mi.../ Ani zła... Nie dbam dziś o złe sny...

„Nie dbam dziś o złe sny”. Muzyka ma dziwną moc zatrzymania chwili lub jej odtwarzania. Przywoływania stanów fizyczno-emocjonalnych i myśli, które pędzą tak szybko, że człowiek nie jest w stanie poskładać ich w sensowną całość. To właśnie magia konkretnej minuty, która zostaje w pamięci na zawsze, spleciona z piosenką. Anna zadarła głowę do góry. Edith Piaf wciąż śpiewała głośno, ale w tle dało się słyszeć szumy i melodia rwała się, drżała, zacinała.

– Winył! – zawołała Anna po polsku.

Zanim Valli zdążył zareagować, podeszła do dębowych drzwi i zadzwoniła domofonem. Długo, przeciągle. A potem jeszcze drugi raz i trzeci, aż wreszcie ktoś uciszył Edith Piaf i zamek szczęknął. Właściciel gramofonu nie rzucił w słuchawkę nawet zdawkowego „Si?”, ale Anna i tak postanowiła złożyć mu wizytę. Nie zdążyła zapytać Antonia, czy ktoś już tutaj wcześniej był, ale domyślała się, że tak. Pchnęła drzwi i zerknęła na komisarza. Rzucił jeszcze jakąś uwagę w stronę Giulietty Lomi i kobiety z wiosłem, po czym ruszył w jej stronę.

Weszli do środka i niemal od razu wpadli na... Zygmunta Freuda!

Anna cofnęła się o krok. Mężczyzna naprawdę wyglądał jak Zygmunt Freud. Miał siwe wąsy i siwą brodę – wszystko starannie przystrzyżone, i równie siwe, przeredzone włosy. Ubrany był w elegancki garnitur z kamizelką, a w palcach trzymał dymiące cygaro. Stał z tym cygarem w charakterystycznej pozie, którą Freud właśnie często przybierał do zdjęć. W korytarzu zrobiło się szaro od dymu, a ściany zdawały się przesiąknięte nim na wskroś. Anna zakasłała. Valli również, z tym że on kasłał dłużej. Wciąż jeszcze

nie wyzdrowiał do końca i w tym ciasnym – niewietrzonym pewnie od miesiący – pomieszczeniu jego drogi oddechowe wszczęły bunt. Anna przypomniała sobie żółtą firankę i otwarte na oścież okno. Spojrzała w górę. Ktoś w tym domu jednak tęsknił za świeżym powietrzem.

Valli zdążył już rzucić swoje kurtuazyjne „*buongiorno*”, choć przerywane ostrym „*khy khy*”, i chciał zapewne wytłumaczyć cel ich wizyty, kiedy na schodach dało się słyszeć głośnie tupanie. Zygmunt Freud na nic nie reagował. Stał w korytarzu, ćmił swoje cygaro, i łąpał na nich z umiarkowanym zainteresowaniem. Tupanie stało się głośniejsze. Po chwili na schodach pojawił się młody, rozczochrany chłopak w pluszowych kapciach, spodniach rurkach, bawełnianej koszulce i skórzanych szelkach rodem z dziewiętnastego wieku. W dłoni dzierżył pędzel i był cały umazany czymś czerwonym. Anna miała szczerą nadzieję, że to farba. Rozejrzała się niespokojnie. Może to był jakiś ichni, kameralny psychiatryk? Dla Freudów i Monetów? Chrząknęła. Zignorowała wlepione w nią spojrzenie Freuda. Zaczęli mówić z Vallim niemal równocześnie, ona po angielsku, on po włosku. Umilkli również jednocześnie. Monet zaczął się śmiać. Freud zachował twarz pokerzysty.

Malarz w szelkach rzucił pędzel na podłogę. Farba rozmazała się po płytkach. Mężczyzna wytarł ręce w swoje designerskie rurki i odezwał się z pretensją do Freuda.

– *Grand-papa! J'ai dit...!*

Anna prawie podskoczyła. Francuzi! Narzędzie zbrodni! Cholerne narzędzie zbrodni, którym zaciukano Guida Russa! Musiała powiedzieć o tym Vallemu. Teraz! Złapała go za łokieć i zaraz zwolniła uchwyt. Nie, teraz nie mogli przecież stąd wyjść, skoro już się tu bez sensu wpakowali. A zatem, zatem... Szlag! Anna wygrzebała z torby komórkę i kliknęła w notatnik. Wpisała hasło i ustawiła alarm, który miał się odezwać za pół godziny. I przypomnieć jej, że musi poinformować Antonia o swoich domysłach związanych z narzędziem zbrodni. Była to najbardziej żałosna rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiła. Syndrom sklerozy i skrajnego zgłupienia. Kiedy skończyła wklepywać notatkę i schowała telefon, napotkała uważne spojrzenie trzech par oczu. Zygmunt Freud uśmiechnął się lekko, trochę jak Mona Lisa, Monet zmierzwił dłonią włosy, zostawiając na nich czerwoną farbę, a Valli syknął:

– Wprosiłaś się tu, żeby pisać SMS-y? Na zewnątrz zasięgu nie miałaś?

Do Freuda i Moneta zaczął zaś produkować się po włosku, gestykulując i kiwając na ścianę po swojej lewej stronie, co miało chyba wskazywać na cukiernię Isabelli.

Francuzi!

Anna wzięła głęboki wdech. Musiała się jakoś opanować. Monet zaprosił ich gestem na górę. Kiedy szli po schodach, Valli szepnął jej do ucha:

– Ten dziadek z fajką ma Alzheimera. A ten szelkowy to jego wnuk. Opiekuje się nim. Są z Francji.

– No co ty?

Valli chciał się zrewanżować ciętą ripostą, ale akurat pokonali ostatni stopień i znaleźli się w pokoju z żółtą firanką. A właściwie w studiu. Wszędzie wokół walały się palety z farbami, skrawki kartonu i niedokończone obrazy przedstawiające widoczki z Wenecji. Pod ścianą stały sztalugi, na których Monet ustawił niedokończone malowidło. Prawdopodobnie właśnie nad nim pracował, kiedy... Annie zrobiło się gorąco. Monet schylił się, by podnieść z podłogi i rzucić w kąt jakieś skłębione szmaty, a wtedy jego nowe dzieło ukazało się w pełnej krasie.

„Zbyt wiele żółci”, pomyślała. „Powinien użyć złota”.

Poza tym Isabella przecież leżała, nie stała. Nie mogła stać.

Anna bez słowa przemknęła w kierunku okna i oparła się o parapet. Tak samo jak w Palazzo Marconi robiła to Livia Foscari. Cieszyła się, że mogła zaczerpnąć świeżego powietrza. Ta sprawa była dziwna. Od samego początku nie sprawiała wrażenia prostej, ale teraz wydawało się, że zataczała coraz szersze kręgi. I tutaj... Tutaj należało się dobrze rozejrzeć. Anna odwróciła się powoli od okna. Valli patrzył na

nią z niepokojem, ale Monet skupiony był w pełni na wyskubywaniu farby zza paznokcia. Wreszcie poderwał głowę, zreflektował się i zerknął na swoje dzieło.

– Nieźle, co? Mam zamiar zrobić tym obrazem furorę. Dość bazgrania tych cholernych mostków i kanałów. Turyści nawet nie odróżniają prawdziwego obrazu od miernoty. Ważne, żeby był kanał. I mostek. I gondola. Banda laików. Fotki też robią sobie na Piazza San Marco przy bazylice, a jak im się pokaże zdjęcie z Castello albo San Polo, to nawet nie wiedzą, że to Wenecja. Ale przecież byli, widzieli, mają widoczek z bazyliką, z mostem i gondolą, bo w Wenecji liczą się mosty i gondole. Wie pan? A pani wie? Ile ja namalowałem takich mostów i gondoli? Szkoda gadać. No ale dość tego. Zamierzam dokończyć obraz i wrócić do Paryża. I tam go wystawić. Mam już tytuł. *Ofiara Marconich*.

Monet odwrócił się do Anny plecami i zaczął objaśniać Vallemu detale na płótnie. Dała komisarzowi znak, by podtrzymał rozmowę. Sama zaczęła po cichutku rozglądać się po pracowni. Wolała nie patrzeć na ten obraz, choć wciąż widziała go przed oczyma. Żółte tło, płonący stos, a w płomieniach kobieta z twarzą wykrzywioną bólem i strachem, jak na płótnie Muncha. Anna musiała przyznać, że obraz – jeśli chodziło o walory artystyczne – zapowiadał się nieźle. Przykucnęła przy ustawionych pod ścianą widoczkach weneckich. Zaczęła przeglądać płótna. Rzeczywiście, same mostki i gondole. Gondole, gondole... Anna uważniej przyjrzała się obrazom. Teraz nie patrzyła już tylko na to, co znajdowało się na pierwszym planie. Interesowało ją tło.

– Jak się pan nazywa? – usłyszała głos Antonia.

– Już mówiłem koledze. Yves Ronsard. Był tu taki jeden w mundurze. Po śmierci Belli... – Głos Moneta, tudzież Yvesa, załamał się. – Pytał o to, czy ją znałem i takie tam. Wszystko powinno być w raporcie.

Anna prawie postukała się w czoło. Oczywiście, że powinno być w raporcie, ale jeśli nawet było, to jakoś ani ona, ani Antonio, jeszcze nie mieli okazji go przeczytać. Funkcjonariusze przesłuchali już przecież wiele osób i należałoby uważnie przejrzeć wszystkie te papiery. Nawet jeżeli wolała rozmawiać z ludźmi osobiście, a nie czytać suche relacje. Relacje nie pokazywały emocji. A często to właśnie one były najważniejsze.

– Tak... Raporty... Oczywiście, ale widzi pan, w raporcie nie było nic o tym obrazie. Nie wiem, czy funkcjonariusz zapomniał o tym napisać, czy może go nie widział.

Punkt dla ciebie za to kłamstwo, *commissario*, pomyślała. Chociaż jeśli któryś z policjantów widział obraz, to na pewno napisał o nim w raporcie. Anna przesunęła się pod przeciwległą ścianę. Gondole, mostki, gondole, mostki...

– Nie widział – odparł za jej plecami Monet. To jest, Yves. – Po pierwsze wtedy dopiero zacząłem go malować, a po drugie nie rozmawialiśmy tutaj, tylko na dole. *Grand-papa* nie czuł się dobrze. Mój dziadek, ten w stroju Freuda. Pan widział jakieś zdjęcia Freuda? Niech pan zobaczy. Mój dziadek ma Alzheimera. Jest coraz gorzej, ale wychowywał mnie, więc dopóki mogę się nim zająć, nie zamierzam oddawać go do żadnego zakładu. Na co dzień wydaje się raczej niegroźny. I bardzo lubi przebieranki. Dzisiaj jest Freudem, wczoraj był Gustawem Klimtem, kiedyś nawet zrobił się na Karla Lagerfelda...

– Skoro ma Alzheimera – podjął Valli – jak to możliwe, że potrafi tak dokładnie skomponować strój? Przecież to wymaga planowania, kojarzenia i przede wszystkim pomysłu. A pan Ronsard...

Komisarz zawiesił głos. Młody malarz zaśmiał się cicho.

– Wiem, sam się temu dziwiłem. Ale może to jakaś pozostałość dawnego życia? Dziadek zawsze bardzo skrupulatnie planował swoje stroje, lubił dobre garnitury, eleganckie koszule, interesował się modą. Oczywiście przebierać zaczął się dopiero później, kiedy coś już działo się z jego psychiką. Lekarz, jeszcze w Paryżu, wytłumaczył mi, że choroby związane z zaburzeniami pamięci mogą mieć bardzo różny przebieg, że czasem chory nie pamięta, co działo się wczoraj, ale za to potrafi na przykład dość dobrze

odtworzyć wydarzenia ze swojej młodości. Obawy psychosomatyczne nie raz zaskakują nawet specjalistów w tej dziedzinie i nie zawsze chorobę da się dokładnie zdiagnozować. Ale ostatecznie stwierdził, że to Alzheimer i przepisał leki.

– Skąd pański dziadek czerpie pomysły?

– Zawsze miał rozległe zainteresowania, a teraz potrafi z niezwykłą cierpliwością ślezcć nad gazetami. I buszuje po internecie. Wie pan, cieszę się, że ma zajęcie. To przecież taka gimnastyka dla mózgu. Założyłem oczywiście specjalne blokady, żeby nie mógł logować się na żadnych podejrzanych stronach, ale nie będę mu zabraniał przeglądania witryn o tematyce historycznej czy nawet portali plotkarskich. Poza tym umówmy się – jego kostiumy nie zawsze są aż takie dokładne. Co do Karla Lagerfelda, to wielu mogłoby mieć wątpliwości. Ale Wenecja sprzyja przebierankom.

Anna wyobraziła sobie Zygmunta Freuda z włosami Lagerfelda i zachichotała cicho. Przejrzała kolejny zbiór weneckich widoczków. Został jej tylko jeden. Choć każdy obraz starała się oglądać dokładnie, nie dostrzegła niczego ciekawego. Przesunęła się odrobinę i odwróciła kolejne płótno. Coś spadło na podłogę. Prawdopodobnie wcześniej tkwiło wciśnięte między obrazy. Spojrzała w dół. Najpierw zobaczyła czerwone smugi na weneckim kanale. To nie był właściwie obraz, ale szkic, wykonany prawdopodobnie tuszem. A te czerwone smugi... Anna wbiła wzrok w podłogę i zobaczyła przedmiot, który ktoś wetknął między płótna.

– ...No więc tamtego dnia, kiedy był tu policjant, dziadek się nie przebrał – ciągnął Monet-Yves. – Chodził tylko w swojej koszuli nocnej, bo widzi pan, *grand-papa* zawsze śpi w koszuli, takiej do kostek, i mówił coś o czerwonym gondolierze...

Anna wyjęła z kieszeni lateksowe rękawiczki i wsunęła je na dłonie. Podniosła przedmiot z podłogi.

– ...No wie pan, o tym, który pływa po kanałach w kapturze i nikt nie kojarzy, co za jeden...

Zważyła przedmiot w dłoni i obejrzała go dokładnie.

– ...Ja sam nie wiem, co to za koleś, kilka razy mi przemknął przed oczami, kiedy malowałem w San Polo czy gdzieś indziej, myślałem, żeby go maznąć, ale później stwierdziłem, że bez sensu, po co to komu. No i dziadek, wtedy kiedy tu był policjant po śmierci Belli, mamrotał o tym gondolierze, że, pan teraz uważa, że był tutaj u nas! W nocy! Pan sobie wyobraża? No, z dziadkiem gorzej, to pewne. Już o jakieś urojenia zahacza czy coś...

– A nie pomyślał pan, że dziadek wyjątkowo wtedy nie zmyślał? – odezwała się Anna, nie odwracając się przodem do mężczyzny.

– Jak to: nie zmyślał? Oszalała pani? A skąd tu jakiś gondolier? W naszym domu? Czy wszyscy powariowali? Zajmujecie się jakimiś pierdołami, zamiast zamknąć tego Marconiego! To on zabił moją Bellę! Ostrzegałem ją! Mówiłem, że z tego nic dobrego nie wyjdzie, ale ona mnie nie słuchała. „Nie, nie, Yves, ty go nie znasz, on mnie kocha, rozejdzie się z żoną, zobacz, dzisiaj przysłał mi prezent, srebrne sztucce, należały do rodziny jego żony, czy nie uważasz, że to niezły dowcip, na pewno ta Livia się wścieknie, zrozumie wreszcie, że nie ma sensu dłużej się opierać i da mu rozwód, zobaczysz, Yves, zobaczysz, bla bla bla”. I ona ciągle tak, nic nie rozumiała.

Anna wyłowiła z neurotycznego monologu Yvesa kilka – być może ważnych – informacji, ale nie skomentowała żadnej z nich. Jeszcze raz spojrzała na przedmiot trzymany w dłoni. Wiedziała, że za chwilę zrobi się tutaj potworne zamieszanie, a być może nawet komuś stanie się krzywda. Komuś niewinnemu. Co do tego nie miała wątpliwości.

– Panie Ronsard... – zaczęła powoli, wciąż się nie odwracając.

– *Oui*?

– Za kogo jeszcze przebierał się pański *grand-papa*?

Yves Ronsard pomruczał coś po francusku. Po chwili ponownie przeszedł na angielski.

– Hm... Za różnych ludzi. Za kapitana Hooka, na przykład. Za Henryka VIII, a nawet królową Elżbietę, ale to tylko w zakresie fryzury i makijażu. Za japońską gejszę, za...

– Francuskiego Apasza? – wtrąciła się Anna i spojrzała przez ramię.

Yves Ronsard pobladł i wzdrygnął się, jak gdyby jego oczom ukazał się wyjątkowo obrzydliwy widok.

– Tak... Tak, ale... Skąd pani wie? Przecież mało ludzi...

– Wie o francuskich Apaszach? Ja akurat interesuję się historią.

Anna widziała, jak bardzo był zdezorientowany i wystraszony. Wiedział, co znalazła? Czy gdyby on sam to ukrył, tak po prostu pozwoliby jej tutaj szperać? Nie...

– Dziadek... Dziadek zawsze mi opowiadał, że kumpel jego ojca był Apaszem. Zginął w jakiejś bójce. I mój pradziadek ponoć przez całe życie na znak żałoby nosił na szyi taką chustkę, wie pani...

– Apaszkę.

– Właśnie. Ale...

– A czy dziadek miał jakieś pamiątki po tamtym kumplu ojca?

Anna jeszcze raz zważyła w dłoni przedmiot. Nie musiała długo go oglądać, by wiedzieć, że to zabytek, wykonany co najmniej sto lat temu, a może nawet jeszcze wcześniej. Widziała podobne, kiedy wybrała się z Vidarem do muzeum w Paryżu. Vidar był zachwycony. Uwielbiał piękne przedmioty.

Yves Ronsard zacisnął zęby. Anna spojrzała mu w oczy. Nie... Niczego nie rozumiał. Stresowała go tylko gra, którą podjęła.

– Tak. Miał pamiątkę – odparł ostrożnie. – Ale skąd pani wie? I co to ma wspólnego...

Anna odwróciła się wreszcie i wyciągnęła przed siebie dłoń w rękawiczce, ukazując oblepiony zaschniętą krwią przedmiot. Valli, który do tej pory przysłuchiwał się wszystkiemu w milczeniu, teraz zakasłał nerwowo.

– Co to ma niby być, do jasnej cholery? – wyrwało mu się.

Yves Ronsard wypuścił głośno powietrze, zbladł, a na koniec zwiesił głowę.

– Boże, Boże...! To krew? Ale przecież... Chyba nie myślicie, że ja...? Albo że dziadek...?! Zostawcie dziadka! Co będzie z dziadkiem?! Ja... Ja pójdę z wami! Tylko co z nim? To nie dziadek, to...

– Nie dziadek? – zapytała Anna. – Ale przecież też nie pan, prawda? Gdyby coś pan tutaj ukrył, nie rozmawiałby pan sobie w najlepsze z *commissario* Vallim, kiedy ja grzebałam w pana rzeczach i przeglądałam obrazy. Ani razu pan na mnie nie spojrzał. Ponieważ nie miał pan tu niczego do ukrycia. A przynajmniej tak się panu zdawało. No... Chyba że pana talent aktorski dorównuje malarskiemu. W co wątpię.

Ronsard jeszcze niżej spuścił głowę.

– A zatem kto...?

– Tego właśnie nie wiem. Ale pojedźmy na komendę. Pan i *grand-papa*. Dobrze? Może uda się uzyskać od niego jakieś informacje. Sprowadzimy psychologa i...

Anna spojrzała na Antonia. Szybko kiwnął głową, a ona odetchnęła z ulgą. Nie miała pojęcia, czy tutaj da się tak szybko sprowadzić psychologa i jak w ogóle wyglądają weneckie procedury. Miała tylko nadzieję, że nie narobiła Vallemu kłopotów. On jednak bardziej interesował się zakrwawionym przedmiotem. Włożył rękawiczki i wyjął foliowy woreczek. Odebrał przedmiot z rąk Anny i obrócił go w dłoniach. Następnie umieścił go w woreczku i wezwał Stefana, który przybył w towarzystwie jeszcze jednego mundurowego. Panów Ronsardów wyprowadzono z domu, a Anna i Antonio ponownie znaleźli się na Campo do Pozzi. W milczeniu ruszyli w stronę Calle del Forno. Chcieli jak najszybciej dotrzeć na komendę.

– Ale co to właściwie jest? – odezwał się po dłuższej pauzie Valli.

– Narzędzie zbrodni – wyjaśniła. – Analiza z pewnością wykaze, że jest na nim krew Guida Russa.

I masz powiązanie. Między śmiercią Isabelli a śmiercią Russa. No... Jakieś. Zawsze coś.

– Dobra. Okej. Ale... Co... To... Jest? Co?

– No nie bełkocz tak, było mówić, że tobie o nomenklaturę chodzi...

– Błagam, nie zaczynaj!

– Rewolwer Apaszów.

Valli zatrzymał się gwałtownie w wąskiej uliczce.

– Jakich Apaszów? Tych Indian?

Anna zaczęła się histerycznie śmiać.

– Nie... Nie Indian. Pod koniec dziewiętnastego wieku we Francji była taka... No nie wiem, jak to dokładnie nazwać... Może tak: zorganizowana grupa przestępcza, mniej więcej. Banda oprychów, która grasowała po Paryżu. Kradli, bili, mordowali i tak dalej. I często używali specjalnego rewolweru. Coś jak trzy w jednym. Kastet, mały nóż i broń palna.

– Kastet...

– Dokładnie! No i masz. Guida ktoś rąbnął kastetem i ciachnął wąskim nożykiem w szyję. Jak widać, oprawca nie musiał zmieniać narzędzi. Później przybiegł tutaj i podrzucił ustrojstwo do pracowni Ronsarda. Założę się, że miał na głowie ten kaptur gondoliera. Stąd dziwne zachowanie starego Ronsarda. Ale kto by słuchał dziadka, który przebiera się za Freuda albo japońską gejszę? A tak? Jest główny podejrzany, nawet dwóch. Dziadek z Alzheimerem i szalony malarz, który kochał się w Isabelli.

– Tak, młody Ronsard może i miał motyw, by zabić Isabellę. Z zazdrości, choćby. Ale Guida? Co oni mieli ze sobą wspólnego?

– Tego się trzeba właśnie dowiedzieć.

Wsunęła rękę pod ramię Antonia i ruszyła pewnym krokiem w stronę Fundamenta San Lorenzo.

Dopiero w policyjnej łodzi zorientował się, że wciąż ma na stopach pluszowe kapcie. Jego wzrok przesunął się wyżej, na poplamione farbą rurki. Dalej koszulka, szelki. I sweter narzucony na ramiona. Obszerny, à la babciny. Modny. Tylko tyle zdążył na siebie założyć, zanim w asyście policjantów wyszedł na Campo do Pozzi. Te cholerne kapcie jakoś przeoczył. Dziadek wydzierał się za jego plecami i rzucał na funkcjonariuszy. Sąsiedzi przylepiali nosy do szyb. Przyglądało im się całe *campo*. Co za wstyd.

Chociaż?

Yves Ronsard pomyślał, że to skandal bardzo artystyczny. Teraz mógł się wreszcie poczuć, jak pełnoprawny członek bohemy. Jak bohater modernistycznej powieści o paryskiej cyganerii. On, malarz, miał kochankę z „cechu”, która z kolei utrzymywała intymną relację z bogatym burżujem, a żona bogatego burżuja – ze swoją kamienicą i rodowymi srebrami – reprezentowała z kolei arystokrację. Kochanka z „cechu” umiera śmiercią tragiczną. Kochanek z bohemy jest głównym podejrzanym. A na deser – pomyłony dziadek.

Tak, Yves nie mógł wymarzyć sobie lepszego scenariusza. Powinien wycisnąć z tej sytuacji coś dla siebie. Bo przecież każdy słynny malarz miał w swoim życiu jakiś skandaliczny epizod. Egon Schiele siedział w więzieniu za szerzenie pornografii, van Gogh cierpiał na zaburzenia psychiczne, a Toulouse-Lautrec na syfilis. Z Yvesem Ronsardem nie było jeszcze tak źle.

Dziadek...

To przez niego te pluszowe kapcie i sweter zamiast ciepłej kurtki. Yves zadygotał z zimna. Jego ubrał, a siebie? Narzucił mu na ramiona ciepłą kurtkę, szyję owinął grubym szalikiem, na głowę wetknął czapkę. Zadbał o dziadka. Na zadbanie o siebie nie starczyło czasu. Od dawna już właśnie tak to wszystko wyglądało. Liczyli się dziadek i Bella. Dziadek od zawsze. Bella od niedawna. W sprawę z nią Yves niepotrzebnie aż tak się zaangażował. Przecież to miała być tylko transakcja. Interes życia. Czy policja połapie się we wszystkim? Czy powinien powiedzieć im prawdę? Zerknął na dziadka, który wciąż szarpał się z funkcjonariuszami. Usłyszał rzucone nerwowo: „wezwijcie pogotowie”. Oczywiście. Słusznie. Powinni zabrać dziadka na odpowiedni oddział, podać leki uspokajające. Cała ta sytuacja mogła na niego źle wpłynąć. Nie powinno się drażnić ludzi z podobnymi schorzeniami. Oni przecież i tak nie myślą logicznie. Reagują na poczucie zagrożenia. Są impulsywni. Albo apatyczni. Yves sporo czytał o Alzheimerze. Wiedział, że nie wszystkie zachowania dziadka wpisywały się w podręcznikowy obraz kliniczny, ale przecież choroba mogła przebiegać różnie. Tylko skąd mu się wzięły przebieranki? Czyżby zainspirował się tamtą kobietą przed kliniką, która była tak doskonale wystylizowana na Edith Piaf? I czy przy swoim schorzeniu mógłby się zdobyć na równie racjonalne działania? Dlaczego niekiedy dziadek przyglądał się Yvesowi tak, jak gdyby... wszystko rozumiał? Jak gdyby był całkiem zdrowy i potrafił wyciągać logiczne wnioski?

Łódź policyjna zbliżała się już do przystani przy komendzie na San Lorenzo. Yves ponownie zadygotał i objął się ramionami. Jeden z policjantów przyjrzał mu się z uwagą. Uśmiechnął na widok pluszowych kapci. No tak. Jaki dziadek, taki wnuk. Dom wariatów. Yves poczuł mdłości. Czy stary Ronsard mógł udawać? Jak to było we Francji? Wyniki badań... Oglądał je przecież. Rozmawiał z neurologiem. Wybitnym specjalistą. Podobno. Chodził do niego z dziadkiem od lat. Stary Ronsard sam wybrał sobie lekarza, kiedy jeszcze czuł się całkiem dobrze.

Stary Ronsard sam wybrał lekarza.

Yves wyprostował się gwałtownie. Dlaczego pomyślał o tym dopiero teraz? Dlaczego dopiero teraz nabrał podejrzeń? Czy dziadek udawał chorobę? Czy wszystkiego się domyślił?

I wiedział, że to Luigi Marconi sprowadził Yvesa do Wenecji?

Rozdział 18

Ślad na plecach rozpoznała od razu. Antonio również nie miał wątpliwości. Widział przecież symbol wytłoczony na sztućcach. Znaczek nie odbił się na skórze wyraźnie i nie w całości, ale jeśli wiadomo było, czego szukać, dało się dostrzec przerywaną wiśniową linię, która obrysowywała kontury trapezu. Anna chwyciła jedno ze zdjęć i podniosła je do oczu. Trapez odbił się na skórze dziewczyny pod lewą łopatką, z pewnością już po śmierci. A zatem symbol musiał być wytłoczony we wnętrzu... tego czegoś, w co ją spakowano. I to coś musiało należeć do rodziny Foscari. Musiało więc także, przynajmniej pośrednio, dotyczyć żony Marconiego. Lub komuś zależało na tym, by śledczy właśnie tak myśleli... Livia nie była przecież na tyle głupia, by ryzykować w podobny sposób. Chyba że była.

Anna odłożyła zdjęcie na biurko i w skupieniu przyjrzała się pozostałym. Teraz ślad trapezu na plecach widziała jeszcze wyraźniej. Skupiła się na tych fotografiach, które ukazywały z bliska twarz ofiary. Na policzkach i powiekach również rysowały się delikatne wiśniowe linie, które wyglądały jak zagniecenia wytworzone w kontakcie z pościelą. Ale w tym wypadku z pewnością powstały w zupełnie inny sposób. Anna zerknęła na Antonia.

– Miała na głowie worek?

Valli skinął głową.

– Płócienny, nie foliowy. Kilka włókien zahaczyło o spinki.

Po co ktoś zarzucił martwej dziewczynie worek na głowę? Skoro i tak zamierzał umieścić ją w walizce? Może nie miało to kompletnie żadnego znaczenia? Anna powiodła wzrokiem po wszystkich zdjęciach rozłożonych na biurku. Uderzenie w potylicę, zadziergnięcie, skórzany pasek, otarcia na nadgarstkach i kostkach, zagięcia i zadrapania powstałe w wyniku umieszczenia dziewczyny w walizce, trapez pod lewą łopatką, ślady po płóciennym worku... Co jeszcze?

– Oczywiście odcisków palców zero? – mruknęła, pochylając się ponownie nad zdjęciem przedstawiającym twarz dziewczyny.

– Zero.

Anna pokiwała głową. Przez chwilę przyglądała się misternie upiętym włosom Isabelli. Czy ona sama zrobiła sobie taką fryzurę? Czy była w ten sposób uczesana w chwili śmierci? A może stąd worek? By zabezpieczyć włosy?

– Znaleziono natomiast ślad nasienia – odezwał się Valli, a Anna odwróciła się gwałtownie w jego stronę. – Lekarz przed chwilą uzupełniał raport. Tylko nie wiadomo jeszcze, czyje to nasienie. Trzeba by pobrać próbki DNA od...

– Od Marconiego, na przykład. I jeszcze od młodego Ronsarda. W ogóle to ja bym zerknęła do pałacu Marconich. Może znajdzie się tam ktoś dodatkowy, nigdy nic nie wiadomo.

– Raporty z przesłuchań... – zaczął nieśmiało Valli.

– W dupie je mam – skwitowała. – Chcę tam iść. Marconi pewnie zgodzi się na badanie, przecież przyznał się, że sypiał z ofiarą, więc nie powinien się opierać, ale jeśli wyjdzie, że nasienie należy do niego, wtedy zupełnie nic nam to nie da. A jednak trzeba to zrobić, właśnie na wypadek gdyby...

– ...Nie należało do niego – dokończył Valli i uśmiechnął się półgębkiem. – *Vice-questore* będzie uradowany, bardzo lubi wydawać kasę na badania DNA.

Antonio zachichotał złośliwie, a Anna przypomniała sobie dwóch rozchełstanych typów. Zastanawiała się, który z nich to *vice-questore*. Dla niej wyglądali prawie identycznie. Obróciła się plecami do Vallego i zaczęła zbierać zdjęcia. Po chwili rozłożyła na biurku kolejny zestaw fotografii i wpatrzyła się w bladą twarz Guida Russa. Nie miała ochoty tego oglądać i robiła to tylko z poczucia obowiązku. Przyjrzała się ranom na skroni i szyi, po czym przypomniała sobie zakrwawiony rewolwer Apaszów. Nagle jej odkrycie wydało się zupełnie bez sensu. Przecież to, że narzędzie zbrodni leżało sobie między obrazami Ronsarda, a Ronsard z kolei był zakochany w Isabelli i teraz malował jej portret à la *Krzyk Muncha*, łączyło ze sobą te dwie sprawy, zamiast je właśnie rozdzielić. Po co morderca miałby podrzucić rewolwer do pracowni Ronsarda? Ewentualnie – po cholere sam Ronsard chowałby przedmiot w tak bezsensowne miejsce? Przecież chyba spodziewał się, że policja przyjdzie z nim porozmawiać na temat Isabelli. Mieszkali ze sobą przez ścianę, znali się, a wszyscy sąsiedzi zgodnie powtarzali wiadomość o nieodwzajemnionej miłości malarza do cukierniczki. Okazało się, że na Campo do Pozzi ich historia urosła do rangi miejskiej minilegandy. Poza tym, jak zdążył im zrelacjonować Stefano, Ronsard pomagał Isabelli w sklepie. Trochę sprzedawał, trochę sprzątał, trochę biegał po okolicy, roznosząc jej ciasta do pobliskich kawiarni, odbierał korespondencję z poczty... Słowo „trochę”, które pojawiała się w sprawozdaniu Stefana, wydało się Annie określeniem mocno na wyrost. Można by rzec, że młody Ronsard był „trochę” Isabelli niewolnikiem. Ale pewnie godził się na to wszystko. Miłość jest ślepa.

Rewolwer Apaszów, którym zamordowano Guida Russa, znaleziony w pracowni Ronsarda, zakochanego w Isabelli Lomi, to już była jednak gruba przesada. A gdyby sam malarz go znalazł? Jeśli to nie on położył tam narzędzie zbrodni? Co wtedy zyskałby ów tajemniczy „ktoś”, kogo zapewne widział dziadek-Freud? I gdzie znajdowało się brakujące ogniwo łączące Ronsardów z Guidem Russem? Kupy się to wszystko nie trzymało!

Anna oderwała wzrok od zdjęć i spojrzała na Antonia. On z kolei przyglądał się jej. Z pobłażliwym uśmiechem.

– Pomedytowałaś już sobie? – spytał niemal rozbawiony.

– Odczep się.

– Nie chcę.

Podszedł do Anny i otoczył ją ramieniem.

– Nieźle wykombinowałaś z tym rewolwerem. Skąd ci to przyszło do głowy?

– Przypadkiem. Widziałam kiedyś coś takiego w muzeum w Paryżu. Zawsze lubiłam starocie, a mój mąż lubił je jeszcze bardziej niż ja, więc... No, tak się złożyło, że obejrzelśmy sobie takie rewolwery. Jak wejdiesz do sieci, to znajdziesz w Google’u mnóstwo zdjęć. To nie jest żadna sekretna broń. Tylko trzeba wiedzieć, czego szukać.

– Tak... Musieliście do siebie pasować – powiedział w zamyśleniu Antonio.

– Co?

– Ty i twój mąż.

Anna przygryzła wargę. Zaczęła w milczeniu zbierać z biurka zdjęcia Guida Russa, tak jak wcześniej robiła to z fotografiami Isabelli. Wstrząsnął nią dreszcz. Twarz Vallego stężała. Cofnął ramię i odsunął się od niej. Anna włożyła zdjęcia do koperty. Poczowała znane dławienie w gardle.

– Pasowaliśmy do siebie. Byliśmy dobrym małżeństwem, rozsądnym, spokojnym i mądrym. Kochaliśmy się dobrze, rozsądnie, spokojnie i mądrze. On w końcu mnie zdradził, z tą włoską śpiewaczką, o której już słyszałeś.

Pulsowanie w gardle narastało. Anna z trudem przełknęła ślinę.

– Później ją zostawił, dla mnie. Miał wypadek. Obwinił mnie za to. Opiekowałam się nim, ale wreszcie ja też zaczęłam go zdradzać. Z moim kolegą z pracy, który kochał się we mnie od dawna. Ja

w nim też. Ale teraz to już skończone.

– Anno, nie musisz...

– W każdym razie mojego męża nie ma, a były kochanek został w Ystad. Jestem zupełnie sama. Czy pasowaliśmy do siebie z Vidarem? Tak, pasowaliśmy. Bardzo. Aż za bardzo. Jak widać, nie wyszło nam to tak do końca na dobre. Ale nie chcę być na niego zła. Bo wtedy moja przeszłość stanie się nieważna. Rozumiesz?

Obróciła się przodem do Antonia. Spojrzał na nią bez słowa, po czym przyciągnął do siebie i objął mocno, jak wtedy, na łodzi. Poczwała jego wargi na swoich. Odsunęli się od siebie dopiero wtedy, kiedy usłyszeli pukanie do drzwi. Anna poprawiła włosy, usiłując złapać oddech, a Antonio przysiadł na biurku. Do gabinetu wszedł Stefano. Wyglądał na bardzo zmieszanego.

– Problem się zrobił...

– Tak? – zachęcił go komisarz.

– No bo ten gość, ten wasz Zygmunt Freud, urządził show w Łódce. Zaczął krzyczeć, że wszyscy mamy... No... Hm... Kompleksy Edypa czy jakoś tak, że on nam wszystkim jeszcze, cytuję, „dopierdoli”, szarpał się i potem chciał skakać do kanału.

– Żartujesz sobie?

– Chciałbym. Ten cały malarz mówi, że on tak czasem ma, że ludzie z Alzheimerem bywają agresywni, bla bla, że się zdarza, że się uspokoi, no ale on się nie uspokajał. Drapał jak wściekły, o, tutaj, szefie. Widać szramę pod okiem? Właśnie. No to żeśmy go do szpitala odwieźli, na neurologię, tam zaraz go obskoczyli, przyszedł psychiatra i powiedział: „No to, *signor* Ronsard, pojedziemy sobie na tomograf”. Na co ten jak się nie wścieknie! Wrzask był na cały Ospedale Civile! W pasy go musieli wziąć. Nie wiem, jak ten tomograf mu zrobią, ale psychiatra z Ospedale... On mówi, że jemu to nie wygląda na Alzheimera.

W gabinecie zapadła cisza. Valli odkleił się od biurka i stanął na równe nogi.

– Kurwa, chyba nie chcesz mi zakomunikować, że to symulant jakiś pieprzony?!

Stefano rozłożył ręce.

– Nie... Nie wiem, w sumie. Jeszcze.

Valli złapał się za głowę, rzucił na krzesło i chwycił telefon. Nakrzyczał na kogoś po włosku, po czym łupnął słuchawką o widełki. Zadzwoił jeszcze pod jeden numer, ponownie nawrzeszczał na swojego rozmówcę, i zerwał się z krzesła.

– Trzeba pilnować starego w szpitalu. Jak tylko będzie do użytku, chcę go przesłuchać. Osobiście! Może mi asystować psychiatra, nawet cała drużyna z psychiatryka, ale chcę usłyszeć, co ma do powiedzenia. A młody? Malarz?

– Przepytyują go. Cały się telepie. Nie wiadomo dlaczego.

– Powiedz, że mają go zapytać o próbkę DNA. Lepiej niech się zgodzi, bo strasznie nie lubię kraść im tych włosów ze szczotek i biegać do laboratorium z kapką śliny na szklance. Potem same kłopoty, że nielegalnie pobrane i takie tam. Później jeszcze my z nim pogadamy. Jakby pytał – na razie do domu nie może iść. W końcu między jego obrazami tkwiło narzędzie zbrodni. A teraz idziemy do Marconich. Musimy...

– Właśnie – wtrącił Stefano i lekko się zarumienił. Zerknął na Annę.

– Coś nie tak? – zapytała, pochwyciwszy jego spojrzenie.

– Bo... Przyszła tutaj ta *signorina* Doldano z jakimś panem. I mówią, że zaginęłaś. Znaczą, że pani zaginę...

– Możesz mi mówić po imieniu.

– ...łaś.

Anna sięgnęła do torby po telefon i oprócz niepotrzebnego już przypomnienia, by powiedzieć Vallemu o narzędziu zbrodni, znalazła kilkanaście nieodebranych połączeń od Lucrezii i Leona. Spojrzała na Vallego, którego ta informacja najwyraźniej zaskoczyła bardziej niż poprzednia o performansie Zygmunta Freuda.

– Daj mi dziesięć minut – syknęła, po czym wypadła z gabinetu. Pięć sekund później zjawiała się w drzwiach z powrotem i niemal zderzyła ze Stefanem. – O, właśnie! Przecież nie wiem, gdzie oni są – zawołała i pociągnęła policjanta za sobą.

Zapowiadał się długi dzień.

Zastanawiała się, jak to zrobił. Działał szybko, nie zdążyła zareagować. Poraziła ją ta maska. Patrzyła na *morettę*, na zrośnięte wargi, z których nie mogło wydobyć się żadne słowo. Nie spojrzała na dłonie. Na jedną dłoń. Kiedy poczuła ukłucie niepokoju, było już za późno. Jak to zrobił? Jak wyprowadził ją z domu? Czy ktoś coś zauważył? Czy mogła mieć nadzieję? Założył jej maskę. Przebrał w karnawałową suknię.

A potem? Wyniósł na rękach z domu? I umieścił w łodzi, którą z pewnością zacumował w kanale, u wylotu Ramo Venier? Udawał, że właśnie taki miał być efekt, że to zaplanowany karnawałowy spektakl dwojga miłośników weneckiej tradycji? Casanova czy inny lowelas niesie na rękach swą wybraną. Co w tym dziwnego? Miała maskę na twarzy. Z pewnością nikt nie zauważył, że była nieprzytomna. Postarał się o to.

Czy właśnie tak wszystko przebiegało? Stefania spojrzała w górę, na błękitny okrąg nieba. Nie potrafiła ocenić, która była godzina i ile potrzebował czasu. A co za tym idzie – nie miała pojęcia, jak daleko ją wywiózł. Dlaczego wciąż żyła? To było okrutne. Chciał, by cierpiała. Inaczej wypłynąłby z nią dalej, na pełne morze. Wrzucił nieprzytomną do wody. I już. Po sprawie. Dla niego i dla niej. A tak?

Studnia. Niezbyt głęboka, więc pewnie znajdowała się gdzieś na obszarze Wenecji. Na jednej z wysp. Tutaj żadna studnia nie była głęboka. Osiem metrów? Pięć? Stefania nie potrafiła ocenić. Ale tyle wystarczyło.

Wystarczyło, by nie móc się stąd wydostać.

Spróbowała poruszyć nogą i zawyła z bólu. Złamanie. Opuchnięte kolano. Krew. Z lewą ręką nie było lepiej. Zwisła smętnie z barku. Stefania w ogóle jej nie czuła. Szczypała się w nią. Nawet gryzła. I nic. Stopniowo ogarniała ją panika. I po raz kolejny powiedziała sobie w duchu, że to już naprawdę koniec.

Mogła nie wspominać Annie Lindholm o tych nożyczkach. Dowiedział się o wszystkim.

Areszt tymczasowy z początku nie napawał go strachem. Tutaj nic złego nie mogło się wydarzyć. Komenda przecież. Cywilizacja, a nie więzienna dżungla, gdzie wygrywał silniejszy. Tutaj, do aresztu

tymczasowego, trafiali czasem ludzie niewinni. A nawet jeśli winni, to jeszcze bez wyroku. Wszystko mogło się zdarzyć. Dlaczego zatem umieścili go w celi z wytatuowanym drabem? I na pewno kryminalistą – takie rzeczy widać gołym okiem! Przecież on, Yves Ronsard, nie był kryminalistą. Nie zawsze postępował etycznie, to fakt. Kilka razy zbłądził, ale przecież każdemu się zdarza. Nawet tym z góry, policjantom.

Wytatuowany drab wbił wzrok w pluszowe kapcie Yvesa i zarechotał. A później odezwał się po włosku, z dziwnym akcentem.

– No co tam, pizdeczko? – zapytał.

Yves nie odpowiedział. Wcisnął się w kąt i opatulił obszernym swetrem, à la babcinym. Modnym. I wciąż miał na sobie rurki. To pewnie nie był najodpowiedniejszy strój do więzienia. Tylko że Yves więzienia się nie spodziewał. A może popełnił błąd? I powinien był właśnie przewidzieć więzienie? W ogóle jakąś grubszą aferę związaną z Isabellą i Marconim? Bo przecież człowiek nie proponuje komuś ot tak, spontanicznie, dachu nad głową i stałej pensji w zamian za drobnostkę. Jak to się stało? Yves przypomniał sobie Paryż. Paryski bruk. Sztalugi i paletę, kilka malowideł opartych o ławkę. Deszcz, który spadł nagle. Farbę rozmazaną na płótnie. Zbierane w popłochu pędzle. Mokrą koszulkę, która lepiała się do ciała. Włosy przyklejone do czoła. Rozpacz, że kilka obrazów uległo nieodwracalnemu zniszczeniu.

I on. Marconi. Pojawił się znikąd. Podszedł z wahaniem. Mówił słabo po francusku, ale Yves zorientował się, że to Włoch, i odezwał się w jego języku. Znał włoski, nauczył się od dziadka. A skąd ten język znał dziadek? O to jakoś nigdy nie zapytał. Wtedy jednak wiedza przekazana wnukowi przez starego Ronsarda wreszcie przydała się w praktyce. Marconi był zachwycony. Tego się nie spodziewał. Jego wahanie gdzieś się ulotniło i wszystko poszło już bardzo szybko. Eleganckie auto, w którym było sucho i ciepło. Dobry alkohol. Rundka po mieście. Niby bezsensowna rozmowa o Paryżu, sztuce, perspektywach na przyszłość. Yves nawet się nie obejrzał, a już zrelacjonował Marconiemu całe swoje życie. Niewiele było do opowiadania, jak się okazało.

Marconi przedstawił mu swoją propozycję. Yves tego właśnie potrzebował. Od dawna już nie wierzył w siebie. Czuł się niedoceniony i niedowartościowany. Czuł się nikim. Zrozumiał, że będzie musiał porzucić malowanie i znaleźć sobie „normalną” pracę. Gdzieś na kasie. W najlepszym wypadku w biurze, o ile ktoś dałby mu szansę mimo braku doświadczenia. Yves dusił się na myśl o kasie, biurze, sztywnych godzinach pracy i odgórnie ustalonych obowiązkach. Miewał ataki paniki. Stany depresyjne. A poza tym dziadek chorował.

Wenecki jubiler dał Yvesowi szansę. Stworzył możliwości. Nowy dom w niezwykłym mieście. Pieniądze. Warunki do malowania. I w razie potrzeby – opieka medyczna dla dziadka. Wszystko za to tylko, by młody artysta odpowiednio zajął się Isabellą Lomi, cukierniczką z Castello...

A teraz? Yves coraz bardziej skłaniał się ku teorii, że każdy szczegół został tutaj skrupulatnie zaplanowany. Luigi Marconi musiał obserwować go od dawna. I wreszcie skorzystał z nadarzającej się okazji. A Yves na to pozwolił.

Stali na końcu korytarza. Lucrezia w długim zielonym płaszczu i błękitnej chuście na ramionach, a Leon

w puchowej kurtce i dżinsach. Ona opierała się o ścianę, starała prezentować godnie i rzucała pogardliwe spojrzenia mijającym ją mundurowym. On chodził w tę i we w tę, i nerwowo skrobał się po głowie. Anna przystanęła w odległości kilku metrów. Zerknęła na zegarek. Właściwie nie powinna im się dziwić. Dochodziło południe. Nie pojawiła się w domu przez całą dobę. A i wcześniej również dzwoniła do Lucrezii z Padwy, by poinformować ją, że nie wróci na noc. Z ich perspektywy zachowanie Anny mogło wydawać się dziwne i co najmniej irytujące. Poza tym powinna przecież porozmawiać z Leonem. Coś była mu winna. Ruszyła przed siebie i po chwili stanęła przed antykwariuszką. Lucrezia załamała rękę i sama chyba nie bardzo wiedziała, czy powinna rzucić się na Annę i ją uściskać, czy też raczej przejść od razu do rękoczynów. Leon natomiast znalazł się przy niej w ułamku sekundy.

– Co ty odstawiasz? – wycedził po polsku. – Nie przyszło ci do głowy, że ktoś mógł się martwić?!

Już miała zamiar odpyskować, że nikogo o to nie prosiła, ale przypomniała sobie ich ostatni, krótki pobyt w Wenecji. Wtedy również odłączyła się od Leona i Lempi, bo chciała obejrzeć sobie kamieniczki, a później nie raczyła nawet zadzwonić i poinformować, gdzie jest, tylko poszła zjeść pizzę... Leon powiedział wówczas, że powinna się cieszyć z obecności ostatnich dwóch osób na świecie, które w ogóle zawracają sobie głowę martwieniem się o nią. I miał rację. Anna pomyślała o Lempi, która została sama w Ystad, o Ingvarze, który prawdopodobnie układał już sobie życie z Ester Gustaffson, i o swoim ojcu, do którego nie odzywała się od grudnia. I o Vallim. O nim zwłaszcza. Bo tylko on pozostał. Obcy człowiek, o którym nie wiedziała zupełnie nic. Ale który... który co, właściwie?

– Przepraszam – odpowiedziała, patrząc Leonowi w oczy.

Odetchnął. Zaraz jednak spochmurniał, kiedy Anna dodała:

– Przepraszam, że wysłałam ci tę wiadomość. Naprawdę chciałam, byś tu był, ale nie wiedziałam, że zrozumiesz to... Tak, jak rozumiałeś. Przepraszam. Oczywiście cieszę się, że jesteś. Tęskniłam. Ale musisz zrozumieć, że ja mam tutaj... zajęcie.

– Hobbystyczna pomoc weneckiej policji? – spytał kpiąco.

– Nazywaj to jak chcesz, ale wyobraź sobie, że być może ta praca jest ważniejsza niż twoje cholerne zdjęcia. Pomyślałeś o tym kiedykolwiek? – odrzekła, wciąż ze spokojem.

Leon umilkł. Anna przeszła na angielski i zwróciła się do Lucrezii.

– Ciebie też przepraszam. Wiem, że miałam ci pomagać w sklepie, obiecałam i...

– Właśnie. Obiecałaś. Tu już nie o pieniądze chodzi. Po prostu wolałabym, żebyś czasem zajrzała do domu, a nie tylko miała tam przechowałnię swojego bagażu.

Do domu? Anna poczuła ukłucie w klatce piersiowej. Tak naprawdę nie miała przecież domu. Nigdzie. Lucrezia zamachała rękami i zrobiła zakłopotaną minę.

– Poza tym chyba coś głupiego kupiłam. Takie krzeselka...

– Jakie znowu krzeselka?

– Facet mówił, że hiszpańskie, z osiemnastego wieku i...

– Cholera!

– Nie było cię!

Lucrezia ponownie załamała rękę, niczym bohaterka dramatu Szekspira. Anna roześmiała się.

– To fakt. Nie było mnie.

– Musisz zobaczyć. Może coś da się z tym zrobić?

– Dużo zapłaciłaś?

– Niemało.

Patrzyły na siebie przez chwilę i Anna przypomniała sobie ich wspólne poranki. Pachnącą latte i słodkie bułeczki, wyprawy po ryby na targi Rialto i dźwięk dzwoneczka, zwiastujący nadejście pierwszych klientów. Brakowało jej tych chwil. Uścisnęła dłoń Lucrezii, a Włoszka porwała Annę

w ramiona. Trajkotała przez chwilę na modłę Sophii Loren, po czym odsunęła się i poprawiła swoją błękitną chustę. Zerknęła ponad ramieniem Anny i uśmiech spelzł z jej warg.

– *Buongiorno, commissario* – powiedziała chłodno.

Za plecami Anny stał Valli. Kiwnął głową Lucrezii i przedstawił się Leonowi.

– To mój... przyjaciel z Polski. Leon Wit. Albo Woliński. Jak tam wolisz. Fotograf.

Mężczyźni podali sobie dłonie, ale uczynili to z wyraźną rezerwą.

– Muszę iść. – Anna spoglądała na przemian to na Leona, to na Lucrezię. – Porozmawiamy wieczorem.

I dziękuję... Że się o mnie martwiliście – dodała.

A później w towarzystwie Antonia wyszła z budynku komendy. Na San Marco popłynęli oznakowaną łodzią.

Rozdział 19

Lucrezia pociągnęła Leona w głąb Castello. Szczebotała coś o tym, że Anna jest w jednym kawałku, żyje, i wszystko w ogóle w porządku. Cała ta szopka z chodzeniem, pytaniem, sprawdzaniem i wzdychaniem wydawała jej się szczeniacka. Jakby nie miała innych problemów na głowie.

Problemy? Przecież mogła ich uniknąć. Sama była sobie winna! Wszystko przez jej głupie pomysły, ciekawość, panikę, niecierpliwość i nieumiejętność zachowania zimnej krwi. Już kiedyś ją to prawie zgubiło. Powinna się uczyć na błędach. Zwłaszcza że ten policjant wiedział.

Nie, nie wiedział. Niemożliwe. Nic nie wiedział. Patrzył jej w oczy tym wzrokiem psychopaty, dawał do zrozumienia, że za chwilę będzie po wszystkim, że będzie po niej, ale tak naprawdę blefował. A może wcale nie patrzył wzrokiem psychopaty? Uroiła to sobie? Dała się ponieść wyobraźni i tej... manii prześladowczej, z której nie mogła się wyleczyć od roku? Gdzie leżała prawda? Czy Lucrezia była bezpieczna? Bo że głupia, to wiedziała od dawna.

Wsunęła dłoń pod ramię Leona. Nie wyrwał się. Przyłgnęła do niego mocniej. Wiedziała, co się święciło. Leon będzie teraz grał twardziela. Udawał, że mu nie zależy. Bo widział ich razem na komendzie – Annę i cholernego Vallego. A tylko skończony idiota nie wyczułby chemii między nimi. To akurat dobrze się składało. Może ich trochę zamroczy. Skupią się na sobie, zamiast na śledztwie, a sprawa wkrótce podzieli los pozostałych *insabbiatur*.

Lucrezia zaproponowała Leonowi kawę i ciasto w kafejce, którą właśnie mijali. Nie odmówił.

– Ten Leon...

Antonio nie dokończył pytania. Pomógł Annie wysiąść z łodzi i skierowali się w stronę Fundamenta Orseolo. Miał wrażenie, że serce za chwilę wyskoczy mu z piersi. Powinien skupić się na Marconim i Ronsardach, w ogóle na sprawie, a tymczasem myślał o tym, co wydarzyło się między nim i Anną na komendzie. Nigdy wcześniej nie czuł się tak, jak teraz.

Choć przecież był już żonaty. I miał syna.

Valli westchnął ciężko. Anna przystanąła. Chwyciła go za rękę i poprowadziła w wąską uliczkę.

– Co: „Leon”? – podjęła wątek, który przerwał.

– Kto to?

– Przyjaciel.

– Akurat.

Roześmiała się i pokręciła głową. Poczł się głupio. Zachowywał się jak smarkacz. Ale, o dziwo, w jej oczach nie dostrzegł pogardy.

– No dobra – rzuciła lekko. – Podkochiwałam się w nim w podstawówce.

Valli uśmiechnął się półgębkiem. Patrzył na nią przez chwilę – na policzki zaróżowione od zimna, czarne włosy wymykające się spod czapki i brodę wetkniętą w jego szalik. I nagle zaczął opowiadać Annie o tym, co przekazał mu *colonello* Ricci. Mówił o swoich podejrzeniach względem matki Luigiego Marconiego, które znalazły potwierdzenie w słowach pułkownika karabinierów. Nie mógł dłużej tego przed nią ukrywać. Nawet jeśli rewelacje od Ricciego nie miały związku z obecną sprawą. Ale Valli czuł, że jakiś jednak miały. Cień matki Marconiego nie dawał mu spokoju.

Kiedy skończył swoją opowieść, Anna trzepnęła go w ramię.

– I dopiero teraz mi o tym mówisz?!

– Jak: „dopiero”? Przecież Ricci zadzwonił do mnie dzisiaj rano! Nie chciałem przy Stefanie...

– Dobrze. Ale następnym razem masz mi wszystko mówić od razu, jasne?

Kiwnął głową, ale poczuł na plecach lodowaty dreszcz. Bo pozostało przecież coś, o czym jeszcze jej nie powiedział. I marzył o tym, by nie musieć mówić nigdy.

– Myślisz, że to ma związek z naszą sprawą? Ta matka Marconiego? – zapytała Anna ponuro.

– Nie wiem – przyznał.

– To byłby jakiś trop. Kolejny. Tylko mam wrażenie, że jeszcze bardziej wszystko skomplikuje. Nie boisz się, że nigdy nie rozwiążemy tej sprawy?

Spojrzał jej w oczy. Bał się. A jednak się uparł. Chciał rozwiązać tę sprawę, a później... Odejść. Dać sobie spokój z policją, znaleźć spokojniejsze zajęcie. Pomyślał o tym po raz pierwszy w życiu. I jednocześnie zmartwił się, bo tak naprawdę niczego innego nie potrafił robić.

Salon jubilerski Marconiego nie znajdował się wcale przy Fondamenta Orseolo, jak wcześniej twierdził Antonio, ale nieco dalej od kanału, przy Calle Fiubera, gdzie kamienice tworzyły długi i wąski szpaler. Fasady i witryny układały się tutaj w osobliwą mozaikę. Stonowane szarości i brązy płynnie przechodziły w piaskową żółć i ceglastą czerwień. Galerie sztuki, księgarnie i sklepiki z pamiątkami przetkane były lodziarniami, kawiarniami, pizzeriami, sklepami obuwniczymi i butikami, w których cena jednego podkoszulka wynosiła tyle, ile za cztery należałoby zapłacić w Mestre.

Anna zdziwiła się, kiedy weszła w tę uliczkę. Spodziewała się, że sklep Marconiego mieścił się w miejscu bardziej prestiżowym i nadętym. W pobliżu wszystkich tych markowych salonów z wypisanymi na szyldach Hilfigerami, Vuittonami, Pradami czy innym Dolce&Gabbaną. Tutaj było raczej skromnie, swojsko. Przyjemnie. Tę część San Marco Anna lubiła najbardziej. Od Calle Fiubera odchodziły wąziutkie zaułki, w których domy stały tak blisko siebie, że można było wyciągnąć ramiona i dotknąć dłońmi przeciwległych ścian. Z fasad odpadał tynk, zupełnie jak w Castello i San Polo, z okiennic kruszyła się farba, a pod parapetami rysowały się brudne zacieki. Druga strona medalu... Drugie oblicze San Marco, mniej znane i rzadziej uczęszczane. Anna była tutaj wcześniej. Zawsze bardziej interesowało ją to, co znajdowało się wewnątrz, pod złotą skorupą. Za fasadą przepychu.

Nie miała jednak pojęcia, dlaczego rodzina Livii Foscari akurat tutaj miała swoją rodową kamienicę. Słyszała już, że pochodzenie ich nazwiska było raczej szemrane, a oni sami niewiele mieli wspólnego z dawnym dożą i rodziną, od której wziął swą nazwę Uniwersytet Ca'Foscari, uczelnia ulokowana w pałacu nad Canal Grande. W pałacu „tamtych” Foscari. Tych prawdziwych, którzy mieli prawo

posługiwać się herbem. Anna nie знаła dobrze historii „niepodrobionej” rodziny Foscari, pamiętała tylko tego nieszczęsnego dożę, tragedię związaną z jego synem, a także to, że w osiemnastym wieku Foscari utracili swoją pozycję w wyniku jakiegoś nieszczęsnego mezaliansu. Później jednak zostali przywrócenii do łask i mieli prawo posługiwać się tytułem hrabiowskim.

A co z tymi tutaj? Skąd ci się wzięli? Nikt nie potrafił udzielić na to pytanie jednoznacznej odpowiedzi. „Jakaś boczna linia”, mówili, „piąta woda po kisielu”, „przybrali to nazwisko”, „podpięli się”, „ktoś się z kimś hajtnął, a później rozwiódł”, „jeden Foscari przekazał nazwisko swojemu bękartowi i oni pochodzą od tego bękarta”, „od jakiejś kobiety z Foscari, która miała nieślubne dziecko i dała mu swoje nazwisko, a nie ojca”... I tak w kółko. Anna nie miała ochoty tonąć w archiwach i odtwarzać drzewa genealogicznego „bocznych” Foscari. Dla niej liczyły się tylko informacje o koneksjach Livii i o jej majątku sprzed zamążpójścia. Póki co, kamienica na San Marco i opuszczona wyspa na lagunie stanowiły jedyne punkty zaczepienia.

Anna zadarła głowę i spojrzała na bladopomarańczową fasadę, w której mieścił się salon jubilerski Marconiego. Kamienica była z pewnością piękna, ale bardzo prosta, na wskroś mieszczańska. Żadnych zdobień, ornamentów, rodowych symboli, nic. Tylko trzy szeregi prostokątnych okien, przysłoniętych ciemnymi okiennicami, i markiza na parterze. Kremowa, monochromatyczna. Annie podobał się taki minimalizm, ale zupełnie nie tego spodziewała się po Livii Foscari czy po Luigim Marconim. Wciąż miała przed oczami złote wnętrze ich samozwańczego pałacu. Jeszcze raz powiodła wzrokiem po fasadzie budowli. Czy rzeczywiście o to chodziło Marconiemu? Dla tego właśnie budynku uwiódł swoją przysłą żonę? Było warto? Ciekawe, jak w takim razie wygląda jego sklep w Cannaregio. I jak wyglądają jego pozostałe salony w Padwie, Weronie i Florencji. Czy tam więcej zainwestował w lokale?

– Możemy wejść? Czy potrzebujesz jeszcze kilku minut na podziwianie architektury? – zagaił Antonio, który do tej pory tkwił w milczeniu u jej boku.

Anna ocknęła się z zadumy. Antonio pokręcił głową z rezygnacją.

– Buty ci nie przemokły? – zapytał znowu.

– Hm?

Zdezorientowana spojrzała w dół, na swoje sznurowane martensy. Rzeczywiście, stała w kałuży. Właściwie wszędzie tutaj była kałuża. Pamiątka po niedawnej wysokiej wodzie.

– Nie przemokły. Chyba.

– Wstąpimy później na kawę. Zmarzłaś.

Zmarzła? Antonio chwycił jej dłonie. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że miała zupełnie zeszywniałe z zimna palce.

– Nie chciałbym, żebyś jeszcze ty się rozchorowała. Wystarczy jeden śledczy z gruźlicą.

– No wiesz, chyba mnie trochę zaraziłeś...

Na wspomnienie tamtego pocałunku Annie zrobiło się gorąco. Już nie potrzebowała kawy. Antonio ścisnął mocniej jej dłonie, a ona przysunęła się bliżej i zastygła tak na krótką chwilę.

– To co? Możemy wejść, czy potrzebujesz jeszcze kilku minut na...? – odezwała się, parafrazując jego wcześniejsze pytanie.

– Kilka minut nie wystarczy – mruknął.

Niechętnie puścił jej dłoń, kiedy wchodzili do salonu Marconiego.

A tam, w pierwszej z gablot, zobaczyli... rewolwer Apaszów.

Nogi ugięły się pod Anną, kiedy tylko przekroczyła próg. Antonio musiał gdzieś w tle dojrzeć Marconiego, bo ukłonił się lekko i rzucił zdawkowe powitanie. Nawet nie spojrzała w tamtym kierunku. Zignorowała też miłą panią w garsonce i jakąś lansersko ubraną parkę, która oglądała pierścionki

z kamieniami tak wielkimi, że można by nimi obciążyć transatlantyk. Nie zwróciła uwagi na nikogo i na nic. Widziała tylko tę pierwszą gablotę i to, co znajdowało się za szkłem, ułożone na ciemnym aksamicie. „Bez sensu”, pomyślała. „Przecież to jest kompletnie bez sensu! Tego nie powinno tutaj w ogóle być!”. A jednak było. Dlaczego? Kiedy znalazła się przy gablocie, ledwie powstrzymała się przed tym, by położyć dłoń na szybie. Stała oniemiała i patrzyła na niewielki przedmiot ze srebrnym ostrzem i złotą rączką w kształcie kastetu.

Rewolwer Apaszów.

Nie taki prawdziwy, zabytkowy, jak ten, który przed kilkoma godzinami znalazła u Yvesa Ronsarda. To była raczej złota zabawka. Ozdóbka. Czy to ostrze mogło w ogóle cokolwiek przeciąć? Czy ktoś byłby w stanie... wbić je w szyję Guida Russa? Czy Marconi to skończony idiota? A może właśnie nie? Anna miała kompletny mętlik w głowie. Patrzyła na rewolwer jak urzeczona i dopiero po chwili zorientowała się, że było ich w tej gablocie więcej. Mnóstwo rewolwerów Apaszów rozmaitej wielkości, od naturalnych rozmiarów, aż po wersje mini, przerobione na kolczyki i wisiorki. Niektóre z nich ozdobiono błyszczącymi kamykami. „To jakaś farsa”, pomyślała jeszcze, zanim obok niej zjawił się Antonio. On również zeszytniał na moment i gwizdnął pod nosem. Stali tak bez słowa, aż wreszcie dołączył do nich Luigi Marconi. Był bardzo zdenerwowany.

– *Commissario*, tak pan wyrwał do tej gabloty, że nie zdążyłem panu powiedzieć... To znaczy nie wiem, czy powinienem już się martwić, ale moja asystentka, Stefania Massimo... Nie ma jej. Zamierzałem do was w tej sprawie dzwonić.

Annie zaschło w gardle. Marconi mówił wprawdzie po włosku, ale akurat tę prostą wypowiedź rozumiała niemal w całości. Zwłaszcza jedno zdanie. „Nie ma jej”. Wbiła wzrok w Marconiego i odezwała się po angielsku:

– Jak to: nie ma?

Valli również spojrzął na jubilera. Jego także zaniepokoiła ta wiadomość. Luigi Marconi przez chwilę patrzył to na Annę, to na Antonia. Drżącą ręką przejechał po włosach. W końcu zebrał się w sobie.

– Dzwonię do niej od rana i nie odbiera telefonu. A za godzinę mamy kolejne spotkanie z Francuzami. Z dużego paryskiego salonu. Są zainteresowani moją nową kolekcją i... Stefania miała mi pomóc. Biegła zna francuski. I inne rzeczy też... zna.

– I tylko dlatego martwi się pan, że jej nie ma?! – nie wytrzymała Anna.

Luigi Marconi uniósł brwi.

– A powinien być jakiś inny powód? – zapytał, zerkając niepewnie na Vallego.

Czy powinien? Anna miała ochotę potrząsnąć tym durnym padalcem i nawrzeszczeć na niego porządnie przy tej parce od wielkich kamieni i miłej pani w garsonce. Kilka dni temu ktoś zamordował jego kochankę i to nie byle jak, i nie byle gdzie! A on sam był nadal jednym z głównych podejrzanych, a teraz, ot tak, po prostu, stał sobie we własnym salonie jubilerskim, wbity w garnitur za kilka tysięcy euro, i martwił się o spotkanie z cholernymi Francuzami! Anna przymknęła oczy. Nie mogła pozwolić sobie na taką awanturę. To oznaczałoby koniec jej współpracy z Vallim. Koniec jej udziału w sprawie. A przecież nie chciała do tego dopuścić. Musiała rozpracować jubilera, bo on z pewnością święty nie był. A Stefania...

Annie zaszumiało w głowie. Przecież ona mówiła o Marconim! O tych nożyczkach i o nim. To do Marconiego zadzwoniła, wtedy, przed trzema laty, a on uraczył ją bajeczką o neurotycznej żonie. Może myślał, że uwierzyła. Aż do chwili, kiedy zobaczył je razem, Stefanię i Annę. W łodzi. Wczoraj? Czy to naprawdę było wczoraj? Przecież tak wiele się od tego czasu wydarzyło. Anna uciekła Leonowi na Campo San Polo, rozmawiała ze Stefanią, później rozstała się z Ingvarem w Mestre, a jeszcze później pływała po weneckiej lagunie we mgle. Za dużo tego naraz. I jeszcze te raporty z sekcji czytane po nocy,

poranna wizyta w cukierni i aresztowanie Ronsardów. Anna przyłożyła dłoń do czoła.

– Dobrze się czujesz? – usłyszała głos Antonia.

– Może wody? – dodał Marconi, już spokojniejszy.

Pokręciła głową. Wody? „Niech się sam napije”, pomyślała. „I udławi”. Jeśli Stefania rzeczywiście zniknęła, on z pewnością miał z tym coś wspólnego. Oby tylko nie było za późno!

– Gdzie ona mieszka? Stefania Massimo, pana asystentka? – zapytała.

Luigi Marconi sięgnął po leżący na kontuarze notes, zapisał w nim coś i wyrwał kartkę.

– Dziękuję – powiedziała chłodno. – I mam pytanie. Co to jest?

Wskazała za siebie, na gablotę. Luigi Marconi uśmiechnął się z wyższością.

– To rewolwer Apaszów. A raczej ozdoba wykonana na jego podobieństwo. Właśnie tą kolekcją interesują się ci Francuzi z paryskiego salonu. Cieszy się dużym wzięciem. Zwłaszcza kolczyki i wisiorki do bransoletek. Wiadomo, nie nadaje się to być może na każdą okazję, ale przyzna pani, że ozdoba nietypowa, oryginalna. Czegoś takiego nikt jeszcze nie wymyślił.

– Taaaak... A skąd pomysł? – spytała niby od niechcienia.

Luigi Marconi spochmurniał i spuścił głowę. Przez chwilę bawił się rogiem swojego krawata, pewnie również za kilkaset euro, po czym spojrzał na nich z zakłopotaniem.

– Widziałem takie coś u Isabelli...

– Słucham?! – wyrwało się Annie.

– Nie miałem pojęcia, co to jest. Pokazała mi rewolwer jakiś czas temu, kiedy... Jedliśmy śniadanie u niej w domu. Matka Isabelli wyjechała, a ona uparła się, żebyśmy tym razem zostali na Campo do Pozzi... Nigdy nie spotykaliśmy się u niej, ale wtedy się zgodziłem. Powiedziała, że ma to od znajomego. Dostała w prezencie. No i tak jakoś później sobie o tym rewolwerze poczytałem, obejrzałem zdjęcia i przyszło mi do głowy...

Marconi umilkł i spuścił głowę. Anna przez chwilę patrzyła na niego bez słowa.

– Dziękujemy – powiedziała wreszcie i nie oglądając się na Antonia, wyszła z salonu.

Ten Marconi działał jej na nerwy.

Pani Foscari mechanicznie mieszała kawę, choć cukier już dawno się rozpuścił. Jeszcze przed kilkoma minutami miała ochotę na ciasto, ale teraz przypomniawszy jej się Isabella-cukierniczka i Livia odsunęła od siebie talerzyk z tartą. Czy tamta piekła dla Luigiego coś specjalnego? Karmiła go smakołykami? *Dolce Isabella*... Livię zemdliło. Czym prędzej upiła łyk kawy. Ona sama nigdy w życiu nie upiekła ciasta. Kuchnię omijała z daleka. Do gotowania i pieczenia byli przecież inni. Czy dlatego Luigi wymykał się do tamtej? Bo była zwykła? Bo bardziej rozumiała świat, z którego pochodził? Świat ciasnych pokoi i niskich sufitów, prostych emocji i codzienności poddanej rutynie? Czy dlatego?

Wszyscy wiedzieli, że Luigi Marconi pracował uczciwie. To się właśnie dla niego zawsze liczyło. Praca.

A dlaczego zabił Isabellę Lomi? Tego Livia nie wiedziała. Ale z każdym dniem coraz bardziej się go bała. Musiała coś zrobić, zadbać o siebie. I dlatego często myślała o tej dziewczynie, Stefanii Massimo. Nawarzyła sobie piwa. Z pewnością nie miała pojęcia, w co się pakowała, kiedy postanowiła się

przyznać do tego, że znalazła nożyczki... Kiedy Luigi poinformował ją, że Stefania o wszystkim wie, Livia zdenerwowała się tylko na chwilę. Ta sprawa dotyczyła również jego, więc ufała mężowi. Nie wątpiła, że zajmie się problemem i zadba o to, by Massimo nie stała się zbyt gadatliwa. A teraz pewnie dlatego zniknęła. Bo zaczęła mówić. Mogła siedzieć cicho.

Czasami nie pozostaje nic oprócz milczenia.

Na Ramo Venier dotarli biegiem. Nie było sensu pakować się do łodzi policyjnej i kluczyć po wąskich kanałach. Stefania Massimo mieszkała w starej kamienicy, z której niemal zupełnie odpadł tynk. Ramo Venier okazała się jedną z najwęższych uliczek, jakie Anna do tej pory widziała w Wenecji. Dwie osoby z trudem mieściły się tutaj, idąc ramię w ramię, a ciasny korytarz wychodził wprost na kanał. Anna biegła przodem. Po drodze niemal zderzyła się z jakąś kobietą w karnawałowej sukni, która właśnie wyszła z domu i prawdopodobnie zmierzała na San Marco, by wziąć udział w maskaradzie. Piąty dzień karnawału, przeszło jej przez myśl. Kobieta w karnawałowej sukni przykleiła się plecami do ściany, kiedy Anna, a tuż za nią Valli, przemknęli obok. Zatrzymali się kilka kroków od zejścia do kanału. Przy niskich dwuskrzydłowych drzwiach nie zamontowano domofonu. Anna nacisnęła kłamkę, po czym załomotała w nie pięściami. Valli, kaszląc i krztusząc się po szybkim biegu, wyciągnął telefon, wystukał jakiś numer i zaczął krzyczeć w słuchawkę. Z okien na piętrze wychyliło się kilka głów. *Che cosa? Che cosa è successo? Che? Che cosa vuoi?*

Valli przestał się drzeć do telefonu i wyciągnął odznakę, którą pomachał w kierunku głów w oknach. Jedna z nich, należąca do jakiegoś smarkacza, natychmiast zniknęła, by po chwili zmaterializować się przy drzwiach wraz z szyją i pozostałymi częściami ciała. *Commissario, commissario*, ekscytował się młody, ale Anna postanowiła zepsuć mu tę świetną zabawę i złapała chłopaka za ramiona.

– Stefania Massimo! – krzyknęła. – Znasz?

Tyle po włosku potrafiła powiedzieć. Smarkacz z powagą kiwnął głową. Wbiegli na dziedziniec i wspięli się na kamienne schody. Anna o mało co nie straciła na nich zębów. Wreszcie stanęli pod drzwiami prowadzącymi do mieszkania Stefanii. Oboje nawet się nie łudzili, że dziewczyna sama im otworzy, więc załomotali tylko raz. Później Anna widziała już tylko zafascynowany wzrok weneckiego smarkacza, kiedy Valli rozpędził się i naparł ramieniem na drzwi. Ustąpiły za trzecim razem. Zdziwiła się, że tak szybko.

Mieszkanie Stefanii Massimo składało się z dwóch pokoi, kuchni i niewielkiej łazienki, w której suszył się wciąż jeszcze mokry ręcznik. To był dobry znak. A przynajmniej Anna chciała tak myśleć. Być może Stefania była tutaj jeszcze nad ranem, wzięła prysznic, umyła włosy, a dopiero później... Anna pokonała wąski korytarz i weszła do sypialni. Panował w niej półmrok. Okna wychodziły na Ramo Venier i do tego pomieszczenia prawdopodobnie nigdy nie docierały promienie słońca. Zapaliła światło i zobaczyła niepościelone łóżko, na którym wałała się zmięta piżama. Przez poręcz krzesła przewieszonych było kilka sukienek – wszystkie starannie wyprasowane, poza jedną. Anna podeszła do biurka. Jej oczom ukazał się flakonik perfum, notatnik i... wisiołek w kształcie rewolweru Apaszów.

– Toni!

Valli zjawił się przy niej natychmiast.

– Znalazłeś coś? – zapytała, kiedy podawał jej rękawiczki.

– Brudna kawiarka i filiżanka w zlewie, talerzyk z okruchami, na stole w salonie lusterko i kosmetyczka z jakimiś pomadkami. Pewnie się malowała. Wypiła kawę, zjadła śniadanie. Wygląda na to, że szykowała się do pracy. Ale... Znalazłem też jej torebkę. A w środku portfel, dokumenty, telefon... Raczej nie wyszłaby bez tego wszystkiego na tak długo. Tym bardziej do pracy. Na torbie leżała teczka, a w niej jakieś papiery po francusku, pewnie na to spotkanie, o którym wspomniał Marconi. Więc... A to co? Cholera...

Antonio ujął w dwa palce wisiołek, na który przed chwilą patrzyła Anna.

– Była tu rano – odparła w zamyśleniu, sięgając po notatnik.

Spomiędzy stron wysunęła się na podłogę kartka. Anna schyliła się, by ją podnieść.

– Wezwałem już techników, zaraz tu będą. Zaczniemy szukać. Przecież powiedziała ci o tych nożyczkach, więc może... Co jest?

Valli uklęknął przy Annie i wyjął z jej dłoni kartkę, która wypadła z notesu. Były na niej zapisane dwa numery telefonu.

– Jeden jest do ciebie. Niby nic w tym dziwnego – powiedział. – Ale... Czy ten drugi też...?

– Drugi też jest do mnie – przerwała mu. – Do mojego warsztatu meblarskiego w Ystad. Coś tam jest przy nim dopisane. Czy ja to dobrze zrozumiałam...?

Anna podniosła na niego oczy, a Antonio przetłumaczył dopisek na angielski. Notatka ograniczała się do inicjałów i czterech słów:

„A. L. Ystad. Na wszelki wypadek.”

Część III

Bóg wymyślił nas, a my wymyśliliśmy naszych przodków.

Przysłowie weneckie

(Wenecja) Została wykreowana. To doskonały wynalazek. To improwizacja w rękach człowieka. Od samego początku była sztuczna – była efektem bitwy przeciwko samej naturze.

Peter Ackroyd

11 czerwca 1970

Cannaregio, Wenecja

Malena Bartoli przed kilkoma dniami skończyła dwadzieścia pięć lat, ale wciąż wyglądała jak dziecko. Przyniosła mu kawałek tortu. Nadal przypominała tamtą małą dziewczynkę z *Niobe*. Uśmiechnął się i poprosił, by posiedziała z nim chwilę na przystani. Od kiedy nie miał siły sprzątać na statkach, często tu przebywał. Patrzył na łodzie i zielonkawą breję w kanałach. Ignorował przyspieszone bicie serca i zawroty głowy. Teraz też. Wziął głęboki wdech i na minutę przymknął oczy. Dziewczyna wystawiła twarz do słońca. Czarne włosy tańczyły wokół jej głowy. „Słyszałem, że wychodzisz za mąż”, odważył się zagadnąć. Malena spochmurniała. „Tak”, szepnęła. Nie musiała. Wiedział, że zgodziła się poślubić ślusarza, jakiegoś Marconiego. Zamierzali zamieszkać w Cannaregio, w trzech pokojach, które odziedziczyła po rodzicach. Przynajmniej nadal tu będzie, pomyślał Federico i zaczął skubać tort.

A jej marzenia? O wstąpieniu do Korpusu Karabinierów? Miała nadzieję, że prawo kiedyś się zmieni i ona również będzie mogła z dumą nosić czarno-czerwony mundur. Naiwna. Kobieta w Korpusie Karabinierów! Też coś! Federico jednak nie powiedział tego głośno. Nie chciał jej urazić. Lubił Malenę. Żałował, że nie urodziła mu się taka córka. Dziewczyna miała charyzmę, była odważna, nikogo nie słuchała. Po co jej ten mąż? Zakochała się? Nie zapytał. W milczeniu skubał tort. Milczenie w tej sytuacji wydawało mu się dobre, niczego więcej nie potrzebowali.

„Są inne sposoby, by pracować dla karabinierów”, odezwała się nagle i zdecydowanym gestem odgarnęła z twarzy włosy. Spojrzał na nią. Przestraszył się. Chciał coś powiedzieć, zaprotestować, przestrzec ją, by nie bawiła się w żadnego informatora, tajnego, pożał się Boże, agenta czy kogo tam. Ale nie zdążył. Znowu poczuł to ukłucie w okolicy serca. Szum w uszach. Miał wrażenie, że coś rozrywa mu od środka klatkę piersiową. Upuścił pudełko z tortem. Osunął się z ławki. Powietrze... Nie mógł nabrać powietrza.

„Panie Capelli!”, usłyszał jej krzyk. Widział Malenę jak przez mgłę. Pomyślał, że jej też nie zdążył ocalić. Tak jak tamtej małej Belgijki, Chany Sullam. Udało mu się wyszeptać tylko jedno słowo.

„Obraz”.

Nie miał pojęcia, co Stefania Massimo powiedziała tej Szwedce. Cholerni obcokrajowcy! Zawsze muszą się wszędzie wtrącać? No dobrze, może ze Szwedami nie było dotąd specjalnych kłopotów. W porządku. Fakt. Nie było. Amerykanie wtręcali się częściej, jak we wszystko zresztą. Francuzi. Belgowie. Wiadomo, Unia Europejska! Niemcy, owszem. Polacy – zdarzało się, bo przecież lata

posuchy nauczyły ich kombinowania i kręactwa. Hiszpanie też, w końcu gorący naród i romańska rodzina. I każdemu z nich chodziło o co innego. Jedni chcieli walczyć, drudzy woleli się dołączyć. A Szwedzi? Nie miał z nimi jeszcze do czynienia. Nie wiedział, czego chciała ta jedna, konkretna kobieta. Denerwowała go. Za dużo jej było wszędzie.

I Stefania... Bardzo nierozważnie postąpiła. Naprawdę – czasem niewiele trzeba, by być bezpiecznym. Na przykład wystarczy siedzieć cicho. Nie odzywać się. Nic więcej nie potrzeba oprócz milczenia. To aż tak trudne?

Nie miał pojęcia, co Stefania Massimo powiedziała tej Szwedce, ale przecież spotkały się. Na pewno nie w celach towarzyskich, żeby popływać we mgle, wypić sobie kawkę z termosu i podziwiać mury dawnej posiadłości Foscarich. Na miłość do zabytków je wzięło? Jasne! Nie, nie, Massimo miała w tym swój cel. Domyślał się, jaki. Ta policjantka z Ystad była tutaj obca. Nie wiedziała, co to weneckie układy i znajomości, społeczna hierarchia, powiązania biznesowe i pizzo. Chyba że Valli jej powiedział. Valli niezłomny, rycerz na białym koniu... Commissario o nieskalanej opinii.

Śmiać mu się chciało z nich wszystkich. Tacy porządni, tacy święci! A jeden wart drugiego. Nawet ona, Stefania Massimo. Powieka jej nie drgnęła, kiedy dostawała premie i dodatki za nic. Nie protestowała przed podwyżką. Przyjęła wisiorek i sukienkę od topowego projektanta. Wiedziała przecież, skąd się to wszystko wzięło. Że chodziło o zapłatę za milczenie. Nie była głupia. I siedziała cicho.

Co się zmieniło? Dlaczego teraz nagle wzięło ją na pogawędki z tą obcą babą? Nieważne... Nieważne, co Stefania powiedziała Annie Lindholm. I czy w ogóle coś powiedziała. Ważne, że wiedziała o nożyczkach. Od dawna nosiła w sobie ten sekret, była jak bomba zegarowa. Należało to wreszcie skończyć.

A poza tym Russo... Isabella. Przez chwilę myślał nawet, że coś mu się sypnie. Ten Valli węszył. Dobrze kojarzył. Choć przecież i tak nie znajdzie powiązania. Policjantka ze Szwecji działała bardziej chaotycznie, ale za to wszędzie potrafiła się wcisnąć, z każdym zagadać. Stanowiła zagrożenie, a on nie mógł ciągle za nią łązić. Nie miał czasu. Musiał zachowywać się normalnie, robić to, co zawsze.

Czy policja znalazła narzędzie zbrodni? To była najgłupsza i najbardziej ryzykowna rzecz, jaką zrobił. Nie przemyślał wszystkiego zbyt dokładnie. Ale przecież rewolwer Apaszów tak pięknie pasował do Ronsardów! Należał do Ronsardów! Wszystko się idealnie układało. Oczywiście – stary i młody mogli znaleźć go wcześniej i wtedy plan spaliłby na panewce. Dlatego trzeba było umieścić go w jednym konkretnym miejscu. Między najstarszymi weneckimi widoczkami Yvesa. Tymi, których nie udało się sprzedać i których młody sam nie znosił. Nie patrzył na nie, choć oczywiście o wyrzuceniu bądź zniszczeniu nie było mowy. Można nie lubić własnych dzieci, ale się ich przecież nie zabija...

Jak to dobrze, że Isabella powiedziała mu o wszystkim. O rewolwerze Apaszów, o Ronsardach. Gdyby nie ona, nigdy nie skojarzyłby faktów. Nie domyślił się, że stary Ronsard to symulant. Prawie mu uwierzył. I ledwo go poznał. Zmienił się przez te wszystkie lata, uprawiał głupie przebieranki, stylizował się na nie wiadomo kogo. A jednak wystarczyło się przyjrzeć. Stary Ronsard wciąż przypominał tego mężczyznę, który przed laty nosił zupełnie inne nazwisko. Czy młody coś wiedział o przeszłości dziadka?

Stefania Massimo... Chciał z nią spróbować. Wypłynąć w morze. Powstrzymał się w ostatniej chwili. Wbrew pozorom nie było to takie proste. Bardziej doświadczeni od niego robili głupie błędy i później ciała nieszczęsnych delikwentów wypływały w weneckich kanałach. Serenissima wzywała swoich do siebie. Nie, nie... Musiał jeszcze poćwiczyć. Już prawie znalazł idealne miejsce, ale aby tam dotrzeć, potrzebował czasu. Teraz nie miał go za wiele. Zrobił ze Stefanią to, co musiał. Pewnie i tak nie przeżyła upadku. A jeśli nawet?

Ciekawe, jak długo wytrzyma w tej studni?

Czy zaginięcie Stefanii Massimo miało związek z nożyczkami? Musiało. Inaczej to wszystko byłoby bez sensu. Z pewnością domyślała się, co wtedy zaszło, choć przecież nie mogła odgadnąć wszystkiego. Nikt by nie odgadł. On sam nie wiedział niczego na sto procent. Skąd wziął się ten człowiek? Czego chciał? Z początku sytuacja wydawała mu się oczywista, ale później stracił już pewność. A jeśli się pomylił? Jeśli to nie był przypadek? Jeśli został wykorzystany? Przez... nią?

Ostatecznie – nie byłaby to przecież żadna nowość. Zdarzało się. Nie raz, nie dwa. Przywykł. Radził sobie. Powtarzał, że cel uświęca środki. Milczał w imię wyższych wartości. Bo czasem wystarczy nic nie mówić. Wetknąć na gębę moretę, zacisnąć zęby na guziku i już! Nic oprócz milczenia. I wszyscy są zadowoleni.

A Ronsard? Czy on będzie siedział cicho? Nożyczki nożyczkami, tutaj jeszcze coś dało się ugrać. Wystarczyło skłonić do milczenia Stefanię. Ale Ronsard? Z nim mogły być kłopoty. Zwłaszcza teraz, kiedy zaszły nieprzewidziane okoliczności. Wymyślił sobie ciekawy sposób na emeryturę, ale w tej chwili nie był już bezpieczny. Z drugiej strony – czy pójście na układ z policją nie okazałoby się dla starego Ronsarda zbyt ryzykowne? Zważywszy na to, co stało się ćwierć wieku temu?

I czy młody Yves znał już prawdę?

Rozdział 20

Livia Foscari kazała im na siebie czekać prawie godzinę. Jej asystent posadził Annę i Antonia w saloniku, do którego weszli wprost z hallu, nadal złocistego, ale teraz jeszcze lśniącego i pachnącego czystością. Po stosie nie został nawet ślad. Anna raz po raz słyszała stukot obcasów o kamienną posadzkę, odgłosy rozmów, pokrzykiwania, śmiech. Tak właśnie brzmiała tutaj pewnie proza życia. Minęło pięć dni od śmierci Isabelli. Czy ci ludzie, którzy co chwilę przecinali hall to w jedną, to w drugą stronę, wciąż o niej pamiętali? Anna poruszyła się na krześle, założyła nogę na nogę i zabębniła palcami w poręcz. Zerknęła na Antonia. Nadal był na nią trochę zły. Kiedy wyszli z mieszkania Stefani Massimo, od razu zaczął przekonywać, że Annie potrzebna jest jakaś ochrona, że skoro Stefania miała w notesie zapisane jej numery telefonu, a teraz zniknęła, to niczego dobrego nie wróży. Ktoś mógł przecież za nimi płynąć. Wtedy, kiedy rozmawiały o nożyczkach. Ktoś mógł widzieć, że popłynęły w kierunku wyspy Foscari. Ktoś mógł je słyszeć, przecież głos po wodzie się niesie... A zatem ten tajemniczy, hipotetyczny „ktoś” ma pewnie na oku również Annę. A zatem Anna jest w niebezpieczeństwie. A zatem...

I tu już Anna przerwała monolog Antonia. Była przestraszona, zdenerwowana, smutna nawet, ale przede wszystkim zła. Wściekła. Że nie zachowała ostrożności. Że wystawiła tę dziewczynę na niebezpieczeństwo. Przepracowała przecież kilka lat w cholernej policji i powinna mieć głowę na karku, tymczasem najpierw wyciągnęła Stefanię na lagunę, a później pozwoliła jej samej wrócić do domu. Kazała uważać po drodze... Dobrze sobie. Powinna od razu zareagować właściwie na jej słowa. Zadzwonić do Antonia, zainteresować tą sprawą policję, podnieść alarm. A ona jak idiotka obiecała dziewczynie dyskrecję. Dyskrecję! Wiedziała przecież, że w takich sprawach dyskrecja nigdy nie jest dobrym pomysłem.

– Nie chcę żadnej ochrony – rzuciła, kiedy szli nad Rio de San Zulian.

W tamtym momencie doznała przykrego uczucia *déjà vu*. Kiedyś już mówiła, że nie chce żadnej ochrony. W Ystad. Nie zgodziła się na obecność policjanta w domu, więc w ramach kompromisu chwilowo zamieszkał u niej Ingvar. Doprowadził do szału Lempi swoimi kulinarnymi obsesjami, a później mało brakowało, by oberwał od Anny kijem do nordic walking.

– Anno, to niebezpieczne. Zrozum, musimy...

Anna przystanęła na Campo della Guerra, w pobliżu domu Marconich. Szła tak szybko, że zabrakło jej tchu i poczuła ukłucie pod żebrami. Wzięła głęboki wdech. Rozejrzała się. Nie... Nie mogła pozwolić na to, by po Wenecji włókł się za nią jakiś obcy *sbirro*.

– Żadnego ogona. Lepiej przyczep kogoś do Marconiego. I nie aresztuj go na razie, nawet jeśli jest podejrzany i mógł przyczynić się do zniknięcia Stefani.

– Bo na wolności ma większe pole manewru?

– Właśnie.

– Anno...

– Nie zaczynaj. Mogę ci jedynie obiecać, że jeśli będę się kiedyś wybierała na spacer bez ciebie, zabiorę ze sobą tego mojego kumpla z Polski. Bo i tak pewnie jeszcze nie kwapi się do wyjazdu.

– Ten Leon? Dlaczego on tu w ogóle przyjechał?

Zawahała się, ale w końcu postanowiła wziąć winę na siebie.

– Zaprosiłam go. Pracował na Tahiti, przygotowywał album. Powiedziałam, że mógłby tu wpaść, kiedy skończy. Po prostu. Raczej nie przewidziałam, że będę tropić mordercę... Z tobą.

Ruszyła w kierunku Palazzo Marconi, nie czekając na jego odpowiedź. A teraz wierciła się na krześle i bębniła palcami o poręcz. Wreszcie nie wytrzymała i wstała. Podeszła do Antonia i położyła mu dłoń na ramieniu. Drgnął.

– Nie złość się na mnie – poprosiła.

– Nie złoścę się. Tylko martwię. Żałujesz, że tu przyjechałaś? – zapytał.

Wpatrywała się przez chwilę w te niezwykle popielate tęczówki.

– Nie – odpowiedziała wreszcie, a z niego odrobinę uszło napięcie.

Obróciła się wokół własnej osi i rozejrzała po małym salonie. Z hallu ponownie dobiegały dźwięki rozmowy, śmiechy i stukot obcasów. Ktoś gdzieś włączył odkurzacz. W salonie unosił się zapach kawy i ciasteczek, którymi poczęstował ich asystent pani Foscari. Wskazówki dużego ściennego zegara obracały się powoli. Anna nie mogła już tego dłużej znieść. Valli również podniósł się z krzesła i podszedł do okna. Zerknął przez szybę, na budynki stojące po przeciwnej stronie kanału. Spojrzał na Annę z ukosa.

– Oglądałaś *Okno na podwórze*? Hitchcocka?

Zamarła. Przecież dokładnie o tym filmie myślała, kiedy znalazła się w pałacu przed pięcioma dniami. Zastanawiała się, czy sąsiedzi z naprzeciwka mogli coś zobaczyć.

– Chcesz z nimi pogadać?

Valli wzruszył ramionami.

– Karnawał... Wątpię, czy ktoś siedział w domu.

Anna podeszła do okna i stanęła obok Antonia. Znowu miała to wrażenie, że umyka jej jakieś skojarzenie. Tym razem chodziło o Hitchcocka, ale nie w kontekście filmu, który wymienił Valli. Nazwisko reżysera wywoływało w jej umyśle pewien obraz. Obraz... Zakrwawionych nożyczek. Zacisnęła mocno powieki i spróbowała się skoncentrować. Nożyczki, nożyczki. Co to było? *Psychoza*? Nie... A może... Może... Anna otworzyła oczy. Sięgnęła do torby, wyjęła telefon i weszła do sieci. Wpisała w wyszukiwarke nazwisko Hitchcocka. Valli nieśmiało zajrzał jej przez ramię.

– A ty co? Wybierasz sobie film na wieczór?

Mruknęła coś niewyraźnie w odpowiedzi. *Morderstwo, Oszustwo*? Nie... *Człowiek, który wiedział za dużo*? Nie... *Młody i niewinny*? Tam było coś o dziewczynie uduszonej paskiem, ale... Nie, to wciąż nie to. *Rebeka*? *Rebeka*... Nie, jednak nie. *Akt oskarżenia*...? *Nieznajomi z pociągu*?

Nieznajomi z pociągu. Nieznajomi... Kolejne skojarzenie wyparło poprzednie.

– Ja też lubię Hitchcocka – ciągnął Valli, widząc, że nie przerwała studiowania filmografii reżysera. – Moglibyśmy kiedyś obejrzeć coś razem. Jak to wszystko się skończy.

– Pewnie – odparła w zamyśleniu.

– I mogłabyś wyjść za mnie za mąż, otworzylibyśmy agencję detektywistyczną i fotografowalibyśmy niewiernych mężów...

– Pewnie.

– Ty mnie w ogóle nie słuchasz!

Anna oderwała wzrok od telefonu i spojrzała na Antonia nieprzytomnie. Faktycznie. Nie słuchała.

– Właśnie zaproponowałem, żebyśmy obejrzelili razem jakiegoś Hitchcocka...

– ...Super...

– ...A później, żebyś za mnie wyszła i żebyśmy otworzyli agencję detektywistyczną.

Roześmiała się.

– Fajnie. Tylko ja chcę jakieś porządne sprawy. Ty będziesz obstawiał zdradzane żony.

Valli chciał chyba coś powiedzieć, ale Anna zamachała nerwowo rękami.

– Bez sensu tu siedzimy. Mogliśmy w tym czasie z kimś porozmawiać. Z tym asystentem od ciastek, na przykład. Albo z kucharką. Ty wiesz, ile można wyciągnąć z takich kuchennych ploteczek? Idę poszukać toalety – powiedziała i mrugnęła.

– Anno...

– A ty tu siedź i jak przyjdzie Foscari, to mnie wezwij. Tylko z przyzwyczajenia nie rycz do słuchawki, tak jak wtedy, gdy rozmawiasz z resztą populacji.

Antonio miał zamiar zaoponować, ale Anna już pchnęła drzwi i po chwili znalazła się w złocistym hallu. Cholerny Hitchcock, cholerni nieznajomi, nożyczki i inne okna na podwórza... Annie po raz kolejny wymknęło się owo tajemnicze skojarzenie. Schowała telefon do kieszeni i ruszyła przed siebie. Zamierzała dobrze się tutaj rozejrzeć.

Roberto Capelli w milczeniu przyglądał się Livii Foscari. Malowała się. Musnęła różem policzki. Ręce jej drżały. Pomyślał, że jeszcze chwila i całkiem się rozsypie. Nie była silna. Mógł to przewidzieć. Ale ostatecznie – i tak zamierzała wyjawić prawdę. Musiała tylko zrobić to... w odpowiedni sposób. Bo jedna prawda z drugą wcale nie muszą się pokrywać. Prawdę mogła powiedzieć Livia i prawdę mógł powiedzieć Luigi Marconi, co wcale nie oznacza, że powiedzieliby to samo. Ważna jest perspektywa. I to, w co kto wierzy. A jeśli by do tego wszystkiego dołączyć prawdę Roberta Capellego...

Czy powinien nakłonić ją, by jeszcze poczekała? By mieli coś więcej ponad to, co udało im się dowiedzieć i ustalić? Co Livii udało się dowiedzieć... Nie, nie Livii. „Im”. Roberto musiał to sobie ciągle powtarzać. Musiał się poprawiać, zanim chlapnie coś głupiego przy policji albo przy Luigim. Przy policji jeszcze, ale Marconi w lot pojawiłby w czym rzecz. I wtedy nie wiadomo, co by mu przyszło do głowy. Wciąż pozostawał niebezpieczny, wciąż mógł wszystko zepsuć. Choć przecież sukces był bliski.

Tylko że Livia się bała. Może teraz faktycznie był dobry moment? I należało odpowiednio urobić tego skrzywionego policjanta i jego szwedzką pseudopomoc? Mógłby się nią zająć. Vallego zostawiłby Livii.

Tylko czy mógł jej teraz w pełni zaufać?

Zimno. Stefania trzęsała się i nie mogła nad tym zapanować. Miała na sobie suknię, w którą ją przebrał. I cienką pelerynę. Pewnie właśnie dostała gorączki. Zimno. Złamana noga, ręka, której nie czuła. Powieki powoli opadały. Wiedziała, że nie powinna spać. Ale była słaba. Głodna. I zziębnięta. To przede wszystkim. Przejmujący chłód. Nie mogła się przed nim ukryć. Wszystko było zimne. Ziemia. Ściany studni. Powietrze spływające przez okrągły otwór.

Niebo zrobiło się szare i Stefania przez chwilę zastanawiała się nad tym, co zrobi, jeśli spadnie

deszcz. Głupie dumanie. A co takiego mogła zrobić? Ostatecznie deszcz nie byłby zły. Przyspieszyłby pewne sprawy, których i tak nie dało się uniknąć. Ziewnęła. Pozwoliła powiekom opaść. Nie czuła już bólu, ale to zimno...

Zapach. Męskie perfumy. Pachniał znajomo. Zawsze tak pachniał. Po raz pierwszy zwróciła na to uwagę przed trzema laty, kiedy podszedł do niej któregoś dnia po pracy. Przysunął się bliżej niż zwykle. Dał jej bransoletkę. Zaproponował kolację. Zgodziła się, choć wbrew sobie. Ale przez chwilę poczuła się lepsza, kiedy siedziała w drogiej restauracji, nad drogim daniem i z kieliszkiem drogiego szampana w dłoni. Nikt nigdy tak jej nie traktował. Ale w oczach Marconiego ujrzała ten dziwny błysk. Obawa. Luigi Marconi obawiał się jej. Stefania nie zwróciła uwagi swojego szefa tak jak inne młode, naiwne, ładne dziewczęta. Marconi chciał uspić jej czujność. Wkurzyła się. Nie miała ochoty na romans z mydleniem oczu. Wolała pieniądze. Nie żądała ich zresztą za nic – przecież ciężko dla niego pracowała. Szybko to zrozumiał. Dobrze płacił za jej milczenie. I tak mogło zostać. Ale zginęła Isabella, a to oznaczało, że Marconi się nie patyczkował. Widocznie miał jakiś zapas cierpliwości, który dla tamtej już się wyczerpał.

Ile miał cierpliwości dla Stefanii? W którym momencie przesadziła? Kiedy odmówiła wyjazdu do Austrii, by załatwić sprawę kukły z tamtejszym artystą? Kiedy zażądała podwyżki za Francuzów? Kiedy spotkała się z Anną Lindholm? Tak, na pewno chodziło o to ostatnie. Wcześniej wszystko, co robiła Stefania, pozostawało między nią i Luigim. Nawet Livia Foscari o wszystkim nie wiedziała. Teraz jednak Stefania przesadziła. I wszystko dlatego, że nie chciała, by spotkał ją los Isabelli Lomi. Nie zamierzała przymykać oka na szaleństwo Marconiego. No i miała za swoje...

Dlaczego to zrobił? Czym zawiniła ta biedna, głupia Isabella? I co wydarzyło się wtedy w gabinecie? Kogo zabił tymi nożyczkami? Kogo zabili? On i Livia? A może ona też dowiedziała się po fakcie?

Suknia. Przebrał ją. Tak samo jak Isabellę.

Francuzi nie byli zadowoleni. Luigi Marconi wezwał szybko tłumacza, ale on nie znał szczegółów kontraktu, nie miał pojęcia o wcześniejszych ustaleniach, nie brał udziału w żadnym spotkaniu. Stefania rozegrałaby to inaczej. Znała się na rzeczy. Niekiedy załatwiała wszystko sama, a on tylko kiwał głową, uśmiechał się i składał podpis. Szykował dla niej za to niespodziankę. Wiedział, że marzyła o wyjeździe z Wenecji do miejsca, w którym byłoby sucho. Pomyślał o Weronie. Chciał, by zarządzała tamtejszym salonem. Interesy w Weronie szły bardzo dobrze, a zysk był szczególnie wysoki w lutym, kiedy na walentynki do miasta Romea i Julii zjeżdżali zakochani. Srebrne i złote serduszka szły jak woda. Zwłaszcza że oferta Marconiego przewyższała inne. Jeśli tylko ktoś miał odpowiednie fundusze...

A teraz co? Francuzi ociężale podnosili się z krzeseł. Mamrotali coś. Entuzjazm opadł. Dlaczego? Kolekcja się nie zmieniła. Marconi wciąż miał do zaoferowania dobry towar. Tyle tylko, że nie rozumiał szczegółów umowy, nie potrafił negocjować, iść na kompromis, w ogóle nic nie umiał. Był jubilerem, nie biznesmenem. Bez Stefanii Massimo nic nie mógł.

Co za fatalne odkrycie! W takim momencie! Że też musiała spotykać się z tą głupią szwedzką policjantką, której naopowiadała nie wiadomo co. Z nim mogła najpierw pogadać! Bezpośrednio z nim. Wszystko by jej wytłumaczył. Zaproponował tę pieprzoną Weronę i sprawa rozeszłaby się po kościach.

Może by jej nawet opowiedział, co zrobił przed trzema laty? Przecież chciała wiedzieć. Na pewno bardzo by się zdziwiła.

Stefania jednak wolała się narazić i zniknęła. Z szaleńcami nie ma żartów. Luigi był wściekły. I przerażony, co odkrył ze zdumieniem. Jak się teraz czuła? Czy jeszcze... w ogóle coś czuła?

Pożegnał Francuzów, którzy obiecali się wkrótce odezwać. Następnie poszedł do swojego gabinetu i zamknął drzwi na klucz.

Lodowaty pot zrosił mu czoło.

Czy mógł jeszcze uratować Stefanię?

Najpierw Annę zaskoczyło to, że Palazzo Marconi miał wewnętrzny dziedziniec, wyglądem bardzo zbliżony do tego, który widziała w domu dramaturga Goldoniego. Na masywnych kolumnach wspierały się strome schody, a pośrodku stała stara studnia, zdobiona płaskorzeźbami o fantastycznych kształtach. Ściany pomalowano na bladą róż, a tu i ówdzie dało się zauważyć odsłonięte cegły. Nad głową Anny rozpościerał się prostokąt czystego dziś nieba. Na dziedzińcu panowała niczym niezmacona cisza, tak głucha, że można było poczuć się nieswojo. Anna rozejrzała się na boki i na palcach minęła studnię. Zbliżyła się do klatki schodowej i postawiła stopę na pierwszym stopniu. Spojrzała przed siebie. Dokąd prowadziły te schody? Dom Marconich przypominał labirynt i Anna przez chwilę miała wrażenie, że bardzo łatwo mogłaby się tutaj zgubić. Pokonała chwilowe wahanie i zaczęła się wspinać. Każdy jej krok niósł się po dziedzińcu cichym echem. Pomyślała, że jeśli natknie się na kogoś właśnie tutaj, historyjka o poszukiwaniu toalety zabrzmi wyjątkowo głupio.

Kiedy stanęła u szczytu schodów, rozpostarł się przed nią korytarz z gotyckim sklepieniem. Podłoga pokryta była siwą warstwą kurzu, a w powietrzu wirowały srebrzyste drobinki. Korytarz nie wyglądał na całkiem nieuczęszczany, ale z pewnością korzystano z niego rzadko. Na posadzce widniały nieliczne ślady butów. Anna pochyliła się i przyjrzała im z uwagą. Pierwsze wrażenie okazało się słuszne. Ślady pozostawiła po sobie jedna osoba. Albo kilka osób, w dokładnie takich samych butach. Anna ruszyła po śladach, które doprowadziły ją na sam koniec korytarza. Urywały się po lewej stronie i ginęły pod drewnianymi, odrapanymi drzwiami. Pod ścianą Anna zauważyła coś jeszcze. Inny ślad. Jak gdyby ktoś... coś tędy ciągnął. Przykucnęła i wyjęła z torby telefon. Zrobiła kilka zdjęć, uruchomiła kamerę, przeszła się z nią wzdłuż ściany i zawróciła pod odrapane drzwi.

– *Signora? Signora Lindholm?* – usłyszała za plecami.

Poczuła, że zasycha jej w gardle. Obróciła się i zobaczyła rozciągnięte w uśmiechu wargi asystenta Livii Foscari.

Komisarz Valli w zadumie żuł ciastko. Tego się nie spodziewał. W życiu. Od kilkunastu minut wpatrywał

się tępo w Livię Foscari, która... grała na wiolonczeli. Fugę Bacha. A przynajmniej tak mówiła, Antonio nie bardzo się znał na fugach Bacha. Ten cały świętej pamięci mąż Anny – on by wiedział. Znał. Koneser. Wielbiciel nie tylko muzyki klasycznej i opery, ale też pięknych śpiewaczek. A konkretnie jednej. Jedna w zupełności wystarczyła, żeby zdradzić z nią Annę. Antonio zupełnie człowieka nie rozumiał. Czuł, że by się nie dogadali.

Livia Foscari grała swoją fugę, a on zastanawiał się, jak do tego doszło. W myślach wciąż odtwarzał moment, kiedy pani domu wsunęła się do gabinetu, a w ślad za nią zjawił się ten dziwny asystent. Roberto Capelli. Z wiolonczelą.

– Przepraszam, ale zawsze o tej godzinie ćwiczę – oznajmiła z wyższością żona Marconiego i wetknęła sobie instrument między uda.

Valli nie zdążył się odezwać. Wymienił tylko spojrzenie z Robertem Capellim, który zatrzymał się w progu, wzruszył ramionami i postukał się palcem w czoło, a następnie wskazał swoją szefową. No... Że była świrnięta, tego już Antonio się domyślił. I ponownie – zanim zdążył coś zrobić, Roberto Capelli wymknął się z salonu. A Livia Foscari zaczęła grać. Valli zdębiał. Miał jej przerwać? Mógłby. Stając przed nią, wyrwać jej z ręki ten smyczek czy jak tam zwał i kazać odstawić pudło pod ścianę. Ale to oznaczałoby wojnę. A Antonio chciał mieć w Livii Foscari przyjaciółkę. Czuł, że ona coś wie i może być bardzo pomocna, tylko z jakiegoś powodu na razie nie chce. I jeszcze... Miał wrażenie, że ten koncert został tutaj urządzony celowo. Właśnie teraz. Właśnie przed nim. Pomyślał o Annie i dyskretnie wystukał do niej wiadomość. Następnie spojrzał na dłonie Livii Foscari. Drżały. Valli nie wiedział nic o grze na wiolonczeli.

Może tak miało być?

Wątpił w to.

Dopiero po chwili Anna zorientowała się, że zdrętwiały jej palce, które kurczowo zacisnęła na telefonie. W głowie pojawiały się kolejne pomysły na usprawiedliwienie swojej obecności w tym korytarzu, ale wszystkie wydawały się bez sensu. Chrząknęła nerwowo i wrzuciła telefon do torby. To również był błąd. Mogła zadzwonić do Antonia. Wysłał jej wiadomość, której nie zdążyła przeczytać. Powinna teraz przynajmniej spróbować się połączyć, powiedzieć, gdzie jest, zanim... A właściwie dlaczego uważała, że ten mężczyzna, ten jakiś asystent czy ktoś, miał wobec niej złe zamiary? Może był zwykłym, normalnym gościem? I tylko przypadkiem szcherzył się tak, jak wszyscy psychopaci w horrorach... Anna cofnęła się o krok i oparła plecami o ścianę. W tym miejscu kończył się korytarz. Przełknęła ślinę.

– *Signora?* Dobrze się pani czuje?

„Dobrze się pani czuje?”. To samo pytanie zadał jej ten cholerny Marconi. Może rzeczywiście powinna popracować nad mimiką? Uniosła głowę i spróbowała się uśmiechnąć. Miała tylko nadzieję, że efekt nie był taki sam, jak u jej aktualnego rozmówcy.

– Tak. Szukałam toalety i... Tak jakoś...

„Tak jakoś”. Nic lepszego nie przyszło jej do głowy.

– Tutaj pani szukała? – asystent roześmiał się głośno.

– No...

– I przy okazji coś pani ciekawego znalazła? – mężczyzna spoważniał.

– Nie wiem.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Anna usiłowała przypomnieć sobie, jak się ten człowiek nazywał. Zupełnie wypadło jej z głowy. A przecież przedstawiał się ponownie przed godziną. Później też o nim rozmawiali. Zaraz... Na pewno Roberto. Ale co z nazwiskiem? Brzmiało podobnie jak u Szekspira. Capuletti, Capeletti... Capelli! Roberto Capelli. Anna nie miała pojęcia, dlaczego fakt, że przypomniła sobie nazwisko tego mężczyzny, przyniósł jej chwilową ulgę.

Roberto Capelli sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął klucz. Nie spuszczać wzroku z Anny, otworzył odrapane drzwi i zaprosił ją gestem do środka. Weszła w ciemność. Słyszała kroki Capellego za sobą i szcęk zamykanych drzwi. Niczego wokół siebie nie mogła dojrzeć. Wreszcie nad jej głową rozbłysło światło. Pojedyncza żarówka zakołysała się smętnie i wydobyła pomieszczenie z mroku. Anna zobaczyła rzędy regałów uginających się od starych książek, kilka zabytkowych kufrów i manekiny obleczone w barokowe suknie, z których unosiły się obłoki kurzu. I jeszcze maski. Mnóstwo weneckich masek zawieszonych na ścianie. Zadrzała. Czuła się w tym pomieszczeniu wyjątkowo nieswojo, jak gdyby... Coś wisiało tutaj w powietrzu. Coś, co wydarzyło się między tymi ścianami i pozostawiło po sobie ślad, zagęściło atmosferę. Dlaczego on tutaj przychodził? Ten człowiek?

Anna obróciła się i spojrzała na Capellego. Uśmiechał się nadal, tym razem drwiąco.

– Szuka pani sensacji. Zgadłem?

– Nie sensacji. Raczej prawdy.

– Prawdy! – prychnął.

Minął ją i podszedł do jednego z regałów. Spomiędzy książek wydobył butelkę wina.

– Napije się pani? Niestety nie mam kieliszków. Nigdy jeszcze nikt mnie tutaj nie odwiedził. Nikt spoza... domu. To co?

Powoli pokręciła głową, ale podeszła bliżej i przyglądała mu się, kiedy pociągnął łyk prosto z butelki. Kątem oka zauważyła bryłowy kształt w rogu. Spojrzała w tamtą stronę i zobaczyła dwie duże walizki, ułożone jedna na drugiej. Z wrażenie zrobiło jej się gorąco, ale starała się nie okazywać nadmiernej ekscytacji.

– Nikt pana nie odwiedza? A co pan tutaj w ogóle robi?

Capelli pociągnął kolejny łyk i otarł usta wierzchem dłoni.

– To samo, co pani. Szukam prawdy.

– Nie rozumiem.

– Oczywiście, że nie! Widzi pani te wszystkie książki? Te graty? Szukam w nich prawdy. Na jej prośbę. A właściwie nie prośbę. Zaangażowała mnie do tego. Płaci mi. Nieźle. Nie mogę narzekać, więc robię to, czego ode mnie oczekuje.

– Kto?

– Livia Foscari.

– Ale co pan robi?

– Piszę historię jej rodziny.

Mężczyzna umilkł, by ponownie napić się wina. Anna nic na to nie odpowiedziała. Trawiła zasłyszaną informację w ciszy i usiłowała zapanować nad gonitwą własnych myśli. Capelli podjął przerwany wątek:

– Właśnie piszę, nie odkrywam. Mam tu różne dokumenty i staram się je do siebie dopasować, a luki uzupełniam pierwszorzędną fabułą. Dramatyczne dzieje „gorszych Foscari”. Serio, pani też by się wciągnęła. Być może kiedy już z tym skończę, zacznę pisać powieści.

– Ale po co to wszystko?

– Już mówiłem. To moja praca.

– I tylko tyle?

Capelli uciekł wzrokiem. Zaczął w zadumie skubać róg jednej z ksiąg.

– Nie. Ona... Moi rodzice pracowali z jej rodzicami. Nic specjalnego. Jakieś urzędowe bzdury. W administracji. Tyle tylko, że dla moich rodziców to była praca uczciwa, dobra, zajęcie godne przyzwoitych i w miarę wykształconych ludzi. A dla rodziców Livii...

– Społeczna degradacja – domyśliła się Anna.

– Otóż to – Capelli pokiwał głową z uznaniem. – Ci Foscari nie mogli tego przeżyć. Zapomnieć o rodowej posiadłości na tej cholernej wysepce. O swojej małej winnicy... Wiedziała pani, że mieli winnicę na lagunie? Wytwarzali dobre wino, na tym się dorobili. A przynajmniej na tym też, bo na czym jeszcze, to już nikt dokładnie nie wie. No i ci Foscari zawsze tak narzekali na tę degradację, na utratę majątku po wojnie, na spadek w hierarchii, na to, że muszą pracować obok ludzi niżej urodzonych, wykonywać prozaiczne zajęcia, podczas gdy ich przodkowie... Bła bła bła. I tak w kółko.

– Ale... – spróbowała się wtrącić, jednak nie dał jej dojść do głosu.

– Słuchałem o tym non stop! Ci ludzie w ogóle nie rozumieli, w jakiej rzeczywistości przyszło im żyć. Nie rozumieli nic! Co za znaczenie ma teraz to, w jakiej rodzinie kto się urodził? No jakie? Niech mi pani powie! Pani patrzy na mnie, pani nie wie... Pani myśli, że jestem pijany. Może jestem. Często piję. Takich butelek pochowanych między książkami mam tu mnóstwo. Poprosiłem ją o rękę, wie pani? Kiedy mieliśmy po dwadzieścia trzy lata. Skończyłem studia. Jestem księgowym z wykształcenia. Takim smutnym panem w szarym garniturze, co to sumuje cyferki przez osiem godzin, a na obiad zawsze wraca do domu, nigdy nie je na mieście. Tak się nas postrzega, urzędasów, biurowych wyrobników.

Capelli roześmiał się histerycznie. Anna milczała.

– Miałem dobrą pracę. I mieszkanie. Ta cała kamienica przy Calle Fiubera sypała się Foscarim na głowy. Pieniądzy z pensji urzędniczej nie starczało na niezbędne remonty, a oni nie chcieli słyszeć o przyjęciu lokatorów. Pani sobie wyobraża? Po co im były trzy piętra? Dla trzech osób? I tak zajmowali tylko dwie sypialnie i salon. Ale nie! Dumni byli.

– Arystokracja... – mruknęła cicho.

– Tak! Arystokracja pieprzona! Nie miał się nimi kto zająć, nie miał kto nimi pokierować. Przydałby się im syn z głową na karku, ale mieli tylko Livię, a ona zawsze sprawiała kłopoty. Cierpiała na różne neurozy, depresje czy co tam... Wciąż w nerwach, wciąż rozedrgana. Nie nadawała się do żadnej pracy. Ale ja...

– Pan i tak się w niej zakochał – dokończyła. Uśmiechnęła się ponuro. Mężczyźni jakoś dziwnie lgną do neurotyczek.

– Zakochałem się – przyznał Capelli. – Poprosiłem ją o rękę. I ona zamierzała się zgodzić. Ale rodzice oczywiście nie mogli tego przełknąć. Gdzie tam! Księgowy! Urzędas. Syn urzędasów! Z Cannaregio! Z Cannaregio, które jest prawie jak wieś. Nie chcieli się zgodzić. Mogła ich nie słuchać. To w końcu nie epoka wiktoriańska, był rok dziewięćdziesiąty piąty. Ale ona coś bełkotała o honorze rodziny... Pani nie wierzy? Ja też nie wierzyłem! Ale tutaj chodziło o co innego.

– Pojawił się Marconi – domyśliła się.

– Pojawił się Marconi – powtórzył jak echo. – Przystojny. Też z plebsu, jak ja. Z Cannaregio. Ale obrotny. Omotał ich opowieściami o świecidełkach i swojej kreatywności, o wizjonerskich projektach, które zaczynały cieszyć się uznaniem. Zapraszał Livię na wycieczki, dawał biżuterię...

Roberto przerwał, by napić się wina, a Anna przypomniała sobie, że to samo mniej więcej mówił Luca Pozzi, kiedy rozmawiali w kawiarni. Jego wypowiedź dotyczyła Isabelli. Marconi kupował dziewczynie biżuterię, zabierał na drogie wycieczki... Widać taki miał sposób na adorowanie kobiet. I zawsze wybierał te, którym ów sposób imponował.

– Livia długo grała niedostępną. Może wciąż mnie kochała, a może po prostu nie chciała mnie zranić. W końcu odeszli jej rodzice. Najpierw ojciec, po dwóch latach matka. Stary Foscari miał wylew, ale jego żona... Zginęła tragicznie.

– Co ma pan na myśli? – spytała Anna szybko.

– Otruła się. Kiedy zaczynał się sezon, zawsze opuszczała na kilka dni Wenecję i jechała do lasu. Na grzyby.

– Na grzyby... – Anna już wiedziała, jaki będzie dalszy ciąg tej historii.

– Właśnie. Pomyliła się podczas zbierania. Po raz pierwszy w życiu. O jeden za dużo. A później skonsumowała swoją pomyłkę. Dobrze, że nie poczęstowała córki. Livia nigdy nie lubiła grzybów.

– O mój Boże. Ale... Przecież jeśli zbierała grzyby co roku, to powinna coś o nich wiedzieć. Doświadczeni grzybiarze nie myślą się ot tak, po prostu.

– Zawsze jeździła na grzyby w towarzystwie swoich przyjaciółek z Weroni. Wtedy po raz pierwszy pojechała sama. Widać wcześniej bazowała na ich wiedzy. I myślała, że czegoś się nauczyła.

– To bardzo dziwne. Nie uważa pan? – podejrzenia mnożyły się w głowie Anny. Jakoś jej to wszystko nie grało.

– Owszem, dziwne. Ale tę sprawę dokładnie zbadano.

Skrzywiła się. Przypomniała sobie, co na temat dokładności weneckiej policji mówił Antonio, a nawet – pośrednio – Stefania Massimo. Mogła się tylko domyślić, jak „dokładnie” tę sprawę zbadano.

– Livia została sama – kontynuował Capelli. – Wtedy nic już nie stało na przeszkodzie, by związała się ze mną.

– Bardzo fortunnie – wcięła się znowu i przemknęło jej przez myśl, że chyba igra z ogniem. W oczach Capellego zapłonęła złość.

– Ja wiem, jak to może wyglądać z boku. I tak, nie ukrywam, zamierzałem wykorzystać tę sytuację. Już wtedy, kiedy umarł ojciec Livii. Myślałem, że z matką pójdzie mi łatwiej, że ją urobię. Ale to ona była bardziej zatwardziała i nieprzychylna naszemu związkowi. I uwielbiała Marconiego. Oczywiście! Myślałem, że Livia też zamierzała ją do naszego planu przekonać powoli, że nie chciała iść z matką na wojnę. Ale kiedy starsza pani Foscari umarła...

– Livia i tak wyszła za Marconiego.

– Owszem. Wzięli ślub, po kilku latach kupili tę kamienicę. Nie wiem, czy zakochała się w nim, czy w jego forsie. Ja tyle co on nie miałem, to pewne. I jak się okazało, księgowym też nigdy nie byłem zbyt dobrym. Kilka fatalnych błędów w jednej firmie i wyleciałem na zbity pysk, a smród ciągnie się za mną do dziś.

– Ona panu pomogła? Livia Foscari? – zapytała. Głos miała zachrypnięty.

Capelli kiwnął głową.

– Dała mi tę pracę. Pewnie miała wobec mnie wyrzuty sumienia. Tak mi się teraz wydaje. Bo ja długo miałem żal do niej. O to, że nie związała się ze mną, choć nic nie stało już na przeszkodzie. Wie pani, co myślę? Że jej tak naprawdę podobała się zabawa w nieszczęśliwą, zakazaną miłość. A później czar prysł.

– To pamiątki z jej domu?

– Tak. Z Calle Fiubera. Wszystkie. Poza kilkoma maskami karnawałowymi, które kupiła później. Tutaj też... – Głos Capellego zadrżał. – Tutaj też trzymaliśmy tę cholerną kukłę. Z balu. Żeby nikt jej nie widział przed imprezą.

Serce Anny zabiło szybciej. Spojrzała na mężczyznę uważnie.

– I co? – zapytała zniecierpliwiona.

– W związku z czym?

– Niczego pan nie zauważył? Nikt się tutaj nie włamał, nie próbował...

– Wiem, do czego pani zmierza. Nie, nic podejrzanego się tutaj nie działo. Powiem więcej: ja sam się wszystkim zająłem. Przywiozłem do Wenecji kukłę i strój dla niej. Później przechowałem ją tutaj. Jeszcze później zniosłem na dół. Przygotowałem stos. Sam ubrałem lalkę w suknię, wcześniej ją uczesałem.

– Ubierał ją pan na dole?

– Tak. Tak było wygodniej niż targać w kiece po schodach i przez korytarze. Wokół mnie wciąż chodzili jacyś ludzie. Wyjąłem lalkę z worka, a właściwie z worków. Jeden miała na głowie, w drugi była zapakowana do ramion. Wciągnąłem na nią suknię. Położyłem ją, przykryłem gazą, żeby nic się nie zniszczyło i...

– A pokrowiec na wiolonczelę? Wie pan, że w nim właśnie znaleziono lalkę? Bez sukni?

– Wiem. Ale dlaczego? Tego już nie wiem. Pokrowcem, a właściwie wiolonczelą, również zajmowałem się ja. Poszedłem nastroić instrument, żeby Livia mogła zagrać po północy na balu. Przyniosłem go do domu i miałem zostawić w tym małym korytarzyku, w którym znaleźliście pokrowiec. Jeśli mam być szczerzy... Byłem przy tym wszystkim cały czas. Przy wiolonczeli, pokrowcu, przy lalce... Nie wiem, jak ktoś mógł zrobić podmianę. Uważam, że to nie było możliwe.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Anna poczuła wibracje w torbie i wyciągnęła telefon. Dzwonił Valli. Odebrała i usłyszała urocze: „Czy już ci trochę przeszedł ten rozstrój żołądka? Może potrzebne ci są jakieś leki? Strasznie długo siedzisz w tej toalecie”, wycedzone niemal przez zęby.

– Zbieraj się stamtąd – przerwała mu. – Pan Roberto Capelli zaprowadzi cię w jedno ciekawe miejsce. Zadzwoń po techników. Ja już tutaj czekam.

Rozłączyła się i spojrzała w smutne oczy Capellego.

– To konieczne? – zapytał i odstawił między książki butelkę z winem.

– Oczywiście. I tak będzie pan miał duże kłopoty. Powinien pan od razu powiedzieć o tym miejscu policji. Od razu!

Anna odwróciła się i podeszła do ściany, pod którą leżały przepastne walizy, ułożone jedna na drugiej. Nie słyszała, by Capelli ruszył się z miejsca. Zerknęła przez ramię, po czym pociągnęła za suwak pierwszej walizki. Zajrzała do środka. Wstrzymała oddech, kiedy zobaczyła wytłoczony we wnętrzu złoty trapez. Wyprostowała się i zawołała:

– Niech pan już idzie! *Commissario* czeka na pana w tym małym salonie, na dole. Na co pan czeka?

Capelli niepewnie zaszurał nogami. Kiedy znajdował się przy drzwiach, Anna zadała jeszcze jedno pytanie, które powinna zadać mu już wcześniej:

– Dlaczego właściwie nie powiedział pan policji o tym miejscu?

– Bo mnie o to prosiła. Livia.

Schodził powoli, stopień za stopniem. Ten komisarz na pewno dzwonił już po techników. Livia przestała grać. Co teraz robiła? Czy zdążyła z nim porozmawiać? Czy Antonio Valli odważył się przerwać fugę Bacha? Nie. Nie odważył się. Livia Foscari ze smyczkiem wyglądała jak królowa z berłem. Budziła respekt. Poza tym Valli na pewno nie chciał jej spłoszyć. Roberto Capelli znał się na takich, jak on. Sporo książek w życiu przeczytał. Potrafił obserwować i wyciągać wnioski. A poza tym miał już przecież

do czynienia z różnymi osobami... Ryzykował nie raz. I nie raz kłamał. Nikt się nie zorientował.

Nawet Anna Lindholm.

A jednak mu przeszkodziła. Plan się nie powiódł. Mieli siedzieć tam razem, ona i policjant, w salonie. Słuchać zaimprovizowanego koncertu Livii. Tracić czas. Głupiec. I nawet gdyby nie wzbudziła w nich respektu, gdyby nie dostrzegli w *signorze* Foscari królowej z berłem, rozmowa i tak zajęłaby im co najmniej pół godziny. Pewnie więcej.

Przecież zaginęła Stefania.

Czy Livia zdążyła się uspokoić? Wiolonczela zawsze pomagała. Była jak balsam na jej zszargane nerwy. Czy pomogła i teraz? Capelli przystanął na ostatnim stopniu. Po raz kolejny wróciło do niego to samo pytanie.

Czy Livia porozmawiała już z komisarzem Vallim na temat swojego męża?

Rozdział 21

Kiedy opuszczali Palazzo Marconi, na dworze zapadł już zmierzch. Z trudem przecisnęli się przez Campo della Guerra, gdzie bawili się w najlepsze uczestnicy weneckiego karnawału. Jakiś Arlekin zaszedł Annie drogę i próbował zaprosić do restauracji na kieliszeczek prosecco, ale Antonio objął ją ramieniem i poprowadził w kierunku kanału, gdzie czekała już na nich łódź. Na pokładzie Stefano gawędził z pilotem. Pokazywali coś lub kogoś w tłumie i raz po raz wybuchali śmiechem. Z pewnością woleliby teraz dołączyć do wielobarwnej, hałaśliwej zgrai, zamiast pływać między kamienicami, omijać wyśpiewujących miłosne trele-morele gondolierów i zajmować się tak przykrymi sprawami, jak morderstwa.

Pilot ziewnął przeciągle, ale kiedy zauważył Annę, uśmiechnął się i pomógł jej wejść do łodzi. Stefano posłał koledze lodowate spojrzenie. Anna wołała udawać, że tego wszystkiego nie zauważyła. Umościła się na siedzeniu i czekała, aż swoje miejsce zajmie Valli. Stefano usiadł przy boku pilota, ale obrócił się przodem do niej i komisarza. Kiedy łódź odbiła od brzegu, sytuacja nagle stała się bardzo niezręczna. Teraz, kiedy nie skupiali się już na przedzieraniu przez tłum na placu, wchodzeniu na pokład, zajmowaniu miejsc i tym podobnych rutynowych czynnościach, musieli ponownie skoncentrować się na pracy. A odkrycie tajemniczego pokoju Roberta Capellego każdemu zwarzyło humor. Minęło pięć dni od zabójstwa Isabelli Lomi i jeśli morderca rzeczywiście tam był, jeśli tam właśnie podrzucił walizkę z wytłoczonym trapezem, który przecież idealnie pasował do śladu na plecach dziewczyny, to z pewnością zdążył już po sobie posprzątać.

Wezwani przez Vallego technicy wciąż jeszcze siedzieli na miejscu, przeglądali wszystko krok po kroku i przekazali walizkę z trapezem do analizy, ale Anna miała dziwne wrażenie, że niczego ciekawego tam nie znajdują. Roberto Capelli wszystko jej powiedział. To on był odpowiedzialny za przygotowanie kukły na bal. On ją przywiózł do domu. On ją ubrał. Ślady na korytarzu, które wskazywały na to, że ktoś coś ciągnął po podłodze, z pewnością były właśnie śladami pozostawionymi przez przesuwaną pod ścianą walizkę. Ale skoro Capelli zniósł później kukłę do hallu i tam ją ubierał, a wokół wciąż kręcili się ludzie i trwały przygotowania do balu, to komu udało się podmienić tę lalkę na ciało młodej dziewczyny? Kiedy? W jaki sposób? Capelli uważał, że to nie było możliwe. A jednak stało się.

Annie cała ta zbrodnia wydawała się mocno przerysowana, poddana nadmiernej teatralizacji, niemal karykaturalna. To było morderstwo żywcem wyrwane z jakiejś sztuki Szekspira, przypominało artystyczny manifest i miało wywołać określony efekt. Właśnie – efekt. Tylko jaki? Przestraszyć kogoś? Zmusić do konkretnej reakcji? Ukarać? Upokorzyć Isabellę, sprowadzając ją do roli kukły? Złożyć dziewczynę na ołtarzu, jak ofiarę dla pogańskich bogów? Dlaczego morderca zadał sobie tyle trudu? Anna była bardzo ciekawa, czy technikom uda się znaleźć coś jeszcze w tajemniczym pokoju Capellego. A jednocześnie nie mogła przestać myśleć o starym dziadku Ronsardzie, który przypominał Zygmunta Freuda. O rewolwerze Apaszów. O nożyczkach. Hitchcocku. I zaginionej Stefanii Massimo. O niej przede wszystkim. Wciąż nie wiadomo było, gdzie przebywała. Anna miała złe przeczucia. Podejrzewała Marconiego i dobijała ją własna bezsilność.

Ostatecznie mogła poprosić Antonia, by zatrzymał jubilera i poinformował go, że wie o sytuacji sprzed trzech lat. O nożyczkach i kłamstwie na temat zachowania żony, która się rzekomo nimi okaleczyła. Ale –

niestety – nie istniały już na to żadne dowody. Rozmowa Stefanii z Anną miała charakter nieoficjalny i nie została nigdzie zarejestrowana. Sama Stefania zniknęła. Marconi tylko by ich wyśmiał i schował się za plecami jednego ze swoich elokwentnych prawników. Zatrzymywanie tego faceta nie miało na razie najmniejszego sensu. Anna przygryzła wargę. Za mocno. Antonio ścisnął jej dłoń.

– Znajdziemy tę dziewczynę – szepnął.

Uśmiechnęła się smutno. Rozejrzała się i zorientowała, że wpłynęli już na Rio de San Aponal. Po chwili pilot zatrzymał łódź pod jednym z domów na Calle Luganegher. Obrócił się przez ramię i spojrzał na Annę. Niechętnie podniosła się z miejsca.

– Poczekajcie tu – rzucił Valli i wysiadł razem z nią.

Stanęli obok siebie na schodkach.

– Chcę pogadać z tym twoim Leonem – rzucił ponuro. – I nadal uważam...

– Nikt nie będzie się za mną snuł po Wenecji – ucięła.

Wyjęła klucz i otworzyła drzwi. Wiedziała, że będą na nią czekać. Obiecała przecież rozmowę, wyjaśnienia i tak dalej, ale teraz w ogóle nie miała na to ochoty. Myślała... Wciąż o czymś myślała, usiłowała dogonić wymykające jej się skojarzenia, poskładać wszystko w sensowną całość, trafić na ślad... Stefanii. I dowiedzieć się, o co chodziło z tymi cholernymi rewolwerami Apaszów u Marconiego. Z rewolwerem u Ronsardów. Z rewolwerem u Isabelli. Jak to się stało, że Marconi tam go właśnie widział? Cholera! Jak? Yves Ronsard jej go podarował? Ukradła go? Pożyczyła?

I jeszcze matka Marconiego! Czy ona mogła okazać się ważna w całej tej sprawie? Czy warto było tracić czas na rozmyślanie akurat o niej? A o innej matce? Starszej pani Foscari, jak określił ją Roberto Capelli, która zatruta się grzybami? A Fabio Esposito...?

To wszystko musiało się ze sobą łączyć. Musiało? Tak? Nie? A jeśli tak, to gdzie? Anna potrząsnęła głową. Valli patrzył na nią poważnie.

– Wolałbym, żebyś znowu spała u mnie – powiedział, nie owijając w bawełnę.

– Ja też bym wolała – skwitowała Anna i z przykrością pomyślała o czekających ją przepychankach z Leonem.

– Słuchaj... Jutro rano muszę odrobić swoje nad papierami. I pewnie *vice-questore* zaprosi mnie na audiencję, będzie pytał o postępy, które, jak wiemy, imponujące nie są. A już ludzie zaczynają gadać i w gazetach piszą, że morderstwo psuje karnawałowe nastroje...

– Niech się pocałują.

– Właśnie, byłoby dobrze. Anno, zadzwonię jutro do ciebie, myślę, że gdzieś w południe, jak będę wolny. Spotkamy się i pójdziemy...

– Chciałabym wziąć zdjęcia łodzi Guida Russa i pokazać je w warsztatach, w których buduje się gondole.

– U szkutników...

– Wszystko jedno, jak się nazywają. Może coś nam o niej powiedzą. I poza tym... Myślę, że warto przejrzeć archiwa. Pomyślałam o Fabiu Esposicie. Skoro jego ślad urywa się w Wenecji, to urywa się chyba w jakimś miejscu?

– Tak, w hotelu. – Valli zerknął na nią z ciekawością. – Już tam sprawdzali. Zostawił telefon. Włączono go do materiałów dowodowych, później sprawę przejęła centrala.

– Coś było w tym telefonie? Kontakty?

– Nie pamiętam, musiałbym zerknąć w raporty.

– Zerknij.

– Ale po co? Nadal uważasz, że Esposito miał coś wspólnego z tymi sprawami?

– A ty nie?

– Nie wiem.

Patrzyli na siebie przez chwilę w milczeniu. Valli wreszcie wziął Annę za rękę.

– Dobrze, zerknę.

– I monitoruj tego dziadka. Ronsarda. Coś o nim już wiadomo?

– Na razie go czymś nafaszerowali i śpi. Jest pilnowany.

– Coś mi mówi, że on nam się przyda.

– Też tak myślę. W końcu jakoś muszą go zbadać. Ten psychiatra czy neurolog, sam już nie wiem, nadal uważa, że to symulant. Na razie próbujemy namierzyć lekarza z Paryża, który wystawił mu papiery na Alzheimera. Niech to szlag... Jak można symulować Alzheimera?

Anna zaśmiała się nerwowo. Antonio również się uśmiechnął. Objął ją delikatnie.

– Muszę iść, czekają na mnie, zaraz się zaczną jakieś ploty.

– Już się pewnie zaczęły.

– Taak. Muszę jeszcze wpaść do komendy. Jeśli przyjdzie coś nowego, dam ci znać. Anno... Uważaj na siebie. Uważaj wszędzie. Tutaj też. Słyszysz?

Anna wspięła się na palce i pocałowała go w policzek, a on przytrzymał ją przy sobie przez chwilę. „Uważaj. Wszędzie. Proszę”, wyszeptał jeszcze, zanim się odsunęła.

A później na spotkanie wyszedł im Leon.

Teraz nie było już zimno. Zalewała ją fala gorąca. I tylko to czuła. No, może jeszcze zawroty głowy, delikatne, przyjemne, jak po szampanie. Okrąg wysoko nad jej głową stał się mleczny. Mgła. Wenecka mgła. Całun nad laguną. Jej całun. Mogło być gorzej. W tej cholernej, mokrej, śmierdzącej, rozsypującej się i zakłamanej Wenecji najbardziej lubiła właśnie mgłę. I kamieniczki w San Polo. W Castello też. I w Cannaregio. Niektóre w San Marco. I w Santa Croce. A Dorsoduro ogólnie wydawało się... piękne. Kościół La Salute z obrazami Tycjana w zakrystii był piękny. I Ponte dell'Academia. A za nim znowu centrum, znowu San Marco, San Polo, Canal Grande. Kawiarnia w pobliżu Ca' Daario, gdzie pijała macchiato. Pizzeria przy moście Rialto. Jej własne małe mieszkanie na Ramo Venier, w którym wiecznie było ciemno.

Nie zobaczy już Wenecji.

– Przepraszam – szepnęła.

Chciała błagać to miasto o wybaczenie. Myślała, że go nie znosiła. A tak naprawdę kochała Wenecję całą sobą. I zrozumiała wreszcie, że stąd nie da się uciec. Weneccjanin zawsze nosi w sobie obraz Serenissimy, nawet w chwili śmierci. Stefania zapłakała. Łzy paliły skórę. Nikt jej tu nie znajdzie. Nikt jej nie szuka. Kto miałby szukać? Była sama. Nie miała rodziny, dla przyjaciół nigdy nie potrafiła znaleźć czasu. I naraziła się wpływowym ludziom. Nie włożyła na twarz *moretty*. Była głupia.

Wtedy, w restauracji z Marconim, też była głupia. Pijana jego nagłą uwagą. Luigi Marconi, wspaniały, mądry, wizjoner. Szef i mentor. Zainteresował się nią. Wreszcie. Zaraz jednak przypomniała sobie nożyczki i że przecież on jest mordercą. Chyba mordercą. Albo kogoś skrzywdził. Zdradzał żonę. A Stefania nadal... Tak, nadal. Patrzyła w Marconiego jak w obrazek. Wdychała jego zapach, kiedy stał obok. Perfumy. Szampon do włosów. Ubranie pachnące płynem do płukania tkanin. Wszystko czuła

oddzielnie. I piła szampana, i jadła. I śmiała się. A później znowu te nożyczki, krew, jego przestraszona mina i sztuczny ton.

I ten wzrok. Obawa. To dlatego wszystko...

Stefania przymknęła oczy. Było jej ciepło i błogo. Czy to już koniec?

Czy Anna Lindholm będzie próbowała ją odnaleźć? A może została już odpowiednio ustawiona przez przedstawicieli organów ścigania? Przez tego policjanta? On też musiał być trybikiem. Jak wszyscy. Stefania nie miała co na nich liczyć. I na tę kobietę też. Policjantkę. Konsultantkę. *Stranierę*...

Zapach Marconiego. Wciąż go czuła. Przyszedł po nią w masce. Pachniał znajomo. Tak jak lubiła. Perfumy. Szampon. Płyn do płukania tkanin.

Coś się w tym wszystkim nie zgadzało.

Powieki Stefanii opadły zupełnie.

Co się nie zgadzało?

Livia zamierzała grać na wiolonczeli krótko. Żeby się uspokoić. On miał rację. Jej jedyny przyjaciel. Roberto Capelli. Uważał, że powinni poczekać. Jeszcze chwilę, dzień, może tydzień. Tydzień? Za jaką cenę? Nie było już tej dziewczyny, Stefanii. Kto jeszcze? Kto następny? Kto będzie musiał zniknąć?

Chciała porozmawiać z tym policjantem. Zwłaszcza, kiedy zobaczyła, że razem z nim nie było Szwedki. Nie lubiła jej. Szwedka nie miała klasy. Chodziła prawie nieumalowana, włosy czesała byle jak, nosiła sznurowane buty i wełniany płaszcz, jak jakiś żołnierz. Wyróżniała się na tle dobrze ubranych i zadbanych włoskich kobiet. A przecież była ładna. Mogła coś ze sobą zrobić, włożyć sukienkę, szpilki...

Livia otrząsnęła się i na palcach podeszła do drzwi sypialni. Dziś nie chciał do niej przyjść. Nie narzucał się więcej. A jednak na wszelki wypadek przekreśliła klucz w zamku. Nigdy nie wiadomo.

Z nim nie wiadomo.

Pomógł jej wtedy, przed trzema laty. Teraz już wiedziała, dlaczego. To było takie proste, jak w filmie. Prawie chciało jej się śmiać.

Zamierzała porozmawiać z tym policjantem, ale Roberto mówił, że za wcześnie. I dowiedział się o cholernym raporcie z sekcji zwłok. Jak tego dokonał? Nieważne. Trapez był ważny. Roberto miał pozbyć się walizek, ale nie zdążył. A teraz uspokajał ją. „To jeszcze nic nie znaczy”, przekonywał, ale Livia wiedziała, że się mylił.

Cholerna walizka! Livia rzuciła się na łóżko i ukryła twarz w poduszkę. Musiała porozmawiać z Robertem, a później z policjantem. Nie było na co czekać.

Słyszał, jak przekreślała klucz w zamku. Stał pod ścianą, naprzeciwko drzwi do jej sypialni. Nie miał z nią szans. Niczego nie mógł już wskórać. Oczywiście przy ludziach wszystko było pięknie. Pełna

kultura. „Kochanie to, kochanie tamto, kochanie, podaj mi cukier”. „Owszem, Luigi mnie zdradził, ale przecież nikt nie jest doskonały, każdy popełnia błędy”. „Mój mąż nikogo nie zabił, chyba pan oszalał”. Miłość na pokaz. Jak wszystko w Wenecji. „Dopóki fasada robi oszalamiające wrażenie, nikt nie przejmuje się tym, jak dom wygląda od podwórka”. Czy jakoś tak. Gdzieś to napisali, a Luigi przeczytał. Święta racja.

Ruszył do swojej sypialni. Czy Livia go przejrzała? A może miała własny plan? Luigi ze zdumieniem odkrył, że coraz mniej go to obchodziło. Mogłaby się wreszcie zemścić. Wbić mu nóż w plecy.

Albo nożyczki...

Luigi zamknął się w swojej sypialni i otworzył na oścież okno. Mroźne powietrze natychmiast podziałało na niego orzeźwiająco. Musiał to zrobić. Uratować Stefanię. Jeśli jeszcze mógł.

Tylko jak?

Najgorsze okazały się hiszpańskie krzeselka z osiemnastego wieku. Kiedy już Valli uraczył Leona kazaniem na temat trudnej sytuacji, w jakiej się znaleźli; na temat rzekomego porwania dziewczyny, która poprzedniego dnia rozmawiała z Anną i miała w notatniku wypisane jej numery telefonu; kiedy nakazał po raz setny, by była ostrożna i miała się na baczności „wszędzie”; kiedy wreszcie wymienił z Lucrezią spojrzenie tak lodowate, że można by nim zamrozić kilkanaście filetów z soli, zakupionych na targu Rialto, zostali w domu we trójkę. Zapadła cisza, którą tylko na moment przerwał warkot odpływającej policyjnej łodzi.

Anna powoli rozpięła płaszcz, rozsznurowała martensy i na koniec, z oporami, zdjęła z szyi szalik Antonia. Lucrezia i Leon przyglądali się jej przez cały czas. Umyślnie ich ignorując, weszła na piętro, skierowała się do kuchni i włączyła czajnik. Zdała sobie sprawę, że poza śniadaniem niczego dzisiaj nie jadła. A to oznaczało, że nie jadł również Antonio. Chwyciła telefon i szybko wystukała wiadomość: „Zjedz coś”, na co w odpowiedzi przyszło zdjęcie przedstawiające skonsumowany do połowy czekoladowy batonik. Świetnie. Ona sama często posilała się słodyczami. Wiedziała, że tego nie można było ciągnąć w nieskończoność. „To nie jest jedzenie”, napisała i dodała uśmiech. „Stefano zamówił pizzę”, odpowiedział. I dodał jeszcze: „Dziękuję”. Za co dziękował? Za to, że była upierdliwa?

Odłożyła telefon, otworzyła lodówkę i chwyciła plasterk sera, który natychmiast zjadła. Zaczęła wykladać na blat produkty. Zamierzała obłożyć nimi ciabattę i zrobić sobie największą kanapkę w życiu. Kiedy odwróciła się, by sięgnąć do chlebaka, napotkała oskarżycielskie spojrzenia Lucrezii i Leona. Przez cały czas tutaj byli! Anna zaczęła się poważnie obawiać, że oni nie pozwolą jej teraz jeść. Nieśmiało skubnęła suchą bułkę.

– Apetyt się zaostrzył? – zapytał zjadliwie Leon i wetknął jej w rękę pomidora. – Ingvar by się martwił, gdybyś nie jadła warzyw.

– To już nie jego problem – odparła. – A ty lepiej nic o nim nie mów.

Lucrezia wymamrotała coś po włosku, po czym przeszła na angielszczyznę w stylu Sophii Loren.

– To ja tak myślę... Żeby się rozluźniło, może obejrzymy te moje krzeselka. Hiszpańskie. Z osiemnastego wieku – zaproponowała i machnęła ręką. – Weź sobie kanapkę – dodała wspaniałomyślnie i pomknęła na dół, do sklepu.

Anna spojrzała na Leona. Miał podkrążone oczy i wyglądał na bardzo zmęczonego. Poczwała wyrzuty sumienia. Podeszła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję.

– Przepraszam, Lajon. Ja chyba... Trochę mi się pozmieniało. W życiu. I w głowie. To przede wszystkim. Ale z Ingvarem przesadziliście. Jemu powiedziałam to samo.

– Wiem. Ja też ciebie przepraszam. Zachowaliśmy się jak smarkacze.

– Ale z nim akurat dobrze wyszło... Sam rozumiesz, to musiało się skończyć. Zbyt wiele się wydarzyło.

– Tyle tylko, że ty też nie... Nie chcesz mnie. Myślałem, że rozumiałaś, co chciałem ci wtedy powiedzieć. W porcie nad Bałtykiem.

Zachciało jej się płakać. Ze zdziwieniem zauważyła, że Leonowi chyba również, bo przymknął oczy i przejechał po nich kciukami.

– Zrozumiałam – odpowiedziała.

Wzięła głęboki wdech. Chciała mu powiedzieć prawdę. Jej też przez chwilę wydawało się, że poczuła to samo, ale się pomyliła. Stąd ten głupi SMS. Stąd głupie zdjęcie. Stąd idiotyczne nieporozumienie, które wynikało z jej emocjonalnego rozchwiania, typowego raczej dla nastolatki niż dojrzałej kobiety. A jednak nie po raz pierwszy przekonała się, że kiedy w grę wchodziły emocje, ludzie zawsze zachowywali się jak smarkacze. Działali, zanim pomyśleli. Mówili za dużo. Wyrzucali z siebie słowa, których później nie można było cofnąć. Anna spojrzała na Leona. Na jego kraciatą koszulę i brązowe włosy, teraz nieco przydługie. Wciąż był dla niej bardzo ważny. I dlatego zrezygnowała z mówienia prawdy.

– Oczywiście, że cię chcę. Chcę, byś był moim przyjacielem. Przyjechałeś ze mną tutaj, do Wenecji. Widziałeś, jak całe moje dawne życie szlag trafił. Nie poradziłabym sobie bez ciebie. Teraz też nie jest jeszcze idealnie, ale staram się iść do przodu. Nienawidzę takiej filozoficznej gadki, zawsze mi się wydają, że to bez sensu. Więc...

– Więc teraz chyba znowu potrzebujesz mojej asysty.

Leon uniósł głowę i uśmiechnął się, choć widziała, że silił się na tę wesołość. Zmarszczyła brwi.

– No ten cały *commissario* kazał cię pilnować – rzucił. Podeszedł do blatu i przekroił ciabattę na pół. – Ja nie wiem... Że też zawsze trzeba cię mieć na oku.

Patrzyła, jak Leon kładzie na bułce plasterki sera, pomidora, liście sałaty i oliwki. Nie chciał dramatyzować. Wolał być dawnym, wesołym i oddanym Lajonem, z krzywym uśmiechem, jednak zupełnie innym niż u Antonia. Annie zrobiło się przykro, ale postanowiła nie drążyć tematu. Widocznie Leon miał zamiar uporać się z tym wszystkim po swojemu. A zatem, kiedy podał jej gotową kanapkę, tylko się uśmiechnęła. Z wdzięcznością. Miała nadzieję, że to zauważył.

Podskoczyli oboje, kiedy usłyszeli krzyk Lucrezii.

– Jak już skończyliście tę waszą polską szeleszczącą gadkę, to złaćcie! Ja tu czekam! Jak można się porozumiewać w takim języku? Przecież to idzie sobie szczękę wykręcić...

W pośpiechu zeszli na dół. Anna zdążyła ugryźć swoją kanapkę raz. A później, kiedy zobaczyła „osiemnastowieczne hiszpańskie krzeselka”, kęs utkwiał jej w przełyku. Stuknęła się pięścią w klatkę piersiową.

– Co to... niby... przepraszam bardzo... jest?

Lucrezia zrobiła zafrasowaną minę.

– No, myślałam, że osiemnastowieczne hiszpańskie krzeselka.

Anna przekazała w ręce Leona swoją kanapkę i pozwoliła sobie na dramatyczny, spektakularny facepalm. Po czym pozbawiła Lucrezie złudzeń.

– Krzeselka tak. I tylko tyle.

Rozdział 22

Obudziło ją uczucie suchości w gardle. Otworzyła oczy, a pokój zawirował. Ostrożnie uniosła się na łokciu. Jej wzrok padł na stojącą przy łóżku butelkę burbona, opróżnioną w trzech czwartych. Oczywiście. Burbon z lotniska...

Teraz wszystko sobie przypominała. Nakrzyczała na Lucrezię za to, że traci kasę na buble, jest zupełnie lekkomyślna, a może nawet całkiem bezmyślna. Daje sobie wciskać kit i łyka wszystko jak upośledzony młody pelikan. Wkrótce najpewniej doprowadzi swój pseudoantykwarjat do finansowej ruiny. Lucrezia nakrzyczała na Annę za to, że nie daje znaku życia, szlaja się z policjantami, gada z obcymi babami, które ktoś później porywa, i wykazuje niezdrową fascynację umarłymi ludźmi. Na koniec cała trójka podała sobie ręce, wyściskała się i zjadła wspólnie kolację. Tak, włoski sposób rozwiązywania domowych konfliktów bardzo Annie odpowiadał. Wystarczyło nawrzeszczeć na siebie, pomachać rękami, zawezwać Boga i Świętych Pańskich, po czym ugotować makaron albo ryż, polać go oliwą, posypać bazylią i zjeść, popijając winem. Bardzo zmyślnie.

Leon zapukał do jej pokoju po dziesiątej. Leżała już w łóżku i właśnie skończyła rozmawiać przez telefon z Vallim, który po raz setny pytał ją, czy wszystko jest w porządku. I po raz setny zapewniał, że niczego nowego nie wiadomo, a on już – naprawdę – wychodzi z pracy. Leon stanął niepewnie w progu i pomachał butelką burbona. Wiedział, jak przykuć jej uwagę. Nie przełknęła burbona, odkąd zjawiała się we Włoszech. Jakoś tak się złożyło, że zwyczaj picia wina wchłonęła przez osmozę, choć przecież nigdy go nie lubiła. Usiadła na łóżku i poklepała miejsce obok siebie. Leon postawił na stoliku dwie szklanki z grubym dnem. Pili i rozmawiali do drugiej.

Ona opowiadała mu o swoim wyjeździe do Wenecji. O tym, jak czuła się wtedy w grudniu, po świętach, kiedy myślała, że ze wszystkimi problemami upora się szybciej i będzie potrafiła normalnie funkcjonować. Bez żadnej przerwy w życiorysie. Myliła się. Zobaczyła to wyraźnie, kiedy spojrzała w oczy swojego ojca. Bo on się obwiniął. Za to, co zrobiła Lidka, jego druga córka. Nie mógł się pozbierać. A kiedy powiedziała mu, że przecież Lidka jest dorosła i sama podejmowała decyzje, odpowiedział: „kiedy twoje dziecko robi coś złego, zawsze masz wrażenie, że to twoja wina”. Nie potrafiła znaleźć odpowiedniego argumentu. Nie miała dzieci. Ale miała siostrę, której mimo wszystko nie mogła przestać kochać. Za dużo było tych sznurków, które ściągały ją w przeszłość, i za dużo bodźców prowokujących do rozgrzebywania wspomnień. Dom w Ystad, Lempi, komisariat, bliskość Malmö, ojciec w Sztokholmie, warsztaty meblarskie, Ingvar, Hel po drugiej stronie Bałtyku... Nawet Leon. Lajon. On, który w Helu był taki neutralny, taki obok. Teraz również kojarzył jej się z przeszłością. Chociaż to właśnie Leon namówił Annę, by tutaj wróciła.

– I co? Odnalazłaś spokój?

Wzruszyła ramionami. Nie wiedziała. Coś na pewno odnalazła. Po prostu miała zajęcie. I Antonia.

Leon zrewanżował się opowieścią o pobycie na Tahiti, a później zapytał o sprawę, w którą się zaangażowała. Nie mogła mu zdradzić szczegółów. A jednak Leon znał Wenecję, mieszkał tutaj przez jakiś czas i pracował, uznała zatem, że może go o kilka rzeczy zapytać. Na przykład o warsztaty, w których wytwarzano gondole. I o opuszczone wyspy na lagunie. Leon był przecież kiedyś na słynnej Poveglii, wyspie duchów. Robił tam zdjęcia...

To właśnie myśl o Poveglii była tą ostatnią przed snem. Film urwał się Annie zupełnie i z pewnością tylko dzięki Leonowi znalazła się pod kołdrą. Dzięki Leonowi, który stał teraz obok łóżka i przyglądał się jej krytycznie. Anna zamrużyła powiekami. Zegar wskazywał piątą rano. Suchość w gardle narastała. W głowie nie przestawało się kręcić. Ten stan wydawał jej się nawet gorszy niż wcześniejszy, po grappie, choć przecież tym razem zjadła kolację. Leon westchnął z irytacją.

– Trochę słabo to wygląda. Kiedyś miałaś mocniejszą głowę. No ale trzymaj. Kawa i woda. Pij. A tu musli. Tylko machaj tą łyżką żwawo. W co się ubierzesz? Na dworze jest strasznie zimno.

Zawroty głowy minęły jak ręką odjął. Anna uniosła się wyżej. Spojrzała na Leona jak na wariata.

– Ty się dobrze czujesz?

Zastygł z jej swetrem w jednej ręce i dzinsami w drugiej.

– Przecież się umówiliśmy!

– Na co? – spytała z rosnącym przerażeniem.

Leon rzucił w nią ubraniami.

– Chciałaś popłynąć na tę wyspę. Foscarich. Teraz jest najlepszy moment...

– Ale...

– Piąta rano! Zero ruchu! Gdzie masz jakieś skarpety?

Tej nocy nie mogła „popracować” nad Leonem. Wiedziała, że do drugiej siedział w pokoju Anny. Nie zachowywali się głośno. Lucrezia stała chwilę pod drzwiami, ale nie rozróżniła ani jednego słowa. A zresztą na pewno rozmawiali po polsku. Szeptali. Długo. O czym? I czy robili coś jeszcze poza rozmową? Nie wiedziała, dlaczego ta myśl wydała jej się aż tak przykra. Leon był przecież tylko pionkiem w jej grze. A jednak nie mogła wykorzystać go w pełni, dopóki chodził na smyczy tej Lindholm.

Czy wczoraj w nocy wypadła przekonywająco? Czy dobrze poradziła sobie z monologami o „hiszpańskich” krzeselkach i o tym, że się martwiła o Annę? Przećwiczyła je kilka razy. Ale czy naturalnie tę scenę odegrała? Lucrezia wciąż zadawała sobie to pytanie, kiedy wyszła z domu i przebiegła przez most, na drugą stronę Rio de San Aponal. Stała nad kanałem, naprzeciwko wejścia do swojego domu. Tutaj zawsze cumowała skuter. Właściciel kamienicy nie trzymał własnego sprzętu i udostępnił jej miejsce. Była mu za to wdzięczna. Przy stopniach prowadzących do antykwariatu całą przestrzeń zajmowała zazwyczaj motorówka Lucrezii i jeszcze mała łódź wiosłowa, którą kupiła ze bezcen. Skuter odziedziczyła po siostrze.

A motorówki teraz pod antykwariatem nie było.

Oni ją wzięli. Anna i Leon. Nie zapytali o zgodę, ale z drugiej strony Anna często pożyczała o świcie łódź wiosłową Lucrezii, by popłynąć na targi Rialto. I z tego powodu nigdy nie było między nimi żadnych nieporozumień. Ale dokąd ta Lindholm popłynęła teraz z Leonem? Lucrezia uruchomiła skuter i ruszyła przed siebie. Zerknęła na zegarek. Piąta trzydzieści. Godzina prawie idealna, by wybrać się po ryby. Solę.

Posmutniała niemal, kiedy przypomniała sobie, jak razem z Anną smażyły solę. Było miło. Mogło tak zostać. Dlaczego wszystko musiało się tak bez sensu spieprzyć? Lucrezia pokręciła głową. Nie mogła teraz kierować się jakąś głupią sympatią. Chociaż ten Leon...

Wypłynęła na lagunę i w oddali zobaczyła swoją motorówkę, a w niej dwie sylwetki. Musiała uważać. O tej porze ruch na wodach był niewielki, choć tu i ówdzie dało się zauważyć kilka taksówek wodnych, które z pewnością unosiły na swoich pokładach jakichś zaspanych karnawałowych imprezowiczów. Gdzieś indziej dryfowali rybacy. A poza tym cisza. Wenecja spała.

Lucrezia zachowała odpowiedni dystans, ale nie straciła Anny i Leona z oczu. Płynęła za nimi, coraz bardziej zdziwiona kierunkiem, jaki obrali. Zmierzali w stronę Poveglii, nawiedzonej wyspy, na którą wstęp był od dawna nielegalny. Czyżby wzięło ich na zwiedzanie? Akurat teraz? Mało mieli atrakcji? Zwłaszcza Anna? Lucrezia wyciągnęła szyję. Łódź zniknęła. Lucrezia przyspieszyła. Niemożliwe. Przecież jeszcze nie dotarli do Poveglii. Tutaj nic nie było, poza jakąś starą, opuszczoną wysepką z na wpół zawalonym dworem...

Właśnie! Cholera. Opuszczona wyspa. Trapezio d'Oro. Oczywiście! Jak mogła być taka głupia? Przecież to TA wyspa. Własność Foscarich. Dlaczego wcześniej o niej nie pomyślała?

Lucrezia opłynęła Złoty Trapez i wyłączyła silnik. Wreszcie zobaczyła swoją łódź. Kołysała się przy brzegu, przywiązana do jakiegoś pala. A zatem tamtych dwoje buszowało teraz po domu. Czego szukali? Nie miała pojęcia. Nie wszystko, jak widać, wiedziała. Czy mogła coś zrobić?

Ostrożnie zbliżyła się do motorówki i odwiązała linę. Łódź powoli oddaliła się od brzegu. Dobry sprzęt. Sprawdzony. Szkoda go. Czy to wszystko w ogóle miało sens?

Może chociaż... trochę się wystraszą?

Lucrezia uruchomiła silnik skutera i wyruszyła w drogę powrotną.

Leon cierpiał widocznie na niedostatek adrenaliny, bo kiedy tylko wsiedli do łodzi należącej do Lucrezii – Anna wolała nie wnikać, czy właścicielka wiedziała o „pożyczce” – od razu wręczył jej maskę. Prawdziwą wenecką maskę, z ustami wymalowanymi na czarno, pudrowymi rumieńcami i ciemnymi obwódkami wokół otworów na oczy. Sam przeobraził się w eskulapa z długim zakrzywionym nosem. Kiedy tak patrzył na nią zza tego kuriozalnego dzioba, Anna zaczęła się histerycznie śmiać, choć jeszcze przed chwilą czuła mieszaninę wściekłości, irytacji i lęku. Włożyła maskę. I zaraz ją zdjęła.

– Nie mogę w tym gadać – poskarżyła się.

Leon zamrugął zza nosa, po czym również zsunął maskę. Okazało się, że cierpiał nie tylko na niedostatek adrenaliny, ale też na manię prześladowczą.

– Przez chwilę chyba możesz nie gadać? Na lagunie sobie zdejmiesz, a teraz, jak nas ktoś zobaczy, to wyjdzie, że na kacu z imprezy przebierańców wracamy. Z tym kacem to zresztą prawda – oświadczył i uruchomił silnik.

Przez kanały płynęli wolno, a po drodze nie spotkali prawie nikogo. Ich oczom ukazała się tylko pojedyncza gondola, w której jakaś amerykańska para w kółko powtarzała słowo: „sunrise”, „sunrise”, i przekładała sobie z rąk do rąk aparat fotograficzny z wielkim obiektywem. Anna poczuła ukłucie zazdrości. Dawno nie ekscytowała się tak z żadnego powodu. A już zwłaszcza z powodu wschodu słońca, na pozór prozaicznego i dostępnego dla każdego. Minęli rozemocjonowaną amerykańską parę u wylotu kanału.

Na wodach laguny wreszcie przyspieszyli. Anna zsunęła z twarzy maskę i zmrużyła oczy. Spojrzała na

plecy Leona, który siedział skupiony za sterem. Doskonale zdawał sobie sprawę, dokąd powinien płynąć. A przecież przekazała mu na temat wyspy Foscarich tylko szczątkowe informacje i sama dokładnie nie wiedziała, gdzie znajdowało się to miejsce. Wyteżyła wzrok, usiłując coś dojrzeć przez zasłone chmur. Po mniej więcej dwóch kwadransach zobaczyła ostry zarys wieżyczki, a chwilę później kontury dawnej posiadłości. Leon opłynął wyspę i wydawało się, że wyłączył silnik w tym samym miejscu, w którym wcześniej zatrzymała się Stefania. Odpiął wiosło i zaczął nim manewrować. Zbliżyli się do brzegu, wyszli z łodzi i znaleźli pal, na który zarzucili cumę.

Ostry lutowy wiatr chłostał Annę po policzkach. Okręciła sobie wokół szyi szalik Antonia, a na głowę wetknęła czapkę. Tutaj, na wyspie osłoniętej od morza zaledwie kilkoma starymi, rachitycznymi drzewami, zimno wydawało się bardziej przenikliwe, a wyłaniające się z mgły kamienne kikuty tworzyły niepokojący obraz. Ruszyła przed siebie, w kierunku futryny, z której smętnie zwisały drzwi, uczezione jednego zawiasu.

– No, Poveglia to nie jest, ale wygląda nieźle. Może być. Nie byłem tutaj wcześniej. Powiedziałbym ci jeszcze, że chodzenie po opuszczonych wyspach laguny jest nielegalne, ale teraz masz kumpli w weneckiej policji, więc pewnie to wiesz...

Obejrzała się przez ramię.

– Bardzo śmieszne. I oszalałeś z tym aparatem? Po co ci?

Leon spojrział na nią z politowaniem.

– Jeszcze będziesz chciała, żebym ci jakiegoś trupa w szafie udokumentował – stwierdził i wycelował w nią obiektyw.

Zasłoniła twarz dłonią. Poczwała niepokój. Miała szczerą nadzieję, że żadnego trupa tutaj nie znajdzie.

Szósta dziesiątka. To była dobra godzina. Yves Ronsard i tak z pewnością nie zmrużył tej nocy oka. Antonio wcale mu się nie dziwił. Kiedy osobiście zjawił się w areszcie tymczasowym, zamiast czekać, aż młodego przyprowadzi na przesłuchanie mundurowy, rzucił tylko: „co to ma, kurwa, być?!”. Malarz siedział wciśnięty w kąt, opatulony swoim babcinym swetrem jak jakaś mumia, i wytrzeszczał oczy, a tuż obok, rozwalony na ławie, chrapał wytatuowany oprych. Antonio zerknął na rurki Yvesa i jego pluszowe kapcie. Pięknie! Żeby dwudziestokilkuletniego chudziutkiego artystę wetknąć do klatki z takim karkiem! Nie widzieli, jak młody Ronsard był ubrany? Chcieli mu zafundować bonus w postaci traumy? A może to miały być takie tortury? Strach&Niewyspanie, pełen serwis. A po nim szybkie i wyczerpujące zeznania.

Przy boku Vallego pojawił się strażnik.

– Dzień dobry, *commissario*. Kawki?

Antonio posłał mu lodowate spojrzenie, po czym przeniósł wzrok na dygocącego ze strachu malarza. Strażnik zbladł.

– Aaaa, bo ten... Frekwencja wczoraj była wysoka, jakiś minigang od chińskich torebek pod bazyliką wyłapali i tak się złożyło, że...

– Zamknij mordę.

Strażnik zrobił, co mu kazano. Antonio wiedział, że właśnie dołożył cegielkę do swojego wspianego wizerunku „superkumpla-z-komendy”, ale miał to gdzieś. Odrobinę za mocno chwycił Ronsarda za

łokieć. Wziął głęboki wdech i puścił chłopaka. Przecież nie na nim powinien się wyżywać.

Kiedy znaleźli się w pokoju przesłuchań, Valli wreszcie zmusił się do uśmiechu. Przy tym malarzynie nie było co zgrywać złego policjanta. Ile miał lat? A tak. Dwadzieścia trzy. Imponujący wiek. Co tu robił? W Wenecji, w Castello? Nawet jeśli wplątał się w przestępczą działalność, nie siedział w branży od dawna. A już na pewno nigdy wcześniej nie był w więzieniu, nawet tymczasowym. Zwykły złotodziób. Czy w ogóle coś przeszkrobał?

Tutaj trzeba było delikatnie. Po dobroci. Valli postawił przed Yvesem kubek gorącej kawy. Młodemu oczy zaszczyły łzami. Wspaniale. Komisarz prawie się z tego widoku ucieszył.

– No to jak? – odezwał się, kiedy tamten oplótł drżącymi palcami kubek. – Mam rozumieć, że sąsiedztwo z Isabellą Lomi to zwykły przypadek?

Jego pytanie zabrzmiało dziwnie, ale o taki efekt właśnie chodziło. Antonio nie zamierzał atakować młodego symulowanym Alzheimerem dziadka, bo na ten temat nie miał jeszcze żadnych informacji. Postanowił więc blefować, udawać, że o Ronsardach wie więcej, niż wiedział naprawdę. Jeśli intuicja go myliła, to przecież nic się nie stanie. Od tego pytania – gdyby chłopak odpowiedział twierdząco – można było płynnie przejść na inny temat. Ale chłopak nie odpowiedział twierdząco. Pokręcił głową i wytrzeszczył oczy jeszcze bardziej niż wcześniej w celi.

– To Luigi Marconi sprowadził mnie do Wenecji.

– Po co?

– Żebym zajął się Isabellą.

Kiedy przekroczyli próg, Leon przykucnął i zaczął czegoś szukać w swoim plecaku. Po chwili podał Annie latarkę i... kask rowerowy. Sam wetknął sobie na głowę podobny. Stała jak wryta.

– Włóż to, z łaski swojej.

Nie ruszyła się nawet o milimetr. Leon podszedł do Anny, nałożył jej na głowę kask i zaczął gmerać przy zapięciu. Wreszcie odsunął się, uśmiechnął z zadowoleniem i włączył latarkę. Anna postukała się pięścią w kask.

– Po co mi to? – zapytała powoli.

– Żeby ci cegła jakaś zbłąkana nie rozciapała tej ślicznej główki. Z oczami wszystko masz okej? Widzisz, jak ta buda wygląda?

– Jeśli myślisz, że będę...

Zmroziło ją, kiedy usłyszała w tle ciche popiskiwanie. Obróciła się i skierowała snop światła na dziurawy sufit. Dźwięki dobiegały z góry. Popiskiwanie i trzepot... skrzydeł.

– Spoko, zdejmij. Ale jakby co, to nietoperze lubią włosy. Strasznie trudno później takiego skurczybyka wyplątać.

Przestała się szarpać z zapięciem, które wrzynało jej się w podbródek. Uniosła dumnie głowę i krokiem cesarzowej ruszyła przed siebie. Leon zachichotał pod nosem. Miała ochotę przyłożyć mu latarkę, ale sama przed sobą musiała przyznać, że pod względem przygotowania do wyprawy wyszła na amatorkę. Gdyby nie Leon, przypłynęłaby tu w trampkach, a później łąziła po domu, błędząc w ciemnościach, z nietoperzem, który przerobiłby jej włosy na swoją prywatną toaletę. No cóż, nie miała

zbyt wielkiego doświadczenia w bieganiu po bezludnych wyspach i dworach opuszczonych przez podrabianych arystokratów. Pomyślała, że znalazła się w bardzo dziwnym momencie swojego życia.

Ruszyła szybciej wzdłuż ściany wymalowanej do połowy na zielono. Korytarz był szeroki i prostokątny, z wysokim sufitem, zdobionym jakimś malowidłem, teraz mocno zatartym. Na końcu znajdowały się duże, dwuskrzydłowe drzwi, a za nimi kręte schody. Przez dziurawy sufit i prześwity w ścianach przesączało się blade światło poranka. Gdyby dzień był słoneczny i letni, mogliby pewnie wyłączyć latarki, jednak chłodny zimowy świt nie do końca przepłoszył jeszcze nocne cienie. Anna ostrożnie stawiała stopy. Po podłodze wały się ostre kawałki szkła i drewna, skruszone cegły, połamane dachówki i pojedyncze druty. Co chwilę również cierpła jej skóra, kiedy słyszała popiskiwanie nietoperzy. Podczas tych kilku lat przepracowanych na komisariacie w Ystad nigdy nie miała okazji przespacerować się po wymarłej posiadłości, w której szukała nie wiadomo czego.

Skierowała snop światła w bok i weszła do przestronnego kwadratowego pomieszczenia. Wyłączyła latarkę i wstrzymała oddech. Co to było? Hall? Sala balowa? Powiodła wzrokiem po kamiennej posadzce, zniszczonych płaskorzeźbach i klasycznych kolumnach w stylu palladiańskim. Dzięki ogromnym, pozbawionym szyb oknom usytuowanym od wschodu było tutaj bardzo jasno, ale też i przeraźliwie zimno. Wiatr wprawiał w drżenie każdy przedmiot, unosił z ziemi zeschnięte liście, tańczył wokół kolumn. Anna spojrzała przed siebie i zobaczyła suche konary drzew, kilka metrów brunatnej trawy, skłębione krzewy, mulisty brzeg, a dalej rozkołysane wody laguny. Ten dom był dziwny. Przypominał osobliwą architektoniczną hybrydę, połączenie angielskiego szlacheckiego dworku, gotyckiego weneckiego *casa* i palladiańskiej willi. A te kolumny?

Przeszła przez pomieszczenie i znalazła się przy szerokich na całą ścianę oknach. Postukała się w czoło. To nie były żadne okna, tylko właściwe wejście do posiadłości. Tuż za kolumnami, po bokach, ciągnęły się marmurowe schody, które opadały łukowato na trawę. Kiedyś musiał tutaj mieścić się ogród. Anna już gdzieś widziała podobne zejście. Takie same kolumny i prawie identyczne schody, tyle że drzwi znajdowały się wyżej i cała budowla wydawała się bardziej okazała. Gdzie to było? Nagle doznała olśnienia.

Willa w Mestre! Posiadłość, którą zwiedziła kilka dni po tym, jak przyjechała do Wenecji. Jedna z nielicznych atrakcji w portowym mieście. Willa, willa... Willa Foscarich! Annie przeszedł po plecach dreszcz. Tak, to naprawdę była willa Foscarich. Tych prawdziwych, wywodzących się od doży. Nazywano ją La Malcontenta.

Anna obróciła się wokół własnej osi. Zakłęła pod nosem i wykrzyknęła:

– Jak mogłam zapomnieć o tamtej willi!

Czyżby ci gorsi Foscarich zmałpowali swój dom od tych autentycznych? Być może nawet zatrudnili tego samego architekta? Klasnęła w dłonie. Zaraz jednak jej entuzjazm opadł. Jakie to miało znaczenie? Czy powinna ją w ogóle obchodzić szemrana historia jednej z weneckich rodzin? Czy to rzeczywiście mogło mieć jakiś związek z zabójstwem Isabelli Lomi? Anna przypomniała sobie sztuce, które znalazła w cukierni *Dolce Isabella*. W tej sprawie było zdecydowanie za wiele szczegółów. Które z nich naprawdę miały znaczenie?

Skierowała się z powrotem do prostokątnego korytarza. Poczwała nagłe ukłucie niepokoju. Dlaczego nie słyszała Leona? Włączyła latarkę i ruszyła wzdłuż ściany. Po chwili zastygła bez ruchu. Snop światła zatańczył na ścianie, kiedy jej dłoń zadrżała. Przed sobą, tuż przy drzwiach, za którymi widniały kręte schody, zobaczyła malowidło. Stare, zniszczone, podarte i poplamione. Przeżarte zgnilizną i upstrzone ptasimi odchodami. Z prawej strony smętnie zwisał płat płótna, z lewej ukruszyła się rama. Mimo to, Anna zdołała coś na nim dostrzec. Jeden szczegół. Jedną postać. Kobieta w złocistej sukni, otoczoną przez płomienie. A wokół niej morze szarych głów. Wszystkie obrócone tyłem do dziewczyny na stosie,

ze wzrokiem wbitym... w odbiorcę dzieła. Obraz był dziwny, niepokojący, surrealistyczny. Inny niż ten, który namalował Yves Ronsard, a jednocześnie podejrzanie podobny, jak gdyby artystów połączyła ta sama idea.

Kiedy powstał? Wyglądał na naruszony zębem czasu, ale sposób wykonania i zastosowana technika wskazywały raczej na dwudziesty wiek. Zresztą starszy obraz nie zachowałby się w takich warunkach nawet w podobnym stanie. Panowała tutaj wilgoć, wiatr hulał po korytarzach, przez dziury w suficie padał deszcz i śnieg, w lecie słońce przeciskało przez każdą szczelinę swoje promienie. To cud, że na obrazie w ogóle można było coś jeszcze dojrzeć. Dlaczego nikt go stąd nie zabrał?

Anna pokonała obrzydzenie i odgarnęła pajęczyny. Tłusty pająk przemknął po płótnie. W tle znowu dało się słyszeć piski nietoperzy.

– Jak w cholernym horrorze – mruknęła pod nosem.

Ostrożnie odsunęła obraz od ściany i wbiła stopy w podłogę. Malowidło było dość ciężkie, ale dorosły mężczyzna powinien dać radę je unieść. Syknęła z bólu, kiedy kilka drzazg wbiło jej się w dłoń. Zacisnęła zęby i wygięła się nienaturalnie. Wiedziała, że jej trud równie dobrze mógł pójść na marne. Przecież nie wszyscy autorzy podpisali swoje prace. A jednak intuicja podpowiadała, że powinna zajrzeć pod spód. Zapała się mocniej i ugięła nogi w kolanach. Jeszcze bardziej odsunęła obraz od ściany. Prawie zwymiotowała, kiedy dostrzegła, że od spodu płótno pokrywały płyty pleśni. Wyciągnęła szyję. I wreszcie to zobaczyła. Tytuł obrazu i nazwisko autora. A jednak! Przytrzymała latarkę dwoma palcami i skierowała światło na trzy wykaligrafowane słowa.

Federico Capelli.

Czarownica.

Federico Capelli... Capelli! Jak Roberto Capelli, asystent Livii Foscari! Czy to mógł być zbieg okoliczności? Anna przypomniała sobie tamten dziwny pokój, tony starych książek, pożółkłe papiery, karnawałowe suknie i maski. Butelkę wina ukrytą między opasłymi tomami. Walizki oznaczone symbolem Foscari. Gorszych Foscari.

Mięśnie zadrżały jej niebezpiecznie i wiedziała już, że dłużej nie utrzyma malowidła. Płótno z hukiem zważyło się na podłogę. Anna zdążyła uskoczyć w bok. Tumany kurzu uniosły się z posadzki. Zaczęła kaszleć. Z jej oczu leciały łzy. Płaszcz miała brudny, twarz podrapaną, a we włosy wystające spod kasku zaplątały się nitki pajęczyny. W dłoni tkwiły drzazgi. Kaszała jak opętana, a jednocześnie za gardło ścisnął ją strach.

Leon... Leon!

Dlaczego nie przybiegł tutaj, kiedy usłyszał ten hałas?

Czy powinna cofnąć się do punktu wyjścia, do sali z palladiańskimi kolumnami? Czy może iść dalej, w głąb domu? Anna wytarła załzawione oczy, ominęła leżący na podłodze obraz i skierowała się w stronę drzwi, za którymi widniały kręte schody.

– Leon!

Odpowiedziało jej tylko echo. Poczła pulsowanie w gardle i zrobiło jej się niedobrze. Sięgnęła do torby po telefon i wybrała numer Leona. „Numer nie odpowiada, spróbuj później”. Anna zaklęła głośno. Z telefonem w jednej dłoni i z latarką w drugiej dotarła do krętych schodów, po czym wbiegła na górę. Zaczęła kluczyć wśród wąskich korytarzy, zaglądała do każdego pokoju i starała się nie wariować ze strachu na widok szkieletów mebli, zardzewiałych stelaży łóżek, materacy, po których biegały myszy, i wróbli skaczących z komody na komodę. Wszędzie panowała złowroga cisza. Za oknami wody laguny otulała mleczna mgła. Oddech Anny stawał się coraz płytszy.

Zbiegła na dół.

– Leon! – wrzasnęła.

Łzy napłynęły jej do oczu, tym razem nie od kurzu. Rzuciła się biegiem w kierunku drzwi, przez które weszła do domu, a następnie wąską, zarośniętą krzakami dróżką dotarła na brzeg, przy którym zacumowali łódkę. Zobaczyła samotny pal. Anna miała wrażenie, że właśnie przestała oddychać. Rozejrzała się w panice. Wbiegła po kolana do wody i wyteżyła wzrok. W oddali dostrzegła dryfującą łódź Lucrezii. Wydawało się, że na pokładzie nikogo nie było. A jednak... Przecież... Leon mógł... Leżeć. Nie miała pojęcia, dlaczego w ogóle przyszło jej to do głowy, ale ta myśl była jak zastrzyk adrenaliny. Położyła na ziemi torbę. Zrzuciła kask rowerowy, płaszcz, szalik i buty. Weszła do lodowatej wody.

– O kurwa... – syknęła i ruszyła kraulem w stronę łódki.

Czuła jak jej mięśnie sztywnieją z zimna. Po chwili zupełnie już nie mogła poruszyć palcami. Dlaczego do nikogo nie zadzwoniła, zanim jak idiotka wskoczyła do wody? Dlaczego nie zadzwoniła do Antonia? Czy w ogóle miała szansę dotrzeć do tej pieprzonej łodzi? Poczowała, jak lodowata woda zalewa jej oczy. „Nie myśl, nie myśl”, powtarzała sobie. Laguna nie mogła przecież być zimniejsza niż Bałtyk! A Anna kąpała się w Bałtyku zimą. Raz. Z Vidarem. Tyle tylko że wtedy nie odpływała daleko od brzegu i miała na sobie piankę, a nie ciężki wełniany sweter. Wtedy śmiała się i wszystko było zabawą. A teraz?

Teraz również chciało jej się śmiać. „Nie myśl”. Anna obróciła się na chwilę na plecy i usiłowała uspokoić oddech. Zimna woda zaciskała wokół jej głowy lodowatą obręcz. Nie miała zbyt wiele czasu. Obróciła się ponownie na brzuch i wyrzuciła przed siebie zeszywniałe ramiona. Widziała tę łódź. Była blisko. Bliżej i bliżej... A jednak Anna miała wrażenie, że coraz ciężiej jej się płynie. Skupiła się na wodzie. Na ruchu. Na kierunku.

„Przypływ”.

Zaczął się przypływ. Anna przestała wyrzucać przed siebie ramiona. Jeszcze raz spojrzała w kierunku dryfującej łódki. Tylko kilka metrów. Zaczęła płynąć żabką i starała się nie myśleć o tym, jak jej zimno. Ile to jeszcze? Trzy metry? Dwa? Powieki Anny zrobiły się ciężkie. Miała wrażenie, że robi się jej dziwnie gorąco. „Dziewczynka z zapalkami”. Jej też było ciepło, zanim...

Otworzyła szeroko oczy. Metr. Pół metra. Mniej więcej. Zmusiła zeszywniałe mięśnie do ruchu. Pod palcami poczuła burtę. Jej dłonie ślizgały się na mokrej powierzchni. Wreszcie zdołała się podciągnąć. Jak w książkach Iana Fleminga o Bondzie. „Niezwykłym wysiłkiem woli”. To możliwe, pomyślała jeszcze, kiedy opadła ciężko na pokład.

W łodzi nie było nikogo.

– Zatrzymajmy się na moment przy słowie: „zajął” – poprosił uprzejmie Valli.

To zdanie: „żeby zajął się Isabellą” wciąż brzęczało mu w uszach. Młody Ronsard oblizwał spierzchnięte wargi. Zostały w nim jeszcze resztki wahania, ale na twarzy malarza Antonio dostrzegł wyraz desperacji. Chłopak był bardzo czytelny. Raczej nie mógł tego wszystkiego tak po prostu grać. A jeśli by się okazało, że grał – Antonio zamierzał wystosować wniosek do organizatorów Festiwalu Filmowego w Wenecji o przyznanie mu specjalnej wersji pucharu Volpi.

Yves poprawił się na krześle i podrapał po czole.

– „Zajął” nie znaczyło tego, co pewnie pan sobie teraz myśli, *commissario* – przemówił.

Valli uśmiechnął się szeroko. Granie dobrego policjanta jednak było cholernie trudne. I czasochłonne.

– Ja nic teraz nie myślę, staram się być otwarty na nowe teorie. No wiesz, *tabula rasa*.

Umilkł. Jakie wykształcenie miał ten chłopak? Czy jakieś w ogóle zdobył? Nie trzeba chyba kończyć wyższych studiów, żeby mieć talent malarski? Czy warto było mu tu rzucać Johnem Lockiem?

– Akurat. Wszyscy myślą, już ja wiem.

– Do rzeczy – nie wytrzymał Valli, ale natychmiast ugryzł się w język. Znowu wyszczerzył się sztucznie.

Yves Ronsard dopił swoją kawę i z rozmachem odstawił kubek. Zaczerpnął tchu. Szykowała się spowiedź.

– Z Luigim Marconim spotkaliśmy się po raz pierwszy w Paryżu. Jakiś czas temu. Malowałem na ulicy swoje obrazy, próbowałem coś sprzedawać, ale szło mi kiepsko. Takich ulicznych malarzy w Paryżu było i jest na pęczki. Doszedłem właśnie do takiego punktu, w którym już wiedziałem, że z malowania raczej się nie utrzymam, nie zrobię kariery, nikt mnie nie zauważy. Musiałem poszukać innego zajęcia, które zapewniłoby mi stały dochód. Niczego innego nie potrafiłem robić, ale dziadek już wtedy chorował i...

Młody urwał i zachmurzył się. Valli popatrzył na niego ze zrozumieniem. Prawie mu współczuł. Ten chłopak naprawdę wierzył w chorobę starego Ronsarda i teraz dopiero powoli uświadamiał sobie, że być może został oszukany. Zdradzony. Zawiedziony. I to przez najbliższą na świecie osobę. Antonio poczuł, jak krew uderza mu do głowy. Coś o tym wiedział. O bólu, który zadaje ktoś, kogo kocha się najbardziej. I nic nie można na to poradzić.

Chrząknął i zaproponował Ronsardowi kolejną kawę. Młody odmówił.

– Marconi zaczął mnie pewnego deszczowego popołudnia – odezwał się. – Może się pan dziwić, że pamiętam akurat deszcz. Ale spadł niespodziewanie. Nie miałem folii, by przykryć obrazy i kilka uległo zniszczeniu. Marconi przyszedł znikąd. Zagadał, pomógł... Mówił okropnie po francusku. Ucieszył się, kiedy ja z kolei odezwałem się po włosku. Nauczyłem się od dziadka. Później Marconi zaprosił mnie do swojego auta. To głupie, że poszedłem, co? Zawahałem się, ale on zaczął wyciągać dokumenty, dowód, prawo jazdy i takie tam... Chciał pokazać, że nie jest oszustem, tylko dzianym jubilerem, koneserem i znawcą sztuki. Że zwrócił uwagę na moje obrazy i...

– Złożył ci propozycję? – podsunął Valli. Spodziewał się długiej rozmowy, ale o deszczu i zaproszeniach do samochodu nie chciało mu się słuchać. Artyści... To naprawdę nie są do końca normalni ludzie.

– Tak. Marconi powiedział, że ma natarczywą kochankę, która nie chce zrozumieć pewnych rzeczy. Nie zamierzała słuchać o zerwaniu i tak dalej. A jego żona pochodziła z wpływowej weneckiej rodziny. Dzięki niej dostał jakąś kamienicę czy coś. I tam otworzył swój pierwszy salon. Żona strasznie histeryzowała i miała nerwicę czy depresję, Marconi nie chciał jej drażnić, ani też narażać się weneckiej arystokracji... Tyle w skrócie. Wie pan, to wszystko mi brzmiało jak jakiś bełkot z dziewiętnastowiecznej powieści. Kto by się dziś przejmował takimi pierdołami? Rozwód nie rozwód? Ludzie non stop się porzucają, biorą ślub po kilkanaście razy albo nie biorą w ogóle... No, sam pan wie, o co mi chodzi.

– Rzeczywiście, masz rację – wtrącił uprzejmie Valli. W myślach policzył do dwudziestu.

– Wtedy jednak jakoś nie zwróciłem uwagi na detale. Liczyła się dla mnie propozycja. Mieszkanie, pieniądze, warunki do malowania i w razie potrzeby – opieka lekarska dla dziadka. W Wenecji mnóstwo pięknych widoków... W zamian miałem tylko odciągnąć Isabellę od Marconiego. W dowolny sposób.

– Liczył się efekt?

– Właśnie. Zgodziłem się. Ale odciąganie Isabelli od Marconiego słabo mi szło. Ona była uparta. A ja... Zakochałem się w niej. Tak mi się wydawało. Stała się dla mnie ważna. Imponowała mi. Tylko

o dwa lata starsza, ale bardzo przedsiębiorcza, pewna siebie, pracowita, zdolna. Silna. Ambitna. Sam już nie chciałem, by zadawała się z Marconim. I myślałem, że mi się udało. Ale ona kłamała. Spotykała się z nim nadal. Widziałem ich kilka razy w mieście, w łódce na lagunie, mignęli mi w oknie jakiejś restauracji. Nie kryli się z tym specjalnie. Spotykali się nadal, choć Bella przekonywała mnie, że było inaczej. A teraz...

W oczach Yvesa znowu pojawiły się łzy. Chłopak zadrżał. Istniało ryzyko, że za chwilę nie będzie już w stanie mówić i rozklei się zupełnie. Valli wychylił się w jego stronę.

– A... Proszę mi coś powiedzieć o pańskim dziadku.

Młody westchnął i przetarł oczy.

– O dziadku? To ciekawe, wie pan? Niewiele o nim wiem. Zajął się mną, gdy miałem jedenaście lat. Moi rodzice zginęli w katastrofie lotniczej. Wcześniej widywałem go dość rzadko. Nie wiedziałem, czym się zajmował, nie miał stałej pracy, choć nigdy nie brakowało mu pieniędzy. Ale kiedy wziął mnie do siebie, po jakimś czasie zrozumiałem, że dziadek z niewiadomych powodów trzymał się z dala od dużych miast. Przeprowadzaliśmy się kilka razy, jednak zawsze tylko z wioski do wioski. Dopiero po latach wróciliśmy do Paryża. Kiedy skończyłem szkołę średnią. Dziadek zaczął chorować, potrzebny był specjalista...

Głos Yvesa załamał się i chłopak zaszlochał. Wyglądał teraz jak małe dziecko. Valli nadludzkim wysiłkiem zwalczył w sobie myśl o własnym synu. Byli z Yvesem prawie rówieśnikami... Komisarz wyprostował się na krześle i upił łyk wody. Gardło miał ściśnięte.

– *Commissario* – pisnął młody Ronsard. – Czy on rzeczywiście mógł mnie tak oszukać? Mój własny dziadek?

– Nie wiem – odrzekł cicho Valli, zgodnie z prawdą.

– No bo że Marconi... To wiadomo.

– Co wiadomo?

– Że musiał mnie oszukać. Sprowadził mnie tu w innym celu. Tylko w jakim?

Stefania na sekundę otworzyła oczy. Mgła nad głową. Nadal. Okrąg wykrojony z mgły. Zimno. W studni śmierdziało trupem. To ona tak śmierdziała?

Czy to był jej zapach?

Nie zgadzało się... Co?

Zapach. Nie ten tutaj, trupi. Tamten. Marconiego.

Wokół niej zamknęła się ciemność. Stefania zdążyła tylko raz dopuścić do głosu tę myśl.

Zapach się nie zgadzał.

– Leon!

Jej krzyk przez chwilę niósł się po wodach laguny i wżerał w mgłę. Wokół nie było nikogo. Ani jednej łódki, ani jednego wiosłarza. Gdzie znajdowała się ta pieprzona wyspa? Anna była na siebie wściekła. Powinna uważać, co się do niej mówiło, powinna wszystko sobie sprawdzić na mapie, raz już przecież wylądowała na lagunie we mgle! Zachowywała się jak małe, dumne, nieodpowiedzialne dziecko. Teraz jednak musiała się skupić, musiała dopłynąć do brzegu, bo tam została jej torba, a w torbie był telefon. Gdzieś przecież powinna złapać zasięg. I co z Leonem? Na brzegu leżał również jej płaszcz i kask rowerowy. I szalik od Antonia. Anna złapała się za głowę i załkała jak mała dziewczynka.

„Skup się, skup, głupia”. Anna uruchomiła silnik i trzęsącymi się dłońmi chwyciła ster. Na siedzeniu pasażera zauważyła gruby pled. Sięgnęła po niego jedną ręką i naciągnęła sobie na ramiona. Pomyślała, że cuda jednak się zdarzają. A kiedy dopłynęła do brzegu i zarzuciła cumę na pal, ta myśl wróciła do niej znowu.

Z domu chwiejnym krokiem wyszedł Leon.

Poruszał się, jakby był pijany, i trzymał się za brzuch. Anna chciała do niego podbiec, ale nogi drżały jej tak bardzo, że z trudem szła.

– Leon! – jej głos był teraz zachrypnięty i ledwo słyszalny.

Leon poderwał głowę i zobaczywszy Annę, zsiniał i zachwiał się jeszcze mocniej. Rzucił się w jej stronę. Zauważyła, że był czymś ubrudzony. I ten zapach... Wysiliła się i przyjrzała mu uważniej, choć czuła się coraz słabsza. Kurtka Leona pokryta była... wymiocinami.

– Co? – wydukała. Jej zęby stuknęły o siebie wściekle. – Co ci... się stało?

– Co się tobie stało?! Anka! Jezus Maria!

Już miał zamiar zdjąć z siebie kurtkę, ale Anna cofnęła się o krok.

– Śmierdzisz rzygami – wyartykułowała niewyraźnie, bo mięśnie twarzy zupełnie jej zeszywniały.

Spojrzał na nią jak na łagodną wariatkę i płynnym ruchem zarzucił jej śmierdzącą kurtkę na plecy. Po chwili to samo zrobił z płaszczem Anny. Na koniec zawinął jej na głowie szalik Antonia.

– Zadzwon po... – zaczęła, ale Leon tylko machnął ręką.

Zaczął pocierać dłońmi jej ramiona.

– Już zadzwoniłem. Jak tylko skończyłem wymiotować. Później poszedłem szukać ciebie. Co ci do łba strzeliło?

– Wołałam cię!

– Nie słyszałem!

– Wybiegłam na dwór. Łódka odpłynęła.

– Niemożliwe, żeby sama odpłynęła, dobrze ją przywiązałem...

– Może detalami zajmiemy się później?

– Ale...

– Odpłynęła! Nie odzywałeś się. Myślałam, że jesteś w środku. W tej łódce! Że tam leżysz.

Zamarł. Zamrugał, jakby właśnie dostał w twarz.

– I rzuciłaś się do wody, żeby do mnie dopłynąć? – zapytał z niedowierzaniem. Oczy zaszyły mu łzami. Zaśmiał się nerwowo, po czym zrobił minę, jakby miał zamiar się rozpłakać.

– A – Anna chciała machnąć ręką, ale pod pledem i dwiema kurtkami nie mogła się w ogóle ruszać. – Się we mnie odezwała... cholerna empatia!

Leon przysunął się do Anny i chciał ją objąć, ale ona znowu cofnęła się o krok. Spojrzała na niego podejrzliwie. Miała wrażenie, że to wszystko nie dzieje się naprawdę. Trzęsła się coraz bardziej.

– Dlaczego właściwie się porzygałeś?

Nie miała ochoty na pogawędkę o jakichś zdechłych zwierzętach i tym podobnych przyjemnościach, ale

czuła, że ta część opowieści była ważna. Leon ponownie zsiniał.

– Coś znalazłem – jęknął i machnął ręką w stronę domu.

– Co...

– To duży dom. Tam jest taki wewnętrzny dziedziniec. Mały. W starym weneckim stylu. Ze studnią, z pokrywką na studni, z podmurówką i...

– Leon...

– I tam tak coś poczułem... W sensie pomyślałem, że coś śmierdzi i... Podniosłem wieko. Ciężkie bardzo.

– Leon! Coś znalazłeś? Co to było?

– Co? No... „Kto”... Raczej.

Anna pomyślała o Stefanii Massimo. A później straciła grunt pod nogami.

Kilka rzeczy mu nie pasowało. Po pierwsze – pytanie bardzo proste. Dlaczego Luigi Marconi sprowadził Yvesa Ronsarda do Wenecji? Valli nie kupował bredni o natrętnej kochance, którą należy czymś zająć. Ale nie dziwił się też chłopakowi. Desperacja i brak widoków na przyszłość mogą czasem zmusić człowieka do podejmowania bardzo dziwnych decyzji. A tutaj dochodził jeszcze chory dziadek. O ile w ogóle chory. Na jego temat wciąż niczego jeszcze nie ustalono. Policjanci rozstawieni w Ospedale Civile milczeli. Pewnie stary nadal nie pozwalał się zbadać albo lekarze nie byli zgodni, albo... Valli właściwie nie miał pojęcia, co „albo”. Wiedział tylko, że z tym gościem coś było nie w porządku.

Poza tym zastanawiał się, dlaczego Luigi Marconi z jednej strony chciał pozbyć się kochanki – mniejsza o sposób – a z drugiej chadzał z nią sobie po mieście, siedział w restauracyjkach i w ogóle nie dbał o to, czy ktoś ich mógł razem zobaczyć. Chciał mieć tę dziewczynę z głowy, czy nie chciał? Przecież gdyby to tylko ona mu się narzucała, nie zapraszałby jej na kolacje i na spacer w miejsca publiczne. I wreszcie...

Antonio pokonał ostatni odcinek korytarza i znalazł się w swoim gabinecie. W środku zastał Stefana. Młody policjant obracał się na krześle jak na karuzeli. Valli skrzywił się. Nie chciało mu się teraz wdawać w dyskusję. Musiał się skupić. Na tym, co mu nie pasowało. Przegonił Stefana z krzesła i sam opadł na nie ciężko. I wreszcie... co?

Wreszcie nie pasowało mu małżeństwo Livii i Luigiego. Teraz właśnie w pełni to zrozumiał. Po jaką cholere Marconi pchał się w ten mariaż? Przecież czarno na białym widać było, że żonę miał w głębokim poważaniu. Koneksje? Livia Foscari nie miała aż tak wielu wpływowych znajomych. No, może kilku przedstawicieli arystokracji rodowej. Kilku lokalnych polityków. Ale to przecież tylko garstka ludzi, z którymi nie umawiała się codziennie na herbatkę. Widywali się raz na jakiś czas, od święta lub przy okazji wspólnych inicjatyw. Livia Foscari była tylko potomkinią zubożałej szlachty, w dodatku o szemranym pochodzeniu. Wokół niej wytworzyło się zbyt wiele mitów. I jeszcze kamienica na San Marco... Czy Marconi rzeczywiście musiał się żenić, by przejąć tę szopę z zaciekami? Przecież nie minęło dużo czasu, a kupił sobie dom nad Rio de San Zulian. No tak, można mówić, że zarobił na niego, sprzedając biżuterię w salonie na San Marco. Który to salon założył tam dzięki kamienicy Livii. A kamienicę Livii dostał za darmo, nie musiał jej nabywać, ergo zaoszczędził. W sumie nawet trzymało

się to kupy. Ale Antonio nie mógł się oprzeć wrażeniu, że Luigi Marconi poradziłby sobie i bez wątpliwej jakości posagu Livii. Dlaczego więc się z nią ożenił? Zakochał się? Krótka go ta miłość trzymała.

Nie zważając na obecność milczącego Stefana, Valli sięgnął po komórkę i wybrał numer. *Colonello* Ricci odebrał po trzech sygnałach.

– Valli, mówiłem ci już... – zaczął tamten bez ogródek.

– Czym dokładnie zajmowała się matka Marconiego? – przerwał mu natychmiast Valli. – Kim... się zajmowała?

– Nie mogę ci powiedzieć. Uprzedzałem.

– Mam ci przypomnieć pewną sprawę sprzed ośmiu lat? Z Rzymu? Jak zapewne wiesz, wszystkie drogi prowadzą do...

– Skurwiel z ciebie.

– Taka robota.

W słuchawce zapadła cisza. Valli usłyszał jakieś trzaski w tle, a później szum. Domyślił się, że pułkownik był jeszcze w domu. Teraz pewnie zamknął się w łazience i odkręcił wodę. Sam właśnie tak by zrobił. Na wszelki wypadek. Zerknął na Stefana. Chłopak stał sztywno przed biurkiem, blady jak ściana. Na pewno zaczął już główkować.

– Słuchaj, Valli...

– Tak?

– Wiesz, że to nieoficjalne. Tej rozmowy nie ma.

– Oczywiście. A tak na marginesie – wszystko w tej sprawie jest nieoficjalne. Gdybym miał opierać się tylko na żelaznych dowodach, nie miałbym nic.

– Może lepiej to zostawić? Dobiorą ci się w końcu do dupy.

– Też mi się tak wydaje. No to co?

Colonello Ricci zaklął i zaczął mówić. Antonio mechanicznie kiwał głową. Tego się właśnie spodziewał. A jednak nie wszystkie nazwiska coś mu mówiły. I nadal nie wiedział, czy te dwie cholerne sprawy miały ze sobą jakiś związek.

Dwie sprawy? A może trzy? Cztery? Byli jeszcze przecież ci chłopcy z Padwy. Fabio Esposito. Dario Costa. Szlag by to... Czy dokumenty, o których właśnie wspomniał *colonello*, rzeczywiście istniały? A może to była tylko karabinierska legenda? Skarb Atlantydy? Czy Marconi miał o nich jakieś pojęcie? Czy mógł coś z tej sytuacji zrozumieć? Ile miał wtedy lat? Dwadzieścia? Nie więcej.

Antonio wetknął telefon do kieszeni i podniósł się z krzesła. Stefano nadal nie zmienił wcześniej obranej pozycji.

– Rusz się – rzucił do niego komisarz. – Przejdziemy się na spacer do szkutników.

Stefano drgnął.

– Szefie? Czy mi się zdaje, czy właśnie odbyła się tu rozmowa z jakimś karabinierem?

– Nie było żadnej rozmowy.

Obudził go ból głowy tak potworny, że przez chwilę nie mógł wstać z łóżka. Kiedy wreszcie się

podniósł, zadzwonił budzik. Marconi wzdrygnął się i cisnął nim o podłogę. W ustach czuł suchość, jak gdyby poprzedniego dnia wypił morze alkoholu. A przecież nie wychylił nawet kropelki. Długo nie mógł zasnąć. Myślał. Stchórzył. Nic nie zrobił.

Czy Stefania nadal żyła? Marconiego ogarnęły wątpliwości. Był tchórzem i głupkiem! To jego wina! Nie działał racjonalnie. Popełniał idiotyczne błędy. Teraz dopiero wszystko zrozumiał.

I wiedział, że nic, co zrobił do tej pory, nie miało sensu. Stracił czas i nerwy, łudził się niepotrzebnie, bez sensu planował, czekał, kombinował. Po co? Tyle lat... Kim teraz był? Co osiągnął? Czy naprawdę tego właśnie potrzebował? Wszystko mogło wyglądać inaczej. Całe jego życie.

Kamienica Foscarich nic mu nie dała. Nie dała wyspa-trapez. Niczego nie znalazł. Stał w miejscu od tak dawna. I zupełnie stracił nadzieję.

A teraz jeszcze skazał na śmierć Stefanię.

Antonio postawił kołnierz swojego płaszcza i zmrużył oczy. Było mu zimno, choć dziś, wyjątkowo, włożył ciepły sweter. Wzdrygnął się na widok dwóch młodych chłopaków uwijających się po *squero* w samych podkoszulkach. Chociaż... Może jak smarowali te gondole smołą czy czymś, to faktycznie było im gorąco? Albo po prostu chodziło o wiek. I pozostawanie w nieustannym ruchu. Valli zazdrościł tym chłystkom. Jako wnukowie właściciela warsztatu skutniczego mieli pewny fach w ręku. Uczyli się go od dziecka. Z głodu nie umrą. Wiadomo, że warsztaty skutnicze pozostały w Wenecji tylko trzy, a raczej nie zanosilo się na to, by z kanałów Serenissimy miały zniknąć gondole. Chłopcy nie musieli się zatem obawiać bezrobocia.

Valli rozejrzał się po uroczym *squero* nad Rio de San Trovaso. Podobało mu się tutaj. I wstydził się sam przed sobą, że nigdy jeszcze nie był w żadnym warsztacie skutniczym. Choć przecież miał babcię wenecką i mieszkał tutaj od sześciu lat.

Jeden z młodzików w podkoszulkach podbiegł do komisarza i odezwał się w dialekcie weneckim.

– Leonardo da Vinci już idzie. A panów zaprasza na kawę i kieliszeczek grappy.

– Jesteśmy w pracy – zaprotestował Valli, ale uśmiechnął się do chłopaka. Znowu ze wszystkich sił starał się odsunąć od siebie myśl o własnym synu. – A na kawę wpadniemy, ale innym razem. Teraz nam się spieszy. Mam tylko kilka pytań. Zajmiemy góra kwadrans.

– Leonardo da Vinci? – wyrwało się Stefanowi, który na wieść, że jednak ominie go grappa, zapadł się w sobie.

Wnuk skutnika roześmiał się głośno. Mimo iż stał teraz obok Antonia, z dala od parującego pieca, farb i tej... smoły czy czegoś, nadal wcale nie dygotał z zimna.

– A bo my tak dziadka nazywamy. Zresztą nie tylko my. Wszyscy! To nasz mistrz.

Valli poczuł przykre ukłucie zazdrości. Nigdy nie będzie miał takich wnuków. W tym momencie zupełnie nie wiedział, co powinien powiedzieć, więc tylko znowu się uśmiechnął. Za plecami młodzika wyrosła nagle majestatyczna sylwetka. Mleczne półdługie włosy, godna postawa, proste plecy, mnóstwo zmarszczek na twarzy. Rzeczywiście – Leonardo. Antonia bardzo zmartwił fakt, że staruszek też miał na sobie tylko podkoszulek.

– W czym mogę pomóc? – odezwał się skutnik przyjaźnie.

Valli pomyślał, że charakter człowieka jednak łagodnieje, jeśli wokół są ludzie, którzy traktują go dobrze. A ten tutaj musiał mieć udane życie.

– Potrafiłby pan ocenić wiek gondoli na podstawie zdjęcia? A jeśli nie – czy byłby pan uprzejmy przejechać się z nami na komendę? Prowadzimy sprawę, w której jednym z dowodów jest stara gondola. Została już zbadana przez techników i szkutnika z...

– Nieważne skąd! I tak nie był to nasz Leonardo, więc możecie sobie jego teorie wsadzić w d... – wyrwało się jednemu smarkaczowi w podkoszulce.

Dziadek zgromił go wzrokiem. Młody natychmiast się zamknął. Leonardo wzruszył ramionami.

– W sumie racja – skomentował, a Antonio uśmiechnął się szeroko, tym razem szczerze.

– Czyli...

– Daj pan te zdjęcia.

Antonio posłusznie sięgnął do torby i wyjął dużą kopertę. Stary szkutnik zaczął przeglądać fotografie, marszcząc przy tym brwi i mrużąc z niezadowoleniem. Valli, Stefano i dwaj chłopcy stali wokół niego w pełnym szacunku milczeniu. Wreszcie Leonardo uniósł głowę i prychnął.

– Jak pan tam wcześniej gadałeś? Że co oni powiedzieli, ci wasi, pożał się Boże, technicy?

– Że gondola miała mniej więcej dwadzieścia lat, może trochę ponad...

– Ha! Dwadzieścia? „Trochę ponad” to oni powinni dostać kopów w dupę! Ta gondola wcale nie ma dwudziestu lat. Po takim czasie użytkowania nikt już nie naprawia łodzi, żaden zakład! Dwudziestoletnią gondolę przeznaczają się do śmierci technicznej. Trafia na wyspę Murano. A tam to wiadomo, gdzie idzie drewno. Do zakładów szklarskich. Pływanie ponad dwudziestoletnią gondolą jest nielegalne! W przedszkolu takie rzeczy wiedzą.

– Czyli mam rozumieć, że ta gondola była młodsza?

– Młodsza! Ha! Czy wyście wszyscy oślepli? Marco, Claudio! Zerknijcie!

Smarkacze posłusznie doskoczyli do dziadka i zaczęli oglądać zdjęcia. Po chwili obaj zrobili bardzo mądre i poważne miny.

– Trzydzieści, jak na moje oko – powiedział jeden.

– Trzydzieści pięć – skwitował drugi.

Dziadek strzepnął ich ze swoich ramion.

– No już! Do roboty wypierniczać!

Wnukowie czym prędzej zniknęli w głębi warsztatu.

– I co, *commissario*? Gówniarze się lepiej znają niż wasi zakichani specjaliści. Ta gondola miała ze czterdzieści lat. *Il ferro* kompletnie pokryte rdzą. Farba złuszczone. Cud, że się toto gdzieś na wodzie nie rozpadło. Tak. Ze czterdzieści to lekką ręką.

Antonio zamarł. Mechanicznie wyciągnął dłoń i odebrał od szkutnika zdjęcia.

– Ile?

– Czterdzieści.

Kiedy tylko oddalili się od *squero*, Valli wyciągnął komórkę i zadzwonił na komendę. Następnie wydarł się na techników, że mają natychmiast jeszcze raz przyjrzeć się gondoli i zedrzeć materiał z siedzeń. Później wybrał numer Anny. Nie odebrała. Była poza zasięgiem. Dziwne. Antonio poczuł nagły chłód. W tym samym momencie zadzwonił telefon Stefana. Młody po raz kolejny tego dnia zbladł jak ściana. Rzucił do słuchawki: „Płyńcie tam natychmiast! I przyslijcie nam łódź na San Trovaso”. Valli przełknął ślinę. Stefano wbił w niego zalękniony wzrok.

– Anna Lindholm. Ona...

Rozdział 23

Lucrezia Doldano była zła. Zdenerwowana. Zagubiona. Straciła przyjaciela, a teraz nie bardzo wiedziała, co ze sobą zrobić. Często wracała myślami do chłopców. Do Padwy, w której spędziła kilka wspaniałych lat swojego życia. Z drugiej strony jednak... Wszyscy byli martwi. Zapadła cisza. Jeśli Lucrezia coś wymyśli, jeśli się wywinie... Wszystko jeszcze było możliwe. Wciąż istniała szansa na wolność, na spokój, na całkiem nowe życie. Uczciwe?

Roześmiała się sama do siebie. Nie. Nie potrafiła już być uczciwa.

Poza tym wciąż podejmowała złe decyzje. Interesy nie szły dobrze. Żadne.

Lucrezia upiła łyk parującej kawy z papierowego kubka. Spojrzała w okna komendy policji na San Lorenzo. Być może gdyby była teraz w pracy, zamiast sterczeć tutaj, interesy szły by lepiej? Poruszyła się niespokojnie, kiedy zobaczyła, jak spod komendy wyruszyło na sygnale kilka łodzi. Dokąd płynęły? Może na wyspę Foscarich? Ale po co?

Przecież ona tylko odwiązała łódkę.

Zapach. Trupi zapach.

Wilgoć i zimno.

Jasne niebo. Mgła przeszła.

Ciężkie powieki. Nie mogła ich utrzymać. Stefania miała ochotę się śmiać, ale w płucach czuła ucisk nie do zniesienia.

Że też wciąż otwierała oczy. Po co?

Zapach. Trupi zapach. Zapach... płynu do płukania tkanin.

I koniec. Wreszcie.

Jego twarz wykrzywił bolesny grymas. Kiedy otworzyła oczy, pochylił się nad nią i coś szepnął. Poczowała znajomy zapach. Znajomy od niedawna, a jednak... Jakby od zawsze. Poruszyła wargami, ale nie udało jej się nic powiedzieć. Zakasłała tylko. Otworzyła szerzej oczy i spojrzała ponad ramieniem Antonia. Zrozumiała, że kołysali się naprawdę. To nie były tylko jej zawroty głowy. Znajdowali się w łodzi. W... karetce pogotowia. Przez chwilę po raz kolejny doznała przykrego uczucia *déjà vu*. Jeśli teraz złapie

zapalenie płuc, wszystko będzie dokładnie takie samo, jak w Helu przed kilkoma miesiącami. Jej choroba. Czyjaś śmierć. Z oczu Anny popłynęły łzy. Złapała Antonia za rękę, a on pochylił się nad nią i głaskał jej policzek.

– Nie rób mi tego więcej – szepnął.

Spojrzała na niego uważnie i zobaczyła, jak bardzo był przestraszony. Bruzdy na jego czole pogłębiły się jeszcze, a oczy wydawały się dziwnie zaczerwienione. Zaciśnęła palce na dłoni Antonia. Gardło miała tak obolałe, że ledwo zdołała przełknąć ślinę. Nie mogła się teraz rozchorować. Uniosła głowę.

– Stefania Massimo? – wychrypiąła. – Czy w tej studni to była...

Antonio pochylił się nad nią i delikatnie ułożył jej głowę z powrotem na poduszce.

– Toni, mów do mnie.

– To nie była ona.

Anna odetchnęła z ulgą. Przez chwilę oddychała spokojnie, spoglądając w oczy Antonia, który wciąż pochyłał się nad nią. Wyciągnęła dłoń i wsunęła palce w jego włosy. Zmarszczył brwi i przymknął oczy, jak gdyby ten dotyk sprawił mu ból.

– Toni...

– Co ci przyszło do głowy? Rzucić się do wody? – spojrzał na nią z tak okropnym wyrzutem, że poczuła ukłucie w okolicy serca.

– Chciałam ratować przyjaciela, myślałam, że tam jest... W środku...

– Aż tyle dla ciebie znaczy? Ten Leon?

Ponownie uniosła się na łokciu.

– On kiedyś też mnie uratował – powiedziała.

Antonio pokiwał powoli głową. Pocałował Annę delikatnie w czubek nosa. Wtuliła się w niego mocno.

– W tej studni... – odezwała się po chwili. – Kto tam w takim razie był?

Valli potarł dłonią nieogolony policzek.

– Nie wiemy.

– Nie wiecie?

– Ale się domyślamy. To znaczy ja się domyślam. I trochę Stefano. I ty zaraz też się domyślisz. Powiem ci tylko tyle, że niewiele z człowieka zostało. Głównie kości, tkanki mięśniowej prawie zero, a to, co się ostało, nie prezentuje się najlepiej... Nic dziwnego, że twój kolega zwymiotował. *Medico legale* od razu wziął się za robotę, a prokurator nie robił problemów. Do jutra powinien być raport. Wstępnie twierdzi, że ofiara znajdowała się w studni mniej więcej od trzech lat.

Anna zakasłała. Poczuła, jak tężeją jej mięśnie. Trzy lata! Jeśli faktycznie przeleżał w tej studni trzy lata, to... I był tam obraz i podpis... I zniknęła Stefania. Zakrwawione nożyczki sprzed trzech lat... Marconi... Foscari... Ślad urwany w Wenecji. Śmierć dziewczyny na stosie. Śmierć gondoliera... Annie zakręciło się w głowie.

– Fabio Esposito? – zapytała cicho.

– Nie wiem, na razie nic na to nie wskazuje. Jego nazwisko w ogóle nie pojawiło się w kontekście tej sprawy. Jak dotąd.

– Ale się domyślasz...?

– I jak widzę ty też.

Wymienili spojrzenia. Antonio westchnął.

– Chociaż wolałbym chyba, żebyś w ogóle nie myślała. I najlepiej nic nie robiła. Ale z tego, co już zdążyłem się zorientować, to chyba niemożliwe. Prawda?

Wzruszyła ramionami.

Nie pozwoliła się zawieźć do Ospedale Civile, mimo nalegań ze strony Vallego i – chyba – lekarza z karetki, choć ze słów, które wypluł nad nią po włosku w tempie karabinu maszynowego, nie rozumiała nic. Domyśliła się tylko, że był to taki ochrzan bez owijania w bawełnę. Mina lekarza w zupełności jej wystarczyła. Anna jednak postawiła na swoim. Valli najpierw chciał na nią nakrzyczeć, ale później przeniósł swój gniew na biednego lekarza i obaj mężczyźni darli się do siebie w karetce, a pilot tymczasem skierował łódź w stronę Rio de San Aponal.

Przyglądała się im wszystkim niemal z rozbawieniem. Nie miała pojęcia, jakie podano jej leki, ale nie wątpiła, że były bardzo dobre. Poczowała się nagle lekka, niemal pusta w środku. Zniknął ból gardła, głowy i absolutnie wszystkich mięśni. Zniknęło uczucie zimna. Teraz było jej gorąco i duszno. Wilgotne włosy oblepiły czoło i szyję. Powieki miała ciężkie. Przymknęła je. Tylko na chwilę. Nie, nie mogła zasnąć. Wtedy na pewno znajdzie się w tamtym cholernym szpitalu, a przecież trup w studni... Fabio Esposito zaginiony w Wenecji... Nie mogła leżeć w łóżku i pozwolić, by Antonio znosił jej jakieś marne okruchy informacji. Nie chciała zostać unieruchomiona, jak ten facet u Hitchcocka. *W Oknie na podwórze*.

Hitchcock.

Powieki Anny opadły.

Hitchcock?

Znowu? A co on miał z tym wszystkim wspólnego? I nie chodziło przecież nawet o *Okno na podwórze*, tylko o...

Anna zmusiła się do otworzenia oczu. Chciała również unieść dłoń, zamachać, by zwrócić na siebie uwagę, ale teraz nie czuła się już lekka i pusta w środku. Była ciężka jak ołów.

– To... ni...

Choć te dwie sylaby ledwie przeszły jej przez gardło, Antonio natychmiast znalazł się przy łóżku. Zwilżyła językiem spierzchnięte wargi.

– Chce ci się pić? – zapytał, pochylając się nad nią.

Do Anny zwracał się zupełnie innym tonem niż do tego lekarza. Pokręciła głową.

– Film...

– Słucham?

– Film...

– Jaki film? – Antonio spojrzał na nią przerażony.

Gdzieś w tle pojawił się lekarz. „Fever”, „fever”, powtarzał. Jak w tej piosence. A później „hospital”. O nie! Żaden hospital! Anna uniosła ważącą tonę głowę. Zacisnęła palce na dłoni Antonia. Przypomniała sobie! Właśnie tutaj wrócił do niej wreszcie ten tytuł. To skojarzenie, którego wciąż nie mogła pochwycić.

– Film... *M jak morderstwo* – powiedziała.

Antonio, blady i przestraszony, chciał ją znowu uspokoić, zmusić, by się położyła, ale kiedy usłyszał, co powiedziała, znieruchomiał. Obejrzał się przez ramię i zerknął na lekarza, który trzymał w dłoni strzykawkę. Na widok miny Antonia przewrócił oczami.

– Antybiotyk – rzucił tylko.

Anna poczuła ukłucie. Antonio patrzył jej w oczy.

– *M jak morderstwo* – powiedziała znowu.

– W porządku – odparł. – W porządku, Anno. Jesteśmy w domu.

Pilot zatrzymał łódź.

– Wniesiemy ją do środka – zaproponował zrezygnowany lekarz.

– Sam ją wniosę – postanowił Antonio.

Anna podparła się na łokciach.

– Sama pójdę – powiedziała słabym głosem.

Mężczyźni obrócili się w jej stronę. Podniosła się i postawiła stopy na pokładzie. Antonio podtrzymał ją w ostatniej chwili. Koniec końców wypracowali kompromis i ona udawała, że idzie o własnych siłach, a on udawał, że wcale jej nie niesie. Kiedy opuścili pokład łodzi, Anna zorientowała się, dokąd dopłynęli. To wcale nie był Rio de San Aponal. Ani dom na Calle Luganegher. Przy płynęli na Corte Case Nuove. Co powiedział Antonio? „Jesteśmy w domu”? Naprawdę?

Dała się zaprowadzić do mieszkania Antonia. Wciąż z uporem powtarzała ten tytuł, jak gdyby sama chciała utrwalić go sobie w pamięci. *M jak morderstwo, M jak morderstwo*. Może rzeczywiście oszalała? Co miał wspólnego ten film z trupem w studni? Z nożyczkami u Marconich? A jednak... Przecież zawsze tak jest. Najciekawsze i najmniej prawdopodobne scenariusze pisze samo życie. Hitchcock z pewnością musiał o tym wiedzieć.

Patrzył na nią, kiedy spała. Niechętnie wychodził z sypialni. I tylko wtedy, kiedy musiał. Zaparzyć herbatę choćby. Zrobić sobie jakąś kanapkę, bo przecież coś należało zjeść. Wziąć prysznic. Zadzwoić. Do prokuratora, na przykład. Żeby porozmawiać o tym człowieku ze studni, z którego tak niewiele zostało. Prokurator mruczał z początku i narzekał. Że to pewnie „jakiś debil, który skarbów szukał i tak jakoś wpadł”, ale Valli od razu pospieszył z ripostą. Patolog bowiem już na miejscu, to jest przy nieszczęsnej studni, ocenił, że denat miał rozłupaną czaszkę, bynajmniej nie od upadku. Raczej jak gdyby ktoś uderzył go... młotkiem. Albo czymś w tym stylu. Lekarz musiał oczywiście przeprowadzić dokładniejszą analizę, ale tak się złożyło, że czaszkę już wtedy... było bardzo dobrze widać. Valli wciąż czuł mdłości na wspomnienie tego obrazka. Prokurator coś jeszcze pomruczał pod nosem, wspominał o dobrym imieniu Foscarich – jakże by inaczej! – po czym wreszcie zgodził się z komisarzem. *Medico legale* mógł przystąpić do pracy natychmiast. Valli podziękował i odpuścił sobie komentarz, że to przecież, cholera, nie „ci” Foscari, tylko tamci drudzy, podrabiani. I nie trzeba się wcale aż tak spinać. Ludzie głupieli, kiedy słyszeli nazwisko słynnego weneckiego rodu. A może to on się mylił?

Tym razem również niechętnie wyszedł z sypialni. Anna obróciła się twarzą do ściany i nakryła kołdrą po uszy. Była... niezwykła. Właśnie tak. Imponowała mu. Nawet jeśli zachowywała się irracjonalnie, jak dziś. Skakać do wody, by ratować przyjaciela? Kim był dla niej ten cholerny Leon Wit? Antonio nie wierzył, że chodziło tylko o szczeniackie zauroczenie w podstawówce. A przynajmniej na pewno nie z jego strony. Ten Leon niby coś zeznawał, niby tłumaczył, jak trafił na „znalezisko”, po co w ogóle przy płynęli na wyspę Foscarich, ale tak naprawdę interesował się tylko Anną. Pytał, jak się czuje, dokąd ją zabiorą, co w ogóle teraz będzie... Był rozkojarzony i zdenerwowany. A kiedy wspominał o tym, że Anna wskoczyła do wody, by go „ratować”, prawie się uśmiechał. Antonio chętnie zmasałby mu uśmiech z tej urokliwej chłopięcej facjaty. To oczywiste, że Leon się w niej kochał! Ale ona... przecież była tutaj. I jaki płynął z tego wniosek?

Antonio potrząsnął głową. Zgłupiał do reszty. Pozostawała przecież kwestia jego żony. I syna. I rzymskiej przeszłości. Na co liczył? Że ona tak łatwo to zrozumie?

Usiadł przy biurku i otworzył laptop. Pod wpływem impulsu wpisał w wyszukiwarkę imię i nazwisko

matki Luigiiego Marconiego. Nie znalazł nic. Zupełnie nic. I to właśnie było bardzo dziwne. Valli wiedział, że informacje o matce Marconiego są ważne i mogą wiązać się ze sprawą, ale wcale nie muszą. A jeśli nawet się wiążą – nie ma żadnych dowodów. *Colonello Ricci* wszystkiego się wyprze i Valli nie będzie mógł już zagrać kartą „rzymską”. Zresztą przysługa, którą wyświadczył pułkownikowi przed laty w stolicy, nie była aż tak ogromna. Komisarz nie miał zbyt wielu asów w rękawie. Poza tym jeśli działalność matki Marconiego miała tutaj jakieś znaczenie, to w sprawę mogli być zamieszani wysoko postawieni mieszkańcy Wenecji. Valli widział takie rzeczy nie raz. A Isabella Lomi i Guido Russo? Co oni mogli mieć wspólnego z matką Marconiego? Nie było ich jeszcze na świecie, kiedy zniknęła. No i Fabio Esposito. Dario Costa. Nawet ci pieprzeni Ronsardowie. I... Lucrezia Doldano.

Czy powinien porozmawiać o niej z Anną?

Antonio poderwał się na dźwięk telefonu. Zapomniał go wyciszyć. Anna mogła się obudzić. Valli przyłożył komórkę do ucha i po cichu zajrzał do sypialni. Spała.

– Czego? – mruknął, kiedy usłyszał po drugiej stronie głos Stefana.

– Szef usiadzie, bo...

– Do rzeczy! Nie wkurwiał mnie już dziś!

Stefano wykonał rozkaz.

– Zdarli materiał z siedzeń w gondoli. Znaleźli znaczek. Złoty trapez – wyskandował i rozłączył się.

Nie pamiętała, kiedy zasnęła, ani też kiedy przebrała się w obszerną koszulkę Antonia. Obudził ją ból gardła i pleców. Głowę nadal miała ciężką, ale gorączka chyba spadła. Anna rozkleiła powieki i rozejrzała się po pokoju. Leżała w sypialni Antonia, przykryta dwiema grubymi kołdrami. Poduszka obok pachniała znajomo. Zegar wskazywał siódmą.

Siódma rano. Siódmy dzień karnawału. Troje martwych ludzi.

Odrzuciła kołdrę, wstała z łóżka i chwiejnym krokiem ruszyła w stronę drzwi. Choć na chwilę zamierzała odwrócić swoją uwagę od tej upiornej matematyki. Kiedy spróbowała wziąć głęboki oddech, natychmiast zaniósła się kaszlem. W drzwiach sypialni stanął Antonio z kubkiem czegoś parującego w dłoni. „Role się odwróciły”, pomyślała.

– Wracaj do łóżka – zażądał i postawił kubek na stoliku. – W tej chwili.

Stała przed nim nadal, w długim t-shircie sięgającym jej do połowy ud.

– Posłuchaj, nie denerwuj mnie chociaż dzisiaj. Jakimś cudem nie masz zapalenia płuc, tylko jesteś przeziębiona po tej swojej... spontanicznej kąpieli.

– To już moja druga.

Valli zająknął się.

– Proszę?

– Druga. Kąpiel.

Anna zaczęła swoją opowieść o kocie, którego rzuciła się ratować z powodzi, a Antonio cicho jęknął. Rzeczywiście – miała farta. Powinno ją pokarać. Powinna się porządnie rozchorować. W Wenecji z pewnością ludzie nieczęsto rzucają się do kanałów albo w wody laguny i każą później wysyłać sobie kogoś na ratunek. Anna chrypiąc, uzewnętrzniała się na temat kota, powodzi i swojego egzystencjalnego

zagubienia, którego ów kot miał być metaforą, personifikacją albo czymś w tym stylu. Antonio podszedł do niej bez słowa, chwycił ją wpół i zaniósł do łóżka. Być może wyglądałoby to wszystko niczym scena z *Przeminęło z wiatrem*, gdyby podmienić głównych aktorów. Valli był blady, zmęczony i zdenerwowany, a jego oczy wydawały się tak szkliste i przekrwione, jak gdyby nie spał całą noc. Anna natomiast, w wielkim t-shircie, spocona i z pozlepianymi w strąki włosami, zupełnie nie nadawała się na Scarlett O'Hare. Zachciało jej się śmiać. Antonio naciągnął na nią kołdrę.

– Rzeczywiście, wszystko jest bardzo śmieszne.

Valli przestawił kubek z czymś parującym ze stolika na szafkę nocną. Anna przestała się śmiać i teraz śledziła każdy jego ruch.

– Całą noc siedziałem nad papierami, bo już mnie z roboty chcą wypieprzyć za to, że w dupie mam, za przeproszeniem, procedury. I ganiam gdzieś z tobą po ludziach, odkrywamy tajemnicze pokoiki na strychach, bawimy się w bohaterów jakiegoś Dana Browna... Znasz gościa?

– Nie lubię. Arturo Perez Reverte pisze lepsze książki.

– Świetnie. Polecisz mi coś?

– No... *Szachownica flamandzka*...

– Błagam! – Antonio prawie załamał ręce w geście rozpacz.

– Kontynuuj – odrzekła Anna niewinnie.

– Do komputera w pracy nie logowałem się od dwóch dni, nie mówiąc już o tym, że od dawna nie zajrzałem do pokoju odpraw. A przynajmniej nie wtedy, kiedy byli tam inni. Ignoruję telefony od *vice-questore*, a od prokuratora przez ostatnie trzy dni odebrałem jeden, nie licząc tego z wczoraj, kiedy mu powiedziałem o zwłokach w studni i o tym, że trzeba szybko zrobić autopsję tego gościa.

– Gościa... – powtórzyła w zamyśleniu.

– Tak, właśnie. Jak powiedziałem, że chyba znam jego tożsamość, to zaraz awantura się zrobiła. Bo nic nikomu nie mówię, do raportów nie zaglądam. Wysyłam mundurowych w różne miejsca, po czym nie obchodzi mnie, czy coś w tych miejscach odkryli.

– To prawda.

– Cicho bądź! Aha, no i jeszcze, że ciągle muszę cię ratować z mgły i wody. I oni pieprzą takie konsultacje. Widać w Szwecji stosuje się inne metody prowadzenia śledztwa...

– Tylko dwa razy mnie ratowałeś z mgły. A za pierwszym razem byłeś z samym Stefanem!

– Nie krzycz, bo chrypisz.

– Ale...

– Mamy ostatnią szansę. Na pewno dlatego w ogóle ją mamy, że jak zacząłem opowiadać o tym wszystkim, co nam się „wydaje”, o powiązaniach między poszczególnymi elementami, o walizce z trapezem i nożyczkach, to się wszystkim wszystkiego odechciało. Czarę goryczy przepełnił rewolwer Apaszów. Oni mi chyba nie uwierzyli.

Valli usiadł na łóżku obok niej i zasepił się. Anna z trudem przełknęła ślinę.

– A Stefania? Nadal nic?

Pokręcił głową.

– Ale przynajmniej zatrzymaliśmy Marconiego i Foscari.

– Pod jakim zarzutem?

– Na razie tylko na przesłuchanie.

– A co ze znaleziskiem na wyspie Trapezio d'Oro?

– Chyba już coś wiedzą na ten temat. Jednak oficjalnie dopiero dziś ich poinformujemy, że znaleźliśmy czyjeś zwłoki. Identyfikacja zajmie mniej więcej dobę. Zwłoki są w strasznym stanie. W studni na dnie było trochę wody i... No, co ci będę tłumaczył. Na razie lekarz określi mniej więcej, jak stare są

szczęśliwi, i ewentualnie, co spowodowało śmierć. Jeśli się da. I pewnie na coś jeszcze natrafi. Jednak znalezienie zwłok w starej studni na wyspie nie oznacza wcale, że Marconi albo Foscari tam je umieścili. Niestety.

- Wiem, ale on coś kręcił z tymi nożyczkami. Trzy lata temu. A teraz Stefania zniknęła.
- Mogła też cię okłamać, skierować podejrzenia na Marconiego, a później się dokądś ulotnić.
- Po co miałyby to robić?
- Nie wiem, kombinuję.
- No dobrze. A Leon? Co z nim?

Antonio uniósł głowę i spojrzał na Annę.

- Najpierw tłumaczył się gęsto z tego, co robiliście na wyspie...

Anna poczuła, że jej twarz oblewa fala gorąca.

– Przepraszam, Toni, my tylko... Leon zna Wenecję i dałam się namówić na... O tej porze nikogo nie było na lagunie i...

- Byli. Rybacy.

- Ale jakoś żadnego nie widziałam. W każdym razie...

– Przestań już lepiej. Ten twój Leon chciał nawet zapłacić mandat za chodzenie po wyspie. Jakbyśmy nie mieli większych zmartwień! Stefano spisał jego zeznanie i odwiózł do domu. Ta cała Doldano strasznie się rzucała, że ty nie wróciłaś. To znaczy najpierw darła się o łódkę. A później o ciebie. Coś tam pokrzykiwała, że ci w głowie namieszałem i...

Antonio miał zamiar coś jeszcze powiedzieć, ale urwał nagle i zamyślił się. Anna prześliznęła się wzrokiem po jego popielatych włosach, kościstych, ale mocnych, ramionach i plecach w kształcie litery V. Widziała, jak przejechał dłonią po karku, a następnie po brodzie i szorstkim, nieogolonym policzku.

– No, w każdym razie dzisiaj popracujemy sobie w domu. Nigdzie nie wyjdę, bo ty zaraz też dokądś poleciesz, a musisz mieć choć chwilę na rekonwalescencję. Możesz tylko myśleć. Wtedy... W Padwie to ty...

Odrzuciła ciężką kołdrę. Antonio drgnął. Spojrzał na nią z mieszaniną niedowierzania i nadziei. Wzięła go za rękę. Usłyszała jego przyspieszony oddech tuż przy swoim uchu. Nigdy żadnego mężczyzny nie pragnęła tak, jak tego chudego policjanta z bruzdami na czole i popielatymi oczami.

Tego dnia nie pracowali w ogóle. Zostali w łóżku. Rozmawiali, jedli zaimprovizowane naprędce kanapki i kochali się niespiesznie. Antonio zachowywał się tak, jak gdyby chciał zapamiętać każdą sekundę z tego ich niespodziewanego zbliżenia. Jak gdyby się bał, że... to już się więcej nie powtórzy. Z drugiej jednak strony był z nią na sto procent. W tym konkretnym momencie miała go całego dla siebie. Ale nadal nie wiedziała, co w nim siedziało. Co ukrywał pod codzienną maską chłodu, którą teraz przecież udało jej się skruszyć.

Zerknęła na Antonia, w zamyśleniu wpatrującego się w sufit. Czowała jego ramię oplecione wokół swoich barków i palce gładzące włosy. Uniosła się na łokciu. Antonio oderwał wzrok od sufitu i spojrzał na nią. Miał błyszczące, niemal szklane oczy. Smutne. Dotknęła jego policzka, a on znowu zmarszczył brwi tak, jak gdyby sprawiło mu to ból. Przejechał palcem po szyi Anny.

- Jesteś pewna, że chcesz to usłyszeć? – zapytał nagle.

Spojrzała na niego zdumiona. Czy była pewna? Skąd mogła wiedzieć? Chyba była. Powoli pokiwała głową.

- Napijesz się czegoś? – zapytał znowu. – Nie, nie możesz, dostałaś antybiotyki. Ale...

- Ale ty się napij, jeśli masz ochotę – powiedziała.

Patrzyła, jak niechętnie odsuwa ją od siebie, wstaje i wychodzi z sypialni. Wrócił po kilku minutach.

W jednej dłoni trzymał szklanę, a w drugiej jakieś zdjęcie. Podał je Annie bez słowa. Zobaczyła ładną, ciemnowłosą kobietę o śniadej cerze, trzymającą za rękę... kilkuletniego chłopca.

Chłopca o popielatych oczach.

Położyła fotografię na kołdrze i spojrzała na Antonia, który teraz siedział do niej bokiem i małymi łykami popijał koniak. Gdzie był ten chłopiec o popielatych oczach? Gdzie była ta kobieta? Annie zrobiło się niedobrze. W myślach już ułożyła tę historię i nie była pewna, czy rzeczywiście chciała ją usłyszeć. A jednak myliła się. Antonio ją zaskoczył.

– Jak się zapewne domyśliłaś, chłopiec na fotografii to mój syn. Arturo. Zwracałem się do niego zawsze „Ture”, bo kiedy był dzieckiem, często czytałem mu książki o przygodach prywatnego detektywa Ture Sventona...

– Åke Holmberga! – wyrwało się Annie. – Uwielbiam Sventona! Przeczytałam wszystkie książki Holmberga, po polsku i po szwedzku. A tak w ogóle, to akcja ostatniej książki z serii o Ture Sventonie toczy się w...

– Wenecji – dokończył Antonio i podniósł wzrok na Annę.

Znowu zobaczyła w nim nadzieję, ale i... tę dziwną desperację. I strach. Ona sama również zaczęła się bać.

– Dziwne co? Ze Szwecji do Wenecji – dodał cicho i przeniósł spojrzenie na szklanę z koniakiem.

– Toni, jeśli...

„Toni, jeśli...” – obrócił w myślach to hasło. Jeśli co? „Jeśli nie chcesz mówić, to nie mów”? Przecież było już za późno. Musiała to usłyszeć. Powinna. Odsuwanie tej chwili w czasie nie miało sensu. Zwłaszcza po tym, co się stało. Ona nic nie rozumiała. Niczego się nie domyślała. Nawet tego, jak bardzo stała się dla niego ważna. Jak bardzo... zakochał się w niej.

Zaczął od tego, że nazywał syna „Ture” i starał się być dobrym ojcem, mimo że w Rzymie miał dużo pracy. Szybko awansował w policyjnych szeregach i usiadł na stołku *vice-questore*. Zastępcy komendanta. Ale każdą wolną chwilę spędzał z synem. Dawał mu narzędzia, podsuwał książki i przedmioty, patrzył, co wybierze, starał się go kształtować, ale nie naciskać. I zawsze dużo z nim rozmawiał. Sam tak właśnie został wychowany. Jego rodzice, profesorowie literatury angielskiej na florenckim uniwersytecie, zawsze rozmawiali z nim tyle, że chwilami niedobrze się robiło. Kazali mu czytać, a później odbywały się te dyskusje przy kolacji, które ciągnęły się w nieskończoność... Były jeszcze wycieczki do muzeów, skansenów, do Pompejów, żeby oglądać ruiny odkopane z wulkanicznego pyłu. Nudziło go to wtedy. Ale przyszedł taki czas, kiedy docenił rodziców. I to, co było między nimi. Jakieś... porozumienie. Zawsze myślał, że byli idealnie dobrani, rozumieli się w pół słowa. Też tak chciał. Kiedy miał dwadzieścia lat, poznał Claudię.

Antonio przerwał, upił łyk alkoholu i postukał w zdjęcie.

– Claudię, która była ode mnie o trzy lata starsza. Kończyła prawo. Nie wiem, co we mnie widziała. Ja... Wiadomo, co widziałem. Była piękna, bardziej doświadczona, imponowała mi. Pochodziła ze znanej adwokackiej rodziny, miała pieniądze... Prawdziwe, a nie „wystarczające”, jak to było w wypadku moich rodziców. Poznaliśmy się na imprezie u znajomego. Ja byłem już wtedy w szkole

policyjnej, on studiował prawo. Jego ojciec był prokuratorem, znał rodziców Claudii i tak wyszło... Nigdy wcześniej tego nie zrobiłem. Nie przespałem się z obcą dziewczyną na imprezie. Nie skorzystałem z okazji, choć kumple ciągle mi to wypominali. Święty nie byłem, ale takie jednorazowe akcje nigdy mnie nie kusiły. Ona właściwie wykazała większą inicjatywę. Dalej chyba wiesz, co było.

Urwał znowu i opróżnił szklanekę. Palcem wskazującym zaczął rysować na szkle niewidoczne szlaczki. Anna wsunęła się pod kołdrę, którą naciągnęła na brodę. Nie potrafił spojrzeć jej w oczy. Więc mówił dalej. O tym, jak Claudia zaszła w ciążę, a on postanowił postąpić honorowo. Miał dwadzieścia lat, ale pod wpływem matki naczytał się cholernych powieści wiktoriańskich i uznał, że damy nie można pozostawić samej sobie. A zresztą... Był również odpowiedzialny za to dziecko. Jego rodzice najpierw się załamali, później jednak włączyli swoje filozoficzno-artystyczne myślenie i uznali, że w życiu różnie bywa i trudno, stało się.

Rodzice Claudii kręcili nosami. Dla nich był smarkaczem bez kasy i pracy. Ale pomogli im. Claudia i Antonio przeprowadzili się z Florencji do Rzymu. Ona dzięki forsie taty otworzyła tam później kancelarię, on skończył akademię i wstąpił do policji, gdzie szybko awansował. Wolał myśleć, że dzięki swoim talentom, a nie wpływom teścia. Szło mu dobrze, więc nikt nie miał co do tego wątpliwości. Z Claudią wzięli szybki ślub w urzędzie stanu cywilnego, jeszcze we Florencji. To małżeństwo... Było dziwne. Nie znali się, właściwie nawet nie lubili. Ona z początku traktowała go protekcyjnie. Nie miał pojęcia, dlaczego się w ogóle na to wszystko zgodziła. Na ślub, na związek z nim. Był ojcem jej dziecka, może dlatego. Może ona również przez chwilę myślała idealistycznie. Nie wiedział. Ale starał się. Ona chyba też, zwłaszcza później, kiedy w policji Antonio był już kimś i zdołał zamknąć kilka trudnych spraw.

Różnili się najbardziej w kwestii wychowywania syna. Claudia chciała, by Arturo był twardy. Antonio-policjant – paradoksalnie – wolał, żeby jego syn stał się człowiekiem zdolnym do refleksji i samodzielnego myślenia. Nawet jeśli miałby być wrażliwy jak ojciec. Wszyscy zawsze śmiali się, że Antonio przypominał raczej Sherlocka Holmesa z jego skrzypcami niż stereotypowego policjanta. Powinien nosić płaszcz i palić fajkę, zamiast biegać w dżinsach i bluzie z kapturem. No, jako zastępca komendanta przez chwilę nosił wprawdzie marynarki, ale... To było krótko.

Nieważne. Ważne było to, że wraz z tym, jak rósł ich syn, nasilały się także sprzeczki dotyczące sposobu jego wychowania. I Ture wszystko słyszał. Kłócili się przy nim. A nie powinni. Wreszcie, kiedy ich syn miał dwanaście lat, sam wybrał, który model życia bardziej mu odpowiadał. Stał po stronie matki. Antonio też przez chwilę myślał, że to lepsza opcja. Koledzy lubili Ture. W szkole był popularny, nosił markowe ciuchy, imponował dziewczynom. Nie to, co Antonio. Zawsze gdzieś z boku, zawsze z „kujonami”. Pomyślał, że Ture przynajmniej nie będzie miał kompleksu outsidera. A później i tak z tego wyrośnie, pójdzie na studia, przejdzie mu głupi wiek...

Rozterki Antonia były idiotyczne. Claudia zawsze tak mówiła. „Twoje rozterki są idiotyczne. Zajmij się czymś pożytecznym”. I miała rację. Przecież nikt chyba nie martwi się tym, że jego dziecko jest lubiane, że „cwaniaczy” i rozstawia wszystkich po kątach? To dobrze wróży na przyszłość. Jeśli radzi sobie w wieku dwunastu, trzynastu i wreszcie czternastu lat, później poradzi sobie także w dorosłym życiu. „Nie będzie ciotą”. Antonio postawił szklanekę na szafce i ukrył twarz w dłoniach. Anna siedziała nieruchomo. Milczała.

Wziął głęboki wdech, uniósł głowę i spojrzał na nią. Uśmiechnął się gorzko.

– Nie, mój syn nie był „ciotą”. Ale ktoś inny był. Chłopak ze szkoły. Syn sąsiadów.

Uwzięli się na niego. Oczywiście zyskali przez to na popularności, bo przecież tak zawsze się dzieje. I nadal będzie. Dorosły człowiek oszukuje swoje dziecko i przy okazji samego siebie, że do wszystkiego można się zdystansować. Ale przecież to nieprawda. Kiedy ma się czternaście lat, do tego gadania

wszystko się sprowadza. Zwłaszcza jeśli stoją za nim „popularni”, „modni”, „lubiani”. „Twardzi”. Nie „cioty”. Antonio wiedział, że to brzmiało jak z kolorowej gazety i plotkarskiego portalu. Sam by tak pomyślał. Tyle tylko, że ta historia przydarzyła się jemu i Claudii. Ich syn i jego elitarni kumple zaszczuli „ciotę” i „pizdę”. A ten chłopak któregoś dnia wyskoczył przez okno.

Ture i jego kumple byli zaskoczeni, ale nie przypisywali winy za to, co się stało, sobie. Twierdzili, że ze śmiercią chłopaka nie mają nic wspólnego, że tamtego dręczyły pewnie „jakieś inne” problemy. A przecież w głębi serca musieli wiedzieć, dlaczego to zrobił. Oczywiście Claudia i jej rodzice zareagowali błyskawicznie. Nie żeby chcieli wzbudzić w Ture poczucie winy, gdzie tam! Ale sprawę należało zatuszować. Bo przecież jeśli jednym z dręczycieli samobójcy był syn zastępcy komendanta policji i znanej pani mecenas, to sytuacja nie wyglądała najlepiej. Antonio nie wiedział nawet, komu i ile zapłacili, za to, że wydarzenie nie zostało rozdmuchane na całe Włochy. Skończyło się na facebookowej akcji i lokalnych lamentach. Claudia uznała, że najlepiej będzie przenieść się na trochę do Neapolu. Teść zaczął uruchamiać tam swoje kontakty. A Antonio nie mógł się z tym wszystkim pogodzić. Znowu mówili, że przesadzał. Że to jego dziecko i powinien stać murem za synem. Zachowanie Claudii mocno wpłynęło na Ture. Musiał sam uwierzyć w to, że nie zrobił niczego złego. Ludzie zawsze muszą przecież obarczyć kogoś winą, stąd te wszystkie starania, przeprowadzka, zmiana szkoły, nowy start. Dlaczego miałby nie wierzyć własnej matce?

– Pamiętasz, jak Vanozza Vianello mówiła o tamtym filmie? O *Synalku*? O wahaniu kobiety, która pozwoliła swojemu synowi spaść w przepaść, żeby uratować innego chłopca, niewinnego?

Anna powoli skinęła głową, ale nie odezwała się słowem. Antonio poczuł, jak ogarnia go przerażenie. Już to widział. Chłód w jej oczach.

– No więc ja też się zawahałem – kontynuował, choć coraz trudniej było mu o tym mówić. – Próbowałem coś mu przetłumaczyć, próbowałem go „wychowywać”! Za późno! Wreszcie poddałem się i powiedziałem, że nie mogę dłużej być przy nich.

Naprawdę nie mógł. Nie potrafił na nich patrzeć. Nie tylko na żonę, ale i na syna. Miał wrażenie, że go nie znał. I... chyba nie chciał go znać. Czy tak postępuje ojciec? Antonio rozwiódł się i przyjechał do Wenecji. To mieszkanie należało kiedyś do jego babci. Była ostatnią wenecką w rodzinie. Zamieszkała tutaj, przyjęli go nawet do pracy, ale nie mogli zaoferować takiego samego stanowiska. Miał to gdzieś. Claudia i Ture nigdy nie zabiegali o kontakt z nim. Nie widział syna od sześciu lat. Od tamtej pory Antonio skromnie wydzielał sobie przyjemności. Starał się... pokutować.

– Jak to było z tą Wenecją u Henry’ego Jamesa? Że ściąga wszystkich rozchwianych, pokrzywionych i poszukujących? Jakoś tak. Wiesz... Kiedy twoje dziecko robi coś złego, zawsze ci się wydaje, że to twoja wina.

Ponownie ukrył twarz w dłoniach i wbił paznokcie w skórę.

Anna przez chwilę szamotała się z kołdrą. Wreszcie wyplątała się z niej i przysunęła do Antonia. Objęła go tak mocno, że poczuła ból w stawach. Czy zrobił dobrze? Pewnie nie do końca. Czy postąpił źle? Pewnie nie do końca. Ona również nigdy nie potrafiła własnego zachowania wpisać w klarowną definicję. „Kiedy twoje dziecko robi coś złego, zawsze ci się wydaje, że to twoja wina”. To samo

właśnie powiedział jej ojciec, kiedy rozmawiali o Lidce.

Odkleiła się od pleców Antonia, chwyciła go za ramiona i obróciła ku sobie.

– Posłuchaj... – zaczęła, choć nie miała pojęcia, co powinna powiedzieć. Przecież chyba nie chciał, żeby go pocieszała. Mogła powiedzieć, że jej na nim zależało. Ale nie zdążyła.

– Poczekaj – Antonio spuścił wzrok. – Kiedy cię tam zobaczyłem, w kaloszach i durnej sukience, w kałuży krwi i z telefonem w dłoni, którego używałaś jak latarki... Kiedy pochylałaś się nad ciałem Russa i chwiałaś nad brzegiem kanału, żeby zajrzeć do gondoli... Nie wiem sam... Poczuję się dziwnie. Jakbym już cię kiedyś gdzieś widział. To idiotyczne, prawda?

Nie, to wcale nie było idiotyczne. Anna znowu nie zdążyła się odezwać. Antonio uśmiechnął się smutno.

– Nie mogę sobie wyobrazić, że kiedyś stąd wyjedziesz.

Przysunęła się do niego. W pokoju zrobiło się ciemno.

– Nie muszę wyjeżdżać.

Rozdział 24

W studni znaleźli trupa. Starego trupa. W stanie rozkładu. Luigi Marconi rozejrzał się po pokoju przesłuchań. Noc na komendzie. To było coś nowego. Ciekawe, jak to załatwili? Dlaczego adwokat nic w tej sprawie nie zrobił? Czyżby policja miała wreszcie coś mocniejszego? Jakiś konkret? Skąd?

Może właśnie z miejsca, do którego Luigi nie dotarł? Choć przecież próbował – od dwudziestu lat. Myślał już, że nigdy nie istniało. Odpuścił. A teraz nie miał jak podjąć poszukiwań. Siedział tutaj. Poza tym na pewno było za późno.

Czy Stefania jeszcze żyła?

Może powinien porozmawiać z policją szczerze? Z tym komisarzem Vallim? Niegłupi facet. I tak z pewnością domyślił się już wszystkiego. Dlatego ta noc na komendzie. Może gdyby Luigi zdobył się na rozmowę, jeszcze zdołałby ocalić Stefanię? Ale przecież raz już stchórzył. Wolał udawać. I kłamać.

Czy nadal powinien kłamać? Na temat trupa w studni?

Udawać, że nie wie, kim był ten człowiek?

Livia wciąż nie mogła uwierzyć w to, że zatrzymali ją na noc. W tym okropnym miejscu. Na kilka długich, bezsennych godzin. Zawsze przecież wszystko się jakoś rozwiązywało. Ktoś wszystko rozwiązywał. Na przykład Luigi. Albo Roberto. Albo adwokaci. Ktoś zawsze był. Nigdy nie musiała się martwić. Nie naprawdę. Teraz to wreszcie zrozumiała. Po co więc potrzebne były jej wszystkie te głupie przedstawienia? Histerie? Neurozy?

Z nudów. Robiła to wszystko z nudów. Zwłaszcza ostatnio. Kiedyś jej rodzicom się nie przelewało, nie mogła pozwolić sobie na buty od Prady i sukienkę od Chanel. Miała prawdziwe problemy. Ale później? Fakt – zdradzał ją. Marzyła, by coś z tym zrobić. Chciała się zemścić. I była już bardzo blisko. Nie mogła pozwolić sobie na głupie wątpliwości. Było na to za późno. Stało się. Nie potrafiła dłużej tkwić przy jego boku, bo się bała. I nie powinna dłużej czekać, bo sytuacja mogła obrócić się przeciwko niej.

Znaleźli przecież trupa w studni.

Jak długo mogła jeszcze ciągnąć tę farsę?

A jednak przez chwilę chciała zaryzykować. Przyjść do niego. Odbudować porozumienie. To, które nawiązało się trzy lata temu.

Nic tak nie łączy, jak zbrodnia.

Nad ranem spadł deszcz. Annę obudziło dudnienie ciężkich kropel o stary parapet. Rozpoczął się ósmy dzień karnawału. Czy deszcz ponownie sprowadzi wysoką wodę? Jak radziła sobie Lucrezia? A jak Leon? A jak... Błogie wspomnienie minionej nocy zastąpił nerwowy skurcz żołądka. Co działo się ze Stefanią Massimo? Czy jeszcze żyła? Anna obróciła się na bok i wpatrzyła w twarz Antonia pogrążonego we śnie. Pocałowała go delikatnie i wstała z łóżka. Chwilę później stawiała już na gazie dwie kawiarki. Zerknęła do lodówki, z której wyjęła mleko, ser, szynkę i pomidory. W chlebaku znalazła nieco zeschnięte pieczywo, ale uznała, że świetnie nadawało się na grzanki. Zanim zaczęła przygotowywać śniadanie, odłączyła od ładowarki swój telefon. A tam znalazła kilkanaście nieodebranych połączeń od Leona, Lucrezii i... Ingvara. Ten ostatni wysłał wiadomość o treści: „Co to za akcja z jakimś trupem w studni? Ana, wszystko tam u Ciebie gra?”. Naprędce wystukała: „Wszystko gra. Właśnie smażę niezdrowe grzanki na oleju :)”. Niech sobie przeczyta do porannych ziółek.

Uśmiechnęła się sama do siebie. Wywiad nadal działał. Leon musiał zatelefonować do Ingvara i o wszystkim mu opowiedzieć. Miała tylko nadzieję, że nadkomisarz Frisk nie zadzwoni do niej niebawem z informacją, że znowu siedzi w kawiarni w Mestre i koniecznie muszą porozmawiać – tym razem o trupach w studniach i pływaniu w lodowatych wodach laguny. W lutym. W ubraniu. Tego by nie zniosła.

Chwyciła telefon i wysłała wiadomość do Leona, w której napisała: „Umówiłeś się z Ingvarem na codzienny raport na temat mojego zachowania? Darowałbyś sobie. Następnym razem nigdzie się nie rzucam, żeby Cię ratować. Zapomnij. Dobrze u Was? Powiedz Lucy, że żyję i dzisiaj po południu będę. Chyba. A jak Ty się czujesz? Otrząsnąłeś się?”. Wróciła do smażenia grzanek, ale po chwili usłyszała ciche wibrowanie i zobaczyła, jak jej komórka sunie po krzywym blacie. Leon. No pewnie! Bez sensu liczyła na to, że po prostu jej odpisze. Zestawiła patelnię z gazu i stuknęła palcem w ekran.

– Czego? – burknęła.

– Czego?! Już nie bądź bezczelna, od rana się zastanawiam, gdzie cię ten policjant wywiózł. Myślałem, że do szpitala, ale jego kumpel mundurowy, który mnie przepytывał wczoraj, powiedział, że chyba zabrał cię do siebie do domu. Znaczący nie mundurowy cię zabrał, tylko ten komisarz. Nie mogę się wysławić! Anka! Co jest z tobą? Żyjesz po tej kąpieli?

– Żyję – szepnęła, zaglądając do sypialni. Antonio wciąż spał.

– Głośniej nie możesz?

– Nie mogę, Toni śpi.

W słuchawce zapadła cisza. Anna słyszała chrapliwy oddech Leona. Być może wykonywał właśnie jakieś buddyjskie ćwiczenie z medytacji, żeby się uspokoić. Albo dostał zawału.

– Anka... Czy on... Czy wy...

– Jak sobie radzicie? – weszła mu w słowo. – Przepraszam, że ciągle mnie nie ma w antykwariacie, ale sam widzisz, co się dzieje. Dokąd się nie ruszę, zaraz jakieś zwłoki. W życiu nie pracowałam nad taką durną sprawą. Z facetem ze studni będzie kłopot. Poza tym za dużo mamy detali do połączenia. Zostaniesz jeszcze trochę? Pomyślałam, że kiedy to się skończy... Jeśli się skończy... Moglibyśmy spędzić razem trochę czasu, położyć po Wenecji i w ogóle. Kiedy rozpoczynasz kolejne zlecenie?

– W kwietniu. Anka?

– Tak?

– A ty nie zamierzasz wrócić do domu?

Przemieszała grzanki na patelni. Nie miała pojęcia, czy zamierzała wrócić do domu. Nie chciała

wrócić. Kiedy sobie to uświadomiła, poczuła narastającą panikę. Naprawdę nie chciała wrócić do domu. Miała wrażenie, że tam wszystko zacznie się na nowo, choć przecież z Wenecją również wiązało się kilka przykrych wspomnień. Teraz jednak wyparły je inne myśli i inne emocje. Przypomniała sobie także ostatnią rozmowę telefoniczną z Lempi, która oznajmiła, że wszystko wydaje się w porządku, ona radzi sobie z domem i warsztatem w Ystad, a ze Sztokholmu spływają same dobre wieści. Anna nie miała żadnej kontroli nad tym, co formalnie należało do niej. Wystarczyło, że czasem zadzwoniła do menedżerów. Wydała kilka dyspozycji. Coś zatwierdziła. Podpisała i odesłała. Dała znak życia. Nawet Lempi przestała się już ekscytować obecnością i nieobecnością „pani Lindholm”.

– Nie wiem – powiedziała zgodnie z prawdą.

Leon po drugiej stronie chrząknął. Kiedy się ponownie odezwał, głos mu lekko drżał.

– Zaczynam żałować, że nakłoniłem cię do przyjazdu tutaj.

– To najlepsze, co mogłeś dla mnie zrobić – odpowiedziała bez wahania.

Na powrót przeszła na palcach w stronę sypialni i stanęła w progu. Klatka piersiowa Antonia rytmicznie unosiła się pod kołdrą. Jego popielate, zmierzwiłone włosy odcinały się wyraźnie na tle białej poduszki.

– Serio? – usłyszała w słuchawce.

– Serio.

– Ale wczoraj... Nie licząc trupa w studni... I twojej kąpieli w lagunie... Było nawet fajnie, co?

– Było.

– Zostanę jeszcze trochę. Lucrezii przydadzą się pieniądze, które płacę jej za pokój. Mogę nawet trochę pomóc w sklepie, porobić jakieś zdjęcia... Polubiłem ją.

Anna zamrugała powiekami. Wpatrzona w śpiącego Antonia dopiero teraz zrozumiała sens wypowiedzi Leona.

– Polubiłeś ją? Czy poderwałeś?

– Odpieprz się! Ona bardzo ładnie gra na skrzypcach, mimo że ma kiepski instrument i tak jakoś... Grała ci kiedyś? Wiesz, że dawniej miała lepsze skrzypce i prowadziła zajęcia z muzykoterapii w Padwie? I... No...

– Jasne, jasne. Skrzypce, muzykoterapia... Już ty mi tu nie pitol. Muszę kończyć. Pogadamy wieczorem.

– Anka!

– Co?

– Mam ten film. Zgrałem ci.

– Jaki?

– *M jak morderstwo*. Mundurowy wspomniął, że ten twój komisarz mówił, że coś o nim bredziłaś. O filmie.

– Tak. Dzięki.

Rozłączyła się i przez chwilę jeszcze wpatrywała w wyświetlacz telefonu. Dłoń zadrżała jej lekko. *M jak morderstwo*. Rzeczywiście, przecież to skojarzenie wydawało jej się ważne. Weszła do sypialni i stanęła przy łóżku. Antonio poruszył się, przeciągnął i otworzył oczy. Uśmiechnął się do niej.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry. Śniadanie jest prawie gotowe, a poza tym trzeba się brać za robotę, więc proszę, z łaski swojej, nie ociągaj się za długo.

– Chodź tu jeszcze na pięć minut.

– Nie ma mowy. Kawiarki... Kawiarki!

Anna rzuciła się do kuchni. Zupełnie zapomniała, że postawiła na gazie dwie kawiarki. W tym jedną o wartości sentymentalnej!

Słyszała, jak Leon wspomniał o niej Annie. Miała ochotę parsknąć śmiechem. W jego głosie słyszała niemal ciepło. A przecież kłamał. Nie wyrzucił Lucrezii spod prysznic ani z łóżka, to fakt. Spali ze sobą już trzy razy, odkąd się zjawił. Ale o tym nie powiedział Annie. Dopiero dzisiaj, teraz, usłyszała zdawkową informację, że ją polubił. I jeszcze te bzdury o muzykoterapii. Lucrezia musiała bardziej uważać na słowa. Z tą muzykoterapią prawie się zdradziła. Ale Leon nie potrafiłby jej przejrzeć. Był zbyt zajęty myśleniem o Annie. Zbyt rozczarowany jej postawą. Przyjaźnią, poza którą nie było już niczego więcej. Przybity faktem, że najpierw rzuciła się w wody laguny, by go ratować, a później pozwoliła się zawieźć do mieszkania komisarza Vallego. To dlatego wspomniał o Lucrezii. By podać pretekst swojego dalszego pobytu w Wenecji i uświadomić Annie, że nie ona była tym razem przyczyną wszystkiego.

Nawet jeśli była.

Anna Lindholm. Co ona takiego w sobie miała? Na pewno determinację. Rzucać się do wody? Niewielu by się na to zdobyło. Anna musiała przyjaźń pojmować inaczej niż Lucrezia. A Leon... Leon był teraz słabym punktem Anny. Mógł się przydać. Należało trzymać go przy sobie. Zwłaszcza że się przed tym nie bronił. Lucrezia prawie go lubiła. Właściwie całkiem lubiła. Gdyby Anna jednak nie poskładała tej historii, a później wreszcie wyjechała z Wenecji, Lucrezia mogłaby zatrzymać dla siebie Leona. Nawet jeśli myślał o tamtej. Zawsze mógł przecież przestać.

Weszła do kuchni. Stał tyłem do niej, oparty o blat. Telefon leżał tuż obok. Spuścił głowę, zgarbił się. Podeszła do niego. Pogłaskała po ramieniu. Chciała okazać delikatność i wyrozumiałość. Ale on odwrócił się gwałtownie i przyciągnął ją, a później pchnął na blat. Obrócił Lucrezię plecami do siebie. Wszystko działo się szybko. Leon zadarł jej spódnicę i porwał rajstopy. Nie broniła się. Chciała tego. Nawet jeśli poczuła ból. Niespełniona miłość również musi boleć.

Część IV

Czy kto zauważył, że siedzenie w takiej barce, ten trumienno-czarny, czarno wyściełany fotel, jest najmiększym, najrozkoszniejszym, najbardziej usypiającym siedzeniem na świecie?

Tomasz Mann

To miejsce, w którym można także odkryć siebie, kiedy tradycyjne podziały między tym, co na zewnątrz, a tym, co wewnątrz, tym, co prywatne, i tym, co publiczne, zostają zatarte. To sceneria, w której nieświadomiane lub tłumione pragnienia znajdują ujście. To miejsce dziwnych i nieoczekiwanych spotkań. (...) To miejsce intrygi i niebezpieczeństwa, horroru i ekstrawagancji.

Peter Ackroyd

11 czerwca 1980

Trapezio d'Oro, Laguna Wenecka

W domu śmierdziało stęchlizną. Nad głową Maleny przeleciał nietoperz. Wzdrygnęła się. Była już za stara na takie akcje. To robota dla dwudziestolatek. Ale przecież się uparła, postanowiła realizować marzenia. Celowo wybrała sobie męża-pantoflarza, który nie potrafił jej się postawić. Pracował uczciwie, a później gotował obiady i odbierał dziecko z przedszkola. Luigi, jej synek... Miał charakter. Wdał się w nią. Dla Luigiego warto było się poświęcić i co wieczór kłaść przy boku tego nudziarza. Zawsze chciała mieć syna. Zawsze chciała pracować dla karabinierów, a teraz... Teraz coś odkryła.

Tutaj się spotykali. Znakomite miejsce. Opuszczone i w dodatku położone w pobliżu Poveglii. Odkąd dwanaście lat temu zamknęli tam szpital psychiatryczny, wyspa opustoszała. Mówili, że to miejsce miało złą energię. Rybacy nie chcieli nawet łowić w jej pobliżu ryb. Poveglia rzucała cień na wszystko wokół, także na Trapezio d'Oro.

Wiedziała, kto brał w tym udział. Jednego z nich znała osobiście, od dawna. Z początku nie chciała w to wierzyć. Akurat on! Malenie było przykro. Przez wzgląd na przeszłość, na dawną przyjaźń. A później poznała tożsamość pozostałych. I jeden z nich zaskoczył ją i rozczarował jeszcze bardziej niż tamten. Pomyślała nawet, że powinna odpuścić. Zająć się zwykłym życiem i milczeć. Milczenie często okazywało się dobrym wyjściem, zwłaszcza w Wenecji. Serenissima od zawsze była mistrzem w uciszaniu swoich mieszkańców... Ktoś gdzieś kiedyś to powiedział albo napisał.

A jednak Malena nie mogła milczeć. Zbyt wiele już osiągnęła. Zdobyła szacunek paru osób związanych z instytucją, do której tak bardzo chciała przynależeć. Przed dziesięcioma laty właśnie to powiedziała starszemu Capellemu. Są różne sposoby, by pracować dla karabinierów. Chyba chciał wtedy zaprotestować, ale nie zdążył. Umarł jej na rękach. Płakała. Zawsze chciała mieć takiego ojca. Może więc przez wzgląd na niego powinna...

Nie, nie powinna. Rozejrzała się po dawnej posiadłości Foscarich, tych z bocznej i chyba nieprawej linii. Przyjrzała się im, a teraz zwiedzała dom. Musiała być ostrożna. Malena skierowała snop światła latarki w głąb korytarza. Ruszyła odważnie przed siebie, ignorując popiskiwanie nietoperzy. Wreszcie coś zobaczyła.

Obraz.

Widziała go już wcześniej, w domu starszego Capellego. Były marynarz zapraszał ją na herbatę, kiedy siedział sam. Mogli rozmawiać godzinami. Wiedziała, że tylko jej opowiedział o Hawrze. O tym, co się wydarzyło. Co zrobił.

To dziwne. Starszy Capelli nigdy nie wyjawiał, co stało się z tymi kamykami.

Co powiedział przed śmiercią?

„Obraz”?

Czy Stefania Massimo nadal żyła?

A Ronsard? Czy zacznie gadać? Czy się ośmieli? Mógłby. Teraz nie miał już absolutnie nic do stracenia. Wiedzieli, że kłamał. Nieźle się urządził. Musiał się postarać, nachodzić, naprosić, poumawiać, podpłacić... I to sporo. Żaden sensowny lekarz nie ryzykowałby w ten sposób – chyba żeby mu się opłacało. Poza tym stary okłamał własnego wnuczka. Miał talent aktorski. Czyżby chodził na jakieś kursy, odkąd...

Mężczyzna podrapał się po nieogolonym policzku. Odkąd wydarzyło się to wszystko. Tutaj, niedaleko. Wtedy stary również nieźle radził sobie z aktorstwem, ale teraz przeszedł samego siebie. Może miał wiele okazji, by rozwinąć umiejętności? Zresztą – w jego fachu były bardzo potrzebne. To nie ulegało wątpliwości.

A teraz? Co zrobi Ronsard? To pytanie wracało do niego coraz częściej. Źle, że stary zjawił się w Wenecji. Błąd. Za późno to zrozumiał. Ale może, może... Istniał cień szansy, że on nie wiedział? O jego udziale. O tym, że był wtedy na wyspie Foscarich i wszystko zobaczył...

Może Ronsard podejrzewał tego drugiego?

Myśl o Stefanii Massimo nie dawała mu spokoju. Nie potrafił się na niczym skupić. Wciąż zadawali mu pytania – idiotyczne, niepotrzebne. Czyżby nic nie wiedzieli? Czy to możliwe? Przecież zatrzymali go na noc, więc musieli mieć mocne argumenty. Już to wszystko zrozumiał. Przygotował się psychicznie. No, prawie... Ale teraz oni znowu kluczyli wokół jakichś bzdur, a on się wyłączał. Milczał. Myślami był gdzie indziej.

Trup w studni. To nie była Stefania, tylko tamten chłopak. Oczywiście. Policja nie trafiła we właściwe miejsce. Jemu już nie mogli pomóc, ale Stefanii? Chciał coś powiedzieć. Otworzył usta, nabrał powietrza, wyprostował się. I wtedy poczuł. Ciężką dłoń na ramieniu. Zaciśnięte palce. I zobaczył. Szeroko otwarte oczy, usta – jak gdyby dla kontrastu – zaciśnięte w wąską kreskę. Kręcenie głową. Klarowny przekaz: „nic nie mów, kurwa”. Jeden z jego adwokatów zawsze tak się odzywał. Nic nie mów, kurwa. Wszyscy wiedzieli, że kiedy on zaczynał mówić, sprawa była pogrzebana. Nie był dobry w dyskusjach, w negocjacjach, w ogóle w rozmowach na poważne tematy. Miał od tego ludzi, potrzebował ich. Adwokatów, sprzedawców, specjalistów od reklamy, doradców, asystentów.

Stefanii.

Nie istniał bez niej. Był nikim.

A ona? Żona? Czy bez niej też był nikim? Gdzie teraz przebywała? Czy zaczęła mówić?

Czy rzeczywiście zamierzała zrobić to, o co ją podejrzewał?

Rozdział 25

Znowu jedli w milczeniu. Znowu kawa, cukier, powolne mieszanie, odkładanie łyżeczki na spodek, łyk, brzęk odstawianej filiżanki. Żucie. Życie. Lucrezia przemogła się i uśmiechnęła. Kąciki ust Leona ledwo drgnęły. Cholera! Coś tu było nie w porządku. Odwrócony porządek, niewłaściwa reakcja, źle przypisane role. Przecież to on ją wykorzystał. On powinien nalewać kawę, podawać marmoladę, uśmiechać się sztucznie, że niby wszystko jest w porządku! Dlaczego ona wzięła na siebie tę rolę? Przecież to i tak nie miało sensu. Wczoraj myślała, że coś się zmieniło, że coś ich wreszcie połączyło naprawdę. Ten ból, odrzucenie, desperacja przebijająca z każdego gestu Leona... Chciała mu pokazać, że świetnie go rozumie. Myślała, że to dostrzegł.

On jednak tylko wyładował swoją frustrację, a teraz było mu głupio. Typowy samiec. Nie różnił się od reszty. A najgorsze było to, że nic już więcej nie mogła zrobić. Lucrezia odstawiała na stół maselniczkę. Zbyt głośno. Leon uniósł głowę znad talerza.

– Przepraszam – mruknął.

Nasuwała jej się tylko jedna odpowiedź: „spierdalaj”. Ale postanowiła zaryzykować. Ponownie się uśmiechnęła.

– Odrzucona miłość musi bardzo boleć – odezwała się cicho.

Leon zmienił się na twarzy. I... ku zaskoczeniu Lucrezii, nachylił się i chwycił ją za rękę.

Stary Ronsard rzeczywiście wybrał strój Freuda. Że też na to wpadli. A przecież policjanci ponoć są głupi. Być może. Ale nie tych dwoje. Źle się stało, że akurat oni zjawili się na Campo do Pozzi. Wenecki komisarz i ta dziewczyna ze Szwecji. Zwłaszcza ona, bo była tutaj obca. Wenecjanie nie reagują zaskoczeniem na żaden kostium, raczej wykorzystują byle pretekst, by się poprzebierać. Lubią karnawał, maski, odstawiają teatr tak często, jak tylko się da. Zachowanie Ronsarda nie budziło zaskoczenia wśród sąsiadów z Castello. Turyści natomiast traktowali go jak element lokalnego folkloru. Poza tym przecież miał coś z głową, więc wszystko było mu wolno... Bardzo dobrze to sobie swego czasu obmyślił, a później konsekwentnie realizował. Nie miał wyjścia. Pamiętał tamten moment, kiedy jego wnuk oznajmił, że chciałby się przenieść do Paryża, bo tam będzie miał większe możliwości niż w małej górskiej wiosce, w której od kilku lat mieszkali. On sam również myślał o przeprowadzce, ale przecież nie do stolicy. Dwa dni wcześniej ktoś do niego zadzwonił. Groził mu. Wiedział sporo o jego przeszłości i mógł się okazać niebezpieczny. Taka sytuacja nie wydarzyła się zresztą po raz pierwszy. Jak długo jeszcze mógł uciekać? Starzał się. A jego wnuk wydorósł. Był nawet gotów go opuścić, by przenieść się do miasta. A Ronsarda ogarnęło przerażenie na myśl, że mógłby zostać zupełnie sam. Postanowił do tego nie dopuścić. Musiał zapewnić sobie bezpieczeństwo, za wszelką cenę. Choroba wydała mu się

znakomitym pomysłem. Wiedział, jak to załatwić, z kim porozmawiać. Znał neurologa, który był mu winien przysługę.

Pomysł na przebieranki natomiast wpadł mu do głowy przypadkowo. Pewnego dnia wraz z Yvesem udał się do lekarza, który go „diagnozował”. To było już w Paryżu, kilkanaście dni po przeprowadzce. Kiedy wychodzili z kliniki, Ronsard zauważył interesującą kobietę. Siedziała na ławce przed wejściem, miała na sobie elegancki kostium, charakterystycznie upięte włosy i mocno wydepilowane brwi. Śpiewała. Po chwili podszedł do niej młody pielęgniarz, który powiedział: „Madame Bomond, jaka to dziś rola?”. Dama oświadczyła z wyższością: „Edith Piaf, oczywiście”. Następnie wstała z ławki i weszła z pielęgniarzem do środka. Ronsard dowiedział się później, że kobieta co tydzień odgrywała inną rolę. Dawniej, w poprzednim życiu, tym sprzed choroby, była ponoć wielką aktorką sceniczną. Nie słyszał o niej. Ale go zainspirowała... A w Wenecji przebieranki i odgrywanie ról sprawdziło się doskonale. Szwedka jednak nie była przekonana. Widział to wyraźnie w jej oczach. Patrzyła na wszystko z zupełnie innej perspektywy.

Niemniej jednak Ronsard zachował zimną krew. Był przecież nieszkodliwym dziadkiem z Alzheimerem. Usiłował nadal grać swoją rolę. Milczał. Mruczał pod nosem. Nie odezwał się słowem, kiedy ten jego głupi wnuk uzewnętrzniał się na temat swojej wielkiej miłości do tej małej dziwki. Co on o niej wiedział? Ot, zwykła latawica, która puszczała się na prawo i lewo. Marconi długo z nią wytrzymał. Długo ją sponsorował. Może to z sentymentu?

W końcu mała Lomi bardzo przypominała jego matkę.

Matkę, która... odeszła.

Porzuciła swojego syna. Ona również nie wahała się grać latawicy, kiedy sytuacja tego wymagała. Stary Ronsard szczerze współczuł jej mężowi. Po co tamten zaczął tak chlać? Lepiej mu było bez niej.

Teraz jednak sprawy zaczęły się komplikować. Lekarz upierał się, by przeprowadzić badania. Wiedzieli już, że jest oszustem. Miał uciec? Jak? Dokąd? Przecież nie znalazł się tutaj przypadkiem. Wszystko zostało dokładnie zaplanowane. Stary Ronsard był tylko maleńkim elementem większej układanki. Tego się nie spodziewał. Młody Marconi zaskoczył go zupełnie. Co planował? Przecież siedział teraz w pierdlu! Co jeszcze mógł? Pewnie nic. A jednak...

Stary Ronsard czuł, że sytuacja wymknęła się spod kontroli. Przeanalizował wszystko od początku. Rozważał różne możliwości. I wreszcie doszedł do oczywistego wniosku, że Marconi coś planował. Coś większego. Skąd ten cały spektakl ze stosem? Zbieg okoliczności? Niemożliwe. Podobnie jak incydent z rewolwerem Apaszów. I podobnie jak... Ci dwaj, tak blisko siebie. Marconi i Capelli. Akurat oni. Czyżby byli w zмовie?

Stary Ronsard miał ochotę zacząć mówić. Mógł. Wiedział, co naprawdę wydarzyło się na wyspie Trapezio d'Oro. Czy gdyby zaczął gadać, oni przestaliby się czepiać tego rewolweru wśród obrazów Yvesa? I poza tym... Czy rzeczywiście musiał mówić całą prawdę?

Przecież nie wszyscy przeżyli.

Przed ósmą byli już w drodze na komendę. Siedzieli w milczeniu w łodzi należącej do Stefana, który zaoferował, że zabierze ich po drodze do pracy. Bo przecież padał deszcz, a oni – Anna i Antonio – nie

byli w najlepszej formie. Choć Stefano absolutnie nie wnikał, co robili w mieszkaniu *commissaria* przez ponad dobę, skoro ewidentnie nie kiwnęli palcem w sprawie żadnego z morderstw. Zakładał, że Anna dochodziła do siebie po kąpieli w lagunie, a *commissario* się nią opiekował. Bo wcześniej ona zaopiekowała się nim. Choć pewnie powodów było więcej. No i w ogóle on, Stefano, jak najbardziej wszystko rozumie, ba! Cieszy się, że *commissario* jest dzisiaj trochę mniej skrzywiony niż zazwyczaj. Że prawie wygląda na szczęśliwego.

Ale przecież mógłby, do cholery, kupić sobie wreszcie łódkę!

Samochód miał. A dlaczego nie miał łodzi? Tego Stefano nie rozumiał. Samochodu używał przecież raz w tygodniu albo i raz na dwa tygodnie. Żeby zrobić zakupy w Mestre lub pojechać do innego miasta w regionie Veneto w celach służbowych. A to przecież rzadkość. Rzadkość! O wiele częściej przydawała się w Wenecji łódź. No bo wszędzie były kanały. I laguna.

Upraszczać – woda.

Tylko że *commissario* nie i nie! Po co łódź? A później lezie na piechotę w deszczu, w błocie, przez powódź się przedziera w gumiakach... Bo taksówki też sobie nie weźmie. Nie, bo po co? Oszczędny jest. Ascetą jest. A pewnie. I tylko Stefano głupi, współczujący, zawsze się zlituje, a później mu wypominają, że się podlizuje. Że wazelina! A on po prostu ma dobre serce. No i teraz może Anna jakoś na *commissaria* wpłynie, żeby coś zrobił ze sobą. Łódkę kupił i jakąś cieplejszą kurtkę, na przykład. Albo chociaż sweter.

Anna słuchała monologu Stefana z szerokim uśmiechem na ustach, a Antonio robił się na twarzy coraz bardziej purpurowy. Wreszcie nie wytrzymał i szturchnął policjanta łokciem w ramię.

– Ty wiesz, że ja jestem ciągle twoim szefem?!

– A wiem, wiem! I mało tego! Wczoraj nawet byłem przy przesłuchaniu Marconiego i Foscari, i zadałem kilka mądrych pytań, a później zastępcy komendanta powiedziałem, że to pan kazał. Że listę pan zrobił. Pytań. Że miałem je zadać na przesłuchaniu, a później wszystko panu przekazać. *Vice-questore* kręcił nosem, bo pan niby powinien sam, a nie znowu brać jakieś zwolnienie, ale dał się urobić. Kazał odwiedzić się z rana. Czyli wychodzi na to, że teraz.

Antonio kiwnął głową, a Annie zrobiło się przykro. Teraz zacznie się prawdziwa praca. Tłumaczenie przed szefem szefów, przesłuchania, raporty... Nie znosiła tego. Od zawsze wolała pracę w terenie, a biurko działało na nią odpychająco. Przypomniała sobie nagle Ingvara, który zawsze przychodził do pracy przed czasem i rzucał się na papiery, by jak najszybciej skończyć z biurokracją. Niestety, nie zawsze tak się dało. A teraz? Co powie ten cały *vice-questore*? I jakie mądre pytania zadał Marconim Stefano? Anna podniosła wzrok na młodego policjanta. Zaczynała go lubić.

– O co ich zapytałeś? – nie wytrzymała.

Widziała, że Stefano odrobinę się spiął. Zacisnął dłonie na sterze i wpatrzył się w przestrzeń przed sobą. Anna i Antonio wymienili spojrzenia.

– Stefano? – ponaglił go Valli.

Młody policjant wpłynął do kanału San Lorenzo i wyłączył silnik przed wejściem do komendy. Podrapał się nerwowo po czole.

– No, trochę blefowałem. Ale rozmawialiśmy o tej Stefanii Massimo i pomyślałem, że sprawa jest poważna, bo nie ma jej od dwóch dni i...

– I?

– I zapytałem o nożyczki.

– O nożyczki?! – powtórzyli równocześnie Anna i Antonio.

– Właśnie. Osobno zapytałem. Najpierw jego. Tak od czapy, jak to mówią. Najpierw sobie z nim rozmawiałem o tej dziewczynie. Skąd pochodziła, co studiowała, kiedy zaczęła u nich pracować, jakie

miała zwyczaj, dokąd chodziła, z kim się przyjaźniła, czy miała jakichś wrogów, czy ktoś jej groził, czy miała jakiegoś wielbiciela, czy znała się z zamordowaną Isabellą Lomi i tak dalej. Standardowy zestaw pytań przy zaginięciu.

– Już o to pytaliśmy.

– Tak, ale ja tylko chciałem uspić jego czujność. Żeby potem, wie szef, z całej siły ten... dopieprzyć! – zawołał z dumą mundurowy.

– Mhm... – Antonio zmrużył oczy. – I dopieprzyłes?

– Ha! Zaskoczyłem typa! Dokładnie powiedziałem tak: „Gdzie są zabytkowe nożyczki z biurka pani Foscari, które, o ile mi wiadomo, zaginęły przed trzema laty?”

Anna wstrzymała oddech i pokiwała z uznaniem głową. To było ryzykowne posunięcie, ale rzeczywiście niezłe. Od zaginięcia Stefanii minęły już dwie doby, a to bardzo źle wróżyło. Przede wszystkim należało ją odnaleźć. Oczywiście Anna i Antonio mogli spróbować od razu zagrać tą kartą, ale wiedzieli, z jakim ryzykiem będzie się to wiązało. Przecież nie mieli ani feralnych nożyczek, ani spisanych zeznań Stefanii, ani żadnych świadków tamtego zdarzenia. Mało tego. Nie wiedzieli nawet, co dokładnie się wydarzyło. Kto był w to zamieszany. Kto ucierpiał. Jedyne, co mieli, to domysły i informacje zaczerpnięte z nieformalnych rozmów. Valli, jako śledczy z doświadczeniem, nie powinien posłużyć się podczas przesłuchania argumentem niepopartym dowodami. Ale Stefano mógł. W końcu – dopiero się uczył.

– I co odpowiedział? – zniecierpliwił się Antonio.

– Najpierw go zatkało. A później zaczął się śmiać. Powiedział, że jestem chyba nienormalny, skoro pytam o nożyczki, kiedy ludzie wokół mordują innych ludzi albo ich uprowadzają. No i włączył się jeden z jego prawników, który powiedział, że skoro nie mam więcej mądrych pytań, to...

– Czyli nic się w gruncie rzeczy nie wyjaśniło? – przerwał mu Valli.

– Chwila! To jeszcze nie koniec. Po pierwsze pamiętajmy, że Marconiego zatkało. Musiałby pan, *commissario*, zobaczyć jego minę. A po drugie... Przecież to samo pytanie chwilę później zadałem Livii Foscari. Przemyślałem sobie to wszystko bardzo dokładnie po drodze z jednego pokoju przesłuchań do drugiego i postanowiłem zaryzykować. I...

– I?! – Anna poczuła, jak miękną jej kolana. Miała już dość suspensów w wykonaniu Stefana.

– I zadałem to samo pytanie. I jeszcze dwa kolejne.

Stefano zawiesił głos. Antonio Valli wstał i zachwiał się na pokładzie łodzi. Jego oczy miały iskry.

– Kurwa mać, jak zaraz nie zaczniesz gadać, to ja dla odmiany ciebie zamorduję i wrzucę do jakiejś studni! W Wenecji studni w ch... w cholere, więc na twoim miejscu bym się skupił! Do rzeczy!

Chłopak zrobił obrażoną minę i przystąpił do cumowania łodzi. Anna złapała Antonia za rękę, na wypadek gdyby chciał zrealizować swoją groźbę. Krople deszczu coraz mocniej łomotały o dach łodzi. Zerwał się silny wiatr. Anna odniosła nagle wrażenie, że ten deszcz jest groźny. Nie miała pojęcia, dlaczego. W jej umyśle znowu pojawiło się mdłe skojarzenie, które łączyło się ze wspomnieniem... pewnych wypowiedzianych przez kogoś słów. Jakich słów? I przez kogo? Zmarszczyła brwi. Stefano puścił cumę i ponownie na nich spojrzał.

– Powiedziałem tak: „Gdzie są zabytkowe nożyczki, które zniknęły z pani biurka przed trzema laty? Czy nazwisko Esposito coś pani mówi? Czy nazwisko Russo coś pani mówi?” Powiedziałem to w jednym ciągu i zawiesiłem głos, no i nie wiem, chyba jakoś tak spojrzałem, jak pan, *commissario*, czasem spogląda na ludzi, a wtedy ona...

– Stefano!

– A wtedy jej prawnik powiedział, że nie musi odpowiadać.

Antonio Valli otworzył usta, ale chyba nawet on nie wiedział, co na tę rewelację powinien

odpowiedzieć. Anna poczuła ukłucie strachu. Deszcz... Miała wrażenie, że powinna się pośpieszyć. Ale z czym? Dokąd? Bezwiednie zacisnęła dłoń na ramieniu Antonia. Ale on nie odrywał wzroku od Stefana.

– No to rzeczywiście dopieprzyłeś! – krzyknął zirytowany *commissario* i pomógł Annie wysiąść z łodzi.

Młody policjant wściekle zamachał rękami.

– Przecież, cholera, szef zawsze mówił, żeby nie tylko ich wszystkich, tych patałachów, słuchać, ale żeby też patrzeć!

Komisarz Valli zatrzymał się przy wejściu do budynku komendy. Obrócił się powoli w stronę Stefana.

– I wypatrzyłeś coś?

– Nawet kilka „cosiów”. Ja bym z nią jeszcze pogadał, na pana miejscu. Niech szef pójdzie. Bo mnie nie powie. Ale panu? I gdyby jeszcze posłać gdzieś w cholere tego mecenasa? Na kawę? Albo w kiblu go zamknąć?

Valli uśmiechnął się półgębkiem. Anna nie wątpiła, że miał już jakiś plan.

Na komendzie przypomniała sobie o Hitchcocku. *M jak morderstwo*. Leon mówił, że zgrał dla niej ten film, ale teraz przecież nie miała czasu obejrzeć go w całości. Interesowała ją jedna konkretna scena. Jeszcze zanim ruszyli do pokojów przesłuchań, Anna pociągnęła Antonia w stronę gabinetu. Stefano deptał im po piętach, ale tym zupełnie się nie przejmowała. Młody mógł zostać. Był bystry. Mógł mieć swój wkład w odnalezienie Stefanii. I to nie mały, jeśli jej zniknięcie łączyło się właśnie ze sprawą nożyczek.

Kiedy znaleźli się w środku, zamknęła drzwi, wyciągnęła komórkę i weszła na YouTube’a. Bez problemu odnalazła scenę, która plątała jej się po głowie przez kilka dni jako mgliste skojarzenie. Teraz przypomniała sobie wszystko bardzo dokładnie. Grace Kelly w koszuli nocnej, która bardziej przypomina suknię wieczorową. Telefon. Biurko. Nożyczki. Morderca, który atakuje kobietę i zaczyna ją dusić. Szamotanina. Dłoń kobiety błędząca po blacie biurka. Jej palce zaciskające się na nożyczkach. Cios w plecy. Zaskoczenie mordercy. Jego śmierć. Choć przecież miało być odwrotnie...

Scena dobiegła końca. Anna zamknęła stronę i schowała telefon. Antonio i Stefano przyglądali się jej w pełnym napięcia milczeniu.

– Wydaje mi się – zaczęła niepewnie – że coś podobnego wydarzyło się u Marconich. Oczywiście nie mam pewności. To tylko domysły. Ale jakoś wszystko do siebie pasuje. Tajemnicze wydarzenie sprzed trzech lat, zakrwawione nożyczki, fałszywe bandaże na rękach Livii i trup w studni Foscarich. Na oko trzyletni. Jeśli to rzeczywiście Fa...

Nie skończyła. Od strony korytarza dobiegły ich odgłosy awantury. Stefano rzucił się w stronę drzwi, uchylił je i wetknął głowę w szparę. Awantura była teraz lepiej słyszalna. Anna nie wytrzymała i również wyjrzała na korytarz. Po chwili za jej plecami stanął Valli. Zobaczyli dwóch mężczyzn. Jeden krzyczał, a drugi gestem zapraszał tego krzyczącego do gabinetu. W drugim Anna rozpoznała marynarkowego, którego widziała podczas swojej pierwszej wizyty w tym miejscu.

– Zastępca komendanta – szepnął jej do ucha Valli. – A ten drugi to...

– Oficer karabinierów? – domyśliła się po chwili.

Antonio i Stefano potwierdzili. Po chwili zastępca komendanta wreszcie odniósł sukces i wciągnął awanturującego się karabiniera do swojego biura. Wraz z Antoniem i Stefanem odczekała jeszcze minutę, ale nic więcej się nie wydarzyło. Nie udało im się usłyszeć, czego dotyczył przedmiot sporu, mimo to Anna łatwo się wszystkiego domyśliła. Kiedy weszli z powrotem do gabinetu, zerknęła przelotnie na Antonia. On domyślał się również. Karabinierzy już wiedzieli, że Polizia di Stato grzebie w przeszłości matki Luigiego Marconiego. Kobiety, która dwadzieścia pięć lat temu po prostu zniknęła z dnia na dzień.

Anna poczuła na plecach lodowaty dreszcz. Valli zbladł. Nawet on musiał choć odrobinę się przejąć. Sprawa zaczynała wyglądać poważnie i zataczać coraz szersze kręgi. A zresztą... Jeśli ten karabinier w jakiś sposób dogada się z zastępcą komendanta, to właśnie – paradoksalnie – *commissario* może mieć największe kłopoty. Antonio Valli, który okazał się najbardziej dociekliwy.

– No to co? – zagaił młody policjant, który też jakimś cudem odczuł powagę sytuacji, choć przecież nie został wtajemniczony w kontakty komisarza z pułkownikiem Riccim. – Idziecie przycisnąć tych Marconich?

Valli spojrzął pytająco na Annę. Ruszyła w stronę drzwi. Cieszyła się, że może wziąć udział w tych przesłuchaniach, zamiast tylko czekać na relację lub sterczeć po drugiej stronie lustra. Nagle coś sobie przypomniała. Zastygła z dłonią na klamce.

Karteczka w kieszeni Poliszynela! Zupełnie o niej zapomniała.

Odwróciła się i wbiła wzrok w Stefana. Coś przyszło jej do głowy.

– Mówiłeś, że strój Poliszynela był z wypożyczalni?

– No tak. Ale co to teraz...

– Przejdź się tam z tą karteczką, którą znaleziono w kieszeni denata.

– Ale już rozmawialiśmy z facetem od kostiumów i...

– Pogadaj z nim jeszcze raz. Pokaż mu ten świstek i jeśli trzeba – weź namiar na gościa, który wypożyczył strój Poliszynela wcześniej.

Stefano milczał przez chwilę, ale wkrótce na jego twarzy pojawił się wyraz zrozumienia. A nawet... zachwytu. Policjant uśmiechnął się szeroko.

– Jasne, szefowo! Wszystko pojąłem! – wykrzyknął i natychmiast wybiegł z gabinetu.

Valli zerknął na Annę zdeorientowany.

– Idziemy gadać z Marconimi? – spytała z niewinną miną.

– Idziemy – mruknął komisarz i otworzył przed nią drzwi. – Że niby jak on cię nazwał?

Jednak milczał. Oprócz milczenia nic mu nie pozostało. Nie wiedział, czy to dobre wyjście, ale był na tyle bystry, by się zorientować, że jego notowania spadały. Czy Livia już zaczęła mówić? Bo jeśli nie, to może on powinien? Wszystko rozwiązałoby się w prosty sposób. Luigi zachichotał, nie zważając na obecność adwokatów. Wiedział, jak mało wiarygodny musiał się im wszystkim wydawać. Od dawna czegoś na niego szukali. Guardia di Finanza nie dawała mu spokoju, bo za dobrze sobie radził. Jakby właśnie tu, w Wenecji, każdy działał uczciwie. Luigi Marconi wiedział wiele o przestępczości zorganizowanej, a przecież on sam...

Ktoś wszedł do pokoju przesłuchań. Mecenasi wstali. On siedział nadal. Zaczął w skupieniu oglądać swoje paznokcie. Nie, nie będzie mówił. Da jej szansę. Zaufa Livii. Może pomylił się co do niej? Tylko że wtedy nie udzieli pomocy Stefaniu.

Livia. Stefania.

– Panie Marconi?

Luigi uniósł głowę. Antonio Valli. Wreszcie przyszedł. Co robić?

– Tak? Sprawdza pan, *commissario*, czy pamiętam, jak się nazywam?

Policjant uśmiechnął się. Jakoś tak dziwnie, krzywo. Luigi nie potrafił go rozgryźć. Nigdy nie był pewien, jak Valli może zinterpretować jego słowa. Poza tym przyszła też dziewczyna. Szwedka. A nie, ktoś mówił, że przecież Polka. Przy niej Luigiemu trudno było wyjść z roli. Musiał udowadniać swoją wartość, manifestować wyższość, chciał poczuć się lepszym, ważniejszym i mądrzejszym. Jak przy Stefaniu. Teraz dopiero uświadomił to sobie w pełni.

Bez sensu.

Przecież to Livia! Livia się liczyła! Nie od zawsze, ale od dawna. Ona i te cholerne papiery, które nie istniały. Z każdym dniem nabierał pewności, że nigdy ich nie było.

Livia. Stefania.

Ronsard.

Capelli.

Powiedzieć im?

Valli czekał na odpowiedź Marconiego, ale jubiler milczał.

– Panie Marconi? – powtórzył. – Może jednak porozmawiamy?

Mężczyzna spojrzał na niego przenikliwie, zimno. Przez chwilę Antonio myślał, że zobaczył w tych oczach coś innego. Jakąś cieplejszą iskierkę. Oznakę prawdziwych, ludzkich emocji. Może nawet strachu? A jednak nie. To coś szybko się ulotniło i pozostał chłód. Luigi Marconi wyprostował się na krześle.

– O czym chce pan rozmawiać? – mruknął po angielsku. Niech ta kobieta również zrozumie. Jeden z jego adwokatów chrząknął.

– O nożyczkach.

– Pan też chce rozmawiać o nożyczkach? Myślałem, że to była tylko zawodowa wprawka młodych mundurowych – Marconi parsknął śmiechem.

– Słyszałem, że były zabytkowe. Rzeźbione. Cenne. Każdy, kto je widział, tak twierdzi – zaryzykował Valli.

Starał się mówić lekkim tonem, choć przecież kłamał. Z nikim, poza Anną i Stefanem, nie omawiał *casusu* nożyczek. A jednak w Marconim zaszła drobna zmiana. Tym razem wrażenie było mocniejsze. Mężczyzna zbladł. Dłonie zadrżały mu lekko, kiedy splatał palce. Poruszył się nerwowo, poprawił na krześle, przygarbił nieznacznie. Cholera! Anna miała rację. Te nożyczki były istotne! Antonio spoważniał.

– Niech mi pan lepiej powie, gdzie są te nożyczki. Ewentualnie może się pan podzielić swoją wiedzą na temat szczątków znalezionych na wyspie Foscarich. Bo przecież pan wie, na kogo tam trafiliśmy.

Tego komisarz Valli już nie oznajmił lekkim tonem. Mówił rzeczowo, pewnie i wyraźnie artykułował każde słowo. Jego wzrok spotkał się ze wzrokiem Marconiego. Patrzyli na siebie przez długą chwilę. Jubiler poddał się pierwszy. Jego adwokaci zaczęli chrząkać i recytować na przemian prawnicze regułki. Marconi uderzył otwartą dłonią w stół. W pokoju zapadła cisza.

– Wy chyba wszyscy oszaleliście? – wycedził. – Zajmijcie się tym, co do was należy, zamiast szukać jakichś pieprzonych nożyczek!

Antonio Valli powoli podniósł się z krzesła. Obok usłyszał szurnięcie. Anna wstała również. Przez cały

ten czas milczała jak zakłeta. Valli pochylił się w stronę jubilera.

– Właśnie się zajmujemy. Proszę mi wierzyć.

Na korytarzu przez chwilę nie odzywali się do siebie. Antonio zastanawiał się, co ten facet przed nimi ukrywał i czy to „coś” miało jakikolwiek związek z jego matką. Przypomniawszy sobie kilkusekundowy moment, w którym Marconi się zawahał. Bo to było wahanie. Z początku myślał, że raczej jakieś dziwne, osobliwe ciepło, coś ludzkiego i przyjaznego. Ale nie. To było właśnie wahanie. Marconi przez te kilka sekund chciał się poddać. Miał dość. A jednak znalazł w sobie resztki siły i determinacji, by kłamać dalej.

Przeszli na drugi koniec korytarza i stanęli przed kolejnym pokojem przesłuchań. Wymienili spojrzenia. Wreszcie Anna jako pierwsza przerwała milczenie.

– Coś mi w tym facecie nie pasuje – powiedziała.

Spojrzał na nią z ukosa.

– Nie gadaj!

Wsunęła się za Antoniem do pokoju przesłuchań. Usiadła pod ścianą i dyskretnie zerknęła na Livię Foscari, która przy swoim postawnym adwokacie wydawała się żałośnie mała. Kobieta ścisnęła w palcach chusteczkę i wbijała wzrok w blat stołu. Była blada, twarz miała opuchniętą od płaczu. A jednak po emocjach, które musiały targać nią wcześniej, teraz nie pozostał ślad. Livia siedziała sztywno na krzeselku i sprawiała wrażenie niemal opanowanej. Przywitała się cicho z Vallim, zaszczyliła go przelotnym spojrzeniem i znowu zaczęła oglądać blat stołu. Czy to rzeczywiście było opanowanie? W jej milczeniu i sztywnym bezruchu Anna dostrzegła teraz rezygnację. Chyba że Livia udawała. A to było przecież całkiem możliwe. W jakiej roli występowała ta kobieta? Kiedy kończyła grać i stawała się naprawdę sobą? A może nigdy nie była sobą?

Anna zorientowała się, że poza zdawkowym „buongiorno” i „będziemy rozmawiać po angielsku – czy to problem?” Antonio nie wypowiedział dotąd ani jednego słowa. W pokoju panowała cisza. Valli intensywnie wpatrywał się w Livię Foscari, która z równą intensywnością wciąż podziwiała blat stołu. Ale w jej postawie coś się zmieniło. Nie była już tak wyprostowana, tak sztywna. Jej plecy się zaokrągliły, głowa schowała w ramiona. Pani Foscari czuła na sobie spojrzenie Antonia i chyba zaczęła rozumieć, że komisarz nie zadowolony się milczeniem.

Prawnik przesłuchiwaną odchylił się na krześle, które skrzypnęło pod jego ciężarem. Roześmiał się.

– Będziemy sobie teraz romantycznie, w ciszy, patrzeć w oczy? Czy przyszedł pan z konkretami? – zapytał, zdejmując z nosa okulary, które zaczął niedbale przecierać chusteczką.

– Z konkretami – odrzekł Valli i zrobił zatroskaną minę. – Ta biała łódeczka to pana?

– Która biała? – odezwał się mecenas, jeszcze nie do końca zbity z tropu.

– Zaczumowana pod komendą. Taka błyszcząca.

– Owszem. Nowa.

– Gratuluję zakupu. Chyba mówimy o tej samej? Z wysprejowanym napisem: *cazzo*?

Adwokat zbladł, ale nie zerwał się z krzesła. Wstał, majestatycznym ruchem zapiął marynarkę, chwycił teczkę, rzucił: „proszę nic nie mówić” do Livii Foscari, po czym sprężystym krokiem skierował się do

wyjścia. Dopiero za drzwiami dało się słyszeć nerwowy tupot. Anna prawie się uśmiechnęła. Valli natomiast uśmiechnął się jawnie i poufałym tonem zwrócił do przesłuchiwanej.

– Mam nadzieję, że noc minęła pani spokojnie. Naprawdę mi przykro...

– Przykro panu? – Livia weszła mu w słowo. Uniosła dumnie głowę.

– Że zatrzymano panią tutaj. Na noc.

– Bo pan niby nie miał z tym nic wspólnego?

– Akurat wziąłem wolne. Sprawy rodzinne.

Livia Foscari przeniosła wzrok na Annę. Przez chwilę patrzyły sobie w oczy. Anna poczuła, że zaczyna się rumienić. Może ta Foscari nie była taka głupia? Może widziała i słyszała więcej, niż się ludziom wydawało?

– Wolne, mówi pan? – powiedziała powoli, wciąż wpatrując się w Annę. Wreszcie zatrzepotała rękami i odwróciła wzrok.

– Tak się złożyło – mruknął.

– No dobrze, proszę sobie wszystko przygotować.

Valli umilkł. Anna zastygła w bezruchu. Livia Foscari założyła nogę na nogę i przybrała wygodną pozę. Chwyliła plastikowy kubek i napiła się wody. Teraz była zupełnie inna. Ani przestraszona, ani też zrezygnowana. Była chłodna. I zdecydowana. Na co?

– Proszę sobie wszystko przygotować – powtórzyła rzeczowo i uniosła brwi.

– Ale co? – odblokował się wreszcie Valli.

– Mnie pan pyta? Chyba macie jakieś swoje procedury? Nie wiem – notatnik, formularz do składania zeznań, dyktafon?

Anna była coraz bardziej zaskoczona. Ta kobieta najwyraźniej zamierzała zacząć mówić! Valli jak automat ustawił na stole dyktafon i równiutko ułożył przed Livią Foscari jakieś papiery. Kobieta skinęła głową. Wydawała się niemal zadowolona. Jak dobra była w odgrywaniu tych wszystkich ról? Jak wiele masek nosiła? Czy tyle, ile wisiało na ścianie w tajemniczym pokoju na poddaszu Palazzo Marconi? Anna poczuła, że za chwilę wydarzy się coś złego. I ponownie ogarnęło ją to dziwne wrażenie. Że powinna się spieszyć. Że traci czas.

Livia Foscari uśmiechnęła się.

Uśmiechnęła się, choć wcale nie było jej do śmiechu. Nie wiedziała też, jak wypadł ten uśmiech. Dobrze czy źle? Jak wyraz ulgi, że wreszcie można zacząć mówić? Czy może raczej bezczelnie i zbyt pewnie? Co pomyślała sobie ta policjantka? Nic się nie odzywała, ale swoje wiedziała. Livia znała takie, jak ona. A raczej nauczyła się je rozpoznawać. Kobiety, które imponowały Luigiemu. Inteligentne, silne. Takie, które radziły sobie same i prawie nigdy nie oglądały się na otoczenie. Widziała, jak się w ich towarzystwie spinał, starał się dobrze wypaść i sprawiać wrażenie elokwentnego człowieka z wyższych sfer. A nie chłopaka z Cannaregio, syna alkoholika i jakiejś szmaty, która porzuciła rodzinę z dnia na dzień. Nie, nie... Przy takich kobietach Luigi chciał być kimś. Prężył się, uważnie dobierał słowa. Trzymał kieliszek za nóżkę, nie za czarę... Idiota! Był do bólu czytelny. Naprawdę tego nie wiedział? A może wiedział? I robił to specjalnie, na pokaz? Bo przecież z takimi kobietami nigdy nie zdradzał żony.

Do łóżka chadzał tylko z naiwnymi dziewczynkami, w których nie musiał już wzbudzać podziwu. One uwielbiały go i tak. Patrzyły w Luigiego jak w święty obrazek. Dla nich był bogiem. Widział to i wykorzystywał. Przy nich czuł się dobrze, o nic nie musiał się starać, wszystko dostawał. Nie tracił pewności siebie. Przy tych drugich bał się wyjść na głupka. Przy tych drugich nadal był ubogim chłopakiem z plebsu, słabo wykształconym i z kompleksem niższości. Przy... takich jak Stefania Massimo.

Czy ona jeszcze żyła?

Livia Foscari napiła się wody. Czas zacząć mówić. Adwokat-idiota wreszcie sobie poszedł. Musiała przerwać milczenie. Roberto Capelli też tak uważał. Wreszcie doszli do porozumienia. Teraz nadszedł idealny moment. Luigi był tutaj, na komendzie. Livia nie mogła zmarnować takiej okazji.

I zaczęła mówić. Z początku nie wiedziała, jaki przybrać ton. Czy zagrać strach, czy rezygnację? A może chłodny cynizm osoby, która wiele w życiu widziała i przeszła? Wreszcie zdecydowała się na coś pomiędzy. Teraz była żoną człowieka, który ją zdradzał i oszukiwał. Który nią manipulował. O tak – manipulacja to dobre słowo.

Była żoną człowieka, który... chciał ją zabić.

– W studni na wyspie Foscarich znajdowało się ciało Fabia Esposita – odezwała się.

Głos odrobinę jej zadrżał, choć starała się brzmieć pewnie. Ale ostatecznie – może to i lepiej?

– Kto je tam umieścił? – spokojnie zapytał Valli.

– Mój mąż. I ja.

Patrzyli na nią bez słowa. Teraz, niespodziewanie, zachciało jej się śmiać. Czowała ulgę i determinację. Być może zaraz będzie po wszystkim? Wzięła głęboki wdech i kontynuowała swoją spowiedź.

Wieczorem, przed trzema laty, jakiś mężczyzna zakradł się do jej gabinetu. Livia została zaatakowana. Mężczyzna uderzył ją, następnie zarzucił pętlę na szyję i zaczął dusić. Szamotali się przez chwilę. Livia straciła grunt pod nogami i runęła na biurko. Kiedy już robiło jej się słabo i ciemno przed oczami, kiedy miała wrażenie, że za chwilę nastąpi koniec, wyczuła coś pod palcami. Nożyczki. Duże, zabytkowe nożyczki, które od lat leżały na biurku w charakterze ozdoby. Były ciężkie. Uniosła je z trudem. Sama nie wiedziała, jak tego dokonała, ale resztkami sił zamachnęła się i... Ucisk wokół jej szyi zelżał. Nie miała pojęcia, co się stało. Czowała tylko, że te nożyczki napotkały na jakiś opór i już nie trzymała ich w dłoni. Mężczyzna osunął się na podłogę. Charczał. I wtedy zobaczyła, że nożyczki tkwią w jego głowie. To było jak sen. Nie wiedziała, dlaczego, ale schyliła się, z trudem wyszarpnęła ostrze i wbiła mu je jeszcze kilka razy w szyję. Na oślep. Po prostu wiedziała, że gdzieś tam są jakieś tętnice i... I właściwie tyle. Chciała zadać mu śmierć. Mężczyźnie, który ją zaatakował. Dopiero później pomyślała, że to wszystko było niepotrzebne, cała ta rzeźnia, krew... Bo on i tak by umarł. Od tego pojedynczego, celnego ciosu w skroń. Czy gdzieś obok. Nie pamiętała dokładnie.

Livia sama poczuła się źle, kiedy zyskała pewność, że napastnik nie żył. Wtedy zakreśliło jej się w głowie i zwymiotowała. Wciąż pamiętała to potworne pulsowanie w skroniach, ból rozsadzający czaszkę i piekące otarcia na szyi. Wciąż pamiętała ucisk na przełyk, na krtań... Ale wtedy nie zaczęła krzyczeć. Zadzwoniła po Luigiego, który był na jakiejś biznesowej kolacji. Kucharka i dwie sprzątaczkі miały wolne. W domu było pusto. Luigi zjawił się natychmiast. Odstawiony w garnitur i śnieżnobiałą koszulę, elegancki płaszcz i pantofle za kilka tysięcy euro. Nawet się nie przebrał. Po prostu zaczął sprzątać. Zapakował ciało do wielkiego worka na śmieci. Odsunął dywan, który jakimś cudem się nie poplamiał, i zmył krew z podłogi. Nawet czymś tę podłogę popsikał, żeby nie zostały ślady... Livia nie wiedziała czym, ale przecież jej mąż z racji wykonywanego zawodu miał jakieś pojęcie o chemii. Pozwoliła mu działać. Po kilku godzinach gabinet lśnił. Może nawet trwało to wszystko krócej? Luigi dokonał ostatnich poprawek i opadł na fotel. Był czerwony na twarzy, spocony i zmęczony. A przecież

jeszcze nie nastąpił koniec tego piekła. Livia dopiero wtedy pomyślała, że powinna mu pomóc.

Ciało do łodzi zanieśli razem. Popłynęli na jej rodzową wyspę, Trapezio d'Oro. Wrzucili ciało do studni. Zamknęli wieko. Wrócili do domu. Luigi jeszcze raz posprzątał w pokoju, a Livia poszła się wykapać. Bolała ją głowa i szyja, ale nie chciała wezwać lekarza. Dopiero zaczynało do niej docierać, jak bardzo podziurawiła tego faceta. To nie wyglądało na samoobronę, ale na robotę rzeźnika. Czy ktoś uwierzyłby w jej wersję wydarzeń? Przecież ten człowiek nie miał nawet na twarzy kominiarki znanej z filmów sensacyjnych! Wyglądał normalnie. Dżinsy, bluza. Odkryta twarz. Pospolita, dość brzydka. Krzywy nos, małe oczy. Zapamiętała je dobrze.

O lekarza i policję Luigi zapytał tylko raz. Pokręciła głową. Nie odezwał się więcej. Nie zainteresował się nawet tym, co dokładnie się wydarzyło. Nie rozumiała go wtedy. Nie wiedziała, dlaczego tak po prostu, bez słowa i na chłodno jej pomógł. Ale była mężowi wdzięczna. Kiedy wyszła z wanny, obejrzał dokładnie jej otarcia na szyi i czymś posmarował... Zaopiekował się nią. Przytulał długo, aż do rana. Na chwilę zapadła nawet w drzemkę. A później okazało się, że popełnili błąd.

– Stefania Massimo – wtrącił cicho komisarz Valli.

Spojrzała na niego zaskoczona. No tak, rzeczywiście. Wciąż był tutaj. I ta szwedzka policjantka. Słuchali jej opowieści.

– Stefania Massimo – potwierdziła. – Zgadza się. Znalazła nożyczki. Pod oknem.

Livia musiała odrzucić nożyczki, kiedy wreszcie zrozumiała, że brutalnie zabiła napastnika, który przecież nie przyszedł tu po to, by stracić życie, ale odebrać je komuś innemu. A później Luigi zaczął sprzątać, odsunął ten cholerny dywan i przykrył nim „narzędzie zbrodni”. Oboje zapomnieli o nożyczkach. Nic dziwnego. W tamtej sytuacji łatwo było coś przeoczyć. Ani Livia, ani Luigi nie mieli przecież doświadczenia w pozbywaniu się zwłok! Później mąż poprawił dywan tak, by leżał po staremu, ale nożyczki zostały pod oknem, zasłonięte długą kotarą. I akurat tam musiała stanąć Stefania Massimo.

Luigi działał szybko. Nakłamał o depresji Livii, o tym, że się okaleczyła, zrobiła show, bo miała jeden ze swoich nerwicowych „ataków”. „To jej krew była na nożyczkach”, „No przecież wiesz, jaka jest moja żona”, tłumaczył, a dziewczyna chyba połknęła haczyk. Poza tym Luigi traktował tę Stefanią bardzo dobrze, sporo jej płacił, doceniał, awansował. I siedziała cicho.

– Ale teraz... – powiedziała Livia i zawahała się na chwilę.

– Teraz? – podjął *commissario*.

– Teraz myślę, że skoro ona zniknęła, to pewnie przestała siedzieć cicho. I dlatego...

Antonio Valli przyjrzał się jej uważnie.

– Oczywiście zdaje sobie pani sprawę, że właśnie zasugerowała, kto stoi za porwaniem Stefanii.

Livia wytrzymała spojrzenie komisarza. Oczywiście. Wiedziała. Któż by inny?

Długo zastanawiała się nad tym, dlaczego Luigi tak ochoczo jej pomógł i nie domagał się słowa wyjaśnienia. Ale z drugiej strony... Był miły. Opiekuńczy. Nie zachowywał się tak od dawna. To wydarzenie na nowo ich połączyło. Livia dała sobie zatem spokój z niewygodnymi pytaniami i głupimi podejrzeniami. Zwłaszcza że napastnik przestał być dla niej tylko martwym ciałem bez żadnej tożsamości. Z prasy dowiedziała się o tajemniczym zniknięciu niejakiego Fabia Esposito, kioskarza z Padwy. Zerknęła na zdjęcie i rozpoznała go od razu. Ale... kioskarza? Dlaczego gazety ekscytowały się kioskarzem? Szybko się tego dowiedziała. Nieoficjalnie mówiło się, że Esposito był płatnym zabójcą. Wszyscy to wiedzieli albo się domyślali. Cholerna tajemnica Poliszynela. A Livia jakoś nie wiedziała. Bo niby skąd? Nie interesowała się takimi sprawami. Ją ciekawiły tylko przyjęcia, kwesty, działalność pseudocharytatywna, nowe naszyjniki, weneckie maski, bale, pieniądze, romanse męża i manifestowanie depresji.

Kioskarz... Spec od mokrej roboty. Uznała wtedy, że w sumie dobrze się stało. Wyeliminowała z tego

świata jednego męta społecznego. Przysłużyła się ludzkości. I wszystko wróciłoby do normy, gdyby nie dwa pytania. Dlaczego mąż tak chętnie jej pomógł? I... Kto nasłał na nią tego typu? Luigi obstawał przy teorii o napadzie rabunkowym. Ale ona w to nie wierzyła.

– Coś się wydarzyło, prawda? Coś, co zmieniło pani spojrzenie na tę sprawę?

To była Szwedka. Odezwała się spod ściany. Livia widziała, jak komisarz Valli drgnął na dźwięk jej głosu. Pewnie już zostali kochankami. Pasowali do siebie. Oboje ładni, ale zaniedbani, wykrzywieni, ze zmarszczkami na czole. Musieli wiedzieć, że „to” nie przetrwa. Dziewczyna stąd wyjedzie, nie pasuje do Wenecji. Livia prawie im współczuła. Prawie posłała uśmiech tej całej Annie Lindholm. Ale przecież... Nienawidziła takich kobiet, jak ona.

– Owszem. Coś się wydarzyło.

Wydarzyło się to, że w Wenecji zjawił się dziwny gondolier.

Z początku nie zwracała sobie chłopakiem głowy, choć widywała go często. Za często, by mógł to być przypadek. Pływał na takiej śmiesznej gondolce, plastikowej podróbce z Chin. Livia śmiała się nawet sama do siebie i czekała, kiedy Stowarzyszenie Gondolierów dobierze mu się do tyłka. Smarkacz psuł im wizerunek. Nienawidzą tego. Ale chłopak pływał sobie w tej chińskiej łajbie, jak gdyby nigdy nic. W czerwonej kurtce z kapturem.

– Czerwona kurtka! – głos Livii zaczął zdradzać emocje. Przełknęła ślinę. – I chińska gondolka! Wyobrażacie sobie?

Valli i Lindholm wpatrywali się w nią w milczeniu. W ich twarzach nie wyczytała zrozumienia. No, tej kobiecie w sumie się nie dziwiła. Co ona może wiedzieć? Ale komisarz Valli? Fakt, słyszała, że nie mieszkał tu od dziecka, ale przecież miał wenecką babkę! Powinien zatem wiedzieć, co to znaczy czerwona kurtka i chińska łajba. Z gondolierów nie wolno kpić! A gówniarz kpił. W dodatku pływał dobrze, choć widać było gołym okiem, że żaden z niego profesjonalista. Miał jednak wycucie, umiał złapać rytm, podpatrzył to i owo, po czym świetnie skopiował. Wiedział, jak poradzić sobie w wąskich kanałach, jak odpychać się nogą od ściany, jaką przybierać pozę, był łódź dobrze szła. A to nie takie proste. Chłopak był utalentowany.

Zwróciła na niego wreszcie uwagę. Wyraźnie się tego domagał. Zjawiał się zawsze, ilekroć wychodziła z domu i spacerowała wzdłuż któregoś z pobliskich kanałów. I w końcu stało się. Chłopak któregoś dnia zaszedł jej drogę w jednej z wąskich uliczek odchodzących od Campo della Guera. Przestraszyła się. On jednak uniósł ręce w poddańczym geście i powiedział, że chciałby tylko chwilę porozmawiać. Na osobności. Zgodziła się. Poszli w jakieś ustrome miejsce, już nawet nie pamiętała, dokąd. I wtedy on... zapytał o Fabia Esposita. Livia była naprawdę przerażona. On coś o niej wiedział. Tylko skąd? Wiedział, jak wynosili ciało? Albo jeszcze gorzej – był świadkiem tego, co wydarzyło się w gabinecie? Nie, niemożliwe. Okna były zasłonięte, dom pusty. Ktoś mu powiedział? Przecież nikt... Poza Luigim... Livia zerwała się z ławki, na której przed chwilą usiedli. Chciała uciec, ale on złapał ją za łokieć i mocno przytrzymał.

„Proszę się nie bać”, powiedział i dodał: „Wiem, kto go wynajął”.

Livia zaczęła się trząść. Chłopak, Guido Russo, puścił ją. Nie uciekła. Usiadła. Czekala. Na to nazwisko, którego już sama zaczęła się domyślać. „To pani mąż. Luigi Marconi”, przyznał wreszcie Russo i umilkł. Później coś jeszcze mówił. Że znał Esposita z Padwy, z jakiegoś domu dziecka, ale Livia słuchała go jednym uchem. Wreszcie wszystko zrozumiała. Wiedziała już, dlaczego Luigi tak chętnie i szybko jej wtedy pomógł, dlaczego o nic zupełnie nie pytał i nie naciskał, by wezwać policję. Każdy element wskoczył na właściwe miejsce. Luigi chciał ją zabić. Tylko dlaczego?

Nie mogła zostać z tą tajemnicą sama. Wiedziała, komu mogła zwierzyć się bez obaw. Miała przecież przyjaciela. Jedyne, wiernego, od lat. Roberto Capelli tkwił przy niej, choć ona go odrzuciła. Nie

poddał się. Opowiedziała mu więc o wszystkim. O ataku, Esposicie, o nożyczkach, o Stefanii i wreszcie – o gondolierze i Luigim. Roberto był wstrząśnięty. Domagał się, by Livia wezwała policję i złożyła skargę na męża. Nie chciał pozwolić, by nadal mieszkała z nim pod jednym dachem. Ale ona bała się, że w jej wersję nikt nie uwierzy, a ten chłopak z gondolą na pewno się ulotni, jak tylko zobaczy facetów w mundurach. Nie wyglądał na takiego, który by się przyjaźnił z policją. I jeszcze... minęły trzy lata. Luigi przez cały ten czas nie próbował wyrządzić jej krzywdy. Livia potrzebowała się namyślić, chciała odciąć się od Marconiego sama. Bez pomocy odpowiednich służb. Nie potrafiła jednak opracować żadnego sensownego planu.

I wtedy z propozycją wystąpił Roberto Capelli. Spotkał się z Russem i odbyli długą rozmowę. Uknuli intrygę. Gondolier dostał pieniądze za to, żeby deptać po piętach Marconiemu, a najlepiej jeszcze jego aktualnej kochance. Miał go nastraszyć, wpędzić w permanentne poczucie zagrożenia. Livia przeżyła w poczuciu zagrożenia trzy lata. Teraz już wiedziała, przez kogo. Spodobał jej się plan Roberta. Poza tym pragnęła kupić sobie trochę czasu, zobaczyć, jakie działania podejmie Luigi, czy w ogóle zrobi cokolwiek. Wiedziała, że to dość dziecinna intryga, która mogła okazać się bezsensowna, ale i tak czekała.

Przez cały czas zastanawiała się też, dlaczego Luigi chciał ją zabić. Jeśli miał dość żony, mógł tę sprawę rozwiązać inaczej. No dobrze, może i wciąż formalnie była właścicielką kamienicy przy Calle Fiubera, ale przecież Marconi poradziłby sobie teraz i bez niej. To raczej Livii nie opłacało się... odejść od męża.

– A gondola? – usłyszała nagle spod ściany.

To była znowu Szwedka. Mocno dociekliwa, jak widać. Livia rzuciła jej lodowate spojrzenie. Nienawidziła takich kobiet. Tych, które podziwiał jej mąż. I dlaczego? Nie potrafiły nawet dobrze o siebie zadbać. Anna Lindholm! Też coś. Przyduży sweter i sznurowane buty, do których przykleiła się cienka warstewka weneckiego błota. Rzeczywiście. Dama!

– Co: gondola?

– Gondola, którą pływał Guido Russo, należała do Foscarich ze Złotego Trapezu. Do pani rodziny. Ta druga łódź, nie chińska.

Livię замуrowało. Wiedzieli o tym! Oczywiście, prędzej czy później musieli się dowiedzieć. Wystarczyło pokazać łódź temu skutnikowi z San Trovaso. To było za proste... Dalsze kłamstwa nie miały sensu.

– Sama dałam Russowi tę gondolę, kiedy Roberto wymyślił swój plan. Bo, paradoksalnie, w mojej starej gondoli mniej rzucał się w oczy niż w cholernej chińskiej. Ale on uparł się, żeby pływać w tej swojej głupiej kurtce. I w efekcie i tak rzucał się w oczy. Wszyscy zwrócili na niego uwagę. Legendę sobie stworzył! Moja gondola... Znajdowała się wciąż na tej wyspie. Trapezio d’Oro. Zachowałam łódkę na pamiątkę. Była w dość dobrym stanie, wymagała tylko kilku drobnych napraw. Ja... Sama ich dokonałam. Dziadek mnie nauczył, kiedy byłam jeszcze nastolatką.

Umilkła. Nie była zadowolona z własnego zachowania. Skłamała. Gondola była w fatalnym stanie i z pewnością policja już o tym wiedziała. A Livia dawała się ponieść emocjom. Nie tak to sobie zaplanowała. Zamierzała zachowywać się jak dama, jak Foscari. Wyprostowała się na krześle i przybrała poważny wyraz twarzy.

– Później zginęli.

– Słucham? – odezwał się dla odmiany Valli.

– Isabella Lomi i Guido Russo. Zginęli niemal jednocześnie. Tej samej nocy. Oczywiście Luigi mógł to zrobić bez problemu, bal maskowy wszystko mu ułatwił. Zamordował Isabelle, a później wymknął się i pozbawił życia Russa. W pałacu było mnóstwo gości, na ulicach tłumy, wszyscy w maskach, płaszczach,

kostiumach. Nikt by niczego nie zauważył.

– Czyli utrzymuje pani, że to mąż jest winien? Luigi Marconi zabił Isabellę Lomi i Guida Russa? – powtórzył ostrożnie komisarz.

– Oczywiście – Livia spojrzała na niego z politowaniem. Czy on naprawdę nic nie rozumiał?

– Jest pani pewna?

– Tak, jestem pewna! Tylko mam pewien problem. Doskonale rozumiem, dlaczego Luigi zabił Guida Russa. Bo chłopak wiedział o zleceniu na mnie. Ale dlaczego zabił Isabellę? Bo była uciążliwą kochanką? Nie sądzę. Nie mam pojęcia, dlaczego zabił też ją.

Livia umilkła i przeniosła wzrok z komisarza na Annę Lindholm. Znowu patrzyli na nią bez słowa. Livia była z siebie niemal zadowolona.

Rozdział 26

Stary Ronsard zdecydował się przerwać milczenie. Dał się zbadać, wysłuchał nudnego kazania o tym, że zakpił ze służby zdrowia, z ludzi autentycznie chorych, a przede wszystkim ze swoich bliskich. Z bliskich? Miał tylko wnuczka. Głupiego, jak się okazało. Gdyby młody się czegoś domyślił, coś podejrzewał – wtedy wzbudziłby jego szacunek. Ale on był naiwny i zielony. „Jedźmy do Wenecji”, powiedział któregoś dnia. Ronsard się zdziwił. Udawał już wtedy chorobę i zaczął realizować pomysł z przebierankami, który w Paryżu nie przyjął się tak doskonale, jak potem w Wenecji. Ale nikt go już nie nagabywał. Nikt z przeszłości. Oczywiście wciąż miał obawy, że to tylko tymczasowe i ktoś prędzej czy później sobie o nim przypomni, niemniej jednak odzyskał szczątkowe poczucie bezpieczeństwa. Ta Wenecja zupełnie go zaskoczyła. Akurat to miasto? Przestraszył się, ale jednocześnie spojrzął na wnuka w innym świetle. Myślał, że w Yvesie coś jednak drgnęło. Pogrzebał w przeszłości i dotarł do wydarzeń, które miały miejsce w Wenecji i na Trapezio d’Oro. A może jeszcze wcześniej? Na tym cholernym statku, przed wieloma laty? I dlatego chciał jechać? Ale nie, jednak nie. Yves wymyślił Wenecję, bo w Paryżu „wypalił się jako artysta”. A tam znalazł „mecenasa” i dostał kilka intratnych zamówień. Poza tym jeszcze mieszkanie, w Castello. Bardzo fortunnie zważywszy, że kończyły im się pieniądze, a dziadek był „chory”.

Mecenasa? Stary Ronsard nie miał pojęcia, dlaczego od razu nie nabrał podejrzeń. Powinien czegoś się przecież domyślić, bo dawno przestał wierzyć w przypadki i niespodziewane zbiegi okoliczności. Miał oczywiście opory przed przeprowadzką do Wenecji, ale w tej kwestii stał się więźniem samego siebie. Oficjalnie chorował na Alzheimera czy też, jak to ujął lekarz, zespół zaburzeń charakterystycznych dla Alzheimera z objawami towarzyszącymi. Nie mógł sprzeciwić się wnukowi, nie budząc jednocześnie podejrzeń. Musiał pojechać. Yves wydawał się zdeterminowany. Ronsard tłumaczył sobie, że przecież może właśnie zasłonić się symulowaną chorobą, gdyby pojawiło się jakieś niebezpieczeństwo. Niczego nie pamiętał, niczego nie wiedział, nic nie rozumiał. Z przebierankami wpasował się idealnie w wenecki pejzaż. Wreszcie nabrał pewności, że nic mu nie grozi. Później jednak... Okazało się, że tajemniczym mecenasem wnuka jest Marconi. A obok Ronsardów mieszka ta cukierniczka. Jego kochanka. Jego wtyczka.

Nic oprócz milczenia? Kiedyś tak mu właśnie powiedzieli. „Nie uratuje cię nic oprócz milczenia”. I wszyscy siedzieli cicho przez cały ten czas. Skąd mogli wiedzieć, że ktoś tam był? Że najpewniej on tam był? Bo kto inny? Luigi Marconi, wtedy gówniarz, ale nie na tyle młody, by nie dostrzec, co się działo. Stary Ronsard nadal nie miał pojęcia, ile jubiler wiedział. Czy poznał sekret swojej matki? Od jak dawna już obmyślał tę małą zemstę? Czy wiedział dokładnie, kto był wtedy na Trapezio d’Oro? Jeśli wiedział, to mógł się okazać bardzo niebezpieczny nie tylko dla starego Ronsarda. I najważniejsze – jak się tam znalazł? Przyplłynął za nimi? A może wcale go tam nie było? Tylko ktoś... udzielił mu informacji?

Jedno nie ulegało wątpliwości. Luigi Marconi był sprytny.

Do szpitalnej sali w Ospedale Civile wsunął się lekarz, a w ślad za nim zjawili się dwaj policjanci. Już czas. Stary Ronsard musiał pojechać na komendę i wszystko rozegrać po swojemu.

Anna przysiadła na parapecie i wpatrzyła się w wody kanału San Lorenzo, o których powierzchnię rozbijały się ciężkie krople deszczu. Ten deszcz znowu wydał jej się złowrogi. Dlaczego? Nie padało przecież po raz pierwszy. Myśli Anny skoncentrowały się wokół Stefanii Massimo. Coś nie dawało jej spokoju. Niestety – powtórzyła się sytuacja z filmem *M jak morderstwo*. Skojarzenie wciąż się wymykało, było jak fala przyływu, która uciekała chwilę po tym, jak się pojawiła. Woda. Po raz kolejny woda. Niebezpieczna woda. Woda, w której można się utopić. Woda zalewająca...

Telefon. Dzwonił uparcie od kilku minut. Teraz dopiero zdała sobie z tego sprawę. Odwróciła się od okna i spojrzała na Antonia, który przerzucał papiery z zeznaniami Livii Foscari i raz po raz odtwarzał fragmenty nagrania. Anna nie miała już ochoty wsłuchiwać się w głos żony Marconiego.

– Nie odbierzesz? Chyba komuś zależy – zagadnęła, a Antonio oderwał wzrok od dokumentów.

– Wkurzają mnie. Pewnie znowu z jakąś pierdołą. O! Przestał. Słyszysz?

Słyszała. A raczej nie słyszała, bo w pokoju zapadła cisza. Szeleściły tylko papiery w rękach Vallego. Anna zsunęła się z parapetu i usiadła po przeciwnej stronie biurka. Antonio uśmiechnął się do niej przelotnie. Czekali na Roberta Capellego. Teraz wiele zależało od tego asystenta czy innego księgowego, który przypałał się do Livii. Jeśli on potwierdzi zeznania szefowej, Marconi zostanie postawiony w bardzo złym świetle. Choć oczywiście wciąż brakowało dowodów. Ostatecznie – Anna mogła dołożyć swoje trzy grosze i złożyć zeznanie na temat rozmowy ze Stefanią o nieszczęsnych nożyczkach. Wszystko ładnie się ze sobą kleiło. Marconi był modelowym winnym. A mimo to...

Antonio uniósł głowę znad papierów. Ich oczy się spotkały. Telefon zadzwonił ponownie. W tym samym momencie do gabinetu wtoczył się policjant, którego Anna jeszcze nie poznała.

– Jest Capelli.

Poderwała się z krzesła. Capelli. Obraz na Trapezio d'Oro. Deszcz. Woda. Livia. Luigi. Stefania. Guido. Fabio. Matka Marconiego.

Cholera! Znowu pustka. Skojarzenie uciekło.

Antonio również uniósł się i skierował do drzwi. W progu zawrócił jednak, by odebrać telefon, który zadzwonił już chyba po raz setny.

– Czego? Zajęty jestem! – Valli urwał nagle i poczerwieniał na twarzy. – Dobrze. To dajcie go. Ale pilnować! Musicie poczekać!

Rzucił słuchawką i wbił wzrok w Annę.

– Stary Ronsard chce gadać. Nagle ich wszystkich wzięło na zwierzenia!

Valli pociągnął Annę w stronę korytarza. Szła posłusznie, bez słowa, a kiedy znaleźli się przed wejściem do pokoju przesłuchań, nagle ścisnęła go za rękę.

– Wszystko dobrze? – zapytał zaniepokojony.

– Co o niej myślisz? – szepnęła.

– O tej Foscari? Myślę, że kłamie. A ty?

– A ja myślę, że nie kłamie. Tylko... nie wierzę w jej opowieść.

– Właśnie sama sobie przeczysz.

Anna pokręciła głową. Nie miała pojęcia, jak mu to wytłumaczyć, bo sama właściwie nie wiedziała, czego dotyczyły jej wątpliwości. Naprawdę miała wrażenie, że Livia Foscari mówiła prawdę. A jednocześnie nieprawdziwa była opowiedziana przez nią historia. Jak to możliwe?

Usiadła pod ścianą, jak poprzednio. O dziwo, Roberto Capelli najpierw przywitał się z nią, a dopiero później z komisarzem Vallim. Dżentelmen. Poza tym – przecież już zdążyli się trochę poznać. Urządzili sobie pogawędkę w tajemniczym pokoju, wśród zakurzonych książek, kostiumów i weneckich masek. Chciał poczęstować ją winem, choć nie miał kieliszków. Zwierzał się. Myślała, że był o to na nią zły. Wtargnęła przecież w jego mały, prywatny świat i pewnie zakłóciła jakieś plany. Jakież?

Capelli. Woda. Obraz.

Bez sensu. Anna przymknęła oczy i wsłuchała się w niski głos Antonia, który wprowadzał przesłuchiwanego w temat. „Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, będziemy rozmawiać po angielsku”, „Ależ oczywiście, żaden kłopot”, wymienili się uprzejmościami.

Capelli. Obraz. Nikt się nim nie przejął. Nikt nie mógł się przejąć. Przecież ten obraz runął na ziemię. Nie został z początku w ogóle zauważony, dopiero później pochylił się nad nim jeden z techników. A ona, po tym, co się stało, w ogóle przestała o nim myśleć. Bo przecież trup w studni. Zniknięcie Stefanii. I Antonio.

Musiała zapytać o ten obraz. Otworzyła oczy i wstała. Capelli zerknął na nią z zainteresowaniem, a Valli urwał swoją wypowiedź.

– Obraz... – zaczęła. – Na wyspie Trapezio d’Oro znalazłam obraz, który był podpisany...

– Imieniem i nazwiskiem mojego dziadka – dokończył Roberto Capelli.

– Dziadka? To znaczy tak. Właśnie.

– Podoba się pani?

– Nnnie... wiem... Nie wiem.

Anna spojrzała na niego uważnie. Nie przejmował się. Był pewny siebie, niemal zadowolony. To pytanie nie zbiło go z tropu.

– No widzi pani, mnie się, na przykład, podoba. Ale nie podobał się mojemu ojcu. Chciał się go pozbyć. Za pozwoleniem swojego znajomego z pracy, pana Foscari, ojca Livii, umieścił go w tym starym domu, na wyspie.

– Dlaczego go po prostu nie wyrzucił? Nie sprzedał? Nie spalił?

Capelli uśmiechnął się dobrodusznie. Najwyraźniej uważał ją za kretynekę.

– Nie mógł wyrzucić. Obraz namalował jego ojciec, a mój dziadek. W czasie wojny. Był marynarzem, a malowanie traktował jak hobby. Pochodził z Wenecji, ale nie podobało mu się to, co w latach trzydziestych i czterdziestych działo się we Włoszech. Wyjechał do Francji i tam pływał na statkach. Między innymi na frachtowcu *Niobe*. W roku tysiąc dziewięćset czterdziestym zaczął malować ten obraz. *Czarownicę*. Nie wiem, skąd czerpał inspirację. Ale nienawidził wojny. Więc domyślałam się, że ta *Czarownica* symbolizowała właśnie...

– Wojnę? – uzupełniła Anna.

– Tak przypuszczam. W każdym razie, kiedy w Hawrze w *Niobe* uderzyła bomba i statek eksplodował, mój dziadek jakimś cudem zdołał się uratować. I jeszcze wyniósł swój obraz. Nikt nie wiedział, jak mu się udało tego dokonać. Zginęło wtedy ośmiuset marynarzy, żołnierzy i portowców, a uratowało się... siedmiu pasażerów i czterech członków załogi.

– Wśród nich Federico Capelli i *Czarownica*.

– Zgadza się. Wojna mocno odbiła się na psychice mojego dziadka. Zresztą nie tylko jego. Wrócił do domu, ale był już innym człowiekiem. Ciągle tylko malował ten obraz. Poprawiał, dorabiał, przerabiał. To była jego obsesja. Mój ojciec więc zaczął tego obrazu nie znosić. Chyba był zazdrosny. Bo dziadek więcej czasu poświęcał malowidłu niż jemu. Ale sama pani rozumie – zniszczyć nie mógł. Więc skazał obraz na izolację i zapomnienie.

Capelli umilkł i znowu się do niej uśmiechnął. Tym razem inaczej. Mniej pewnie. Z lekką... obawą? To było coś nowego. Dlaczego pojawiło się dopiero teraz, w tej chwili? Kiedy już opowiedział dramatyczną historię obrazu z Trapezio d'Oro? Przecież wytłumaczył się, rozwiął jej podejrzenia. A może... powiedział więcej niż zamierzał? Tylko gdzie ukryte było to „więcej”? Między którymi wierszami?

Annę rozboleła głowa. Sprawę obrazu już wyjaśniła. Ale wciąż nie dawała jej spokoju woda. Deszcz.

Powiedział za dużo. Zwłaszcza jej. A ona na pewno uczepli się temu, zacznie szukać. Roberto Capelli zerknął na komisarza Vallego. Z nim jeszcze by jakoś poszło. Miał wiele na głowie. Procedury choćby. Papiery. Gadał z ludźmi, łąził, kręcił się w tę i we w tę, ale później musiał usiąść na tyłku, przy biurku, które – jak wszyscy wiedzą – doskonale zabija kreatywność. A tymczasem ona nic nie musiała. Mogła pozwolić sobie na snucie miliona abstrakcyjnych teorii. I wreszcie trafić na tę właściwą. Ale ostatecznie... Wiele się działo. Zniknęła Stefania, znaleźli trupa w studni, Livia złożyła zeznania obciążające Marconiego.

Jakie istniały szanse, że Anna Lindholm naprawdę zainteresuje się tym obrazem? I statkiem? Że zechce coś o nim przeczytać? Przecież od eksplozji w Hawrze minęło siedemdziesiąt pięć lat... Jakie to miało teraz znaczenie? Obraz był nieważny. Ona musiała to wiedzieć. A że akurat stos? Spalona dziewczyna? *Czarownica*? Przypadek. Zbieg okoliczności. Jak to w życiu.

– Czy potwierdza pan zeznania pańskiej szefowej, Livii Foscari? – rozległ się głos komisarza Vallego.

Capelli ocknął się. Miał wrażenie, że przebudził się z krótkiej drzemki. Skinął głową i zaczął mówić. Za szybko. Słowa dosłownie wylewały się z niego. Nie potrafił nad tym zapanować. Czy wypadł wiarygodnie? Musiał. Wziął głęboki wdech. Spowolnił tempo. Pilnował, by między kolejnymi zdaniami robić odpowiednie pauzy. Skupić się na samogłoskach. Pewnie artykułować dźwięki.

Owszem, potwierdza zeznania Livii. Nie mógł wcześniej wyjawić jej sekretu, bo chciała zrobić to sama. Czekala na odpowiedni moment. Bała się. Liczyła na to, że zdobędzie więcej konkretów, jakieś dowody, ale na nic nie trafiła. Marconi tymczasem najwyraźniej stracił nad sobą panowanie. Pozbył się Guida Russa, bo ten wiedział o zleceniu na jego żonę. Zabił Isabelle, bo... właściwie Capelli nie wiedział, dlaczego. Pewnie była niewygodną kochanką, w czymś mu przeszkadzała. Może ona też wiedziała, jaki był cel wizyty Fabia Esposito w domu Marconich? Może jubiler się wygadał?

Po co miałyby zabijać żonę, skoro dorobił się majątku i już nie potrzebował do niczego jej nazwiska? No tak, to było bardzo dobre pytanie. Capelli też tego nie rozumiał. Może Marconiemu do końca chodziło o tę kamienicę na Calle Fiubera? Oczywiście – miał już tyle pieniędzy, że dałby sobie radę i bez niej. Ale jednak... ludzie przywykli. Salon Marconiego znajdował się na Calle Fiubera od lat, to właśnie tam właściciel miał swoje biuro i tam zawsze przyjmował stałych, najlepszych klientów. Ludzie nie lubią zmieniać nawyków. A ta zmiana wiązałaby się jeszcze z małym uchybieniem obyczajowym. Bo przecież trudno mówić o skandalu, żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku. Livia Foscari miała jednak kilku przyjaciół wśród starej weneckiej arystokracji rodowej, a oni nie lubią, kiedy ktoś okazuje im brak szacunku. Czy to wystarczający powód do morderstwa? Capelli wzruszył ramionami. Umilkł na chwilę.

Pochylił się w stronę komisarza. Zniżył głos.

– Nie wiem, czy ona wam o tym powiedziała, ale...

– Ale? – Valli uniósł brwi.

– Livia planowała sporządzić testament, w którym kamienicę przy Calle Fiubera po swojej śmierci zamierzała przekazać miastu Wenecja.

Policjant wyprostował się na krześle, a dziewczyna pod ścianą również się poruszyła. Atmosfera wyraźnie się zageściła.

– Rozumiem – zaczął komisarz Valli – że to miałyby być motyw.

Capelli uśmiechnął się przepaszająco.

– Niby tak. Wtedy byłby dobry, ale teraz? Ostatecznie Livia ten testament sporządziła. Niedawno. Także nie wiem – albo Marconi odstąpił od swojego planu pozbycia się żony, albo wymyślił coś innego.

„Coś innego”. O tak, to była bardzo dobra puenta. Capelli odchylił się na krześle. Chyba nieźle sobie poradził. Livia powinna być zadowolona.

Po raz kolejny w milczeniu pokonywali korytarz. Kiedy na powrót znaleźli się w gabinecie Antonia, jeszcze jeden policjant, którego nie znała, zaczął relacjonować, co już zrobiono w sprawie Marconiego. Prokurator wydał nakaz i trwało sprawdzanie kont, transakcji, billingów, maili, wyjazdów służbowych i prywatnych, a także prześwietlanie kontaktów towarzyskich. Do domu Marconich jeszcze raz wysłano ekipę technicznych. Po co? Przecież tam na pewno niczego już nie znajdą. Anna zdziwiła się, jak wiele zrozumiwała z rozmowy Antonia z policjantami. Zaczynała wchłaniać melodyjny język włoski, który bardziej pasował do śpiewania oper niż dyskusowania o zbrodni. Wycofała się w głąb pomieszczenia i ponownie stanęła pod oknem. Ciekawe. Dokładnie to samo robiła w Ystad. Gapiła się w szybę i myślała. Tyle że tam nie było kanału.

Woda.

Deszcz przestał padać. Poziom wody w San Lorenzo wyraźnie się podniósł. Dlaczego przestraszył ją ten widok? Cholerna woda. Capelli coś powiedział. Nie przed chwilą. Wtedy, w tajemniczym pokoju...

Co to było?

– Anno?

Drgnęła. Antonio stał za jej plecami. Dopiero teraz zauważyła, że zostali sami.

– Musimy iść jeszcze raz do Marconiego. Może tym... Czeka, dzwoni Stefano. Dam go na głośnik. Halo? Co jest?

– Byłem w tej wypożyczalni kostiumów. Właściciel świetnie pamięta Guida Russa i nie omieszkał przypomnieć, że przecież zgłosił się na komendę i złożył zeznania, jak tylko dowiedział się o morderstwie. Ale nikt się nim specjalnie nie przejął, a teraz się obudziliśmy i...

– Do rzeczy – mruknął Valli.

– Już, już! Właściciel twierdzi, że ta karteczka z kieszeni nic mu nie mówi, ale mogła należeć do poprzedniego wypożyczającego. Mam na niego namiary i właśnie tam idę.

– W porządku. Jak coś, to dzwoń.

Antonio rozłączył się i objął Annę ramieniem. Poczowała, że na krótką chwilę uchodzi z niej napięcie. Nie

chciała znowu iść do Marconiego. Z pewnością już postawili mu zarzuty i facet zostanie na razie zatrzymany w areszcie. Albo zdoła wyjść za kaucją. Twardych dowodów wciąż brakowało. Nic im nie powie. Wyraźnie nie miał żadnego planu. Zauważyła to już wcześniej. A zatem... Anna mogła się zająć czymś innym. Na przykład poczytać. Wiadomości o... statkach? O frachtowcu *Niobe*? Dlaczego w ogóle przyszło jej to do głowy? Przecież ten obraz nie miał znaczenia. A już tym bardziej jakiś dziadek-malarz-marynarz i wojenna katastrofa sprzed siedemdziesięciu pięciu lat. O wiele ważniejsza była... woda. I to, co powiedział Capelli. Wtedy.

Wtedy, gdy rozmawiała z nim o Livii. O lagunie. On pił wino.

Wino!

Laguna!

Winnica!

Anna odsunęła się gwałtownie od Antonia.

– Foscari mieli jeszcze jedną wyspę! – zawołała. – A na niej winnicę!

– I co w związku...

– Idę o zakład, że jest tam jakaś studnia! Nie rozumiesz? Kto by jej tam szukał? Na opuszczonej wyspie, w studni?!

– Mówisz o Stefanii Massimo? Anno, przecież jeśli ktoś chciał się jej pozbyć, mógłby to zrobić w inny, dużo prostszy sposób.

– Ale jakoś w wypadku Esposito nie zrobił! Może nie jest zbyt kreatywny!

Antonio chwycił telefon i wybrał numer. Powydzierał się przez chwilę, po czym złapał Annę za rękę i wybiegli z gabinetu. Teraz myślała już tylko o deszczu. Jak wyglądała ta studnia? Jak głęboka była? Czy miała wieko? Jak ta, do której wrzucili Esposito? A może nie? I deszcz nie napotkał na żadną barierę...?

– Ronsarda i jego spowiedź odłożymy na potem – odezwał się Valli już na korytarzu. – A Livia Foscari musi nam powiedzieć, gdzie jest ta pieprzona wysepka!

Został sam. Widać areszt tymczasowy nie był dziś specjalnie przeludniony. Trochę tu posiedzi. Do jutra z pewnością nikt nie będzie chciał go przesłuchiwać. Bo i po co? Przecież sam zgotował sobie taki los. Już nawet myślał patetycznie. Naiwny głupek, który miał nadzieję na nie wiadomo co. I pomylił się. A teraz niewiele mógł już zrobić.

Livia. Stefania. Roberto.

Złoto. Świecidełka. Drogocenne kamyczki.

Papier, którego nie było.

Jego matka. Przynajmniej tego Luigi zdołał się dowiedzieć. Jak zginęła. Wszystko inne mu nie wyszło. Sprawa z tym Espositem, który zakończył żywot w gabinecie jego żony nie dawała mu spokoju od trzech lat. Głupio postąpił. I następny. Guido Russo. Także głupio. Po co mu to było? Nawet jeśli czegoś się domyślał, nie mógł wiedzieć na sto procent. Niby jak? Młody Russo musiał sam utkać tę fabułę i przy okazji coś udało mu się odgadnąć. „Coś”? Luigi zaśmiał się gorzko. Chłopak nie miał pojęcia, jak niewiele wiedział, jak bardzo był niedomyślny.

Rewolwer Apaszów. Marconi niczego nie przeczuwał, kiedy po raz pierwszy trzymał go w dłoni. Był

wtedy u Isabelli, a rewolwer wisiał na ścianie. Dziwiła się. Mówiła, że sama go tam nie powiesiła. A może zapomniała? Szybko zbagatelizowała sprawę. On również nie zwrócił uwagi na detale. Po prostu wziął przedmiot do ręki i przepadł na dobre. Wymyślił nową kolekcję. Inspiracja. Natchnienie. Chyba tak to się nazywało? Wtedy Luigi Marconi po raz pierwszy poczuł się artystą, a nie tylko sprawnym rzemieślnikiem.

Tymczasem rewolwer powieszono tam w konkretnym celu. I rzeczywiście – przed chwilą dowiedział się, że znaleziono na nim odciski palców. Luigiego i Isabelli.

A Livia jednak zaczęła mówić.

Antonio dopiero w łodzi zorientował się, że wciąż trzymał Annę za rękę. Zrozumiał to, kiedy jeden z młodych policjantów odważył się posłać mu delikatny uśmiech. Komisarz zdziwił się. Ten uśmiech sprawił mu przyjemność. A przecież nie zabiegał o niczyją sympatię. Mógł teraz puścić dłoń Anny. Udawać, że to tylko epizod, który nie miał znaczenia. Nie pogłębiać skazy na perfekcyjnie wykreowanym wizerunku zimnego drania. Ale w gruncie rzeczy... Nie chciał. Wszystko wokół jakoś mu zubożało. Nawet to śledztwo. Czy rzeczywiście zamierzał tak spędzić resztę życia? Uganiając się za mordercami i wyciągając zwłoki ze studni?

Zerknął przez szybę, za którą błyskawicznie przesuwiał się krajobraz. Wody laguny zmieszane z kroplami deszczu rozбивały się o szkło. Dachy Wenecji oddalały się od nich, a wokół wyrastały pojedyncze wysepki, w większości opuszczone. Dawno tędy nie płynął. Musieli znajdować się gdzieś nieopodal Chioggii. Antonio pomyślał, że w ogóle od długiego już czasu nie pływał po lagunie ot tak, po prostu. Dla samego pływania. Zerknął na Annę, ale ona patrzyła przed siebie, w kierunku majaczącej na horyzoncie wysepki. Miała cel do zrealizowania. Chciała odnaleźć Stefanię.

– Jesteśmy! – zawołał nagle pilot i przerwał jego rozmyślania.

Słusznie. Antonio powinien się skoncentrować. Przecież sporo się działo. Nie mógł odpuścić sobie tego wszystkiego teraz, kiedy sprawa zaczęła się wyjaśniać. Tylko czy na pewno wyjaśniać? A może wręcz przeciwnie? Anna miała rację co do Livii Foscari. On też to czuł. Kobieta mówiła prawdę, ale... nieprawdziwa była jej opowieść. Valli nie miał pojęcia dlaczego.

– *Commissario*, pomost się sypie, nasza łódź jest za duża, by tam zacumować – odezwał się znowu pilot, przyglądając mu się niepewnie. – Jeśli coś tu ostatnio podpływało, to było na pewno mniejsze. Albo stanęło dalej i...

– Tak, zrób jeszcze mały łuk i zatrzymaj tam. – Valli poderwał się z siedzenia. Anna wstała już chwilę temu. – Jest płytko. Przejdziemy się. A ty...

Zerknął na Annę i miał zamiar powiedzieć, by tu poczekała, ale w porę zorientował się, że to bez sensu. Przecież i tak by go nie posłuchała. Machnął ręką i wyciągnął spod siedzenia foliowe ochraniacze na buty, które wkładano w razie wysokiej wody. Spojrzał na falującą zielonkawą toń. Wiedział, że w tej sytuacji niewiele im pomogą. Czekają ich wątpliwej przyjemności kąpiel. Choć nie wszystkich. Antonio z zazdrością spojrział na małą, zgrabną łódeczkę techników, którą ich pilot zdołał zacumować przy spróchniałym pomoście.

– No to siup! – zakrzyknął dziwnie uradowany młody policjant, który wcześniej uśmiechnął się do

Vallego. – Dzisiaj kąpiel po same jaja, co nie?

I wskoczył do wody. Sięgała mu dokładnie dotąd, dokąd przewidział.

Niezrażona tym Anna wskoczyła za mundurowym. Valli pomyślał, że w tym miesiącu nie pogardziłby jakąś premią za pracę w trudnych warunkach. Albo chociaż bonusowym koniakiem.

Wyspa była mała, płaska i niemal idealnie okrągła. Teraz, w porze przypływu, jej powierzchnia musiała się jeszcze zredukować. Kiedy przychodził porządny sztorm, pewnie bywało tutaj kiepsko. Antonio powiódł wzrokiem dookoła. Rzeczywiście – Livia Foscari miała rację, kiedy powiedziała, że ta wyspa jest pusta. Teraz przypominała jedno wielkie błoto, w które ktoś powtykał kilka suchych drzewek, pojedyncze krzaki, parę kamieni, desek i jakieś metalowe pręty. Ale faktycznie, można było doszukać się tutaj śladów dawnej winnicy. Połamane i żalosne chaszczki układały się w równoległe pasy, a w oddali rysowały się kontury zrujnowanej kapliczki, osamotniona ściana niskiego domku i kamienny krąg tuż przy ziemi. To miejsce ktoś porzucił jeszcze dawniej niż Trapezio d'Oro.

Valli przetarł oczy. Z niepokojem spojrzał na trzęsącą się z zimna Annę, która tylko zaciskała zęby. W życiu by się nie przyznała, że też miała dość tej wyprawy. Postąpiła krok do przodu. Zaszeleściła folia na jej butach. Anna puściła się biegiem, potykając się na grząskim gruncie. Antonio ruszył za nią. I wtedy jeszcze raz zobaczył to, co już wcześniej widział. Kamienny krąg tuż przy ziemi.

Studnia!

Zmusił się, by przyspieszyć i wyprzedzić Annę. Chciał zobaczyć to jako pierwszy. Kilka razy prawie runął w błoto, ale wreszcie dotarł do celu. Za plecami słyszał ciężki oddech Anny, odgłos szeleszczącej folii i plaskanie policyjnych buciorów o błoto. Wszyscy biegli w tym samym kierunku. Z nieba kapnęły pierwsze krople deszczu. Jeszcze tego brakowało! Przecież padało przez cały poranek, więc teraz... Valli włączył latarkę i zajrzał do studni. Zakręciło mu się w głowie. Zdecydowanie za często zdarzały się takie chwile, kiedy nienawidził swojej roboty.

Na dnie studni leżała zakrwawiona dziewczyna w karnawałowej sukni. Siedziała w wodzie po pas. Jej głowa zwisała ciężko. Valli wyłączył latarkę, by choć przez chwilę nie patrzeć na Stefanię Massimo. Nie miała szansy tutaj przeżyć.

Anna wyrwała latarkę z rąk Antonia i skierowała snop światła do wnętrza studni. Oczywiście wiedziała, kogo tam zobaczy. Dlaczego cholerna intuicja nie zawiodła jej akurat teraz? Przecież wcześniej zawodziła wielokrotnie. Anna upuściła latarkę i osunęła się na kolana. Nie zwracała uwagi na błoto, przejmującą wilgoć, Antonia, który usiłował ją podnieść, ani też na policjantów i technicznych, którzy rozkładali sprzęt. Nie mogła słuchać rozmów o tym, jak najlepiej wydobyć „ciało” ze studni. Przypomniała sobie subtelną, ładną twarz Stefanii, rude włosy i niewiarygodnie smukłą talię. „Rusałka”. Tak o niej pomyślała. Nożyczki... Pieprzone nożyczki! Po co o nich wspominała? Dlaczego zdecydowała się zwierzyć Annie? Aż tak bardzo przestraszyło ją to, co stało się z Isabellą Lomi? Może niepotrzebnie? Marconi pewnie by ją oszczędził, gdyby nadal siedziała cicho. To był przecież jedyny warunek. Musiała milczeć.

Marconi. Marconi?

Pozwoliła wreszcie, by Antonio podniósł ją z błota. Spojrzała na swoje brudne i mokre spodnie. Chciała odgarnąć włosy z twarzy i błotem umazała sobie również policzki. Nic ją to nie obchodziło. Miała dość.

– Anno, proszę... – Antonio postawił ją do pionu. – Proszę cię, jeszcze trochę. Już niedługo.

Już niedługo? Nigdy nie jest „niedługo”. Nigdy nie ma końca. Po co w ogóle się łudzić?

Nagle ktoś krzyknął. Głos dobiegał ze studni. To policjant, który zsunął się na dół jako pierwszy, coś teraz wołał. Valli otworzył szeroko oczy.

– Co?! – wydarł się i zajrzał do środka.

Anna spojrzała na pozostałych policjantów, którzy... zaczęli się uśmiechać. Wyraźnie zeszło z nich ciśnienie. Niby dlaczego? Ruszyła przez błotnistą breję w kierunku studni. Antonio złapał ją za ramiona.

– Żyje – powiedział.

Nie zrozumiiała.

– Stefania Massimo. Żyje. Jest nieprzytomna i w ogóle kiepsko z nią, ale póki oddycha, nie tracimy nadziei. Wezwę pogotowie. Trzeba ją jakoś stąd wyciągnąć.

Komisarz Valli przyłożył telefon do ucha i zaczął instruować pilota karetki. Później Anna miała wrażenie, że wszystko działo się szybko. Jednak nie przyplłynęła karetka. W jej miejsce zjawił się helikopter ze szpitala w Mestre. Wokół studni zaroilo się od ludzi i wszyscy coś krzyczeli. Anna zroszowała z tego tyle, że z wydobyciem Stefani z pułapki był jakiś problem. Chciała poznać szczegóły, ale Antonio pociągnął ją w stronę... laguny. Spojrzała na niego zdezorientowana. Machnął ręką w stronę łodzi policyjnej, na której pokładzie czekał już pilot.

– Fabio zawiezie cię do domu, żebyś mogła się przebrać...

– Nie chcę!

– Wiem, że nie chcesz, ale po pierwsze zobacz, co tu się teraz wyrabia, a po drugie zerknij na siebie. Albo czekaj...

Zanim Anna zdążyła zareagować, Antonio wyjął telefon i zrobił jej zdjęcie. Spojrzała na ekran. Faktycznie, nie prezentowała się najlepiej. I było jej zimno. A jednak nie chciała nawet myśleć o powrocie na Calle Lughaneger. Miała tak po prostu popłynąć do domu? Do domu? To nawet nie był jej dom, tylko... Tylko co?

– Toni, nie każ mi wracać do antykwariatu. Muszę wiedzieć, co ze Stefanią i... chcę zostać z tobą.

– Za chwilę będzie tu prokurator. Muszę wszystkiego dopilnować i polecieć do Mestre, a później zerknąć na techników. Chociaż wątpię, żebyśmy trafili tutaj na ślad czegokolwiek po tych deszczach. A ty za chwilę zamarzniesz. Po prostu się umyj, przebierz i płyń na komendę. Fabio cię zawiezie. Czekają na nas jeszcze stary Ronsard i jego zwierzenia. Bo za mało mieliśmy rozrywek. I kto ci, do cholery, każe wracać do jakiegoś antykwariatu? Przecież wzięłaś sobie ubrania na zmianę.

– O czym ty mówisz? – Anna trzęsała się już z zimna tak bardzo, że ledwie mogła mówić. Poza tym nic nie rozumiała.

Antonio zrobił krok w jej stronę. Chlupnęło błoto. W tle mignęły nosze, a na nich nieruchoma postać. Szumiało śmigło helikoptera, którego cień padający na wysepkę wydawał się niemal złowrogi. Policjanci wydzierali się i machali rękami. Lekarz i ratownik również krzyczeli. Anna zorientowała się, że stoi po kostki w wodach laguny. Sceneria była bardzo romantyczna.

– Mówię o tym, żebyś pojechała do domu się przebrać – powiedział Antonio.

Do domu. Miał na myśli Corte Case Nuove.

Po chwili Anna siedziała już w łodzi. Pilot zwany Fabiem podał jej dwa pledy, ale było to zupełnie bez sensu. Usiadła obok niego i usiłowała nie myśleć o zimnie i wilgoci. Obejrzała się jeszcze raz przez ramię i rzuciła okiem na wyspę, od której zaczęli się oddalać. Dlaczego ktoś wrzucił Stefanię do studni

żywą? Dlaczego nie zdecydował się na prostsze rozwiązanie, nie zabił jej, a później nie wypłynął w morze i nie pozbył się ciała? Nie przewidział, że ktoś mógł dziewczynę uratować, że mogła przeżyć? A jeśli właśnie chciał, by cierpiała? By to wszystko trwało powoli? Czy Marconi byłby aż tak okrutny?

Marconi?

Anna obróciła się i spojrzała przed siebie. Na horyzoncie widziała już dachy Wenecji.

– Dlaczego ktoś wybrał akurat tę konkretną wyspę? – odezwała się do pilota po angielsku. – Pomijając oczywiście jej przynależność do rodziny Foscarich. Ale gdyby był inny powód... To jaki?

Pilot zerknął na nią z zainteresowaniem.

– To prostsze niż pani myśli.

Anna drgnęła.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Wyspa-winnica i wyspa Trapezio d'Oro znajdują się w bliskim sąsiedztwie Poveglii, która według miejscowych legend jest...

– Nawiedzona – powiedziała powoli.

– Właśnie.

– Ale to przecież bez sensu. Nikt nie traktuje poważnie legend!

Fabio zrobił obrażoną minę.

– Może sobie pani mówić, że to bez sensu i tak dalej. Ale weneccjanie zawsze byli przesądni, a już zwłaszcza rybacy. Na Poveglię pływają tylko ci, którym się nudzi i cierpią na niezdrową ciekawość. Miejscowi omijają tę wyspę z daleka. Rzadko kto zgadza się przewieźć tutaj jakiegoś nakręconego turystę, a rybaków w ogóle tu pani nie zobaczy. Nikt nie łowi ryb w pobliżu Poveglii. Nikt by takich ryb nie kupił. Więc zazwyczaj nikogo tutaj...

– Nie ma – dokończyła. Rzeczywiście, miało to sens. Wzięła głęboki wdech i postanowiła zadać jeszcze jedno, na pewno głupie, pytanie: – A gdyby ktoś chciał wypłynąć z ciałem...

– Na morze i tam je wrzucić? – Pilot posłał jej szeroki uśmiech. – Bardzo dobrze pani kombinuje jak na nietutejszą, ale jeszcze musi się pani sporo nauczyć. Jeśli ktoś nie wie, gdzie dokładnie wrzucić ciało do wody, to zawsze ryzykuje, że prąd zniesie je z powrotem do Wenecji. Już się to wcześniej zdarzało. Nie raz.

Kiwnęła głową i więcej nie rozmawiali na ten temat, choć Fabio okazał się gadatliwy i bardzo zainteresowany pobytem Anny w Wenecji. Odpowiadała mu zdawkowo. Chciała tylko dowiedzieć się czegoś o stanie Stefanii i wrócić wreszcie na komendę. Poza tym zaczęła ją dręczyć jeszcze jedna, zupełnie nieoczekiwana myśl. O frachtowcu *Niobe*.

Rozdział 27

Lucrezia przepracowała uczciwie cały dzień. Sprzedawała, kupowała, odpisywała na maile, odbierała telefony i zapłaciła kilka rachunków. W przerwie pozamiatała i wytarła kurz. Przewietrzyła porządnie cały dom. Poszła dwie ulice dalej i kupiła pizzę, bo nie miała ochoty niczego dziś gotować. Nie zamawiała. Chciała się przejść. Zimne powietrze działało na nią uspokajająco. Wstąpiła również do cukierni po ciasto, a kiedy wróciła do domu, zaparzyła mocną kawę. Leon siedział przy komputerze i oglądał strony internetowe weneckich antykwariatów. Uważał, że Lucrezia również powinna założyć sobie własną witrynę. Wtedy wszystko szłoby prościej i szybciej. Ludzie nie trafialiby do niej z przypadku, z przyzwyczajenia bądź polecenia. Mogłaby zyskać więcej klientów i to konkretnych, którzy wyszukaliby i wybrali właśnie jej ofertę.

Ofertę...

A kto by ją dla Lucrezii przygotował? Anna Lindholm? Z jej pomocą można by się wyspecjalizować, wykosić konkurencję i... Lucrezia zastygła z talerzem w dłoni. Roześmiała się. Leon uniósł głowę znad laptopa.

– Nie, nic – mruknęła i wsunęła pizzę do piekarnika. Przez ten spacer zupełnie wystygła.

Leon zamknął laptop i poprosił, by poczekała z jedzeniem, bo musi jeszcze wbić dwa gwoździe przy wejściu. Obluzowały się i tylko patrzeć, jak obrazki spadną. Lucrezia ułożyła na stole sztucce, równiutko i schludnie. Poprawiała je kilka razy. Przetarła kieliszki tak, by lśniły. Obok nich postawiła butelkę wina. Odrobina w południe nie zaszkodzi. Przecież wszyscy weneccjanie je piją, choć bardziej pasowałyby do owoców morza niż do pizzy. Pizza była banalna. Lucrezia się nie postarała.

Leon przybił dwa gwoździe i poprawił obrazki przy wejściu. Później przez chwilę gmerał jeszcze przy okiennej framudze. „Farba się łuszczy”, powiedział. „Masz jakąś zapasową puszkę?”.

Miała. Leon uśmiechnął się i powiedział, że pomaluje framugę wieczorem, to wyschnie przez noc. Poszedł umyć ręce, wrócił, usiadł do stołu i nałożył sobie kawałek pizzy. Z pełnymi ustami zaczął mamrotać o stronach internetowych, które obejrzał. Miał mnóstwo pomysłów na jej własną. Mówił, że mógłby zrobić zdjęcia...

Lucrezia również usiadła do stołu, ale nie mogła niczego przełknąć. Przyglądała się Leonowi bez słowa. Czyżby jej się udało? Tylko co teraz? Miała ochotę się rozplakać.

Wykosić konkurencję z pomocą Anny? Czy ona na serio o tym pomyślała? Przecież to było idiotyczne! Anna Lindholm musiała zniknąć z Wenecji. To był ostatni punkt programu.

Pałac Marconich świecił pustkami. Roberto Capelli stanął pod oknem w złocistym hallu. Patrzył, jak Livia zatrzymuje się na środku, po czym obraca wokół własnej osi i rozgląda, jak gdyby była tu po raz

pierwszy w życiu. Co teraz? Nic jeszcze nie było przesądzone. Capelli dołączył do Livii i chciał ująć jej dłoń, ale ona westchnęła dramatycznie i powiedziała, że jest już zmęczona „tym wszystkim”. Czyli czym konkretnie? Nie rozumiał. Nic nie powiedział. Pomyślał, że jeszcze przyjdzie pora na właściwą rozmowę. Bo przecież Livia miała teraz tylko jego.

Zawsze miała tylko jego.

Anna z uporem wpatrywała się w ekran swojego telefonu, choć czuła już mdłości. Nigdy nie mogła czytać w samochodzie ani na łódce. Mimo to nie potrafiła oderwać się od lektury artykułu opublikowanego przez uniwersytet w Sussex, który jako jeden z pierwszych wyświetlił się w wyszukiwarce. Tekst mówił o ewakuacji ludności z Hawru w tysiąc dziewięćset czterdziestym, po zawarciu przez Francję rozejmu z Niemcami. Do miasta napływali uciekinierzy z Belgii i Holandii, także narodowości żydowskiej. Niemcy maszerowali na Hawr, pociągi przestały kursować, zapanował chaos. Jedni mówili o apokalipsie, inni rzucali hasłem „exodus”. Kiedy okazało się, że nikt nie ma klarownego planu, jak przeprowadzić ewakuację, ludzie ratowali się na własną rękę. Chaos się pogłębiał. W porcie było pełno statków, które brały na swoje pokłady uciekinierów. W tym również frachtowiec *Niobe*. Wsiadło na niego ośmiuset pasażerów – żołnierze, ludność cywilna, personel medyczny, a także uchodźcy z Belgii i Holandii. *Niobe* wiozła też amunicję. Załoga nie zdążyła rozbroić statku. Kiedy więc nadleciały niemieckie bombowce i frachtowiec został trafiony, eksplozja nastąpiła momentalnie. Mówiło się, że na pokładzie znajdowały się belgijskie i holenderskie diamenty...

– Ładnie pani wygląda!

Anna poderwała się z miejsca. Telefon prawie wypadł jej z ręki. Powiodła nieprzytomnym wzrokiem wokoło. Dotarli na miejsce. Łódź dopłynęła do przystani przy komendzie nad kanałem San Lorenzo. A do niej odezwał się... pilot. Fabio.

– Mówiłem, że ładnie pani wygląda. Jak na dziesięć minut przebierania i mycia.

Zerknęła na swój czarny płaszcz, ciemne wąskie spodnie i białą koszulę. Rzeczywiście, zabrała do Antonia dość ładne ciuchy, choć nie pamiętała, by specjalnie się nad nimi zastanawiała. Zdążyła też zmyć błoto z twarzy, które jakimś cudem zatrzymało się na czapce i nie dotarło do włosów. Chyba faktycznie wyglądała schludnie. Zwłaszcza w porównaniu do swojej poprzedniej, brudnej i przemoczonej wersji, którą Fabio miał przyjemność oglądać. Uśmiechnęła się niemrawo. Przeszkodził jej. Czytała przecież o *Niobe*.

Wrzuciła telefon do torby i obiecała sobie, że w najbliższej wolnej chwili skończy artykuł. Choć nie wiedziała po co. Dlaczego zwracała sobie głowę frachtowcem, który zatonął siedemdziesiąt pięć lat temu?

Komórka, którą dopiero co schowała, zabręczczała. Pilot podał jej rękę, by mogła wyjść z łodzi. Kiedy postawiła stopy na przystani, ponownie spojrzała na wyświetlacz. Dwie wiadomości. Od Leona: „Wszystko u Ciebie gra? Jemy pizzę, może dołączysz?”. I zdjęcie zastawionego stołu. Bardzo zacnie. Leon sobie radził. Oby tylko Lucrezia okazała się dla niego dobra. Lepsza niż... Anna. Drugą wiadomość wysłał Ingvar: „Wszystko u Ciebie w porządku? Odezwij się czasem. Pozdrowienia z Malmö”. Z Malmö. Ciekawe, czy też od Ester. Anna skrzywiła się, później zachichotała i wreszcie przeczytała trzecią

wiadomość, którą właśnie otrzymała od Antonia: „Już wracam. Czekaj na mnie na komendzie, nigdzie nie idź, rozmawiaj tylko z tymi, co trzeba. Zaraz będę”.

Znowu zachichotała nerwowo. Stres działał na nią w dziwny sposób. Chyba już nie nadawała się na policjantkę. Zerknęła w bok i zauważyła, że pilot-Fabio przez cały ten czas przygląda jej się z rozbawieniem. Westchnęła i ruszyła w stronę budynku komendy.

Na San Lorenzo dotarł pół godziny po tym, jak wysłał wiadomość do Anny. Miał nadzieję, że ona już czekała na komendzie. Chciał przekazać jej wieści o Stefaniu Massimo, na które z pewnością czekała. Lekarze w Mestre powiedzieli, że dziewczyna jest wycieńczona, nieprzytomna, straciła sporo krwi, ma paskudnie złamaną nogę i zwichnięty bark, a najbliższe doby okażą się decydujące. Ponoć przeżyła cudem. Twierdziło tak kilku lekarzy. „Organizm ludzki jest pełen tajemnic”, „człowiek jest zdeterminowany, by przetrwać”, „adrenalina czasem robi swoje i daje ogromną siłę” – powtarzali te hasła jak jakieś mantry. A jednak Stefania pozostawała nieprzytomna, więc na optymizm było zdaniem Antonia za wcześnie. Mimo to cieszył się, że w tej studni nie znaleźli jej zwłok i jeszcze mogli mieć nadzieję. Czy Stefania byłaby w stanie im pomóc? Czy wiedziała, kto ją uprowadził? Czy posiadała jeszcze jakieś informacje na temat nożyczek, Marconiego i Livii Foscari, którymi nie podzieliła się z Anną? I czy... nadal groziło jej niebezpieczeństwo? Marconi siedział w areszcie, więc nie mógł osobiście wyrządzić Stefaniu krzywdy. Ale... jeśli to nie on... był winny?

Komisarz Valli wysiadł z łodzi i stanął przed budynkiem komendy. Czy w ogóle istniała taka opcja, że Marconi nie był winny? Przecież to głupie. Jeśli pogrzebią w sprawie Fabia Esposito, kierując się zeznaniami Livii Foscari, na pewno wreszcie na coś trafią. Z Guidem Russem wszystko przedstawiało się bardzo prosto. Niebezpieczna wiedza i głupie pływanie gondolą przed nosem jubilera. Do tego odciski palców na rewolwerze Apaszów. Prokurator się ucieszy, lubi takie czyste rozwiązania. To morderstwo, przy założeniu, że Marconi wynajął Esposito do sprzątnięcia żony, było nieźle umotywowane. Ale Isabella Lomi? Co ona takiego zrobiła, że Marconi się jej pozbył?

Marconi?

Antonio wolnym krokiem ruszył do wejścia. W korytarzu jeszcze raz przystanął. Pomyślał o tym artykule, opublikowanym w materiałach uniwersytetu w Sussex. Dopiero co przeczytał go w łodzi. Dotyczył frachtowca *Niobe*... Szczególnie rzuciła mu się w oczy wzmianka o tym, jakoby na pokładzie przewożono diamenty uciekinierów z Belgii i Holandii.

Diamenty. Matka Marconiego.

Co się stało z tą kobietą?

I dlaczego wydawało mu się to ważne? Jakież frachtowce sprzed siedemdziesięciu pięciu lat i tajemnicze zniknięcia sprzed ćwierćwiecza? Miał przecież inne zmartwienia. Inne elementy w tej układance, które do całości pasowały tylko z pozoru. Dario Costa, na przykład. Topielec sprzed roku. I Lucrezia Doldano, która znalazła zwłoki Russa. A jeśli się pomylił?

Valli skierował się do swojego gabinetu. Po drodze ze złości prawie kopnął krzesło. Być może od początku źle się za tę sprawę zabrał. Dał się pokierować własnym obsesjom. I podejrzewał nie tego, kogo trzeba. Wszystko wydało mu się nagle zupełnie bez sensu. A jednocześnie poczuł przypływ energii.

Chwytał już za klamkę, kiedy za jego plecami rozległ się głos *vice-questore*.

– Valli, proszę na słówko.

Antonio miał wrażenie, że właśnie zalewa go krew. „Na słówko”?!

– Nie teraz – powiedział, zanim pomyślał. – Muszę przesłuchać Ronsarda.

– Valli...

– Przesłucham go, a potem róbcie sobie, co chcecie. Mam to w dupie! – wycedził, wszedł do gabinetu i trzasnął drzwiami.

Na jego widok Anna zerwała się z krzesła. Antonio rzucił torbę na biurko. W głowie mu szumiało. Być może właśnie popełnił błąd. I na pewno skłamał. Obojętność i zniechęcenie, które opanowały go na wyspie-winnicy, gdzie się ulotniły. Zamierzał doprowadzić tę sprawę do końca. Niczego nie miał w dupie. Marzył mu się *grande finale*. Tylko nie miał pojęcia, co później.

Szedł korytarzem tak szybko, że Anna ledwie za nim nadążała. Wreszcie zlitował się i zwolnił. Spojrzał jej w oczy. Nie wiedział, co powiedzieć, jak wytłumaczyć tę nagłą determinację i niezbyt zdrową energię. Miał powiedzieć Annie, że to prawdopodobnie jego ostatnia sprawa? Nie domyślał się wprawdzie zbyt dokładnie, co zamierzał zeznać Ronsard, ale mógł łatwo odgadnąć, kogo te zeznania będą dotyczyły. Przecież Marconi sprowadził do Wenecji tego cholernego malarzynę! I Yves mówił prawdę o ich pierwszym spotkaniu w deszczu. Był zbyt głupi i naiwny, by kłamać. Jeśli zatem nie jego Marconi wziął sobie na cel, to musiało mu chodzić o dziadka. Stary zaś symulował chorobę. Nic nie działo się bez przyczyny.

Ronsard. Zeznania. Rozmowa z szefem. Czekanie na efekty pracy techników. Zarzuty wobec Marconiego. Livia Foscari i Roberto Capelli. Wyspa. Stefania Massimo. Statek. Diamenty.

Wszystko mu się mieszało. Ale przecież gdzieś musiało istnieć powiązanie. Należało tylko na nie trafić, a później sprawa rozwikła się sama. Tak, właśnie...

– W porządku? – spytała Anna cicho, kiedy tak stali na korytarzu przed pokojem przesłuchań.

Ile już razy zadawali sobie nawzajem to pytanie?

– Naprawdę pooglądamy razem Hitchcocka, kiedy wszystko się skończy? – odparł.

Chciał, by to był żart, ale pytanie zabrzmiało bardzo poważnie. Jak inaczej miał jej pokazać, że martwi się, co się wydarzy, kiedy już przestaną razem pracować? Nie umiał ładnie przemawiać. Tylko wobec niej i syna potrafił zdobyć się na czułe gesty. Tylko myśl o Annie mogła go odciągnąć od prowadzonej sprawy. Wydawało mu się teraz, że naprawdę byłby w stanie zrezygnować z tej roboty.

Uśmiechnęła się blado.

– W takim razie skończmy to szybko. Połowę Hitchcocków już zapomniałam.

Weszła do pokoju przesłuchań jako pierwsza. Starszy mężczyzna uniósł się, by ją przywitać. Nawet teraz przypominał trochę Zygmunta Freuda.

Partnerka komisarza Vallego wyglądała tego dnia bardzo ładnie. Z przyjemnością na nią patrzył. Była trochę potargana, ale wąskie ciemne spodnie i luźna biała koszula idealnie pasowały do jej nieco zbyt chudej sylwetki. I do tego francuski makijaż. Sama pewnie tak go nie nazywała, tylko po prostu nie lubiła

się zbyt mocno malować. Była ładna, ale miała to gdzieś. A przynajmniej na pewno w tej chwili. Jakoś... lubił dziewczynę. Patrzyła na niego ot tak, po prostu, otwarcie i trochę bezczelnie. Na sto procent domyślała się, że będzie kłamał, i nawet nie zadała sobie trudu, by rzucić kilkoma frazesami o „konieczności mówienia prawdy”, „fałszywych zeznaniach” i „pomocy w prowadzeniu/utrudnianiu prowadzenia śledztwa”. Bardzo dobrze. Z klasą. Ronsard uśmiechnął się i przeniósł wzrok na komisarza. On również siedział na krześle bez słowa, z niewiele mówiącym wyrazem twarzy. Mieli dość tej sprawy. Dała im się we znaki. Na pewno nie połączyli jeszcze wszystkich sznurków. Nigdy nie połączą.

Antonio Valli chrząknął. Nie wytrzymał. Odezwał się po angielsku z tym swoim perfekcyjnym akcentem.

– Zaprosił nas pan, zdaje się, na rozmowę. To ja może zacznę od tego, że symulowanie choroby...

– Taaak, wiem. – Ronsard machnął ręką.

– Rozumiem, że nie da nam pan namiarów na swojego francuskiego lekarza?

Stary wzruszył ramionami. Podobało mu się. Dyskusji o lekarzu się nie spodziewał, myślał, że to akurat sobie odpuszczają. Ale skoro nie odpuścili, miał dla nich ciekawą informację.

– Po co wam? Ten człowiek nie żyje.

– Ach tak?

– *Commissario*... Zanim zaczną się niestosowne insynuacje, jakobym to właśnie ja sam pozbawił go życia, spieszę z informacją, że zmarł na zawał. Prawdziwy zawał. Zwykły. Ten człowiek bardzo mi pomógł, nie ukrywam. Można oczywiście mówić, że postąpił wbrew etyce lekarskiej, ale... No cóż, ja kiedyś też udzieliłem mu pomocy w pewnej delikatnej sprawie. Po prostu spłacił dług.

– Kiedy umarł?

– Na krótko przed naszym, moim i wnuka, wyjazdem do Wenecji. Zaproszenie od Marconiego przyszło w samą porę. Nie miałem już „swojego” medyka, a Yves zaraz zmusiłby mnie do znalezienia zastępstwa albo co najgorsze – sam kogoś by wybrał.

– A tego by pan nie chciał?

– Nie mogłem do tego dopuścić... Sytuacja zrobiła się dla mnie bardzo niekomfortowa. Z dwóch powodów. Po pierwsze – śmierć lekarza. Po drugie – upór wnuka, by przeprowadzić się do Wenecji. Rozumie pan, *commissario*, miałem swoje powody, by unikać tego miasta. A Yves poinformował mnie nagle, że znalazł tutaj mecenasa. Nie miałem możliwości wejść z nim w żadną sensowną polemikę. Byłem przecież chory na Alzheimera.

– Oczywiście. A kwestia ewentualnego weneckiego mecenasa nie obudziła w panu żadnych podejrzeń?

– Proszę sobie wyobrazić, że nie. Albo może nie do końca. Oczywiście miałem pewne obawy, że dogoni mnie tu moja przeszłość, ale nie sądziłem, że będzie aż tak... skonkretyzowana. Skąd mogłem wiedzieć, kto jest mecenasem mojego wnuka? Nie wyjawiał mi nazwiska, od dawna już nie mówił mi nic ważnego. Nie miałem pojęcia, że to Luigi Marconi nas tu sprowadził.

– Czyli Marconi tak naprawdę chciał ściągnąć do Wenecji pana, a nie wnuka? Z powodu czegoś, co wydarzyło się w przeszłości? Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę – wszedł mu w słowo komisarz.

Stary Ronsard znowu się uśmiechnął. Gdyby to było takie proste!

– Wie pan co, *commissario*? Zacznijmy może od początku.

– Bardzo proszę.

Ronsard poprawił się na krześle. Cieszył się, że obecność tej dziewczyny ze Szwecji sprowokowała go do opowiedzenia swojej historii po angielsku. W języku Szekspira nigdy jeszcze nie wybrzmiała. To było coś nowego. Prawie jak relacjonowanie cudzych losów. Mówienie o czyimś pechu i powodzeniu, wyliczanie zysków i strat, które ponieśli kompletnie obcy mu ludzie.

Zacznijmy od początku? Tak powiedział? Ciekawe. Sam dokładnie nie wiedział, gdzie to się wszystko

zaczęło. Jak Malena Bartoli, matka Luigiego Marconiego, wpadła na ich trop. Znali ją jako Paolę Fornarini, specjalistkę od diamentów obrabianych przed wojną. Tak się przedstawiła. I faktycznie – znała się na rzeczy. Opowiadała, jak to kiedyś, przed wojną, rysowano tuszem na kamieniu płaszczyzny cięcia, jak mocowano kamień do drewnianego uchwytu, wykonywano nacięcie innym diamentem, po czym przykładano w to nacięcie stalowy przecinak. Po uderzeniu młotkiem diament dzielił się na dwie części...

– Takie tam! – Ronsard westchnął. – Branżowe detale. Nie będę państwa zanudzał. Grunt, że Malena Bartoli, vel Paola Fornarini, znała się na tym. I sama do nas przyszła. Miała pewien kamyk i uznała, że mógłby nas zainteresować. Skąd go miała? Nie wiem. Ale rzeczywiście – zainteresował nas. Miał swoją historię. Został komuś zrabowany podczas drugiej wojny światowej, jak miliony innych kamieni. A my tym się właśnie zajmowaliśmy. Handlowaliśmy diamentami, które miały swoją historię. Kupowali je kolekcjonerzy. Zdziwiłby się pan, jacy ludzie się do nich zaliczali. Znaczący – zaliczają.

– „My”? – zagadnął konwersacyjnym tonem Valli.

– Słucham?

– Użył pan ciekawych słów. „Nas”, „zajmowaliśmy”, „handlowaliśmy”. „My”. Jacy „my”?

Ronsard pokiwał głową. Nie trzymał się chronologii i w ogóle ta opowieść wymykała mu się spod kontroli. A przecież kontrola była ważna. Musiał wszystko uporządkować. I pilnować każdego kolejnego słowa. Inaczej mógł przegrać w swojej własnej grze.

– Tak, rzeczywiście. My...

Opowiedział weneckiemu komisarzowi i szwedzkiej dziewczynie, jak to trzydzieści pięć lat temu trzech mężczyzn stanęło na czele niewielkiej lokalnej grupy handlującej diamentami zrabowanymi podczas drugiej wojny światowej. Byli wśród nich stary Ronsard, Vittorio Foscari – ojciec Livii, i jeszcze jeden człowiek. Obecnie emerytowany... komendant Polizia di Stato. Miejscem przerzutu diamentów była wyspa Foscari, Trapezio d'Oro, a kamyki sprowadzano z Antwerpii drogą morską. To właśnie on, Ronsard, był założycielem tej grupy. Wcześniej działał u źródła, w Antwerpii, i pracował dla pewnej kobiety, którą znano jako Saskię Verbeek.

A Saskia Verbeek była nie do pobicia. „Niezatapialna”, mówiono o niej. Znała się na diamentach jak nikt i szybko potrafiła ocenić, kiedy kamyk został poddany obróbce. Miała niezwykle oko do cięć i szlifów. Ronsard uwielbiał dla niej pracować. Ale pewnego dnia Saskia Verbeek kazała mu pojechać do Wenecji i tam rozkręcić lokalny „biznes”. Najpierw chciała, by miał na oku jednego faceta, którego podejrzewała o kradzież przedwojennych klejnotów. Ale okazało się, że ten facet najwyraźniej niczego nie miał – albo już nie miał. W każdym razie był bezużyteczny. Ronsard zatem otrzymał nowe zadanie. Zwerbować chętnych. Dostał namiar na ówczesnego komendanta policji i na Vittoria Foscari, jakiegoś urzędnicy, który ponoć pochodził z wielkiego rodu. Oni już tkwili w branży. Handlowali kamykami na czarnym rynku, jak... wielu ludzi w Wenecji. Ale nie byli zbyt świątliwi, poza tym mieli sporą konkurencję. Kiedy Ronsard do nich dotarł i przedstawił swój plan rozszerzenia oferty na diamenty zrabowane w czasie wojny, wykazali duże zainteresowanie. I tak to się zaczęło.

Działali we względnie spokojnym przez dziesięć lat. Ronsard odkładał pieniądze na „przyszłość”, komendant się bogacił i kupował sobie coraz to nowsze łódki, a Foscari łątał dziury w swojej starej kamienicy. To była studnia bez dna! Ale on się uparł. Chyba tylko dzięki tej jego „pobocznej” działalności nie musieli z rodziną opuścić domu na Calle Fiubera. I nagle – po dziesięciu latach – zjawiała się Paola Fornarini ze swoją wiedzą o przedwojennych sposobach obróbki diamentów i z kamykiem, który „mógł ich zainteresować”. Przy okazji była ładna. Miała piękne, dziecięce, naiwne oczy. Dali się omamić. Zgłupieli. Wszyscy po kolei. Wykorzystywała to. A po pewnym czasie okazało się, że Paola Fornarini, naprawdę Malena Bartoli, była informatorką wydziału śledczego Korpusu Karabinierów.

Oficjalnie nie mogła do nich przystąpić. Wtedy jeszcze do korpusu nie przyjmowano kobiet. Ale znalazła inny sposób, by z nimi współpracować.

Postanowili uciszyć Paolę-Malene, kiedy wreszcie przejrzeni na oczy. Udusili ją na Trapezio d'Oro, a ciało spalili. Mimo to, choć sprawa ucichła i karabinierzy jakoś nie spieszyli się do tego, by wyjaśnić okoliczności zaginięcia swojej nieoficjalnej informatorki, kobiecie udało się rozbić najważniejsze punkty ich działalności. Dziuple w Mestre zostały zaplombowane, a Ronsard, Foscari i komendant musieli wycofać się z interesu. Czy Paola-Malena zdążyła wyjawić ich nazwiska? Jeśli tak, to nic z tym nigdy nie zrobiono. Komendant nadal pracował sobie spokojnie w policji, a Foscari w swoim urzędzie. Czekali, co się wydarzy. Ale nie działo się nic. Ronsard, jako ten, który miał najwięcej na sumieniu i przybył do Wenecji aż z Antwerpii, na wszelki wypadek wolał się ukryć. Wyjechał do Francji i przez wiele lat mieszkał w różnych wioskach, by nie rzucać się w oczy. Miał pieniądze i kontakty, ale wciąż groziło mu niebezpieczeństwo ze strony dawnych wrogów. Od czasu do czasu wykonywał jakieś małe zlecenie. O dziwo... nikt z Wenecji go nie szukał. I najwyraźniej Saskia Verbeek też dała sobie spokój. Z nim i w ogóle z biznesem. Może przeszła na emeryturę? W dziewięćdziesiątym roku musiała mieć jakieś pięćdziesiąt pięć lat. W każdym razie ich kontakt się urwał. A on wymyślił sobie udawanego Alzheimera, chorobę, która powodowała coraz więcej luk w pamięci i ogólne dzieciennienie. Bardzo wygodne rozwiązanie wszystkich problemów.

Marconi dobrze sobie to obmyślił. Jego żona była córką Vittoria Foscariego, a kochanka... mieszkała z Ronsardami przez ścianę. Jubiler sprowadził go do Wenecji celowo, bo chciał się zemścić. A ta cała Isabella była jego szpiegiem. Miała zbliżyć się do wnuka, by móc obserwować dziadka. Ronsard mógł się oczywiście zasłonić udawaną chorobą, ale ta również zaczęła stanowić pewien problem. Nie miał już żadnego zaufanego lekarza, którego mógłby poprosić o wystawienie lewego zaświadczenia. Wnuczek musiał prędzej czy później zorientować się, że coś jest nie tak. Stary został w tej maskaradzie zupełnie sam i nie bardzo wiedział, jak znaleźć wyjście. Ale udawać potrafił koncertowo. Osiągnął w tym mistrzostwo i chyba wreszcie cukierniczka mu uwierzyła. Bo nic się nie działo. Nie było żadnej zemsty. Ale później zginęła ona sama, Isabella Lomi. Uduszono ją i spalono, jak matkę Marconiego.

Ronsard przerwał swoją opowieść. Spoglądał raz na komisarza, raz na Szwedkę. Oni również nie odzywali się słowem. Czekali na ciąg dalszy? A co tu pozostało jeszcze do dodania?

Pierwsza nie wytrzymała dziewczyna. Ucieszył się. Chciał, by wreszcie ona zadała mu jakieś pytanie.

– Co z rewolwerem Apaszów? – odezwała się.

Wiedział, że jedno z nich wreszcie poruszy tę kwestię. Rewolwer Apaszów. Główny rekwizyt. To było... trudne pytanie. Ronsard przymknął oczy i uspokoił oddech.

– Rewolwer rzeczywiście należał do mnie. Mój ojciec był Apaszem. Jak państwo widzą, coś musiałem po nim odziedziczyć. Rewolwer leżał gdzieś w moich rzeczach i tak szczerze mówiąc... Dawno go nie widziałem. Nie bawiło mnie jakoś oglądanie swoich pamiątek rodzinnych. Nie ja również, choć oczywiście mogą mi państwo nie wierzyć, schowałem rewolwer między rzeczami Yvesa. Po co miałbym to robić? Żeby rzucić podejrzenie na własnego wnuka?

– A gdzie pan był...

– W chwili śmierci Isabelli? Nawet nie wiem, kiedy dokładnie została zamordowana. Przez cały tamten dzień nie wychodziłem z domu. Yves również. Malował. Później, wieczorem, wyszliśmy na chwilę razem na Campo do Pozzi, by świętować rozpoczęcie karnawału. Widzieli nas sąsiedzi. Ale przecież... to oczywiste, kto ją zabił!

– Kto ją zabił? – zapytali chórem komisarz i dziewczyna.

– Luigi Marconi. Isabella za dużo wiedziała. O jego matce, o tym, że najpewniej chciał się zemścić na mnie za jej śmierć. Założę się, że lekkomyślnie sam jej o wszystkim powiedział, a ona potem zaczęła go

szantażować i stawiać żądania. Albo może w grę wchodził inny scenariusz?

– A Guido Russo?

Ostatnie pytanie zadał Antonio Valli. Ronsard spojrzął w jego przekrwione, zmęczone oczy.

– Nigdy nie słyszałem o kimś takim – odpowiedział z niemal stoickim spokojem. – Dlaczego miałbym mordować kogoś, kogo w ogóle nie znałem? Ale przypominam, że widziałem jakiegoś mężczyznę u nas w domu. Nie w noc śmierci Isabelli, tylko w następną, około drugiej lub trzeciej. Widziałem faceta w czerwonym kapturze. Jak u tego gondoliera... Nie wiem, co robił i czego chciał. Ale chyba mógł podrzucić rewolwer?

Wiedział, że ostatnie zdanie zabrzmiało sztucznie i beznadziejnie. Dlatego szybko dodał:

– Marconi musi mieć jakiś większy plan.

– W związku z czym? – zapytała dziewczyna spod ściany.

– Z tą jego zemstą. On jeszcze nie skończył. Na waszym miejscu pilnowałbym tego byłego komendanta i sprawdziłbym, w jaki sposób umarł Vittorio Foscari.

– Zmarł śmiercią naturalną – odrzekł Valli.

– A jego żona? – zaryzykował i wstrzymał oddech.

Odpowiedziało mu milczenie. Wspaniale. Czyli żona Vittoria odeszła z tego padoku w podejrzany sposób. No proszę, proszę! Jednak to zrobił. Ten człowiek nie przestawał go zaskakiwać. Do czego jeszcze był zdolny?

– Zdaje pan sobie sprawę – Valli usiłował zmienić temat – że właśnie przyznał się do dokonania morderstwa i kierowania grupą przestępczą?

Ronsard zerknął na komisarza z rozbawieniem. Nawet jeśli się przyznał, to i tak nic z tym nie zrobią. Po pierwsze – nie było żadnych dowodów. Po drugie – rzecz wydarzyła się dawno temu. Po trzecie – w całej akcji brał udział były komendant policji. Ronsard poczułby się prawie bezpiecznie, gdyby nie jeszcze jedno zadanie, które czekało go po opuszczeniu komendy. Musiał się do niego dobrze przygotować.

Komisarz Valli przygarbił się. On również wiedział, że niewiele będzie w stanie zdziałać. Ale miał coś na Marconiego. Mógł szukać dalej. Ronsard obserwował go przez chwilę. Czy to już koniec? Nie, jeszcze nie. Valli nagle uniósł głowę i chyba w akcie desperacji zadał ostatnie pytanie.

– Powiedział pan: „udusiliśmy ją”. Kto? Kto konkretnie zacisnął palce na szyi Maleny Bartoli?

Cisza.

– Jak naprawdę nazywała się Saskia Verbeek z Antwerpii?

Cisza. Ronsard ponownie uśmiechnął się. Tym razem szeroko, niemal szelmowsko.

– *Commissario*... Co za dużo, to niezdrowo.

Dlatego też Ronsard nie wspominał o czwartym mężczyźnie. Tym, który od początku znał prawdziwą tożsamość Paoli/Maleny. I ostrzegał ich.

Znowu korytarz. Miała go dość. Mdłe ściany, światło miejscami zbyt jaskrawe. Zaduch. Gwar rozmów. Odgłos kroków. I zapach kawy, jak gdyby z zupełnie innego, lepszego świata. Miała wrażenie, że na dobre wsiąkła w tę przestrzeń, choć przecież pojawiła się tu po raz pierwszy niedawno. I nadal była

obca, była *straniera*, na którą każdy patrzył podejrzliwie. A najgorsze wydawało jej się to, że w Tonim zaszła zmiana. Był zły. Napędzała go jakaś niedobra siła. I znowu szedł tak szybko, że musiała biec, by dotrzymać mu kroku. Nie odzywał się.

A później znowu gabinet z oknem wychodzącym na kanał San Lorenzo. Dwa kubki na biurku, w nich zimna kawa. Niedojedzona kanapka. Myśli Anny biegingy w różnych kierunkach, nie potrafiła już skierować ich na odpowiednie tory. Nie było odpowiednich torów. W jej głowie królował chaos. Co było ważne? Guido Russo i Isabella Lomi? Rewolwer Apaszów? Zeznania Livii Foscari, Roberta Capellego i starego Ronsarda? Fabio Esposito zakłuty nożyczkami? Nieprzytomna Stefania Massimo? Zemsta Marconiego? Śmierć Maleny Bartoli? Diamentowa szajka, jak z filmu szpiegowskiego? Kamienie zrabowane w czasie wojny? Kamienie... przewożone na... statku?

Valli opadł na krzesło i dopił zimną kawę. Anna stanęła przed nim, a on nagle złapał się za głowę.

– Wytrzymasz tu jeszcze trochę? – zapytał.

– Przecież sama chciałam tu być – odpowiedziała. – Słuchaj... Ja czegoś nie rozumiem.

– Ja nic nie rozumiem.

– Tak... Ale pomijając „nic”, jest jednak „coś”. Nie kupuję teorii, że Marconi zwerbował Isabellę do szpiegowania Ronsardów, a później ją zabił. Po co? Aż takie straszne rzeczy o nim wiedziała? Aż tak bardzo zaczęła się stawiać?

– To możliwe. Za mniejsze przewinienia ludzie mordują innych ludzi.

– Czasem w ogóle mordują bez powodu, ale coś mi tu nie gra.

– Nie gra to samo, co w wypadku Livii Foscari – powiedział Antonio i odchylił głowę do tyłu.

Anna przyjrzała mu z zainteresowaniem.

– Masz na myśli, że nie gra coś w...

– ...historii, którą opowiedział.

Przez chwilę patrzyli na siebie w ciszy. Drzwi uchylły się i do gabinetu wsunęła się głowa jakiegoś policjanta, którego Anna już tu wcześniej widziała. Chłopak powiedział coś po włosku. Zrozumiała. „*Commissario*, jest pan proszony na górę”. Na górę. Do zastępcy komendanta. Antonio wstał z krzesła i powlókł się w stronę drzwi. Anna miała złe przeczucia.

Rozdział 28

Poczęstowano go nawet posiłkiem. Oczekiwał, że będzie niesmaczny, a tymczasem okazał się całkiem niezły. Zapomniał, co zjadł, z chwilą kiedy zabrano talerz, ale przyjemne wrażenie pozostało. Uczucie nasyceń, prostego napełnienia żołądka. I senności, która przychodzi wtedy, gdy organizm skupia się na trawieniu. Luigi Marconi dawno już nie pozwalał sobie na niemyślenie. Nawet teraz przystał na zredukowanie własnej osoby do „istoty, która trawi” tylko na moment. Zaraz później wróciły obrazy i dźwięki. Najpierw głos jego matki. Rozmawiała przez telefon, stacjonarny – wtedy nikt jeszcze nie miał komórki. Powiedziała: „papiery są w willi Foscarich, jakby co”. Przytrzymała słuchawkę ramieniem i coś zapisała w notesie. Obróciła się i zobaczyła, że Luigi stał w progu. Przez chwilę patrzyła na niego bez słowa, zbyt zaskoczona, by zareagować. Wreszcie rzuciła: „*arrivederla!*”, i odłożyła słuchawkę. Podeszła do syna.

– Miałeś być u kolegi – powiedziała, ale jakoś tak dziwnie, sztucznie.

Pewnie zastanawiała się, ile usłyszał, a Luigi zrozumiał z tego tyle, że z jej rozmowy można było wychwycić znacznie więcej, niż zdołał. Wzruszył ramionami. Nie podobała mu się ta nagła obcość między nimi. Kochał matkę. Była wspaniałą osobą, energiczną, inteligentną, ciągle się śmiała i mówiła o spełnianiu marzeń. Co innego ojciec, który przychodził do domu i włączał telewizor. Niczego innego nie robił, poza oglądaniem głupawych seriali. Luigi nie raz zadawał sobie pytanie, dlaczego matka w ogóle za niego wyszła. Wtedy, w tamtym momencie, również. Bo przecież wyraźnie coś kombinowała, miała swoje tajemnice. Ale nie mogło chodzić o jakiś zwykły, tani romans. „Papiery są w willi Foscarich” – tak powiedziała. Jakie papiery? Nie zapytał. Matka po chwili stała się „normalna”, zaczęła szczebiotać wesoło i pociągnęła Luigiego w kierunku kuchni. Zamierzała przyrządzić risotto, jego ulubione. Poszedł za nią. Myślał o tych papierach w willi Foscarich, ale po chwili przypomniał sobie, że przecież miał z matką o czymś porozmawiać. O swojej przyszłości. Skończył już osiemnaście lat i nie chciał iść w ślady ojca. Zamierzał zostać jubilerem. Wspomniał o tym, a matka się uśmiechnęła. Wtedy widział ją po raz ostatni.

Może właśnie zjadł risotto i stąd te wspomnienia? Nie, niemożliwe. Ostatnio często myślał o matce. I Ronsardzie. Uwierzył mu. Sprowadził go razem z wnuczką do Wenecji, by się głupio zemścić. Od początku był ze sobą szczerzy. Może to i był naiwny plan, przekombinowany jak w jakiejś telenoweli, ale przecież powiódł się. Przyjechali tutaj. Yves Ronsard był doskonałym woskiem w jego palcach. Mógł ulepić z niego dowolny kształt. Desperacja po prostu usypia czujność. Młody niczego nie podejrzewał, cieszył się, że będzie mógł malować, zamiast siedzieć na kasie albo w jakimś paryskim biurze. Na gwałt potrzebował gotówki. Pieniądze to zawsze świetny argument. Dziadka też jakoś przekonał do tej przeprowadzki. Marconi nie wątpił, że stary Ronsard wreszcie przystanie na jego plan. Każdy lubi czasem wrócić na stare śmieci...

Ulokował ich w doskonałym miejscu, dobrym do obserwacji, ale oddalonym od głównych turystycznych szlaków. Za ścianą mieszkała Isabella. Tak samo naiwna i głupiutka jak malarz. Nigdy niczego jej o sobie nie powiedział. O matce, o tym, co wydarzyło się na wyspie Foscarich, o swoim małżeństwie z Livią i... celu, w którym sprowadził Ronsarda. Ale wiedział, że Isabella mu się przyda. Yves kręcił się koło niej, kiedy tylko mógł, a jej schlebiało zainteresowanie młodego chłopaka. Miła

odmiana po starszym o kilkanaście lat Marconim. Poza tym malarz szybko stał się sługusem Isabelli, a to było zwyczajnie wygodne. Załatwiał za nią mnóstwo spraw. A ona odwiedzała go w domu z żółtą firanką. Przesiadwała w pracowni, oglądała obrazy, czasem przynosiła ciasto i jedli je później we trójkę, z dziadkiem Yvesa. Marconi pytał ją o te spotkania. Isabella opowiadała o nich chętnie. Szczerze polubiła Ronsardów, choć oczywiście Yves nigdy nie mógłby stanowić dla Luigiego poważnej konkurencji. Ciągłe to powtarzała. Nie miał już ochoty jej słuchać. Czuł się tą dziewczyną zmęczony i znudzony, ale wciąż jeszcze była mu potrzebna. Dzięki niej wiedział, co działo się w domu z żółtą firanką. Nie widziała niczego podejrzanego we wszystkich tych pytaniach o Ronsardów. Pewnie ogólnie nie myślała za wiele. Była radosna, naiwna i lubiła błyskotki. Że też musiała zginąć!

Dzięki Isabelli Marconi poznał szczegóły „choroby” starego Ronsarda. Alzheimer! Oczywiście dziadek udawał. I bardzo dobrze mu ta symulacja szła. Marconi sam był już w stanie kupić bajeczkę o Alzheimerze, ale jakoś zawsze ogarniały go wątpliwości. Niemniej jednak stary Ronsard siedział cicho. Nic nie robił, nic nie mówił. Milczał. Nic oprócz milczenia się nie działo. A zatem Luigi... odpuścił. Sam nie wiedział, dlaczego. Po prostu obrzydł mu ten plan, ta zemsta. Czy to spodobałoby się matce? Gniew, złość i obsesyjne pragnienie odwetu, które zatruwało mu życie? Przecież chciała dla niego dobrze. Poza tym Ronsard nie był jedyny. Czy Luigi miał ścigać ich wszystkich, jak hrabia Monte Christo? Vittorio Foscari mu się wymknął. Umarł. Bardzo wygodnie. A jego żona, matka Livii... Luigi potrząsnął głową. Miał już dość. Wszystko źle rozegrał. Stracił czas. Próbował później nawet przekonać samego siebie, że sprowadzenie Ronsardów do Wenecji miało sens. Zachęcał Isabellę, by zainteresowała się Yvesem. Przez chwilę myślał, że to się udało. Czuł autentyczną radość, jakiej nie doświadczył już dawno. Być może nigdy.

Wszystko zobaczył w jaśniejszych barwach w momencie, w którym przeszła mu ochota na zemstę. To było jak odzyskanie wzroku, jak haust świeżego powietrza. Myślał, że... wszyscy wokół musieli czuć to samo. Ale się pomylił. Odciski palców Luigiego znalazły się na narzędziu zbrodni. Czyżby Isabella brała w tym wszystkim udział? Ale w czym właściwie? Przecież sama zginęła.

Ten Guido Russo... Kim był? Luigi znał szczegóły śmierci chłopaka, prawnicy wszystko mu opowiedzieli. Wiedział też, dlaczego został zatrzymany pod zarzutem tego morderstwa. A przecież nigdy nie zamienił z Russem ani jednego słowa.

Od początku chodziło mu Foscariem. O willę. A później o klejnot. I papiery.

Roberto Capelli siedział sam w pokoju na poddaszu. Livię bolała głowa. Wzięła kąpiel, a później zamknęła się w sypialni. Postanowił dać jej trochę czasu. Ale niedużo. Miała go aż w nadmiarze przez te wszystkie lata. Mogła się namyślić, zrozumieć to i owo. On z pewnością zrozumiał. I Marconi. Teraz wreszcie dotarła do niego prawda. A może nie? Może był głupszy, niż Roberto podejrzewał? No, nawet jeśli – kiedyś wreszcie sklei całą tę układankę. Ale będzie za późno na reakcję. Już było za późno. Capelli sięgnął między książki i wyciągnął butelkę. Zostało jeszcze trochę wina.

Co teraz powinien robić? Nadal pisać historię rodziny Livii? A może miała dla niego inne zadanie? Wątpił w to. Livia musiała mieć swój rodowód. Chciała być „rasowa”. Tylko... jak długo tak można? Czy ona pójdzie w ślady swoich zadufanych w sobie rodziców, zubożałych snobów? Nie mógł na to

pozwoić. Zresztą teraz na pewno wszystko się zmieni. Livia będzie musiała przywyknąć do nowych warunków. Nie przejmie przecież całego majątku męża. Nie wiadomo nawet, jak od strony prawnej wyglądała sprawa tej cholernej kamienicy. Budynek należał do Livii, ale wnętrze – wyposażenie salonu jubilerskiego – do Luigiego. Oczywiście użyczyła mu lokalu. Czy teraz zostanie z gołymi ścianami i głupią fundacją, która właściwie nie przynosiła dochodu? Czy coś dało się jeszcze zrobić? Czy Livia zdoła przejąć połowę majątku męża, kiedy ten trafi za kratki? Roberto zupełnie nie znał się na prawie. Nie chodziło mu zresztą o forszę. Ale pojął jedno. Zlecenie zabójstwa Livii nie wyglądało zbyt mądrze. Rzeczywiście – Marconiemu nie opłacało się zamordowanie żony. Bez sensu to wymyślił.

Czy ona też to wiedziała? Oczywiście – wyraziła taką wątpliwość na komendzie. Ale czy wiedziała naprawdę? To właśnie interesowało Roberta. I jeszcze – co teraz zamierzała? Bo przecież niczego nie wiedział na sto procent. Niczego nie mówiła mu wprost. Jak zwykle.

Roberto Capelli poczuł narastającą irytację.

Antonio tkwił „na górze” już pół godziny. Anna nie wiedziała, co robić. Żeby się czymś zająć, otworzyła stronę z artykułem, który czytała w łodzi, i skończyła lekturę tekstu o frachtowcu *Niobe*. Poczowała dziwny niepokój. Miała wrażenie, że to wszystko za chwilę się skończy. Sprawa utknie w martwym punkcie, a na Marconiego zostaną tylko te słabiutkie dowody i mętne zeznania. Zeznania Livii Foscari i Roberta Capellego, nie Ronsarda. Do Anny wreszcie dotarło, dlaczego stary tak gładko przyznał się do mordowania i kradzieży. Bo użył magicznego hasła, które wszystkim zasznurowuje usta. „Komendant policji”. To nic, że emerytowany. Wciąż jeszcze żył. A to przecież Wenecja. Anna zamknęła artykuł o *Niobe* i schowała telefon. Obróciła się na krześle jak na karuzeli. Wiedziała, co powie Valli, kiedy wreszcie się zjawi. Że nie może wykorzystać zeznań Ronsarda i musi bazować na innych dowodach. Może jeszcze go postraszą. Wsuną argument w postaci ewentualnego zwolnienia z pracy. Czy on się tym przejmie?

Anna uchwyciła się biurka i zatrzymała wirujące krzesło-karuzelę. Zakręciło jej się w głowie. Coś sobie przypomniała. Ronsard powiedział, że na wyspie Trapezio d’Oro, poza Maleną Bartoli, było trzech mężczyzn. Ronsard, Foscari i komendant. Oni też stali na czele grupy handlującej diamentami. Annie wydało się nagle, że... Ronsard skłamał. Tam musiał być ktoś jeszcze. Jedna osoba. Nie wiedziała, skąd wzięło się to przeczucie, ale było tak silne, że zerwała się z krzesła i wypadła na korytarz. Czy już go wypuścili? Z pewnością nie zatrzymają Ronsarda na komendzie dłużej niż to konieczne. Stary był jak chodząca bomba.

Przed gabinetem stał młody policjant. Widziała go już tego dnia kilkakrotnie. Pilnował jej? W sumie miała to gdzieś. Odezwała się po angielsku.

– Giovanni, prawda?

Policjant skinął głową.

– Nie wiesz, czy pan Ronsard opuścił już komendę?

– Nie wiem. Jeszcze musiał wypełnić jakieś papiery, ale ile mu to zajęło...? Chwila.

Chłopak wyjął komórkę i wybrał numer. Powiedział coś. Rozłączył się i zrobił mądrą minę.

– Właśnie wyszedł. Jakies trzy minuty temu.

Anna zacisnęła zęby. Trzy cholerne minuty? Aż tak dokładnie to obliczyli? Dlaczego nie pięć albo dwie?! Ruszyła biegiem w stronę wyjścia. Jak daleko można zajść w trzy minuty? I... w którą stronę udał się ten dziwny człowiek? Złodziej i morderca, który drwił z każdego i wszystko miał w głębokim poważaniu?

Dostrzegła go, jak szedł spacerowym krokiem wzdłuż kanału San Lorenzo. Spokojny i opanowany. Wolny. Dogoniła go i złapała za łokieć. Być może odrobinę za mocno. Mężczyzna odwrócił się i wyrwał jej odruchowo. Zaraz jednak, kiedy spojrzał Annie w twarz, uśmiechnął się. Szeroko, bezczelnie. Musiała przyznać, że ten człowiek miał pomysł na siebie. Nie był śliski i obrzydliwy, jak Roberto Capelli. Ronsard znał swoją wartość. Nie odstawiał amatorszczyzny. Jako młody oprych musiał być nawet uroczy.

Skrzywiła się, zamiast odpowiedzieć uśmiechem. Co za głupota myśleć w taki sposób!

– W czym mogę jeszcze pomóc, *mademoiselle* Lindholm?

– *Madame* – odrzekła mechanicznie. – Mam jeszcze jedno pytanie. Chciałabym wiedzieć...

Czy na wyspie był także Federico Capelli, ojciec Roberta... Nie powiedziała tego głośno. Ugryzła się w język. Nagle uznała, że nie powinna zdradzać się ze swoim podejrzeniem, bo być może przyjdzie inny moment, lepszy, w którym będzie je w stanie wykorzystać. Poza tym... Co jeśli Federico wcale nie przynależał do ich grupy? A jedynie był świadkiem tamtej sceny? On również zniknął, podobnie jak matka Marconiego. Kiedy dokładnie? Czy mógł być członkiem tej szajki i spokojnie patrzeć na działania Paoli Fornarini? Przecież znał tę kobietę. Była jego sąsiadką. Wiedział, jak się naprawdę nazywała!

Anna wyjęła telefon i włączyła zdjęcie, które pokazała Ronsardowi. Stary nadal się uśmiechał. Zerknął na ekran. Zmienił się na twarzy, ale tylko nieznacznie. Trzeba się było dobrze przyjrzeć, by zobaczyć te lekko opadnięte kąciki ust i zmrużone na ułamek sekundy oczy. Mikroruchy.

– Poznaje pan ten obraz?

Na ekranie widniało zdjęcie malowidła Federica Capellego, które na Trapezio d'Oro zrobił jeden z techników.

Ronsard przełożył telefon z ręki do ręki.

– Tak. Ten obraz właśnie zainspirował... nas do działania. Zrobiliśmy to wprawdzie trochę inaczej, ale też mieliśmy przygotowaną suknię i tak dalej...

– Przygotowaną? Czyli nie włożyliście jej Malenie?

– Łapie mnie pani za słówka. Rzeczywiście nie przebraliśmy jej. Zamierzaliśmy ją spalić, ale w ostatniej chwili zdecydowaliśmy się na bardziej humanitarny gest.

– Uduśliliście ją.

– Tak.

Wyraz twarzy Ronsarda pozostał niezmienny. To, co powiedział, pozornie nie kosztowało go żadnych emocji. Ale Anna miała wrażenie, że za tą maską – tak bardzo kojarzącą się teraz z weneckimi maskami karnawałowymi – kryły się prawdziwe uczucia. Skąd to przypuszczenie? Ronsard bardzo się starał. Uśmiechał się, wciąż był tym bezczelnym oprychem, którego można by uznać za uroczonego.

– Skąd to okrucieństwo wobec Maleny Bartoli? – zapytała cicho. – Przecież mogliście zrobić to inaczej. Dyskretnie. Chcieliście ją uciszyć. Więc dlaczego w taki sposób?

– Była czarownicą, a czarownice niegdyś palono na stosie, *madame* Lindholm...

– Niech pan będzie poważny!

– Ależ jestem! Malena Bartoli była czarownicą. Nie wiem, jak to zrobiła, że jej do tego stopnia zaufaliśmy. Że daliśmy się omamić. Pogrywała z nami, jak chciała. Nie cofnęła się przed niczym. Chodziła z nami nawet do łóżka, wszystkimi po kolei. Wtedy się zorientowaliśmy. Foscari i tamten komendant odkryli, że mieli tę samą kochankę. Dołożyłem swoje trzy grosze. Żaden z nas nie lubił dzielić się swoją własnością. Ale to jej zaczęliśmy przyglądać się baczniej. A Malena zrobiła się nieostrożna.

Popełniała błędy. Grała na kilka frontów. Zrozumieliśmy, jak wiele informacji od nas wyciągnęła. I wiedzieliśmy, że sama musiała odkryć dużo więcej. Dopuściliśmy ją do naszych interesów, widziała nasze warsztaty, znała kontakty... Była niebezpieczna. Dlatego musieliśmy z nią skończyć. Ale i tak sporo informacji przekazała karabinierom. W obławie na dziuplę w Mestre zginęło kilku dobrych handlarzy. Młodych. Mieli rodziny.

– Ona też miała rodzinę!

– Tak, ale Malena...

– Niech pan przestanie pieprzyć! Przecież widzę!

– Co pani widzi?

– Że pan wcale nie chciał jej zabić!

Ronsard umilkł. Wyglądał, jak gdyby właśnie otrzymał cios w twarz. Zaskoczyła go. Prawie krzyknęła z radości. Wiedziała! Ta jego gęba to jednak była maska! Ronsard zasłonił usta dłonią. Przez chwilę mechanicznie kręcił głową. Wreszcie spojrział Annie w oczy, a ona miała wrażenie, że przestał udawać.

– Nie chciałem. Lubiłem Malenę. Zawsze lubiłem silne kobiety. Malena miała takie same oczy, jak Saskia Verbeek. A na nią nigdy nie podniosłbym ręki.

– Saskia Verbeek. Pana szefowa z Antwerpii.

– Zgadza się.

– Jak się naprawdę nazywała?

– A po co to pani? Ona nie miała nic wspólnego ze śmiercią Maleny Bartoli. Już wtedy wycofywała się z biznesu i właściwie nie mieliśmy kontaktu. To nie...

– Jak się nazywała?!

– *Madame*...

– W dupę wsadź sobie swoją *madame*. Myślisz, że jesteś bezpieczny? Mylisz się! Jestem w stanie tak wykręcić tę sprawę, że bekniesz za diamenty. Sam, bez swoich kumpli. Zrobię z tego aferę międzynarodową, kamyki podepnę pod niewyjaśnione zbrodnie wojenne, a konwencja haska...

Urwała zdyszana. Ronsard odchylił głowę i... znowu się uśmiechnął. Wkurwiał ją. Oczywiście nie miała żadnej możliwości spełnić swoich gróźb, ale on nie musiał o tym wiedzieć. Choć pewnie wiedział. Miała to gdzieś.

– Jak się nazywała?

– Chana Sullam.

Ronsard kontynuował spacer, który przerwała ta dziewczyna ze Szwecji. Chciało mu się śmiać. Niezłe było z niej ziółko, prawie jak z Chany. Dlaczego wyjawiał jej to nazwisko? Z przekory? Przecież Chana, czy też Saskia, nie miała żadnego znaczenia. Dwadzieścia pięć lat temu w Wenecji Ronsard działał na własną rękę. Ale rzeczywiście – Malena miała takie same oczy, jak Chana. Nie chciał jej zabić. Do końca nie wiedział, co powinien zrobić. Miał jednak pewność, że nie dopuści, by zginęła na tym cholernym stosie, tak jak to sobie obmyślili pozostali. Zamierzał coś zrobić, postawić się, ale do ostatniej chwili czekał. A później tamten wymyślił, żeby się zabawić.

Tamten... Wiedział, jak się nazywała naprawdę. To on ich ostrzegł. „Malena Bartoli, żona ślusarza,

moja sąsiadka. Może faktycznie dorabia sobie na czarnym rynku, ale cholera ją wie. Lepiej uważać”. Z początku gadał tak na okrągło, ale później przestał. On też jej zaufał. Dopiero później znowu zaczął wątpić i drażyć. A kiedy okazało się, że miał rację, opracował plan. Dobry plan. Ronsard był pod wrażeniem. Zastanawiał się, co można było jeszcze zdziałać. Uciec z tej wyspy? Zdradzić ich? A choćby nawet! Ronsard zamierzał improwizować. Ale tamten go wyprzedził. Również zamierzał działać, „uratować” ją. Udusił Malenę. Skoro sam opracował plan rozprawienia się z nią w okrutny sposób, jak z czarownicą, to dlaczego nagle zrezygnował? Poczł wyrzuty sumienia? Trochę poniewczasie. Pozostali się wkurzyli, że miało być inaczej, że spektakularnie i mocno, tak, by cierpiała. Węc Ronsard również udawał wkurzonego, a później patrzył, jak Foscari i komendant wpychali go w ogień. Nic nie zrobił. Jeszcze później wyjechał z Wenecji, uciekł, choć przecież nie musiał. Tamci zostali.

Nie miał jak sobie dorobić do przestępczej emerytury. Potrafił tylko kraść, a na to był za stary. Od tamtego jednak można by co nieco wyciągnąć. Zaszyć się gdzieś, potem uderzyć... Wenecja niby była mała, ale obfitowała w fantastyczne kryjówki. Wszystko musiał przeprowadzić w tajemnicy przed wnukiem, zbyt głupim i naiwnym, by cokolwiek zrozumieć. Ciekawe, co robi teraz, kiedy Marconi przestanie wypłacać mu regularną pensję. A pieniądze były przecież potrzebne. Ronsard, choć stary, nie zamierzał umierać w biedzie.

Zatrzymał się, zachwiał nad kanałem i przytrzymał barierki. Chana Sullam. Ciekawe, czy jeszcze żyła.

– To nie wyjdzie poza komendę, słyszysz?

Antonio przeniósł wzrok z komendanta na zastępcę. Prokurator również tu był, stał pod ścianą. Ale na niego nie chciało mu się patrzeć, zresztą – po co? Miał na ten temat takie samo zdanie. Komisarz Valli nie był specjalnie zdziwiony i nie pierwszy raz znalazł się w podobnej sytuacji. Wiele rzeczy nie wychodziło poza komendę... Już wtedy, podczas przesłuchania Ronsarda, wiedział, że dokładnie to się wydarzy. Targały nim sprzeczne uczucia. Nie miał pojęcia, czy bardziej był zdeterminowany, by tę sprawę rozwiązać, czy zniechęcony i zrezygnowany z powodu mnożących się komplikacji. Jeszcze przed chwilą upierał się, by znaleźć odpowiedzi na wszystkie pytania i zamknąć winnych za kratkami, ale teraz wydawało mu się to bez sensu. W gruncie rzeczy nic nie mógł i na nic nie miał wpływu. Na pewnym etapie śledztwa przydałaby się jakaś współpraca z zastępcą komendanta albo prokuratorem. Naprawdę – nie pogardziłby. Choć raz, tak dla odmiany... I to nie tylko przy okazji rozwiązywania zagadki jakiegoś „zwykłego” morderstwa, w które nie był zamieszany nikt ważny. Valli zaczął bawić się spinaczem.

– Już wyszło – powiedział niby od niechcienia.

Prokurator odkleił plecy od ściany i teraz wszyscy trzej stali przed Antoniem na baczność. Byli tacy zabawni. Panowie w garniturach – prokurator w świetnie skrojonym i dobrym gatunkowo, a komendant i zastępca w przypadkowych, kanciastych, tylko udających elegancję. Valli rzucił spinacz na biurko.

– Wyszło razem ze starym Ronsardem – mruknął. – Przecież kazaliście go wypuścić. No to wyszedł. Wicie, że symulował tego Alzheimera, prawda? Czyli to nie jest tak, że on autentycznie szybko wszystko zapomina. Jak widać po zeznaniach, pamięć ma cholernie dobrą.

– Nie mędrkuj mi tutaj. To, co powiedział stary, nie wychodzi poza komendę. Skasuj nagranie, protokół zniszcz. Jak dla mnie możesz sobie nim dupę podetrzeć! Nikt nie może wiedzieć, że Cesarz był w to

zamieszany, kapujesz? – komendant zdjął swoją kancistałą marynarkę i przewiesił ją przez krzesło.

– Dokładnie – wtrącił się zastępca. – Zwłaszcza że swego czasu dopadł kilku karabinierów, którzy kręcili jakieś lody. A my bardzo się z korpusem lubimy, co nie? Chyba nie muszę ci przypominać? Nie mogą tego dostać.

– Ale oni i tak wiedzą! – Valli wpienił się na dobre. Wkurwiali go. Banda debili. – Przecież jeśli Malena Bartoli ich informowała, to nie zataiła informacji o Cesarzu! Urwaliście się z choinki?

– Nie wykorzystali tego – zripostował szybko komendant.

– Od dwudziestu pięciu lat – dodał zastępca.

– Pewnie mają swoje powody – podsumował prokurator.

Valli pokręcił głową. Niezły chórek, cholera. Trio zamierzało trwać przy swoim za wszelką cenę, mimo że nie mieli zbyt mocnych argumentów. Malena Bartoli na pewno przekazała informację o tym, kto stał na czele grupy handlującej diamentami, bez pominięcia żadnego nazwiska. Dlaczego karabinierzy tego nie wykorzystali? Bez pominięcia... Valli zmarszczył brwi. Czy Ronsard również wymienił wszystkie nazwiska? Żadnego nie zataił? A może miał jeszcze jakieś tajemnice i sprytnie z nimi wszystkimi pogrywał? Na pewno tak było. Należało dokleić mu ogon i... Nie, nie mógł dokleić mu ogona. Komendant by nie pozwolił. Chciał jak najszybciej zapomnieć o Ronsardzie i jego zeznaniach. Czy on naprawdę nie widział, że wypuszczenie tego człowieka na wolność było niebezpieczne?

Cesarz... Emerytowany komendant Polizia di Stato. Podziwiany przez wielu, odznaczony za zasługi dla miasta Wenecja. Walczył z korupcją. Rozbił jakiś gang, z którym współpracowali wysocy rangą karabinierzy. Kogoś niebezpiecznego wsadził za kraty... Rzeczywiście – nieprzyjemnie byłoby teraz zburzyć ten mit i krzyknąć, że król jest nagi. Valli miał gdzieś mity. Ale wyglądało na to, że tylko on jeden w tym mieście.

Vice-questore chrząknął i otarł z czoła krople potu. Zaczął uzewnętrzniać się na temat tego, że sprawa z wyspą Foscarich absolutnie nie może wyjść na jaw. Nie można pozwolić, by ludzie dowiedzieli się o udziale Cesarza w nielegalnym handlu diamentami i odkryli, że miał związek z zabójstwem Maleny Bartoli, informatorki karabinierów. Ronsardowi kazano siedzieć cicho, a najlepiej – ulotnić się z Wenecji. Zastępca komendanta umilkł, a głos zabrał prokurator. Ten z kolei uznał, że Marconiemu trzeba postawić zarzut zabójstwa Guida Russa i Isabelli Lomi. Na podstawie zeznań jego żony i Roberta Capellego, a także zebranych dowodów, do których zaliczały się: gondola, rewolwer Apaszów z odciskami palców i walizki. Bardzo dużo. Valli zaczął bawić się suwakiem swojej bluzy. Prokurator ciągnął niezrażony. O tym, że nie będzie robił kłopotów z wszczynaniem postępowania, wyda potrzebne nakazy rewizji salonów jubilerskich, jeśli będą potrzebne, i tak dalej... Materiał dowodowy jest wprawdzie żaloszny i trudno traktować go poważnie, ale najlepiej wszystko sensownie poukładać i opisać, by trzymało się kupy, a przy okazji może jeszcze znajdzie się coś przydatnego. Na przykład Stefania Massimo odzyska przytomność i powie, że to Marconi ją uprowadził. Kto wie? Wszystko się mogło zdarzyć. Ktoś ją przecież porwał, prawda? No to kto, jeśli nie Marconi? Tylko on miał motyw. Valli ziewnął. Oczywiście. Wszystko pięknie opisać i poukładać, dopasować dowody i zeznania, stworzyć... fabułę. Z odpowiednim wstępem, rozwinięciem i zakończeniem. Tak.

– A później mógłbyś...

To był znowu głos komendanta. Antonio uniósł głowę i spojrzał mu w oczy. Ten człowiek również nie powinien go teraz zaskoczyć. Wiadomo, do czego zmierzał.

– A później mógłbym co? – zapytał, bo chciał to jednak usłyszeć.

– Pójść na urlop. Bo chyba potrzebujesz odpoczynku?

Valli uśmiechnął się półgębkiem, złośliwie. Czyli jednak. Komendant go nie zaskoczył. Wyprostowane na baczność trio było teraz bardzo poważne. „Potrzebujesz odpoczynku?”. Pewnie tak. Ale Valli

wiedział, że na odpoczynku się nie skończy. Od tej pory stał się tutaj *persona non grata*, bo za dużo wiedział. I był niebezpieczny. Niepewny. Zbyt chętny, by działać zgodnie z regułami.

„Czyli co?”, pomyślał, wychodząc z gabinetu komendanta. Miał iść na urlop? I co to właściwie znaczyło „później”?

Nie powiedziała mu o Chanie Sullam. Nie wiedziała, czy to nazwisko jest ważne i dlaczego w ogóle wyciągnęła je od Ronsarda. Może faktycznie tamta kobieta nie miała nic wspólnego z wydarzeniami na wyspie Foscarich? Teraz Anna myślała o czym innym. O rewolwerze Apaszów, na którym znaleziono odciski palców Marconiego i Isabelli. Kompletnie bez sensu – jak gdyby ktoś to sobie zaplanował. Dlaczego były tam akurat ich odciski i nikogo więcej? Dlaczego nie Ronsardów? Starego, ale też młodego. Przecież rewolwer należał do nich. Skąd akurat Isabella i Marconi? Ta scenka musiała zostać wcześniej odpowiednio zaaranżowana. Ale to by znaczyło, że jubiler...

Anna nie lubiła Marconiego. Działał jej na nerwy i miał gdzieś wszystko poza swoimi świecidełkami. Nawet zniknięciem Stefanii za bardzo się nie przejął, bo akurat mieli do niego przyjechać jacyś cholerni Francuzi. A raczej przejął się – tym, że ona nie będzie mu w stanie pomóc w negocjacjach. Niemniej jednak Marconi jakoś przestał wydawać się Annie winnym. Albo może i był winny, ale nie w pojedynkę. Nawet jeśli zeznania Ronsarda pięknie uzupełniały jego zbrodniczy wizerunek.

Zeznania Ronsarda. Te, których nie można będzie wykorzystać. Szlag by to.

Anna przystanęła i wpatrzyła się w wody laguny, nad którymi zapadał już zmierzch. Od kilkunastu minut wlekli się z Antoniem wzdłuż Riva degli Schiavoni i próbowali rozmawiać o sprawie, ale znacznie częściej zapadało między nimi długie milczenie. Antonio miał iść na urlop. „Później”, jak powiedział. Chcieli się go pozbyć, bo za bardzo drażył. Anna była zła. Sama właściwie nie wiedziała, dlaczego. Chyba nie chciała... By spotkała go jakaś krzywda. Jakakolwiek – nawet jeśli miałyby to być niesprawiedliwe potraktowanie przez przełożonego. Bardzo obchodził ją los Antonia. Tak bardzo, że aż sama była tym zdziwiona. Bo wszystko, co dotyczyło Antonia, dotyczyło również... jej.

Zerknęła na niego. Także wpatrywał się teraz w lagunę. Mógł zgrywać twardziela, ale tak naprawdę się martwił. I bał się, co będzie dalej. Anna świetnie знаła ten stan. Przysunęła się do Antonia i wzięła go pod rękę, a on pocałował ją w czubek głowy. Stali tak przez chwilę, nieopodal przystani gondoli, w najromantyczniejszym mieście na świecie. Anna wiedziała już, co kryło się za kunsztownie zdobioną maską, za przepysznie udekorowaną fasadą domu. A jednak wciąż była oczarowana Wenecją. To miasto, choć umierało, żyło intensywniej i pełniej niż jakiegokolwiek inne.

– Muszę dziś pokazać się w antykwariacie. Obiecałam. Nie pamiętam, kiedy tam byłam. Powinnam sprawdzić, co z Leonem.

Antonio mruknął. Przycisnęła mocniej jego ramię.

– Ale najpierw chodźmy do domu. Zjemy coś.

Celowo użyła słowa „dom”. Uśmiechnął się. Tym prawdziwym uśmiechem, pełnym, a nie wykrzywionym i cynicznym. Poszli na Corte Case Nuove. Zjedli risotto, wypili wino i rozmawiali o głupotach. Jak gdyby nic innego nie miało znaczenia.

Kiedy wyszła, cała przestrzeń wokół niego wydała się nagle żalosna. Jakieś meble, jakiś dywan. Firanka. Stolik. Wszystko bez znaczenia. Tylko zapach się liczył. Jej zapach, który wciąż jeszcze czuł. Antonio spojrzał na brudne talerze, z których niedawno jedli risotto. Na puste kieliszki i zmiętą pościel. Postanowił nie sprzątać, tylko zostawić wszystko tak, jak było. Udawać, że nie został beznadziejnie sam. I nie myśleć o tym, co by się stało, gdyby Anna nigdy już tu nie wróciła.

Valli pokręcił się chwilę po salonie. Poszedł do pokoju, który służył mu za gabinet, i stanął przed komodą. Przez kilka minut uporczywie wpatrywał się w górną szufladę. Wreszcie nie wytrzymał. Wysunął ją i ze środka wydobyl teczkę. Wydała mu się ciężka, jak nigdy dotąd. Wrócił do salonu z teczką, którą niósł niemal z obrzydzeniem. Usiadł na sofie. Wahał się. Czy nie zamierzał właśnie po raz kolejny tracić czasu? A jednak coś nie dawało mu spokoju. Wciąż i wciąż wracało, domagając się uwagi. Tylko co to było? Antonio zdecydowanym ruchem otworzył teczkę.

I wyjął papiery topielca sprzed roku.

Lucrezia Doldano czuła się niemal spokojna. Obserwowała Annę, kiedy tamta w zamyśleniu sączyła drinka. Co ona mówiła? Że już prawie rozwiązali tę sprawę i czekali tylko na zeznania jeszcze jednej osoby? Czyżby? Jakiej osoby? A zresztą nieważne. Jeżeli dotąd niczego się o niej nie dowiedzieli, to nie należało się martwić. Ani też pokazywać, jak bardzo wieści Anny uradowały Lucrezię. Co ją to w gruncie rzeczy obchodziło? Była antykwariuszką, zwykłą wenecką babą, która przypadkiem trafiła na trupa. Cholerne przypadki! Nie ma przypadków. Anna Lindholm na pewno również to wiedziała, ale z jakichś powodów postanowiła zamienić się w naiwną kretynekę.

Bardzo dobrze. Z korzyścią dla Lucrezii.

Poza tym Leon trzymał ją za rękę, mimo że Anna siedziała obok. Odstawiał spektakl. Bardzo to piękne. A jednak musiała przyznać, że przez cały dzień był dla niej miły. Starał się. Całował w policzek i obejmował ramieniem. Nawet szybki numerek w południe był jakiś inny, spokojniejszy, a Leon wydawał się niemal czuły. Teraz jednak trzymał Lucrezię za rękę, ale patrzył na Annę. Siedział blisko Lucrezii, ale myślami był przy Annie. Pieprzone „ale”. Zawsze musiało się jakieś pojawić. To samo mówił Guido. „Ale co będzie, jeśli się mylimy”? Śmiała się z niego. A co niby miałoby być? Najwyżej – zdarza się. Nie pomyślała tylko, że zadał niewłaściwe pytanie. Powinien raczej martwić się o to, co będzie, jeśli się nie mylą. A teraz było już za późno na to, by pytać o cokolwiek. Należało po prostu przetrwać. I Lucrezia bardzo chciała nie musieć w tym celu krzywdzić Leona. Ani nawet policjantki ze Szwecji czy innej Polski...

Leon wdzięczzył się do niej właśnie. Uśmiechał, pytał, jak się czuje po pływaniu w lagunie i to dwukrotnie – była przecież jeszcze na wyspie-winnicy, gdzie też przemokła. Musiała przemarznąć, ale chyba adrenalina i stres nie pozwalają jej się rozchorować, bo pragnie rozwiązać tę sprawę, bla bla.

Rzygać się chciało. On był taki żaloszny. Ściszał ją za tę rękę. Po cholere? Anny Lindholm nie powinno tu być. Lucrezia doszła już do tego wniosku dawno, ale takie chwile jeszcze wzmacniały jej przekonanie. Tym bardziej, że ona sama musiała niebawem znowu działać. Jak tylko sprawa trochę przyschnie. Potrzebowała przecież pieniędzy, których nie zdobyła. Ale teraz miała mocniejsze argumenty. Wiedziała znacznie więcej niż wcześniej.

Rozdział 29

Wieczór nie upływał tak, jak Valli sobie zaplanował. Miał zamiar jeszcze raz pozadręczać się aktami sprawy topielca sprzed roku, później pozadręczać się nieobecnością Anny, jeszcze później sytuacją na komendzie i swoją pozycją, którą można by określić słowami „na wylocie”, i wreszcie – wspomnieniami o synu. O nim dawno nie myślał, a przecież zamierzał pielęgnować swój żal. Do Ture, do Claudii, do świata. Choć teraz, kiedy pojawiła się Anna, miał wreszcie ochotę trochę sobie odpuścić. Żałował też, że zakochał się w niej w takich okolicznościach, że brakowało mu czasu, by to wszystko celebrować i odkrywać powoli. Nawet jeśli nie miał wątpliwości i nie musiał nad niczym się namyślać. Dokładnie wiedział, co czuł.

Przejrzał połowę papierów topielca, kiedy zadzwonił telefon. Valli zdecydował właśnie, że powinien powiedzieć o tym Annie. Nawet jeśli topielec nie miał związku z obecnymi sprawami, ona musiała wiedzieć. I przestać ufać Lucrezii, a najlepiej wynieść się z tego antykwariatu w cholerę. Zbyt długo zwlekał. To nie było bezpieczne. Nawet jeśli Lucrezia nie miała nic do Anny, wciąż pozostawała osobą podejrzaną.

Podejrzaną o co?

Valli potarł zmęczone oczy. Gubił się we własnych myślach. Może mieli rację z tym urlopem? Powinien zrobić sobie wolne, a nawet wyjechać stąd na trochę. Z Anną, jeśli zechce. Zaraz, przecież dzwonił telefon... Valli potrząsnął głową. Zdawało mu się. Powinien się przespać. Dźwięk dzwonka ponownie przeszył wieczorną ciszę. Nie, jednak mu się nie zdawało. Antonio wygrzebał komórkę spod sterty papierów. Dzwonili z komendy.

– Si? – bąknął. Cokolwiek mieli mu do przekazania, z pewnością nie było dobre.

– Są już wyniki ekspertyzy tych walizek z wytłoczonym trapezem – odezwał się szef techników, pomijając konwencjonalne powitanie.

– I?

– I nic.

– Jak to nic?

– Zero podejrzanego materiału. Nic, co moglibyśmy przypasować do naszych zwłok.

– Ja pierdołę!

– Wiem – oświadczył poważnym tonem szef techników. – Ale mogę na pocieszenie powiedzieć tyle, że ten wytłoczony znaczek do śladu na plecach denatki pasuje idealnie. Właśnie obgadałem to jeszcze z *medico legale*. Zaraz dam go do telefonu. W każdym razie wniosek jest taki, że pewnie dziewczynę spakowano do walizki takiej samej, ale nie tej samej. I tamtego pudła pewnie już nie znajdziemy, bo każdy głupi...

– ...by się go pozbył – dokończył Valli i znowu zaklął. Czego właściwie się spodziewał? Że ta walizka tak po prostu wpadnie mu w łapy?

– Właśnie. A teraz daję doktora.

– Co tam, Sciotti? – Antonio nawet nie miał zamiaru udawać entuzjazmu. Odechciało mu się gadać z kimkolwiek.

– Dobry wieczór, *commissario*. Ja w sprawie nasienia, którego ślady znaleźliśmy u Isabelli Lomi.

– Tak? Marconi? – spytał od niechcienia. Czy coś go mogło tutaj zaskoczyć?

– Nie Marconi.

Valli zerwał się z sofy. Serce zaczęło mu bić szybciej. Czyżby jednak zaskoczenie?

– Kto? – rzucił tylko. – Obcy? Czy zgadza się z czyimś materiałem?

– Yves Ronsard.

– Szlag – syknął.

Rozłączył się i rzucił komórkę na stół. Yves Ronsard! Też odkrycie! Wiadomo, że byli kochankami, młody sam się do tego przyznał. Czyli Valli nadal nic nowego nie miał. Ale zawsze mógł... zajrzeć jeszcze do malarza. Pogadać z nim jak dobry kumpel. Yvesa wypuszczono z tymczasowego aresztu, ale nie pozwolono na razie opuszczać miasta. Młody siedział więc nadal w mieszkanku na Campo do Pozzi. Co innego mu pozostało?

Valli zgarnął papiery topielca i wetknął je na powrót do teczki. Narzucił na ramiona płaszcz i po chwili kroczył już Corte Case Nuove w kierunku San Marco. Na Castello zamierzał dotrzeć piechotą. I przy okazji przewietrzyć głowę.

Yves mieszał kakao powolnym ruchem. Jak sam powiedział, nie lubił jakiegoś tam instant. Dziadek w ogóle nie pozwalał trzymać w domu granulatu, tylko zawsze kupował prawdziwe kakao, belgijskie. A później, kiedy „zachorował”, zawsze dziwnym trafem wyczuwał, kiedy wnuk podawał mu rozpuszczalny chłam. Teraz oczywiście Yves wiedział, dlaczego. Bo dziadek kłamał. Przez tyle lat.

Komisarz Valli śledził uważnie ruchy chłopaka. Postanowił być cierpliwy i przyjął zaproszenie na kakao, choć go nie znosił. Uznał też, że pozwoli mu mówić. I tak minęła godzina, podczas której Yves snuł swoją opowieść o dziadku Ronsardzie, Isabelli i Marconim. W międzyczasie ze skrupulatnością prawdziwego artysty przyrządzał to nieszczęsne kakao. Valli ziewnął. Teraz dopiero czuł, jak bardzo był zmęczony. Zwłaszcza że na Campo do Pozzi dotarł, tak jak planował, na piechotę, ale nie przewidział, że znowu da o sobie znać *acqua alta*. Woda tymczasem wystąpiła z kanałów, kiedy znajdował się już na San Marco. Ludzie byli przygotowani, wszyscy przechodnie w workach na butach, a miejscowi w kaloszach. Podobno wcześniej pojawiły się prognozy... Tylko skąd Valli mógł wiedzieć? Nie miał czasu na słuchanie prognoz, a jego intuicja jeszcze nie działała tak, jak u większości weneccjan. I nie potrafił powodzi po prostu przewidzieć. Zanim więc zaopatrzył się w foliowe ochraniacze, przebrnął kilka metrów w wodzie i teraz jego buty przy każdym kroku smętnie bulgotały.

– Może zechce pan sobie wysuszyć obuwie, *commissario*? – zreflektował się nagle młody i uniósł głowę znad garnka z kakao.

– Nie, dzięki – mruknął Valli, choć wiedział, że to błąd. Zaczynał się już powoli telepać z zimna.

Yves wzruszył ramionami, ale nie powrócił do mieszania kakao. Zdjął garnek z palnika, wybiegł z kuchni i po chwili wrócił, ciągnąc mały elektryczny grzejnik. Postawił go przy fotelu komisarza.

– No, chociaż tyle – powiedział i usiadł naprzeciwko. Zaraz jednak zerwał się, by przelać kakao do kubków.

Valli podziękował i uśmiechnął się sztucznie. To była cena, którą musiał zapłacić. Yves dotarł już w swojej opowieści do tego, jak bardzo zależało mu na Belli i jak bardzo wykorzystywał ją Marconi. Bo przecież to było oczywiste, że on nie porzuci swojej żony. Tylko dlaczego zaangażował Yvesa, by odwrócić uwagę Belli, a i tak nadal się z nią spotykał? Sprawa przestała mu się podobać. Młody malarz rozważyłby nawet wyjazd z Wenecji na dobre, gdyby nie kłopot z dziadkiem (nie chciał wciąż go skądś dokądś przenosić), no i z dochodami. Marconi przynajmniej płacił regularnie... A poza tym Bella przyszła do niego. W dniu, w którym zginęła. Kochali się w jego pracowni, na starych płótnach. Była podekscytowana, ale w ogóle nieskupiona. Udawała, że też tego chciała, jak gdyby nie zamierzała robić

Yvesowi przykrości, kiedy zaczął ją całować. Myślam była zupełnie gdzie indziej.

– To głupie, nie uważa pan? Że w ogóle do mnie przysłała, że to zrobiliśmy... Po co?

Młody malarz pokręcił głową z goryczą. Valli z grzeczności upił łyk kakao i z grzeczności się nie skrzywił.

– Może miała w tym jakiś cel? Jak pan sobie przypomina tę sytuację? Nie miała okazji, by czegoś panu podrzucić lub coś zabrać? Rozglądała się, szukała czegoś?

– Nie, zupełnie. Przybiegła w szlafroku. Była radosna. Szczebotała coś o jakichś duperelach, że karnawał i w ogóle. Ona zachowywała się tak...

– Jak?

– Jak gdyby chciała się czymś pochwalić. Powiedzieć mi o czymś. Ale nie mogła, więc zajęła się czym innym. Może szykowała się na ten bal?

– Tak. Pewnie tak – odparł Valli i zasępił się.

Być może faktycznie szykowała się na bal. To by nie było głupie. Mogła się tam pojawić. Przebrana, w masce... Nikt nie zwróciłby na nią uwagi. Gości było sporo, a ona przecież nie musiała z nikim rozmawiać, tylko snuć się z kąta w kąt, żeby odczuwać perwersyjną radość z przebywania w domu kochanka pod obecność jego żony. Isabella miała szansę poobserwować Livię Foscari – tylko po co miałyby to robić? I dlaczego Marconi zapraszałyby ją na bal, skoro chciał się dziewczyny pozbyć? Kwestia sprowadzenia do Wenecji Ronsardów została rozwiązana – Marconi chciał zemścić się na starym, a później odpuścił. Dlaczego jednak wciąż utrzymywał kontakty z tą dziewczyną? Dlaczego sprowadził ją wtedy do pałacu na bal? A jeśli nie sprowadził? Albo... nie on to zrobił?

– Nie wiem, co teraz. Co dalej – przyznał po chwili milczenia młody. – Dziadka nigdzie nie ma. Nawet nie mogę zrobić mu awantury. Tak jakby zapadł się pod ziemię. A przecież... chyba coś mi się należy za te wszystkie lata? Jakies słówko wyjaśnienia? Pożegnanie?

– Może jeszcze się pojawi – odrzekł Valli.

Miał nadzieję, że w jego głosie nie słychać było powątpiewania. I jednocześnie nadziei. Bo on przecież sam liczył na to, że dziadek prędzej czy później się zjawi. Tylko co by mu to właściwie dało? Szefostwo w życiu nie zgodzi się na wykorzystanie jego zeznań. Może nawet za plecami Vallego postarali się, by stary zniknął na dobre? Nie musieli przecież ze wszystkiego mu się zwierzać...

Niemniej jednak młody miał rację. W jego wypadku jakieś wyjaśnienie byłoby mile widziane. Za wszystkie te lata, kiedy sądził, że zna dziadka. Antonio skrzywił się. Pomyślał, że takie długoletnie oszustwa i rozczarowanie najbliższą osobą, to najgorsze, co można przeżyć. Jak gdyby cała wspólnie przeżyta przeszłość nagle przestała mieć znaczenie. Sam świetnie to wiedział. Podobnie jak Anna.

– Wie pan, *commissario*, ona jeszcze kogoś miała.

Głos Yvesa wydał mu się przytłumiony. Od kilku chwil Valli błędził gdzieś myślami i słuchał młodego jednym uchem. Teraz jednak... Co on powiedział? Valli przywołał się do porządku i z obrzydzeniem dopił kakao.

– Czy ja dobrze słyszę? – upewnił się.

– Tak. To znaczy nie wiem. Tylko się domyślam. Wychodziła dokądś kilka razy, wieczorem. Stroiła się, malowała. Była podekscytowana. Tłumaczyła, że jakaś impreza, że koleżanki.

– A może po prostu umawiała się w te wieczory z Marconim?

– Na pewno nie zawsze. Wysypała się, widzi pan. Powiedziała mi raz czy dwa, że Marconi pojechał do Padwy czy innej Werony w interesach. A ona wtedy właśnie wychodziła, więc...

– No to może faktycznie z tymi koleżankami?

– Bella nie miała koleżanek, poza Lucią z kawiarni *Pozzi*. Zajmowała się swoją cukiernią, a zamiast imprezować ze znajomymi, wolała te wykwintne kolacyjki z Marconim. Ja myślę, że nie interesowało jej

„zwykłe” towarzystwo. Chciała się bawić na poziomie.

– Ale to jeszcze nie znaczy, że miała kogoś poza Marconim. I panem – dodał Valli z przekąsem. Nie wiedział, co bardziej go zemdliło – kakao czy ta nowa informacja.

– Kiedyś, nad ranem, ktoś odprowadził ją do domu. Jakiś koleś. Nie widziałem jego twarzy. Pocałowali się na pożegnanie, więc...

– I pan mimo to nadal zawracał sobie nią głowę? Mimo że prowadziła się z innymi?

– Miłość jest ślepa.

Valli westchnął. To akurat była prawda.

Paplali o niczym. Anna pomyślała, że to miłe. *Acqua alta* i worki na butach, rozkołysana gondola, pranie na sznurku, czyjś śpiew. Zapach świeżego pieczywa i kawy. Pierwsze promienie słońca tańczące na powierzchni wody. Delikatna mgła otulająca fasady domów. Maski weneckie w witrynach. Kot na parapecie. Przyjemnie było rozmawiać o tym, co działo się dookoła i było emocjonalnie neutralne. Ot, opis sytuacji. Dwa sposoby postrzegania tego samego zjawiska.

A jednak było coś jeszcze. Coś, co Leon chciał jej powiedzieć, a nie potrafił. Widziała, że się miotał, jąkał, śmiał sztucznie. Nie pomogła mu. Chciała opóźnić tę chwilę, kiedy zaczną rozmawiać o poważnych rzeczach, i jeszcze przez moment napawać się urokami weneckiego świtu. Teraz nie myślała o tym, co tkwiło pod skorupą miasta. Widziała w nim samo piękno. Złapała się na tym, że wolałaby spacerować po uliczkach Dorsoduro w towarzystwie Antonia zamiast Leona, i zrobiło jej się przykro. Była dla Leona niedobra. Ale przecież poradził sobie, zainteresował się Lucrezią. Dlaczego więc teraz wydawał się taki spięty? Dlaczego przystanął nad brzegiem laguny i nie patrzył na wyspę Giudeccę, którą sam pokazał jej, kiedy byli tu w październiku?

Złapała go za łokieć. Zanim zaczęła na powrót zastanawiać się nad winą lub niewinnością Marconiego i nad tym, co powie Stefania, jeśli odzyska przytomność, musiała zmusić Leona do rozmowy. Coś się z nim działo.

– No? – powiedziała tylko.

Leon uśmiechnął się smutno. Podniósł z ziemi kamyczek i wrzucił go do wody.

– Nic – odrzekł.

– Przecież widzę.

Spojrzał na nią. Tak, że poczuła się nieswojo. Wetknęła ręce do kieszeni i spuściła wzrok. Cholera no...! Co z tym Leonem?

– Ja i Lucrezia...

– No wiem, lubicie się – przerwała mu szybko.

– Tak, ale... Ty ją dobrze znasz?

– Nie wiem, chyba średnio. Zależy, co znaczy „dobrze”. Lubię ją. To fajna babka.

– Naprawdę?

– Co: „naprawdę”?

– Lubisz ją?

– Tak.

- Aha.
- Leon! Wnerwiasz mnie! O co ci chodzi?
- O nic. Zastanawiam się, czy to przetrwa, kiedy stąd wyjadę.

Anna pokiwała głową. Faktycznie. Nie pomyślała, że Leon akurat tym może się martwić. A przecież powinna. Musiała też w duchu przyznać, że poczuła ulgę. Nie chodziło o nią. Anna wsunęła dłoń pod ramię Leona i pociągnęła go w kierunku pobliskiej kafejki. Dochodziła ósma i śniadanie wydawało się dobrym pomysłem.

Wenecki świt miał wciąż ten sam urok, co przed laty. Stary Ronsard musiał przyznać, że przez cały ten czas tęsknił za Serenissimą. Człowiek wsiąkał w to miasto, wsysały go stare kamienie i przeżarte wilgocią bruki. Teraz musiał zachować ostrożność, ale i tak czerpał przyjemność ze spaceru. Starał się nie myśleć już więcej o tym, że wyjawił Annie Lindholm nazwisko Chany Sullam. Ona była nieważna. Lindholm i Valli z pewnością nie zastanawiali się jakoś szczególnie nad handlem diamentami zrabowanymi w czasie wojny. Bo i po co? To był trudny temat. Nawet działania Maleny Bartoli zostały zatajone przez karabinierów. Ale on, Ronsard, wciąż żył. Wiedział. Nadeszła już właściwa pora, by przestać się bawić w filozofowanie.

Ronsard chciał pieniędzy.

Zatrzymał się przed piękną kamienicą ulokowaną na styku San Marco i San Polo. Dochodziła ósma. Dobra pora. On na pewno był w domu. Mieszkał sam. Żona umarła, a dzieci dawno się wyprowadziły. Sytuacja wydawała się idealna.

Stary podszedł do drzwi i zapukał. Bardzo staroświecko. Nie użył dzwonka. Jeśli już miał kogoś budzić, to kulturalnie, subtelnie. Zapukał znowu, mocniej. Odczekał trzy minuty. Usłyszał szcęk zamka. Drzwi uchyliły się i w szparze ukazała się rozczochrana głowa. Zaspane oczy. Zmarszczki. Błada twarz. Bledsza z sekundy na sekundę.

Cesarz.

Emerytowany komendant Polizia di Stato.

Ronsard uśmiechnął się szeroko. Mężczyzna w progu zacharczał.

– Kurwa! – wykrztusił wreszcie. – Jaques Boneville!

Stary uśmiechnął się jeszcze szerzej. Niech mu będzie. Jak zwał, tak zwał.

– Mamy do pogadania, Cesarz.

– O czym?

– O wyspie Foscarich.

To był Stefano. Valli nie liczył na nagłe pojawienie się Anny. A tylko ona, poza Stefanem, znała teraz kod

do domofonu. Dochodziła ósma. Antonio jęknął. Zasnął. Od Yvesa Ronsarda wrócił dobrze po północy, a później siedział jeszcze bez sensu na sofie i myślał. O tajemniczym „chłopaku” Isabelli Lomi i topielcu sprzed roku. Znowu tracił czas, który powinien był przeznaczyć na spanie. Popadał w obłąd. Tajemniczy chłopak Isabelli? A jeśli Yves bredził? Jeśli się mylił? Jeśli zmyślał?

Valli zwlekł się z sofy, na której zasnął. Nie obchodziło go za bardzo to, że spóźni się do pracy. Praca? Jak długo jeszcze będzie ją miał? Wyprostował się i przeciągnął. Bolało go wszystko. I jeszcze ten Stefano...

Młody policjant zapukał do drzwi dokładnie w tym momencie, kiedy Valli z rozrzewnieniem spojrzął na brudne talerze po risotto i niemal od razu postukał się w czoło. Stawał się żaloszny. A poza tym wciąż miał na sobie wczorajsze ubranie, wymięte jak jakaś ścierka. Stefano, który żwawym krokiem wszedł do mieszkania komisarza, miał chyba na ten temat takie samo zdanie. Obrzucił krytycznym okiem koszulę Vallego, po czym skrzywił się na widok sterczących włosów i kaktusa na brodzie. Postawił na podłodze termos. Ostrożnie, jak gdyby to była bomba. A później oparł się o ścianę i tkwił tak w milczeniu.

– Co to? – spytał Antonio i ziewnął.

– Herbata z jakimiś syfami. W sensie ziołami. Moja matka robi i mnie zawsze stawia na nogi, a kumple z komendy mówili, że wczoraj na wyspie-winnicy było dość wesoło. I mokro.

– Było.

– Właśnie. I że była z wami Anna i też zażyła kąpieli, więc pomyślałem...

– Dla niej to przyniosłeś?!

– A dla kogo? Jak ostatnio przyszedłem z cytryną, to szef się tak krzywił, że Jezzu! No to ja już może podziękuję. Nie ma jej?

– Nie ma.

– Ale wszystko w porządku? W sensie z...

– Tak. Chyba. Mam nadzieję – dorzucił wreszcie Valli na koniec, zrezygnowanym tonem.

Powlókł się do sypialni po czyste ubranie. Na szczęście miał dyżurny zapas dżinsów, t-shirtów i bluz z kapturem. Kiedy wrócił, Stefano jeszcze bardziej krytycznym okiem niż przed chwilą zerkał na rozrzucone wokół sofy papiery.

– Znowu topielec? – spytał głucho.

Valli wzruszył ramionami.

– Przyszedłeś w konkretnym celu?

– A i owszem! – Stefano uśmiechnął się triumfalnie. – Dokonałem odkrycia związanego z wypożyczalnią kostiumów.

– Nie gadaj! – Komisarz podniósł z podłogi termos i zważył go w dłoni.

– Proszę sobie wyobrazić, że tak. Byłem nawet u poprzedniego wypożyczającego – nadał się Stefano.

– No i? – Antonio odkreślił termos i nalał sobie odrobinę herbaty z „syfami”. Śmierdziało jak ściek.

– No i tak się składa, że karteczka z datami zawalenia się mostu Rialto należała do niego.

Valli zastygł z kubkiem w dłoni. To było coś nowego.

– Kontynuuj.

– Tak, teraz to kontynuuj, a...

– Błagam cię!

– A więc karteczka należała do niego. Facet dostał ją od swej ukochanej, niestety mężatki.

– Czyli telenowela...

– Mniej więcej. Spotkali się na moście Rialto w święto La Befana, kiedy też, jak wiemy, ludzie urządzają sobie przebieranki. Mieli się tam rozstać. Luba zdecydowała się wrócić do męża, bo porządna katoliczka, co raz zbłądziła, ale wiecznie żyć w grzechu by nie umiała.

– Pierdzielenie takie – mruknął Valli i upił wreszcie łyk herbaty z syfami. Nie smakowała wcale źle.

– Być może. W każdym razie ona kocha most Rialto i wypisała na karteczce daty jego zawalenia się, a później tę karteczkę wręczyła facetowi od kostiumu. Ów symboliczny gest miał pokazywać, że iście tragiczne było dla niej to rozstanie. Jak zawalenie się mostu Rialto.

– Ja pieprzę...

– No właśnie. A oni już nie pieprzą, bo się rozstali i...

– Stefano!

– Tak, wiem. Do rzeczy. Karabinierzy spod mostu odwołani. Facet od kostiumu powtórzył wszystko formalnie, na komendzie. A koleśowi z wypożyczalni obiecałem nie robić smrodu za to, że nie oddaje tych kostiumów do pralni między jednym wypożyczeniem a drugim.

– Bardzo słusznie. – Valli dolał sobie herbaty z termosu.

– No dobra, a teraz szef.

– Co ja?

– No ten topielec. Jednak do niego wracamy?

– Nie wiem.

– Powiedział szef Annie?

– Jeszcze nie.

– Oj.

– Nawet mnie nie wkurzaj.

Stefano zrobił mądrą minę i zaczął sprzątać rozrzucone papiery. Valli patrzył na niego z mieszaniną sympatii i niechęci. Lubił gówniarza. I ten gówniarz, niestety, miał rację. Wtedy, kiedy powiedział to swoje: „oj”.

– A z Marconim, szefie? – zapytał nagle młody policjant, upychając w teczkę plik kartek.

– Co z nim? – odparł Valli ponuro. Domyślał się, do czego Stefano zmierzał.

– Ta sprawa jest głupia.

– Powiedz mi coś, czego nie wiem. Ale pytałeś o Marconiego.

– Tak. – Stefano utkwiał w komisarzu uważne spojrzenie. – Wszystko wskazuje na to, że on ich pozabijał. No, może prawie wszystko. Ale haków na niego mamy mnóstwo, choć i tak moim zdaniem dobrzy prawnicy go z tego wyciągną. Nikt go za rękę nie złapał, nikt nic nie widział, dowody są, delikatnie mówiąc, średnie. Ale jeśli się uprzeć – jest winny.

– Mhm. I?

– I tak sobie myślę... Że coś nie wierzę.

– W co? – spytał głupio Valli.

– Że to on. Marconi ich nie pozabijał.

Valli odstawił kubek i wetknął sobie pod ramię swoje czyste ubranie. A później powlókł się pod prysznic.

Zapach.

Teraz był inny. Środki czystości, jakaś chemiczna cytryna, zamiast stęchlizny i brudu. Chemiczna.

Cytryna. A skoro tak, to znaczyło, że Stefania nie była teraz w Wenecji. W Wenecji bowiem chemiczne środki czystości były zabronione. Wszystko po to, by nie skazić i tak już brudnej wody. By przedłużyć żywot miasta, które i tak musiało umrzeć. Musiało? Nie, nie musiało. Stefania dokładnie tak samo myślała o sobie – że na pewno umrze, to nieuniknione, nie ma najmniejszych szans. A jednak przeżyła. Nie znajdowała się w niebie, piekle czy gdzie tam jeszcze. W niebie nie pachnie przecież chemiczną cytryną.

Spróbowała otworzyć oczy. Miała spuchnięte, ciężkie powieki. Niewiele zobaczyła, zanim na powrót opadły. Biel. Dużo bieli. Ruch. Ruch też był biały. Czyjaś sylwetka. Czyja? Czy znowu groziło jej niebezpieczeństwo? Musiała uciekać? Tylko jak? Nie była w stanie się ruszyć. Teraz zaczynała też coś czuć. Bolało ją wszystko. Plecy, kolano, bark, ręka. Głowa. Ale najgorsze były płuca. Każdy oddech bolał. Stefania zanosła się kaszlem.

Co jeszcze czuła?

Strach.

Zapach. Ale nie ten tutaj, tylko tamten, wcześniejszy.

Strach i zapach stanowiły teraz jedno. Obezwładniały i ogłupiały. To dlatego, że zapach się nie zgadzał. Stefania znowu zanosła się kaszlem. Oddech bolał coraz bardziej.

– *Signorina Massimo? Signorina?!*

Głos brzmiał obco.

Widok fasady antykwariatu na Calle Luganegher nie działał na nią tak, jak jeszcze niedawno. Teraz stawał się obojętny, chwilami nawet przykry. Anna wolałaby wrócić na Corte Case Nuove, do Antonia. Do domu. Czy to nie było głupie, że tak się do niego przywiązała? Znali się niewiele ponad tydzień. Czy przez ten czas można tak naprawdę poznać drugą osobę? Kiedyś powiedziałyby, że nie. Ale teraz nie była już pewna. Wiedziała tylko, że Antonio wiele dla niej znaczył. Nie przeżywała euforii, jak nastolatka. To była raczej przerażająca pewność, że do weneckiego komisarza czuła coś, czego nigdy nie czuła do Vidara i Ingvara. Nie miała pojęcia, jak w ogóle do tego doszło i dlaczego. Ani też skąd znalazła w sobie siłę, by ponownie komuś zaufać. Nie wiedziała też zupełnie, co powinna dalej robić. Jeśliby Antonio odszedł z pracy...

– Anka?

Brzmienie głosu Leona wydało jej się przykre. Spojrzała na niego nieprzytomnie. No tak, oczywiście, dotarli do antykwariatu. Stali teraz przed drzwiami, w oknie poruszyła się firanka. Lucrezia. Lucrezia i Leon. Anna cofnęła się o krok. Nie wiedziała, dlaczego to zrobiła. Nagle poczuła coś... dziwnego i nieokreślonego. Jakiś... niepokój? Być może, ale nie miała pewności. Czego miałyby się bać? Przecież znała to miejsce.

Lucrezia. Leon. Coś, co... ktoś powiedział. Ale...

– Anka? Dobrze się czujesz? Jesteś blada jak ściana. Niedobrze ci? Mówiłem, że ten ser nie wyglądał na świeży, ale ty się uparłaś!

Ser? Ach tak, jedli z Leonem śniadanie w Dorsoduro. Przed chwilą. Anna powinna się skupić na rozmowie z nim, nie traktować Leona jak zbędnego dodatku do tego poranka. Do jej życia. Nie zasłużył na to. Przyjechał tutaj specjalnie dla niej, poświęcił się. Zasłużył na to, by w końcu zostać docenionym.

Anna miała nadzieję, że Lucrezia nie obejdzie się z nim źle. Lucrezia...

Annie zrobiło się zimno. Coś, co ktoś powiedział... Tylko kiedy?

– Anka? Weź się ogarnij, bo zaraz wezwę karetkę – Leon panikował coraz bardziej.

– Karetki nie ma sensu, znowu jakiś lekarz dotrze tu wpływ.

– Co ty gadasz?

– Nieważne.

Przypomniała sobie tamten poranek. *Acqua alta*, kot na gzymsie i lekarz w bokserkach. Wielkie kalosze jego koleżanki. Lucrezia z kubkiem kawy. Nie, niemożliwe... Co za głupota! Anna roześmiała się głośno. Leon stanął jak wryty.

– Ty naprawdę nie jesteś normalna! Myślałem, że ci trochę przeszło, ale chyba nie. Poza tym telefon ci dzwoni.

Anna, wciąż chichocząc, wydobyla z torby komórkę. Rzeczywiście dzwoniła. Na wyświetlaczu pojawił się numer Ingvara. Świetnie! Jeszcze jego brakowało. Zaraz pewnie będzie się czepiał, dopytywał, „niepokoił” i udzielał dobrych rad podyktowanych troską. Anna poczuła, jak skacze jej ciśnienie. Zaraz jednak przypomniała sobie, co w październiku, również zresztą w Wenecji, powiedział Leon. O tym, jak niewielu pozostało jej przyjaciół. Teraz było ich jeszcze mniej.

– Anka, dawaj ten telefon!

Leon wyrwał jej komórkę i odebrał. Przez chwilę słuchała, jak kłamał po angielsku, że Anna kazała mu odebrać, bo sama właśnie myje ręce, którymi nie tak dawno przebierała w rybach na targu Rialto... Uniosła brwi i narysowała w powietrzu znak zapytania. Po co się tak wysilał z tymi rybami? Nie wystarczyło powiedzieć, że poszła do toalety?

– O, wróciła. Już ją daję – zaszczebiotał Leon i przekazał Annie telefon.

– Ryby? Naprawdę? – zapytała jeszcze po polsku.

Leon pokazał jej język i zniknął za drzwiami antykwariatu. Anna przyłożyła telefon do ucha.

– Cześć – przywitała się i miała nadzieję, że w jej głosie nie było słyhać niechęci.

– Cześć, Ana. Mam dla ciebie wieści. Przepraszam, że to akurat ja, ale poprosili mnie i...

Znieruchomiała. Ingvar miał wieści. Poprosili go. Przepraszal, że akurat on. A zatem wieści musiały dotyczyć wiadomo czego. Ile to już czasu minęło? Trzy miesiące? Cztery? No tak. Najwyższa pora. Anna nie miała pojęcia, jakim cudem udało jej się o tym wszystkim zapomnieć. Na krótko, ale jednak. Przez chwilę dała się opanować złudnemu przekonaniu, że jest wolna od wspomnień.

– Mów – poprosiła niemal szeptem.

– Lidia, twoja siostra, dostała dwadzieścia pięć lat. W Malmö.

– Dwadzieścia pięć?!

Zakręciło jej się w głowie. Oparła się plecami o kamienną ścianę. Przez materiał płaszcza czuła, jak jest wilgotna i zimna. Trzasnęły drzwi. Przed Anną zjawił się Leon. Czy on zawsze już tak będzie? Podawać jej rękę, kiedy zacznie spadać? A ona później podziękuje i pójdzie swoją drogą? Anna chciała odepchnąć Leona, ale nie dał się. Trzymał ją mocno za ramiona. Po policzkach Anny spływały łzy. Nie sądziła, że tyle ich jeszcze zostało. Dwadzieścia pięć lat. A czego się spodziewała? Przecież to wyrok za morderstwo z premedytacją. Nie dziwota, że na nic zdały się głupie tłumaczenia o współudziale, podżeganiu i strachu. Została im sama Lidka, więc ją ukarali. Nie żył Bruno i Narcyz, nie żyła Sofia. Nie było na kogo zrzucić winy.

Wciąż przyciskała telefon do ucha, kiedy Ingvar tłumaczył jej, że prokuratorowi chyba spodobał się pomysł zahaczenia o „kwestię żydowską”. Malmö nazywane było już od lat miastem nieprzyjaznym Żydom, a teraz nadarzyła się wspaniała okazja do tego, by przykładowo ukarać kogoś, kto przyczynił się do śmierci żydowskiego obywatela Szwecji. Z pobliskiego Ystad. Męża policjantki. To nic, że przecież

nie Lidka go otruła. Prawdziwy winny nie żył, a ona z pewnością „musiała o wszystkim wiedzieć”. Nie mogła być tak całkiem, do końca głupia. No przecież, że nie... Poza tym Sofię Stiatesi otruła sama i nikt jej w tym nie pomógł. Była zdolna do popełnienia najokrutniejszej zbrodni.

Dwadzieścia pięć lat. Ostatecznie, to nie dożywocie. Ale... zależy dla kogo.

Anna wreszcie przestała przyciskać telefon do ucha. Oddała go Leonowi, który coś jeszcze mówił do Ingvara. Później dała się zaprowadzić do antykwariatu i pozwoliła, by Lucrezia wlała w nią gorącą herbatę, łyżeczka po łyżeczce. Mówili coś do niej. Leon, że powinna postarać się uspokoić. Lucrezia, że powinna polecieć do Szwecji, by zobaczyć się z siostrą. To by im obu dobrze zrobiło. Może Lidka była już gotowa na sensowną rozmowę? Mogłyby pomówić ze sobą na chłodno, kiedy emocje nieco opadły. Anna spojrzała na nią z niedowierzaniem. Opadły? Czyje emocje?! Jeszcze później Lucrezia i Leon chyba się o to sprzeczali. On uważał, że Anna nie powinna polecieć do Szwecji, a Lucrezia – że owszem. I to szybko. Bo przecież z jej ojcem też nie było najlepiej. Załamał się. Tak przecież powiedział „ten Szwed” przez telefon. Lucrezia trajkotała, Leon stawiał jej opór w pojedynczych frazach, a Anna chciała stąd zniknąć. Wymamrotała, że musi do toalety. Wyszła z salonu, po czym zerwała z wieszaka kurtkę i wypadła na zewnątrz. Biegła jak szalona, nie zważając na wodę, która wciąż stała w niektórych uliczkach.

Wreszcie dotarła nad kanał San Lorenzo. Chwyciła się za głowę. Nie wzięła telefonu! Nie odebrała go z rąk Leona! Co teraz? Anna nie chciała pokazywać się na komendzie w takim stanie. Jak zatem... Uniosła głowę i spojrzała w okno na pierwszym piętrze. Ktoś przy nim stał, plecami oparty o szybę. Stefano... Młody policjant poruszył się, odkleił plecy od szyby i obrócił głowę. Anna zamachała. Stefano zastygł w bezruchu. Jego wargi się poruszyły. Po chwili obok młodego pojawił się Antonio. Anna nie zdążyła policzyć do pięciu i już stał przed nią. W samej bluzie, z lekkim zarostem. Przerażony.

– Anno, co się stało? Co, do cholery?! Mów!

Objął ją mocno. Czowała, jak drżał. Znowu zaczęła płakać. W urywanych zdaniach wytłumaczyła mu, co się stało. Mięśnie Antonia sztywniały, ale obejmował ją coraz mocniej, tak, że ledwie mogła oddychać. I choć on był coraz bardziej zdenerwowany, Annę stopniowo ogarniał spokój. Nie wiedziała, dlaczego Lucrezia z taką determinacją namawiała ją na ten wyjazd do Szwecji, ale miała rację. Powinna tam polecieć. Porozmawiać z adwokatami Lidki, których sama wynajęła. Zobaczyć się z ojcem, który chodził na wszystkie rozprawy. I jeszcze... podjąć decyzję w sprawie warsztatów meblarskich Vidara. Wiedziała już, co powinna zrobić.

– Muszę zarezerwować bilety – powiedziała, a Antonio odsunął ją od siebie na moment.

– Nie jedź. Mam błagać? Będę, jeśli to cię przekona.

– Wróć.

Rozdział 30

Sprawy przyjęły bardzo korzystny obrót. Anny nie było. Jeszcze wprawdzie nie wyjechała z Wenecji, ale zabrała część swoich rzeczy. Nie miała tego wiele. Teraz siedziała u swojego komisarza i z pewnością czule się żegnali. Ona przekonywała jego, że wróci, choć przecież żadne z nich w to nie wierzyło. Bo kiedy już Anna znajdzie się w Szwecji, w swoim cholernym Ystad czy jak tam zwała się ta pipidówka nad Bałtykiem, na pewno wciągnie się w dawne życie. Sprawy, które zostawiła. Przyjaciół. Byłego kochanka. Wiadomo, stara miłość nie rdzewieje. Leon z pewnością coś o tym wiedział. Wciąż wzdychał do niej, choć znowu zachowała się jak wredna jędzka. Tak po prostu poszła żegnać się z tamtym. Rano wsiądzie w samolot na lotnisku Marco Polo i tyle. Zniknie. A Leon co? Co miał z tego, że tu przyjechał? Dlaczego nie chciał lecieć z Anną? Przecież przeżywał ten telefon od Szweda i biegał wokół niej jak kot z pęcherzem. Uważał, że nie powinna wyjeżdżać. Dlaczego tu został?

Lucrezia nic nie rozumiała z tej sytuacji, ale cieszyła się z niespodziewanej szansy na pozbycie się Anny. Być może Leon zdecydował się zostać w Wenecji, bo po prostu... chciał? Chciał zostać z Lucrezią, zaangażował się naprawdę, odpuścił sobie Annę? Marzyła... o tym.

Zwłaszcza że powinna się skupić. Na dwóch sprawach. Po pierwsze potrzebowała pieniędzy i musiała je zdobyć. Po drugie – ktoś inny najwidoczniej miał bardzo podobny plan. I wchodził na jej teren. Nie spodziewała się tego. Skąd się wziął? Kim był? Stary dziad, ale elegancki jak przedwojenny amant. Co miał wspólnego ze sprawą?

I czy mógł Lucrezii zaszkodzić?

Wyszedł za kaucją. Zgodzili się. Cud. Luigi Marconi wybrał mały podrzędny hotel w dzielnicy Cannaregio. Dawno tu nie był. Zabawne. Jak gdyby Wenecja miała powierzchnię Nowego Jorku. A jednak Luigi nie lubił Cannaregio i marzył o tym, by zapomnieć o swoim rodzinnym domu. Starej kamieniczce, na którą składały się trzy kłitki, kuchnia i wydzielona z niej ciemna łazienka, gdzie ledwo mieściła się kabina prysznicowa. Chętnie również zapominałby o ojcu-ślusarzu, wiecznie wgapionym w telewizor. Luigi nie miał z nim żadnego kontaktu. Co innego z matką. Do niej był bardzo podobny. Tak samo ambitny i zdeterminowany. Tyle tylko, że ona wybrała gorzej, działała na niebezpiecznym obszarze i w dodatku na własną rękę. Nic jej nie chroniło. Dlaczego tak ryzykowała? Co miała na myśli wtedy, kiedy mówiła, że ukryła papiery w willi Foscarich?

Co miała, kurwa, na myśli?!

Gdzie były te papiery? Czy przez nie zginęła? Czy one istniały? Czy naprawdę stracił wszystkie te lata?! Papiery, klejnot, matka...

Luigi wyciągnął się na wąskim łóżku. Usiłował jakoś poukładać to wszystko w głowie. Informacje,

które usłyszał dwadzieścia pięć lat temu. Prawdę, którą odgadł. Fakty, które poznał. Trzy nazwiska. Foscari, Ronsard (Bonneville), *questore* Antonioni (Cesarz). I jeszcze... Kto? Czy on mógł go okłamać? Dlaczego Luigi tak łatwo uwierzył w opowieść, którą usłyszał ćwierć wieku temu? Dlaczego przyjął, że to wszystko rozegrało się właśnie tak, a nie inaczej? Tak, jak mówił tamten?

Może plan zemsty Luigiego powinien był objąć jeszcze jedną osobę? Wszystko się zgadzało. Elementy układanki same wskakiwały na właściwie miejsca. Ronsard, Livia, Capelli, nawet Stefania. A co, jeśli Luigi już zdążył się zemścić? Jeśli to już się dokonało?

I teraz tamten brał odwet? Czy ich gra będzie trwała nadal, póki jeden drugiego nie wykończy? Na pewno tak będzie. Luigi nie miał już siły i ochoty do walki, ale tamten dopiero się rozkręcał. Zabił Isabellę, a Marconiemu przyjdzie za to zapłacić. Plan doskonały.

Powinien celebrować tę chwilę. Ten moment w obskurnym hotelu, ostatnie godziny wolności. Wypuścili go za kaucją, ale jak długo jeszcze będzie tak uciekał? Miał już dość ciągłego wymykania się im. Był zmęczony. Chciał, by wreszcie przeszli do rzeczy, by mógł zacząć się bronić. Czekanie go wykańczało.

Bronić. Jak?

I gdzie były te papiery? Zabrali je? Zniszczyli? Wszystko, co zrobiła matka, poszło na marne? I nic po niej nie pozostało oprócz milczenia?

Antonio miał w palcach wełnianą czapkę. Anna kupiła mu ją podczas wczorajszego spaceru. W ogóle nie rozmawiali o sprawie. Włóczyli się po mieście, jedli, pili, siedzieli na Riva degli Schiavoni i przyglądali się przechodniom w karnawałowych strojach. Maskarada dobiegała powoli końca, ale Wenecja i tak zamieniła się o zmierzchu w kolorowy taneczny parkiet. Anna podarowała mu tę nieszczęsną czapkę, a on kupił jej rękawiczki, bo ciągle miała zimne palce.

Starał się być dla Anny oparciem, bo przecież to ona znalazła się w trudnej sytuacji. Miał nawet zamiar pojechać z nią do Szwecji. Myślał o tym całkiem serio. Był gotów zwolnić się z pracy, ale udało jej się go powstrzymać. Obiektywnie rzecz ujmując, miała rację. Powinien zamknąć sprawę. Albo jeśli nie zamknąć, to przynajmniej zrobić coś, by nie pójść na „urlop” z poczuciem porażki. O ile było to w ogóle możliwe.

Teraz patrzył na nią i dziwił się. Była niemal spokojna. Błada, z czerwonymi od płaczu oczami, ale opanowana. Uśmiechała się nawet, obejmowała go, całowała. Miał ochotę krzyknąć. Wydrzeć się na nią, żeby nie wyjeżdżała albo żeby również cierpiała, jak on. Ale Anna przygotowała bilet i skierowała się w stronę bramek. Lotnisko Marco Polo wydało się teraz Vallemu najobrzydliwszym miejscem na świecie.

– Zatrzymuję szalik – oznajmiła. – W Szwecji jest zimniej niż tutaj.

– Anno, proszę...

– Wróć – powiedziała to, co z uporem powtarzała przez cały wczorajszy dzień.

A później poszła. Antonio obserwował ją, dopóki całkiem nie zniknęła mu z oczu.

Część V

Cały świat udaje się do Wenecji, aby zobaczyć swawole i szaleństwa karnawału.

John Evelyn

Nie miałem pojęcia, jakie natężenie może osiągnąć chciwość, tchórzostwo, zabobon, ciemnota, bezduszna żądza i wszystkie niewyraźne brutalności ludzkiej natury, dopóki nie przeżyłem kilku dni pośród weneccjan.

Percy Bysshe Shelley

Tak jak z lustrami, Wenecji nie sposób ująć w dłoń, lecz miasto wciąga nas w tajemnicę swojej niepochwytalności. Jak dzień długi wypełniają nas obrazy, ale żadnego nie potrafimy w sobie zatrzymać. Wenecja jest kwestią wiary.

Rainer Maria Rilke

11 czerwca 1990

Wenecja

Malena Bartoli o wszystkim już wiedziała. Przekazała najważniejsze informacje karabinierom. Nie byli zachwyceni metodami jej pracy, mówili, że przesadzała i ryzykowała. Ale podała nazwiska, ważne. Właściwie odwaliała całą robotę za nich, miała wrażenie, że niespecjalnie przejmowali się tą sprawą. Były inne, ważniejsze. A tutaj przynajmniej nie ginęli ludzie. Chodziło tylko o kamyki. Malena rozpracowała szefów i odkryła ich kontakty na terenie północnych Włoch. Była pewna, że na południu też jakieś mieli, w końcu italska przestępczość zorganizowana gęstniała wraz ze zbliżaniem się do noska i obcasa wielkiego buta. Ale kazali jej przestać. Tyle wystarczyło. Warsztaty w Mestre, kanał przerzutowy na wyspie Foscarich, siatka na północy.

Karabinierzy kręcili nosami. Bo przecież Antonioni – Cesarz. Komendant Polizia di Stato. Pracował teraz nad sprawą, w którą zamieszani byli oficerowie z samego Korpusu Karabinierów, i nie należało go denerwować. Bo przecież Foscari. Co z tego, że zubożały? Niebezpieczna sytuacja. Malena nie rozumiała. Jakie to miało znaczenie, kto? Dla niej ważna była sama działalność. To, co robili. Miała w nosie, czy był to jakiś policjant, zubożały arystokrata czy sam papież. Ale nie każdy podzielał jej zdanie. Dlatego przygotowała te papiery. Raport. I ukryła go w willi Foscarich. Znalazła znakomite miejsce. Nikt jej nie przeszkodził.

Powinna zniknąć. Nie chciała, ale przekonywali ją, że pozostawanie w Wenecji byłoby zbyt ryzykowne. Właściwie mieli rację, wiedziała o tym. Żałowała Serenissimy, ale pomyślała, że może i dobrze się stało. Miała szansę na nowe życie, w którym było miejsce na poczucie spełnienia. Zrealizowała swoje największe marzenie. Zrobiła to dla siebie, nie dla sławy. Teraz mogła zająć się synem. Luigi chciał zostać jubilerem. Potrzebował pomocy, czegoś na start. Wpłaciła już na jego konto całą sumę, którą dostała od karabinierów. Zdziwi się. Ucieszy? Na pewno. Zwłaszcza kiedy mu powie o przeprowadzce do Rzymu. Wielkie miasto. Mnóstwo możliwości.

Pozostała tylko jedna rzecz do zrobienia. Tamta kobieta... Saskia Verbeek. Miała takie same oczy jak Malena. Nie mogła kłamać. Zresztą – jej opowieść pokrywała się z historią Federica Capellego. Hawr, frachtowiec *Niobe*, wybuch, dziewczynka i skradzione kamyki. Wszystko się zgadzało. Ale starszy Capelli nigdy nie powiedział, co stało się z kamykami, a ona nie pytała. Teraz jednak pojawiła się Saskia Verbeek i Malena zaczęła myśleć. Chciała jej pomóc. Nie chodziło wcale o pieniądze, które zaoferowała tamta. Choć owszem – to również był mocny argument. Malena mogła dołożyć kolejną cegiełkę do przyszłej kariery syna. Ale... kryło się tutaj coś więcej. Malena uważała, że kamyki powinny wrócić do Saskii. Również przez wzgląd na Capellego, który do końca życia nie wybaczył sobie tego, co zrobił. Czego nie zrobił. Nie uratował małej Chany Sullam. Małej Saskii.

Domyśliła się, gdzie są. Wreszcie. Capelli przecież wszystko jej powiedział.

„Obraz”.

Widziała go na Trapezio d'Oro. Musiała tam dotrzeć. Saskia chciała płynąć z nią, ale Malena uznała, że szybciej pójdzie, jeśli zrobi to sama. Była spokojna. Czuła dziwną lekkość. Myślała o Rzymie i nowym życiu. O Luigim i jego przyszłości.

O północy wsiadła do łodzi. Nie zdążyła uruchomić silnika. Pierwszy na pokład wskoczył Cesarz, później Boneville. A jeszcze później pojawili się tamci dwaj. Foscari patrzył na Malenę z politowaniem. Powiedzieli, że mają z nią do „pogadania”. Kiedy dotarli do wyspy Foscarich, myślała, że im również chodziło o obraz, że jakoś się dowiedzieli. Śledzili ją i Saskię, choć przecież zachowały ostrożność.

Źle myślała. Nie wiedzieli, że zamierzała właśnie tutaj przy płynąć. Tak wyszło, przypadkiem. Nie zająknęli się słowem na temat obrazu i Saskii Verbeek. Mieli inny cel.

Zamierzali ją spalić. Nawet on. Chłopak z sąsiedztwa.

2015, Wenecja

Minęło kilka dni. Policja zajmowała się Marconim i zastanawiała się, jak wszystko poskładać do kupy, by wyglądało sensownie. Skupiali się tylko na swoim głównym podejrzanym i chyba przestali drążyć. Szwedzka policjantka wyjechała, a komisarz całymi dniami siedział na komendzie. Pewnie był załamany i szukał zapomnienia w pracy. Byle tylko nie działał zbyt dokładnie. Wciąż nie można mu było zaufać. Ale od kilku dni panował spokój, a to napawało optymizmem. Prowokowało do działania.

Po pierwsze: Livia Foscari. Teraz już nie miała wyjścia. Była sama, otoczona aurą skandalu. Mąż-morderca? Kiepsko to wyglądało. Musiała wreszcie zrozumieć, że pozostała jej tylko jedna droga.

Po drugie: pieniądze. Livia nie mogła zostać z niczym. Trzeba znaleźć jakiś sposób, by trafiła do niej połowa majątku Marconiego. To na pewno było do zrobienia.

A później...

Rozdział 31

Stary Ronsard spojrział w lustro. Ogolił się, by nie przypominać już dłużej Zygmunta Freuda. Zgolił również swoje siwe, gęste włosy. Teraz był łysym, pomarszczonym dziadkiem. Każda zmarszczka i bruzda stały się bardziej widoczne. Ohyda. Ronsard skrzywił się z niesmakiem. Wiedział jednak, że nie cofnie czasu i nie stanie się na powrót nonszalanckim złodziejem, który mógł mieć każdą kobietę. Teraz najwyżej cenił pieniądze. Bo przecież nie wnuka, tego bałwana, który na pewno wyrzucał właśnie w duchu dziadkowi oszustwo, zdradę i cholera wie, co jeszcze. Ronsard nie znosił melodramatów. Wiedział, że w życiu nie pomagają sentymenty, tylko logika i spryt. Nigdy niczego mu nie brakowało. Gdyby nie pojawiła się Malena...

Wtedy po raz pierwszy zrezygnował z chłodnej kalkulacji. Przez te oczy. Takie podobne do oczu Saskii/Chany. A Ronsard kochał się w Chanie na zabój, choć była od niego trochę starsza i o wiele bardziej doświadczona. Kochał się w tej Żydówce z Antwerpii, która miała głowę na karku i nocne koszmary. Która znała się na diamentach jak nikt. I która nagle zniknęła. Tak po prostu przestała się odzywać, dzwonić, wydawać polecenia i pytać, swoim zwyczajem, „jak tam sprawy”. To było zaraz po śmierci Maleny Bartoli. Cholera... Nie pomógł jej. Czuł się tak, jak gdyby zawiódł samą Chanę.

Teraz jednak nie było już Maleny i pewnie nie było również Chany. Ronsard po raz kolejny spojrział na swoje odbicie w lustrze. Odwrócił się z niesmakiem, chwycił płaszcz i kapelusz, po czym opuścił mały pokój, który wynajął kilka dni temu. Wyspa Torcello była dobrą kryjówką. Położona w pewnym oddaleniu od Wenecji, mała, odwiedzana przez turystów, ale zamieszkała zaledwie przez garstkę tutejszych. Nikt się nie zastanawiał, dlaczego jakiś staruszek chciałby zatrzymać się na Torcello. Nie on pierwszy. Pewnie z tych, co śladami Hemingwaya...

Ronsard wsiadł na łódź i poprosił, by wysadzono go na Rio de San Zulian.

Musiał odbyć poważną rozmowę. Z pewną osobą, która mogła osłodzić mu ostatnie lata życia. Ale najpierw zamierzał się pokręcić, pospacerować, wypić kawę. Zajrzeć w okna.

Minęło kilka dni. Nadszedł czas, by porozmawiać. Policja zajmowała się swoim sprawami i tym biednym Marconim. Lucrezii przez moment nawet zrobiło się go żal. Ale ostatecznie – jubilera stać było na dobrych prawników, więc niech sobie jakoś radzi. Lucrezia musiała zająć się swoimi sprawami, bo przyszedł kolejny rachunek i kolejny, i jeszcze następny, a dach na strychu przeciekał. W sklepie nie radziła sobie za dobrze, odkąd Anna przestała jej pomagać. Mimo to Lucrezia cieszyła się, że Lindholm wyjechała. Czuła się lekka, niemal radosna. Leon niczego nie podejrzewał i pięknie jadł jej z ręki. Przynosił słodkie pieczywo na śniadanie. Chodzili na spacerunki i dużo rozmawiali. O zdjęciach i o muzyce...

Szkoda byłoby to zepsuć. W Lucrezię wstąpiła nowa nadzieja. Zdobędzie pieniądze, a później zacznie uczciwe życie. Nauczy się czegoś o tych cholernych antykach, choćby miała osiwieć. Może z Leonem pójdzie jej łatwiej?

Czy ona naprawdę tak myślała? Po wszystkim, czego się dopuściła? Dlaczego nie? Przecież byli tacy, którzy robili od niej gorsze rzeczy. Jak tamten człowiek, od którego zamierzała wyciągnąć pieniądze. Co teraz czuł? Ulgę? A może raczej wyrzuty sumienia? Jeśli to drugie, Lucrezia byłaby gotowa mu pozazdrościć. Ona nie czuła żadnych wyrzutów sumienia i nie wiedziała, czy jej umysł jeszcze pracował prawidłowo. A jeśli to już było szaleństwo? Czy rzeczywiście w życiu liczyły się tylko pieniądze?

Co za banał... Lucrezia roześmiała się i sięgnęła po szczotkę. Rozczesała swoje gęste, czarne loki. Postanowiła przejść się nad Rio de San Zulian. Pokręcić się. Wypić kawę. Zajrzeć w okna.

Kiedy znajdował się na Ponte della Libertà, spadł deszcz. Zaklął głośno i uderzył otwartą dłonią o kierownicę. Wciąż nie wymienił zepsutej tylnej wycieraczki, po której teraz smętnie spływała woda. Grube krople tańczyły mu przed nosem, a z radia dobiegał głos Erosa Ramazottiego. Facet śpiewał jakąś piosenkę o pięknych rzeczach. Antonio Valli skrzywił się i zaczął kręcić gałką. Ten Eros wydał mu się zbyt podekscytowany i rozświergotany. Nie widział, że deszcz pada? Nie wiedział, że Anna wyjechała? I co to w ogóle za imię: Eros? No już bez przesady!

Z głośników rozbrzmiało *Highway to Hell* i Antonio poczuł się usatysfakcjonowany. Wcisnął gaz i wkrótce zjechał z tego przekłętego mostu, po którym tak niedawno przemieszczał się razem z Anną. Miał zadanie do wykonania. Ważne. Cholernie ważne. Powinien zrobić to już dawno i być może wtedy uniknąłby wielu kłopotów i nieprzewidzianych sytuacji związanych z wrzucaniem ludzi do studni. Ale przecież ciągle coś mu przerywało. A to drugi trup zaraz po pierwszym, a to Stefania, a to Fabio z przeszłości, jakieś dziwne wyspy i obrazy. Anna, Leon, Lucrezia. Pływanie w wodach laguny. I tak dalej. Trudno było się skupić. Nawet teraz Antonio wciąż czuł się zdekoncentrowany, mimo że genialnie odwalił papierkową robotę i Luigi Marconi naprawdę wyglądał na winnego. Poza tym komisarz podpisał wniosek o urlop i mógłby pójść sobie na grappę, a potem do spa. Nawet jeśli nigdy nie chadzał do spa. Teraz by mógł. Albo na jogę. Wtedy może spokojniej czekałby na Annę. Na jej powrót, na telefon, na cokolwiek.

Rozmawiali dziś i choć Anna przekonywała go, że wszystko jest w porządku, Antonio już to sobie potrafił wyobrazić. Wróciły do niej wspomnienia. Była w domu, swoim prawdziwym, tym, w którym mieszkała razem z mężem. Może jednak zapragnie tam zostać? Zwłaszcza że przecież w Ystad miała przyjaciół. I tego całego Ingvara czy jak mu...

– Cholera! – syknął Antonio i zacisnął palce na kierownicy.

Bezsilność go dobijała. I świadomość wszystkich tych kilometrów rozciągających się między Wenecją a Ystad.

Minął tabliczkę z napisem „Padova”. Zwolnił. Wreszcie dotarł do celu i zatrzymał auto przed budynkiem Casa Famiglia. Nie miał najmniejszej ochoty tam wchodzić. Wiedział też, że w pewnym sensie działał wbrew regułom. Od dziś był przecież na urlopie, ale nie poinformował o tym dyrektorki placówki, kiedy zadzwonił, by poprosić ją o spotkanie. A jednak musiał tu przyjechać. Powinien to

zrobić już dawno – wtedy, kiedy zjawili się w Padwie z Anną i rozmawiali z Vanozzą Vianello. Dlaczego wówczas w ogóle o tym nie pomyślał? Choroba chorobą. I obsesja na punkcie Anny obsesją, ale... Przecież to było ważne!

Antonio wysiadł z auta i nic sobie nie robiąc z ulewy, przespacerował się do wejścia. Dyrektorka domu dziecka wyszła mu na spotkanie.

– Witam, *commissario*! Zrobię kawę, jest pan zziębnięty – zaszczębiotała.

Rzeczywiście? Był zziębnięty?

– Dziękuję. Czy mógłbym przejrzeć najpierw te dokumenty?

– Są już dla pana przygotowane. Kawę może pan pić w międzyczasie. Tylko proszę uważać, żeby nie rozlać.

Dyrektorka uśmiechnęła się szeroko, a Valli zadał sobie w duchu pytanie, czy ona naprawdę głupio gadała, czy tylko mu się wydawało. Pomyślałby nawet, że kobieta próbowała z nim flirtować, ale w tych sprawach nigdy nie był zbyt dobry. A zresztą! Co go ona obchodziła?

– To ma związek z Fabiem Espositem, tak? Czy to już pewne, że on... był w tej studni?

Antonio zatrzymał się na korytarzu. Skąd ona to wiedziała? Przecież jeszcze nie podali tej informacji do prasy. Wszystko było trzymane w tajemnicy. Chyba że ktoś powiadomił placówkę. Czyżby jednak jakiś wścibski pismak? Zawsze musi znaleźć się przynajmniej jeden, który cudem dociera do tajnych informacji. Valli pokiwał głową. Bez sensu było teraz zaprzeczyć. Dyrektorka na chwilę przymknęła oczy. Zaraz jednak opanowała się i wskazała ręką drzwi.

– Zapraszam. Tutaj ma pan teczki, a...

– Teczki? Nie macie wszystkiego w wersji elektronicznej?

– Mamy elektroniczny spis pracowników z ostatnich dziesięciu lat. Reszta jest w wersji papierowej. Jeszcze nie wprowadziliśmy. A poza tym, wie pan, dane są utajnione. Ale ponieważ chodzi o sprawę Fabia i Guida...

Nie zapytała o żadne papiery od prokuratora. Valli odetchnął i usiadł przed komputerem. Nie interesowało go, kto tu pracował dziesięć lat temu. Otworzył odpowiedni folder i zupełnie już nie słuchał, co za jego plecami mówiła dyrektorka domu dziecka. Nie poinformował jej również, że być może ta „sprawa” nie dotyczyła tylko Fabia i Guida, ale również Daria Costy. Czy ktoś tu jeszcze o nim pamiętał?

Dyrektorka postawiła na biurku filiżankę espresso. W tym samym momencie Valli podskoczył. Zobaczył nazwisko. To nazwisko. Spodziewał się go. Zaklął głośno, czym wprawił dyrektorkę w nieme oburzenie.

– Proszę mi wydrukować tę stronę! – rzucił. – I jeszcze umowę o pracę z tą osobą. Interesuje mnie wszystko, co ma związek z nią. Rozumie pani?

– Aaaa... Nie trzeba do tego jakiegoś nakazu czy coś?

A jednak... Valli zaryzykował. Spojrzał na nią tak, że dyrektorka nie zadała już żadnego pytania. Posłusznie wydrukowała dokumenty i podała komisarzowi plik ciepłych jeszcze kartek. Valli wsunął je pod kurtkę, duszkiem wychylił espresso, pożegnał się szybko i kwadrans później jechał już jedną z padewskich ulic. Nie mógł przestać kląć. Był idiotą.

Powinien to zrobić już dawno!

Przypomniał sobie coś jeszcze. Coś, o czym jakimś cudem zapomniał. Dlaczego? Przecież ten asystent-księgowy, ten nie-wiadomo-kto, on...

Chwycił telefon i wybrał numer Stefana.

– Jesteś jeszcze w Mestre, u Stefanii Massimo? Super. Tylko delikatnie z nią. Wracam z Padwy, podjadę pod szpital. Czekać na mnie!

Rozłączył się i policzył do dziesięciu. Jechał za szybko. Jeszcze tylko mandatu mu brakowało.

Ból w okolicy płuc był nadal najgorszy. Stefania po raz pierwszy w życiu myślała o tym, jak oddycha. I upominała się w duchu, że trzeba powoli, ostrożnie. Kręciło jej się od tego w głowie. Ale ogólnie czuła się lepiej i myślała już w sposób w miarę uporządkowany. Wiedziała na przykład, po co przyszedł policjant. Jej imiennik. Stefano. Miły.

Ale zadawał pytania, na które nie znała odpowiedzi. A raczej – znała, tylko nie potrafiła ich uzasadnić. Bo niby jak? Stefania długo szukała właściwych słów, by ubrać w nie swoje wątpliwości, ale policjant zaczął kręcić się na krześle i zerkać na zegarek. Rzucił jakieś beznadziejne: „może nie powinienem pani jeszcze niepokoić”. Pewnie. Miał ją za wariatkę, która przeżyła traumę i nigdy już nie będzie w pełni normalna. A przecież była. Miała rację.

Stefania wsparła się na łokciu i dźwignęła do pozycji półleżącej. Policjant podniósł się z krzesła i spojrzał na nią niepewnie. Stał teraz nad Stefanią jak wyrzut sumienia. Wzięła głęboki wdech. Powoli, bo przecież oddychanie bolało. I zaczęła jeszcze raz mówić o zapachu. Starła się, by jej opowieść brzmiała sensownie, ale i tak mina temu chłopakowi zrzędała. Zirytowała się. Palce zdrowej ręki, tej, która nie leżała obok w gipsie, jak nieprzynależna do jej ciała kłoda, zacisnęła na rękawie Stefana.

– Ogłuszył mnie. Później, pewnie już w łodzi, zarzucił mi worek na głowę, na wypadek, gdybym ocknęła się za szybko. Nadążasz? – wycedziła.

Policjant wycharczał coś, co brzmiało jak potwierdzenie.

– Miał na twarzy maskę *morette*, więc nie widziałam, kto to, ale...

– Wiem! Ale pachniał. Już pani mówiła.

– Tylko że...

– Pachniał jak Marconi, więc...

– Gównno, a nie „więc” – krzyknęła i zaniósła się kaszlem. Płuca miała chore czy jakieś inne oskrzela. Mówili, żeby się nie wydierała. Ale on ją denerwował. Niczego nie zrozumiał. – To jest właśnie kluczowe, idioto! Jak! JAK!

– Jak?

– Tak właśnie. Pachniał jak Marconi. Używał tych samych perfum. Ale to nie był on!

– Dlatego, że...?

– Dlatego, że inny zapach się nie zgadzał. Teraz już nie wiem dokładnie, co to było, ale chyba płyn do płukania tkanin. Może proszek do prania. Po prostu... perfumy Marconiego mieszały się z innym zapachem. Facet w *morecie* na pewno w czym innym prał ubrania. W jego ogólnym zapachu, no... coś się nie zgadzało. Jakaś nuta była fałszywa. Nie pasowała do Marconiego.

– Fałszywa nuta?

Stefano na powrót opadł na krzesło. Widziała jego rezygnację i zwątpienie. Rzeczywiście – bez sensu to brzmiało. Miała powtórzyć tę opowieść w sądzie? O zapachu, który się nie zgadzał? O cholernym proszku do prania? Płynie do płukania tkanin? Powiedzą, że popieprzyło jej się w głowie. Dołączą do tego zeznania o nożyczkach i rozmowie z Anną Lindholm. Komu innemu Stefania mogła zaszkodzić, jeśli nie Marconiemu? Porwał ją, chciał uciszyć. No i naprawdę – mógł zmienić proszek do prania... To

właśnie powiedzą. Miała forsować historię o zapachu czy siedzieć cicho?
Dlaczego ten chłopak nic nie rozumiał?

Rozdział 32

Bałtyk był inny niż Adriatyk. Zimniejszy i ciemniejszy. Nad wzburzonymi wodami zwieszały się ciężkie chmury i Anna miała wrażenie, że za chwilę spadnie śnieg. Nowa dostawa. Poprzednia zdążyła już niemal zupełnie stopnieć. Zima w Szwecji nie odpuszczała i choć nie było tutaj przejmującej weneckiej wilgoci, Anna musiała zamienić swój płaszcz na puchową kurtkę. Szła teraz brzegiem morza, wzdłuż plaży, którą niegdyś dobrze знаła. Po drugiej stronie wody była Polska, a za wydrami łąka i jej dom. W domu Lempi, kawa i fińska owsianka, której Anna dawno już nie jadła. Za domem las, za lasem Ystad, za Ystad Malmö. W Malmö więzienie i Lidka. Siostra nie chciała się z nią widzieć. Nie zgodziła się nawet na rozmowę telefoniczną. Uznała, że to, co najważniejsze, przekazały już sobie w Helu, a cała reszta stanowiła tylko grę obliczoną na konkretny efekt. Dostała wyrok i nie zamierzała bawić się w apelacje. Nie pozostało jej nic, o co mogłaby walczyć. A za kratkami przynajmniej wreszcie przestała się bać. Tak powiedziała Ingvarowi. Z nim zgodziła się zobaczyć. Ingvar był obcy, neutralny, jego obecność nie budziła emocji. Lidka poprosiła, by Anna „dała już spokój” z prawnikami i postarała się jakoś ułożyć sobie życie po tym wszystkim, co zaszło. Więcej nic nie powiedziała.

Reszta jest milczeniem, jak u Szekspira.

Może Lidka miała rację? Tylko jak to zrobić, żeby tak zwyczajnie... „dać spokój”? Ojciec również nie wiedział. Anna odwiedziła go w Sztokholmie i miała wrażenie, że wyglądał odrobinę lepiej. Rozpacz zamieniła się w rezygnację. Cierpiał nadal, to nie ulegało wątpliwości. Wciąż powtarzał swoją ulubioną frazę, że „kiedy twoje dziecko zrobi coś złego, zawsze masz wrażenie, że to twoja wina”. Ale starał się, wrócił do pracy, jadał z Dagmar kolacje i chodzili do kina. Przynajmniej mieli siebie. Anna po raz pierwszy w życiu poczuła do Dagmar ogromną wdzięczność za to tylko, że była. A kiedy wieczorem wybrały się we dwie na spacer po Sztokholmie, zebrała się na odwagę i opowiedziała jej o wszystkim. O morderstwach w Wenecji, o Antoniu Vallim i swojej decyzji co do warsztatów Vidara. Nie wiedziała, jak powinna to wszystko wytłumaczyć. Jak powiedzieć, że Valli był dla niej... nagrodą za dokonanie wyboru. Że pojawił się znikąd dokładnie wtedy, kiedy coś w jej głowie zaczęło się klarować, ale wciąż robiła krok do przodu, by zaraz później cofnąć się o dwa. Antonio Valli rozjaśnił Annie w głowie.

– Dagmar, pomożesz mi? – zapytała wreszcie. – Jesteś w końcu menedżerem...

– W firmie kosmetycznej – dokończyła płynnie Dagmar i uśmiechnęła się. – Nie wiem nic o tych waszych meblach.

– Tak, ale o transakcjach i w ogóle... Wiesz więcej ode mnie.

– Przecież masz doradców.

– Ale chcę, żebyś była ze mną. Zgadzasz się?

Dagmar kiwnęła głową. Przez kolejnych kilka dni załatwiały sprawy w Sztokholmie, a później w Ystad. Anna nie spodziewała się, że to wszystko pójdzie tak szybko. Cieszyła się. Powolny proces „dogadywania się” i podpisywania umów mógłby obudzić w niej zwątpienie. Choć przecież uważała, że postąpiła właściwie. Pozostała tylko kwestia Lempi... Anna poczyniła względem niej plany, ale nie wiedziała, czy przypadną Fince do gustu. Lempi była wprawdzie cierpliwa i wobec nienormalnych zachowań szefowej przyjmowała postawę iście stoicką, ale na pewno gdzieś ta tolerancja miała swoje granice. Pozostało tylko jedno wyjście. Dać jej trochę czasu.

Anna zatrzymała się, schyliła i nabrała na dłoń odrobinę śniegowo-piaskowej brei. Bałtyk huczał w tle, a nad jej głową śpiewały mewy. Kochała to miejsce. Należała do niego. A jednak... coś się zmieniło. Nie w otoczeniu, nie w zimowym powietrzu przesiąkniętym szarością, i tych ciemnych wodach, które – paradoksalnie – wydawały jej się jednocześnie oswojone i nieokiełznane. W niej zaszła zmiana. Nie musiała sobie tego już dłużej powtarzać.

Zza ciężkich chmur na chwilę wyjrzało słońce. Na piaskowo-śniegową breję padł cień. Anna wyprostowała się i otrzepała dłonie. Powinna z nim porozmawiać, a tymczasem przez całą drogę milczała. Ile tak szli? Pół godziny, godzinę? Trzy kilometry, sześć? Ingvar również okazywał jej ciepłość. Czemu innego się spodziewała. Myślała, że będzie się wściekał i udzielał „dobrych rad”, przekonywał, że się martwi i takie tam. Jak to on. Dobry, kochany Ingvar. Anna wiedziała, że nigdy nie stanie się jej zupełnie obojętny.

Odwróciła się. Podeszła do Ingvara i objęła go w pasie. Był cienko ubrany, jak zawsze. Antonio również biegał po mrozie w samej bluzie, ale później to odchorowywał, tymczasem Ingvar miał siłę i zdrowie nie z tego świata. Otoczył ją ramionami.

– Dziękuję ci – powiedziała cicho. – Za to, co dla mnie zrobiłeś. Z Lidką, z prawnikami, z ojcem. Jak gdybyś był...

– Członkiem rodziny?

Odsunęła się od niego. Ingvar uśmiechał się gorzko.

– Przepraszam. Znowu zrobiłam coś nie tak.

– To nie ty robisz coś nie tak – przerwał jej. – To ja wciąż cię kocham. Bez sensu.

– Ale przecież mówiłeś...

– Że jestem zmęczony. Bo to prawda. Jestem cholernie zmęczony i wiem, że z tobą nigdy nie będzie normalnie. Ty masz ze mną problem. Źle ci się kojarzę.

– To nieprawda – skłamała. Przez chwilę miała ochotę utopić się w tym pieprzonym morzu.

– Przecież widzę, co się teraz z tobą dzieje. Ale to nic. I tak zapytam, bo muszę. Czy żałujesz tego, co zaszło w Mestre?

– Ingvar...

– Bo ja żałuję. Chciałbym wszystko cofnąć. Mam już dość kurtuazyjnych przepychanek i tłumaczenia sobie, że delikatna sytuacja, że zmarły mąż, że zdrada. Pierdolę to, rozumiesz? Chcę być z tobą. Więc pytam: czy żałujesz tego, co powiedzieliśmy sobie w Mestre?

Anna nic już nie widziała. Łzy przesłoniły jej obraz. Nie wiedziała, skąd się wzięły. Czy to wiatr bardziej drażnił jej oczy, czy może po raz kolejny doprowadzały ją do płaczu emocje, z którymi nie potrafiła sobie poradzić. Ingvar był nieprzejednany. Patrzył na nią hardo, prawie wyzywająco.

– Żałujesz? – powtórzył.

– Nie – odpowiedziała wreszcie.

Czuła się tak, jak gdyby uszło z niej powietrze. Ingvar zbladł. Spuścił głowę i przycisnął dłonie do skroni. Wiedziała, że chciał krzyknąć, ale tylko mruknął coś i zakołysał się. Chciała go objąć, on jednak odsunął się, zrobił krok w tył i potarł powieki. Chrząknął. Objął się ramionami. Anna patrzyła bezradnie, jak odgradza się od niej niewidzialnym murem.

– Nie zmienisz zdania?

– Nie zmienię. A poza tym Ester...

– Tak, Ester.

Milczeli przez chwilę, znowu. Wiatr stawał się coraz silniejszy, a bałtyckie fale coraz głośniejsze i bardziej natarczywe. Z każdą sekundą zawłaszczwały dla siebie coraz więcej plaży. Zapadał zmierzch. Anna naciągnęła na brodę szalik Antonia. Zawahała się na moment. Może faktycznie była o krok od

popęnienia błędu? Może nie powinna rezygnować z Ingvara, który był dla niej taki czytelny i którego znała lepiej niż kiedyś znała własnego męża? A jednak... musiała zaryzykować.

Odgarnęła włosy z twarzy. Przez chwilę patrzyli na siebie z Ingvarem, po czym ruszyli w drogę powrotną.

– A co tam w robocie? Jakież ciekawostki? – odważyła się zapytać.

– Kupa beznadziejnych pierdół i jedna fajna sprawa. Ale prosta. Szybko pójdzie. Właściwie facet sam zaprowadził mnie na miejsce i opowiedział, jak to wszystko zrobił. Prokurator teraz... Ana? Co jest?

Anna stanęła jak wryta. „Sam zaprowadził mnie na miejsce”. „Opowiedział, jak to wszystko zrobił”. Cholera! Jasna, pieprzona cholera! Przecież jej też się to przytrafiło. Ktoś zaprowadził ją na miejsce zbrodni. A inny ktoś opowiedział, jak to zrobił. Ale to by oznaczało, że... były dwie osoby! Jak to możliwe? Przecież oni się nie znali! A przynajmniej nic nie wskazywało na to, że się znali.

Wyszarpnęła z kieszeni telefon i zadzwoniła do Antonia. Nie odbierał. Uświadomiła sobie, że nie rozmawiała z nim od rana. A teraz dochodziła osiemnasta. Zawsze dzwoniли do siebie jeszcze w południe i... Leon! Może on odbierze? Anna przycisnęła słuchawkę do ucha. Nie wiedziała, czy lepiej słyszy sygnał wolny, czy bicie własnego serca. Nie odebrał. Lucrezia? Nie! Tylko nie Lucrezia! Anna w panice weszła do sieci i otworzyła stronę lotniska w Malmö.

– Co ty robisz? – spytał przerażony Ingvar.

– Muszę się stąd wydostać i to szybko!

– Ana, przestań...

– Ingvar! Ja wiem!

Opowiedziała mu pokrótce o swoich podejrzeniach. Ręce trzęsły się jej tak bardzo, że nie mogła utrzymać komórki. Nie wiedziała, kiedy Ingvar zabrał telefon, przejrzał stronę i zadzwonił na lotnisko. Nie miała też pojęcia, jakim cudem tak na szybko znalazł jakiś samolot. Słyszała coś o „szczególnej sytuacji”, o „komisarz” i „nadkomisarzu”, o „współpracy”.

– Odlatujemy za dwie godziny z Malmö. Chodź!

– Jak to: „odlatujemy”? – wydukała, kiedy biegli w stronę zaparkowanego przy plaży auta Ingvara.

– Lecę z tobą. Dasz radę prowadzić? Muszę podzwonić i załatwić sobie szybko urlop. Zabiją mnie...

Po chwili Anna siedziała już za kierownicą terenówki Ingvara. Nie próbowała z nim dyskutować. Chciała tylko jak najszybciej znaleźć się w samolocie. Antonio i Leon nadal nie odbierali. Ile kilometrów dzieliło Malmö i Wenecję? Ile pieprzonych kilometrów?!

Rozdział 33

Na miejsce spotkania wyznaczył Poveglię. Trapezio d’Oro była teraz pod obserwacją policji i należało odsunąć na bok sentymenty. A Poveglia nadawała się idealnie. Nikt tu nie pływał poza kilkoma świrami od czasu do czasu, którzy szukali mocnych wrażeń i lubili zabawę w duchy. Wszyscy inni się bali. Idioci. Nic tu nie było oprócz kupy starych kamieni i wspomnień.

Czekał tu na nich. Cierpliwie. Umówił się. Najpierw z dziadkiem, później z dziewczyną. W takiej też kolejności przyszli na San Zulian. Dziadek. Dziewczyna. Stary go zaskoczył, ale ostatecznie – jakoś wpasował się w całość. Ona jednak przyszła znikąd. Nie spodziewał się tego. Dlatego musiał działać konkretnie i nie dać sobie czasu na wahanie.

Wciąż pamiętał tamten moment, kiedy wyszedł na spotkanie staremu. Boneville. Tak się wtedy nazywał, ale teraz mówili na niego „Ronsard”. Nie był amatorem. Dziewczyna natomiast cała się trzęsła. Chciała się przejść i „porozmawiać w cztery oczy”. Jak gdyby to było możliwe tam, na zewnątrz, kiedy falę „turystów karnawałowych” zastąpiła właśnie fala „turystów zwiedzających”. Ale poszedł. Wysłuchał, co miała do powiedzenia, a później poprosił, by przyплыnęła na Poveglię. Po północy. Zapewnił, że wszystko przygotowuje, przeprowadzą transakcję i nikt ich nie zobaczy. „Tak będzie najbezpieczniej”, przekonywał. Zgodziła się.

Z dziadkiem umówił się na jedenastą. Powinien ze wszystkim zdążyć. Wziął dobrą łódź. Dużą. Nie zamierzał się cackać. Wiedział już, co należy zrobić. Jak daleko wypłynąć. Przystudiował temat, popytał rybaków, ale tak, by niczego nie zaczęli podejrzewać. Zresztą – czy naprawdę coś by ich zaskoczyło? Niejeden dorabiał sobie pewnie na boku, unosząc na pokładzie swojej łodzi podejrzane towary. Ale jego „towary” nie mogły wypłynąć w żadnych dziwnym miejscu. A więc opracował plan. Po pierwsze właściwe obciążenie. Na Poveglii nietrudno było o kamienie i stare cegły. Po drugie – wypłynąć odpowiednio daleko od brzegu. Nikt nie powinien mu przeszkodzić.

Obawiał się tylko starego. Będzie się bronił. Jak to zawodowcy.

Jeśli chodziło o dziewczynę, był spokojny. Wiedział, że upora się z nią szybko.

Lucrezia miała złe przeczucia. Przez całe popołudnie była opryskliwa dla Leona, który wreszcie obraził się i dokądś sobie poszedł. W ogóle nie wiedziała, co działo się wokół niej. Postanowiła popłynąć na Poveglię wcześniej i zająć dogodną pozycję. Bała się, że ten człowiek ją zaskoczy i coś wymyśli, a jego zgoda i słodka uprzejmość były tylko pozorne. Bo przecież za szybko przystał na warunki Lucrezii. Za łatwo się poddał. I pewnie... zastawił na nią pułapkę. Intuicja podpowiadała Lucrezii, by nie płynąć na Poveglię, by odpuścić. I najlepiej wyjechać z Wenecji. Angażowała się w coś, o czym nie miała pojęcia. Była cholerną amatorką i kilka kontaktów w szemranym świecie złodziei i szantażystów niczego nie

zmieniło.

Mimo to postanowiła popłynąć. Musiała spróbować. Bo może jednak chciał jej zapłacić, by się odczepiła. Obiecała, że nic nikomu nie powie. Tylko czy ta obietnica była dla niego coś warta?

Nie płynąć? Płynąć? Rachunki, dziura w dachu, antykwariat. Zawsze marzyła o antykwariacie. Wiele poświęciła, by przejąć sklep. Rodzinny interes nie mógł dostać się w łapy Daria Costy, który w dodatku paskudnie ją oszukał... Miałyby teraz tak po prostu zrezygnować? Nie, to nie było w jej stylu. Przed jedenastą wsiadła do łodzi. Wzięła ze sobą broń. Nawet nie знаła jej nazwy. Jak dotąd strzelała tylko na strzelnicy, nigdy do człowieka... Miała nadzieję, że nie będzie zmuszona teraz tego stanu zmienić. Wody laguny były dziś gładkie jak szkło. Aż szkoda takiej aury na załatwianie brudnych i poniżających interesów.

Na Poveglię dotarła po jedenastej. Zarzuciła cumę na pal i po cichu pomknęła w stronę dawnego szpitala psychiatrycznego. Tylko że tam ktoś już był. Rozpoznała go. Elegancki dziadek wystrojony jak przedwojenny amant. Kłócił się z tym człowiekiem. Mówili coś... O pieniądzech. Lucrezia poczuła, jak tężeją jej mięśnie. Mogła się jeszcze wycofać. Chciała. Zrobiła krok do tyłu, potem drugi. I wtedy coś potraçała. Jakiś kamień albo cegłę, która z głuchym odgłosem upadła na ziemię. Zauważyli ją. Teraz już nie było jak się wycofać. Mężczyźni mieli broń, ale stary groził jemu, a to stwarzało pewne możliwości.

Uniosła rewolwer. Wzięła go na celownik. Wiedziała, że nie należy tak po prostu milczeć, więc zawołała jakieś głupie, brawurowe: „Rzuć broń!”. Ale on nie słuchał. Kiedy padł strzał, Lucrezia zachwiała się i zatoczyła do tyłu. A przecież wcale nie było głośno. Miał broń z tłumikiem. Dlaczego ona sama o tym nie pomyślała?

Wystrzał... był jak podmuch. Wydawało się, że nie trwał nawet sekundy. Elegancki starzec z jękiem upadł na ziemię. Patrzyła na niego w osłupieniu. Na zastygające w bezruchu ciało i rosnącą kałużę krwi. A później przeniosła wzrok na tamtego. Uśmiechał się. Dlaczego nie przewidziała tego, że on nie pozwoli jej opuścić wyspy? Zaraz, przewidziała... Przyszła jej do głowy myśl o pułapce, w którą właśnie wpadła. A jednak sposób, w jaki mężczyzna oddał strzał, był zaskakujący. Nie zastanawiał się. Nie tracił czasu. Co teraz powinna zrobić? Poddać się? Nie powinno jej tu być.

Guido Russo wciąż powtarzał, że zupełnie się do tego nie nadawała.

Roberto Capelli musiał zabić Ronsarda. Bał się z nim pogrywać. Dziadek nie wahałby się w obliczu zagrożenia, a zatem sprawę należało załatwić szybko i bez gadania. Pojawienie się tej dziewczyny zupełnie wytrąciło go z równowagi. Przecież miała przy płynąć po północy. No kurwa, umówili się! Nie dotarło do niej? Nudziła się? No to teraz miała. Roberto widział wypisaną na jej twarzy panikę. Bardzo proszę, darmowy seans. Miała czas, by oswoić się ze świadomością, że ją za chwilę czeka to samo. Była zabawna. Po cholere się w to wszystko wpieprzyła? Przecież nie musiała ginąć. I chyba nie sądziła, że on naprawdę da jej jakieś pieniądze i pozwoli ot tak opuścić Poveglię. Nie był z tych, którzy ufali szantażystom. Później chciałaby więcej i więcej. Nigdy nie znają umiaru. Capelli nie zamierzał pozostawiać przy życiu żadnych świadków. Nawet Marconiego, jeśli będzie trzeba...

Z tą tutaj pójdzie bardzo łatwo, bo antykwariuszka zupełnie nie znała się na rzeczy. Ręce jej się trzęsły. W życiu w nic nie trafi, a już na pewno nie w niego. Ciekawe, czy wiedziała w ogóle, gdzie jest spust.

Sprawiała wrażenie całkiem zielonej.

– Lucrezia Doldano – mruknął. – Antykwariuszka. No i po co ci to było?

– Chodzi mi tylko o pieniądze, o nic więcej – zawołała. W jej głosie słychać było panikę.

– Jak mnie przejrzałaś?

Doldano przełknęła ślinę. Dłoń trzymająca rewolwer zadrżała jeszcze bardziej.

– Miałam układ z Russem. Z Guidem Russem. I...

Capellemu zrobiło się niedobrze. Miała układ z tym śmieciem Russem? Czy ktoś jeszcze wiedział cokolwiek o wydarzeniach nieopodal Calle Bombasari i w pałacu Marconich? Ilu ich brało w tym udział? Cała główniana szajka amatorów? A może tylko oni we dwójkę? Opanował się. Musiał poznać prawdę.

– I co? – wycedził.

– Wiedziałam, że umówiliście się z Guidem na wymianę pieniędzy w tamtym zaułku. Ja miałam pójść na bal Marconiego albo chociaż w pobliże pałacu. Tak... dla zabawy. Guido w stroju Poliszynela planował wtopić się w tłum na mieście. Wcześniej umówiliśmy się na telefon. Guido miał mnie poinformować, że to już. Że wszystko załatwione. Ale nie odzywał się długo. Za długo. Przestraszyłam się i...

– Poszłaś sprawdzić? Stąd się wzięłaś w tej uliczce?

– Tak – dziewczyna wyglądała teraz na niemal zawstydzoną.

– To nie było zbyt mądre.

– Wiem.

– A szwedzka policjantka jak się tam znalazła?

– Byłyśmy razem. Ona mieszkała u mnie od pewnego czasu. Wynajmowałam jej pokój. Tak po prostu... wyszło. Teraz żałuję. Wiem, że popełniłam błąd, ale policjantka już wyjechała. A mnie chodzi naprawdę tylko o...

– Forse. Wiem.

– Już nawet nie...

Zapadła cisza. Między murami starego szpitala psychiatrycznego panowało przenikliwe zimno. Oddechy Roberta Capellego i Lucrezii Doldano zamieniły się w siwe obłoki.

To było bez sensu. Zginie tutaj. Nie będzie w stanie oddać strzału, a jeśli nawet zdoła to zrobić – nie trafi. Nie miała najmniejszych szans. Umrze na Poveglii, wyspie duchów. Rzeczywiście – Guido miał rację. Nie nadawała się do tego. Nerwy zupełnie jej siadły już wtedy, przed rokiem, kiedy pływała w nocy po kanale, w towarzystwie Daria Costy. „Narzeczonego” siostry, który postanowił wyłączyć Lucrezię z interesu. Nie mogła mu wtedy na to pozwolić, była za blisko celu.

Wiedziała, że nie umiał pływać. Poprosiła go o rozmowę na osobności, jak dzisiaj Capellego. Tyle że wtedy ona była górą, bo Costa niczego nie podejrzewał. Nigdy się wobec niego nie zdradziła. Wypłynęli w nocy, łodzią wiosłową. Lucrezia wiedziała, dokąd się kierować. Wpłynęła między kamienice w pobliżu Ca' Dario i tego domu, który kupiła śpiewaczka, Sofia Stiatesi. Prawie nikt tam nie mieszkał. Wypchnęła Daria z łódki i oddaliła się na bezpieczną odległość. Siedziała i patrzyła, jak tonął. Musiała

dopilnować, by sprawa została zakończona.

A później sama nie wiedziała, co działo się w jej głowie. Płakała, śmiała się, nie spała, nie jadła. Kiedy zjadła, wymiotowała. A kiedy spała, miała koszmary. Zabijanie nie było na jej nerwy. Kolejnym razem poszło jednak łatwiej. Może to dlatego, że nie odebrała nikomu życia własnymi rękoma? Tylko ktoś zrobił to za nią? Bo przecież ponosiła winę za śmierć Guida Russa. Namówiła go i nie powstrzymała, kiedy jeszcze był czas. Miała na rękach krew tej Isabelli Lomi, której nawet osobiście nie znała.

Co miała teraz robić? Może najlepiej pozwolić mu, by to wszystko skończył? Zasłużyła przecież!

– Kiedy się dowiedziałeś o moim udziale? – zapytała. Nie wiedziała, czy ciekawość była w tym momencie słuszna, czy może raczej głupia.

– Dowiedziałem się? Nie dowiedziałem! Dopiero dziś, kiedy do mnie przyszedłeś, zacząłem coś podejrzewać, ale nie sądziłem, że wchodziłeś w jakieś debilne układy z Russem! Mogłaś siedzieć cicho, idiotko!

– Mogłam...

– Trzeba było do mnie nie przychodzić! Miałaś swoją szansę.

Lucrezia poczuła, że rewolwer zaczyna jej ciążyć. Palce miała zdrętwiałe i wiedziała, że nie będzie w stanie nacisnąć spustu. Bolało ją całe ramię.

Miała szansę. Na co?

Prawie było mu jej żal. Głupio się wmanewrowała. Mógłby ją puścić. Teraz zgodziłaby się odejść nawet bez pieniędzy. Siedziałyby cicho. Jak długo? Później mogłyby znaleźć sobie wspólnika, opowiedzieć mu o całej sprawie i tyle byłoby z miłej umowy. Wszystko zaczęłoby się od nowa. Szantaze, kasa... Skąd Capelli miał wziąć pieniądze? Livia nie zagarnęła jeszcze majątku Marconiego, a poza tym pozostawała wobec niego jakaś chłodna i zdystansowana. Nie skruszył, póki co, jej oporów. Potrzebował więcej czasu.

Czy gdyby puścił antykwariuszkę, ona naprawdę dałaby mu spokój? Ledwo trzymała tę żalosiwą zabawkę. Pociła się, trzęsła.

– Wiedziałaś, że Russo nie był w stanie zabić Isabelli? – odezwał się, odrobinę łagodniej niż poprzednio.

Antykwariuszka drgnęła. Nie wiedziała o tym. Myślała, że Russo dał radę pójść w ślady ich kumpla z Padwy, Fabia Esposito. Capelli tak się przecież z nim umówił. Obiecał konkretną sumę za pozbycie się cukierniczki z Castello, za uduszenie jej. Russo miał zrobić tylko tyle. Później Capelli planował odwalić resztę, cały ten spektakl z suknią i płonącym stosem. Ale jak przyszło co do czego – Russo zaczął rzygać.

– Rzygać? – zdziwiła się Doldano.

Ta kobieta wydała mu się nagle całkiem głupia. Czy ona naprawdę nie wiedziała, na ile stać Russa? Tego mięczaka, któremu dobrze wychodziło pływanie gondolą i śledzenie Marconiego, ale kiedy przyszło do wykonania trudniejszej roboty, zwyczajnie spękał? Capelli spojrzał na Lucrezię z politowaniem.

Ostatecznie – mógł jej o wszystkim opowiedzieć, skoro już się tutaj zjawiała.

Samolot wylądował na lotnisku Marco Polo po dwudziestej drugiej. Anna jak w transie zamawiała taksówkę wodną i kazała pilotowi płynąć do San Polo, na Rio de San Aponal. Kiedy znaleźli się u celu, wyskoczyła z łodzi i pobiegła do antykwariatu od strony Calle Luganegher. Poprosiła pilota, by poczekał. Miała przeczucie, że nikogo nie zastanie. I nie pomyliła się. Antykwariat był pusty. Nie zastała w nim ani Lucrezii, ani Leona, i w tym właśnie momencie zaczęła się martwić naprawdę. Bo przecież powinni być w domu. Poszli na romantyczny spacer? No, mieli prawo, a jednak Anna czuła, że historia potoczyła się nieco inaczej. I było to całkiem zrozumiałe w kontekście Lucrezii, ale Leon... Leon! Co on tym razem wymyślił? Anna zaczynała rozumieć, dlaczego z takim uporem pozostawał w Wenecji, i przeklinała własną głupotę. Leon odgadł prawdę wcześniej. Poprowadził własne śledztwo. Musiało tak być, bo przecież to niemożliwe, żeby działał... z nią!

Anna pobiegła w stronę kanału i wskoczyła do łodzi. Pilot patrzył na nią wyczekująco.

– Kurwa mać, kurwa pieprzona mać – szeptała po polsku, coraz bardziej przestraszona. – Dokąd teraz? Na Trapezio d’Oro! – zawołała wreszcie, choć nie była przekonana, czy to właściwy wybór.

Antonio czuł, jak przez jego bluzę przenika zimno i wilgoć. Nie zabrał z auta kurtki, kiedy wysiedli w pośpiechu ze Stefanem, a następnie pobiegli do portu w Mestre, by wypożyczyć łódź. Niestety nie mieli wielkiego wyboru i wzięli złom od łysola Zucchi. Dynia chciał coś odpyskować, ale Valli pokazał mu środkowy palec i poradził uprzejmie, by się „nie wychylał za bardzo, bo jeszcze mu nie dopieprzyli za ostatni raz”. Później pozostało im już tylko zmaksymalizować prędkość i modlić się, by we mgle nie władowali się na jakiś *vaporetto*.

– Stefano, czy ciebie pogięło do reszty? Po co ryzykowałeś? – zapytał Valli, wciąż zaskoczony inicjatywą młodego.

– A bo... wkurwiają mnie!

– Kto?

– Komendant i zastępca, i jeszcze prokurator, i nawet adwokaci Marconiego, którzy go namawiają na przyznanie się do winy.

– Aha. I?

– No i właśnie dlatego.

Stefano skrzywił i oblała ich zimna woda. Valli przetarł dłonią twarz.

– Co: dlatego? Zawieszę cię zaraz, jak mnie tak będziesz wnerwiał!

– Nie może szef, bo urlop. Zaraz będziemy na miejscu.

– Dlaczego znowu kazałeś ją obserwować? I jak ci się udało kogoś do tego namówić?

– Szef w ogóle nic nie kuma, no ja nie mogę! Sam łąziłem za Ronsardem, jak już wpadłem na to, gdzie się zabunkrował. Torcello! Też sobie wymyślił! W każdym razie stary robił dziwne rzeczy i już

zapomniał, że w masce i płaszczyku to można kogoś całkiem miło śledzić. No ale! – Stefano znowu skręcił i oblała ich kolejna fala zimnej wody. – Polazł najpierw do dawnego komendanta, a później... – Kolejna serpentyna i kolejna fala. – ...Do Capellego. Fajnie nie?

– Ale Doldano...

– Doldano kazałem śledzić takiemu jednemu młodemu, który zajmuje się głównie wystawianiem mandatów za karmienie gołębi na San Marco. Strasznie się ekscytował. Jakby co, to mówiłem, że działamy na offie, tak na wszelki wypadek i w ogóle nic pewnego. No i ten smarkacz od gołębi zaraz po tym, jak oglądałem Ronsarda z Capellim, dzwoni do mnie i gada, że teraz z Capellim gada Lucrezia. No! To ja już wiedziałem, że coś jest na rzeczy.

Valli zachmurzył się. On sam powinien to zrobić, doczepiać ogony, śledzić, nie dać się wpuścić w maliny z Marconim. Nie dość, że Stefano działał na własną rękę i mógł później ponieść tego konsekwencje, to jeszcze wykazał się większą przytomnością umysłu. Gdyby nie jego „smarkacz od gołębi”, który bardzo wczuł się w rolę, nadal siedzieliby nad makaronem w szpitalu w Mestre i roztrząsali wypowiedź Stefanii o zapachach. Ale Stefano dostał telefon. Smarkacz od gołębi poinformował, że „cel przemieszcza się w kierunku Poveglii”. Valli natychmiast wyrwał telefon z ręki młodego policjanta i nakazał temu „szpiegowi” zakończyć misję. Nakrzyczał na Stefana za narażanie bezpieczeństwa jakiegoś żółtodzioba, po czym obaj pognali do auta. „Przecież nie sądziłem, że coś z tego wyjdzie”. „Ja tak na wszelki wypadek...”. „Nawet bym nie pomyślał!”. Tak się właśnie tłumaczył. No ale nic. Było już po ptakach. I póki co, wyszło na plus. Smarkacz od gołębi był bezpieczny, a oni może wreszcie coś odkryją. A jednak satysfakcję podszywała gorycz. Valli był na siebie zły. Powinien to przewidzieć. Powinien śledzić Ronsarda i Doldano. Powinien wcześniej pojechać do domu dziecka w Padwie.

Wszystko powinien był zrobić wcześniej!

Zobaczył zarys wieży i wiedział, że zbliżali się do Poveglii.

Głupia Doldano nie mogła utrzymać rewolweru. Capelli starał się nie patrzeć na martwego Ronsarda leżącego w kałuży krwi. Ten widok źle na niego wpływał. Zamordowanie Isabelli nie kosztowało go aż tyle przykrych refleksji, ale to na pewno dlatego, że musiał od razu działać. Udusił Isabellę, a Guidowi Russowi kazał przebrać się za Poliszynela, iść do miasta i czekać na niego w ciemnej uliczce nieopodal Calle Bombaseri. Tam miała nastąpić „wypłata”. Wypłata! Za co Capelli miał płacić temu mięczakowi, skoro sam musiał sprzątnąć dziewczynę? No ale! Musiał udawać, że zamierzał coś mu sypnąć. Inaczej Russo zacząłby histeryzować i w ogóle. Capelli odesłał go w teren, a sam zajął się Isabellą, którą ucharakteryzował i ułożył na stosie. Później miał już z nią spokój. Leżała grzecznie...

Nie ufał Russowi i nie mógł pozwolić, by on tak po prostu wyjechał sobie z Wenecji z jego sekretem. Gdyby chłopak zabił Isabellę, sprawa wyglądałaby inaczej. Ale Russo był tylko świadkiem. A świadkowie to zawsze źródło kłopotów. Później z pewnością chciałby więcej pieniędzy, zaczęłyby się groźby i tak dalej. Historia stara i nudna jak świat. Wniosek nasuwał się sam: Russa należało się pozbyć. Capelli posłużył się w tym celu rewolwerem Apaszów, o którym dowiedział się dzięki Isabelli. Tak samo jak o Ronsardzie.

– Masz na myśli jego? – Lucrezia Doldano wskazała skuloną na ziemi postać.

Capelli wzdrygnął się.

– Tak, jego.

– Ale kim on...

– Isabella Lomi zaczęła podejrzewać, że Marconi specjalnie ściągnął do Wenecji Ronsarda. Bo miał z nim osobiste porachunki. Często pytał, co porabiają Ronsardowie i takie tam. Bella zaczęła snuć różne teorie.

– Nie wiem, kim był Ronsard! Nie znałam nawet Isabelli! Ja tylko...

Antykwariuszka zaczęła płakać. Dłoń trzymająca rewolwer opadła. Wiedział. Ona chciała tylko pieniędzy. Teraz już naprawdę było mu szkoda tej głupiej kobiety, która wpakowała się w coś, o czym nie miała bladego pojęcia. Capelli czuł neodpartą pokusę, by mówić dalej. Nawet jeśli Doldano nie znała bohaterów jego opowieści i nie bardzo orientowała się w fabule.

Kiedy Isabella zaczęła mówić o Ronsardach, a zwłaszcza o dziadku, Roberto dopasował poszczególne elementy układanki. Domyślił się, że pojawienie się starszego Ronsarda mogło mieć związek z wydarzeniami na wyspie Foscarich, które rozegrały się przed dwudziestoma pięcioma laty. Bo Francuz przecież. I wiekiem pasował. I nawet wyglądem, jeśli człowiek dobrze się przyjrzał.

– Nie wiem, co stało się na wyspie Foscarich dwadzieścia pięć lat temu! Nie chcę wiedzieć! Nie mam z tym nic wspólnego. Nic mi nie mów! Wypuść mnie!

Doldano histeryzowała. Capelli chciałby również opuścić rewolwer, ale przecież nie mógł, bo kto wie? Już raz dał się jej zaskoczyć. Nie wiedziała, co wydarzyło się na wyspie Foscarich? Nie chciała wiedzieć? Wolała, by ją wypuścić? Przecież było już za późno. Capelli westchnął.

– No widzisz... Dwadzieścia pięć lat temu na wyspie Foscarich mój ojciec udusił matkę Luigiego Marconiego.

Wyspa Foscarich była ciemna, pusta i przerażająca. Anna wbiegła do domu i wyciągnęła przed siebie dłonie, w których trzymała dwie latarki. Za plecami słyszała kroki Ingvara.

– O jasna cholera, co to za miejsce? – szepnęła, kiedy nad jego głową przeleciał nietoperz.

Anna znowu poczuła ucisk w gardle. Nikogo tu nie było. Wszędzie ciemno i cicho. Ani żywego ducha. Za to martwi... Zadrzała. Pociągnęła Ingvara do wyjścia. Kiedy stanęli na brzegu wyciągnęła telefon i zadzwoniła na policję. Starła się mówić wolno i wyraźnie, ale to i tak nic nie dało. Dyżurny przełączył ją do kogoś, kto lepiej władał językiem angielskim. Zakłęła.

– *Che cosa è successo?* – usłyszała i od razu rozpoznała ten głos.

To był Giovanni. Policjant, który powiedział jej ostatnio, że Ronsard „opuścił komendę trzy minuty temu”. Odetchnęła.

– Giovanni, mówi Anna Lindholm. Proszę, wysłuchaj mnie. Wiem, że już z wami nie współpracuję, ale błagam, musicie namierzyć telefon Antonia. Coś chyba się stało i...

– Właśnie to robię – uciał mundurowy.

– Słucham?!

– Niedawno przybiegł tu jakiś smarkaty krawężnik, który sprzedał nam historyjkę o szpiegowaniu

antykwarium Lucrezii Doldano. Smarkacz węszył grubszą aferę, ale komisarz Valli kazał mu się odczepić. Jego zdaniem *commissario* popłynął na Poveglię i tam mają się rozegrać, cytując: „dantejskie sceny”.

– No to dlaczego nic nie robicie?!

– Potrzebuję jakiegoś potwierdzenia. Nie mogę wysłać ludzi na Poveglię tylko dlatego, że gówniarz, który naoglądał się CSI, ma swoją teorię spiskową. Sprawdzam ten telefon.

– Dzięki!

Anna rozłączyła się i przebrnęła przez wodę do łodzi. Ingvar wskoczył za nią. Po chwili zmierzali już w stronę Poveglii, choć pilot bardzo marudził, że „na tę wyspę się nie pływa”. Zignorowała go i zaproponowała podwójną stawkę za rejs. I tak nie wydawał się do końca zadowolony. Kiedy dotarli do celu, zacumował łódź z niemal nabożną trwogą.

– Niech pan tu poczeka! – zawołała Anna i ostrożnie postawiła stopę na spróchniałym pomoście.

– Ale...

– Proszę!

Razem z Ingvarem stanęli na starej przystani i zawahali się. Dokąd właściwie mieli iść? Anna nigdy nie była na tej wyspie, zupełnie jej nie знаła. Leon wprawdzie mówił coś kiedyś o szpitalu psychiatrycznym i...

Leon, który...

Był tutaj. Przed nimi. Z wielkim badylem w dłoni. Anna niemal krzyknęła z radości. Miała kolejne *déjà vu* – przypomniało jej się, że w helskim lesie również kazała mu znaleźć duży baryl... Tylko co robił Leon na Poveglii?

– Pssst! Lajon – szepnęła.

Dopiero wtedy ich rozpoznał i Anna miała wrażenie, że odrobinę zeszło z niego napięcie. Podbiegł na palcach i przyłożył palec do ust. Wszyscy troje przysunęli się do siebie jak najbliżej.

– Są w psychiatryku – poinformował Leon.

– Kto?

– Wszyscy.

– Jak to: wszyscy?

– Lucrezia i ten Capuletti...

– Capelli – poprawiła odruchowo Anna.

– Capelli. I widzicie łódkę w krzakach? Twój nowy chłopak w niej przyplął z tym młodym policjantem. Wszyscy tam siedzą. Ja właśnie miałem się zmyć, żeby wezwać pomoc. Ukradłem Lucrezii skuter... Oni tam sami nie dadzą rady. Już jeden nie dał.

– Leon, co ty pieprzysz? Kto nie dał rady?!

– Dziadek. Chyba ten Ronsard z Castello. Mówiłaś o nim i...

– Leon, błagam, czy ty chcesz mi powiedzieć, że Capelli go wykończył?

– Właśnie.

Leon spuścił głowę. Annie pociemniało przed oczami. Teraz miała tylko nadzieję, że policjant na komendzie zdobędzie swoje „potwierdzenie” i niebawem zjawi się tu jakaś grupa wsparcia. A tymczasem musieli działać. Anna wydobyła z torby rewolwer, który zabrała z antykwariatu. Antonio „pożyczył” jej swój zapasowy zaraz po tym, jak porwano Stefanię Massimo. Ingvar przejął broń i odbezpieczył. Leon podał Annie coś, co wyglądało na... deskę ze sterczącymi gwoździami. Pomyślała, że lepsze to niż nic.

Cała trójka ruszyła w stronę szpitala psychiatrycznego.

Zdecydował się na najprostsze rozwiązanie. Zwyczajnie do niej przyszedł. Zapukał do drzwi własnego domu jak obcy. Wiedział, że była sama. Obserwował ich. Capelli wyszedł jakiś czas temu, a światło paliło się tylko w jednym oknie. Luigi pukał i pukał, aż wreszcie usłyszał za drzwiami ruch. Szczęk przekręcanego klucza w zamku. Klamka. Snop światła.

– Czego chcesz?

Jej głos. Nie, nie kochał już Livii, choć przecież, kiedy zorientował się, że dokumenty nie istniały, ona stała się jedynym celem. Klejnot Foscarich.

– To nie ja – powiedział.

– Co?

– Nie ja. To nie ja go wynająłem.

Powiedział to i poszedł, nie czekając na jej reakcję. Choć przecież wiedział, że znalazła się w niebezpieczeństwie. Ale Capellego teraz nie było w Palazzo Marconi i Luigi myślał tylko o jednym. Że musi się dostać do szpitala w Mestre, do Stefanii. I nie chciał akurat tam zastać asystenta swojej żony.

Capelli już wcześniej pływał na wyspę Foscarich i śledził poczynania swojego ojca. Miał wtedy osiemnaście lat i coś zaczynał rozumieć. Handlowali kamykami zrabowanymi w czasie drugiej wojny światowej. Stali na czele jakiejś większej grupy, której członków Roberto nigdy nie widział. Miał tylko pewność co do tych czterech – Cesarza, Foscariego, Boneville’a i własnego ojca. Zorganizował sobie dobry punkt obserwacyjny we wnęce przysłoniętej starą szafą. Między meblem a ścianą utworzyła się szpara na niecałe pół metra, a on zawsze był chudy, więc zmieścił się bez problemu. Prześwity w spróchniałych deskach częściowo odsłaniały widok. Capelli lubił węszyć i obserwować poczynania „szajki”. Traktował to jak przygodę. Nie oburzało go, że ojciec kradł i oszukiwał. Z pewnością miał swój cel, a tym celem mogło być na przykład polepszenie bytu rodzinie. Roberto raczej więc cieszył się, że ojciec okazał się taki przedsiębiorczy. Bo przecież robił „interesy” z ważnymi osobami. Francuza Capelli nie znał, ale Foscari i komendant Polizia di Stato... To nie byli jacyś tam zwykli wspólnicy!

Sytuacja z Maleną Bartoli wszystko zmieniała. Był czerwiec. Zapadł zmierzch i zapowiadała się pogodna, gwiazdzista noc. Capelli wiedział, że ojciec znowu wybierał się na wyspę Foscarich, bo włożył swój najlepszy garnitur. Tylko na spotkania z nimi tak się ubierał. Roberto z początku chciał sobie odpuścić śledzenie, ale ostatecznie... i tak nie miał planów na ten uroczy wieczór. A ponieważ stał się już kilkakrotnie świadkiem ważnych transakcji, nie chciał, by coś go ominęło. Kiedy usłyszał trzask zamykanych drzwi i kroki ojca na chodniku przed domem, odczekał parę minut, po czym zbiegł na dół i wskoczył do łodzi. Pomyślał, że jeśli się pospieszy, dotrze na wyspę przed nimi. I rzeczywiście – zdążył. Cekał nawet na nich blisko godzinę. Nie przyплыnęli sami. Była z nimi kobieta, którą Roberto

znał. Malena Bartoli, jego sąsiadka. Matka Luigiiego Marconiego, kumpla ze szkoły... Ojciec Roberta również ją znał.

– Ja naprawdę nie chcę nic wiedzieć o przeszłości Marconiego! Pozwól mi odejść. Zniknę!

Głos Lucrezii Doldano prawie ukłuł go w uszy. Cholera... Przecież ona wciąż tutaj była i słuchała tej opowieści. Właśnie ona. Przypadkowa osoba. Było mu wszystko jedno, kto go teraz słyszał. Miał pewność, że historia, którą właśnie opowiadał, zostanie tutaj, między tymi ścianami, na Poveglii – wyspie duchów. Podobnie jak dziewczyna, głupia antykwariuszka. Ona również nigdy stąd nie wyjdzie. Osunęła się teraz na kolana i płakała. Opuściła broń, ale nadal trzymała ją w ręku, więc Roberto nie mógł pozwolić sobie na zaufanie i luz. Nadal do niej mierzył. I wkurzał się, że ciągle mu przerywała.

– Ale jeszcze nie powiedziałem ci o najciekawszym – zauważył ze zniecierpliwieniem. – Nie wspomniałem, co było na środku sali z kolumnami!

– Sali z kolumnami? Przecież ja...

– No jasne, to nie była właściwie sala, tylko taki ganek, masz rację. Na środku, w każdym razie, przygotowano stos. Stos! Zamierzali spalić na nim Malenę. Tak mówili.

– Błagam! Pozwól mi odejść!

– Ciągłe powtarzali, że ma się rozebrać, że mają dla niej nową suknię...

A kiedy była już naga, ona i jego ojciec gdzieś zniknęli. Tamci mężczyźni mówili, żeby się porządnie zabawił i „coś im zostawił”. Należało mu się. Wymyślił tę zabawę ze stosem, z wyspą Foscarich, z sytuacją ukształtowaną na podobieństwo obrazu.

– Widzisz, on nienawidził tego obrazu. Dziadek ciągle go poprawiał, przemałowywał, cackał się z nim. Spędzał więcej czasu z pędzlem niż na zajmowaniu się młodym Federikiem. A kiedy nie malował, przesiadywał na ławce. Często towarzyszyła mu Malena Bartoli i Federico miał wrażenie, że to ona była bardziej jak jego córka. Nienawiść się więc skumulowała. Mój ojciec miał już dwa obiekty. Obraz i Malenę Bartoli.

– Capelli, proszę cię! Ja nic nie wiem o obrazie!

– Widzisz więc, że nadarzyła się idealna okazja do małej zemsty...

Obraz przedstawiał płonąca kobietę i Malena Bartoli również miała spłonąć. Później można było wszystko gładko ucharakteryzować na zbrodnię jakiegoś zwyrodnialca, który zainspirował się dawnymi rytuałami. Albo w ogóle posprzątać i nikt by się nigdy nie dowiedział. Miejsce było do takich działań idealne.

A jednak ojciec ich zaskoczył. Udusił dziewczynę – wtedy, kiedy poszli się „zabawić”. Najpewniej wzięło go w ostatniej chwili na litość. Chciał oszczędzić Malenie cierpienia. Dlaczego? Roberto nie miał pojęcia. Może zrozumiał wreszcie, czego chciał się dopuścić? Albo powstrzymała go pamięć o ojcu, który kochał tę kobietę jak własną córkę? A może kierowało nim jeszcze co innego? Znalezienie właściwej odpowiedzi było już teraz poza zasięgiem Capellego. Wtedy jednak po raz pierwszy na całą tę ich „działalność” spojrzął inaczej. Bo nie chodziło tylko o kradzież, oszustwa i jakieś przedwojenne kamyki. Pojawiła się pierwsza ofiara. Dlaczego akurat ona? Co wiedziała? Roberto siedział w swojej kryjówce i bezradnie patrzył, jak tamci trzej kopali ojca, a potem wepchnęli go żywcem w płomień. Odtąd codziennie słyszał w uszach wrzask...

– Przestań! Skończ już z tym! – zawyła antykwariuszka.

Znowu mu przerwała. Stawała się coraz bardziej wkurzająca. Robert uniósł wyżej broń, którą nierozważnie opuścił.

– Później wrzucili do ognia zwłoki tej kobiety – wycedził, a ona skuliła się i zatkała pięściami uszy.

Capelli nie mógł utrzymać tego sekretu. A przynajmniej... nie całego. O świcie zapukał do drzwi Marconich i wyciągnął Luigiiego na spacer. Zapytał go o matkę, ale dobrze wiedział, jaką usłyszy

odpowiedź. „Nie wróciła na noc. Ojciec już zadzwonił na policję”. Na policję... Ciekawe po co? Roberto wciągnął Marconiego w jakiś zaułek i powiedział mu, co widział. Zataił tylko tożsamość uczestników tego zdarzenia. I jeszcze o jednym mu nie powiedział. Że to właśnie jego ojciec udusił Malenę Bartoli. Że ojciec w ogóle tam był. Przez chwilę z bólem w sercu obserwował, jak Luigi zmienił się na twarzy, jak zaczął łkać, a później zgiął się w pół i zwymiotował. „Matka coś kombinowała”, powtarzał jak w amoku. Roberto dodał dwa do dwóch. Doszedł do wniosku, że pewnie kombinowała z „nimi”. Zaczął więc klarować Marconiemu, że na wyspie Foscarich spotkali się jacyś niebezpieczni ludzie. Lepiej siedzieć cicho i czekać, co zrobi policja, bo inaczej jeszcze kogoś może spotkać krzywda. Później Roberto pomyślał, że warto by jednak wspomnieć coś o ojcu... Bo przecież on też zniknął. Szepnął więc: „Mojego ojca też nie ma. Też nie wrócił na noc. Ale on pewnie jak zwykle został u kochanki”. To było tanie i melodramatyczne, ale przynajmniej odwracało uwagę. I nie odbiegało daleko od prawdy. Ojciec miał kochankę i w ogóle się z tym nie krył. Nie obchodziły go awantury, które urządzała mu matka, i często też nie wracał na noc do domu. Marconi jakoś nie rozgrzebał tego wątku. Pokiwał głową i uznał, że faktycznie trzeba poczekać, co zrobi policja.

A policja i karabinierzy nie zrobili nic. Nawet kiedy już okazało się, że Federico Capelli, podobnie jak Malena Bartoli, zniknął permanentnie, a nie tylko na jedną noc. Sprawę zaginięcia dwojga weneckich obywateli umorzono po latach. Nie został po nich ślad. „Widocznie chcieli zniknąć”, powtarzali funkcjonariusze. „Może to nie przypadek, że akurat ulotnili się jednocześnie?”. Ulotnili się! Capelli zaciskał zęby z wściekłości. Gdyby tylko wiedzieli! A może właśnie wiedzieli? I dlatego nie podjęli żadnych działań? Brednie i domysły mnożyły się na potęgę, aż wreszcie wszystko ucichło. Pozostało tylko milczenie dwóch chłopaków, z których każdy znał szczątkową prawdę.

– Dopiero po pewnym czasie wpadłem na to, że Marconi zaimprovizował własne śledztwo i odkrył tożsamość trzech mężczyzn, którzy byli wtedy na wyspie Trapezio d’Oro. Jakim cudem tylko trzech? Nie mam pojęcia. Grunt, że Luigi odkrył udział Foscariego w całej tej zbrodni. Ojca Livii. A Foscarci pracował w tym samym urzędzie, co moja matka. Widzisz, jak to się wszystko ładnie zbiegło!

Lucrezia Doldano klęczała skulona i cicho łkała. Już nie zatykała uszu. Wiedziała, że nic jej to nie da, i przestała liczyć na niespodziewany ratunek.

Urząd... Cholerny urząd!

Chemiczna cytryna. Stefania znowu ją czuła. Teraz i... Wtedy! Otworzyła gwałtownie oczy i chciała zerwać się z łóżka, ale miała przecież złamaną nogę. Podciągnęła się na łokciu zdrowej ręki i usiadła. Przytrzymała się szafki nocnej. Zawroty głowy niemal sprowadziły ją znowu do pozycji poziomej. Ale nie... Nie mogła teraz leżeć. Musiała powiedzieć temu policjantowi, który siedział pod drzwiami, o chemicznej cytrynie. Sztucznej. O proszku czy płynie do płukania tkanin, cholera wie! Przypomniała sobie, kto pachniał chemiczną pieprzoną cytryną!

Nie dali jej żadnej kuli, bo miała nie wstawać. Wsparła się więc o stojak na kroplówki i pokuśtykała do drzwi. Z korytarza dobiegały odgłosy kłótni. Dwa głosy. Policjanta, który jej pilnował, i... jego. To był on! Stefanii zaparło dech w piersiach i miała wrażenie, że za chwilę się udusi. Drzwi. Musiała do nich dotrzeć. Jeszcze metr. Pół metra. Wreszcie poczuła pod palcami chłód klamki. Korytarz zalewało

jaskrawe światło jarzeniówek.

Zobaczyła go. Postarzał się przez te kilka dni. A może więcej? Ile właściwie czasu minęło?

– Nie może pan tam wejść! – wrzeszczał policjant, a gdzieś w tle przemykała wystraszona pielęgniarka. – Źle panu na wolności? Już tu jadą. Zaraz pan wróci za kratki i tam posiedzi sobie do samego procesu! Trzeba mieć tupet!

Dopiero teraz zauważyła, że policjant w wyciągniętej dłoni trzymał broń. Mierzył do niego... Stefani zrobiło się słabo. Wsparta na stojaku od kroplówki powlokła się w jego stronę.

– To nie on – wycharczała.

Stanąła wreszcie przy boku policjanta, a on zerknął na nią ze zdumieniem i wściekłością.

– Niech pani wraca do sali!

– To nie on mnie porwał – powtórzyła znowu ochrypłym głosem, ale pewnie.

W korytarzu pojawili się kolejni policjanci, dwaj, trzej... Stefania nie widziała za dobrze, bo całą uwagę skupiła na tym, by się do niego zbliżyć. Krok za krokiem. Na szpitalnym korytarzu zapadła cisza. Wszyscy wstrzymali oddech. Policjant mamrotał jeszcze jakieś: „proszę się do niego nie zbliżać”, ale bez przekonania. Dodatkowi policjanci stanęli jak wryci. Nie rzucili się na niego. Stefania była blisko. Dwa kroki. Jeden. I już.

Oparła się o niego ciężko. Poczowała znajomy zapach, ten prawdziwy, bez żadnych chemicznych cytryn. Uniosła głowę. Luigi miał mokre policzki. Płakał.

– Przepraszam – powiedział wreszcie.

Stefania nie pamiętała, co było dalej.

Antonio wpatrywał się w wyświetlacz swojego telefonu, teraz wygaszony. Miał nadzieję, że bateria wytrzyma i zdąży nagrać całość. Stefano wysyłał właśnie SMS-a do Giovanniego z prośbą, by się łaskawie pospieszyli ze wsparciem, bo już jest jedna ofiara. Valli miał nadzieję, że za chwilę skończy i wyciągnie wreszcie broń. Bo tymi telefonami wiele nie działają...

Oderwał na chwilę wzrok od wyświetlacza, zaraz jednak utkwiał go w nim na powrót. Nie mógł patrzeć na skuloną postać Lucrezii Doldano. Modlił się również w duchu, by Capelli się streszczał. Bateria w telefonie prawie się wyczerpała. A sytuacja pogarszała się z każdą sekundą.

Cholerny urząd! Foscari traktował tę pracę jak zajęcie uwłaczające, niegodne porządnego, wysoko urodzonego człowieka. Kiedyś myślał pewnie, że będzie to stan tymczasowy, ale skoro on i jego kumple musieli wycofać się z nielegalnego handlu diamentami, dodatkowe źródło dochodu wyschło. A Capelli zakochał się w jego córce. Zakochał się naprawdę. Chciał ją odciągnąć od ojca-złodzieja i mordercy. Nieważne, że sam był synem mordercy. Tamten uczynek starszego Capellego traktował jako akt...

miłosierdzia. Bo przecież ojciec się ulitował nad Maleną Bartoli. Być może inaczej nie mógł jej pomóc? Na pewno tak właśnie było. A Foscari razem z tamtymi wpełchnął Federica w ogień. Z premedytacją. Bez chwili wahania. Ta rodzina była zepsuta, miała krew na rękach. Matka Livii na pewno o wszystkim wiedziała, a przynajmniej musiała się domyślać. Capelli postanowił zatem ocalić ich córkę. Czystą i niewinną. Jedyny klejnot Foscarich.

Niestety – pojawił się Marconi. I odebrał mu Livię. Od początku chodziło mu tylko o zemstę. Capelli nie wiedział, w jaki sposób Luigi dowiedział się o udziale Foscariego w wydarzeniach na Trapezio d’Oro, ale stał się podejrzliwy. Nie był na tyle naiwny, by wierzyć w to, że Marconi pojawił się przypadkiem i akurat zapalał miłością do Livii. Wszystko było ukartowane. Jubiler musiał mieć plan. Zamierzał pewnie pozbyć się starego Foscariego, a Capellego odsunąć od Livii. Udało mu się to. Kilka telefonów i maili ze skargami zrobiło swoje. Wystarczyło, by narobić mu kłopotów w pracy. Capellego zwolniono za wystawianie lewych faktur i miał raczej niewielkie szanse na znalezienie nowej pracy w Wenecji. Był *persona non grata*, jak swego czasu Casanova. A jednak los nie sprzyjał Marconiemu. Livia miała słabość do Roberta i zatrudniła go u siebie, by spisał historię rodziny Foscarich z bocznej linii. Nikt jeszcze nigdy tego nie dokonał i na Capellim spoczęło odpowiedzialne zadanie. W dodatku prawie zamieszkał u Marconich. Często nocował w pokoiku na poddaszu, wśród książek, weneckich masek i karnawałowych sukni. Widział to i owo w Palazzo Marconi. Luigi nie szanował należycie Livii. Zdradzał ją na prawo i lewo, nie liczył się z jej zdaniem. Kłócili się o bzdury. Luigi miał do Livii pretensje o to, że ciągle się czymś zamartwia, że była wiecznie smutna, zdenerwowana i z niczego nie potrafiła się cieszyć. Nie kochał jej.

Capelli postanowił uratować Livię po raz drugi. Za pierwszym razem mu nie wyszło, ale teraz przygotował się lepiej. Pewnego dnia postanowił się z nią rozmówić. Tłumaczył, że powinna się rozwieść, że mogliby wyjechać z Wenecji i zacząć gdzie indziej nowe życie. I wtedy ona go zaskoczyła. „Nie wiem, co ty sobie wyobrażałaś, ale ja nigdy tak naprawdę cię nie kochałam”, oznajmiła chłodno. „Mój mąż mnie zdradza, owszem. Ale to niczego między nami nie zmienia. Nie zamierzam się rozwodzić. Dobrze mi tu, gdzie jestem”.

– Tak powiedziała, rozumiesz?! – ryknął tuż nad głową Lucrezii Doldano. Antykwariuszka zwinęła się już prawie do pozycji embrionalnej. – „Dobrze mi tu, gdzie jestem”! Szmata! A ja tyle dla niej poświęciłem. Kiedy zdechł wreszcie ten jej zaszary ojciec, uznałem, że tylko matka stała na przeszkodzie, by Livia za mnie wyszła. Nie pasowałem im jako kandydat do ręki córki. Urzędniczyna... Ale z matką poszło łatwo. Lubiła zbierać grzyby, a później przyrządzała z nich sosy. Wystarczyło podmienić koszyk.

– O Jezu – szepnęła Lucrezia. Znowu zatkała sobie uszy i zaczęła się kołysać.

– Tak, Jezu, Jezu! Ciekawe, czy ci pomoże! A wiesz? Sprzątnięcie starej Foscari nic mi kompletnie nie dało, bo ta szmata i tak wyszła za Marconiego! A kiedy powiedziała, że nigdy mnie nie kochała i „dobrze jej tam, gdzie jest”, postanowiłem wytoczyć ciężkie działa.

Wynajął Fabia Esposito. To był dobry wybór. Esposito razem ze swoimi kumplami z domu dziecka w Padwie napadał kiedyś na salony jubilerskie. Tak się złożyło, że okradli również jeden ze sklepów Marconiego. Dzięki temu Capelli w ogóle usłyszał o chłopaku i zaczął drażnić temat. W szajce młodocianych złodziei był także Guido Russo...

– I Dario – wymamrotała Lucrezia.

– Kto?!

– Nieważne... Ja nic przecież nie wiem!

– Oczywiście...

Dario? O kim ona mówiła? Zresztą nieważne. Capelli kontynuował.

Szajka złodziejasków, łącznie z Guidem Russem, na którego zupełnie wtedy nie zwrócił uwagi, szybko przestała go interesować. Bo Fabio Esposito odłączył się od grupy i zajął własnym interesem. Otworzył kiosk... Ale oczywiście nie na sprzedawaniu gazet zarabiał największe pieniądze. To on właśnie był prawdziwym przestępcą, nie tamci smarkacze, którzy kradli złote pierścionki. Kogoś takiego Capelli szukał.

Ale nie wynajął go po to, by zabił Livię. Capelli chciał ją tylko nastraszyć. Esposito miał na nią napaść, ogłuszyć, ewentualnie trochę poturbować. A później Roberto zamierzał tak już manipulować Livią, by zaczęła podejrzewać, że za wszystkim stał jej mąż.

Ten plan również się nie powiódł. Livia zabiła Esposita w obronie własnej, a Luigi pomógł jej posprzątać...

Anna, Ingvar i Leon przemknęli po schodach na piętro. Słyszeli dochodzące stamtąd głosy. Jeden donośny, pewny, drugi cichy i jakby... skamlący. Annę przeszył lodowaty dreszcz. Czy to była Lucrezia? A ten drugi? Capelli? Czy on zdążył już jej coś zrobić? I gdzie byli Antonio ze Stefanem? Ruszyła przed siebie niemal biegiem, ale po chwili poczuła szarpnięcie. Ingvar złapał ją za rękę i pociągnął. Przyłożył palec do ust, a dłoń, w której trzymał broń, machnął gdzieś za siebie. Anna wyteżyła wzrok. Zobaczyła Leona, który szamotał się z czymś, ale usiłował to robić cicho.

I wreszcie dotarło do niej, co widziała.

Leon zaplątał się w zwoje kabli, które pokrywały całą podłogę.

Na górze ktoś wrzasnął: „Tak powiedziała, rozumiesz?!”. Teraz nie ulegało już wątpliwości, że był to Capelli. Anna zawahała się.

– Idźcie – szepnął Leon.

Antonio po raz kolejny niechętnie oderwał wzrok od wyświetlacza. Ostrożnie ułożył telefon na podłodze i sięgnął po broń. Stefano, już w stanie pełnej gotowości, uniósł brwi. Valli pokręcił głową. Potrzebował jeszcze chwili. W tej przemowie brakowało kilku zdań. Miał nadzieję, że Capelli do samego końca okaże się równie wylewny.

– Musiałem wymyślić coś nowego, rozumiesz?

Capelli znowu opuścił broń. Doldano wkurzała go coraz bardziej. Pytał ją, czy rozumiała. Przecież ona, kurwa, nic nie rozumiała! Nikt niczego nie rozumiał, a już na pewno nie ta durna baba, którą będzie musiał zabić. Że też akurat jej się nudziło?! Nie mogła uczciwie zarobić tego szmalu? Na szantaże ją wzięło? Należało z tym skończyć. Już za chwilę.

– Musiałem wymyślić inny plan, ale zupełnie nie miałem pomysłu. Trochę mi to zajęło...

Trochę. Prawie trzy lata. Wokół kochanki Marconiego zakręcił się właściwie na próbę. Nie wiedział, co mu z tego przyjdzie, ale ostatecznie – dziewczyna była z Luigim blisko. Capelli uznał więc, że utrzymywanie z nią relacji z pewnością przyniesie jakieś korzyści. Nietrudno było ją omotać. Isabella Lomi lubiła starszych od siebie mężczyzn, biżuterię i pieniądze. Taka niestety była przykra prawda. Cieszyła się, kiedy ktoś kupował jej drogie prezenty i zabierał do eleganckich restauracji. Roberto wydał na nią całe swoje oszczędności. A wiele tego nie było. Starczyło na bransoletkę i trochę owoców morza... Nie był jak Marconi i Isabella zawsze traktowała go jako swój numer dwa. Koło zapasowe. Nie miała pojęcia, że Capelli był biedny jak mysz kościelna, bo wtedy zrezygnowałaby z niego zupełnie. Zawsze rezygnowała z tego, co jej się nie opłacało. Była praktyczna, ale niezbyt bystra. To cud, że zaczęła coś kojarzyć z tymi Ronsardami.

W głowie Capellego zaczęły się wreszcie pojawiać załączki nowego planu. Pomyślał, że zamorduje Isabellę tak, by wrobić Marconiego. Realizacja tego planu wymagała jednak odwagi i determinacji, a Capelli nie chciał zabijać po raz drugi. Miał już na sumieniu matkę Livii. Uznał jednak, że cel uświęca środki i gotów był pozbyć się dziewczyny własnymi rękoma. I wtedy właśnie los zaczął mu sprzyjać... A przynajmniej wszystko z początku na to wskazywało.

Wenecję odwiedził Guido Russo.

– O Boże – jęknęła znowu Doldano.

Capelli wzdrygnął się. Antykwaryuszka stawała się monotematyczna. Uniósł broń.

– Tak, tak, zjawił się twój kumpel z Padwy. Oczywiście nie wiedziałem, że to ty byłaś „mózgiem” całej operacji i wymyśliłaś ten debilny szantaż. On... No, jeszcze rozumiem. Młody głupek. Ale ty? Dojrzała kobieta? Porwałaś się z motyką na słońce! Kiedy Russo naskoczył na Livię z tym durnym szantażem, od razu obróciłem sytuację na swoją korzyść. Oczywiście wiedziałem, że blefuje, kiedy poinformował Livię, że Marconi wynajął Esposita. Musiał coś podejrzewać, coś wiedzieć, ale resztę dopowiedział sobie sam. Nie mógł lepiej trafić! Właśnie tego potrzebowałem! A ty, kiedy już zobaczyłaś, jak twój kolega wykrwawił się nad kanałem, mogłaś siedzieć cicho. Nic by ci się nie stało. Bardzo sprytnie ukryłaś się za plecami tego smarkacza! No ale teraz...

Capelli wziął Lucrezię Doldano na cel. Za długo już gadał.

Antonio kiwnął głową i równocześnie ze Stefanem wysunęli się zza zburzonej do połowy ściany.

– Rzuć to! – zawołał.

Nie znosił tego głupiego hasła. Oni nigdy nie rzucali od razu broni i próbowali jeszcze coś gadać, a niektórzy panikowali i od razu strzelali. Zawsze się tego bał. Ale Capelli nie strzelił. Zastygł w bezruchu. Nie obejrzał się. Zacharczał i chyba chciał coś powiedzieć, ale nagle przed nim pojawił

się... jakiś facet.

Stefano odruchowo wycelował w przybysza. Antonio zawahał się. Tamten również mierzył w Capellego. Kim, do cholery, był?

Przybysz odezwał się po angielsku. Obok niego pojawiła się... Anna! Antonio poczuł, jak oblewa go fala gorąca. Ona tutaj! Jakim cudem? I co to za sprzęt, do kurwy nędzy, trzymała w ręku?!

Capelli wypuścił głośno powietrze. Lucrezia Doldano zacisnęła powieki. Capelli upuścił broń, która upadła na ziemię. Valli doskoczył do niego i wykręcił mu do tyłu rękę. Lucrezia zaczęła kwilić. Anna bez słowa wpatrywała się w ciało Ronsarda.

– Oj, Capelli – mruknął komisarz, kiedy już założył mu bransoletki. – Nie miałem pojęcia, że ty jesteś taki gadatliwy.

Rozdział 34

Za oknem świtało. Anna z wdzięcznością przyjęła kubek kawy, który postawił przed nią chyba Giovanni. Siedziała w pokoju zupełnie sama. Vallego znowu wezwano „na górę”, ale tym razem towarzyszył mu Stefano. Leon i Ingvar skończyli już składać swoje krótkie zeznania i zostali wyproszeni z budynku komendy. Wiedziała, że będą na nią czekać na zewnątrz, w przemoczonych spodniach i butach, choćby mieli tam pozamarzać. Mogłaby skrócić im tę mękę, ale musiała poczekać na Antonia. Czują, że mimo szczęśliwego odkrycia winowajcy, sprawa nie zakończy się dla komisarza dobrze.

Wciąż zadawała sobie pytanie, jak mogła być tak głupia i ślepa. Dlaczego ufała Lucrezii? Dlaczego ani razu nie zapaliła jej się czerwona lampka? Przecież powinna. Kilkakrotnie. W jej opowieściach nie zgadzało się mnóstwo szczegółów. Raz była nauczycielką muzyki, innym razem miała zespół, jeszcze innym prowadziła zajęcia z muzykoterapii. Zawsze jednak w jej historiach pojawiała się Padwa. I akurat ona znalazła zwłoki chłopaka, który również pochodził z Padwy. Gdyby Antonio od razu wpadł na to, by zerknąć na wykaz pracowników Casa Famiglia, odkryliby na liście jej nazwisko. Prowadziła zajęcia z muzykoterapii. W tej kwestii nie kłamała. Pracowała w domu dziecka, a później w poprawczaku. Leon się tego domyślił. Próbował zasiać w umyśle Anny ziarno niepewności, wspominał o tej cholernej muzykoterapii. Poświęcał się, by wyciągnąć z Lucrezii coś więcej. Anna wolała nawet nie myśleć o tym, jak dokładnie się „poświęcał”...

Wciąż obracała w myślach fragmenty jej zeznań. Siedziała pod ścianą, a Lucrezie przesłuchiwał Valli. Antykwariuszka jednak nie mówiła do niego. Przez cały czas snuła swoją opowieść w języku angielskim i patrzyła na Annę. Mówiła o tym, jak nawiązała kontakty z młodocianymi przestępcami z Padwy, którzy zajmowali się głównie napadaniem na sklepy jubilerskie. Szczególnie polubiła Daria Costę. Był trochę starszy od reszty, bardziej dojrzały, inteligentny i przystojny. Od razu pomyślała o nim, kiedy zachorowała Maria, jej siostra. Maria była od Lucrezii o dziesięć lat młodsza, ale gdzieś na górze postanowiono, że miała żyć krócej. Lucrezie załamała choroba siostry. A kiedy usłyszała, jak Maria narzeka, że dobrze nie posmakowała życia i nie zdążyła nawet poznać żadnego sensownego faceta, skontaktowała się z Dariem. Po powrocie z Padwy do Wenecji obiecała sobie wprawdzie skończyć z tamtymi znajomościami, ale chciała zrobić coś dla siostry, póki zostało jeszcze trochę czasu. I wymyśliła. Fabułę opartą na *Skrzydłach gołębic* Henry’ego Jamesa. Klimatem wszystko pasowało, James też przecież pisał o śmiertelnie chorej dziewczynie, Wenecji i facecie, który miał udawać dla kasy. A Costa właśnie miał udawać. Grać zakochanego, narzeczonego i co tam jeszcze, byle tylko umilić Marii ostatnie miesiące życia. Lucrezia całkiem nieźle mu za to zapłaciła. Musiała sprzedać swoje najlepsze skrzypce...

Tyle że Dario obmyślił własny plan. Postanowił ożenić się z Marią i po jej śmierci przejąć biznes rodziny Doldano. Ofiarował swojej „narzeczonej” pierścionek i padł na kolana. A ona się zgodziła. Wszystko było jak w filmie. Maria dała się omotać. Tymczasem Lucrezia nie mogła pozwolić, by Dario Costa postawił na swoim i tak brzydko ją wykiwał. Liczyła na ten spadek. W Padwie płacili jej niewiele i wciąż nie była nigdzie zatrudniona na etat, kariera muzyczna jakoś nie chciała się rozkręcić, a w dodatku Lucrezia miała długi. Najpierw pożyczyła pieniądze na zakup odpowiedniego sprzętu, by móc profesjonalnie nagrywać covery i wysyłać dema. Później też wrzucać je na YouTube’a. Nie znosiła amatorszczyzny, a sam mikrofon swoje kosztował. Jeszcze później pożyczała na podróże – jeździła na

jakieś próby, castingi do śpiewających reklam i inne podobne bzdury. I wreszcie pożyczała, by spłacić wcześniejsze długi. Chciała śpiewać, być artystką. Nie wyobrażała sobie, że mogłaby pójść do normalnej pracy i klepać przez osiem godzin jakieś pierdoły na komputerze. Wolała już kraść... Chciała tworzyć. I to pragnienie tworzenia wpędziło ją w kłopoty.

Odziedziczenie sklepu było dla Lucrezii jak światło w tunelu. Musiała utopić Daria Costę. Nie mógł pokrzyżować jej planów. A kiedy już to zrobiła, wiedziała, że prędzej czy później prawda wyjdzie na jaw. Ten policjant, Antonio Valli, podejrzewał ją od samego początku. Węszył. Śledził ją. Ale nawet on nie znalazł dowodów. A Lucrezia wciąż utrzymywała kontakty z pozostałymi członkami padewskiego „gangu”. Nikt jej o nic nie podejrzewał. Dario Costa utopił się i tyle. Wszyscy mu mówili, żeby w końcu nauczył się pływać...

Sklep przeistoczony w antykwariat nie przynosił takich dochodów, jakich Lucrezia się spodziewała. Maria zalegała z rachunkami, a Lucrezia nie mogła ich od razu pospłacać. Odziedziczyła więc wraz ze sklepem kolejne długi. Ale pewnego dnia na ratunek przyszedł jej Guido Russo. Twierdził, że podczas kolejnego napadu na sklep jubilerski Luigiego Marconiego w Padwie dowiedział się czegoś ciekawego o właścicielu. A raczej nie o nim, tylko o jego żonie. Podobno „kioskarz”, Fabio Esposito, który kiedyś współpracował z nimi przy organizowaniu kradzieży, dostał na tę kobietę zlecenie. Tyle że ona nadal żyła, a „kioskarz” zniknął bez śladu. Lucrezia i Russo zaczęli snuć domysły. Uznali wreszcie, że coś złego musiało się przydarzyć Esposicie podczas realizacji zlecenia, i zaczęli się zastanawiać, jak można by wyciągnąć z tego korzyści dla siebie. Wreszcie postanowili, że najlepiej będzie uderzyć wprost do Livii Foscari. I blefować. Potrzebowali pieniędzy, a ta Foscari nie wyglądała na silną kobietę. Nie podejrzewali jej o chęć prowadzenia twardych negocjacji. Wykombinowali sobie, że raczej skwapliwie zapłacą za cenne informacje o swoim mężu. Poza tym... Guido Russo naprawdę myślał, że to Luigi Marconi zlecił robotę Esposicie. W końcu pogłoski w branży nigdy nie brały się z niczego. Livia mu uwierzyła, a Capelli wykorzystał sytuację. Zapłacił Russowi za śledzenie Marconiego i zaproponował jeszcze większą sumę za załatwienie jego kochanki, Isabelli Lomi. Russo się zgodził. Wszystko przedyskutował z Lucrezią. Mieli się podzielić pieniędzmi...

A później stchórzył. Zginął. Lucrezia nie wytrzymała napięcia i pognała do ciemnego zaułka w towarzystwie Anny Lindholm. Nie myślała wtedy za wiele. Gdyby myślała, nigdy by tam nie poszła. Nie wezwałaby policji. Po prostu czekałaby. I karmiła się nadzieją, że jej udział w tej sprawie jakimś cudem nie wyjdzie na jaw.

Anna pomyślała o wszystkich tych porankach, które spędziły razem. O kawie i słodkim pieczywie na śniadanie. O smażeniu soli i przeganianiu facetów, którzy chcieli im wcisnąć „autentyczne francuskie komódki z osiemnastego wieku”. To były dobre chwile i dobre wspomnienia. A teraz...

Drzwi otworzyły się i do gabinetu wmaszerował blady Stefano. Anna wstała.

– I co?

Młody wzruszył ramionami.

– Jeszcze nie wiem. *Commissario* został na górze. Zaraz przyjdzie, to się okaże.

– Nie brzmisz optymistycznie.

– Wiem.

Anna zasepiła się i dopiła swoją kawę. Podeszła do okna i położyła dłonie na grzejniku.

– W takim razie powiedz mi może coś innego, żebyśmy tak bez sensu nie milczeli.

– Podobno milczenie jest złotem.

– Jak się dzisiaj okazało – nie zawsze.

Stefano uśmiechnął się smutno. Anna otuliła się szalikiem Antonia.

– Nie brałam udziału w przesłuchaniu Capellego...

– Komendant i zastępca z nim gadali. Marynarki.

– Wiem, ale może coś wyciekło...

– Co na przykład? – Stefano mrugnął porozumiewawczo.

– Jak on dokładnie to zrobił? Jak zamienił kukłę na dziewczynę?

– Psychol z niego niezły. Nie krył się za bardzo, ale przesłonił się parawanem, że niby nie chciał zdradzać efektu końcowego przed czasem.

– Takie proste...

– Właśnie. No i za tym parawanem to już normalnie. Zdjął kukłę i szybko przykrył ją dużą szmatą. Na stosie ułożył dziewczynę. Też przykrył szmatą. Wsunął jej worek na głowę, który teoretycznie miał zabezpieczać fryzurę. Kukłę wpakował do pokrowca na wiolonczelę i wyniósł do korytarzyka. Nie obudziło to niczych podejrzeń, bo przecież pani Foscari miała tego wieczoru grać i prosiła o przyniesienie instrumentu na dół. Dalej – Capelli ubrał dziewczynę, ale nie zdjął jej worka z głowy. Nałożył halki, sukienkę, kryzę na szyję, buciki. I dopiero na końcu zdjął ten worek, ale na twarz szybko wsunął maskę. Całość przykrył cienką gazą. I tak zostawił.

Stefano umilkł. Anna pokręciła głową. Była na siebie wściekła.

– Rzeczywiście. Wszystko sam mi opowiedział – odezwała się w zamyśleniu.

– Słucham?

– Powiedział mi. Że sam to wszystko zrobił. Nie zrozumiałam. A on się ze mną bawił!

– Nie mogłaś wiedzieć.

– Nie mogłam. Czekał, czekał...

Anna oderwała dłonie od grzejnika. Wbiła wzrok w widok za oknem. Marconi. Właśnie opuszczał komendę. Valli rozmawiał z nim zaraz po tym, jak przesłuchali Lucrezię. Później jubiler miał jeszcze – z pewnością miłe – spotkanie z prokuratorem. Co on powiedział?

Papiery...

Jego matka mówiła, że ukryła jakieś papiery w domu Foscari, ale on ich szukał i nie znalazł, więc pewnie nigdy nie istniały. Ku wielkiej radości komendanta, zastępcy i prokuratora. W tych papierach mógł się znajdować dowód na udział w całej sprawie Cesarza, a oni i tak mieli teraz masę problemów z zeznaniami Capellego.

Powiedział „dom” Foscari czy „willa”?

Anna porwała z wieszaka kurtkę i wybiegła z gabinetu.

Świtało już, kiedy Luigi Marconi opuścił budynek komendy. Nad kanałem San Lorenzo było przyjemnie pusto, nie licząc jakichś dwóch typów, którzy tkwili na pobliskim moście jak dwa słupy soli. Śniady i opalony. Jakimś cudem to rozróżnił... Widział ich chyba tej nocy na komendzie. Przyszli ze szwedzką policjantką.

Tej nocy. Co to w ogóle była za noc!

Najpierw jak wściekły prul na drugi brzeg laguny, do Mestre, by zobaczyć się ze Stefanią. Później celował do niego policjant przekonany o tym, że Marconi był mordercą i porywaczem, który jakimś

cudem wyszedł z pierdła za kaucją i czekał na proces na wolności. Jeszcze później zobaczył ją. Chudą, posiniaczoną, w gipsie, kuśtykającą, wspartą na stojaku do kroplówki, żalną i skrzywdzoną. Serce mu stanęło. To było oczywiste, że ją kochał. Dlaczego więc nic, do cholery, nie zrobił? Dlaczego nie pisał słowem, kiedy zniknęła? Przecież wiedział... Domyślał się, kto za tym wszystkim stał. Człowiek, który od samego początku kłamał. Który rzeczywiście widział śmierć Maleny Bartoli, ale też to, kto odebrał jej życie. Tylko jednego elementu brakowało. Jednej osoby. Federica Capellego. Marconi od samego początku podejrzewał, jaka była prawda. Zniknięcie ojca Roberta dziwnie jakoś zbiegło się ze zniknięciem jego matki. Zbyt dziwnie. Takie zbiegi okoliczności nie przytrafiały się ludziom zbyt często. A jednak wciąż brakowało dowodów, wciąż brakowało czegoś namacalnego. Nazwiska wypisanego czarno na białym.

Matka powiedziała, że ukryła papiery w willi Foscarich. Marconi szukał. W kamienicy na Calle Fiubera i na wyspie Trapezio d'Oro. Nie znalazł. Nie istniały. Nadal nie miał dowodu, ale za to pojawiła się Livia. „Klejnot Foscarich”, prawdziwy, czysty. Zakochał się w niej. Chyba. Oczywiście – chciał również zemścić się na jej ojcu, ale facet sam się przekręcił. I dobrze. Marconi nigdy nie był zbyt dobry w zemście. Przekonał się o tym także później, kiedy wróciły do niego złe myśli i sprowadził do Wenecji Ronsardów. Za każdym razem miło było tylko przez chwilę. Przyjemność sprawiało mu samo planowanie zemsty, wyobrażanie sobie min i stanów emocjonalnych swoich „ofiary”. Ale kiedy przychodziło do realizacji, Marconi zawsze tracił zapał. Pytał, po co mu to. I czy matka byłaby zadowolona.

Livię jednak chyba pokochał. Ale ona była trudna. Ciągłe coś jej nie pasowało. Ciągłe depresja, ciągłe nerwy, ciągłe jakieś wydumane problemy. Kiedy zabiła tego faceta w obronie własnej, zrobiło się jeszcze gorzej, choć przez chwilę myślał, że to ich połączyło. Nie... Nie kochał już Livii. Była dla niego całkiem obcą kobietą. Głupią i naiwną, skoro zaufała Capellemu.

Teraz liczyła się tylko Stefania. Czy była w stanie naprawdę mu wybaczyć tę cholerną bierność? To, że nie pobiegł do Capellego i nie walczył o nią? Mogła umrzeć. Tam, w pieprzonej studni. Marconi zatrzymał się za mostem na San Lorenzo i przyłożył rękę do oczu. Mogła umrzeć! Nie potrafił sobie tego wybaczyć. Wiedział, że nigdy nie zapomni, jakim potwornym był idiotą.

Dał się wmanewrować nawet w ten głupi rewolwer Apaszów, który wisiał na ścianie u Isabelli. Na jakimś tandetnym gwoździu. Ona mówiła, że nie pamiętała, by go tam sama powiesiła, a Luigi jak kretyńsko skończony wziął rewolwer do ręki. Bo się zainspirował. Taka prosta, idiotyczna pułapka! Nic dziwnego, że zostały na nim odciski palców. Choć, jeśli się zastanowić głębiej, to przecież było bez sensu. Gdyby Marconi rzeczywiście zamierzał kogoś mordować, włożyłby rękawiczki...

Nie chciał już o tym myśleć. Teraz liczyła się tylko Stefania. I żmudny proces naprawiania „wszystkiego”.

Marconi odetchnął i ruszył wzdłuż kanału San Lorenzo. Musiał wracać do Mestre. Nie zamierzał zostawiać jej samej na dłużej niż to konieczne.

– Panie Marconi! – Za jego plecami rozległ się głos.

Powiedziała: *Mr Marconi*. Luigi obrócił się powoli. W jego stronę biegła szwedzka policjantka. Czego jeszcze chciała? Przecież podobno wycofano zarzuty... Dziewczyna zatrzymała się przed nim zdyszana.

– Co pan powiedział o tych papierach? – zapytała, z trudem uspokajając oddech.

– O jakich... Aaaa! Że moja matka podobno ukryła je w willi Foscarich. Ale one nigdy nie istniały. Niczego nie znalazłem.

– Sprawdził pan w Mestre?

– Słucham?

– W Mestre. Jest tam willa Foscarich. Tych prawdziwych, od doży i uniwersytetu. Nazywa się...

– La Malcontenta! – wykrzyknął zdumiony. Dlaczego wcześniej nie przyszło mu to do głowy?

– Właśnie. Nie wiem, czy będzie łatwo tam poszperać, bo przecież to niby obiekt turystyczny, ale może warto spróbować.

– Ja... Dziękuję.

– Proszę mi coś obiecać. Myślę, że jeśli rzeczywiście znajdzie pan papiery swojej matki, pojawi się w nich nazwisko Saskii Verbeek. Albo Chany Sullam. To ta sama osoba. Wydaje mi się, że pana matka się z nią kontaktowała. Ja... Mam pewne podejrzenia.

– Nic nie rozumiem.

– Ja też – przyznała Szwedka i odgarnęła włosy z twarzy. – Po prostu myślę, że ta cała Saskia czy Chana w jakiś sposób łączyła się z dziadkiem Roberta Capellego, z jego obrazem i tragedią frachtowca *Niobe*.

– O czym pani mówi?

Ta kobieta musiała oszaleć! Marconi postąpił krok do tyłu i z niedowierzaniem patrzył na jej nieprzejednany wyraz twarzy.

– Wiem, jak to brzmi. Musi pan sam do tego dojść. Ja mam tylko swoje domysły i... Po prostu chciałabym, by mi pan coś obiecał. Nawet jeśli nie znajdzie pan w Malcontentie żadnych papierów, proszę odszukać Chanę Sullam albo Saskię Verbeek. Niech pan próbuje w Antwerpii, może w Hawrze...

– Ale po co?

– Musi pan jej oddać obraz.

– Obraz?!

– Ten, który namalował dziadek Roberta Capellego. Marynarz. On...

– Moja matka mówiła o tym obrazie. *Czarownica*. Przedstawiał... kobietę na stosie.

– Tak. Myślę, że ten obraz jest ważny dla Chany. Saskii. Jeśli ona jeszcze w ogóle żyje.

– Pani jest szalona. Jak mam znaleźć tę kobietę?

– Coś pan wymyśli.

Marconi przez chwilę znowu przyglądał jej się bez słowa. W tej Szwecji muszą coś dodawać do wody... A jednak, mimo wszystko, Szwedka go przekonała. Zaraziła swoim szaleństwem. Uwierzył w tę cholerną Chanę czy Saskię. No i matka naprawdę wspominała o obrazie starego Capellego. Luigi westchnął z rezygnacją.

– Dobrze.

Obrócił się i podjął przerwana wędrowkę. Ciekaw był, czy Stefania pomoże mu w poszukiwaniach Chany Sullam.

Komisarz Antonio Valli wiedział, co się wydarzy. Za chwilę, w przyszłości najbliższej i przyszłości dalszej. Komendant i zastępca patrzyli na niego z mieszaniną niechęci i wrogości, a spojrzenie prokuratora, który właśnie wsunął się do gabinetu, szybko zabarwiło się podobnymi emocjami. I wszystko przez to, że rozwiązał sprawę. A raczej rozwiązali. Antonio, Anna, Stefano, nawet ten cały Leon z Helu i smarkacz od mandatów za gołębie. Nie było jednego zwycięzcy. I nic by się nie wyjaśniło, gdyby nie kilka przypadkowych odkryć, parę nagłych olśnień i niespodziewanych zdarzeń. Ale

odpowiedzialność komisarz Valli wziął na siebie. To dlatego nie było już z nim Stefana. Miał nadzieję, że młody dobrze wykorzysta swoje pięć minut w weneckiej policji.

Miał też nadzieję, że Anna wciąż na niego czekała, tak jak obiecała. Liczył, że poukładała sobie w głowie tę niewiarygodną historię z frachtowcem *Niobe*, starym Capellim-malarzem, obrazem i Chaną/Saskią w rolach głównych. Choć słuchał jej uważnie, kiedy płynęli z Poveglii na komendę, to za nic nie potrafił się we wszystkim połapać. Zostawił zatem tę sprawę jej. Miał niemal pewność, że zgłębi temat do końca.

Teraz zostało już niewiele do zrobienia. Valli zerknął na trio pod ścianą. Niedawno już przerabiał tę scenkę. Znudziło mu się, nie lubił się powtarzać. Uznał, że w gruncie rzeczy tutaj niewiele miał już do stracenia. Roześmiał się. Trio zdębiało. Valli spoważniał. Wbił wzrok w komendanta.

– Jeżeli ta sprawa zostanie uciszona, to pójdę do prasy. I wtedy możecie nasyłać na mnie kogo chcecie. Wszystkie włoskie, a nawet rosyjskie mafie razem wzięte. Mam to w dupie.

– Nie ośmielisz się.

– Serio? Wyobraź sobie, że teczka z odpowiednimi dokumentami została już oddana w depozyt. Znajdują się w niej wszystkie nagrania z przesłuchań, spisane zeznania i dowody, łącznie z tym, co Capelli wyśpiewał na Poveglii. Wystarczy tylko przekazać kluczyk odpowiedniej osobie.

– I niby jakim cudem zrobiłeś to tak szybko?

– Mam znajomych.

Valli urwał. Nawet mu powieka nie drgnęła, kiedy im nakłamał. Nie było żadnego depozytu, żadnego kluczyka, ani teczki. Ale oni nigdy się o tym nie dowiedzą. Antonio potrafił kłamać, jeśli musiał.

– Już ich nie ukarzymy. A Cesarz...

– Właśnie. Cesarz.

– Naprawdę chcesz go udupić?

– Zasłużył sobie. A teraz róbcie, co chcecie. Stawiajcie zarzuty Capellemu, Doldano. Byle porządnie. Wszystko wiecie. A ja tymczasem...

– A ty tymczasem najlepiej poszukaj sobie innej roboty. Nie musisz wyjeżdżać z Wenecji, ale na komendzie może być ci ciężko. Oczywiście – nie zwalniam cię. Żeby nie było.

– Wsadź sobie, wiesz gdzie, swoje: „nie zwalniam cię”. Zgadnij, ile mnie teraz obchodzi ten wasz burdel!

Valli obrócił się na pięcie i wyszedł z gabinetu. Jak w transie pokonywał kolejne metry korytarza, który tak dobrze poznał przez ostatnie sześć lat. Wbiegł do swojego biura i chwycił torbę. Kurtki nie miał. Zostawił ją przecież w samochodzie zaparkowanym w Mestre. Stefano zerknął na szefa i posmutniał. Zaraz jednak... mrugnął. Valli podał mu rękę.

– No to powodzenia, młody.

– Niech mnie szef nawet nie wk...

– Anna gdzie? – Antonio wstrzymał oddech. Nie mogła odejść daleko. Na biurku wciąż leżała jej torba.

– Wybiegła za Marconim. A teraz chyba czeka przed budynkiem i gada z tymi dwoma typami. Szwedem i Polakiem.

Komisarz skinął głową i zabrał z biurka jej torbę. Nie zamierzał wynosić ze swojego gabinetu niczego więcej. Przez sześć lat pracy nie zgromadził tutaj zbyt wielu osobistych przedmiotów. Nie oswoił tej przestrzeni. Żadnych zdjęć, bibelotów i kwiatka w doniczce. Pchnął drzwi i wyszedł. Nie obrócił się w progu, by spojrzeć na to wnętrze po raz ostatni.

Anna i Ingvar stali obok siebie na moście. Pod nimi szemrały wody kanału San Lorenzo. Nieopodal kręcił się Leon. Chciał być sam. Przeżywał tę sytuację na swój sposób. On przecież również ucierpiał. Coś musiało go z tą Lucrezią połączyć, inaczej nigdy by się nie zdecydował... Anna nie rozumiała, dlaczego to zrobił, co zyskał i co stracił. Nie była w stanie dać mu od siebie tego, czego chciał. Ani Ingvarowi. Pamiętała o tym, co powiedział na plaży w Ystad. Trawiła to teraz po raz setny i chciała, by opanowały ją wyrzuty sumienia. Ale nic takiego się nie działo. Nie miała powodu, by czuć się winną. Odcięła się od niego tak, jak chciał. Po raz pierwszy od dawna była wolna.

– Jesteś pewna? – zapytał ponownie Ingvar, a Anna przez chwilę delektowała się brzmieniem szwedzkiego języka.

– Tak.

Naprawdę była pewna. Spojrzała na srebrzysty kanał ujęty w szpaler wiekowych kamienic, na różowy wenecki świt. Poczowała... wzruszenie. Nasiliło się jeszcze, kiedy z budynku komendy wybiegł Antonio. Wyszła mu na spotkanie, ale nie padli sobie teatralnie w ramiona. Ruszyli na Riva degli Schiavoni, trzymając się mocno za ręce. Wreszcie znaleźli się na swoim ulubionym bulwarze. Po ich lewej stronie rozciągały się gładkie jak stal wody laguny, a po prawej przesuwały się fasady kamienic niczym klatki w niemym filmie. Wreszcie Anna nie wytrzymała. Puściła dłoń Antonia i wsunęła się pod jego ramię. Czowała, jak dygotał. Znowu nie miał kurtki. Objął ją mocno.

Riva degli Schiavoni nie obudziła się jeszcze ze snu, a Wenecja po zakończeniu karnawału wydawała się miejscem dużo spokojniejszym. Jak z powieści Henry'ego Jamesa albo obrazów Guardiiego.

– Jak ty się tam znalazłaś? – zapytał nagle Antonio.

Przystanęła. Wpatrzyła się w widoczny na horyzoncie zarys kościoła Il Redentore, otulonego przez mgłę.

– Ingvar w Ystad powiedział takie jedno zdanie, które dało mi wiele do myślenia. A potem ty nie odbierałaś telefonu. No to przyleciałam.

– Tak po prostu?

– Bywam spontaniczna. A ty? Jak poskładałeś wszystko w całość?

– Pojechałem do Padwy i sprawdziłem pracowników domu dziecka. Dawno już podejrzewałem Lucrezię Doldano o to, że utopiła tego chłopaka, ale bałem się... sugerować ci cokolwiek. Lubiłaś ją.

– Lubiłam. Byłam głupia.

– Nie byłaś. Każdemu się zdarza przejściowa ślepotą.

– Przejściowa...

– Anno, posłuchaj mnie.

– Nie, to ty mnie posłuchaj. Podjęłam pewne decyzje i...

– Proszę, daj mi powiedzieć.

– Antonio...

– Muszę odejść z policji. Właściwie już odszedłem. Pomyślałem, że mógłbym zostać jakimś kelnerem w Szwecji. Może we włoskiej knajpie? Macie takie?

Anna wydostała się spod jego ramienia. Milczała przez chwilę i zastanawiała się, jak powiedzieć mu to wszystko, co jeszcze przed chwilą tak pięknie poukładała sobie w głowie. Nie chciała być patetyczna. Patos zawsze wydawał się jej żalony.

– Sprzedałam zakłady Vidara. Oba. Ten w Sztokholmie i ten w Ystad. Szybko znalazłam kupca. Moja macocha mówiła, że można było jeszcze poczekać, negocjować, ale ja nie chciałam. Został mi dom.

I fińska gosposia. Jeśli chciałbyś zrobić sobie mały urlop, to możemy tam pojechać. Ale szczerze mówiąc... Podoba mi się tutaj.

– Co ty mówisz?

– Myślałam, że idzie zrozumieć...

– Idzie, ale...

– Masz inne plany? – Anna spojrzała na Antonia. Uśmiechał się.

– Pomyślałem, że po drodze do Szwecji moglibyśmy zahaczyć o Florencję. Moja matka cię pokocha.

Obie będziecie mogły mi zrzedzić, że mam nosić kurtkę.

– Rzeczywiście. Florencja jest jak cholera po drodze.

Antonio roześmiał się i przyciągnął Annę do siebie. Nagle poczuła, jak prostuje się i patrzy na coś ponad jej głowę. Obróciła się i również spojrzała w tamtym kierunku. Mniej więcej dwadzieścia metrów za nimi stali Ingvar z Leonem. Usiłowali podziwiać własne buty albo może płytki chodnikowe. Nie była pewna. Antonio chrząknął.

– Powinni się przespać. Chyba musimy ich dzisiaj przechować? – spytał niepewnie.

Zamiast epilogu

11 czerwca 1970

Antwerpia

Chana Sullam wsunęła zdjęcie swoich rodziców do szuflady i zamknęła ją na klucz. Od ich śmierci minęło trzydzieści lat. Ona sama była już kobietą prawie trzydziestopięcioletnią, choć wszyscy mówili, że nie wyglądała na swój wiek. To pewnie przez oczy. Wielkie, dziecięce, naiwne. Nie raz jej pomogły. W tym biznesie warto było czasem poudawać naiwną i głupią. Spojrzeć cielecym wzrokiem na jednego i drugiego, mrugnąć, uśmiechnąć się. I jedli jej z ręki. Dawała sobie radę. Była niezatapialna.

Nie poszła w ślady rodziców, tylko wzięła przykład z tamtego człowieka. Bo on się uratował, a mama i tata zginęli. Widziała go później w porcie, jak ścisnął ten swój obraz. Z pewnością miał ze sobą również kamyki. Niewiele wówczas rozumiała. Miała pięć lat i płakała, bo chciała do mamy, a poza tym na statku została jej lalka. Dopiero później obracała w głowie wspomnienia. O dziwo, dość dobrze zapamiętała twarz tego człowieka. I jego ręce, które kradły kamyki. Dlatego właśnie weszła w ten interes. Oczywiście nie wierzyła w to, że kiedykolwiek znajdzie własność mamy i taty, ale złodzieja wreszcie namierzyła. Niedawno, przed kilkoma miesiącami. Z *Niobe* uratowała się zaledwie garstka, a i tak poszukiwania zabrały jej kawałek życia.

Federico Capelli. Zamieszkały w Wenecji. Ciec na statkach. Tyle zostało z dumnego marynarza. Chana powinna się cieszyć, ale jakoś nie potrafiła zdobyć się nawet na przelotny uśmiech. Nie sprzedał kamyków albo przehandlował je tak, że nie była w stanie ich namierzyć. Może zrobił to dawno, podczas wojny. Jeśli tak – nie miała szansy na nie natrafić. Ale mogła go zapytać. Mogła zmusić Capellego, by spojrzał jej w oczy. Marzyła, by to zrobić. Czy wiedział, jaki spotkał ją los? Co zobaczyła po eksplozji? Jak dryfowała z pokiereszowaną twarzą wśród ludzkich szczątków? Umazana ropą, z krwią zalewającą oczy? Wyobrażał to sobie?

Chana okrążyła biurko i podeszła do swojej kolekcji winyli. Sięgnęła po album Franka Sinatry. *At Villa Venice*. Uśmiechnęła się i zapaliła papierosa. Uwielbiała głęboki głos Sinatry. Aż podskoczyła, kiedy zadzwonił telefon. Papieros wysunął się spomiędzy palców. „Co znowu?”, mruknęła. Zawsze coś się działo.

Podniosła słuchawkę. Usiadła. Zmarszczyła brwi. Wysłuchiwała całego komunikatu, po czym rozłączyła

się i odchyliła na krzesło. „Wykitował”. To właśnie usłyszała. Wykitował na ławce, w Cannaregio, w objęciach jakiejś gówniary, Maleny Bartoli. Narzeczonej ślusarza. Co ją, Chanę, obchodziła narzeczona ślusarza?

Stary marynarz Umarł. Akurat teraz, dziś. W trzydziestą rocznicę zatonięcia *Niobe*.

Znakomity moment.

11 czerwca 2015

Hel

Dzwonek. Słyszała go wyraźnie, choć była pewna, że poprzedniego wieczoru nie nastawiła budzika. Chcieli się wyspać. Rozkleiła powieki i usiadła na łóżku. Telefon przestał dzwonić. Przyśniło jej się? Zerknęła na wyświetlacz. Nie. Dzwonił naprawdę. O szóstej rano. I w dodatku był to jakiś dziwny numer, którego Anna nie kojarzyła ani z konkretną osobą, ani z żadnym miejscem. Z pewnością dzwonił do niej ktoś z zagranicy. Ale skąd dokładnie? Ziewnęła i spojrzała na pogrążonego we śnie Antonia. Zabrał jej całą kołdrę. Znowu.

Dziwny telefon nie zdołał jej całkiem obudzić. Anna miała właśnie zamiar położyć się znowu i zawalczyć z Antoniem o kołdrę, kiedy dzwonek rozległ się po raz drugi. Zamarła. Ostrożnie chwyciła telefon, jak gdyby bała się, że ktoś to zauważy i poczuje. Antonio poruszył się i uniósł głowę z poduszki.

– Co jest? – mruknął.

I spał dalej. Anna przełknęła ślinę. Odebrała połączenie i przyłożyła telefon do ucha. Nie wiedziała, skąd wziął się ten osobliwy strach, który usztywniał jej ruchy i zakłócał myśli.

– Słucham? – szepnęła.

Po drugiej stronie usłyszała kobiecy głos. Niski i zachrypnięty, prawdopodobnie w wyniku wieloletniego palenia papierosów. Kobieta mówiła po angielsku z twardym, chyba niemieckim akcentem.

– Wiem, co dla mnie zrobiłaś. Dzwonię, żeby ci podziękować.

– Z kim rozmawiam?

– I jeszcze, żeby poprosić o pomoc. Mam kłopoty.

– Kto mówi?!

Kobieta nie odpowiedziała. Antonio zerwał się do pozycji siedzącej. Anna wzięła głęboki wdech. Jej rozmówczyni jeszcze się nie rozłączyła.

– Kto mówi? Proszę się przedstawić – odezwała się znowu, tym razem łagodniej.

Po kolejnej chwili milczenia kobieta wreszcie odpowiedziała.

– Nazywam się Chana Sullam.

Od autorki

Podczas pisania *Nic oprócz milczenia* musiałam w paru punktach naciągnąć rzeczywistość. Pozwólcie więc, że wyjaśnię kilka kwestii. Po pierwsze – procedury. Jeśli ktoś z Was orientuje się nieco we włoskich realiach i słyszał o pracy policji lub karabinierów, z pewnością zauważył w tej powieści zredukowaną liczbę procedur, wedle których działają bohaterowie. Otóż pod tym względem Polska w porównaniu z Włochami to kraj, w którym zjawisko „papierologii” przestaje się wydawać przykre. We włoskiej policji, a także w Korpusie Karabinierów, wszystko poddane jest ścisłym regułom i procedurom postępowania, co często paraliżuje śledztwo i utrudnia rozwiązanie wielu spraw. Procedura w przypadku czyjegoś zaginięcia zakłada na przykład, że zgodę na namierzenie telefonu komórkowego uzyskuje się dopiero po przedstawieniu w prokuraturze odpowiedniego wniosku, z którego wynika, że mogło dojść do popełnienia przestępstwa. Rozpatrywanie takiego wniosku może trwać kilka tygodni, a nawet do dwóch miesięcy. Jeżeli zaś porwanie w sposób oczywisty wiąże się z dokonaniem przestępstwa, bo na przykład porywacz kontaktuje się z policją lub rodziną ofiary – tejsze rodzinie blokuje się środki na koncie. We Włoszech wypłacenie okupu jest przestępstwem. Gdybym miała drobiazgowo opisywać wszystkie procedury i kontakty komisarza Vallego z prokuraturą, obawiam się, że musiałabym usadzić moich bohaterów przy biurkach i kazać im wypełniać papiery oraz telefonować w tysiąc różnych miejsc. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że byłoby to trochę nudne...

Zjawisko *insabbiatur*, czyli spraw pogrzebanych, również jest czymś powszechnym we włoskiej policji, podobnie jak załatwianie wszystkiego „pokątnie”. Kiedy ukończyłam tę książkę, obawiałam się, że mogłam przedstawić policję w zbyt niekorzystnym świetle. Jednak po pierwsze dotarłam do wielu źródeł, a także nawiązałam kontakty z osobami znającymi temat, dzięki czemu zdobyłam wiele cennych informacji, które właśnie taki, a nie inny, wizerunek policji potwierdzają. Po drugie – po ukończeniu powieści przeczytałam kilka książek z serii *Komisarz Brunetti i tajemnice Wenecji* Donny Leon, żeby zobaczyć, jak mój research wypadł na tle twórczości pisarki od lat zamieszkałej we Włoszech. I okazało się, że autorka nie tylko zderza „swoich” policjantów z brudnym światem weneckich układów i układzików, ale też... podarowała Brunettiemu telefon komórkowy na kartę, przy pomocy którego załatwia wiele spraw „na boku”, by przyspieszyć śledztwo i ominąć procedury. Jej krytyka wobec tamtejszego wymiaru sprawiedliwości jest tak ostra, że Leon swoich książek nie pozwala tłumaczyć na język włoski. Nie mogłam się oprzeć przed wrzuceniem aluzji do tej sytuacji w mojej powieści.

Wstęp na opuszczone wyspy Laguny Weneckiej jest zabroniony i podchodzi pod odpowiedni paragraf, więc miejmy w tej kwestii jasność – nigdy nie było mnie na Poveglii...

Poza obiema wyspami Foscarich i uliczką, w której zginął Guido, wszystkie opisane przeze mnie miejsca możecie odnaleźć na mapie i odwiedzić. Jeśli chodzi o wspomnianą wyżej uliczkę – długo

szukałam odpowiedniego miejsca, w którym byłby szpaler opuszczonych kamienic, kanał i jeszcze chodnik. W dzielnicy San Polo znalazłam szereg opuszczonych kamienic zamkniętych wokół kanału, ale niestety... brakowało tam chodnika. To miejsce jednak wydało mi się idealne i postanowiłam poddać je literackiej obróbce i przenieść do dzielnicy San Marco. Oczywiście – z „dopisanym” chodnikiem. Będziecie mogli przejrzeć dokumentację fotograficzną na moim profilu na Facebooku. Calle Bombasei, o którym wspominam przy okazji morderstwa nieszczęsnego Guida, istnieje naprawdę. Co się zaś tyczy wysp Foscarich, to jeśli będziecie mieli kiedyś możliwość przepłynąć się po Lagunie Weneckiej, z pewnością zobaczycie mnóstwo małych wysepek, na których tkwią pozostałości dawnych budowli. Niestety – wiele z nich już znalazło się pod wodą. Obawiam się, że Stefania Massimo ma rację w swoich pesymistycznych przepowiedniach – los i warunki naturalne nie sprzyjają Wenecji. Podobnie jak układy prawno-społeczne. W tym pięknym, jedynym w swoim rodzaju mieście na świecie, jest potwornie drogo, a prawo rdzennych weneccjan do nieruchomości jest niemal święte. Stąd tyle w Wenecji opuszczonych budynków. Właściciele nie są w stanie ich sprzedać, ale mieszkać w nich również już nie mogą. Mimo że wiele kamienic sprawia wrażenie, jak gdyby lada moment miały się rozsypać, nie dajcie się zwieść pozorom. Weneccjanie doskonale wiedzą, które budynki trzeba remontować w pierwszej kolejności, a które jeszcze mogą „postać”. Dlatego też lekarz badający Annę po feralnej próbie ratowania kota ze swobodą wspomina o tym, że komuś odpadł tynk ze ściany i kawałek parapetu. Tam, gdzie przez trzy czwarte roku ma się do czynienia z wysoką wodą, dzieją się znacznie gorsze rzeczy.

I wreszcie ostatnia kwestia, w której naciągnęłam rzeczywistość. Samolot z Malmö nie ląduje na lotnisku Marco Polo, tylko Wenecja-Treviso. Ale znowu – gdyby Anna i Ingvar musieli jechać aż stamtąd, nie trafiliby na Poveglię na czas. Ach tak, jeszcze jedno... Wspominam o tym, że bohaterowie jedzą risotto, makaron i pizzę, podczas gdy lokalnymi przysmakami w regionie Veneto są raczej owoce morza czy mięso osła i koński udziec. Ponieważ jednak od osiemnastu lat z żelazną konsekwencją pozostają wegetarianką, opis takiego posiłku jest ponad moje siły. Już fakt, że Anna wyciąga z lodówki szynkę, wystarczająco mnie wykończył. Dlatego – wybaczenie.

Pozostaje jeszcze sprawa Anny i jej współpracy z włoską policją. Oczywiście coś takiego jak najbardziej jest możliwe, włoska policja, podobnie do każdej innej w demokratycznym państwie, dopuszcza do współpracy konsultantów, pomocników, informatorów, a nawet jasnowidzów. Myślę jednak, że biorąc pod uwagę bardzo restrykcyjny system przestrzegania procedur, Anna raczej nie mogłaby aż tak bezpośrednio uczestniczyć w przesłuchaniach. A Valli, który poprosiłby ją o pomoc, miałby nad sobą kogoś, kto ściśle kontrolowałby sytuację. I tutaj ponownie – *licentia poetica*.

Tragedia frachtowca *Niobe* jest faktem historycznym, jej opis oparłam na *Burzy nad Atlantykiem* Wawrzyńca Markowskiego i Andrzeja Perepeczki. Rzeczywiście z eksplozji uratowało się zaledwie kilka osób, a kilkaset poniosło śmierć. Wokół *Niobe* krążą legendy dotyczące diamentów przewożonych przez belgijskich Żydów. Czy tkwi w nich ziarno prawdy?

Chana Sullam vel Saskia Verbeek zdecydowała się na nielegalny proceder, ale w Antwerpii, diamentowej stolicy Europy, Żydzi od wieków odgrywają ważną (jeśli nie najważniejszą) rolę w obróbce i sprzedaży kamieni szlachetnych. Znajomość tej sztuki przekazywano sobie z pokolenia na pokolenie. Podobnie jak wagę zaufania i lojalności. „Mazzel” wypowiedane w charakterze potwierdzenia transakcji znaczyło więcej niż kontrakt na piśmie, a pieniądze przekazywano z ręki do ręki. Żydowski monopol w handlu diamentami trwał pięćset lat. W czternastym wieku piraci, awanturnicy, poszukiwacze złota i przygód przybijali do antwerpskiego portu z różnych stron świata, w tym z Indii, Kongo czy Sierra Leone. Lodowyk van Bercken z Brugii wynalazł szlifierkę do diamentów. Od tamtego czasu Antwerpia umacniała swoją pozycję, co przyczyniało się do ekonomicznego wzrostu regionu. Po dwóch wojnach światowych pojawiła się dla Antwerpii silna konkurencja ze strony innych miast (Nowy

Jork, Bombaj), ale jest ona nadal największym i najszlachetniejszym ośrodkiem handlu diamentami. Ja sama kilka lat temu również miałam przyjemność znaleźć się w Antwerpii z diamentem, który pojechałam tam wycenić na prośbę pewnej starszej damy z Kresów Wschodnich. Oczywiście nie trafiłam do żadnego nielegalnie prowadzonego warsztatu i nie kontaktowałam się z czarnym rynkiem, ale wizyta w warsztacie szlifierskim, rozmowa z handlarzem i jego „działania” towarzyszące wycenie złożyły się na jedną z najciekawszych przygód w moim życiu.

Willa Foscarich w Mestre istnieje naprawdę, podobnie jak przystań, przy której można wynająć łódź. Nie wiem, czy biznes prowadzi człowiek, który jest łysy...

Pomysł na postać starego Ronsarda przyszedł mi do głowy podczas lektury artykułu Anny M. Ziółkowskiej *Symulowanie zaburzeń pamięci: Natura, geneza i wykrywanie za pomocą testów neuropsychologicznych* („Roczniki Psychologiczne” Tom X, nr 2, 2007).

Dziękuję mojej rodzinie za wsparcie. Mojemu Mężowi za cierpliwość – wiem, że wobec mnie naprawdę dużo jej potrzeba. Mamie za: „Początki są trudne”, Tacie za: „Która to już książka w ciągu jednego roku?!”. Mojej Córce za to, że prowokuje mnie do siedzenia na trawie, zbierania suchych patyków i rozmowy o *Super Psach* – historii, którą sama tworzy i która kiedyś będzie wielkim bestsellerem.

Blogerom książkowym za Wasz niegasnący entuzjazm, pasję i rzetelność. A szczególnie – Marcie Mrowiec, Tomaszowi Radochońskiemu, Angelice Zdunkiewicz-Kaczor i Przemysławowi Garczyńskiemu, którym czasem marudzę (no dobrze – często marudzę), a także Weronice Załuckiej (Hasaczowi), która jest jedyna w swoim rodzaju i zawsze można na nią liczyć.

Grzegorzowi Chojnowskiemu, szefowi Radia Wrocław Kultura, za ciekawe rozmowy, uważną lekturę i zwracanie uwagi na porzucone samochody i biura podróży czynne całą dobę. Piotrowi Bartysiowi, szefowi muzycznemu Radia RAM, za telefon po lekturze pierwszej części trylogii i podsumowanie: „No wszystko super i fajnie, ale dlaczego tak szybko wiadomo, kto zabił?”. Najważniejsze to zostać odpowiednio zmotywowanym do pracy...

Dziękuję Mateuszowi Brzuszczyńskiemu, pracownikowi jednego z wrocławskich sekcji, za cenne rady dotyczące opisu martwej dziewczyny w walizce. Bardzo się cieszę, że byłeś w stanie mi pomóc, i jednocześnie przykro mi, że bazowałeś na własnych doświadczeniach zawodowych... Monice Zajac i Natalii Burzyńskiej-Mangone za pomoc w zbieraniu informacji na temat włoskich nazwisk i przejmowania ich (a częściej – nieprzejmowania) przez żony po mężach. Dlatego też Livia nosi nazwisko Foscarini, nie Marconi, i jest to kulturowo uzasadnione.

Dziękuję mojej niezastąpionej Redaktorce, Kindze Gąsce, za cierpliwość, profesjonalizm i sumienność, wirtualne picie melisy i konsultacje o każdej porze dnia i nocy. Jestem przekonana, że po lekturze trzeciej części cyklu o Annie Lindholm zechcesz mnie zamordować.

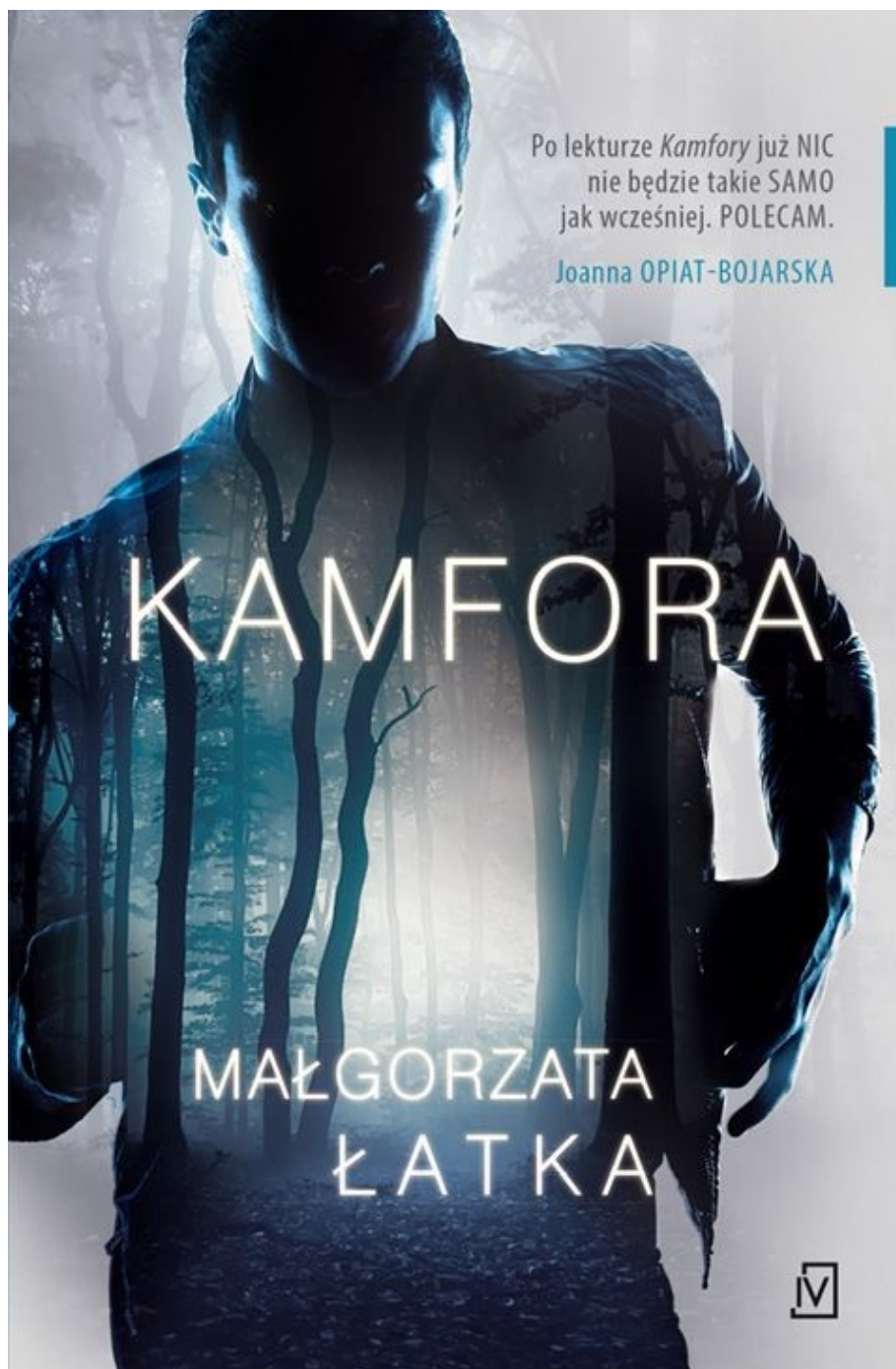
Na Piazza San Marco naprawdę można dostać mandat za karmienie gołębi i naprawdę są tam tabliczki, które informują, że nie wolno tychże gołębi karmić.

I wreszcie Leon-Lajon – niektórzy czytelnicy po lekturze pierwszej części cyklu nie rozumieli, dlaczego ten biedak tak gania za Anną przez pół świata. Teraz pewnie to wrażenie się pogłębiło, więc spieszę z informacją – Leon swoją motywację wyjawia dopiero w trzeciej odsłonie.

Dziękuję Ci, Drogi Czytelniku, za to, że przeczytałeś tę książkę.

M. K.

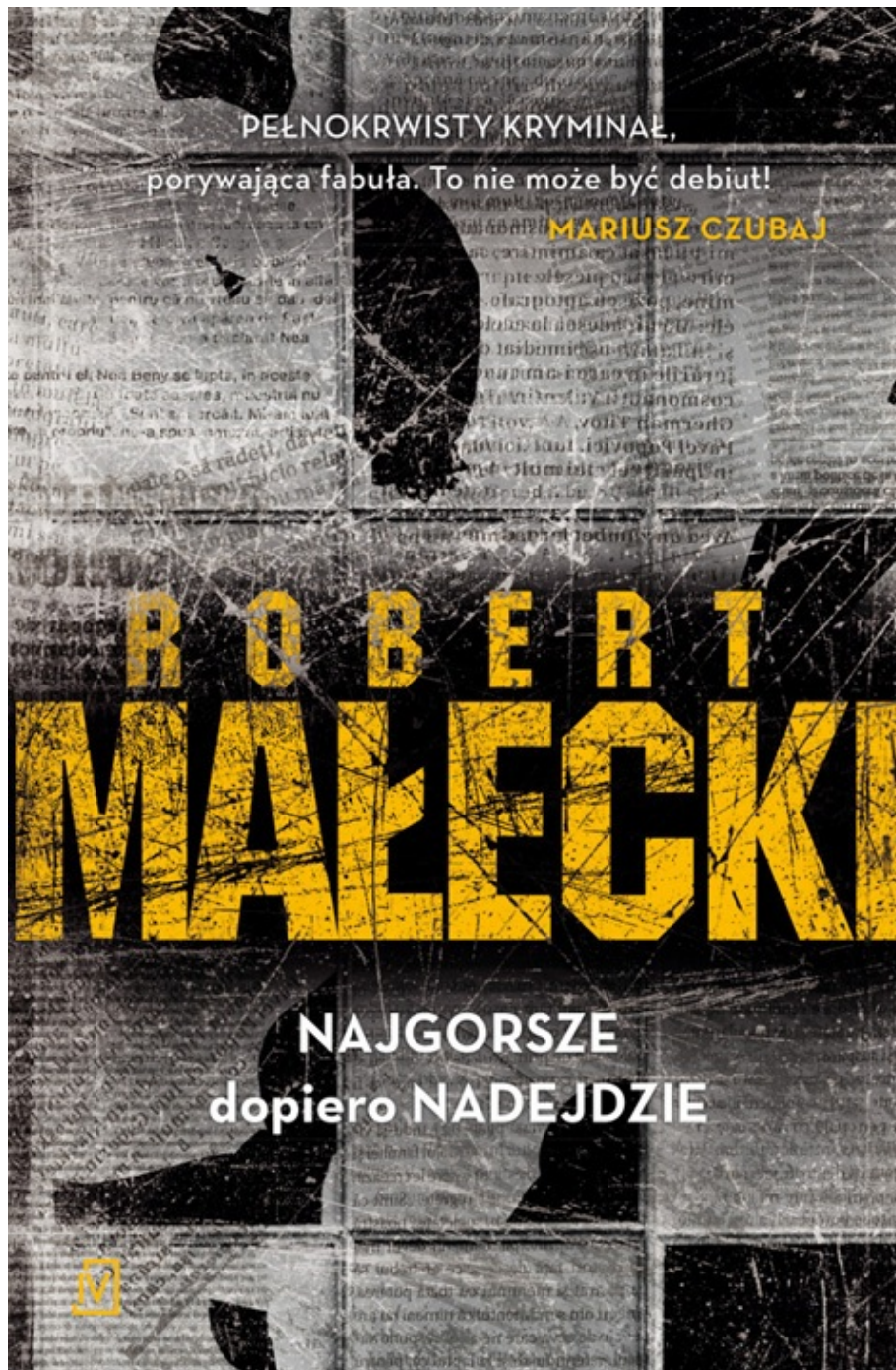
POLECAMY



Brutalnie okaleczone ciało kobiety zostaje odnalezione w parku. Przyczyna śmierci – liczne ciosy zadane ostrym narzędziem. W ciągu kilku miesięcy okazuje się, że ofiar jest więcej, a morderca podzuca ciała nie zostawiając żadnego śladu. Prowadzący sprawę komisarz Jakub Zagórski jest pewien, że ma do czynienia z seryjnym zabójcą.

Zagórski zwraca się o pomoc do Leny Zamojskiej – specjalistki od mowy ciała. Jej wiedza i doświadczenie mają pomóc w ujęciu przestępcy. Lena musi zaryzykować... Nie wie, że niebezpieczeństwo czyha gdzieś bardzo blisko...

NAWET TO, CZEGO NIE POWIESZ, MOŻE ZOSTAĆ UŻYTE PRZECIWKO TOBIE



Mistrzowska intryga. Charyzmatyczny i bezkompromisowy bohater. Polski kryminał w najlepszym wydaniu.

Zgliszcza spalonego domu kryją w sobie ponurą tajemnicę. Marek Bener ma przed sobą ostatnie dziennikarskie zadanie. Nie wie jednak, że to początek kryminalnej gry, w którą zostaje uwikłany. Przeszłość daje o sobie znać, gdy okazuje się, że ofiarą pożaru jest dawny przyjaciel Benera, który przed laty uwiódł mu narzeczoną. Najgorsze dopiero nadejdzie. Wkrótce kobieta również znika bez śladu. Dziennikarz nie przypuszcza nawet, że z pozoru zwykły dzień przerodzi się w walkę o życie. Czy Marek Bener wygra wyścig z czasem?



Mężczyzna w ciężkim stanie trafia do łódzkiego szpitala. Nie pamięta, jak się nazywa ani co się stało. Powtarza tylko imię Aleksandry Wilk.

Poznańska psycholog na prośbę znajomego lekarza przyjeżdża pomóc pacjentowi. Jednak nie tylko ona usiłuje dociec, kim jest tajemniczy NN i dlaczego wzywa Aleksandrę...

Legendarna aktorka przed laty została brutalnie zabita we własnym domu. Mordercy nie odnaleziono, śledztwo dawno zamknięto, a akta kurzą się w policyjnym archiwum. Ten, kto ją zabił, dziś wciąż jest na wolności.

Czy uda się powiązać te sprawy, odkryć prawdę, uniknąć niebezpieczeństwa?

Rozpoczyna się gra o wszystko, a czas ucieka nieubłaganie. Nowe, sensacyjne rozdanie Joanny Opiat-Bojarskiej!

Spis treści

Część I

[11 czerwca 1940](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

Część II

[11 czerwca 1950](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

Część III

[11 czerwca 1970](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

Część IV

[11 czerwca 1980](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

Część V

[11 czerwca 1990](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

Zamiast epilogu

Od autorki

Polecamy